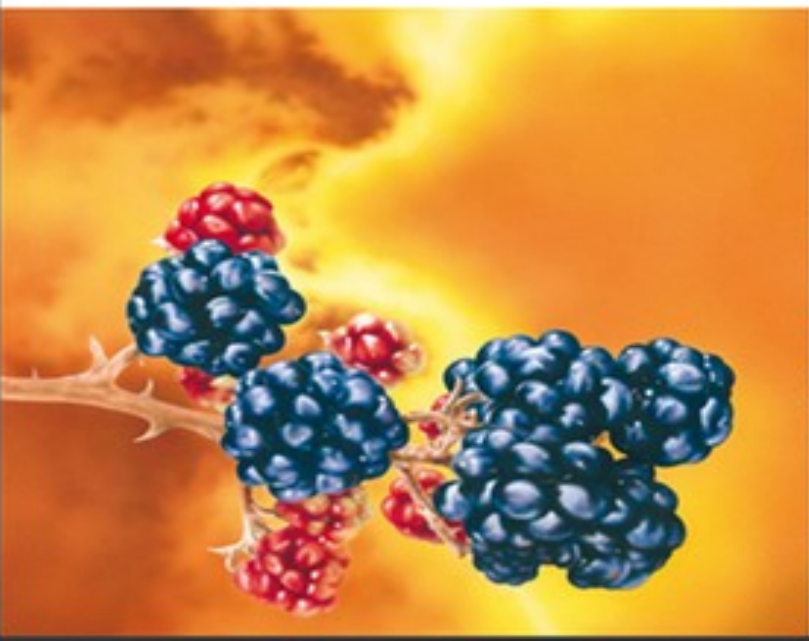




STEPHEN
KING
CZTERY PORY ROKU



STEPHEN KING

CZTERY PORY ROKU

Z angielskiego przełożył
ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

Seria LITERKA



WARSZAWA 2002



Tytuł oryginału:
DIFFERENT SEASONS

Copyright © Stephen King 1982
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2001
Copyright © for the Polish translation by Zbigniew A. Królicki 1998

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz
Poprzednie wydanie książki ukazało się pod tytułem
SKAZANI NA SHAWSHANK

ISBN 83-7359-073-0

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel. /fax (22)-631-4832, (22)-632-9155
e-mail: hurt@olesiejuk.pl
www.olesiejuk.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
fax: (22)-842-9867
adres dla korespondencji:
skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2002
Wydanie III (I w tej edycji)
Druk: OpolGraf S.A., Opole

Spis treści

WIOSNA NADZIEI
Skazani na Shawshank 8

LATO ZEPSUCIA
Zdolny uczeń 98

JESIEŃ NIEWINNOŚCI
Ciało 274

ZIMOWA OPOWIEŚĆ
Metoda oddychania 411

Ważna jest opowieść, nie opowiadający

Paskudne postępy popełniane piekielnie łatwo.

AC/DC

Doniesiono mi o tym pocztą pantoflową.

Norman Whitfield

*Tout s'en va, tout passe, l'eau coule,
et le coeur oublie.*

Flaubert

WIOSNA

NADZIEI

Russowi i Florence Dorrom

SKAZANI NA SHAWSHANK

Sądzę, że w każdym stanowym i federalnym więzieniu Ameryki jest taki facet jak ja - facet, który może wszystko załatwić. Ręcznie skręcane papierosy, kopciuch trawki, jeśli ją lubisz, butelkę brandy, aby uczcić ukończenie szkoły przez syna lub córkę, czy prawie wszystko inne... oczywiście, w granicach rozsądku. Nie zawsze tak było.

Przybyłem do Shawshank, mając zaledwie dwadzieścia lat, i jestem jednym z niewielu członków nielicznej szczęśliwej rodziny przyznających się do tego, co zrobili. Popełniłem morderstwo. Wykupiłem polisę ubezpieczeniową na nazwisko mojej żony, o trzy lata starszej ode mnie, a potem uszkodziłem hamulce chevroleta coupe, który jej ojciec dał nam w prezencie ślubnym. Wszystko poszło tak, jak zaplanowałem. Nie przewidziałem, że zjeżdżając z Castle Hill do miasta, zatrzyma się i zabierze sąsiadkę z niemowlęciem. Hamulce puściły i samochód przeleciał przez krzaki na granicy miasta, nabierając szybkości. Przypadkowi przechodnie powiedzieli, że musiał jechać ponad pięćdziesiąt mil na godzinę, kiedy uderzył w postument posągu ofiar wojny domowej i stanął w płomieniach.

Nie przewidziałem także, że zostanę schwytany, ale tak się stało. Dostałem dożywocie. W stanie Maine nie ma wyroku śmierci, lecz prokurator okręgowy postarał się, żeby skazano mnie za wszystkie trzy śmierci i orzeczono trzy dożywocia, do odsiedzenia jedno za drugim. Na długi, długi czas pozbawiało mnie to szans na zwolnienie warunkowe. Sędzia nazwał mój czyn „ohydną, potworną zbrodnią”, którą w istocie był, ale teraz to już przeszłość. Na pozostałych stronach „Call” wielkie nagłówki ogłaszające wyrok wyglądają trochę zabawnie i staromodnie obok

wiadomości o Hitlerze, Mussolinim i poczynaniach F. D. Roosevelta.

Pytacie, czy się tu zrehabilitowałem? Nawet nie wiem, co to słowo oznacza, przynajmniej w odniesieniu do więźniów i systemu penitencjarnego. Sądzę, że to termin używany przez polityków. Może ma jakieś inne znaczenie i może będę miał okazję je odkryć, ale dopiero w przyszłości... czyli w czymś, o czym więźniowie uczyć się nie myślą. Byłem młody, przystojny i z biednej dzielnicy miasta. Sypiałem ze śliczną, posępną, upartą dziewczyną, która mieszkała w jednym z ładnych starych domów przy Carbine Street. Jej ojciec zgodził się na małżeństwo pod warunkiem, że podejmę pracę w jego firmie optycznej i „zdobędę sobie w niej pozycję”. Przekonałem się, że w rzeczywistości chciał mieć mnie na oku i w zasięgu ręki jak nieposłusznego psa, który nie jest całkiem oswojony i może ugryźć.

W końcu nagromadziło się między nami tyle nienawiści, że zrobiłem to, za co siedzę. Gdybym mógł cofnąć czas, nie popełniłbym tej zbrodni, jednak nie jestem pewien, czy to oznacza, że jestem zrehabilitowany.

W każdym razie, nie zamierzam opowiadać wam o sobie; chcę powiedzieć wam o facecie, który nazywał się Andy Dufresne. Zanim jednak opowiem wam o Andym, muszę wyjaśnić kilka rzeczy o sobie. To nie potrwa długo.

Jak już wspomniałem, od prawie czterdziestu lat jestem tu, w tym cholernym Shawshank, facetem, który wszystko może załatwić. I nie chodzi tu tylko o drobny przemyt dodatkowych papierosów czy gorzały, chociaż te rzeczy zawsze są na czele listy najbardziej pożądanых artykułów. Zorganizowałem tysiące różnych innych rzeczy dla odsiadujących wyroki, niektóre z nich były zupełnie niewinne, lecz trudne do zdobycia w miejscu takim jak to. Był pewien gość, który siedział za zgwałcenie dziewczynki i obnażanie się przed tuzinami innych; załatwiłem mu trzy kawałki różowego marmuru z Vermont, z których wykonał trzy cudowne rzeźby - dziecka, chłopca i brodatego młodzieńca. Nazwał je „Trzy postacie Jezusa” i posążki te stoją teraz w gabinecie człowieka, który był gubernatorem tego stanu.

Albo weźmy nazwisko, które możecie pamiętać, jeśli wychowaliście się na północy Massachusetts - Robert Alan Cote. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku próbował obrabować Pierwszy Przemysłowy Bank w Mechanic Falls i napad zmienił się w krwawą rzeź - sześciu zabitych, w tym dwóch członków bandy i trzech zakładników oraz młody policjant, który w niewłaściwej chwili wychylił głowę i dostał kulę w oko. Cote zbierał monety. Oczywiście, nie mieli zamiaru pozwolić mu trzymać ich w celi, ale z niewielką pomocą jego matki i kierowcy furgonetki z pralni

zdołałem mu je dostarczyć. Powiedziałem mu: „Bobby, musisz być stuknięty, żeby sprowadzać kolekcję monet do tego kamiennego hotelu pełnego złodziei”. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odparł: „Wiem, gdzie je schować. Będą bezpieczne. Nie martw się”. I miał rację. Bobby Cote umarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym na raka mózgu, ale jego monet nigdy nie znaleziono.

Załatwiałem ludziom czekoladki na walentynki; dla szalonego Irlandczyka nazwiskiem O'Malley ściągnąłem trzy z tych zielonych koktajli mlecznych, jakie podają w Dniu Świętego Patryka u McDonalda; zdołałem nawet urządzić nocny pokaz „Głębokiego gardła” i „Diabeł w pannie Jones” dla grupki dwudziestu facetów, którzy złożyli się, żeby wypożyczyć te filmy... chociaż musiałem potem odsiedzieć tydzień w karcerze. To ryzyko, jakie ponosisz, będąc człowiekiem, który może wszystko załatwić.

Ściągałem poradniki i pornografię, zabawne artykuły, takie jak brzęczyki i proszek wywołujący swędzenie, a ponadto nieraz wystarałem się, żeby długoterminowy dostał majteczki żony lub przyjaciółki... a sędzę, że domyślacie się, co faceci tutaj mogą robić w długie noce, kiedy czas ciągnie się jak guma. Nie załatwiam wszystkich tych rzeczy za darmo, a niektóre mają wysoką cenę. Jednak nie robię tego tylko dla pieniędzy; po co mi pieniądze? Nigdy nie będę miał cadillaca ani nie polecę w lutym na dwa tygodnie na Jamajkę. Robię to z tego samego powodu, z jakiego porządny rzeźnik sprzeda wam wyłącznie świeże mięso; mam dobrą opinię, której nie chcę stracić. Odmawiam sprowadzania tylko dwóch rzeczy: broni i twardych narkotyków. Nie zamierzam nikomu pomóc w popełnieniu morderstwa czy samobójstwa. Mam już tyle trupów na sumieniu, że wystarczy mi do końca życia.

Tak, prawdziwy ze mnie Neiman-Marcus. Dlatego gdy Andy Dufresne przyszedł do mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym i zapytał, czy mogę przemycić dla niego Ritę Hayworth, powiedziałem mu, że nie będzie z tym żadnego problemu. I nie było.

Kiedy Andy przybył w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym do Shawshank, miał trzydzieści lat. Był niskim, schludnym młodym mężczyzną o jasnych włosach i małych, zręcznych dłoniach. Nosił okulary w złotych oprawkach. Paznokcie miał zawsze przycięte i czyste. To dziwne, żeby zapamiętać kogoś w ten sposób, ale właśnie te cechy wydawały mi się najbardziej charakterystyczne dla Andy'ego. Wyglądał tak, jakby brakowało mu krawatu. Na wolności był wiceprezesem działu kredytów dużego banku w Portland. Dobra posada dla kogoś tak młodego jak on, zwłaszcza wobec konserwatyizmu większości banków... dziesięciokrotnie większego na terenie Nowej

Anglii. Mieszkańcy nie powierzą nikomu pieniędzy, jeśli nie jest łyсы, kulawy i nieustannie nie podciąga spodni, poprawiając sobie pas przepuklinowy. Andy siedział za zamordowanie żony i jej kochanka.

Jak już chyba mówiłem, każdy więzień jest niewinny. Och, recytują ten tekst w taki sposób, jak ci święci mężowie w telewizji cytują Księgę Objawienia. Są ofiarami sędziów o kamiennych sercach i bez jaj, niekompetentnych polityków, sprzedajnych policjantów lub fatalnego zbiegu okoliczności. Powtarzają ten tekst, lecz na ich twarzach jest wypisane coś innego. Większość więźniów to nędzne kreatury, nie potrafiące żyć z innymi i ze sobą, a ich największym nieszczęściem jest to, że w ogóle się urodzili.

Podczas wszystkich tych lat spędzonych w Shawshank napotkałem mniej niż dziesięciu mężczyzn, którym uwierzyłem, gdy mówili mi, że nie są winni przypisywanych im zbrodni. Jednym z nich był Andy Dufresne, chociaż dopiero z czasem nabrałem przekonania o jego niewinności. Gdybym był sędzią rozpatrującym jego sprawę w Portlandzkim Sądzie Najwyższym podczas tych sześciu burzliwych tygodni na przełomie tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego roku, ja również głosowałbym za skazaniem.

To była paskudna sprawa; jedna z tych smakowitych, ze wszystkimi odpowiednimi elementami. Piękna dziewczyna z towarzystwa (martwa), miejscowy sportowiec (również martwy) i wybitny młody biznesmen (w areszcie). To wszystko, plus wszelkie skandaliczne szczegóły, o jakich mogły napomykać gazety. Wyrok był z góry przesądzony. Proces trwał tak długo tylko dlatego, że prokurator okręgowy zamierzał startować w wyborach do Izby Reprezentantów i chciał, żeby Jasio Publika dobrze zapamiętał jego dziób. To był istny prawniczy cyrk, z widzami ustawiającymi się w kolejce do sali sądowej o czwartej rano mimo minusowych temperatur.

Fakty, na jakich opierało się oskarżenie, a których Andy nigdy nie podważał, wyglądały następująco: miał żonę, Lindę Collins Dufresne, która w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego wyraziła chęć nauczenia się gry w golfa w Falmouth Hills Country Club; lekcje te pobierała przez cztery miesiące; jej instruktorem był zawodowy gracz w golfa z Falmouth Hills, Glenn Quentin; pod koniec sierpnia Andy dowiedział się, że Quentin i jego żona zostali kochankami; Andy i Linda Dufresne gwałtownie pokłócili się po południu dziesiątego września; powodem sprzeczki była jej niewierność.

Zeznał, że Linda przyjęła z zadowoleniem fakt, że wie o jej zdradzie; ukrywanie

się, powiedziała, było przygnębiające. Oznajmiła Andy'emu, iż zamierza postarać się o rozwód w Reno. Andy zapowiedział, że prędzej zobaczy ją w piekle niż w Reno. Wyszła, by spędzić noc w bungalowie, który Quentin wynajmował nieopodal terenów golfowych. Następnego ranka sprzątaczką znalazła ich oboje w łóżku, martwych. Obojgu ktoś wpakował po cztery kule.

Właśnie ten ostatni fakt najsilniej przemawiał przeciwko Andy'emu. Prokurator z politycznymi aspiracjami robił wokół tego wiele szumu w swoim przemówieniu wstępnym i końcowym. Andrew Dufresne, powiedział, nie był rozwścieczonym mężem szukającym gwałtownej zemsty na niewiernej żonie; to, rzekł prokurator, można by zrozumieć, jeśli nie wybaczyć. Jednak oskarżony działał z zimną krwią. „Zważcie tylko! - grzmiał ku ławie przysięgłych. Cztery i cztery! Nie sześć strzałów, lecz osiem! Wystrzelał cały magazynek... a potem spokojnie załadował broń ponownie, żeby znów do nich strzelić!”.

CZTERY DLA NIEGO I CZTERY DLA NIEJ, oznajmił portlandzki „Sun”. Bostoński „Register” nazwał go „perfekcyjnym zabójcą”. Pracownik lombardu w Lewiston zeznał, że sprzedał Andrew Dufresnemu sześciostrzałowy Police Special, kaliber trzydzieści osiem, zaledwie dwa dni przed podwójnym morderstwem. Barman z klubu golfowego twierdził, że Andy przyszedł tam około siódmej wieczorem dziesiątego września, wychylił trzy duże whisky w ciągu dwudziestu minut - a wstając ze stołka, powiedział mu, że teraz idzie do domu Glenna Quentina, a resztę on, barman „przeżyta w gazetach”. Inny świadek, zatrudniony w sklepiku Handy-Pik mniej więcej milę od domu Quentina, oświadczył w sądzie, że Dufresne odwiedził ich za kwadrans dziewiąta tego samego wieczoru. Kupił papierosy, trzy puszki piwa i ściereczki do naczyń. Patolog sądowy stwierdził, że Quentin i żona Dufresnego zostali zabici między jedenastą a drugą w nocy z dziesiątego na jedenastego września. Prowadzący sprawę detektyw z biura prokuratora generalnego zeznał, że niecałe siedemdziesiąt jardów od bungalowu była zatoczka do parkowania, na której jedenastego września zabezpieczono trzy dowody: po pierwsze, dwie puste puszki po piwie Narragansett (z odciskami palców oskarżonego); po drugie, dwanaście niedopałków papierosów (marki Kool, jakie pali oskarżony); a po trzecie, gipsowy odlew opon (dokładnie pasujący do wzoru bieżnika opon samochodu plymuth rocznik czterdzieści siedem, należącego do oskarżonego).

Na sofie w bawialni bungalowu Quentina znaleziono cztery ściereczki do naczyń. Były podziurawione kulami i osmolone od strzałów. Detektyw wyraził

przypuszczenie (mimo gorących sprzeciwów adwokata Andy'ego), że morderca owinął ściereczkami lufę broni, żeby stłumić huk wystrzałów.

Andy Dufresne zeznawał jako świadek obrony i spokojnie, chłodno, beznamytnie przedstawił swoją wersję wydarzeń. Powiedział, że już w ostatnim tygodniu lipca zaczęły docierać do niego niepokojące plotki o jego żonie i Glennie Quentinie. Pod koniec sierpnia zaniepokoił się na tyle, żeby sprawdzić ich zasadność. Pewnego wieczoru, kiedy Linda miała po lekcji golfa udać się na zakupy do Portland, Andy pojechał za nią i Glennem Quentinem do piętrowego domku, który wynajmował instruktor (nieuchronnie nazywanym w gazetach „miłosnym gniazdkiem”). Zaparkował w zatoczce i zaczął czekać, aż Quentin po trzech godzinach odwiózł ją do klubu golfowego, gdzie zostawiła samochód.

- Chce pan powiedzieć sądowi, że śledził pan żonę w pańskim nowiutkim plymoucie? - zapytał prokurator, biorąc go w krzyżowy ogień pytań.

- Na ten wieczór zamieniłem się samochodem ze znajomym odparł Andy i to spokojne stwierdzenie, dowodzące, jak starannie zaplanował śledztwo, nie postawiło go w korzystnym świetle w oczach sądu.

Zwróciwszy znajomemu samochód i odebrawszy swój, pojechał do domu. Linda leżała w łóżku, czytając książkę. Zapytał, jak udał się jej wypad do Portland. Odparła, że było miło, ale nie znalazła niczego, co spodobałoby się jej aż tak, żeby to kupić.

- Wtedy byłem już pewny - rzekł Andy wstrzymującym dech słuchaczom. Mówił tym samym chłodnym, obojętnym tonem, jakim wygłaszał niemal całe swoje oświadczenie.

- W jakim stanie umysłu pozostawał pan przez siedemnaście dni dzielących ten wieczór od nocy, w której pańska żona została zamordowana? - zapytał go jego adwokat.

- Byłem okropnie przygnębiony - odparł spokojnie Andy. Dodał beznamytnie, że zastanawiał się nad samobójstwem i nawet posunął się do tego, że ósmego września kupił w Lewiston rewolwer.

Potem adwokat poprosił go, żeby opowiedział sądowi, co zaszło w noc morderstwa po tym, jak żona opuściła go i pojechała do Glenna Quentina. Andy spełnił to polecenie... i wywarł jeszcze gorsze wrażenie.

Znałem go przez blisko trzydzieści lat i mówię wam, że był najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego spotkałem. To, co dobre, ujawniał powoli. To, co

złe, tłumił w sobie. Jeżeli kiedykolwiek przeżył jakieś załamanie nerwowe, jak nazywał to jeden czy drugi pismak, nigdy tego nie okazał. Był typem człowieka, który decydując się popełnić samobójstwo, nie zostawiłby żadnego listu, ale starannie uporządkowałby wszystkie swoje sprawy. Gdyby płakał na lawie oskarżonych, gdyby głos łamał mu się i zacinał, a nawet gdyby zaczął krzyczeć na prokuratora okręgowego, sądzę, że nie dostałby dożywocia, na jakie go skazano. A jeśli, to wyszedłby warunkowo w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Jednak on zachowywał się w sali sądowej jak automat, swoją postawą sugerując: „Tak było. Wierście lub nie”. Nie uwierzyli.

Powiedział, że tamtej nocy był pijany, że był mniej lub bardziej pijany od dwudziestego czwartego sierpnia, a nie jest człowiekiem, który ma mocną głowę. Oczywiście, już samo to trudno byłoby przelknąć jakimkolwiek sędziemu. Nie wyobrażali sobie, by taki opanowany młody człowiek w eleganckim trzyczęściowym garniturze mógł upijać się do nieprzytomności z powodu jakiegoś żoninego romansiku z małomiasteczkowym instruktorem golfa. Ja w to uwierzyłem, ponieważ miałem okazję obserwować go dłużej niż tych sześciu mężczyzn i sześć kobiet.

Przez cały czas naszej znajomości Andy Dufresne wypijał najwyżej cztery drinki rocznie. Co roku spotykał się ze mną na spacerunku mniej więcej na tydzień przed swoimi urodzinami i dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Za każdym razem zamawiał butelkę Jacka Danielsa. Płacił za nie tak, jak większość skazanych płaci za kupowane artykuły - mizernym wynagrodzeniem, jakie tutaj dostają, oraz odrobiną własnych oszczędności. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku płacili dziesiątka za godzinę. W sześćdziesiątym piątym podnieśli stawkę do dwudziestu pięciu centów. Moja żona na alkohol wynosiła i wynosi dziesięć procent, więc kiedy dodacie ten narzut do ceny butelki dobrej whisky takiej jak Black Jack dowiecie się, iloma godzinami ciężkiej pracy w pralni Andy Dufresne musiał okupić te cztery drinki rocznie.

Rankiem w dniu swoich urodzin, dwudziestego września, pociągał długi łyk, a następnym wieczorem, po zgaszeniu świateł. Nazajutrz oddawał mi prawie pełną butelkę, a ja częstowałem innych. Z drugiej butelki pociągał raz w Boże Narodzenie i ponownie w Nowy Rok. Potem i ona wracała do mnie z instrukcjami, kogo poczęstować. Cztery drinki rocznie - czy tak zachowuje się człowiek mający pociąg do kieliszka? Raczej trudno w to uwierzyć.

Powiedział sądowi, że w nocy dziesiątego września był tak pijany, że pamiętał

tylko oderwane strzępy wydarzeń. Upił się tego popołudnia - „dla dodania sobie odwagi” - zanim rozmówi się z Lindą.

Kiedy odjechała na spotkanie z Quentinem, przypomniał sobie, że chciał stawić im czoło. W drodze do bungalowu Quentina zajechał do klubu golfowego na kilka kolejek. Powiedział, że nie pamięta, aby mówił barmanowi, że „resztę przeczyta w gazetach”, ani w ogóle cokolwiek. Przypomniał sobie, że w Handy-Pik kupił piwo, ale nie ściereczki. „Do czego byłyby mi potrzebne ściereki?” - pytał i jedna z gazet podała, iż trzy panie wchodzące w skład ławy przysięgłych zdrzały.

Później, o wiele później, zastanawiał się przy mnie nad sprzedawcą, który zeznał o tych ściereczkach, i sądzę, że warto tu przytoczyć jego słowa.

- Założmy - rzekł mi kiedyś Andy na spacerunku - że gorączkowo szukając świadka, natknęli się na faceta, który tamtej nocy sprzedał mi piwo. Od tego czasu minęły już trzy dni. Wszystkie szczegóły tej sprawy zostały opisane w gazetach. Może przycisnęli gościa, pięciu lub sześciu gliniarzy, plus tajniak z biura prokuratora i asystent. Pamięć jest podatna na sugestię, Rudy. Mogli zacząć od pytań typu: „Czy on mógł nabyć cztery czy pięć ścierek?”, a potem poszło łatwo. Jeśli wystarczająca liczba ludzi chce, żebyś coś sobie przypomniał, potrafią być bardzo przekonujący.

Zgodziłem się z tym.

- Jednak jeszcze bardziej przekonujący był ktoś inny ciągnął Andy, głośno myśląc. - Uważam za co najmniej prawdopodobne, iż sam się przekonał. To blask sławy. Reporterzy zadający mu pytania, jego zdjęcia w gazetach... a ukoronowaniem wszystkiego rola gwiazdy w sądzie. Nie twierdę, że świadomie zmyślał czy krzywoprzysięgał. Sądzę, że śpiewająco przeszedłby test na wykrywaczu kłamstw albo poprzysiągł na świętej pamięci mamusię, że kupiłem te ściereki. Mimo to... pamięć jest tak cholernie podatna na sugestię. Nawet mój adwokat, który uważał, że co najmniej połowa mojej opowieści jest kłamstwem, nie kupił tej historyjki z ścierekami. Jest zupełnie poroniona. Byłem pijany jak świnia, zbyt schlany, żeby myśleć o wytłumieniu strzałów. Gdybym to zrobił, po prostu pociągnąłbym za spust.

Podjechał do zatoczki i zaparkował. Pił piwo i palił papierosy. Patrzył, jak gasną światła na parterze domku Quentina. Widział, jak zapaliło się światło w pokoju na górze... a piętnaście minut później i ono zgasło. Powiedział, że domyślił się reszty.

- Panie Dufresne, czy wszedł pan wtedy do domu Glenna Quentina i zabił tych dwoje? - zagrzmiął jego adwokat.

- Nie, nie wszedłem - odparł Andy. Zeznał, że około północy zaczął trzeźwieć.

Postanowił wrócić do domu, przespać się i następnego dnia przemyśleć wszystko w bardziej dojrzały sposób. - I wtedy, jadąc do domu, doszedłem do wniosku, że najrozsądniej zrobiłbym, pozwalając jej jechać do Reno i załatwić rozwód.

- Dziękuję, panie Dufresne.

Prokurator podskoczył.

- Rozwiódł się pan z nią najszybciej, jak pan mógł, prawda? Rozwiódł się pan z nią za pomocą rewolweru kalibru trzydzieści osiem owiniętego w ścierki, tak?

- Nie, proszę pana, nie zrobiłem tego - odparł spokojnie Andy.

- A potem zastrzelił pan jej kochanka.

- Nie, proszę pana.

- Chce pan powiedzieć, że kochanka zastrzelił pan najpierw?

- Chcę powiedzieć, że nie zastrzeliłem żadnego z nich.

Wypiłem dwie puszki piwa i wypaliłem ileś papierosów, których niedopałki policja znalazła w zatoczce. Potem pojechałem do domu i poszedłem do łóżka.

- Oświadczył pan sądowi, że między dwudziestym czwartym sierpnia a dziesiątym września miał pan samobójcze myśli.

- Tak, proszę pana.

- Na tyle silne, by kupić rewolwer.

- Tak.

- Czy zmartwiłby się pan, panie Dufresne, gdybym powiedział, że nie wydaje mi się pan typem samobójcy?

- Nie - odparł Andy - bowiem nie sprawia pan na mnie wrażenia specjalnie wrażliwego i bardzo wątpię, czy mając ochotę popełnić samobójstwo, przyszedłbym do pana z moim problemem.

W sali sądowej rozległy się stłumione chichoty, ale ta uwaga nie przysporzyła Andy'emu sympatii sędziów.

- Czy zabrał pan ze sobą tę trzydziestkęósemkę w nocy dziesiątego września?

- Nie; jak już mówiłem...

- Ach tak! - uśmiechnął się sarkastycznie prokurator. Rzucił go pan do rzeki, prawda? Do Royal. Po południu dziewiątego września.

- Tak, proszę pana.

- Dzień przed morderstwem?

- Tak, proszę pana.

- Bardzo wygodne, prawda?

- Ani wygodne, ani niewygodne. To prawda.

- Sądzę, że słyszał pan zeznanie porucznika Minchera?

Mincher dowodził grupą, która przeczesła rzekę w pobliżu mostu Pond Road, z którego Andy rzucił broń. Policja nie znalazła jej.

- Tak, proszę pana. Wie pan, że słyszałem.

- A więc słyszał pan, jak mówił sądowi, że nie znaleźli żadnej broni, chociaż szukali jej trzy dni. To dość wygodne, prawda?

- Wygodne czy nie, pozostaje faktem, że jej nie znaleźli odparł spokojnie Andy.

- Jednak chciałbym przypomnieć zarówno panu, jak i Wysokiemu Sądowi, że ten most leży bardzo blisko ujścia Royal do zatoki Yarmouth. Prąd jest tam silny. Broń mogła zostać zniesiona do zatoki.

- Tak więc nie można dokonać porównania śladów na kulach wyjętych z zakrwawionych ciał pańskiej żony i pana Glenna Quentina a gwintem lufy pańskiego rewolweru. Zgadza się, panie Dufresne?

- Tak.

- To również bardzo dogodne, prawda?

W tym momencie, według relacji prasowych, Andy okazał jedną z niewielu reakcji emocjonalnych, na jakie pozwolił sobie podczas całego sześciotygodniowego procesu. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny, kwaśny uśmiech.

- Ponieważ jestem niewinny zarzucanej mi zbrodni, proszę pana, a ponadto mówię prawdę, twierdząc, że rzuciłem broń do rzeki na dzień przed tym, zanim doszło do zbrodni, wydaje mi się zdecydowanie niedogodne, że nie znaleziono rewolweru.

Prokurator piłował go przez dwa dni. Ponownie przeczytał Andy'emu to, co sprzedawca z Handy-Pik zeznał o ścierkach.

Andy powtórzył, że nie pamięta, aby je kupował, ale przyznał, iż nie pamięta także, że ich nie kupił.

Czy to prawda, że Andy i Linda Dufresne wykupili wspólną polisę ubezpieczeniową na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku? Tak, to prawda. I w razie śmierci żony, czyż Andy nie otrzymałby pięćdziesięciu tysięcy dolarów odszkodowania? Prawda. A czy nieprawdą jest, że udał się do domu Glenna Quentina z zamiarem popełnienia morderstwa, a ponadto, że zamierzał popełnić morderstwo dwukrotne? Nie, to nieprawda. A więc co, jego zdaniem, zaszło, skoro nie znaleziono żadnych śladów rabunku?

- Nie mam pojęcia, proszę pana - odparł spokojnie Andy.

Sprawę oddano do rozpatrzenia sądowi o pierwszej po południu w pewną śnieżną srode. Dwanaścioro sędziów wróciło na salę o trzeciej trzydziści. Woźny wyznał, że wróciliby wcześniej, ale zwlekali, rozkoszując się smacznym pieczonym kurczakiem z restauracji Bentleya - na koszt okręgu. Uznali Andy'ego za winnego i - bracie - gdyby w stanie Maine istniała kara śmierci, zadyndałby, zanim wiosenne krokusy wystawiły swoje łebki ze śniegu.

Prokurator spytał, co jego zdaniem zaszło, a Andy uchylił się od odpowiedzi - jednak miał swoją koncepcję, którą wyciągnąłem z niego pewnej późnej nocy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Zajęło nam siedem lat, żeby przejść od uprzejmych ukłonów do dość zażyłej znajomości - ale nigdy nie czułem się naprawdę zaprzyjaźniony z Andym aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, a wierzcie mi, że byłem jedynym, który kiedykolwiek przestawał z nim bliżej. Jako długoterminowi, od początku do końca siedzieliśmy w tym samym oddziale, chociaż moja cela znajdowała się pół korytarza dalej.

- Co ja myślę? - zaśmiał się bez cienia rozbawienia. Myślę, że tamtej nocy miałem ogromnego pecha. Większego, niż kiedykolwiek mógłbym mieć w tak krótkim czasie. Sądzę, że zrobił to jakiś obcy, który przypadkiem tamtędy przejeżdżał. Może ktoś, kto złapał gumę na tej drodze, kiedy pojechałem do domu. Może włamywacz. Może psychopata. Zabił ich, to wszystko. A ja jestem tutaj.

Tak po prostu. Miał spędzić w Shawshank resztę swego życia - a przynajmniej jego liczącą się część. Pięć lat później zaczął stawać przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, która regularnie jak w zegarku odrzucała jego wnioski, chociaż był wzorowym więźniem. Zwolnienie z Shawshank, jeśli ma się wbić w papierach pieczętkę „morderstwo”, to powolny proces, równie powolny jak erozja skały przez płynącą rzekę. W skład komisji wchodziło siedem osób, dwie więcej niż w większości więzień stanowych, a każda z nich miała tyłek twardszy od kamienia wyjętego ze źródła wody mineralnej. Tych facetów nie można przekupić, nie można zagadać, nie można przebłagać. Jeśli chodzi o taką komisję, to pieniądze nie liczą się i nie ma mocnych. W przypadku Andy'ego w grę wchodziły również inne względy... ale to należy do dalszej części mojej opowieści.

Był pewien dobrze się sprawujący i uprzywilejowany więzień, niejaki Kendricks, który w latach pięćdziesiątych był mi winien sporo forsy i minęły cztery lata, zanim wszystko spłacił. Większość długu oddał w formie informacji - w moim interesie jesteś martwy, jeżeli nie znajdziesz sposobu, żeby trzymać ucho przy ziemi.

Ten Kendricks, na przykład, miał dostęp do akt, do których ja, obsługując sztancę w więziennej wytwórni tablic, nigdy nie miałbym wglądu.

Kendricks powiedział mi, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym komisja głosowała siedem do zera przeciw warunkowemu zwolnieniu Andy'ego Dufresnego, sześć do jednego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, znów siedem do zera w pięćdziesiątym dziewiątym i pięć do dwóch w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Nie wiem, jak było później, ale wiem, że po szesnastu latach nadal siedział w czternastej celi piątego oddziału. Miał już pięćdziesiąt siedem lat. Zapewne w przyływie dobrego serca wypuściliby go około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Dają ci dożywocie i zabierają całe życie - a przynajmniej całą jego liczącą się część. Może kiedyś cię wypuszczą, ale... no, posłuchajcie: Znałem takiego gościa, nazywał się Sherwood Bolton. Trzymał w celi gołębia od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to go wypuścili. Nie był żadnym Ptasznikiem z Alcatraz; po prostu miał tego gołębia. Nazywał go Jake. Wypuścił go na wolność dzień przed tym, zanim on, Sherwood, miał wyjść; gołąb poleciał tak pięknie, jak tylko można sobie życzyć. Jednak mniej więcej tydzień po tym jak Sherwood Bolton opuścił naszą szczęśliwą rodzinę, jeden z moich przyjaciół zawołał mnie do zachodniego kąta spacerniaka, gdzie zwykł przesiadywać Sherwood. Ptak leżał tam jak bardzo mała kupka przybrudzonej pościeli. Wyglądał na zagłodzonego. Mój przyjaciel zapytał: „Czy to nie Jake, Rudy?”. Miał rację. Ten gołąb był martwy jak krowie łajno.

Pamiętam, jak Andy Dufresne po raz pierwszy zwrócił się do mnie o coś; pamiętam to tak, jakby to było wczoraj. Jednak wtedy nie chciał Rity Hayworth. O nią poprosił później. Tego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku chodziło mu o coś innego.

Większość moich interesów załatwiam na spacerniaku. Nasz dziedziniec jest wielki, o wiele większy od innych. Ma kształt kwadratu o boku dziewięćdziesięciu jardów. Od północy zamyka go zewnętrzny mur z wieżyczkami na obu końcach. Strażnicy są wyposażeni w lornetki i broń. W tym północnym murze znajduje się główna brama. Po południowej stronie ciągną się rampy wyladowcze dla ciężarówek. Jest ich pięć. W dni robocze Shawshank to ruchliwe miejsce - wozy dostawcze wjeżdżają i wyjeżdżają. Mamy tu wytwórnię tablic rejestracyjnych i wielką przemysłową pralnię, która obsługuje nasze więzienie, a ponadto szpital Kittery oraz

Dom Starców w Eliot. Są tu także duże warsztaty samochodowe, w których mechanicy naprawiają pojazdy więzienne, stanowe i municypalne - nie wspominając o prywatnych autach strażników i personelu więzienia... a także, nieraz, członków komisji zwolnień warunkowych.

Wschodni bok dziedzińca to gruby kamienny mur z mnóstwem wąskich okienek. Po jego drugiej stronie znajduje się oddział piąty. Od zachodu ulokowano administrację oraz izbę chorych. Shawshank nigdy nie było tak zatłoczone jak większość więzień, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym było wypełnione zaledwie w dwóch trzecich, ale na dziedzińcu zawsze przebywało od osiemdziesięciu do stu dwudziestu więźniów grających w piłkę nożną lub w koszykówkę, opowiadających dowcipy, ziewających, ubijających interesy. W niedzielę spaceriak był jeszcze bardziej zatłoczony; przypominałby miejsce pikniku... gdyby były z nami kobiety.

Andy po raz pierwszy przyszedł do mnie w niedzielę. Właśnie skończyłem rozmawiać o radiu z Elmore'em Armitage'em, kumplem, który często oddawał mi przysługi, kiedy stanął obok mnie Andy. Oczywiście, wiedziałem, kim jest; był uważany za snoba i zimną rybę. Ludzie przepowiadali, że wpadnie w kłopoty. Jednym z mówiących tak był Bogs Diamond, z którym lepiej było nie mieć nic wspólnego. Andy nie miał współtowarzysza w celi i słyszałem, że sam tego chciał, chociaż już zaczęto gadać, że uważa się za lepszego od innych. Jednak ja nie musiałem słuchać plotek o kimś, kogo mogłem ocenić osobiście.

- Cześć - powiedział. - Jestem Andy Dufresne.

Wyciągnął rękę, a ja uściśnąłem ją. Nie należał do ludzi tracących czas na cczą gadanie; od razu przeszedł do rzeczy.

- O ile wiem, jesteś człowiekiem, który może załatwić niemal wszystko.

Przyznałem, że od czasu do czasu mogę postarać się o coś.

- Jak to robisz? - zapytał Andy.

- Czasem - powiedziałem - coś po prostu wpada mi w ręce. Nie mogę tego wyjaśnić. To chyba dlatego, że jestem Irlandczykiem.

Uśmiechnął się.

- Zastanawiałem się, czy mógłbyś postarać się dla mnie o młotek skalny?

- Co to takiego i do czego ci on potrzebny?

Andy spojrzał ze zdziwieniem.

- Czy zorganizowanie jakiejś rzeczy uzależniasz od poznania jej zastosowania?

Słyszając to, zrozumiałem, dlaczego zyskał reputację snoba, faceta lubiącego się wywyższać - ale w tym pytaniu wyczułem odrobinę humoru.

- Ujmę to tak - odparłem. - Gdybyś potrzebował szczoteczki do zębów, nie zadawałbym pytań. Po prostu podałem cenę. Widzisz, szczoteczka nie jest śmiercionośnym narzędziem.

- A ty masz poważne obiekcje wobec śmiercionośnych narzędzi?

- Właśnie.

Stara, połatana piłka baseballowa poleciała w naszym kierunku, a on odwrócił się zwinnie jak kot i złapał ją w powietrzu. Nawet Frank Malzone byłby dumny z takiego chwytu. Andy odrzucił piłkę z powrotem - szybkim i pozornie niedbałym ruchem ręki, a mimo to silnie i celnie. Widziałem, że wielu zerkało na nas ukradkiem, kiedy omawialiśmy interes. Zapewne strażnicy na wieżach również nas obserwowali. Mało mnie to wzruszało; w każdym więzieniu są więźniowie ważniejsi od innych, czterech czy pięciu w mniejszym, dwa lub trzy tuziny w większym zakładzie karnym. W Shawshank byłem jednym z tych, którzy się liczą, i to, co myślałem o Andym Dufresnem mogło mieć ogromny wpływ na to, jak mu tutaj będzie. On z pewnością o tym wiedział, ale nie płaszczył się ani nie podlizywał, za co poczułem do niego szacunek.

- W porządku. Powiem ci, co to takiego i do czego mi potrzebne. Młotek skalny wygląda jak miniaturowy kilof... mniej więcej tej wielkości.

Rozstawił dłonie na długość stopy i wtedy zobaczyłem, jak dobrze ma utrzymane paznokcie.

- Na jednym końcu ma mały ostry dziób, a na drugim płaski, tępy obuch. Chcę go mieć, ponieważ lubię skały.

- Skały - powtórzyłem.

- Przykucnij na moment - rzekł.

Spełniłem jego życzenie. Przysiedliśmy w kucki jak Indianie.

Andy nabrał garść pyłu z dziedzińca i zaczął przesiewać go między szczupłymi palcami, aż piasek przesypał się chmurką drobin. Na dłoniach pozostało mu kilka kamyków, jeden czy dwa błyszczące, pozostałe matowe i zwyczajne. Jednym z matowych był okruch kwarcu, który pozostaje matowy, póki go nie wytrzesz. Wtedy nabiera ładnego, mlecznego połysku. Andy wyczyścił go, a potem rzucił mi. Złapałem kamyk i nazwałem go.

- Kwarc, oczywiście - rzekł. - A spójrz tu. Mika. Łupek. Granit. To kawałek

zwietrzałego wapienia, pochodzący ze skały, w której wykuli to miejsce.

Odrzucił kamyki i otrzepał dłonie.

- Jestem geologiem amatorem. A przynajmniej... byłem nim. W dawnym życiu. Chciałbym znów się nim stać, choćby w skromnym zakresie.

- Niedzielne ekspedycje po spacerniaku? - zapytałem, wstając. Pomysł był głupi, a jednak... na widok tego kawałeczka kwarcu drgnęło mi serce. Nie wiem dlaczego; pewnie jakieś skojarzenie ze światem zewnętrznym. Na dziedzińcu więziennym nie myśli się o takich rzeczach. Kwarc to coś, co znajdujesz w małym, wartkim strumyku.

- Lepsze już takie niedzielne ekspedycje od żadnych powiedział Andy.

- Mógłbyś wbić taki młotek w czyjąś czaszkę - zauważyłem.

- Nie mam tu wrogów - rzekł spokojnie.

- Nie? - uśmiechnąłem się. - Zaczekaj trochę.

- Jeśli będę miał jakieś kłopoty, poradzę sobie bez pomocy młotka.

- Może zamierzasz uciec? Przekopać się pod murem? Bo jeśli tak...

Uśmiechnął się uprzejmie. Kiedy trzy tygodnie później zobaczyłem ten młotek skalny, zrozumiałem dlaczego.

- Wiesz, że jeśli ktoś go zobaczy, zabiorą ci go. Odebraliby ci łyżkę, gdyby ją zauważyli. Co zamierzasz robić, siąść na środku podwórka i zacząć walić młotkiem?

- Och, sądzę, że stać mnie na coś lepszego.

Skinąłem głową. To w końcu nie moja sprawa. Facet chce coś mieć. Czy potrafi to zachować, czy nie - to już jego problem.

- Ile może kosztować takie coś? - zapytałem. Zaczął mi się podobać jego spokojny, wyciszony sposób bycia. Po dziesięciu latach kicia możesz mieć naprawdę dość krzykaczy, pyszałków i głupoli. Tak, chyba można powiedzieć, że od razu polubiłem Andy'ego.

- Osiem dolarów w każdym sklepie mineralogicznym rzekł - ale domyślam się, że w takim interesie jak twój musisz pobierać marżę...

- Marża zwykle wynosi dziesięć procent, ale muszę ją zwiększyć w przypadku niebezpiecznych narzędzi. Takie coś jak to, o czym mówisz, wymaga lepszego smarowania, żeby wprawić koła w ruch. Powiedzmy dziesięć dolarów.

- Niech będzie dziesięć.

Spojrzałem na niego z uśmiechem.

- A masz dziesięć dolarów?

- Mam - odparł spokojnie.

Dużo później odkryłem, że miał ponad pięćset. Przemycił je.

Podczas rewizji po przybyciu do tego hotelu jeden z klawiszy ma obowiązek pochylić się i zajrzeć ci w tyłek - ale to rozległe miejsce, mówiąc oględnie, więc naprawdę zdeterminowany człowiek może schować tam różne rzeczy - na tyle dobrze, aby nie zostały znalezione, o ile klawisz, który przypadł ci w udziale, nie ma ochoty włożyć gumowej rękawicy i poszperać głębiej.

- Doskonale - powiedziałem. - Pewnie wiesz, czego oczekuję, jeśli złapią cię z tym, co ci załatwię.

- Chyba tak - odparł i widząc błysk w jego szarych oczach, zrozumiałem, że dokładnie wiedział, co zamierzam powiedzieć.

Dostrzegłem w nich przebłysk typowego dlań, ironicznego poczucia humoru.

- Jeśli cię nakryją, powiesz, że znalazłeś. To wszystko i tylko tyle. Wsadzą cię do karceru na trzy czy cztery tygodnie... a ponadto, oczywiście, stracisz swoją zabawkę i wpiszą ci naganę do akt. Jeżeli podasz im moje nazwisko, już nigdy nie zrobimy żadnego interesu. Nawet gdyby chodziło o parę sznurówek czy paczkę dropsów. Ponadto napuszczę paru koleśków, żeby spuścili ci manto. Nie lubię przemocy, ale rozumiesz moją sytuację. Nie mogę dopuścić, żeby uważano, że nie potrafię sobie radzić. To by mnie wykończyło.

- Tak. Pewnie tak. Rozumiem i nie musisz się martwić.

- Nigdy się nie martwię - odparłem. - W takim miejscu jak to nie ma z tego żadnych korzyści.

Kiwnął głową i odszedł. Trzy dni później przeszedł obok mnie na spacerunku, kiedy wypuścili nas z pralni na poranną przerwę. Nie odezwał się ani nawet na mnie nie spojrział, ale ze zręcznością karcianego magika wcisnął mi w rękę portret Aleksandra Hamiltona. Szybko się uczył. Załatwiłem mu ten młotek. Przez jedną noc miałem to narzędzie w mojej celi i było dokładnie takie, jak je opisał. Absolutnie nie nadawało się do robienia podkopu (doszedłem do wniosku, że za pomocą czegoś takiego człowiek potrzebowałby około sześciuset lat, aby przekopać się pod tymi murami), ale wciąż miałem jakieś obiekcje. Gdyby tak wbić komuś ten młotek w głowę... facet na pewno już nigdy nie słuchałby audycji rockowych. Andy już miał kłopoty z siostrami. Liczyłem na to, że nie zechce wypróbować tego młotka na nich.

W końcu zawierzyłem własnej ocenie. Wczesnym rankiem następnego dnia, dwadzieścia minut przed pobudką, podałem młotek skalny i paczkę cameli staremu

Erniemu, porządkowemu, który zamiatał korytarze oddziału piątego do czasu, aż wyszedł na wolność w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Bez słowa schował go za pazuchę i ujrzałem ten młotek dopiero dziewiętnaście lat później, kiedy był już prawie zupełnie starty.

W następną niedzielę Andy znów podszedł do mnie na spacerunku. Mówię wam, nie wyglądał najlepiej. Dolną wargę miał spuchniętą tak, że przypominała parówkę, prawe oko podbite i paskudną szramę na policzku. Miał kłopoty z siostrami, oczywiście, ale nigdy o tym nie wspominał.

- Dzięki za narzędzie - powiedział i odszedł.

Obserwowałem go z zaciekawieniem. Przeszedł kilka kroków, zobaczył coś w kurzu, pochylił się i podniósł. Kawałek skały. Więzienne ubrania, oprócz kombinezonów noszonych przez mechaników w warsztatach, nie mają kieszeni. Jednak można sobie z tym poradzić. Kamyk zniknął w rękawie Andy'ego i nie pojawił się ponownie. Podziwiałem to... i podziwiałem jego. Mimo problemów, jakie miał, robił swoje. Tysiące ludzi nie potrafi, nie chce lub nie może tego robić, a wielu z nich nawet nie siedzi w więzieniu. Ponadto zauważyłem, że chociaż jego twarz wyglądała jak po zderzeniu z ciężarówką, dłonie miał nadal czyste i zadbane, paznokcie przycięte.

Przez następne sześć miesięcy rzadko go widywałem; Andy większość tego czasu przesiedział w karczerze.

Kilka słów o siostrach.

W wielu zakładach nazywa się ich bykami-pedziami albo zuziami spod celi - ostatnio modne stało się określenie „zabójcze królowny”. W Shawshank zawsze nazywano ich siostrami. Nie wiem dlaczego, ale sądzę, że oprócz nazwy nie różnili się niczym od innych.

Fakt, że za murami więzień odchodzi ciężkie dupczenie w dzisiejszych czasach nikogo nie dziwi - może oprócz paru nowicjuszy, którzy na swe nieszczęście są młodzi, szczupli, przystojni i niedoświadczeni - ale homoseksualizm, tak jak zwyczajny seks, ma setki różnych postaci i odmian. Są tacy, którzy nie potrafią obyć się bez seksu i zadają się z innymi mężczyznami, żeby nie oszaleć. Zazwyczaj dochodzi do swego rodzaju umowy między dwoma mężczyznami, którzy dotąd byli heteroseksualni, chociaż czasami zastanawiałem się, czy potem, po powrocie do żon i kochanek, będą tak heteroseksualni, jak sądzili.

Są także tacy, którzy „odmienili się” w więzieniu. Obecnie mówi się o nich, że „stali się gejami” albo „wyszli z ukrycia”. Najczęściej (ale nie zawsze) grają rolę kobiet i o ich względy toczy się ostra rywalizacja.

I są także siostry.

Zazwyczaj należą do długoterminowych, odsiadujących spore wyroki za poważne przestępstwa. Ich ofiarą padają młodzi, słabi i niedoświadczeni... albo, jak w przypadku Andy'ego Dufresnego, wyglądający na słabych. Ich terenem łowieckim są prysznice, ciasne przejścia za maszynami pralniczymi, czasem izba chorych. Niejeden raz do gwałtu doszło w niewielkim magazynku za aulą. Najczęściej siostry biorą siłą to, co mogłyby dostać za darmo, gdyby tylko chciały; „odmienieni” zawsze zdają się mieć „słabość” do tej czy innej siostry jak nastolatki do Sinatry, Presleya czy Redforda. Cała zabawa jednak w mniemaniu siostr polega na tym, żeby wziąć to siłą... i pewnie zawsze tak będzie.

Andy był niewysoki i przystojny, odznaczał się także spokojną pewnością siebie, za którą go podziwiałem. Siostry miały oko na niego, od kiedy tylko znalazł się za kratami. Gdybym opowiadał bajkę, powiedziałbym, że Andy walczył zaciekle, aż zostawiono go w spokoju. Chciałbym to powiedzieć, ale nie mogę. Więzienie nie ma nic wspólnego z bajką, jest aż nazbyt realne.

Po raz pierwszy dopadli go pod prysznicem niecałe trzy dni po tym, jak dołączył do naszej szczęśliwej rodziny. O ile wiem, wtedy skończyło się na poklepywaniu i łaskotaniu. Próbują ocenić twoje siły, zanim naprawdę zaatakują, jak szakale sprawdzające, czy ofiara jest tak słaba i bezbronna, jak wygląda.

Andy rozkwaśił wargę wielkiej, ponurej siostrze - niejakiemu Bogsowi Diamondowi, który parę lat później na zawsze zniknął mi z oczu. Strażnik interweniował na czas, ale Bogs obiecał, że dorwie Andy'ego - i zrobił to.

Do drugiego razu doszło za maszynami w pralni. Przez całe lata w tym długim, brudnym i ciasnym przejściu działy się różne rzeczy; strażnicy wiedzieli o tym i przymykali oko. To miejsce było mroczne i zastawione workami z wybielaczem i proszkiem do prania, a także beczkami z katalizatorem Hexlite nieszkodliwym jak sól kuchenna, o ile miałeś suche ręce, ale żrącym jak kwas do akumulatorów, jeśli dotknął mokrej skóry. Strażnicy nie lubili tam wchodzić. Nie ma tam pola do manewru, a pierwszą rzeczą, jakiej uczą się, to żeby nigdy nie dać się zaskoczyć skazańcom w miejscu, z którego nie można się wycofać.

Tego dnia nie było tam Bogs, ale Henley Backus, który od tysiąc dziewięćset

dwudziestego drugiego roku pełnił funkcję brygadzysty, powiedział mi, że zastąpili go czterej kolesie. Andy przez jakiś czas powstrzymywał ich garścią hexlite, grożąc, że sypnie im go w oczy, jeśli podejną bliżej, ale kiedy próbował się cofnąć, potknął się o jeden z tych wielkich, czteropojemnikowych washexów. To wystarczyło. Dopadli go.

Sądzę, że wyrażenie „gwałt zbiorowy” najlepiej oddaje to, co uczynili. Położyli go na obudowie silnika i jeden z nich przyciskał mu wkrętak do skroni, podczas gdy pozostali trzej robili swoje. Taki gwałt powoduje obrażenia, ale niewielkie... Pytacie, czy wiem o tym z doświadczenia? - chciałbym, żeby tak nie było. Przez jakiś czas krwawisz. Jeżeli nie chcesz, żeby jakiś błazen zapytał, czy właśnie zaczął ci się okres, zwijasz trochę papieru toaletowego i nosisz go w spodniach, aż przestaniesz krwawić. Upływ krwi naprawdę przypomina menstruację trwa dwa, może trzy dni. Potem ustaje. Żadnych obrażeń, o ile nie zrobili ci czegoś jeszcze gorszego; żadnych ran - ale gwałt to gwałt i w końcu musisz spojrzeć na swoją twarz w lustrze i zdecydować, co dalej.

Andy przeszedł przez to sam, tak jak w tym czasie przechodził przez wszystko. Musiał dojść do takich samych wniosków co inni, a więc, że z siostrami można sobie poradzić tylko na dwa sposoby: walczyć z nimi i ulegać albo tylko ulegać.

Postanowił walczyć. Kiedy Bogs i jego dwaj kolesie napadli na niego mniej więcej tydzień po incydencie w pralni („Słyszałem, że się poddałeś” - powiedział Bogs, według Erniego, który przypadkiem był w pobliżu), Andy rzucił się na nich.

Złamał nos niejakiemu Roosterowi MacBride'owi, opasłemu farmerowi siedzącemu za pobicie pasierbicy na śmierć. Z przyjemnością dodam, że Rooster umarł w więzieniu.

Wzięli go, wszyscy trzej. Kiedy było po wszystkim, Rooster i jeszcze jeden - mógł to być Pete Verness, ale nie jestem całkiem pewien - rzucili Andy'ego na kolana. Bogs Diamond stanął przed nim. W tych dniach miał brzytwę o rękojeści z macicy perłowej, po obu stronach której były wygrawerowane słowa „Diamond Pearl”. Rozłożył ostrze i powiedział:

- Teraz otworzę rozporek, człowieku, a ty połkniesz to, co ci dam. A kiedy połkniesz moje, zajmiesz się Roosterem. Zdaje się, że złamałeś mu nos i musisz za to zapłacić.

Na co Andy odparł:

- Stracisz wszystko, co włożysz mi do ust.

Ernie opowiadał, że Bogs popatrzył na Andy'ego jak na wariata.

- Nie - rzekł do niego powoli, jak do nierozgarniętego dziecka. - Nie zrozumiałeś. Jeśli zrobisz coś takiego, to wepchnę ci całe osiem cali tego ostrza w ucho. Kapujesz?

- Zrozumiałem, co powiedziałaś. To ty nie rozumiesz. Odgryzę to, co mi włożył w usta. Pewnie możesz wepchnąć mi tę brzytwę w mózg, ale powinieneś wiedzieć, że takie gwałtowne uszkodzenie mózgu spowoduje, że ofiara jednocześnie odda mocz, kał... i zaciśnie zęby.

Spojrzał na Bogs z tym swoim uśmiechem, mówił stary Ernie, jakby ci trzej omawiali z nim kursy akcji, a nie poniewierali nim jak śmieciem; jakby miał na sobie jeden z tych trzyczęściowych garniturów, a nie klęczał na brudnej podłodze ze spodniami spuszczoneymi do kostek i zakrwawionymi udami.

- Prawdę mówiąc - ciągnął - o ile wiem, ten skurcz jest czasem tak silny, że trzeba rozwierać szczęki ofiary łomem.

Bogs niczego nie włożył Andy'emu w usta tej nocy pod koniec lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego, tak samo jak Rooster MacBride i - o ile wiem - nigdy nie zrobił tego nikt inny. Zamiast tego we trzech ciężko pobili Andy'ego i wszyscy czterej odsiedzieli swoje w karczerze. Andy i Rooster MacBride najpierw wylądowali w izbie chorych.

Ile razy ta dobrana paczka napastowała Andy'ego? Nie wiem. Myślę, że Rooster szybko stracił zapal - miesiąc chodzenia z rurkami w nosie może obrzydzić wszystko - a Bogs Diamond też odpuścił tego lata.

To było dość dziwne. Pewnego ranka na początku czerwca, kiedy nie pojawił się na porannym apelu, znaleziono go okropnie pobitego w celi. Nie chciał powiedzieć, kto to zrobił ani jak go dopadli, ale prowadząc mój interes, wiem, że przekupni klawisze mogą zrobić prawie wszystko - może oprócz przemycenia broni dla skazańca. Ich pensje nie były wysokie wtedy i nie są teraz. A w tamtych czasach nie było elektronicznych zamków, kamer telewizyjnych ani głównych włączników kontrolujących całe oddziały więzienne. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku do każdego bloku był oddzielny klucz. Bardzo łatwo było przekupić strażnika, żeby wpuścił kogoś może nawet dwóch czy trzech - na oddział, na przykład do celi Diamonda.

Taka przysługa kosztowałaby mnóstwo forsy, oczywiście nie według zwykłych standardów, nie. Ekonomia więzienna operuje znacznie mniejszymi kwotami. Kiedy posiedzisz tu jakiś czas, dolarowy banknot w ręku jest jak dwudziestka na zewnątrz.

Domyślałam się, że załatwienie Boga kosztowało kogoś sporą garść drobnych - powiedzmy piętnaście zielonych dla klawisza i po dwa lub trzy dla każdego z silnorękich.

Nie twierdzę, że zrobił to Andy Dufresne, ale wiem, że przemycił do więzienia pięćset dolarów. W normalnym świecie pracował w banku i lepiej niż my wszyscy rozumiał, jaką władzę daje pieniądz.

I wiem jedno: po tym pobiciu - trzy złamane żebra, krwiak oka, przetrącony krzyż i wybite biodro - Bogs Diamond zostawił Andy'ego w spokoju. Prawdę mówiąc, przestał niepokoić kogokolwiek. Stał się łagodny jak letni zefirek, poświstujący i niegroźny. Można rzec, że przemienił się w „słabą siostrę”.

Taki był koniec Boga Diamonda, człowieka, który mógł w końcu zabić Andy'ego, gdyby ten nie podjął odpowiednich kroków, żeby temu zapobiec (o ile rzeczywiście to on je podjął). Nie był to jednak koniec kłopotów, jakie Andy miał z siostrami. Po krótkiej przerwie wszystko zaczęło się od nowa, chociaż już nie tak gwałtownie i często. Szakale to tchórzliwe zwierzęta, a nie brakowało łatwiejszego łupu od Andy'ego.

Pamiętam, że zawsze z nimi walczył. Wiedział, jak sędzę, że jeśli choć raz poddasz się im, znacznie trudniej będzie ci oprzeć się następnym razem. Tak więc przez jakiś czas Andy wciąż chodził z sińcami na twarzy i jeszcze sześć czy osiem miesięcy po pobiciu Diamonda złamano mu dwa palce. Ach tak a gdzieś pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku wylądował w izbie chorych ze złamaną kością policzkową prawdopodobnie w wyniku uderzenia metalową rurką owiniętą we flanelę. Zawsze stawiał opór i w rezultacie siedział w karcerze. Nie sędzę jednak, żeby samotność dokuczała Andy'emu tak jak niektórym ludziom. Dobrze czuł się sam ze sobą.

Przyzwyczał się odpierać sporadyczne ataki sióstr, które potem, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, prawie zupełnie ustały. We właściwym czasie opowiem i tę część jego historii.

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego Andy zagadnął mnie pewnego ranka na spacerunku, pytając, czy mógłbym załatwić mu pół tuzina płacht polerskich.

- Co to takiego, do diabła? - zapytałem.

Wyjaśnił mi, że tak nazywają je zbieracze kamieni; szmaty do polerowania, nie

większe od ręczniczka. Z grubego materiału - miały gładką i szorstką stronę: gładka była jak drobnoziarnisty papier ścierny, szorstka prawie tak ostra jak stalowe wióry (których Andy trzymał w celi całe pudełko, chociaż nie dostał ich ode mnie - sędzę, że zwinął je z więziennej pralni).

Powiedziałem mu, że chyba możemy ubić interes, i w końcu zostały zakupione w tym samym sklepie mineralogicznym, z którego pochodził młotek skalny. Tym razem policzyłem Andy'emu zwyczajowe dziesięć procent i ani grosza więcej. Nie widziałem niczego śmiercionośnego, a nawet niebezpiecznego w tuzinie grubych szmat o rozmiarach siedem cali na siedem. Płachty polerskie, rzeczywiście.

Mniej więcej pięć miesięcy później Andy zapytał, czy mógłbym załatwić mu Ritę Hayworth. Rozmowa miała miejsce w auli, w czasie filmu. W dzisiejszych czasach seanse filmowe odbywają się raz czy dwa razy na tydzień, ale wtedy były wydarzeniem miesiąca. Zazwyczaj pokazywano nam filmy z głębokim przesłaniem i ten, zatytułowany „Stracony weekend”, nie stanowił wyjątku. Głosił, że pijaństwo to niebezpieczny nałóg. Taki morał mógł naprawdę przynieść nam pociechę.

Andy manewrował tak, żeby usiąść obok mnie i w połowie filmu nachylił się, pytając, czy mógłbym mu załatwić Ritę Hayworth. Prawdę mówiąc, rozśmieszył mnie. Zwykle chłodny, opanowany i pozbierany, tego wieczoru był niespokojny, prawie zmieszany, jakby prosił mnie o konia trojańskiego albo jeden z tych wyścielonych owczą skórą przyrządów, które mają „zwiększyć intensywność twoich doznań”, jak głoszą reklamy. Wyglądał na podnieconego, jak człowiek na granicy wybuchu.

- Mogę to załatwić - odparłem. - Nie ma obawy, uspokój się. Chcesz dużą czy małą?

W tym czasie Rita należała do moich ulubienic (kilka lat wcześniej była nią Betty Grable) i występowała w dwóch rozmiarach. Za dolca dostawałeś małą Ritę. Za dwa pięćdziesiąt mogłeś mieć dużą Ritę - pełne cztery stopy kobiecości.

- Dużą - odparł, nie patrząc na mnie. Mówię wam, tamtego wieczoru wyglądał jak nawiedzony. Czerwienił się niczym dzieciak próbujący wejść do nocnego klubu na prawo jazdy starszego brata. - Na pewno możesz to zrobić?

- Spokojnie, jasne, że mogę.

Widownia klaskała i wyła, gdy pluskwy wylazły ze ścian, żeby obleźć Raya Millanda, cierpiącego na paskudne delirium tremens.

- Jak szybko?

- Tydzień. Może mniej.

- Dobrze.

Wyglądał na rozczarowanego, jakby miał nadzieję, że od razu wyjmę ją z kieszeni.

- Ile?

Podąłem mu cenę bez narzutu. Mogłem sobie pozwolić na to, żeby załatwić mu ją po kosztach własnych; przy zakupie młotka i ścierek okazał się dobrym klientem. Co więcej, był dobrym chłopcem - kiedy miał kłopoty z Bogsem, Roosterem i resztą, niejedną noc zastanawiałem się, ile jeszcze wytrzyma, zanim użyje tego czekano-młotka, by rozwalić któremuś łeb.

Plakaty to spora część mojego interesu, nieco mniejsza od gorzały i papierosów, a zwykle trochę większa od trawki. W latach sześćdziesiątych zapotrzebowanie się mocno zwiększyło, bo sporo ludzi chciało powiesić na ścianie Jimiego Hendrixa, Boba Dylana albo zdjęcie z filmu „Easy Rider”. Jednak najlepiej szły dziewczyny; jedna pin-up girl po drugiej.

Kilka dni po mojej rozmowie z Andym kierowca furgonetki pralniczej, z którym wówczas robiłem interesy, dostarczył mi ponad sześćdziesiąt plakatów, przeważnie Rity Hayworth. Może nawet pamiętacie ten obrazek; ja tak. Rita jest ubrana powiedzmy - w kostium kąpielowy, jedną rękę ma za głowę, przymknięte oczy, rozchylone wargi. Napis głosił, że to Rita Hayworth, lecz równie dobrze mógł brzmieć: „Napalona baba”.

Administracja więzienia zdaje sobie sprawę z istnienia czarnego rynku. To pewne. Prawdopodobnie wiedzą o moich interesach tyle samo co ja sam. Godzą się z tym, ponieważ rozumieją, że więzienie jest jak wielki szybkar, który musi mieć wentyl odprowadzający parę. Od czasu do czasu robią nalot i w ciągu tych lat raz czy dwa siedziałem w karczerze, ale przymykają oczy na takie rzeczy jak plakaty. A kiedy w czyjejs celi pojawia się duża Rita Hayworth, przyjmują, że facet dostał ją w liście od przyjaciela lub krewnego. Oczywiście, wszystkie przesyłki od przyjaciół i krewnych są otwierane, a ich zawartość spisywana, ale komu chciałoby się szukać w tych spisach czegoś tak niewinnego jak plakat Rity Hayworth czy Avy Gardner? Będąc pod presją, uczysz się żyć i dawać pożyć innym, inaczej ktoś zrobi ci szeroki uśmiech tuż nad jabłkiem Adama. Musisz iść na ustępstwa.

I znowu Ernie przeniósł plakat z mojej celi numer sześć do czternastki Andy'ego. A potem wrócił z notatką, skreśloną starannym pismem: „Dzięki”.

Trochę później, gdy wyprowadzali nas na poranny posiłek, zjrzałem do jego celi i zobaczyłem nad jego pryczą Ritę w całej jej obfitej chwale: z ręką za głową, przymkniętymi oczami i rozchyłonymi, błyszczącymi wargami. Wisiała nad jego pryczą, z której mógł patrzeć na nią nocami, po zgaszeniu świateł, w blasku sodowych lamp na dziedzińcu.

W jasnym rannym słońcu na jej twarzy pojawiały się czarne krechy - cień krat w maleńkim okienku jego celi.

Teraz opowiem wam o tym, co zdarzyło się w połowie maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, a co ostatecznie zakończyło trzyletnie potyczki Andy'ego z siostrami. W wyniku tego incydentu wy dostał się z pralni i przeszedł do biblioteki, gdzie pracował aż do chwili, gdy - na początku tego roku - opuścił naszą szczęśliwą rodzinę.

Może zauważyliście, jak wiele z tego, co wam opowiedziałem, pochodzi z drugiej ręki - ktoś coś widział, powiedział mi, a ja wam. No cóż, czasem trochę uprościłem te relacje i przekazałem wam (lub przekażę) informacje z czwartej czy piątej ręki. Tak już tu jest. Poczta pantoflowa działa sprawnie i musisz z niej korzystać, jeśli chcesz być na bieżąco. Ponadto, oczywiście, należy odróżnić ziarna prawdy od plew kłamstw, plotek i chciejstwa.

Może doszłicie do wniosku, że opisuję kogoś, kto jest raczej legendą niż żywym człowiekiem; tutaj powinienem przyznać wam trochę racji. Dla nas, długoterminowych, którzy znaliśmy Andy'ego przez tyle lat, jego postać jest czymś z pogranicza fantazji, niemal magii i mitu, jeżeli rozumiecie, o co mi chodzi. Historia o tym, jak Andy odmówił obsłużenia Boga Diamonda, jest częścią tego mitu, tak samo jak jego walka z siostrami oraz to, jak dostał pracę w bibliotece... z jedną istotną różnicą: byłem tam, widziałem, co się stało, i przysięgam na pamięć mojej matki, że to wszystko prawda. Przysięga skazanego kryminalisty może być niewiele warta, ale wierzcie mi: nie kłamię.

Do tego czasu zaprzyjaźniłem się z Andym. Ten facet mnie fascynował. Spoglądając wstecz na epizod z plakatem, widzę, że pomiąłem jeden szczegół, a może nie powinienem. Pięć tygodni po tym, jak Andy powiesił Ritę na ścianie (do tego czasu zdążyłem o tym zapomnieć i zająłem się innymi interesami), Ernie wsunął przez kraty mojej celi małe białe pudełko.

- Od Dufresnego - powiedział cicho, ani na chwilę nie przestając zamiatać.

- Dzięki, Ernie - odparłem i podsunąłem mu paczkę cameli.

A cóż to takiego, do diabła, zastanawiałem się, zdejmując nakrywkę. W środku znalazłem dużo białej waty, a pod nią...

Patrzyłem przez dłuższą chwilę, nie dotykając, były takie śliczne. W mamrze okropnie rzadko widzi się piękne rzeczy, a prawdziwe nieszczęście w tym, że większość ludzi nawet nie odczuwa ich braku.

W pudełku były dwa odłamki kwarcu, oba starannie wypolerowane. Zostały wyrzeźbione w kształcie kawałków suchego drewna. Drobin pyritu migotały w nich jak iskierki złota. Gdyby nie były takie ciężkie, mogłyby służyć jako spinki do mankietów męskiej koszuli - tak bardzo były podobne do siebie.

Ile pracy kosztowało stworzenie tych dwóch drobiazgów? Wiedziałem, że Andy poświęcił na to długie godziny po zgaszeniu świateł. Najpierw odłupanie i formowanie, a potem wytrwałe polerowanie i wykańczanie tymi płachtami polerskimi. Patrząc na nie, odczuwałem przyjemność, jaką każdy mężczyzna lub kobieta czuje na widok czegoś pięknego, nad czym pracowano i co stworzono - i moim zdaniem właśnie to odróżnia nas od zwierząt - a ponadto jeszcze coś. Podziw dla niespożytej wytrwałości człowieka. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, jak bardzo wytrwały potrafi być Andy Dufresne.

W maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego władze zdecydowały, że dach wytwórni tablic rejestracyjnych należy ponownie pokryć smołą. Chcieli to zrobić, zanim zaczną się upały, i szukali ochotników do pracy, która miała potrwać tydzień. Zgłosiło się ponad siedemdziesięciu chętnych, ponieważ była to praca na świeżym powietrzu. Wylosowano dziewięć czy dziesięć nazwisk, w tym Andy'ego i moje.

Przez cały następny tydzień zaraz po śniadaniu wychodziliśmy na spacerniak, eskortowani przez dwóch strażników z przodu i dwóch z tyłu... a ponadto czujnie obserwowani przez wartowników na wszystkich wieżyczkach.

Podczas tych porannych marszów czterech z nas niosło długą, teleskopową drabinę - zawsze bawiło mnie, kiedy Dickie Betts, pracujący z nami, nazywał taką drabinę rozsuwaną - którą przystawialiśmy do ściany tego niskiego budynku o płaskim dachu. Potem zaczynaliśmy taśmowo transportować na dach wiadra z gorącą smołą. Oblej się tym gównem, a będziesz zwijał się z bólu przez całą drogę do izby chorych.

Pilnowało nas sześciu strażników, wybranych według starszeństwa. To było niemal równie dobre jak tygodniowy urlop, ponieważ zamiast pocić się w pralni czy

wytwórni tablic albo stać nad kupą więźniów obierających ziemniaki lub zamiatających śmieci, mieli istne majowe wakacje w słońcu, opierając się plecami o niską barierkę i raz po raz ucinając sobie drzemkę.

Nawet nie musieli mieć nas na oku, ponieważ wieżyczka na południowym murze znajdowała się tak blisko, że wartownicy mogliby nas opluć, jeśli by chcieli. Gdyby ktoś z brygady naprawiającej dach próbował zrobić coś głupiego, w ciągu czterech sekund przecięliby go na pół seriami z pistoletów maszynowych kalibru czterdzieści pięć. Tak więc klawisze po prostu siedzieli sobie i odpoczywali. Potrzebowali tylko paru kartonów piwa obłożonych lodem, a byliby panami wszelkiego stworzenia.

Jednym z nich był niejaki Byron Hadley, który wtedy, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, był w Shawshank dłużej niż ja. Ściśle mówiąc, dłużej niż dwaj ostatni dyrektorzy więzienia razem wzięci. Wówczas całym cyrkiem kierował pedantyczny Jankes ze wschodu, niejaki George Dunahy. Miał dyplom wyższej - uczelni. O ile wiem, nikt go nie lubił, oprócz ludzi, którzy przydzielili go na to stanowisko. Słyszałem, że interesowały go tylko trzy rzeczy: zbieranie danych statystycznych do książki (później opublikowanej przez małe wydawnictwo Light Side Press w Nowej Anglii, któremu zapewne musiał za to zapłacić), zwycięstwo drużyny więziennej we wrześniowych mistrzostwach w baseballu oraz wprowadzenie kary śmierci do kodeksu karnego stanu Maine. George Dunahy był gorącym zwolennikiem kary śmierci. Został wylany z pracy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, kiedy okazało się, że zamienił więzienne warsztaty w tani zakład naprawczy i dzielił się zyskami z Byronem Hadleyem oraz Gregiem Stammasem. Hadley i Stammaś wyszli z tego bez szwanku - byli starymi wyjadaczami umiejącymi chronić swoje tyłki - ale Dunahy musiał odejść. Nikt go nie żałował, ale też nikt nie był zbyt zadowolony, kiedy zastąpił go Greg Stammaś. Ten był niewysokim mężczyzną o najzimniejszych piwnych oczach, jakie widzieliście w życiu. Zawsze miał na ustach zboląły, nieprzyjemny uśmiezek, jakby musiał iść do ubikacji, a nie mógł tego zrobić. W czasach gdy Stammaś był dyrektorem, w Shawshank często dochodziło do aktów przemocy i chociaż nie mam żadnych dowodów, podejrzewam, że odbyło się wtedy co najmniej pół tuzina cichych pogrzebów w zagajniku rosnącym na wschód od więzienia. Dunahy był kiepski, ale Greg Stammaś był okrutnym, złym człowiekiem o kamiennym sercu.

On i Byron Hadley przyjaźnili się. Jako dyrektor, George Dunahy był tylko figurantem; to Stammaś i jego kumpel Hadley naprawdę zarządzili w więzieniu.

Hadley był wysokim, ociężałym mężczyzną o rzedniejących rudych włosach. Szybko się opalał, głośno mówił i jeśli uważał, że nie ruszasz się dostatecznie prędko, walił cię pałką. Tego dnia, trzeciego z rzędu naszej pracy na dachu, rozmawiał z innym strażnikiem, który nazywał się Mert Entwistle.

Hadley otrzymał jakieś zadziwiająco dobre wieści i entuzjazmował się nimi w typowy dla siebie sposób. Taki już był niewdzięcznik nie mający dla nikogo dobrego słowa, człowiek przeświadczony, że cały świat jest przeciwko niemu. Ten świat zabrał mu najlepsze lata jego życia i z najwyższą przyjemnością odebrałby mu pozostałe. Widziałem paru klawiszy, których uważałem za niemal świętych, i chyba wiem, dlaczego tacy byli - potrafili dostrzec różnicę między swoim życiem, nawet ciężkim i nędznym, a egzystencją ludzi, za których pilnowanie im płacono. Ci strażnicy umieją dostrzec jasne strony życia. Inni nie potrafią lub nie chcą.

Byron Hadley nie dostrzegał żadnych pozytywnych stron swojej sytuacji. Siedział tam, spokojny i rozluźniony w ciepłym majowym słońcu i miał czelność wyrzekać na swojego pecha, podczas gdy dziesięć stóp dalej gromada ludzi harowała, pocąc się i parząc sobie ręce wielkimi wiadrami pełnymi wrzącej smoły; ludzi, którzy codziennie pracowali tak ciężko, że to zajęcie wydawało im się odpoczynkiem. Może pamiętacie ten stary test mający określić wasz stosunek do życia. Byron Hadley zawsze odpowie na to pytanie: „w połowie pusta, szklanka jest w połowie pusta”. Zawsze i wszędzie, amen. Gdybyście dali mu napić się zimnego jabłeczniaka, pomyślałby o occie. Gdybyście powiedzieli mu, że jego żona zawsze dochowywała mu wierności, odparłby, że nie miała innego wyjścia, bo jest tak cholernie brzydka.

Tak więc siedział tam, rozmawiając z Mertem Entwistle'em na tyle głośno, że wszyscy go słyszeliśmy, a jego szeroka biała twarz już zaczęła czerwienieć od słońca. Jedną rękę oparł o niską barierkę otaczającą dach. Drugą trzymał na rękojeści swojej trzydziestkiósemki.

Wysłuchaliśmy tej opowieści razem z Mertem. Wychodziło na to, że starszy brat Hadleya jakieś czternaście lat temu wyjechał do Teksasu i od tej pory reszta rodziny nie słyszała o tym skurwysynu. Wszyscy uważali, że nie żyje - i dobrze. Nagle, półtora tygodnia temu, zadzwonił do nich jakiś adwokat z Austin. Okazało się, że brat Hadleya zmarł cztery miesiące temu, w dodatku jako bogaty człowiek („To niewiarygodne, jakie szczęście mają niektóre dupki” - skwitował to jego wdzięczny braciszek na dachu wytwórni tabliczek rejestracyjnych). Pieniądze pochodziły z nafty i dzierżawy terenów naftowych, a było tego prawie milion dolarów.

Nie, Hadley nie został milionerem - to uszczęśliwiłoby nawet jego chociaż na chwilę - ale brat zostawił cholernie przyzwoitą sumkę trzydziestu pięciu tysięcy dolarów każdemu żyjącemu w stanie Maine krewnemu, którego uda się odszukać. Nieźle. Coś jak szczęśliwe obstawienie tripli na wyścigach.

Jednak dla Byrona Hadleya szklanka była zawsze w połowie pusta. Przez większą część ranka żalił się Mertowi, że ten przeklęty rząd chce go obrabować.

- Zostawią mi tyle, że wystarczy na nowy samochód biadolili - a wtedy co? Trzeba zapłacić te cholerne podatki, za naprawy i konserwację, przeklęte dzieciaki marudzą, żebyś zabrał je na przejażdżkę po zapchanym...

- Albo dał im pojeździć, jeśli są dostatecznie duże - rzekł Mert. Stary Mert Entwistle wiedział, z której strony jest masło na chlebie i nie powiedział tego, na co pewnie miał taką samą ochotę jak my: „Jeżeli masz tyle kłopotu z tymi pieniędzmi, stary, to może uwolnię cię od problemu? W końcu od czego ma się przyjaciół?”.

- Zgadza się, zechcą jeździć, zechcą uczyć się na nim jeździć, jak rany! - zatrzęsł się ze zgrozy Byron. - I co się stanie pod koniec roku? Jeżeli źle obliczyłeś podatek i nie zostało ci tyle, aby wyrównać niedopłatę, musisz zapłacić z własnej kieszeni, a może nawet zadłużyć się w jednej z tych lichwiarskich kas pożyczkowych. Zresztą i tak cię skontrolują. Nieważne. A kiedy urząd skarbowy przeprowadza kontrolę, zawsze bije cię po kieszeni. Kto wygra z Wujem Samem? Wpycha ci łapę za koszulę i ścisną cycki, aż zsinieją, a w końcu zawsze dostajesz w tyłek. Chryste.

Zapadł w ponure milczenie, rozmyślając nad potwornym nieszczęściem, jakie go spotkało w postaci tych trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Mniej niż piętnaście jardów od niego Andy Dufresne rozsmarowywał smołę wielką drewnianą szpachlą i teraz rzucił ją do wiadra, po czym podszedł do Merta i Hadleya.

Wszyscy zamarliśmy i zauważyłem, że jeden z pozostałych strażników, Tim Youngblood, sięgnął do kabury. Klawisz na wieżyczce strażniczej klepnął partnera w ramię i obaj odwrócili się do nas. Przez moment myślałem, że Andy oberwie pałką, połknie kulkę albo jedno i drugie.

Powiedział, bardzo cicho, do Hadleya:

- Ufa pan swojej żonie?

Hadley tylko wytrzeszczył oczy. Twarz mu poczerwieniała, a wiedziałem, że to zły znak. Za trzy sekundy sięgnie po pałkę i uderzy jej końcem w splot słoneczny Andy'ego, gdzie zbiegają się nerwy. Zbyt mocny cios w to miejsce może zabić, ale zawsze w nie celują. Jeżeli cię nie zabije, to sparaliżuje cię na wystarczająco długą

chwile, żebyś zapomniał o tym, co zamierzałeś zrobić.

- Chłopcze - rzekł Hadley - dam ci tylko jedną szansę podnieś tę szpachlę. Inaczej zlecisz z tego dachu na łeb.

Andy tylko patrzył na niego, bardzo spokojnie i chłodno. Jego oczy były jak bryłki lodu. Wydawało się, że nie słyszał. Pomyślałem, że powinienem być mu powiedzieć, przeprowadzić krótkie szkolenie. Podstawową zasadą jest, by nigdy nie dać po sobie poznać, że słyszy się, o czym mówią strażnicy, nigdy nie wtrącać się do ich rozmowy, póki nie zapytają (a wtedy zawsze mówić im to, co chcą usłyszeć i nic więcej). Czarny, biały, czerwony czy żółty - w więzieniu nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ tutaj wszyscy jesteśmy na swój sposób równi. W więzieniu każdy skazany jest czarnuchem i musisz pogodzić się z tym, żeby przeżyć obok takich ludzi jak Hadley i Greg Stammers, którzy są gotowi zabić cię z lada powodu. Siedząc w mamrze, jesteś własnością stanową i biada ci, jeśli o tym zapomnisz. Znałem ludzi, którzy stracili oczy, kciuki czy palce; znałem jednego, który stracił koniec penisa i był szczęśliwy, że skończyło się na tym. Chciałem powiedzieć Andy'emu, że już jest za późno. Nawet jeśli wróci i podniesie tę szpachlę, to i tak jakiś silnoręki będzie czekał na niego wieczorem w umywalni, gotowy przetrącić mu obie nogi i zostawić go wijącego się na cemencie. Takiego silnorękiego można kupić za paczkę papierosów albo trzy kielonki. A przede wszystkim chciałem go ostrzec, żeby nie pogarszał sprawy.

Jedyne co zrobiłem, to nadal rozprowadzałem smołę po dachu, jakby nic nie zaszło. Tak jak każdy, nauczyłem się pilnować swojego tyłka. Musiałem. I tak często po nim dostawałem, a w Shawshank zawsze roilo się od takich Hadleyów, gotowych wykończyć człowieka.

- Może źle to ująłem - powiedział Andy. - To nieistotne, czy ufa jej pan, czy nie. Problem polega na tym, czy uważa pan, że mogłaby zrobić coś za pana plecami, próbować kantować.

Hadley wstał. Mert poszedł w jego ślady. Tim Youngblood także się podniósł. Twarz Hadleya była purpurowa niczym wóz straży pożarnej.

- Twoim jedynym problemem - rzekł - będzie, ile zostanie ci całych kości. Policzysz je sobie w izbie chorych. Chodź, Mert. Zrzucimy tego frajera z dachu.

Tim Youngblood wyjął broń. My smołowaliśmy jak szaleni. Słońce prażyło. Chcieli to zrobić; Hadley i Mert zamierzali zrzucić go z dachu. Straszny wypadek. Dufresne, więzień, poślizgnął się na drabinie, znosząc puste wiadra. Jaka szkoda.

Chwycili go, Mert za prawe, a Hadley za lewe ramię. Andy nie stawiał oporu. Ani na chwilę nie odrywał oczu od czerwonej, końskiej twarzy Hadleya.

- Jeżeli ma ją pan w garści, panie Hadley - ciągnął tym samym chłodnym, opanowanym głosem - to nie ma powodu, żeby miał pan oddać choć jednego centa z tych pieniędzy. Wynik końcowy - pan Byron Hadley trzydzieści pięć tysięcy, Wuj Sam zero.

Mert zaczął go ciągnąć na skraj dachu. Hadley stał jak wryty. Przez moment Andy wisiał między nimi jak przeciągana lina. Potem Hadley powiedział:

- Zaczekaj chwilę, Mert. O czym ty mówisz, chłopcze?

- Mówię o tym, że jeśli ufa pan żonie, może pan dać to jej - rzekł Andy.

- Lepiej mów jaśniej, chłopcze, albo polecisz.

- Urząd skarbowy pozwala na dokonanie jednorazowej darowizny na rzecz małżonka - wyjaśnił Andy. - Suma nie może przekraczać sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

Teraz Hadley z osłupieniem spojrział na Andy'ego.

- To niemożliwe - wykrztusił. - Wolne od podatku?

- Wolne od podatku - powtórzył Andy. - Urząd skarbowy nie dostanie ani centa.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- On był bankierem, Byron - wtrącił się Tim Youngblood. - Przypuszczam, że...

- Zamknij dziób, Pstrąg - uciał Hadley, nawet na niego nie patrząc. Tim Youngblood poczerwieniał i umilkł. Niektórzy klawisze nazywali go Pstrągiem ze względu na grube wargi i wybałuszone oczy. Hadley nadal spoglądał na Andy'ego. To ty jesteś ten sprytny bankier, co zastrzelił żonę. Dlaczego miałbym uwierzyć takiemu sprytnemu bankierowi jak ty? Żeby skończyć tutaj, tłukąc kamienie razem z tobą? Chciałbyś tego, co?

Andy odparł spokojnie:

- Gdyby poszedł pan do więzienia za oszustwa podatkowe, to do więzienia federalnego, nie do Shawshank. Jednak do tego nie dojdzie. Nie opodatkowana darowizna na rzecz małżonka jest najzupełniej legalną furtką prawną. Przeprowadzałem tuziny... nie, setki takich operacji. Ten przepis wprowadzono z myślą o ludziach przekazujących niewielkie firmy lub otrzymujących jednorazowe spadki. Takich jak pan.

- Myślę, że kłamiesz - powiedział Hadley, ale widać było, że wcale tak nie uważa. Jego twarz przybrała nowy wyraz, wprost groteskowy przy tej końskiej szczęce

i cofniętym, opalonym czole. Na obliczu Byrona Hadleya to uczucie wydawało się niemal obsceniczne. Nadzieja.

- Nie, nie kłamie. Jednak nie ma powodu, żeby wierzył mi pan na słowo. Każdy prawnik...

- Kłamiwy, parszywy, podstępny oszust i krwio pijca! - wrzasnął Hadley.

Andy wzruszył ramionami.

- No to niech pan idzie do urzędu skarbowego. Powiedzą to panu za darmo. Właściwie wcale nie musiałem tego mówić. I tak sam by się pan tego dowiedział.

- Pieprzona racja. Nie potrzebuję, żeby jakiś cwany bankier-zonobójca pokazywał mi, gdzie niedźwiedź sra w owsie.

- Będzie pan potrzebował prawnika biegłego w przepisach podatkowych albo bankiera, żeby przeprowadzić tę darowiznę, a to trochę kosztuje - ciągnął Andy. - Albo... jeśli jest pan zainteresowany, chętnie sporządzę tę umowę prawie za darmo.

Policzę tylko po trzy piwa na każdego z moich współpracowników...

- Współpracowników - rzekł Mert i ryknął śmiechem. Uderzył dłonią w kolano. Lubił uderzać w kolano, ten stary Mert, i mam nadzieję, że umarł na raka trzewi w jakimś zakątku świata, gdzie jeszcze nie odkryto morfiny. - Współpracownicy, czy to nie zabawne? Współpracownicy? Nie masz żadnych...

- Zamknij jadaczkę - warknął Hadley i Mert umilkł.

Hadley znów spojrzał na Andy'ego.

- Co mówiłeś?

- Mówiłem, że poproszę tylko o trzy piwa dla każdego z moich współpracowników, jeśli można - odrzekł Andy. Myślę, że człowiek czuje się bardziej jak mężczyzna, kiedy może sobie wypić małe jasne, pracując na świeżym, wiosennym powietrzu. Tak uważam. Wszyscy chętnie się napiją i jestem pewien, że będą panu wdzięczni.

Rozmawiałem z kilkoma innymi, którzy byli tam wtedy z Renniem Martinem, Loganem St. Pierre'em i Paulem Bonsaintem - i wszyscy widzieliśmy to samo... czuliśmy to samo. Nagle to Andy panował nad sytuacją. Hadley miał broń na biodrze i pałkę w garści, poparcie w osobie Grega Stamma i całej więziennej administracji, a za nią cały stan, lecz nagle w tym upalnym słońcu przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Po raz pierwszy od czasu gdy w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym z czterema innymi przejechałem karetką bramę więzienia i wysiadłem na dziedzińcu, poczułem, jak serce mocniej uderzyło mi w piersi.

Andy spoglądał na Hadleya tymi zimnymi, jasnymi, spokojnymi oczami i wszyscy byliśmy zgodni, że nie chodziło jedynie o te trzydzieści pięć tysięcy. Raz po raz wracałem pamięcią do tej sceny i wiem. To była walka i Andy ją wygrał, jak silniejszy zwycięża słabszego, przyciskając mu dłoń do stołu w pojedynku na ręce. Widzicie, Hadley równie dobrze mógł wtedy skinąć na Merta, zrzucić Andy'ego z dachu i dopiero potem skorzystać z jego rady.

Mógł. Jednak nie zrobił tego.

- Mógłbym załatwić wam parę piw, gdybym się postarał rzekł Hadley. - Piwo dobrze smakuje przy pracy.

Ten gigantyczny kutas zdobył się nawet na wielkoduszny ton.

- Dam panu jeszcze jedną radę, której nie udzieli panu urząd skarbowy - odezwał się Andy. Nie odrywał oczu od twarzy Hadleya. - Niech pan dokona tej darowizny na rzecz żony tylko wtedy, jeśli jest pan absolutnie pewny. Jeśli uważa pan, że istnieje choć cień ryzyka, że mogłaby pana zdradzić lub oszukać, możemy znaleźć inny sposób...

- Zdradzić mnie? - zapytał ostro Hadley. - Zdradzić mnie? Panie Cwany Bankier, nawet gdyby wypila butelkę rycyny, nie odważyłaby się pierdnąć, dopóki jej nie pozwolę.

Mert, Youngblood i pozostali klawisze posłusznie zarechotali. Andy nawet się nie uśmiechnął.

- Wypełnię panu niezbędne formularze - rzekł. - Można je dostać w urzędzie pocztowym, a ja przygotuję je, żeby mógł pan podpisać.

To brzmiało bardzo poważnie i Hadley wypiął pierś. Potem popatrzył na nas i wrzasnął:

- Na co się gapicie, barany? Ruszcie tyłki, niech was szlag!

Jeszcze raz spojrzął na Andy'ego.

- Ty chodź ze mną, spryciarzu. I słuchaj, co powiem: jeśli robisz mnie w konia, to jeszcze w tym tygodniu będziesz szukał swojego łba pod prysznicem.

- Tak, rozumiem - rzekł cicho Andy.

I rzeczywiście rozumiał. Okazało się, że rozumiał o wiele lepiej niż ja - lepiej niż my wszyscy.

W ten sposób, dzień przed ukończeniem pracy, więźniowie smołujący w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku dach wytwórni tabliczek usiedli rzędem o dziesiątej

rano, popijając piwo Black Level, dostarczone przez najtwardszego strażnika, jaki kiedykolwiek pełnił służbę w stanowym więzieniu Shawshank. Piwo było ciepłe jak siki, ale i tak najlepsze, jakiego próbowałem w życiu. Siedzieliśmy, piliśmy i czuliśmy, jak słońce grzeje nas w plecy, tak że nawet na pół rozbawiona, na pół pogardliwa mina Hadleya - patrzącego na nas jak na stado małąp - nie mogła tego zepsuć. Ta przerwa na piwo trwała dwadzieścia minut i przez ten czas czuliśmy się jak wolni ludzie. Tak jakbyśmy pili piwo i smołowali dachy własnych domów.

Tylko Andy nie pił. Mówiłem wam już, jakie miał zasady. Przykucnął w cieniu, opuściwszy ręce na kolana, i obserwował nas, uśmiechając się lekko. To zdumiewające, jak wiele osób pamięta ten moment i jak wielu ludzi pracowało na tym dachu, kiedy Andy Dufresne stawiał czoło Byronowi Hadleyowi. Sądziłem, że było nas dziewięciu lub dziesięciu, ale do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego zrobiło się nas dwustu lub więcej... jeśli wierzyć w to, co mówią.

A więc tak - skoro chcecie, żebym dał wam jasną odpowiedź na pytanie, czy usiłuję opowiedzieć wam o człowieku, czy legendę powstałą wokół niego jak perła wokół ziarenka piasku - muszę przyznać, że prawda leży gdzieś pośrodku. Wszystko, co wiem na pewno, to że Andy Dufresne był niepodobny do mnie ani żadnej z osób, jakie poznałem za kratkami.

Przemycił pięćset dolarów ukryte w tylnym schowku, ale ten wielki sukinkot zdołał w jakiś sposób wnieść jeszcze coś. Może poczucie własnej wartości albo przeczucie, że w końcu zwycięży... a może wewnętrzną wolność, nawet w tych przeklętych szarych murach. Rodzaj wewnętrznego światła, które nosił w sobie. Wiem, że to światło zgasło tylko raz, i to również jest częścią tej opowieści.

Do Pucharu Świata w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pamiętacie, wtedy Whiz Kids z Filadelfii wygrali cztery do zera - skończyły się kłopoty Andy'ego z siostrami. Stammas i Hadley powiedzieli swoje. Jeśli Andy Dufresne przyjdzie do któregoś z nich albo jakiegokolwiek innego strażnika z ich paczki i pokaże choć kropelkę krwi na siedzeniu spodni, każda siostra w Shawshank pójdzie tej nocy spać z bólem głowy. Siostry zrozumiały. Jak już mówiłem, zawsze znalazł się jakiś osiemnastoletni złodziej samochodów, podpalacz lub facet czerpiący przyjemność z molestowania dzieci. Po tamtym dniu na dachu wytwórni tablic Andy i siostry poszli własnymi drogami.

Pracował wtedy w bibliotece, którą kierował twardy stary więzień, Brooks Hatlen. Hatlen dostał tę pracę w późnych latach dwudziestych, ponieważ miał wyższe

wykształcenie. Co prawda, stary Brooksie mógł się wykazać dyplomem z gospodarki rolnej, ale w takich instytucjach jak The Shank rzadko spotyka się ludzi z wyższym wykształceniem, a nędznicy nie mają wyboru.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim Brooksie, który zabił żonę i córkę po przegranej partii pokera w czasach prezydentury Coolidge'a, został warunkowo zwolniony. Jak zwykle, władze, w swej mądrości, wypuściły go na wolność długo po tym, jak zniknęły jakiegokolwiek szanse na to, by mógł się stać użytecznym członkiem społeczeństwa. Miał sześćdziesiąt osiem lat i artretyzm, gdy wychodził przez główną bramę w swoim polskim garniturze i francuskich butach, z zaświadczeniem o zwolnieniu w jednej, a biletem na autobus w drugiej ręce. Płakał. Shawshank było całym jego światem. To, co leżało za jego murami, wydawało mu się równie przerażające jak Pacyfik zabobonnym piętnastowiecznym marynarzom. W więzieniu Brooksie był ważną osobą, bibliotekarzem, wykształconym człowiekiem. Gdyby wszedł do biblioteki w Kittery i zapytał o pracę, nie daliby mu nawet karty bibliotecznej. Słyszałem, że pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego umarł w przytułku we Freeport - i tak przeżył sześć miesięcy dłużej, niż mu dawałem. Tak, myślę, że władze ukarały go surowo. Przyzwyczaili go do życia w mamrze, a potem wyrzucili na bruk.

Andy objął posadę Brooksiego i był bibliotekarzem przez dwadzieścia trzy lata. Wykazywał taką samą siłę woli, z jaką stawił czoło Byronowi Hadleyowi, żeby zdobyć do biblioteki to, czego chciał, i widziałem, jak stopniowo zmieniał jeden niewielki pokój (który wciąż śmierdzał terpentyną, ponieważ do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku był magazynkiem farb i nigdy nie został dobrze wywietrzony) wypełniony skróconymi wersjami książek w serii „Reader's Digest” i egzemplarzami „National Geographics” w najlepszą bibliotekę więzienną w Nowej Anglii.

Robił to stopniowo. Przy drzwiach umieścił skrzynkę życzeń i cierpliwie wyciągał z niej takie humorystyczne teksty jak „Wiecej pornósów, proszem” albo „Jak uciec. Samouczek w dziesięciu lekcjach”. Zdobywał pozycje, na których więźniom szczególnie zależało. Napisał do największych księgarń wysyłkowych w Nowym Jorku i namówił dwie z nich, The Literary Guild i The Book-of-the-Month Club, by przysyłały nam najważniejsze pozycje po specjalnie obniżonej cenie. Odkrył głód informacji dotyczących różnych niewinnych koników, takich jak rzeźbienia w mydle, drzewiarstwa, wróżenia z ręki czy pasjansów. Sprowadzał wszystkie dostępne książki

z takich dziedzin. Ponadto dwóch więziennych ulubieńców - Erle'a Stanleya Gardnera oraz Louisa L'Amoura. Skazańcy nigdy nie mieli dość sal sądowych i otwartych przestrzeni. I owszem, pod biurkiem trzymał pudło dość pieprznych czytań, wypożyczając je rozważnie i pilnując, aby zawsze je zwracano. Mimo to każda taka nowa pozycja szybko zostawała zaczytywana na strzępy.

W sierpniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego zaczął pisać do Senatu. Dyrektorem był wtedy Stammas, który traktował Andy'ego jak swoją maskotkę. Wciąż przesiadywał w bibliotece, żartował z Andym i czasem nawet ojcowskim gestem kładł mu rękę na ramieniu albo klepał po plecach. Nikogo nie oszukał. Andy Dufresne nie był niczyją maskotką.

Powiedział Andy'emu, że mógł być bankierem na wolności, lecz ta część jego życia szybko odchodzi w przeszłość, więc lepiej niech przyzwyczajają się do rzeczywistości więziennej. Z punktu widzenia tej bandy nawiedzonych republikańskich rotarian z Augusty istnieją tylko trzy rodzaje uzasadnionego wydatkowania pieniędzy podatników na zakłady karne i poprawcze. Po pierwsze na mury, po drugie na grubsze kraty, a po trzecie na zwiększenie liczby strażników. O ile chodzi o Senat Stanowy, wyjaśniał Stammas, pensjonariusze Thomastan, Shawshank, Pittsfield i South Portland to zwykłe łajno. Siedzą tam za karę i - na Boga i dobrego Jezusa - poniosą ją. A jeśli czasem w chlebie trafią się robaki, to po prostu cholerna szkoda!

Andy uśmiechnął się po swojemu i zapytał Stammansa, co się stanie z blokiem betonu, na który co roku przez milion lat spadnie kropla wody. Stammas roześmiał się i klepnął Andy'ego w plecy.

- Ty nie masz miliona lat, stary, ale gdybyś miał, założę się, że zrobiłbyś to z tym samym uśmiechem na twarzy. Idź i pisz swoje listy. Nawet wyślę ci je, jeśli zapłacisz za znaczki.

Co też Andy zrobił. I to on śmiał się ostatni, chociaż Stammas i Hadley już tego nie zobaczyli. Prośby Andy'ego o zwiększenie funduszu bibliotecznego były regularnie odrzucane aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, kiedy otrzymał czek na dwieście dolarów - Senat zapewne przyznał je, licząc, że zamknie się i da im spokój. Próżne nadzieje. Andy poczuł, że wreszcie włożył nogę w drzwi i jeszcze podwoił wysiłki; dwa listy tygodniowo zamiast jednego. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim dostał czterysta dolarów, a do końca dekady biblioteka co roku, punktualnie jak w zegarku, otrzymywała siedemset. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym

podniesiono dotację do równego tysiąca. Pewnie to niewiele w porównaniu z sumą, jaką otrzymuje wasza przeciętna biblioteka w małym miasteczku, ale za tysiąc zielonych można kupić mnóstwo przecenionych kryminałów z Perrym Masonem i westernów z Jake'em Loganem. Zanim Andy opuścił więzienie, można już było pójść do biblioteki (która tymczasem rozrosła się z jednego do trzech pomieszczeń) i znaleźć prawie wszystko, cokolwiek człowiek zapragnął. A jeśli nie było jakiejś książki, Andy najprawdopodobniej mógł ją dla ciebie ściągnąć.

Teraz pytacie mnie, czy wszystko to stało się tylko dzięki temu, że Andy poradził Byronowi Hadleyowi, jak nie płacić podatku spadkowego. Odpowiedź brzmi tak... i nie. Pewnie sami domyślacie się, co nastąpiło.

Rozeszła się wieść, że w Shawshank mają własnego geniusza finansowego. Późną wiosną i latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku Andy stworzył dwa fundusze powiernicze dla strażników chcących zagwarantować średnie wykształcenie swoim dzieciom, doradził kilku innym, którzy chcieli nabyć małe pakiety akcji (a zrobił to cholernie dobrze, jak się okazało; jeden z nich tak się na tym wzbogacił, że dwa lata później odszedł na wcześniejszą emeryturę), i niech mnie diabli, jeśli nie doradzał samemu dyrektorowi, staremu Cytrynoustemu George'owi Dunahy'owi, jak wywinąć się od podatków. Było to tuż przed tym, zanim Dunahy dostał kopa, i jestem pewny, że marzył wtedy o milionach, jakie przyniesie mu jego książka. W kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego Andy wypełniał formularze podatkowe połowie klawiszy w Shawshank, a do pięćdziesiątego drugiego robił to prawie dla wszystkich. Płacono mu najcenniejszą więzienną walutą: dobrą wolą.

Później, kiedy obowiązki dyrektora przejął Greg Stamas, Andy stał się jeszcze ważniejszą osobą - jednak jeśli spróbuję wam wyjaśnić dlaczego, będę zgadywał. Są rzeczy, o których wiem, i takie, których mogę jedynie się domyślać. Wiem, że niektórzy więźniowie cieszyli się specjalnymi względami - mieli w celach radia, dostawali zgodę na dodatkowe odwiedziny i tym podobne rzeczy - ponieważ płacili za nie ludzie za murami. Więźniowie nazywali ich „aniołami”. Od czasu do czasu ktoś dostawał wolne z pracy w wytwórni tablic w sobotę po południu i wszyscy wiedzieli, że ma anioła, który sypnął groszem, żeby tak się stało. Zazwyczaj anioł wręcza łapówkę komuś z personelu średniego szczebla, który rozdziela szmal na dole i na górze drabiny służbowej.

Na przykład ta afera z tanim warsztatem samochodowym rozłożyła Dunahy'ego. Przycichła na jakiś czas, a potem, pod koniec lat pięćdziesiątych

wybuchła na nowo - jeszcze silniej. Jestem przekonany, że niektórzy z wykonawców robiących coś od czasu do czasu w więzieniu, płacili działkę urzędnikom administracji i to samo niemal na pewno dotyczy przedsiębiorstw, które w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim dostarczyły maszyny do pralni oraz wytwórni tablic.

Pod koniec lat sześćdziesiątych rozkwitł także handel prochami i administracja znów miała z niego swoją działkę. Wszystko to tworzyło dość duże możliwości nielegalnego wzbogacania się. Nie była to sterta lewej forsy, jaką niewątpliwie zgarniano w takich dużych więzieniach jak Attica czy San Quentin, ale też nie bagatelka. A po pewnym czasie pieniądze stają się problemem. Nie możesz ich wepchnąć do portfela i wyciągać harmonii pomiętych dwudziestek i wystrzępionych dziesiątek, kiedy chcesz zbudować sobie basen za domem lub przybudówkę. W pewnym momencie musisz wyjaśnić, skąd wzięła się ta forsa... a jeśli twoje wyjaśnienia nie są dostatecznie przekonujące, możesz sam zacząć nosić numer na ubranku.

Stąd wzięło się zapotrzebowanie na usługi Andy'ego. Zabrali go z pralni i ulokowali w bibliotece, ale jeśli spojrzeć na to inaczej, to wcale nie wycofali go z pralni. Po prostu kazali mu prac brudne pieniądze zamiast brudnych prześcieradeł. Zamieniał forszę w akcje, udziały, nie opodatkowane obligacje państwowe - co tylko możliwe.

Andy powiedział mi kiedyś, jakieś dziesięć lat po tamtym dniu na dachu wytwórni tablic, że ma dość sprecyzowane poglądy na temat tego, co robi, i nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Ten interes kwitłby i bez jego udziału. Nie prosił, żeby go wsadzono do Shawshank; był niewinnym człowiekiem, ofiarą szczególnie pechowego zbiegu okoliczności, a nie jakimś misjonarzem czy dobrym duszkiem.

- Poza tym, Rudy - rzekł mi z tym swoim półuśmieszkiem - to, co robię tutaj, wcale nie różni się od tego, co robiłem tam. Wyjawię ci bardzo cyniczną zasadę: zakres pomocy finansowej potrzebnej danej osobie czy przedsiębiorstwu jest wprost proporcjonalny do liczby ludzi nabijanych w butelkę przez tę osobę lub firmę. Ludzie kierujący tym miejscem są przeważnie głupimi, brutalnymi potworami. Ludzie działający w normalnym świecie są brutalni i potworni, ale nie tak głupi, ponieważ mają tam silniejszą konkurencję. Nieznacznie, ale większą.

- Jednak te prochy... - powiedziałem. - Nie chcę cię pouczać, ale to mnie denerwuje. Czerwone, zielone, białe, nembutal... a teraz chcą czegoś, co nazywają „czwartą fazą”. Nie będę ich sprowadzał. Nigdy tego nie robiłem.

- Racja - rzekł Andy. - Ja też nie lubię prochów. Nigdy nie lubiłem. Jednak nie przepadam także za papierosami czy wodą. To nie ja handluję prochami. Nie ja je ściągamy, nie ja sprzedaję, kiedy tutaj dotrą. Przeważnie robią to strażnicy.

- Przecież...

- Tak, wiem. Posłuchaj mnie teraz. Wszystko sprowadza się do tego, Rudy, że niektórzy ludzie nie chcą brudzić sobie rąk. Nazywają ich świętymi, a gołębie siadają im na ramionach i obsrywają koszule. Na przeciwnym końcu leży babranie się w gównie i obracanie wszystkim, co przyniesie choć dolara zysku - rewolwerami, sprężynowcami, herą, czym chcesz. Nigdy żaden skazaniec nie przyszedł do ciebie z propozycją kontraktu?

Skinąłem głową. W ciągu tych lat spotkałem się z tym wielokrotnie. W końcu jest się człowiekiem, który wszystko może załatwić. A oni wyobrażają sobie, że skoro potrafisz załatwić baterie do ich tranzystorów, kartony luckies czy puszki trawki, to możesz skontaktować ich z facetem, który używa noża.

- Z pewnością tak - ciągnął Andy. - Jednak nie robisz tego. Ponieważ tacy faceci jak my, Rudy, wiedzą, że jest trzecie wyjście. Alternatywa kryształowej czystości i babrania się w błocie. To alternatywa, którą wybierają wszyscy dorośli ludzie na świecie. Rozważasz, co zyskasz, przechodząc przez dzicze legowisko. Wybierasz mniejsze zło i usiłujesz nie zapominać o dobrych chęciach. Sądzę, że oceniasz, jak dobrze ci idzie, po tym, jak dobrze śpisz... i co ci się śni.

- Dobre chęci - powiedziałem. - Wiem o nich wszystko, Andy. Można po nich dojść do samego piekła.

- Nie wierz w to - rzekł ponuro. - Piekło jest tutaj. W Shawshank. Oni sprzedają prochy, a ja mówię im, co robić z pieniędzmi. Jednak prowadzę też bibliotekę i znam ponad dwa tuziny facetów, którzy skorzystali z jej zbiorów, żeby zdać egzamin maturalny. Może kiedy stąd wyjdą, zdołają jakoś wydostać się z tego gówna. Gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym potrzebowaliśmy tego dodatkowego pokoju, dostaliśmy go. Ponieważ chcą, żebym był szczęśliwy. Jestem tani. Wymiana usług.

- I masz swoje prywatne pokoje.

- Właśnie. Tak jak lubię.

Przez wszystkie lata pięćdziesiąte więzienna populacja powoli rosła i po prostu eksplodowała w latach sześćdziesiątych, kiedy to każdy amerykański chłopiec z college'u chciał spróbować narkotyków i wymierzano tak idiotyczne wyroki za palenie

trawki. Jednak przez cały ten czas Andy nie miał towarzysza w celi, nie Ucząc wielkiego, milczącego Indianina zwanego Normaden (jak na wszystkich Indian w The Shank, wołano na niego Wódz), a i ten nie siedział z nim długo. Wielu długoterminowych uważało, że Andy jest stuknięty, ale on tylko śmiał się. Mieszka sam i lubi to... a jak powiedział, chcieli, żeby był szczęśliwy. Jego usługi były tanie.

Czas w więzieniu biegnie tak wolno, że czasami przysięgłbyś, że stanął, ale mija. Mija. George Dunahy zszedł ze sceny w lawinie gazetowych nagłówek wołających SKANDAL i GNIAZDO WYSTĘPKU. Zastąpił go Stammas i przez sześć następnych lat Shawshank zmieniło się w piekło na ziemi. Podczas rządów Grega Stammansa łóżka w izbie chorych i cele karceru zawsze były pełne.

Pewnego dnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku spojrzałem na swoją twarz w lustrze nad umywalką i zobaczyłem czterdziestoletniego mężczyznę. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym przybył tu chłopak z wielką czupryną marchewkowatych włosów, na pół oszalały z żalu, myślący o samobójstwie. Ten chłopiec zniknął. Rude włosy posiwiały i przerzedziły się. Wokół oczu pojawiły się kurze łapki. Tego dnia dostrzegłem w sobie potencjalnego starca czekającego na swoją porę. Przestraszyłem się. Nikt nie chce zestarzyć się w mamrze.

Stammas odszedł na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. Kilku dociekliwych reporterów węszyło wokół niego, a jeden z nich nawet odsiedział cztery miesiące pod przybranym nazwiskiem, za jakieś spreparowane przestępstwo. Znów szykowali się do akcji SKANDAL i GNIAZDO WYSTĘPKU, ale zanim go przygwoździli, Stammas uciekł. Mogę to zrozumieć, człowieku; naprawdę. Gdyby został osądzony i skazany, mógłby dostać się tutaj. W takim wypadku może przeżyłby pięć godzin. Byron Hadley odszedł dwa lata wcześniej. Drań dostał ataku serca i przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Andy'emu wcale nie zaszkodziła afera Stammansa. Na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku wyznaczono nowego dyrektora, zastępcę oraz szefa straży. Przez kolejne osiem miesięcy Andy znów był zwyczajnym więźniem. Właśnie wtedy dzielił z nim celę Normaden, wielki, półkrwi Indianin ze szczepu Passamaquoddy. Potem wszystko zaczęło się od nowa. Normadena przeniesiono i Andy ponownie mieszkał samotnie jak lord. Nazwiska na szczycie zmieniają się, ale interesy nie.

Kiedyś rozmawiałem z Normadenem o Andym.

- Fajny gość - rzekł. Trudno było zrozumieć, co mówi, ponieważ miał zajęczą wargę i rozszczep podniebienia; wszystkie słowa zlewały się w belkot. - Podobało mi się u niego. Nigdy mnie nie wyśmiewał. Jednak nie chciał mnie tam. Czuję to. - Wzruszenie ramion. - Ja też chętnie się przeniosłem. Paskudny przeciąg w tej celi. Wciąż zimno. On nie pozwala dotykać swoich rzeczy. Nie mam za złe. Fajny gość, nigdy mnie nie wyśmiewał. Tylko ten przeciąg.

O ile dobrze pamiętam, Rita Hayworth wisiała w celi Andy'ego aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. Potem zastąpiła ją Marilyn Monroe - było to słynne zdjęcie, na którym stoi na kracie szybu wentylacyjnego metra i ciepłe powietrze podwiewa jej spódnice. Marilyn przetrwała do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego i była dobrze postrzępiona na brzegach, kiedy Andy wymienił ją na Jayne Mansfield. Jayne, wybaczone mi surową opinię, była nieporozumieniem. Po roku czy coś koło tego zastąpiła ją jakaś angielska aktorka - chyba Hazel Court, ale nie jestem pewny. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym ona też zniknęła i Raquel Welch rozpoczęła swój rekordowo długi, sześćoletni okres królowania w celi Andy'ego. Ostatni plakat, jaki tam zawisł, przedstawiał śliczną piosenkarkę country, Lindę Ronstadt.

Kiedyś spytałem go, co symbolizują te plakaty, a on obrzucił mnie tym szczególnym, zaskoczonym spojrzeniem.

- Cóż, chyba to samo, co dla innych więźniów - odparł. Wolność. Patrzysz na te piękne kobiety i czujesz się tak, jakbyś prawie... nie całkiem, ale prawie... mógł zrobić krok i znaleźć się obok nich. Być wolnym. Sądzę, że dlatego zawsze najbardziej podobała mi się Raquel Welch. Nie chodziło tylko o nią, ale o tę plażę w tle. Wyglądało na to, że znajdowała się gdzieś w Meksyku. W jakimś spokojnym miejscu, gdzie człowiek może słyszeć własne myśli. Nigdy nie czułeś czegoś podobnego, Rudy? Nie miałeś wrażenia, że możesz wejść w ten obrazek?

Odparłem, że nigdy tak tego nie odbierałem.

- Może kiedyś zrozumiesz, co mam na myśli - rzekł i miał rację. Po latach pojąłem, o czym mówił... a wtedy od razu przypomniałem sobie Normadena, który twierdził, że w celi Andy'ego zawsze było zimno.

Pod koniec marca lub na początku kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego Andy'emu przytrafiła się okropna rzecz. Mówiłem wam, że zawsze miał coś, czego innym więźniom - włącznie ze mną - brakowało. Nazwijcie to opanowaniem lub

wewnętrznym spokojem albo stała i niezmaconą wiarą, że pewnego dnia ten koszmar się skończy. Jakkolwiek zechcecie to nazwać, Andy Dufresne zawsze wyglądał na zrównoważonego. Nigdy nie popadał w tę ponurą desperację, jaką po pewnym czasie okazują wszyscy skazani na dożywocie; nie tracił nadziei. Aż do tej zimy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

Mieliśmy już innego dyrektora, który nazywał się Samuel Norton. Doskonale nadawałby się na przedsiębiorcę pogrzebowego. O ile wiem, nikt nigdy nie widział nawet cienia uśmiechu na jego twarzy. Mógł się pochwalić odznaczeniem za trzydziestoletnią działalność na rzecz kościoła baptystów w Eliot. Najważniejszą innowacją, jaką wprowadził, obejmując nadzór nad naszą szczęśliwą rodziną, było to, że dopilnował, by każdy więzień otrzymał Nowy Testament. Na biurku trzymał małą tabliczkę z tekowego drewna, na której złotymi literami wypisano CHRYSTUS JEST MOIM ZBAWCA. Na ścianie powiesił makatkę z wyhaftowanym przez żonę napisem: DZIEŃ SĄDU NADEJDZIE NIEBAWEM. To ostatnie hasło nie przysporzyło mu popularności. Uważaliśmy, że dzień sądu już nastąpił, i jako pierwsi byliśmy gotowi przyznać, że nie ukryje nas skała ani uschnięte drzewo nie da nam schronienia. Na każdą okazję miał gotowy cytat z Biblii, ten pan Norton, a ilekroć spotkacie kogoś takiego jak on, dobrze wam radzę uśmiechać się i zasłaniać rękami jaja.

Rzadziej niż za czasów Grega Stammersa odnoszono kogoś na izbę chorych i - o ile wiem - ustały ciche pogrzeby, lecz bynajmniej nie oznaczało to, że Sam Norton nie wierzył w celowość karan. Karcer był zawsze pełny. Ludzie tracili zęby nie w wyniku pobicia, ale tygodni spędzanych o chlebie i wodzie. Zaczęto mówić o tym jako o ziarnku i garnku, na przykład „Znów czeka mnie miarka ziarnka bez garnka, chłopcy”.

Ten facet był najgorszym hipokrytą, jakiego widziałem na tym stanowisku. Nielegalne interesy, o których wam mówiłem kwitły w najlepsze, ale Sam Norton wprowadził kilka swoich pomysłów. Andy wiedział o wszystkim, a ponieważ do tej pory staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi, powiedział mi o niektórych. Kiedy o nich mówił, na jego twarzy rozbawienie mieszało się z niesmakiem, jakby opowiadał mi o jakimś paskudnym, drapieżnym insekcie, który ze względu na swą brzydotę i żarłoczność jest bardziej komiczny niż straszny.

To dyrektor Norton wprowadził program „wewnątrz-zewnątrz”, o którym mogliście czytać szesnaście lub siedemnaście lat temu; opisano go nawet w „Newsweeku”. W opinii prasy wydawał się prawdziwym postępem w dziedzinie reedukacji i rehabilitacji. Więźniowie ścinający drzewa, więźniowie naprawiający

mosty i drogi, więźniowie kopający ziemniaki. Norton nazwał to „wewnątrz-zewnątrz” i niemal każdy klub rotariański oraz zawodowy zapraszał go z odczytem, szczególnie od czasu gdy „Newsweek” zamieścił jego zdjęcie. Więźniowie nazywali to „rozbojem w biały dzień”, ale o ile wiem, żaden z nich nigdy nie został poproszony o wyjaśnienie tej nazwy członkom klubu rotariańskiego ani żadnego innego.

Norton miał swój udział w każdej operacji mimo kościelnego orderu i całej reszty; od wyrębu drzew przez kopanie rowów przeciwpowodziowych po wykonywanie przepustów pod autostradami - zawsze zgarniał śmietankę. Robił to na sto różnych sposobów - na placach, materiałach, czym chcecie. Jednak zgarniał szmal także w inny sposób. Firmy budowlane w naszym okręgu śmiertelnie obawiały się programu Nortona, gdyż praca więźniów jest pracą niewolniczą i nie można z nią konkurować. Tak więc Sam Norton, ze swoimi Bibliami i kościelnym orderem, podczas swoich szesnastoletnich rządów w Shawshank odebrał pod stołem wiele grubych kopert. A kiedy już wziął kopertę, mógł przebić ofertę, nie wejść do przetargu lub stwierdzić, że jego więźniowie są zajęci gdzie indziej. Zawsze dziwiłem się, że nie znaleziono Nortona w bagażniku thunderbirda zaparkowanego gdzieś przy autostradzie w Massachusetts, z rękami związanymi z tyłu i sześcioma kulami w głowie.

W każdym razie, jak głosi stara piosenka, „O mój Boże, ile tu szmalu!”, Norton musiał być zwolennikiem starej purytańskiej zasady, że ludzi, których Bóg obdarza swą łaską, najlepiej poznać po stanie ich kont bankowych.

Andy Dufresne, jako cichy wspólnik, był jego prawą ręką. Więzienna biblioteka była ukochanym dzieckiem Andy'ego. Norton wiedział o tym i wykorzystywał to. Andy mówił, że jednym z ulubionych powiedzonek dyrektora było „Ręka rękę myje”. Tak więc Andy udzielał dobrych rad i pożytecznych wskazówek. Nie jestem pewien, czy to on opracował dla Nortona program „wewnątrz-zewnątrz”, ale jestem przekonany, że prał pieniądze tego bogobojnego skurwysyna. Dawał dobre rady, podsuwał wskazówki, pieniądze płynęły i... sukinsyn! Biblioteka dostawała nowy komplet książek z serii „Zrób to sam”, nowe wydanie Encyklopedii Groliera, podręczniki przygotowujące do zaocznych studiów magisterskich. A ponadto więcej Erle'a Stanleya Gardnera i Louisa L'Amoura.

Jestem przekonany, że stało się to, co się stało, dlatego, że Norton nie chciał stracić świetnego pomocnika. Pójdę dalej: także dlatego, że obawiał się tego, do czego mogłoby dojść - co ujawniłby Andy, gdyby opuścił więzienie stanowe Shawshank.

Składałem tę historię w ciągu kilku lat, kawałek po kawałku; niektóre fakty wyciągnąłem z Andy'ego, ale nie wszystkie. Nigdy nie chciał rozmawiać o tym okresie swego życia i nie mogę go o to winić. Pozbierałem fragmenty relacji chyba z pół tuzina różnych źródeł. Mówiłem już, że więźniowie są jak niewolnicy, ale też mają niewolniczy zwyczaj udawać głupich i trzymać oczy otwarte. Słyszałem, jak opowiadano tę historię od początku, od środka i na odwrót, ale przekażę ją wam od A do Z, a wtedy może zrozumiecie, jak człowiek może popaść w depresję na dziesięć miesięcy. Widzicie, nie sądzę, żeby poznał prawdę wcześniej niż w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, piętnaście lat po tym, jak wpakowano go do tej piekielnej dziury. Póki nie spotkał Tommy'ego Williama, chyba nie wiedział, jak może być źle.

Tommy Williams dołączył do naszej szczęśliwej rodziny w Shawshank w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Uważał się za rodowitego mieszkańca Massachusetts, ale nie był zbyt wybredny; w ciągu swych dwudziestu siedmiu lat życia siedział chyba we wszystkich więzieniach Nowej Anglii. Był zawodowym złodziejem i - jak łatwo możecie się domyślić - moim zdaniem powinien wybrać inny zawód.

Był żonaty i żona odwiedzała go co tydzień. Uważała, że sprawy ułożą się lepiej dla Tommy'ego - a co za tym idzie dla niej oraz ich trzyletniego syna - jeśli mąż skończy szkołę. Namówiła go na to i Tommy zaczął regularnie odwiedzać bibliotekę.

Dla Andy'ego była to czysto rutynowa praca. Załatwił Tommy'emu szereg testów maturalnych. Tommy miał odświeżyć materiał, który znał ze szkoły - a nie było go wiele a potem zdać test. Andy zapisał go na kilka kursów korespondencyjnych z przedmiotów, które oblał w szkole lub które po prostu opuścił.

Tommy zapewne nie był najlepszym uczniem, jakiemu Andy pomagał, i nie wiem, czy kiedykolwiek uzyskał dyplom, ale to nie należy do mojej opowieści. Ważne, że - tak jak z czasem większość ludzi - bardzo polubił Andy'ego Dufresnego.

Kilkakrotnie zagadnął go: „Co taki mądry facet jak ty robi w pudle?” - pytanie będące swoistym odpowiednikiem „Co taka miła dziewczyna jak ty robi w takim miejscu?” - ale Andy nie należał do wylewnych; uśmiechał się tylko i zmieniał temat rozmowy. Tommy, oczywiście, zapytał kogoś innego, a kiedy w końcu poznał historię Andy'ego, przeżył największy szok w swoim młodym życiu.

Osobą, którą zapytał, był jego partner przy parowej maglownicy i zwijarce. Więźniowie nazywają ją „walcem”, ponieważ właśnie tak zadziała, jeśli nie będziesz

uważał i pozwolił się jej wciągnąć. Tym partnerem był Charlie Lathrop, który odsiadywał dwanaście lat za morderstwo. Z przyjemnością zrelacjonował Tommy'emu szczegóły sprawy Andy'ego; umilało to monotonię wyjmowania świeżo odprasowanych prześcieradeł z maszyny i wkładania ich do kosza. Właśnie doszedł do tego, jak przysięgli zwlekali z wydaniem wyroku, żeby zjeść obiad, kiedy rozległ się ostrzegawczy gwizdek i maszyna stanęła ze zgrzytem. Na drugim końcu wkładano do niej świeżo uprane prześcieradła z Domu Starców w Eliot; suche i dobrze uprasowane wypływała co pięć sekund tam, gdzie czekali na nie Tommy i Charlie. Ich zadaniem było łapać je, zwijać i wrzucać do pojemnika, który był już wyłożony czystym papierem pakowym.

Tymczasem Tommy Williams zamarł z szeroko rozdziawionymi ustami, gapiąc się na Charliego Lathropa. Stał nad stertą prześcieradeł, które były czyste, a teraz nasiąkały mokrym błotem podłogi - a w łazni parowej zawsze jest mnóstwo błota.

Nadzorujący zmianę Homer Jessup pognał do niego, rycząc ile sił w płucach i wietrząc kłopoty. Tommy nie zwrócił na to uwagi. Zapytał Charliego, jakby starego Homera, który rozbił więcej głów, niż był w stanie zliczyć, wcale tam nie było:

- Mówiłeś, że jak nazywał się ten instruktor golfa?

- Quentin - odparł Charlie, zmieszany i zdenerwowany.

Później powiedział, że chłopak był blady jak ściana. - Chyba Glenn Quentin. Przynajmniej tak mi się wydaje...

- Hej wy! - ryknął Homer Jessup, czerwony jak koguci grzebień. - Namoczcie te prześcieradła w zimnej wodzie! Ruszać się, Jezu, wy...!

- Glenn Quentin, o mój Boże - powiedział Tommy Williams i nie zdążył dodać nic więcej, ponieważ Homer Jessup, człowiek o niezbyt pokojowym usposobieniu, rąbnął go pałką za uchem. Tommy runął na podłogę, wybijając sobie trzy przednie zęby. Obudził się w karczerze, gdzie przesiedział tydzień, skazany na Nortonową miarkę ziarnka bez garnka. Ponadto wpisano mu naganę do akt.

To było w lutym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego. Po wyjściu z karczeru Tommy Williams zagadnął jeszcze sześciu lub siedmiu innych długoterminowych, którzy powtórzyli mu tę samą historię. Wiem; byłem jednym z nich. Jednak kiedy zapytałem go, o co mu chodzi, zamknął się w sobie.

Potem pewnego dnia poszedł do biblioteki i wywalił kawę na ławę Andy'emu Dufresnemu. Wtedy po raz pierwszy i ostatni, przynajmniej od czasu gdy zmieszany

jak chłopak kupujący pierwszą paczkę kondomów poprosił mnie o plakat Rity Hayworth, Andy zdenerwował się... ale tym razem na całego.

Widziałem go trochę później tamtego dnia; wyglądał jak człowiek, który nadepnął na grabie i mocno oberwał między oczy. Ręce mu drżały i kiedy mówiłem coś do niego, nie odpowiadał. Jeszcze tego samego popołudnia odszukał Billy'ego Hanlona będącego szefem straży i umówił się na następny dzień na spotkanie z dyrektorem Nortonem. Potem powiedział mi, że przez całą noc nie zmrużył oka; słuchał wycia zimowego wichru na zewnątrz, patrzył, jak światła reflektorów przesuwają się tam i z powrotem, rzucając ruchliwe cienie na cementowe ściany klatki, którą nazywał domem od czasów prezydentury Trumana, i usiłował zebrać myśli. Powiedział, że poczuł się tak, jakby Tommy dostarczył mu klucz pasujący do klatki jego umysłu, klatki jego celi. Tylko zamiast człowieka w środku był tygrys, a ten tygrys nazywał się Nadzieja. Williams dostarczył klucz otwierający klatkę i tygrys wy dostał się, by szarpać jego umysł.

Cztery lata wcześniej Tommy Williams został aresztowany na Rhode Island za prowadzenie samochodu pełnego kradzionego towaru. Tommy wydał współnika, prokurator poszedł na ugodę i zażądał niższego wyroku... dwa do czterech, z zaliczeniem czasu aresztu. Po jedenastu miesiącach odsiadki jego współlokator z celi wyszedł na wolność i Tommy dostał nowego, niejakiego Elwooda Blatcha. Blatch siedział za włamanie z bronią w ręku i dostał od sześciu do dwunastu lat.

- Nigdy nie spotkałem takiego nerwowego faceta - powiedział mi Tommy. - Ktoś taki nigdy nie powinien iść na włamanie, szczególnie z bronią. Na najłżejszy szmer podskakiwał trzy stopy w powietrze... i najczęściej strzelał. Którejś nocy prawie mnie udusił, bo jakiś gość w głębi korytarza tłukł o kraty celi blaszanym kubkiem. Przesiedziałem z nim siedem miesięcy, zanim mnie wypuścili. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy wiele rozmawiali, ponieważ z kimś takim jak El Blatch nie prowadzi się rozmowy. Gadał przez cały czas. Nie zamknął się ani na chwilę. Jeśli spróbowałeś wtrącić słowo, wygrażał ci pięścią i wywracał oczami. Dreszcz przebiegał mi po krzyżu, kiedy tak robił. Był wysoki, prawie łysy, miał zielone, głęboko osadzone oczy. Jezu, mam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczę. Co wieczór gadał jak katarynka. Gdzie dorastał, o sierocińcach, z których uciekał, o swoich miejscach pracy, o kobietach, które pieprzył, skokach, jakie wykonał. Pozwalałem mu gadać. Może nie jestem zbyt przystojny, ale nie chciałem, żeby przefasonował mi twarz. Z tego, co mówił, wynikało, że dokonał ponad dwustu włamań. Trudno mi było uwierzyć, żeby taki facet

jak on, który podskakiwał pod sufit za każdym razem, gdy ktoś głośniej pierdnął... ale przysięgał, że to prawda. Teraz posłuchaj, Rudy. Wiem, ludzie czasem bujają na temat czegoś, o czym wiedzą, ale jeszcze zanim dowiedziałem się o tym instruktora golfa, Quentinie, myślałem sobie, że gdybym kiedyś dowiedział się, iż El Blatch obrobił mój dom, uważałbym się za bardzo szczęśliwego sukinsyna, wyszedłszy z tego z życiem. Możesz go sobie wyobrazić, jak w sypialni jakiejś baby przetrząsa kasetkę z biżuterią, a kobieta nagle zakaszle przez sen albo obróci się na drugi bok? Zimno mi się robi, kiedy o tym pomyślę, przysięgam na pamięć mojej matki. Mówił też, że zabijał ludzi. Takich, którzy go wkurzyli. Przynajmniej tak twierdził. A ja mu wierzyłem. Na pewno wyglądał na człowieka, który potrafi zabić. Był taki cholernie nerwowo! Napięty jak rewolwer ze spiłowanym bezpiecznikiem. Znałem faceta, który miał policyjnego smitha ze spiłowanym bezpiecznikiem. Taka broń nie nadaje się do niczego, najwyżej do tego, żeby o niej gadać. Miała tak miękki spust, że potrafiła wystrzelić, jeśli właściciel, nazywał się Johnny Callahan, położył ją na głośniku i włączył radio na cały regulator. Taki był Blatch. Nie mogę wyjaśnić tego lepiej. Po prostu nigdy nie wątpiłem, że załatwił parę osób.

Tak więc, którejs nocy, tylko żeby coś powiedzieć, zapytałem: „Kogo zabiłeś?”. No wiesz, półzartem. A on się śmieje i powiada: „Jeden facet odsiaduje dożywocie w Maine za tych dwoje ludzi, których zabiłem. Jakiegoś faceta i żonę tego durnia, który siedzi. Zakradłem się do ich domu, a facet mnie wkurzył”. Nie pamiętam, czy podał mi nazwisko tej kobiety, czy nie ciągnął Tommy. - Może i tak. Jednak w Nowej Anglii nazwisko Dufresne występuje równie często jak w innych częściach kraju Smith czy Jones, ponieważ mieszka tu tyle żabojadów. Dufresne, Lavesque, Ouelette, Poulin - kto je zapamięta? Jednak powiedział mi nazwisko faceta. Mówił, że nazywał się Glenn Quentin i był kutasem, wielkim bogatym kutasem, graczem w golfa. El myślał, że może trzymać w domu gotówkę, nawet pięć tysięcy dolarów. Wtedy to było mnóstwo forsy, powiedział. Na co ja: „Kiedy?”. A on na to: „Po wojnie. Zaraz po wojnie”.

Tak więc zrobił ten włam, a oni zbudzili się i facet zaczął się stawiać. Tak twierdził El. Ja myślę, że może facet po prostu zaczął chrapać. W każdym razie El powiedział, że Quentin był w łóżku z żoną jakiegoś cwane go prawnika, którego posłali do więzienia stanowego w Shawshank. I śmiał się jak szalenię. Jezu Chryste, nigdy się tak nie cieszyłem jak wtedy, kiedy zwolnili mnie z tego mamra.

Sądzę, że teraz rozumiecie, dlaczego Andy'ego zatkało, kiedy Tommy opowiedział mu tę historię i czemu chciał natychmiast widzieć się z dyrektorem.

Elwood Blatch odsiadywał wyrok od sześciu do dwunastu lat, gdy Tommy widział go ostatnio, cztery lata wcześniej. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim mógł właśnie wychodzić na wolność... albo już wyszedł. Tak więc Andy musiał brać pod uwagę dwie możliwości: że Blatch nadal siedzi albo że już zniknął po nim wszelki ślad.

W opowieści Tommy'ego nie zgadzały się pewne szczegóły, ale czyż nie tak jest zawsze? Blatch powiedział Tommy'emu, że skazano jakiegoś prawnika, a Andy był bankierem, jednak kiepsko wykształceni ludzie łatwo mogą pomylić te dwa zawody. I nie zapominajcie, że od czasu gdy Blatch czytał wycinki z procesu, do chwili gdy mówił o tym Tommy'emu Williamsowi, minęło dwanaście lat. Ponadto pochwalił się Tommy'emu, że wziął ponad tysiąc dolarów ze szkatułki, którą Quentin trzymał w szafie, tymczasem policja na procesie Andy'ego twierdziła, że w domu nie było śladu włamania. Mam w związku z tym kilka uwag. Po pierwsze, jeśli weźmiesz gotówkę, a człowiek, do którego ona należała, umrze, to skąd będzie wiadomo, że coś zostało skradzione? Chyba że ktoś inny wie, że tam była. Po drugie, czy Blatch nie skłamał, mówiąc o forsie? Może nie chciał się przyznać, że zabił dwoje ludzi za nic. Po trzecie, może jednak były tam ślady włamania, a gliny przeoczyły je - gliniarze potrafią być tępi - albo celowo zataili je, żeby nie psuć szyków prokuratorowi. Pamiętajcie, ten facet ubiegał się o fotel i potrzebny mu był wyrok skazujący. Nie rozwiązana sprawa włamania z zabójstwem nie pomogłaby mu w niczym.

Jednak z tych trzech wyjaśnień najbardziej przychyliam się do środkowego. Siedząc w Shawshank, poznałem kilku Elwoodów Blatchów - maniaków skorych do pociągania za spust. Tacy jak on usiłują ci wmówić, że przy każdym skoku zgarnęli równowartość Koh-i-Noora, nawet jeżeli siedzą za kradzież dwudolarowego timexa i dziewięciu zielonych.

Jeden szczegół w opowieści Tommy'ego rozwiał wszelkie wątpliwości Andy'ego. Blatch nie wymienił Quentina przypadkowo. Nazwał Quentina „wielkim bogatym kutasem” i wiedział, że Glenn był zawodowym graczem w golfa. No cóż, Andy i jego żona raz czy dwa razy w tygodniu wpadali na drinka do klubu golfowego, Andy zaś przesiedział tam sporo czasu nad kieliszkiem, od kiedy dowiedział się, że żona go zdradza. Przy klubie była mała przystań i w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym przez jakiś czas pracował w niej dorywczo konserwator pasujący do podanego przez Tommy'ego opisu Blatcha. Wysoki, prawie łyśy facet o głęboko osadzonych, zielonych oczach. Mężczyzna o nieprzyjemnym spojrzeniu, wydający się mierzyć cię wzrokiem. Andy powiedział, że ten gość nie popracował tam długo. Albo zwolnił się, albo wylał

go Briggs, nadzorca przystani. Jednak niełatwo było go zapomnieć. Zbyt rzucał się w oczy.

Tak więc Andy poszedł porozmawiać z dyrektorem pewnego deszczowego, wietrznego dnia, kiedy ołowiane chmury pomykały po niebie nad szarymi murami, a resztki śniegu na okolicznych polach zaczynały topnieć i odsłaniać płaty zeschniętej, zeszłorocznej trawy.

Dyrektor dysponował przestronnym gabinetem w skrzydle administracyjnym i za jego biurkiem znajdowały się drzwi wiodące do biura asystenta dyrektora. Tego dnia asystent miał wolne, ale był tam dyżurny. Kulejący facet, którego prawdziwe nazwisko wyleciało mi z pamięci; wszyscy więźniowie, ze mną włącznie, nazywali go Chester - tak nazywał się pomocnik szeryfa Dillona. Chester powinien podlewać kwiaty i froterować podłogę. Podejrzewam, że kwiaty miały tego dnia sucho, a jedyną rzeczą, jaka została wypolerowana, była dziurka od klucza, do której Chester przyciskał swoje brudne ucho.

Usłyszał, jak drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się i zamknęły, a potem głos Nortona:

- Dzień dobry, Dufresne, w czym mogę ci pomóc?

- Panie dyrektorze - zaczął Andy i Chester powiedział, że ledwie poznał jego głos, taki był zmieniony. - Panie dyrektorze... jest coś... coś się stało... to jest... nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Może zaczniesz od początku? - rzekł dyrektor, zapewne swoim najśłodszym głosikiem typu otwórzmy-na-psalmie-dwudziestym-trzecim-i-zaśpiewajmy-razem. - Zwykle tak jest najlepiej.

Tak też Andy zrobił. Najpierw przypomniał Nortonowi szczegóły przestępstwa, za jakie został skazany. Potem powtórzył dyrektorowi dokładnie to, co usłyszał od Tommy'ego Williamsa. Ponadto podał nazwisko Tommy'ego, co w świetle późniejszych wydarzeń możecie uznać za nieroztropne, ale zapytam was, czy mógł postąpić inaczej, jeśli jego historia miała brzmieć wiarygodnie?

Kiedy skończył, Norton przez jakiś czas siedział w milczeniu. Jakbym go widział, zapewne wygodnie rozpartego w fotelu pod wiszącym na ścianie zdjęciem gubernatora Reeda, ze splecionymi palcami, wydętymi wargami, czołem zmarszczonym aż po mocno cofniętą linię włosów, błyskającego tym kościelnym odznaczeniem.

- Tak - rzekł w końcu. - To najdziwniejsza historyjka, jaką słyszałem w życiu.

Jednak powiem ci, co dziwi mnie najbardziej, Dufresne.

- Co takiego, sir?

- To, że się na nią nabrałeś.

- Sir? Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

I Chester powiedział, że Andy Dufresne, który trzynaście lat wcześniej bez zmruczenia oka stawiał czoło Byronowi, z trudem dobierał słowa.

- No cóż - rzekł Norton. - Dla mnie to oczywiste, że na tym młodym Williamsie wywarłeś wielkie wrażenie. Po prostu podziwia cię. Słyszy opowieść o twoim nieszczęściu i chce... powiedzmy, pocieszyć cię. To zupełnie naturalne. Młody człowiek, niezbyt bystry. Nic dziwnego, że nie wiedział, jak na to zareagujesz. Teraz proponuję...

- Myśli pan, że nie wziąłem tego pod uwagę? - zapytał Andy. - Nie mówiłem Tommy'emu o tym mężczyźnie pracującym na przystani. Nikomu nie mówiłem - nigdy nie przyszło mi to do głowy! Jednak opis podany przez Tommy'ego... idealnie pokrywa się z wyglądem tamtego!

- No cóż, pewnie to przypadek selektywnej percepcji zachichotał Norton. Ludzie zajmujący się penitencją muszą nauczyć się takich wyrażen jak „selektywna percepcja” i używają ich bez ograniczeń.

- Bynajmniej, sir.

- Takie jest twoje zdanie - rzekł Norton - ale nie moje. I pamiętajmy o tym, że mam jedynie twoje słowo na to, że taki człowiek w ogóle pracował w klubie Falmouth Hills.

- Nie, sir - znów przerwał mu Andy. - To nieprawda. Ponieważ...

- W każdym razie - zagłuszył go Norton, głośno i wyniośle - spójrzmy na to z innej strony, dobrze? Załóżmy - tylko załóżmy - że naprawdę był jakiś Elwood Blotch.

- Blotch - poprawił Andy.

- No dobrze, Blotch. I powiedzmy, że naprawdę siedział w Rhode Island w jednej celi z Tommym Williamsem. Prawdopodobnie do tej pory już wyszedł na wolność. Prawdopodobnie. Cóż, nawet nie wiemy, jak długo miał jeszcze siedzieć po wyjściu Williamsa, prawda? Wiemy tylko, że dostał od sześciu do dwunastu lat.

- Tak. Nie wiemy, ile odsiedział. Jednak Tommy mówił, że to kłopotliwy, niespokojny więzień. Sądzę, że są duże szanse, że nadal siedzi. Nawet jeżeli wyszedł, w więzieniu będą mieli jego ostatni znany adres, nazwiska krewnych...

- I oba tropy zapewne nic nie dadzą.

Andy przez chwilę siedział w milczeniu, a potem wybuchnął:

- Jednak jest jakaś szansa, prawda?!

- Tak, oczywiście. Tak więc na chwilę, Dufresne, załóżmy, że ten Blatch istnieje i nadal jest uwięziony w więzieniu stanowym Rhode Island. I co nam powie, kiedy przyjdziemy do niego z tymi rewelacjami? Czy upadnie na kolana, postawi oczy w słupek i zawoła: „Ja to zrobiłem! Ja! Proszę, dołóżcie mi do wyroku dożywocie!”?

- Jak pan może być tak ograniczony? - powiedział Andy tak cicho, że Chester ledwie go usłyszał. Jednak dobrze słyszał dyrektora.

- Co? Co powiedziałeś?

- Ograniczony! - zawołał Andy. - Robi pan to celowo?

- Dufresne, zająłeś mi pięć minut - nie, siedem - a mam dziś bardzo napięty plan dnia. Tak więc sądzę, że uznamy nasze spotkanie za zakończone i...

- W klubie golfowym będą mieli stare karty pracy, nie rozumie pan?! - krzyknął Andy. - Będą mieli kwity podatkowe, wu-dwa i formularze rozwiązania stosunku pracy z jego nazwiskiem! Znajdą się pracownicy, którzy go pamiętają, może nawet sam Briggs! To piętnaście lat, a nie wieki! Przypomną sobie! Będą pamiętali Blatcha! Jeżeli Tommy zezna, co Blatch mu powiedział, a Briggs zaświadczy, że Blatch naprawdę pracował w tym klubie, mogą wznowić proces! Mogę...

- Straż! Straż! Zabrać tego człowieka!

- Co się z panem dzieje?! - wykrzyknął Andy, a Chester opowiadał, że niemal wrzeszczał. - Chodzi o moje życie, moją szansę wydostania się stąd, nie rozumie pan?! A pan nawet nie chce wykonać jednego krótkiego telefonu, żeby chociaż sprawdzić opowieść Tommy'ego? Słuchaj pan, zapłacę za rozmowę! Zapłacę za...

Potem rozległy się odgłosy szamotaniny, gdy strażnicy złapali go i zaczęli wywlekać z gabinetu.

- Karczer - polecił dyrektor Norton. - Chleb i woda.

Wyciągnęli Andy'ego, który wciąż darł się na dyrektora; Chester mówił, że nadal było go słychać przez zamknięte drzwi:

- To moje życie! Moje życie! Nie rozumiesz, że chodzi o moje życie!

Andy przesiedział dwadzieścia dni o chlebie i wodzie. Po raz drugi wylądował w karczerze, a utarczka z Nortonem była jego pierwszym wykroczeniem, od kiedy dołączył do naszej szczęśliwej rodzinie.

Skoro już o tym mowa, opowiem wam trochę o karczerze w Shawshank. Kojarzy się z czymś z pionierskich czasów stanu Maine, na początku siedemnastego wieku. W

tamtych latach nikt nie tracił czasu na takie rzeczy jak „penitencja”, „rehabilitacja” czy „selektywna percepcja”. W owych czasach spoglądano na wszystko w czarno-białych barwach. Byłeś winny lub niewinny. Jeśli byłeś winny, to musiałeś wisieć albo iść do więzienia. A jeżeli skazano cię na więzienie, to nie umieszczano cię w budynku. Nie, sam kopaleś sobie więzienie w miejscu wskazanym przez władze Maine. Było tak szerokie i głębokie, jak zdołałeś je wykopać od wschodu do zachodu słońca. Potem dawali ci kilka skór i wiadro i rzucali do dołu. Kiedy już tam byłeś, klawisz nakrywał dół kratą i raz czy dwa razy na tydzień rzucał ci trochę ziarna albo zarobaczonego mięsa, a w niedzielę wieczorem chochlę owsianki. Sikaleś do wiadra i to samo wiadro nadstawiałeś, kiedy dozorca o szóstej rano rozdzielał wodę. Kiedy padało, używałeś wiadra do wylewania wody... o ile, oczywiście, nie chciałeś utonąć w niej jak szczur w beczce.

Nikt nie wytrzymał długo w „dziurze”, jak ją nazywano; trzydzieści miesięcy było zabójczym okresem i - o ile wiem siedem lat to rekordowy czas, jaki skazaniec zdołał w niej odsiedzieć i przeżyć. Dokonał tego „Chłopak z Durham”, czternastoletni psychopata, który wykastrował kolegę kawałkiem zardzewiałego metalu. Jednak wsadzono go tam, kiedy był silny i młody.

Musicie pamiętać, że za zbrodnie poważniejsze od drobnej kradzieży, bluźnierstwa lub niezapięcia rozporoka w sabat wieszano. Za lżejsze przestępstwa winny siedział od trzech do sześciu lub dziewięciu miesięcy w takiej dziurze i wychodził blady jak ściana, z lękiem przestrzeni, na wpół ślepy, z zębami rozchwianymi od szkorbutu i zagrzybionymi stopami. Miła prowincja Maine. Jo-ho-ho i butelka rumu.

Karcer Shawshank nie był aż tak zły... chyba. Ludzkie doświadczenia można podzielić na trzy rodzaje. Dobre, złe i okropne. A kiedy stopniowo pogrążasz się w coraz straszniejszych ciemnościach, coraz trudniej dokonywać rozróżnień.

Do karceru prowadziły dwadzieścia trzy stopnie w dół, do piwnicy, gdzie jedynym dźwiękiem było kapanie wody. Jedynym źródłem światła było kilka wiszących pod sklepieniem sześćdziesięciowatowych żarówek. Cele były beczkowate niczym sejfy, które bogaci ludzie czasem ukrywają za obrazami. Tak jak w tych sejfach, ich okrągłe drzwi były umocowane na zawiasach i pozbawione okienka. Z góry dochodziło powietrze, ale nie światło; sześćdziesięciowatowe żarówki były gaszone centralnym wyłącznikiem punktualnie o ósmej wieczorem, godzinę wcześniej niż w pozostałej części więzienia. Żarówki nie osłaniał zyrandol, drucziany koszyk ani

nic innego. Jeżeli miałeś ochotę siedzieć po ciemku, proszę bardzo. Niewielu tak robiło... jednak po ósmej, oczywiście, nie miało się wyboru. W celi była prycza przytwierdzona do ściany i metalowy pojemnik bez sedesu. Mogłeś spędzać czas na trzy sposoby: siedząc, srając lub śpiąc. Niezły wybór. Dwadzieścia dni dłużyło się jak rok. Trzydzieści jak dwa lata, a czterdzieści jak dziesięć. Czasem słychać było szczury kręcące się w kanałach wentylacyjnych. W takiej sytuacji trudno o subtelne rozróżnienia stopnia okropności.

Jeśli można powiedzieć coś dobrego o karcerze, to że człowiek ma w nim czas pomyśleć. Andy zastanawiał się nad swoją sytuacją dwadzieścia dni o chlebie i wodzie, a kiedy wyszedł, zażądał następnego widzenia z dyrektorem. Prośbę odrzucono. Takie spotkanie, oświadczył dyrektor, byłoby „bezproduktywne”. To jeszcze jedno z wyrażeń, jakie trzeba sobie przyswoić, zanim podejmie się pracę w zakładach karnych i poprawczych.

Andy cierpliwie ponowił prośbę. I jeszcze raz. I jeszcze. Zmienił się, ten Andy Dufresne. Nagle, gdy nadeszła wiosna tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, na jego twarzy pojawiły się bruzdy, a we włosach nitki siwizny. Zgubił gdzieś ten charakterystyczny, nieodłączny uśmiezek. Coraz częściej spoglądał nie widzącym wzrokiem, a kiedy ktoś patrzy w ten sposób, wiesz, że liczy odsiedziane lata, miesiące, tygodnie i dni.

Wciąż ponawiał swą prośbę. Był cierpliwy. Jedyne co miał, to czas. Chyba to było w lecie. W Waszyngtonie prezydent Kennedy obiecywał wzmożony atak na biedę i nierówne prawa, nie wiedząc, że zostało mu zaledwie pół roku życia. W Liverpoolu powstał nowy zespół pod nazwą The Beatles jako siła, którą miano utożsamiać z brytyjską muzyką, ale w Stanach pewnie nikt jeszcze o nich nie słyszał. Bostońscy Red Sox, wciąż cztery lata przed tym, co mieszkańcy Nowej Anglii nazwali „cudem sześćdziesiątego siódmego”, ślimaczyli się w dole tabeli. Wszystko to działo się w szerokim świecie, gdzie chodzili wolni ludzie.

Norton zobaczył się z nim pod koniec czerwca, a ich rozmowę powtórzył mi sam Andy jakieś siedem lat później.

- Jeżeli ma pan obawy, to bez powodu - powiedział ścisłym głosem do Nortona. - Sądzi pan, że mógłbym zacząć mówić? Poderżnąłbym sobie gardło. Jestem równie obciążony jak pan...

- Dostyc - przerwał mu Norton. Jego twarz była nieruchoma i zimna, jak płyta

nagrobka. Pochylił się w fotelu, aż tyłem głowy niemal dotykał napisu głoszącego DZIEŃ SĄDU NADEJDZIE NIEBAWEM.

- Ale...

- Nigdy więcej nie mów mi o pieniądzach - rzekł Norton. - Ani w tym gabinecie, ani nigdzie. Chyba że chcesz, aby ta biblioteka znów zmieniła się w magazyn farb. Rozumiesz?

- Próbowałem pana uspokoić, to wszystko.

- No cóż, kiedy taki skurwysyn jak ty będzie musiał mnie uspokajać, to pójdę na emeryturę. Zgodziłem się na to spotkanie, ponieważ mam dość nagabywań i chcę z tym skończyć. Jeżeli chcesz kupić ten most Brooklyński, Dufresne, to twoja sprawa - nie moja. Słyszałbym takie zwariowane historie jak twoja dwa razy w tygodniu, gdybym nadstawiał ucha. Każdy grzesznik w tym więzieniu chciałby wypłakać się na moim ramieniu. Żywiłem dla ciebie więcej szacunku. Teraz koniec z tym. Koniec. Rozumiemy się?

- Tak - rzekł Andy. - Wie pan, że wynajmę prawnika?

- A po cóż, na Boga Ojca?

- Sądzę, że zdołamy to jakoś poskładać - odparł Andy. Oświadczenia moje i Tommy'ego poparte dowodami w postaci dokumentów i zeznań pracowników klubu golfowego powinny wystarczyć.

- Tommy Williams nie jest już pensjonariuszem tego zakładu.

- Co?

- Został przeniesiony.

- Przeniesiony dokąd?

- Do Cashman.

Słyszac to, Andy zamilkł. Był inteligentny, a tylko kompletny głupiec nie wyczułby w tym znowy. Cashman było więzieniem o złagodzonej rygorze, daleko na północy, w okręgu Aroostook. Więźniowie kopią tam ziemniaki, co jest ciężką pracą, ale są dobrze opłacani i jeśli chcą, mogą uczestniczyć w zajęciach CVI, zupełnie przyzwoitym ośrodku kształcenia. Co ważniejsze dla takiego faceta jak Tommy, faceta z młodą żoną i dzieckiem, w Cashman dostaje się przepustki... a to oznacza możliwość życia jak normalny człowiek, przynajmniej w weekendy. Możliwość złożenia modelu samolotu z dzieckiem, pokochania się z żoną, wyjazdu na piknik.

Norton z pewnością pomachał tym przed nosem Tommy'ego, dodając: ani słowa więcej o Elwoodzie Blatchu, ani teraz, ani nigdy. Inaczej skończysz, odsiadując

w Thomaston z naprawdę twardymi facetami i zamiast z żoną, będziesz kochać się z jakąś siostrą.

- Ale dlaczego? - zapytał Andy. - Dlaczego...?

- Oddałem ci przysługę - odparł chłodno Norton - i porozumiałem się z Rhode Island. Rzeczywiście mieli tam pensjonariusza, który nazywał się Elwood Blatch. Uzyskał to, co określają ZW - zwolnienie warunkowe, w ramach jednego z tych zwariowanych, liberalnych programów zmierzających do wypuszczenia kryminalistów na ulice miast. Zniknął bez śladu.

- Tamtejszy dyrektor - zapytał Andy - pewnie jest pańskim przyjacielem?

Sam Norton obdarzył go uśmiechem zimnym jak łańcuszek od proboszczowego zegarka.

- Znamy się - przyznał.

- Dlaczego? - dociekał Andy. - Może mi pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił? Wiedział pan, że nic nie powiem o... niczym, co tu się dzieje. Wiedział pan. Zatem dlaczego?

- Ponieważ tacy jak ty budzą we mnie obrzydzenie wycedził Norton. - Chcę mieć pana tu, gdzie pan jest, panie Dufresne, i dopóki jestem dyrektorem Shawshank, zostanie pan tutaj. Widzisz, myślałeś, że jesteś lepszy od innych. Ja zawsze potrafię wyczytać to z czyjejś twarzy. Zobaczyłem to wypisane na twojej, kiedy pierwszy raz wszedłem do biblioteki. Równie dobrze mógłbyś to mieć napisane dużymi literami na czole. Teraz tego nie widzę i bardzo mi się to podoba. Nie chodzi tylko o to, że jesteś użytecznym narzędziem, nie myśl sobie. Po prostu tacy jak ty muszą nauczyć się pokory. No, chodziłeś sobie po dziedzińcu jak po salonie, do którego zaproszono cię na jedno z tych przyjęć, podczas których łajdacy dobierają się do cudzych żon, a mężowie upijają się jak wieprze. Teraz już tak nie chodzisz. Zobaczmy, czy znów zaczniesz. Przez następne lata będę cię obserwował z wielką przyjemnością. A teraz wynoś się stąd.

- Dobra. Jednak od tej pory skończą się wszystkie dodatkowe usługi, Norton. Doradztwo inwestycyjne, kanty, darmowe porady podatkowe. Koniec z tym. Idź do „H i R”, żeby ci powiedzieli, jak wypełnić formularz.

Dyrektor Norton poczerwieniał jak burak... a potem zbladł jak ściana.

- Za to wrócisz do karceru. Trzydzieści dni. Chleb i woda. Następna nagana. A siedząc tam, przemyśl to sobie dobrze: jeśli coś się skończy, to biblioteka też. Osobiście zadbam o to, żeby powróciła do stanu, w jakim była wcześniej. I uczynię

twoje życie... bardzo ciężkim. Bardzo trudnym. Będziesz miał odsiadkę najcięższą z możliwych. Na początek stracisz ten jednoosobowy Hilton w bloku C i ten zbiór kamieni na parapecie, a także wszelką ochronę strażników przed sodomitami. Stracisz... wszystko. Jasne?

Sądzę, że to było dostatecznie jasne.

Czas płynął dalej - najstarsza sztuczka na świecie i może jedyna naprawdę czarodziejska. Andy Dufresne jednak się zmienił. Stał się twardszy. Tylko tak mogę to ująć. Wciąż odwał brudną robotę dla dyrektora Nortona i pracował w bibliotece, pozornie więc wszystko pozostało tak samo. Nadal wypijał drinka na urodziny i na koniec roku, a resztę zawartości butelek oddawał innym. Od czasu do czasu załatwiałem mu nowe płachty polerskie, a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym nowy młotek skalny - ten, który przemyciłem mu dziewiętnaście lat wcześniej, jak już wam mówiłem, po prostu się zużył. Dziewiętnaście lat! Kiedy mówi się to tak nagle, tych pięć sylab brzmi jak łoskot zamykanych drzwi grobowca. Młotek skalny, który poprzednio kosztował dziesięć dolarów, w sześćdziesiątym siódmym podrożał już do dwudziestu dwóch. Skomentowaliśmy to smutnymi uśmiechami.

Andy w dalszym ciągu obrabiał i polerował kamyki znajdujące na spacerunku, ale sam dziedziniec był już mniejszy; do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego połowa terenu została wyasfaltowana. Najwidoczniej jednak Andy znajdował dość okazji, żeby mieć zajęcie. Każdy obrobiony kamyk kładł na parapecie okna, wychodzącego na wschód. Powiedział mi, że lubi patrzeć na nie w słońcu, te kawałki planety, które wybrał z kurzu i ukształtował. Łupki, kwarcy, granity. Zabawne, maleńkie rzeźby z miki, sklejone klejem modelarskim. Przeróżne osadowe zlepionce, wypolerowane i przecięte tak, że pozwalały dostrzec, dlaczego Andy nazywał je „tysiącletnimi kanapkami” - warstwy różnych materiałów osadzających się przez dekady i wieki. Od czasu do czasu Andy rozdawał swoje kamienie i rzeźby, żeby zrobić miejsce na następne. Ja chyba dostałem ich najwięcej - włącznie z kamykami wyglądającymi jak spinki, miałem ich pięć. Ponadto była jeszcze jedna z tych rzeźb z miki, o jakich wam mówiłem, starannie uformowana w postać oszczepnika, oraz dwa zlepionce, których wypolerowane do gładkości przekroje ukazywały wszystkie kolejne warstwy. Nadal je mam, często się im przyglądam i rozmyślam o tym, czego może dokonać człowiek, jeśli ma dość czasu i silnej woli.

Tak więc, przynajmniej pozornie, wszystko było jak dawniej. Jeżeli Norton

chciał złamać Andy'ego, tak jak groził, musiałby zajrzeć głębiej, żeby dostrzec tę zmianę. Gdyby się zorientował, jak bardzo Andy się zmienił, sądzę, że byłby zadowolony z tych czterech lat, jakie upłynęły od ich starcia.

Powiedział Andy'emu, że ten przechadza się po dziedzińcu, jakby był na przyjęciu. Nie ująłbym tego w ten sposób, ale rozumiem, co miał na myśli. Chodziło o to, o czym już mówiłem, że Andy zdawał się nosić niewidzialny płaszcz wolności i nigdy nie przyjął więziennej mentalności. Jego oczy nie nabrały tego tępego wyrazu. Nie chodził tak, jak ludzie wracający po całym dniu pracy do cel na kolejną nie kończącą się noc - powłóczący nogami, zgarbieni. Andy trzymał się prosto i szedł różnym krokiem, jakby wracał do domu na smaczny posiłek i spotkanie z miłą kobietą, a nie do pozbawionej smaku sałatki warzywnej, tłuczonych ziemniaków oraz kawałka czy dwóch tego tłustego, obrzydliwego czegoś, co większość więźniów nazywała zagadkowym mięsem... i zdjęcia Raquel Welch na ścianie.

Jednak w ciągu tych czterech lat, chociaż nie upodobił się do innych, Andy stał się milczący, zamyślony i posępny. I kto mógłby go o to winić? Tak więc może dyrektor Norton był zadowolony... przynajmniej przez jakiś czas.

Dobry humor wrócił mu podczas Pucharu Świata w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Był to wspaniały rok: Red Sox wygrali proporczyk, zamiast zająć dziewiąte miejsce, jak przewidywali bukmacherzy z Vegas. Kiedy tak się stało kiedy zdobyli proporczyk ligi amerykańskiej - w całym więzieniu zawrzało. Wszyscy poczuli, że skoro drużyna przezywana „Dead Sox” mogła wrócić do życia, to każdy może tego dokonać. Teraz nie potrafię wyjaśnić tego uczucia, zapewne tak samo jak były beatlesomaniak nie zdoła wytłumaczyć tamtego szaleństwa. Jednak tak było. Każde radio w więzieniu nadawało transmisje z meczów Red Sox. Zapanowała rozpacz, gdy stracili dwa punkty pod koniec meczu z Cleveland i radosna euforia, gdy Rico Petrocelli wykonał wspaniały rzut, niweczący przewagę przeciwników. Potem znów rozpacz, gdy Lonborg został pokonany w siódmym meczu Pucharu, co przyniosło kres marzeń tuż przed ich spełnieniem. Norton był pewnie bezgranicznie szczęśliwy, ten skurwysyn. Lubił swoich więźniów w workach pokutnych i z głowami posypanymi popiołem.

Jednak Andy nie pogrążył się znów w depresji. Może dlatego, że i tak nie był zagorzałym kibicem. Mimo to najwidoczniej udzielił mu się ogólny dobry nastrój, który nie opuścił go po ostatnim pucharowym meczu. Wyjął z szafy ten niewidzialny

płaszcz i znów go nałożył.

Pamiętam jeden jasny, słoneczny jesienny dzień pod sam koniec października, parę tygodni przed zakończeniem Pucharu Świata. Musiała to być niedziela, ponieważ na dziedzińcu było pełno więźniów odbywających „tygodniowy spacer” - rzucających frisbee, grających w piłkę, handlujących między sobą. Inni siedzieli przy długim stole w sali odwiedzin, pod czujnym wzrokiem strażników rozmawiając z bliskimi, paląc papierosy, opowiadając drobne kłamstewka, odbierając zrewidowane paczki.

Andy przykucnął po indiańsku pod ścianą, trzymając w dłoniach dwa małe kamyki, twarzą zwrócony do słońca. Było zadziwiająco ciepłe to słońce jak na tak późną porę roku.

- Cześć, Rudy! - zawołał. - Chodź i usiądź na chwilę.

Tak zrobiłem.

- Chcesz go? - zapytał i podał mi jedną z tych dwóch starannie oszlifowanych „tysiącletnich kanapek”, o jakich niedawno wam mówiłem.

- Pewnie - odparłem. - Jest bardzo ładny. Dziękuję.

Wzruszył ramionami i zmienił temat.

- W przyszłym roku czeka cię okrągła rocznica.

Skinąłem głową. W przyszłym roku miało mi minąć trzydzieści lat odsiadki. Sześćdziesiąt procent mojego życia spędziłem w więzieniu stanowym Shawshank.

- Sądzisz, że kiedyś wyjdiesz?

- Jasne. Gdy będę miał długą brodę i nierówno pod sufitem.

Uśmiechnął się lekko i znów obrócił twarz do słońca, zamykając oczy.

- Jak miło.

- Myślę, że tak jest zawsze, kiedy wiesz, że wkrótce znów nadejdzie ta cholerna zima.

Kiwnął głową i milczeliśmy przez jakiś czas.

- Gdy stąd wyjdę - rzekł w końcu Andy - udam się tam, gdzie zawsze jest ciepło.

Mówił z taką spokojną pewnością siebie, że pomyślałbyś, iż został mu tylko miesiąc czy dwa odsiadki.

- Wiesz dokąd pojedę, Rudy?

- Nie.

- Do Zihuatanejo - wyjaśnił, miękko i melodyjnie wymawiając to słowo. - To w Meksyku. Niewielka miejscina jakieś dwadzieścia mil od Playa Azul i meksykańskiej

autostrady trzydzieści siedem. Sto mil na północny zachód od Acapulco, na brzegu Oceanu Spokojnego. Wiesz, co Meksykanie mówią o Pacyfiku?

Odparłem, że nie.

- Powiadają, że on nie pamięta. Właśnie tam chcę dokonać żywota, Rudy. W ciepłym miejscu, które nie pamięta.

Mówiąc to, podniósł garść kamyków; teraz rzucał je, jeden po drugim, i patrzył, jak odbijają się i toczą po powierzchni boiska, które niedługo miało znaleźć się pod grubą warstwą śniegu.

- Zihuatanejo. Będę tam miał niewielki motel. Sześć domków przy plaży i sześć w głębi łądu, dla podróżnych jadących autostradą. Zatrudnię faceta, który będzie pływał z moimi gośćmi na czarterowe rejsy wędkarskie. Wyznaczę nagrodę dla tego, kto złowi największego marlina sezonu i powieszę jego zdjęcie w holu. To nie będzie motel dla rodzin z dziećmi. To będzie miejsce dla nowożeńców w podróży poślubnej... pierwszej lub drugiej kategorii.

- A skąd zamierzasz wziąć pieniądze, żeby kupić to bajkowe miejsce? - zapytałem. - Z konta w banku?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Niewiele się pomyliłeś - rzekł. - Czasami zdumiewasz mnie, Rudy.

- O czym ty mówisz?

- W obliczu nadchodzących kłopotów ludzie dzielą się na dwa rodzaje - rzekł Andy, osłaniając dłońmi zapalną i zapalając papierosa. - Załóżmy, że jest dom pełen rzadkich obrazów, rzeźb oraz pięknych antyków. I założmy, że właściciel domu usłyszał, że nadchodzi potworny huragan. Pierwszy rodzaj człowieka po prostu ma nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Huragan na pewno zmieni kierunek, myśli sobie. Żaden trzeźwo myślący huragan nie ośmieli się zniszczyć tych wszystkich Rembrandtów, Degasów, dzieł Granta Woodsa i Bentona. Co więcej, Bóg na to nie pozwoli. A nawet jeśli dojdzie do najgorszego, są ubezpieczone. To jeden rodzaj człowieka. Drugi założy, iż huragan przejdzie nad samym jego domem i rozwali go. Jeśli prognozy meteorologiczne podadzą, że huragan właśnie zmienił kierunek, ten facet uzna, iż zmieni go ponownie, żeby zrównać jego dom z ziemią. Ten drugi gość wie, że nie ma nic złego w tym, by oczekiwać najlepszego, o ile jesteś przygotowany na najgorsze.

Ja też zapaliłem papierosa.

- Mówisz, że byłeś przygotowany na najgorsze?

- Tak. Przygotowałem się na huragan. Wiedziałem, jak źle wyglądają sprawy. Los nie dał mi wiele czasu, ale dobrze go wykorzystałem. Miałem przyjaciela - chyba jedyną osobę, która mnie nie opuściła - pracującego dla towarzystwa inwestycyjnego w Portland. Umarł przed sześciu laty.

- Przykro mi.

- Taak. - Andy odrzucił niedopałek. - Linda i ja zgromadziliśmy prawie czternaście tysięcy dolarów. Niewiele, ale byliśmy młodzi, do diabła. Mieliśmy przed sobą całe życie.

Skrzywił się, a potem uśmiechnął.

- Kiedy gówno wpadło w wentylator, zaczął usuwać moje Rembrandty z drogi nadciągającego huraganu. Sprzedałem akcje i jak grzeczny chłopiec zapłaciłem podatek od kapitału. Zadeklarowałem wszystko. Nie szedłem na żadne skróty.

- Nie zamrozili twoich rachunków?

- Byłem oskarżony o morderstwo, Rudy, a nie martwy! Nie można zamrozić rachunków niewinnego człowieka dzięki Bogu. A chwilę trwało, zanim nabrali odwagi, żeby mnie oskarżyć. Jim - mój przyjaciel - i ja, mieliśmy trochę czasu. Sporo straciłem, sprzedając wszystko od ręki. Obdarli mnie ze skóry. Tyle że w tym czasie co innego było ważniejsze od małych strat na sprzedaży akcji.

- Taak, tak sądzę.

- Jednak kiedy przybyłem do Shawshank, wszystko było zabezpieczone. Nadal jest. Za murami, Rudy, jest facet, którego nikt nigdy nie widział na oczy. Ma legitymację ubezpieczeniową i prawo jazdy wystawione w stanie Maine. Ma metrykę. Nazywa się Peter Stevens. Miłe, anonimowe nazwisko, no nie?

- Kto to taki? - spytałem. Wiedziałem, co odpowie, ale nie mogłem w to uwierzyć.

- Ja.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zdołałeś załatwić sobie fałszywą tożsamość, kiedy przesłuchiwały cię gliny, albo że zrobiłeś to podczas procesu o...

- Nie, wcale tak nie twierdzą. To mój przyjaciel Jim załatwił mi te lewe papiery. Zajął się tym, gdy odrzucono moją apelację, i na wiosnę tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego zebrał już najważniejsze dokumenty.

- Musiał być bardzo dobrym przyjacielem - powiedziałem. Nie miałem pojęcia, ile z tego jest prawdą - trochę, dużo czy nic. Jednak dzień był ciepły i słoneczny, a historyjka dobra. Załatwienie takich dokumentów jest w stu procentach nielegalne.

- Był bardzo dobrym przyjacielem - powtórzył Andy. Walczyliśmy razem na wojnie. Francja, Niemcy, okupacja. Był dobrym przyjacielem. Wiedział, że to nielegalne, ale wiedział również, że załatwienie fałszywej tożsamości w tym kraju jest bardzo łatwe i pozbawione ryzyka. Wziął moje pieniądze, pieniądze z opłaconymi wszelkimi podatkami, żeby nie zainteresował się nimi urząd skarbowy - po czym zainwestował je na rzecz Petera Stevensa. Zrobił to w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym i pięćdziesiątym pierwszym. Dzisiaj jest tego trzysta siedemdziesiąt tysięcy dolarów z hakiem.

Pewnie moja szczeka łupnęła głośno, uderzając o pierś, bo uśmiechnął się.

- Pomyśl o wszystkich tych wspaniałych inwestycjach, jakie można było poczynić od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku - Peter Stevens zrobił jedną czy dwie z nich. Gdybym nie skończył tutaj, zapewne byłbym już wart siedem czy osiem milionów dolarów. Miałbym rolls-royce'a... i pewnie wrzód wielkości przenośnego radia.

Nabrał w dłonie piachu i zaczął odsiewać kolejne kamyki. Jego ręce poruszały się zreżymnie, nieustannie.

- Spodziewałem się najlepszego i szykowałem na najgorsze - nie inaczej. Fałszywe nazwisko miało tylko zabezpieczyć ten niewielki kapitał, jaki posiadałem. Chowałem obrazy przed huraganem. Jednak nie miałem pojęcia, że... że ten huragan potrwa tak długo.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Pewnie starałem się oswoić z myślą, że ten niepozorny, skromny człowiek siedzący ze mną w więzieniu ma więcej forsy niż dyrektor Norton zagarnie do końca swego nędznego życia, choćby nie wiem jak kantował.

- Widzę, że nie żartowałeś, mówiąc, iż możesz wynająć prawnika - powiedziałem w końcu. - Za taki szmal mógłbyś wynająć Clarence'a Darrowa czy kogokolwiek, kto teraz zajął jego miejsce. Czemu tego nie zrobiłeś, Andy? Chryste! Zniknąłbyś stąd w mgnieniu oka!

Uśmiechnął się. To był ten sam uśmiech, jaki zagościł na jego twarzy, gdy mówił, że on i jego żona mieli przed sobą całe życie.

- Nie - odparł.

- Dobry prawnik wyciągnąłby małego Williamsa z Cashman, czy ten chciałby tego, czy nie - ciągnąłem. Porwała mnie ta idea. - Mógłbyś mieć nowy proces, wynająć prywatnych detektywów, żeby odszukali tego Blatcha, i załatwić Nortona na cacy.

Dlaczego tego nie zrobiłeś, Andy?

- Ponieważ sam się przechytryłem. Gdybym kiedykolwiek spróbował dotknąć pieniędzy Petera Stevensa, siedząc w więzieniu, straciłbym je co do centa. Mój przyjaciel Jim mógłby to zaaranżować, ale on nie żyje. Rozumiesz, w czym problem?

Zrozumiałem. Te pieniądze, które tak bardzo przydałyby się Andy'emu, równie dobrze mogłyby należeć do kogoś innego. W pewnym sensie tak było. A gdyby akcje, w jakie je zainwestowano, nagle straciły wartość, Andy mógłby tylko bezradnie obserwować ich spadek, codziennie studiując kursy na giełdowych stronach „Press-Heralda”. Takie jest życie.

- Powiem ci coś, Rudy. W miasteczku Buxton jest wielka łąka. Wiesz, gdzie leży Buxton, prawda?

Powiedziałem, że tak. Tuż obok Scarborough.

- Zgadza się. A na północnym końcu tej łąki biegnie kamienny mur, jak żywcem wzięty z poematu Roberta Frosta. Gdzieś u podnóża tego muru jest głaz, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine. To kawałek wulkanicznego szkła, który do tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku pełnił rolę przycisku do papierów na moim biurku. Mój przyjaciel Jim umieścił go pod tym murem. Pod kamieniem znajduje się klucz. Ten klucz otwiera skrytkę depozytową w portlandzkim oddziale Casco Bank.

- No to chyba masz kłopot - rzekłem. - Kiedy twój przyjaciel zmarł, urząd skarbowy na pewno otworzył wszystkie schowki depozytowe. W obecności wykonawcy jego testamentu, oczywiście.

Andy uśmiechnął się i postukał palcem w moją skroń.

- Nieźle. Jest tu coś więcej niż budyń. Jednak zabezpieczyliśmy się na wypadek, gdyby Jim zmarł podczas mojego pobytu w więzieniu. Sejf jest wynajęty na nazwisko Petera Stevensa i raz na rok firma prawnicza ustanowiona wykonawcą testamentu Jima przekazuje Casco czek pokrywający koszt wynajęcia depozytu. Peter Stevens siedzi w tej kasetce, czekając, aż go wypuszczę. Jest tam jego metryka, legitymacja ubezpieczeniowa i prawo jazdy. Prawo jazdy jest przeterminowane o sześć lat, ponieważ Jim zmarł przed sześciu laty, ale w każdej chwili można je odnowić za opłatą pięciu dolarów. Są tam jego akcje, wolne od podatku skrypty miejskie i około osiemnastu obligacji na okaziciela po dziesięć tysięcy dolarów każda.

Gwizdnąłem.

- Peter Stevens jest zamknięty w skrytce depozytowej portlandzkiego oddziału

Casco Bank, a Andy Dufresne jest zamknięty w więzieniu stanowym Shawshank - rzekł. - Wet za wet. Klucz do sejfu, pieniędzy i nowego życia leży pod kawałkiem czarnej skały na łące w Buxton. Skoro powiedziałem ci tyle, Rudy, powiem ci coś jeszcze. Przez prawie dwadzieścia lat z nadzwyczajnym zainteresowaniem śledziłem wszelkie wzmianki w gazetach o jakichkolwiek pracach budowlanych w Buxton. Wciąż myślałem, że pewnego dnia przeczytam o budowanej tam autostradzie, wznoszonym szpitalu lub nowym centrum handlowym. O tym, że pogrzebali moje nowe życie pod dziesięcioma stopami betonu albo utopili je w bagnie razem z wywrotką ziemi.

- Jezu Chryste, Andy! - wybuchnąłem. - Jeżeli to prawda, to jak ci się udało nie oszaleć?

Uśmiechnął się.

- Jak dotąd na Zachodzie bez zmian.

- Przecież miną lata...

- Owszem. Jednak może nie tak wiele, jak sądzą władze i dyrektor Norton. Nie mogę czekać tak długo. Wciąż myślę o Zihuatanejo i tym małym moteliku. Tylko tego oczekuję teraz od życia, Rudy, i nie uważam, abym chciał zbyt wiele. Nie zabiłem Glenna Quintina, nie zabiłem mojej żony, a ten motel... to skromne marzenie. Pływać, opalać się, spać w pokoju z otwartymi oknami i przestrzenią... to skromne wymagania.

Odrzucił kamyki.

- Wiesz co, Rudy - dodał mimochodem. - W takim miejscu... potrzebowałbym człowieka, który potrafi wszystko załatwić.

Zastanawiałem się nad tym przez dłuższą chwilę. I wcale nie przeszkadzało mi to, że snuliśmy marzenia na górnianym, małym spacerniku pod okiem czujnie obserwujących nas z wieżyczek, uzbrojonych strażników.

- Nie nadaję się do tego - powiedziałem. - Nie nadaję się do życia na zewnątrz. Mam już typową mentalność więźnia. Tutaj jestem człowiekiem, który potrafi wszystko załatwić, taak. Jednak na zewnątrz każdy to potrafi. Tam, jeśli potrzebny ci plakat, młotek skalny, jakieś konkretne nagranie czy model statku w butelce, możesz go znaleźć na pieprzonych żółtych kartkach. Tutaj ja jestem pieprzonymi żółtymi kartkami. Nie wiedziałbym od czego zacząć. Ani jak.

- Nie doceniasz się - zaproponował. - Jesteś samoukiem, mądrym facetem. W dodatku, moim zdaniem, dość niezwykłym.

- Hej, nawet nie mam matury.

- Wiem - odparł. - Jednak to nie kawałek papieru stanowi o człowieku. I nie więzienie go łamie.

- Nie poradziłbym sobie na zewnątrz, Andy. Wiem.

Wstał.

- Przemyśl to - rzucił zdawkowo w tym samym momencie, gdy rozległ się gwizdek na zbiórkę. I odszedł, jakby był wolnym człowiekiem, który właśnie zaproponował coś drugiemu wolnemu człowiekowi. To wystarczyło, żebym przez chwilę również poczuł się wolny. Andy potrafił tego dokonać. Umiał sprawić, że zapomniałem o tym, iż obaj jesteśmy dożywotnimi, zdanymi na łaskę nieugiętej komisji zwolnień warunkowych i kochającego psalmy dyrektora, który chciał zatrzymać Andy'ego tam, gdzie był. W końcu Andy był jego maskotką umiejącą załatwiać zwroty podatków. Jakie zdolne zwierzę!

Jednak tej nocy w celi znów poczułem się jak więzień. Cała idea wydała mi się absurdalna, a wizja lazuruwej wody i białych plaż bardziej okrutna niż głupia - utkwiała w moim mózgu jak haczyk. Po prostu nie umiałem nosić tego niewidzialnego płaszcza Andy'ego. W końcu zasnąłem i śniłem o wielkim, szklistoczarным głazie na łące; o kamieniu w kształcie gigantycznego kowadła. Usiłowałem podnieść kamień i wydobyć ukryty pod nim klucz. Nie mogłem; głaz był cholernie ciężki.

A w oddali, lecz coraz bliżej, słyszałem wycie stada psów.

Sądzę, że w ten sposób doszliśmy do sprawy ucieczek.

Pewnie, zdarzały się od czasu do czasu w naszej szczęśliwej rodzinie. Jednak w Shawshank nie próbujesz przeskoczyć przez mur, jeśli masz chociaż odrobinę oleju w głowie. Reflektory błądzą przez całą noc, obmacując długimi białymi palcami otwartą przestrzeń otaczającą więzienie z trzech stron i cuchnące bagno z czwartej. Od czasu do czasu jakiś więzień wspina się na mur i prawie zawsze wpada w ich światło. Jeśli nie, łapią ich, kiedy usiłują zabrać się autostopem na drodze numer sześć lub dziewięćdziesiąt dziewięć. Jeśli próbują oddalić się pieszo, zauważa ich jakiś farmer i zawiadamia o miejscu ich pobytu. Więźniowie uciekający przez mur są głupimi więźniami. Shawshank to nie Canon City, ale w takiej wiejskiej okolicy człowiek obnoszący swój tyłek w szarej piżamie rzuca się w oczy jak karaluch na weselnym torcie.

W dziejach więzienia najlepiej poszło facetom - co może dziwić lub nie - którzy

uciekli pod wpływem nagłego impulsu. Paru wydostało się w koszach z pościelą; można by rzec, jako rodzaj więziennej kanapki. Podejmowano wiele takich prób, ale z biegiem lat coraz bardziej zacieśniali kontrolę.

Słynny program „wewnątrz-zewnątrz” dyrektora Nortona również zaowocował kilkoma uciezkami. Niektórzy więźniowie zdecydowali, że drugi człon tej nazwy podoba im się bardziej od pierwszego. I znów, w większości przypadków dochodziło do ucieczek pod wpływem nagłego odruchu. Ktoś rzucał grzebień do jagód i znikał w krzakach, gdy strażnik podszedł do ciężarówki napić się wody lub gdy dwaj inni zbyt szybko zapomnieli, dyskutując na temat wyniku ostatniego meczu rugby.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku więźniowie zbierali ziemniaki w Sabbatus. Był trzeci listopada i zbliżał się koniec pracy. Strażnik Henry Pugh - który, możecie mi wierzyć, nie jest już członkiem naszej szczęśliwej rodziny - siedział na tylnym zderzaku jednej z ciężarówek do transportu ziemniaków i jadł śniadanie, trzymając karabin na kolanach, kiedy piękny (a przynajmniej tak mi mówiono, jednak ludzie lubią czasem przesadzać) jelen-dziesiątak wynurzył się z zimnej mgły wczesnego popołudnia. Pugh ruszył za nim, oczami duszy widząc już wspaniałe trofeum na ścianie mieszkania, a w tym czasie trzech jego podopieczni po prostu sobie poszli. Dwóch złapano w salonie gier w Lisbon Falls. Trzeciego nie znaleziono do dziś dnia.

Chyba najsłynniejszy był przypadek Sida Nedeau. Ucieczka miała miejsce w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym i sądzę, że długo pozostanie najśmielszą. Sid malował linie na boisku baseballowym przed sobotnim meczem ligowym, kiedy o trzeciej po południu rozległ się gwizdek ogłaszający zmianę warty. Parking leży tuż obok boiska, za elektronicznie otwieraną główną bramą. O trzeciej brama otwiera się, jedni klawisze wchodzą, a drudzy wychodzą. Wymieniają uściski dłoni i docinki, uwagi na temat ostatnich rozgrywek i kilka starych, etnicznych żartów.

Sid po prostu wyjechał swoim wózkiem przez bramę, pozostawiając za sobą szeroką na trzy cale linię ciągnącą się od boiska do rowu po drugiej stronie szosy numer sześć, gdzie później znaleziono wywrócony wózek i kupkę kredy. Nie pytajcie mnie, jak to zrobił. Kawał chłopca, ponad sześć stóp w więziennym uniformie, i w dodatku zostawiał za sobą chmurę kredy. Domyślam się, że w to piątkowe popołudnie wszyscy schodzący ze zmiany strażnicy byli tak szczęśliwi, a obejmujący dyżur tak nieszczęśliwi, i z tego powodu ci pierwsi nie oglądali się za siebie, a ci drudzy nie odrywali oczu od ziemi... a stary Sid Nedeau po prostu przemknął się między nimi.

O ile wiem, Sid nadal jest na wolności. W ciągu tych lat Andy Dufresne i ja nieraz śmialiśmy się z tej wielkiej ucieczki Sida Nedeau, a kiedy usłyszeliśmy o porwaniu samolotu, którego porywacz wyskoczył na spadochronie razem z okupem, Andy przysięgał, że ten D. B. Cooper naprawdę nazywa się Sid Nedeau.

- I pewnie nosi w kieszeni garść kredy na szczęście mówił Andy. - Cholerny szczęściarz.

Jednak musicie zrozumieć, że takie przypadki jak Sida Nedeau albo gościa, który uciekł z kartofliska Sabbatus, są więzienną wersją głównej wygranej na irlandzkiej Wielkiej Konnej. Po prostu szereg różnych pomyślnych zbiegów okoliczności w tym samym momencie. Ktoś taki jak Andy mógł czekać dziewięćdziesiąt lat i nie doczekać się takiej okazji.

Może pamiętacie, że nieco wcześniej wspomniałem o niejakim Henleyu Backusie, nadzorującym pracę w pralni. Przybył do Shawshank w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim i umarł w więziennej izbie chorych trzydzieści jeden lat później. Lubował się w opowieściach o uciezkach i próbach ucieczek może dlatego, że nigdy nie odważył się sam spróbować. Potrafił opisać sto różnych planów ucieczki, samych poronionych i każdy z tych sposobów prędzej czy później wypróbowywano. Moją ulubioną była historia Beavera Morrisona, który usiłował zbudować lotnię w wytwórni tablic. Opierał się na opisie latawca znalezionym w książce z tysiąc dziewięćsetnego roku, a zatytułowanej „Zabawy i przygody współczesnego chłopca”. Beaver zdołał niepostrzeżenie zbudować latawiec, przynajmniej tak głosi wieść, ale odkrył, że w piwnicy nie ma drzwi dostatecznie dużych, żeby wynieść to cholerstwo na zewnątrz. Kiedy Henley opowiadał tę historię, pękałeś ze śmiechu, a znał co najmniej tuzin - nie, dwa tuziny - prawie równie śmiesznych.

Henley znał na pamięć najdrobniejsze szczegóły udanych ucieczek z Shawshank. Wyznał mi kiedyś, że za jego czasów miało miejsce ponad czterysta prób, o jakich wiedział. Pomyślcie o tym przez chwilę, zanim zaczniecie czytać dalej. Czterysta prób! To daje blisko trzysta prób na każdy rok pobytu Henleya Backusa w Shawshank. Istny Klub Najlepszej Ucieczki Miesiąca. Oczywiście, większość z nich była żałośnie nieudolna i kończyła się tym, że klawisz łapał takiego nieboraka za ramię i warczał: „A dokąd to, dupku?”.

Henley mówił, że jakieś sześćdziesiąt z nich można zaklasyfikować jako poważne próby. Do nich zaliczała się „masowa ucieczka” w tysiąc dziewięćset

trzydziestym siódmym, na rok zanim przybyłem do The Shank. Właśnie stawiano nowy budynek administracji i czternastu więźniów uciekło, korzystając ze sprzętu budowlanego przechowywanego w słabo zamkniętej szopie. W całym południowym stanie Maine wybuchła panika z powodu tych czternastu „zatwardziałych przestępców”, z których większość była śmiertelnie przerażona i nie miała zielonego pojęcia, dokąd biec - jak króliki schwymane w światła reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Ani jeden z tej czternastki nie zdołał uciec daleko. Dwaj zostali zastrzeleni - nie przez policję czy personel więzienia, ale przez cywilów - i żaden nie uszedł.

Ilu uciekło w okresie między moim przybyciem tu w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym do tego październikowego dnia, kiedy Andy po raz pierwszy wspomniął mi o Zihuatanejo? W świetle informacji zebranych przeze mnie i Henleya, twierdzą, że dziesięciu. Dziesięciu udało się uciec. I chociaż nie można tego wiedzieć na pewno, podejrzewam, że co najmniej pięciu z nich odsiaduje następne wyroki w innych więzieniach. Ponieważ stajesz się człowiekiem o więziennej mentalności. Kiedy pozbawicie człowieka wolności i nauczycie go żyć w celi, zdaje się tracić umiejętność myślenia w innych kategoriach. Jest jak wspomniany przeze mnie królik, zastygły w świetle reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki, która go rozjedzie. Bardzo często wychodzący na wolność więźni dokonuje jakiegoś idiotycznego przestępstwa, które nie ma jakichkolwiek szans powodzenia... a dlaczego? Żeby znów wylądować za kratami. Tam, gdzie rozumie logikę wydarzeń.

Andy nie był taki, ale ja tak. Pomysł zobaczenia Pacyfiku brzmiał nieźle, ale obawiałem się, że śmiertelnie przeraziłbym się, gdybym naprawdę go ujrzał - jego bezkres.

W każdym razie tego dnia, kiedy rozmawialiśmy o Meksyku i panu Peterze Stevensie... tego dnia zacząłem wierzyć, że Andy ma jakiś pomysł na wyrwanie się stąd. W Bogu pokładałem nadzieję, że jeśli tak, to będzie ostrożny, a mimo wszystko nie dawałem mu wielkich szans powodzenia. Widzicie, dyrektor Norton obserwował go szczególnie uważnie. Dla Nortona Andy nie był jeszcze jedną anonimową postacią z numerem; można powiedzieć, iż łączyła ich wspólna praca. Ponadto, Andy miał głowę i serce. Norton był zdecydowany wykorzystać pierwsze i zniszczyć drugie.

Tak jak na zewnątrz bywają uczciwi politycy - wierni tym, którzy ich wybrali - trafiają się uczciwi strażnicy więzienni, a jeśli jesteś dobrym sędzią charakterów i masz trochę forsy, pewnie mógłbyś postarać się, żeby któryś odwrócił głowę, kiedy dasz dyla. Nie powiem, że takie rzeczy nigdy się nie zdarzają, ale Andy Dufresne nie

mógłby tego zrobić. Ponieważ, jak powiedziałem, dyrektor Norton obserwował go. Andy wiedział o tym i klawisze też.

Nikt nie obejmie Andy'ego programem „wewnątrz-zewnątrz”, przynajmniej dopóki dyrektor Norton zatwierdza kandydatów. Andy zaś nie był typem człowieka, który próbowałby spontanicznej ucieczki tak jak Sid Nedeau.

Gdybym był na jego miejscu, myśl o kluczu dręczyłaby mnie bezustannie. Miałbym szczęście, gdyby udało mi się przespać w nocy choć dwie godziny bez przerwy. Buxton leżało niecałe trzydzieści mil od Shawshank. Tak blisko i tak daleko.

Nadal uważałem, że jego największą szansą było zatrudnić adwokata i starać się o wznowienie procesu. Cokolwiek, aby wyrwać się spod buta Nortona. Może przepustki wystarczyły, by zamknąć usta Tommy'emu Williamsowi, ale nie byłem tego pewien. Może dobry, twardy prawnik z Missisipi zdołałby go zmiękczyć... i może nawet nie musiałby się zbytnio starać. Williams naprawdę lubił Andy'ego. Co jakiś czas przypominałem o tych faktach Andy'emu, który tylko uśmiechał się patrząc w dal i mówił, że myśli o tym.

Najwidoczniej myślał także o wielu innych rzeczach.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym Andy Dufresne uciekł z Shawshank. Nie został schwytany i nie sądzę, by kiedykolwiek został. Prawdę mówiąc, uważam, że Andy Dufresne już nie istnieje. Jednak myślę, że w Zihuatanejo w Meksyku mieszka pewien człowiek nazwiskiem Peter Stevens. Zapewne w roku pańskim tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym prowadzi już całkiem nowy motel.

Powiem wam, co wiem i czego się domyślam; to wszystko co mogę zrobić, no nie?

Dwunastego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego drzwi cel oddziału piątego otwarto o wpół do siódmej jak co dzień, oprócz niedziel. I tak jak codziennie oprócz niedziel pensjonariusze wyszli na korytarz i sformowali dwuszereg, podczas gdy drzwi cel zamknęły się za ich plecami. Podeszli do głównej bramy oddziału, gdzie dwaj strażnicy przeliczyli ich przed odesłaniem do stołówki na śniadanie złożone z owsianki, jajecznicy i tłustego boczku.

Wszystko przebiegało rutynowo do czasu liczenia przed wyjściem z oddziału. Powinno być dwudziestu siedmiu więźniów. Było dwudziestu sześciu. Po rozmowie z kapitanem straży oddziałowi piątemu pozwolono iść na śniadanie.

Kapitan straży, niezły facet nazwiskiem Richard Gonyar i jego asystent, zwykły kutas Dave Burkes, od razu przyszli na piąty oddział. Gonyar ponownie otworzył drzwi cel i razem z Burkesem szli korytarzem, waląc pałkami o kraty, trzymając w dłoniach rewolwery. W takich przypadkach zwykle okazuje się, że ktoś rozchorował się w nocy tak ciężko, że rano nawet nie mógł wyjść z celi. Rzadziej okazuje się, iż ktoś umarł... lub popełnił samobójstwo.

Jednak tym razem, zamiast chorego czy martwego człowieka, znaleźli zagadkę. W celach nie było nikogo. Na oddziale piątym było czternaście cel, po siedem z każdej strony, wszystkie dobrze wysprzątane - ponieważ w Shawshank karą za bałagan w celi jest zakaz odwiedzin - i puste.

Z początku Gonyar podejrzewał, że to pomyłka w liczeniu albo jakiś żart. Tak więc zamiast po śniadaniu pójść do pracy, więźniowie z piątego oddziału zostali odesłani z powrotem do cel, co wywołało ogólną radość i wesołość. Każdy wyłom w więziennej monotonii jest zawsze mile widziany.

Otworzono cele, więźniowie weszli, zamknięto drzwi. Jakiś wesołek wrzasnął:

- Żądam widzenia z moim adwokatem, żądam widzenia z moim adwokatem; zachowujecie się, chłopcy, jakbyśmy byli w jakimś cholernym więzieniu!

Na to Burkes:

- Zamknij się albo ci przyrznę.

Wesołek:

- Przerżnąłem twoją żonę, Burkie.

Gonyar:

- Zamknijcie się, wszyscy, albo przesiedzicie tu cały dzień.

Razem z Burkesem znów ruszyli korytarzem, licząc obecnych. Nie musieli iść daleko.

- Kto siedzi w tej celi? - spytał Gonyar strażnika z nocnej zmiany.

- Andrew Dufresne - odparł strażnik i wtedy się zaczęło.

W tym momencie przestała to już być rutynowa sprawa. Bomba poszła w górę.

We wszystkich więziennych filmach, jakie widziałem, po wykryciu ucieczki natychmiast włączają syrenę. W Shawshank nigdy tego nie robią. Pierwsze co zrobił Gonyar, to zawiadomił dyrektora. Po drugie, zarządził poszukiwania na terenie więzienia. Po trzecie, zaalarmował policję w Scarborough o możliwej ucieczce.

Takie było rutynowe postępowanie. Nie wymagało przeszukania celi podejrzanego o ucieczkę, więc nikt tego nie zrobił. Wtedy. Dlaczego mieliby to robić?

Wszystko było widać jak na dłoni. Małe, kwadratowe pomieszczenie, z kratami w oknach i kratą przesuwanych drzwi. Kibel i pusta prycza. Kilka ślicznych kamieni na parapecie.

I plakat, oczywiście. Wtedy wisiała tam Linda Ronstadt. Plakat wisiał tuż nad pryczą. Znajdował się tam, dokładnie w tym samym miejscu, przez dwadzieścia sześć lat. I kiedy wreszcie ktoś - a poetycka sprawiedliwość losu sprawiła, że tym kimś okazał się sam dyrektor Norton - zajrzał pod ten plakat, doznał szoku.

Jednak to zdarzyło się dopiero o szóstej trzydziści wieczorem, prawie dwanaście godzin od wykrycia zniknięcia Andy'ego i zapewne dwadzieścia godzin od chwili jego ucieczki.

Norton wyszedł z siebie.

Słyszałem o tym z wiarygodnego źródła - od Chestera, oddziałowego, który tego dnia froterował podłogi w budynku administracji. Wcale nie musiał polerować uchem dziurki od klucza; mówił, że dyrektor ryczał na Gonyara tak, że było go słychać na końcu korytarza.

- Co to ma znaczyć, że „upewniłeś się, iż nie ma go na terenie więzienia”? Co to ma znaczyć? To oznacza, że go nie znaleźliście! Lepiej go znajdźcie! Dobrze radzę! Ponieważ chcę go widzieć! Słyszysz? Chcę go tu widzieć!

Gonyar powiedział coś.

- Nie na twojej zmianie? To ty tak twierdzisz. O ile mi wiadomo, nikt nie wie, kiedy to się stało. Ani jak. Ani czy naprawdę się stało. Słuchaj, chcę go tu widzieć w moim biurze o trzeciej po południu albo polecą głowy. Obiecuję ci to, a ja zawsze dotrzymuję obietnic.

Gonyar znów coś powiedział, coś, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Nortona.

- Nie? To patrz na to! Patrz na to! To wieczorny raport z oddziału piątego! Wszyscy więźniowie obecni! Dufresne został zamknięty wczoraj wieczorem o dziewiątej, więc niemożliwe, żeby go teraz nie było! Niemożliwe! Masz go znaleźć!

Jednak o trzeciej po południu Andy'ego nadal brakowało. Parę godzin później Norton osobiście wpadł na oddział piąty, z którego nie wypuszczano nas przez cały dzień. Czy nas przesłuchiowano? Przez większą część tego dnia przesłuchiwali nas zdenerwowani strażnicy, którzy czuli wiatr w podszwach. Wszyscy mówiliśmy to samo; niczego nie widzieliśmy, niczego nie słyszeliśmy. I o ile wiem, mówiliśmy prawdę. Wiem, że ja tak. Mogliśmy jedynie stwierdzić, iż Andy na pewno był w swojej

celi, kiedy ją zamykano i do zgaszenia świateł godzinę później.

Jeden żartowniś wyraził przypuszczenie, że Andy ulotnił się przez dziurkę od klucza. Żart kosztował go cztery dni karceru. Naprawdę byli wkurzeni.

Tak więc Norton wszedł - wkroczył - przesywając nas tymi niebieskimi oczami, które wydawały się krzesać iskry z hartowanej stali krat. Patrzył na nas tak, jakby uważał, że wszyscy braliśmy w tym udział. Pewnie naprawdę w to wierzył.

Wszedł do celi Andy'ego i rozejrzał się wokół. Była w takim stanie, w jakim pozostawił ją Andy - pościel na pryczy rozrzucona, ale nie wyglądało na to, żeby ktoś w niej spał. Kamienie na parapecie... ale nie wszystkie. Zabrał ze sobą te, które lubił najbardziej.

- Kamienie! - prychnął Norton i z trzaskiem zrzucił je z parapetu. Gonyar, który został po godzinach, skrzywił się, ale nic nie powiedział.

Spojrzenie Nortona padło na plakat Lindy Ronstadt. Linda oglądała się przez ramię, ręce trzymała w kieszeniach bardzo opiętych, beżowych spodni. Miała obcisłą koszulkę i piękną, kalifornijską opaleniznę. Ten plakat musiał głęboko ranić baptystowską skromność Nortona. Widząc, jak mierzy go gniewnym wzrokiem, przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział Andy: że ma wrażenie, iż mógłby wejść w to zdjęcie i być z dziewczyną.

I rzeczywiście dokładnie tak zrobił - co Norton miał odkryć za kilka sekund.

- Świństwo! - warknął i gwałtownym szarpnięciem zerwał plakat ze ściany.

Odsłaniając czarny otwór wybity w betonie pod zdjęciem.

Gonyar nie chciał tam wejść.

Norton polecił mu - Boże, chyba w całym więzieniu było słyhać, jak Norton nakazał Gonyarowi, żeby tam wszedł a on odmówił, bez ogródek.

- Wylecisz za to z roboty! - wrzasnął Norton. Histeryzował niczym stara baba. Zupełnie mu odbiło. Poczzerwieniał jak burak, a na czole wyszły mu dwie grube, pulsujące żyły. Możesz na to liczyć, ty... ty Francuzie! Wylecisz z roboty i postaram się, żebyś nigdy nie dostał innej pracy w żadnym więzieniu Nowej Anglii!

Gonyar w milczeniu podał Nortonowi swój służbowy pistolet, kolbą do przodu. Miał dość. Został dwie godziny po swojej zmianie, prawie trzy i miał dosyć. Wydawało się, że ucieczka Andy'ego przeważała szalę, pograżając Nortona w otchłani szaleństwa, które od dawna czyhało na jego duszę... tej nocy naprawdę oszalał.

Oczywiście, nie jestem ekspertem od ludzkich dusz. Jednak wiem, że tego

wieczoru, gdy ostatnie promienie słońca gasły; na zimowym niebie, utarczki Nortona z Gonyarem słuchało dwudziestu sześciu skazańców, samych długoterminowych twardzieli, którzy widzieli wielu dyrektorów, słabych i nieugiętych. Wszyscy wiedzieliśmy, że dyrektor Samuel Norton właśnie przekroczył coś, co inżynierowie określają jako „punkt krytyczny”.

Na Boga, miałem wrażenie, że słyszę śmiech Andy'ego Dufresnego.

Norton w końcu posłał jednego chudzielca z nocnej zmiany do otworu znalezionego za plakatem Lindy Ronstadt. Chudy strażnik nazywał się Rory Tremont i nie należał do szczególnie inteligentnych. Pewnie myślał, że dostanie Brązową Gwiazdę albo coś takiego. Okazało się, że Norton miał szczęście, posyłając kogoś o wzroście i budowie ciała Andy'ego; gdyby wszedł tam ktoś z wielkim tyłkiem - a przeważnie tacy są strażnicy jest jasne jak słońce na niebie, że utknąłby tam... i pewnie pozostał na zawsze.

Tremont wszedł tam z silną latarką na sześć baterii, owiązany w pasie nylonową liną, którą ktoś znalazł w bagażniku samochodu. Do tej pory Gonyar, który postanowił nie odchodzić z pracy i chyba jako jedyny potrafił jeszcze trzeźwo myśleć, postarał się o plany. Dobrze wiedziałem, co na nich zobaczył ścianę wyglądającą w przekroju jak kanapka. Mur liczył dziesięć stóp grubości. Warstwa zewnętrzna i wewnętrzna miały po cztery stopy. W środku była dwustopowa przestrzeń na rury i to było sedno sprawy... w niejednym znaczeniu tego słowa.

Z otworu dobiegł głos Tremonta, głuchy i zduszony.

- Coś tu strasznie śmierdzi, panie dyrektorze.

- Nieważne! Idź dalej.

Nogi Tremonta wsunęły się w otwór. Po chwili jego stopy również tam zniknęły. Światło słabo migotało w dziurze.

- Panie dyrektorze, śmierdzi naprawdę paskudnie.

- Nieważne, mówię! - krzyknął Norton.

Z głębi nadleciał żalostny głos Tremonta:

- Śmierdzi gównem. O Boże, to jest to, to gówno, o mój Boże, zabierzcie mnie stąd, zaraz rzygnę, o gówno, to gówno, o mój Booo...!

A potem charakterystyczny dźwięk świadczący o tym, że Rory Tremont zwrócił ostatnie posiłki.

No, miałem dość. Nie mogłem już wytrzymać. Wydarzenia tego dnia - nie,

całych trzydziestu lat - nagle stanęły mi przed oczami i zacząłem śmiać się do rozpuku, jak nie śmiałem się, od kiedy przestałem być wolnym człowiekiem! Dobry Boże, co za wspaniałe uczucie!

- Zabierzcie go stąd! - wrzeszczał dyrektor Norton, a ja śmiałem się tak serdecznie, że nawet nie wiedziałem, czy mówi o mnie, czy o Tremencie. Po prostu ryczałem ze śmiechu, majtałem nogami i trzymałem się za brzuch. Nie mogłbym przestać, nawet gdyby Norton zagroził, że zastrzeli mnie na miejscu. - Zabierzcie go!

No cóż, przyjaciele i sąsiedzi, to mnie zabrali. Prosto do karceru, gdzie zostałem przez piętnaście dni. Długo. Ilekroć jednak pomyślałem o biednym, starym, niezbyt bystrym Rorem Tremencie ryczącym „o gównu, to gówno”, a potem o Andym jadącym na południe w nowym samochodzie i garniturze, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Przez te piętnaście dni ani na chwilę nie opuszczał mnie dobry humor. Może dlatego, że duchem byłem z Andym Dufresnem, który przeszedł przez to gówno i wyszedł za murami; z Andym jadącym w kierunku Pacyfiku.

O reszcie wydarzeń owej nocy słyszałem z półtuzina różnych ust. Nie było wiele do opowiadania. Widocznie Rory Tremont uznał, że straciwszy obiad i kolację nie ma już nic do stracenia, ponieważ poszedł dalej. Nie groziło mu, że spadnie do szybu na rury między ścianą zewnętrzną a wewnętrzną; było tam tak ciasno, że Tremont musiał się przeciskać. Powiedział później, że ledwie mógł oddychać i zrozumiał, jak to jest być pogrzebanym żywcem.

Na dnie szybu znalazł główny kolektor ścieków z czternastu toalet oddziału piątego - fajansową rurę położoną tam trzydzieści trzy lata wcześniej. Była rozbita. Obok poszarpanego otworu Tremont znalazł młotek skalny Andy'ego.

Andy wydostał się na wolność, ale nie przyszło mu to łatwo.

Rura była jeszcze węższa niż szyb, którym opuścił się tam Tremont. Rory Tremont nie wszedł do niej i o ile wiem, nikt inny też tego nie zrobił. Musiało tam potwornie śmierdzieć. Tremont opowiadał później, że kiedy oglądał otwór i młotek, z dziury wyskoczył sznur wielkości cocker-spaniela. Strażnik wrócił na górę szybciej, niż zszedł.

Andy wszedł do tej rury. Może wiedział, że prowadziła do strumienia pięćset jardów za murami więzienia, przy bagnie po zachodniej stronie. Sądzę, że wiedział. Plany więzienia znajdowały się w budynku administracji i Andy mógł znaleźć sposób, żeby na nie spojrzeć. Był metodycznym facetem. Dowiedział się lub zobaczył, że ta

rura biegnąca z oddziału piątego była ostatnią w Shawshank nie podłączoną do nowej oczyszczalni, i wiedział, że musi wydostać się do połowy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego lub nigdy, ponieważ w sierpniu mieli podłączyć do niej i nas.

Pięćset jardów. Długość czterech boisk do rugby. Prawie pół mili. Przeczłogał się, może trzymając w ręce małą latarkę, może pudełko zapalek. Człogał się w odrażającym smrodzie, jakiego nawet nie mogę i nie chcę sobie wyobrazić. Możliwe szczury umykały przed nim, a może atakowały, ponieważ takie zwierzęta czasem nabierają odwagi w ciemności. Miał zaledwie tyle wolnej przestrzeni, by poruszać rękami, a w miejscach łączenia rur musiał się przeciskać. Ja na jego miejscu oszalałbym na skutek klaustrofobii. Jemu nic się nie stało.

Na drugim końcu rury znaleźli kilka śladów stóp wychodzących z mętnego, zanieczyszczonego potoku, do którego uchodziły ścieki. Dwie mile dalej tropiciele znaleźli jego więzienny uniform - dzień później.

Jak można było oczekiwać, ta historia ukazała się we wszystkich gazetach, ale nikt w promieniu piętnastu mil od więzienia nie zgłosił kradzieży samochodu, ubrania ani nie widział nagiego mężczyzny. Nawet wiejskie psy nie szczekały. Andy wyszedł z rury ściekowej i rozwiął się jak dym.

Jednak założyłem się, że ten dym poleciał w kierunku Buxton.

Trzy miesiące po tym pamiętnym dniu dyrektor Norton złożył rezygnację. Z przyjemnością donoszę, że był zupełnie załamany. Jego krok stracił dawną sprężystość. Przez ostatnie dni włókł się ze spuszczoną głową jak stary więzień idący do izby chorych po tabletki kodeiny. Jego miejsce zajął Gonyar, co Norton musiał odczuć jako najgorszą niesprawiedliwość. O ile wiem, Sam Norton przebywa teraz w Eliot, co niedziela chodząc na mszę do kościoła baptystów i zastanawiając się, jak - do diabła - Andy Dufresne zdołał go pokonać.

Mógłbym mu to wyjaśnić; odpowiedź na to pytanie jest niezwykle prosta. Niektórzy mają to w sobie, Sam. Inni nie i nigdy nie będą mieć.

Oto, co wiem; teraz powiem wam to, co przypuszczam. Mogę mylić się w kilku szczegółach, lecz jestem gotów założyć się o mojego ostatniego centa, że w ogólnym zarysie wszystko się zgadza. Ponieważ Andy był takim, a nie innym człowiekiem, mógł to zrobić tylko na jeden czy dwa sposoby. Kiedy o tym myślę, wciąż przypomina mi się Normaden, ten na pół zwariowany Indianin.

- Fajny gość - rzekł Normaden, który przez osiem miesięcy siedział w jednej celi z Andym. - Chętnie się przeniosłem. Paskudny przeciąg w tej celi. Wciąż zimno. On nie pozwala dotykać swoich rzeczy. Nie mam za złe. Fajny gość, nigdy mnie nie wyśmiewał. Tylko ten przeciąg.

Biedny stuknięty Normaden. Wiedział więcej niż my wszyscy i o wiele wcześniej. Minęło osiem miesięcy, zanim Andy pozbył się go z celi i znów miał ją dla siebie. Gdyby nie te osiem miesięcy, przez jakie dzielił ją z Normadenem zaraz po tym, jak dyrektorem został Norton, jestem przekonany, że Andy byłby wolny jeszcze przed ustąpieniem Nixona.

Teraz jestem pewien, że wszystko zaczęło się jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym - nie od młotka skalnego, tylko od plakatu z Ritą Hayworth. Mówiłem wam, jaki był zdenerwowany, gdy poprosił, żebym mu go załatwił; zdenerwowany i pełen tłumionego podniecenia. Wtedy uznałem, że to tylko zmieszanie, a Andy jest jednym z tych facetów, którzy nie chcą, aby ktoś wiedział o ich słabostkach i uczuciu do kobiety... szczególnie kobiety z obrazka. Jednak teraz myślę, że myliłem się. Teraz uważam, że wzburzenie Andy'ego wynikało z czegoś zupełnie innego.

Dzięki czemu powstała dziura, którą dyrektor Norton w końcu odkrył za plakatem dziewczyny, której jeszcze nie było na świecie, gdy robiono zdjęcie Rity Hayworth? Upór i ciężka praca Andy'ego Dufresnego, tak - nie mogę mu tego odmówić.. Jednak swoją rolę odegrały jeszcze dwa inne elementy: wiele szczęścia i beton WPA.

Chyba nie muszę wam wyjaśniać, dlaczego mówię o szczęściu. Natomiast beton WPA sprawdziłem osobiście. Poświęciłem trochę czasu, kilka znaczków i napisałem najpierw do Wydziału Historii Uniwersytetu Maine, a potem do gościa, którego adres mi podali. Ten facet nadzorował projekt WPA, w ramach którego wybudowano prawe skrzydło więzienia Shawshank.

To skrzydło mieszczące oddziały trzeci, czwarty i piąty zbudowano w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery - trzydzieści siedem. Cóż, większość ludzi nie uważa cementu i betonu za „technologiczne osiągnięcia” takie jak samochody, piece olejowe i rakiety, ale niesłusznie. Mniej więcej do tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku nie znano nowoczesnego cementu, a beton jest stosowany dopiero od początku dwudziestego wieku. Mieszanie betonu to proces równie delikatny jak pieczenie

chleba. Można dolać zbyt dużo lub zbyt mało wody. Można dosypać za dużo lub za mało piasku czy żwiru. A w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku nie umiano jeszcze tak dobrze dobierać proporcji jak dziś.

Mury oddziału piątego były dość solidne, ale nie były suche i twarde. Prawdę mówiąc, były i są cholernie mokre. Przy długotrwałych deszczach wilgotnieją, nierzadko kapie z nich woda. Pojawiały się w nich pęknięcia, czasem głębokie na cal. Regularnie je cementowano.

Na oddziale piątym zjawia się Andy Dufresne, absolwent Szkoły Biznesu Uniwersytetu Maine. W trakcie studiów uczęszczał też na wykłady z geologii. Prawdę mówiąc, geologia była jego największym hobby. Zapewne pasowała do jego cierpliwego, pedantycznego charakteru. Dziesięć tysięcy lat epoki lodowej tu. Milion lat procesu górotwórczego tam. Warstwy skalne przez millenia trące o siebie głęboko pod powierzchnią ziemi. Ciśnienie. Andy powiedział mi kiedyś, że geologia jest nauką opartą na badaniach ciśnienia.

I czasu.

On miał czas na zbadanie tych murów. Mnóstwo czasu. Kiedy zamykają się drzwi i gaśnie światło, człowiek nie ma co robić.

Nowiejusze zwykle z trudem przyzwyczajają się do zamkniętych przestrzeni więzienia. Dostają kręcka. Czasami trzeba ich zawlec na izbę chorych i kilkakrotnie podawać środki uspokajające, zanim przywykną. Często zdarza się, że jakiś nowy członek naszej szczęśliwej rodziniki zaczyna łomotać w kraty celi i wrzeszczeć, żeby go wypuścili... i niebawem tym krzykiem wtóruje chór głosów z innych cel: „Świeża rybka, rybeńka, świeża rybka, świeża, mamy dziś świeżą rybkę!”.

Andy nie załamał się po przyjsciu do The Shank w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, co nie oznacza, że nie czuł się podobnie. Mógł być bliski utraty zmysłów; niektórzy więźniowie wariują. Dawne życie znika w mgnieniu oka, a przed nimi tylko nie kończący się koszmar piekielnej udręki.

Cóż więc zrobił, pytam was? Rozpaczliwie szukał czegoś, czym mógłby zająć swój niespokojny umysł. Och, można chwytać się rozmaitych zajęć, nawet w więzieniu; wydaje się, że jeśli o to chodzi, pomysłowość ludzka jest wprost nieograniczona. Mówiłem wam o rzeźbiarzu i jego „Trzech postaciach Jezusa”. Byli kolekcjonerzy monet, które wciąż padały ofiarą złodziei, zbieracze znaczków, facet mający pocztówki z trzydziestu pięciu różnych krajów - i powiem wam, że udusiłby, gdyby przyłapał was na ich dotykaniu.

Andy zajął się kamieniami. I ścianami swojej celi.

Sądzę, że początkowo chciał tylko wyryć swoje inicjały na ścianie, w miejscu, gdzie niebawem zawisała Rita Hayworth. Inicjały, a może kilka wersów jakiegoś wiersza. Tymczasem odkrył interesująco słaby beton. Może zaczął ryć litery, przy czym odpadł spory kawałek muru. Jakbym widział Andy'ego, leżącego na pryczy, patrzącego na ten kawałek betonu, obracającego go w palcach. Nieważne, że twoje życie legło w gruzach i wylądowałaś tutaj w wyniku splotu nieprawdopodobnie pechowych okoliczności. Zapomnij o tym wszystkim i przyjrzyj się temu kawałkowi betonu.

Może kilka miesięcy później uznał, że warto sprawdzić, jak głęboki otwór w ścianie zdoła wybić. Jednak nie można tak po prostu zacząć kuć dziury, a potem, podczas tygodniowej inspekcji (albo jednej z tych niespodziewanych kontroli, które zawsze odkrywają schowaną wódkę, narkotyki, pornograficzne zdjęcia lub broń) powiedzieć klawiszowi:

- To? Mała dziurka w ścianie celi. Nie ma powodu do obaw.

Nie, nie mógł tego zrobić. Tak więc przyszedł do mnie i zapytał, czy mógłbym mu załatwić plakat z Ritą Hayworth. Nie ten mały, ale większy.

Ponadto, oczywiście, miał młotek skalny. Rzecz jasna, pamiętam, że kiedy załatwiłem mu to narzędzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, pomyślałem, że człowiek potrzebowałby sześćset lat, żeby czymś takim przebić się przez ścianę celi. To prawda. Chociaż Andy musiał przebić tylko połowę tej ściany - nawet przy tak miękkim betonie zużył na to dwa młotki oraz dwadzieścia siedem lat.

Jasne, większą część jednego roku stracił przez Normadena i mógł pracować tylko nocami, najlepiej późną nocą, kiedy prawie wszyscy śpią - włącznie ze strażnikami z nocnej zmiany. Jednak podejrzewam, że najbardziej spowalniała go konieczność pozbywania się kawałków odłupowanego betonu. Mógł stłumić odgłosy pracy owijając główkę młotka w płachty polerskie, ale co robić ze sproszkowanym betonem i kawałkami ściany?

Sądzę, że rozbijał kawałki na proszek i...

Pamiętam pewną niedzielę wkrótce po tym, jak wręczyłem mu młotek. Przyglądałem mu się, gdy szedł po dziedzińcu; twarz miał opuchniętą po ostatniej potyczce z siostrami. Widziałem, jak pochylił się, podniósł kamyk... który potem zniknął w jego rękawie. Taka kieszeń w rękawie to stara więzienna sztuczka. W rękawie albo w nogawce spodni. I przechowałem w pamięci jeszcze jedno

wspomnienie, chociaż niezbyt wyraźne, czegoś, co widziałem nieraz. Andy Dufresne idzie po spacerniaku w gorący letni dzień, kiedy nie ma wiatru. Nie ma... oprócz słabej bryzy, która zdaje się wzbijać kurz wokół nóg Andy'ego.

Tak więc prawdopodobnie miał ukryte kieszenie w spodniach, pod kolanami. Napęłniał je gruzem i chodził sobie, z rękami w kieszeniach, a kiedy czuł, że jest bezpieczny i nikt go nie obserwuje, lekko pociągał za podszewkę. Ona, rzecz jasna, była połączona sznurkiem lub mocną nitką z sekretnymi kieszeniami. Gruz wysypywał się z nogawek, kiedy Andy chodził po dziedzińcu. Tej sztuczki używali podczas drugiej wojny światowej jeńcy wojenni kopiący tunele.

Mijały lata i Andy po trosze przeniósł cały gruz na dziedziniec więzienia. Prowadził grę ze wszystkimi kolejnymi dyrektorami, którzy myśleli, że zależy mu tylko na powiększaniu zbiorów bibliotecznych. Nie wątpię, że Andy'emu zależało na tym, ale przede wszystkim chciał, aby cela numer czternaście na oddziale piątym miała tylko jednego lokatora.

Wątpię, czy miał jakieś sprecyzowane plany ucieczki, przynajmniej nie od początku. Zapewne zakładał, że ściana ma dziesięć stóp litego betonu, więc gdyby zdołał ją przebić, znalazłby się trzydzieści stóp nad podwórzem więzienia. Jednak, jak już mówiłem, nie jestem przekonany, czy specjalnie przejmował się taką ewentualnością. Zapewne rozumował następująco: posuwam się o stopę w ciągu mniej więcej siedmiu lat; musiałbym dożyć setki, żeby w tym tempie przebić się na zewnątrz.

Oto drugie założenie, jakie przyjąłbym na miejscu Andy'ego: że w końcu mnie przyłapią i wlepią dłuższą odsiadkę w karcerze, nie wykluczając nagany wpisanej do akt. W końcu co tydzień przeprowadzano inspekcje, nie mówiąc o wyrywkowych kontrolach - zwykle w nocy - mniej więcej co dwa tygodnie. Musiał dojść do wniosku, że taka zabawa nie może trwać długo. Prędzej czy później jakiś klawisz mógł zajrzeć za plakat Rity Hayworth, żeby sprawdzić, czy Andy nie przykleił tam taśmą zaostzonej rączki od łyżki czy kilku skrętów z marihuaną.

Tę drugą ewentualność musiał skwitować uwagą „Do diabła z tym”. Może nawet traktował to jak dobrą zabawę. Jak daleko zdołam dojść, zanim mnie przyłapią? Więzienie to cholernie nudne miejsce i ryzyko zaskoczenia przez wyrywkową kontrolę w środku nocy zapewne wywoływało lekki dreszczyk emocji.

Jestem przekonany, że to niemożliwe, by udało mu się tylko dzięki ślepemu trafowi. Nie przez dwadzieścia lat. Mimo wszystko jestem przekonany, że przez

pierwsze dwa - do połowy maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, kiedy pomógł Byronowi Hadleyowi obejść przepisy podatkowe po otrzymaniu spadku - właśnie tak było.

A może już wtedy polegał nie tylko na szczęściu. Miał pieniądze, więc może co tydzień odpalał komuś dołę, żeby przymykali oko. Większość strażników pójdzie na to, jeśli cena jest odpowiednia; oni mają pieniądze, a więzień może sobie zatrzymać swoją kolekcję nieprzyzwoitych obrazków albo parę skrętów. Ponadto Andy był wzorowym więźniem - cichym, spokojnym, pokornym i nie mającym skłonności do przemocy. Czubkom i histerykom przetrząsają cele co najmniej raz na pół roku, bebesząc materace, rozcinając poduszki, dokładnie sprawdzając otwory wlotowe rur kanalizacyjnych.

Potem, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, Andy stał się kimś więcej niż tylko modelowym więźniem. Przedzierzgnął się w mordercę umiającego lepiej wypełniać formularze podatkowe, niż firma H & R. Udzielał darmowych porad przy zakupie nieruchomości, znajdował luki w przepisach podatkowych, wypełniał wnioski kredytowe (czasem od A do Z). Pamiętam, jak siedział przy swoim biurku w bibliotece, cierpliwie omawiając punkt po punkcie wniosek o kredyt na zakup samochodu z gościem, który chciał kupić używany DeSoto. Wyjaśniał facetowi dodatnie i ujemne strony umowy, jak może zaciągnąć kredyt nie zarzynając się, ostrzegał przed towarzystwami pożyczkowymi, które w owych czasach z reguły działały na zasadzie zalegalizowanej lichwy. Kiedy skończył, klawisz wyciągnął do niego rękę... a potem szybko ją cofnął. Widzicie, przez moment zapomniał, że ma do czynienia z maskotką, a nie z człowiekiem.

Andy starał się być na bieżąco z przepisami podatkowymi i kursami akcji, więc z biegiem czasu wcale nie stawał się mniej użyteczny. Zaczął otrzymywać fundusze na bibliotekę, skończyła się jego wojna z siostrami i nikt nie przetrząsał jego celi. Był dobrym czarnuchem.

Potem, pewnego dnia, po dłuższym czasie - prawdopodobnie gdzieś w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego - hobby nagle okazało się czymś więcej. Pewnej nocy, kiedy tkwił po pas w dziurze ze zwisającą nad nim Raquel Welch, dziób młotka nagle aż po trzonek zagłębił się w beton.

Kilka kawałków betonu wciągnął z powrotem, ale zapewne słyszał, jak inne spadają do szybu, odbijając się z brzękiem od rury. Czy z góry wiedział, że ucieknie

tym szybem, czy też był zaskoczony? Nie mam pojęcia. Może wcześniej widział plany więzienia, a może nie. Jeśli nie, to możecie być cholernie pewni, że obejrzał je sobie niedługo potem.

Nagle zrozumiał, że zamiast niewinnej zabawy, gra o wysoką stawkę... jeśli mierzyć w kategoriach życia i przyszłości najwyższą. Nawet wtedy nie mógł jeszcze mieć pewności, lecz musiał już wiedzieć, o co toczy się ta gra, ponieważ właśnie wówczas po raz pierwszy powiedział mi o Zihuatanejo. Nagle, zamiast zabawki, ta głupia dziura w ścianie stała się jego panią - w każdym razie jeżeli wiedział o tej rurze na dole i o tym, że biegła pod zewnętrznym murem.

Przez całe lata martwił się o los tego klucza pod kamieniem w Buxton. Teraz musiał martwić się, że jakiś nadgorliwy strażnik zajrzy za plakat i odkryje otwór, że przydzielą mu współwięźnia albo - po tylu latach - przeniosą do innej celi. Musiał żyć z tym przez kolejne osiem lat. Mogę tylko powiedzieć, że był jednym z najbardziej opanowanych ludzi na świecie. Dręczony taką niepewnością, ja szybko dostałbym kręcka. Tymczasem Andy spokojnie robił swoje.

Przez następne osiem lat musiał żyć, biorąc pod uwagę ewentualność wpadki - a nawet jej wysokie prawdopodobieństwo, gdyż jakby się nie zabezpieczał, jako pensjonariusz więzienia stanowego nie miał w tym zakresie zbyt wielkich możliwości... tymczasem los sprzyjał mu bardzo długo; dziewiętnaście lat.

Najgorsze, co przychodzi mi do głowy, to gdyby Andy został wypuszczony warunkowo. Wyobrażacie to sobie? Trzy dni przed wyjściem na wolność zostałyby przeniesiony do skrzydła dla krótkoterminowych, w celu przeprowadzenia wnikliwych badań lekarskich i testów psychologicznych. W tym czasie jego stara cela zostałaby wysprządana. Zamiast wyjść warunkowo, Andy odbyłby długą drogę w dół - do karceru, a potem znów na górę... do innej celi.

Jeżeli dotarł do szybu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, to dlaczego uciekł dopiero w siedemdziesiątym piątym?

Nie wiem na pewno - ale mogę się domyślać.

Po pierwsze, musiał działać ostrożniej niż kiedykolwiek. Był zbyt sprytny, żeby rzucać się na oślep i próbować umknąć w ciągu ośmiu miesięcy, czy nawet osiemnastu. Powolutku poszerzał otwór w ścianie szybu. Dziura wielkości łyżeczki, zanim wypił noworocznego drinka. Otwór wielki jak talerz, nim napił się z okazji swoich urodzin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. O średnicy tacy śniadaniowej, kiedy rozpoczął się sezon piłkarski w sześćdziesiątym dziewiątym.

Przez jakiś czas uważałem, że powinno mu to pójść znacznie szybciej - to znaczy, kiedy już dotarł do szybu. Myślałem, że zamiast rozdrabniać gruz na proszek i wynosić go w ukrytych kieszeniach, które wam opisałem, mógł po prostu wsypywać go do szybu. Okres, jaki poświęcił na wybicie otworu, pozwala mi sądzić, że nie odważył się na to. Zapewne w obawie, że hałas obudzi czyjeś podejrzenia. A może, jeśli wiedział o tej rurze czego jestem pewien - bał się, że spadający odłamek może ją uszkodzić, psując system kanalizacyjny całego oddziału i powodując wszczęcie dochodzenia. Nie muszę zaś mówić, że dochodzenie byłoby katastrofą.

Mimo to podejrzewam, że otwór był dostatecznie szeroki, zanim Nixon został zaprzysiężony na drugą kadencję... albo jeszcze wcześniej. Andy był szczupłym facetem.

Dlaczego nie uciekł od razu?

W tym miejscu kończą się moje wszystkie poszlaki; mogę się tylko domyślić. Jedna możliwość, to że sama rura była zatkana gównem, które musiał usunąć. Jednak nie zajęłoby mu to aż tyle czasu. A więc dlaczego?

Myślę, że może Andy się bał.

Wyjaśniłem wam najlepiej, jak umiałem, co oznacza pojęcie „więzienna mentalność”. Z początku nie możesz znieść tych czterech ścian, potem przywykasz do nich, a w końcu akceptujesz je... a jeszcze później, gdy twoje ciało, umysł i duch przyzwyczajają się do życia w celi, zaczynasz je kochać. Mówią ci, kiedy jeść, kiedy możesz pisać listy, a kiedy palić. Podczas pracy w pralni lub wytwórni tablic co godzina masz pięć minut na pójście do łazienki. Przez trzydzieści pięć lat moja kolej przychodziła dwadzieścia pięć po i nadal tylko o takich porach mam ochotę sikać lub srać. A jeżeli z jakiegoś powodu tego nie zrobię, ochota przechodzi mi i wraca równo po godzinie.

Myślę, że może Andy walczył z tym tygrysem - więzienną mentalnością - a także z rosnącą obawą, że wszystkie te wysiłki mogą okazać się daremne.

Ile nocy przeleżał bezsennie pod tym plakatem, rozmyślając o rurze ściekowej, wiedząc, że to jedyna szansa? Z planów pewnie dowiedział się, jaka jest jej średnica, ale nie o tym, co zastanie w środku: czy zdoła w niej oddychać, czy szczury są na tyle duże i agresywne, by walczyć, a nie uciekać... ponadto plany nie mogły mu powiedzieć, co znajdzie na jej końcu, kiedy i jeśli tam dotrze. Oto możliwość jeszcze zabawniejsza niż zwolnienie warunkowe: Andy dostaje się do rury, przepelza pięćset jardów w dusznej, cuchnącej gównem przestrzeni i napotyka na końcu kratę z

grubego drutu. Ha, ha, bardzo śmieszne.

Andy musiał o tym myśleć. A jeśli ten daleki strzał rzeczywiście okaże się celny i wydostanie się na wolność, to czy zdoła zdobyć jakieś cywilne ciuchy i oddalić się niepostrzeżenie od więzienia? I w końcu, kiedy wydostanie się z rury, ucieknie z Shawshank, zanim straż podniesie alarm, dotrze do Buxton, zajrzy pod kamień i... nie znajdzie pod nim niczego? Niekoniecznie musiałoby to być coś tak dramatycznego, jak stwierdzenie po przybyciu na miejsce, że tymczasem na łące postawiono wielopiętrowy budynek albo zamieniono ją w parking przed supermarketem. Po prostu jakiś zbierający kamienie dzieciak mógł zauważyć kawałek czarnego szkliva, podnieść je, znaleźć klucz do skrytki i zabrać oba na pamiątkę. Listopadowy myśliwy mógł potknąć się o kamień, odrzucić go i odsłonić klucz, żeby potem porwała go wiewiórka lub wrona lubiąca błyskotki. Wiosenna powódź mogła przelać się przez murek i zmyć kluczyk. Wszystko mogło się stać.

Tak więc myślę - słusznie czy nie - że Andy przez jakiś czas zwlekał. W końcu, nie przegrasz, jeśli nie ryzykujesz. Pytacie, co miał do stracenia? Na przykład bibliotekę. Albo trujący spokój więziennego życia. Wszelkie szanse ewentualnego zwolnienia warunkowego.

Jednak w końcu to zrobił, jak już opowiedziałem. Spróbował i... o rany! Czy nie odniósł spektakularnego sukcesu? Powiedźcie sami.

Pytacie, czy naprawdę zdołał uciec? I co stało się potem? Co było, gdy wreszcie dotarł na tę łąkę i podniósł kamień... zakładając, że ten nadal tam był?

Nie mogę opisać wam tej sceny, ponieważ opowiada wam to więzień siedzący w więzieniu i prawdopodobnie mający pozostać w nim na zawsze.

Mimo to zdradzę wam coś. Pod koniec lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, dokładnie piętnastego września, dostałem pocztówkę wysłaną z maleńkiego miasteczka McNary w Teksasie. Ta miejscina leży tuż przy meksykańskiej granicy, dokładnie naprzeciw El Porvenir. Kartka nie zawierała żadnej wiadomości. Jednak wiedziałem. Byłem tego tak pewny jak tego, że wszyscy kiedyś umrzemy.

To tam przekroczył granicę. W McNary, w Teksasie.

Oto cała historia, koleś. Nie miałem pojęcia, jak długo będę ją spisywał ani ile stron zajmie. Zacząłem pisać tuż po tym, jak dostałem tamtą pocztówkę i kończę teraz, czternastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego. Zużyłem

prawie trzy ołówki i całą ryżę papieru. Trzymam te kartki dobrze schowane... chociaż i tak mało kto potrafiłby odczytać moje bazgroły.

Przywołałem w ten sposób więcej wspomnień, niż oczekiwałem. Pisanie o sobie bardzo przypomina wkładanie gałęzi w czysty nurt rzeki i gmeranie po mulistym dnie.

No, przecież nie pisałeś o sobie - słyszę głos z galerii. Pisałeś o Andym Dufresnem. Jesteś tylko drugoplanową postacią twojej własnej opowieści. Wiecie, to nie całkiem tak. Ta opowieść jest właśnie o mnie, każde jej cholerne słowo. Andy był tą częścią mnie, której nigdy nie zdołali zamknąć, częścią, którą odzyskam, gdy wreszcie otworzą mi bramę i wyjdę w moim tanim garniturku z dwudziestoma dolarami w kieszeni. Odzyskam ją, obojętnie jak stara, złamana i sterana będzie reszta. Sądzę, że Andy po prostu miał tego więcej niż ja i lepiej umiał wykorzystać.

Są inni podobni do mnie, inni pamiętający Andy'ego. Cieszymy się, że uciekł, ale i trochę nam smutno. Niektóre ptaki nie nadają się do życia w klatce, to wszystko. Ich pióra są zbyt barwne, śpiew zbyt słodki i głośny. Dlatego wypuszczacie je albo same wylatują, gdy otwieracie klatkę, żeby je nakarmić. I ta część was, która wie, że nie powinniście ich więzić, raduje się, a jednak po ich zniknięciu wasze mieszkanie jest o wiele smutniejsze i puste.

Oto cała historia i cieszę się, że ją opowiedziałem, nawet jeśli jest trochę nieprzekonująca i chociaż pewne wspomnienia, które spłynęły spod ołówka (jak gałęzi wtykanej do wody), sprawiły, że poczułem się starszy, niż naprawdę jestem. Dzięki, że mnie wysłuchaliście. Andy, jeśli naprawdę tam jesteś, w co wierzę, spójrz za mnie na gwiazdy po zachodzie, dotknij piasku, wejdź po kostki do wody i pocuj się wolny.

Nigdy nie spodziewałem się, że podejmę tę opowieść, tymczasem znowu patrzę na leżące przede mną na biurku, pomięte kartki o pozawijanych rogach. Dodam do nich jeszcze trzy lub cztery strony z zupełnie nowej ryży. Ryży, którą kupiłem w sklepie - po prostu wszedłem do sklepu przy Congress Street w Portland i kupiłem ją.

Myślałem, że zakończyłem moją opowieść w celi więzienia w Shawshank, w ten pośepny styczniowy dzień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Teraz jest maj siedemdziesiątego siódmego, a ja siedzę w małym, tanim pokoiku hotelu Brewster w Portland i uzupełniam ją.

Okno jest otwarte, a wpadający przez nie uliczny gwar jest głośny, ekscytujący i przytłaczający. Wciąż muszę spoglądać na to okno i upewniać się, że nie ma w nim krat. Kiepsko śpiam po nocach, ponieważ łóżko w tym hotelu, tanie jak wszystko

tutaj, wydaje mi się o wiele za duże i za miękkie. Każdego ranka budzę się punktualnie o szóstej trzydzieści, zdezorientowany i wystraszony. Mam złe sny. Mam okropne wrażenie spadania. To uczucie jest równie przerażające co wspaniałe.

Co się stało? Nie domyślcie się? Wypuścili mnie warunkowo. Po trzydziestu ośmiu latach rutynowych przesłuchań i rutynowych odmów (w czasie tych trzydziestu ośmiu lat umarli trzej moi kolejni adwokaci) wypuszczono mnie warunkowo. Pewnie doszli do wniosku, że mając pięćdziesiąt osiem lat, jestem już dostatecznie zużyty, by uznać mnie za niegroźnego.

Niewiele brakowało, a spaliłbym notatki, które teraz czytacie. Wychodzących warunkowo rewidują prawie tak dokładnie jak nowych więźniów. A oprócz wybuchowego materiału, który kosztowałby mnie natychmiastowy powrót do celi na kolejne sześć czy osiem lat, moje „wspomnienia” zawierały coś więcej: nazwę miasta, w którym moim zdaniem przebywa Andy. Meksykańska policja chętnie współpracuje z amerykańską, a nie chciałem, żeby moja wolność - czy niechęć do zrezygnowania z opowieści, nad którą tak długo i ciężko pracowałem - drogo kosztowała Andy'ego.

Potem przypomniałem sobie, jak Andy przemycił te pięćset dolarów w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym i w ten sam sposób wyniosłem moje zapiski. Na wszelki wypadek starannie przepisałem każdą stronę, na której wspomniałem o Zihuatanejo. Gdyby znaleziono te papiery podczas rewizji, zatrzymaliby mnie w The Shank... ale gliny szukałyby Andy'ego w nadmorskim peruwiańskim miasteczku Las Intrudres.

Komisja do spraw zwolnień warunkowych załatwiła mi pracę asystenta sprzedawcy w ogromnym supermarkecie FoodWay w Spruce Mall na południu Portland - co oznacza, że jestem jeszcze jednym podstarzałym chłopcem na posyłki. Jak wiecie, chłopcy na posyłki dzielą się na dwa rodzaje: starych i młodych. Nikt nie przygląda się ani jednemu, ani drugiemu. Jeżeli robicie, zakupy w FoodWay w Spruce Mall, mogłem odnosić wasze torby do samochodu... o ile byliście tam w okresie od marca do kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, ponieważ tylko wtedy tam pracowałem.

Z początku wydawało mi się, że nie będę umiał żyć na wolności. Opisałem więzienną społeczność jako pomniejszony model waszego świata, ale nie miałem pojęcia, w jakim tempie wszystko tutaj się dzieje; jak gwałtownie poruszają się ludzie. Nawet mówią szybciej. I głośniej.

Przyzwyczajenie się do tego było najtrudniejszą rzeczą, jaką musiałem zrobić w

życiu, i ten proces jeszcze się nie skończył... na pewno nie. Na przykład kobiety. Przez czterdzieści lat ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, że stanowią połowę ludzkiej rasy, aż tu nagle pracuję w sklepie, gdzie jest ich pełno. Staruszki, kobiety w ciąży i podkoszulkach ze strzałką skierowaną w dół i nadrukiem głoszącym TUTAJ DZIECKO, chude nastolatki w obcisłych koszulkach ukazujących sutki - kiedy mnie zamykali, kobieta nosząca coś takiego zostałaby aresztowana i wysłana na badania psychiatryczne - kobiety wszelkich kształtów i rozmiarów. Prawie przez cały czas chodziłem ze wzrodem i w myślach wyzywałem się od starych zbereźników.

Albo pójście do toalety. Kiedy musiałem iść (a czułem potrzebę zawsze dwadzieścia pięć po), walczyłem z przemożnym odruchem nakazującym zgłosić to szefowi. Wiedzieć, że w tym zbyt jasnym świecie w każdej chwili mogę pójść za potrzebą to jedno; przyzwyczać się do tego po tych wszystkich latach, kiedy musiałem zgłosić się do najbliższego strażnika albo spędzić dwa dni w karczerze... to zupełnie co innego.

Mój szef nie lubił mnie. Był młodym, dwudziestoparoletnim facetem, w którym budziłem wyraźne obrzydzenie, jak skulony pies, który czołga się na brzuchu, żeby go pogłaskać. Chryste, sam czułem do siebie obrzydzenie. Jednak... nie mogłem się powstrzymać. Chciałem mu powiedzieć: Oto, kim się stajesz, spędziwszy całe życie w więzieniu, młodzieńcze. Ono czyni każdego zwierzchnika panem, a ciebie jego psem. Siedząc w więzieniu, może nawet wiesz, że jesteś psem, ale ponieważ wszyscy wokół są nimi również, nie ma to większego znaczenia. Za murami - ma. Jednak nie mogłem mu tego powiedzieć.

I tak by nie zrozumiał. Tak samo jak mój kurator, wielki, gadatliwy eksmarynarz z gęstą rudą brodą i zapasem polskich dowcipów. Widywałem się z nim co tydzień przez pięć minut.

„Trzymasz się z daleka od barów*?” - pytał, kiedy opowiedział mi kawały. Mówiłem, że owszem, i na tym kończyło się spotkanie - do następnego tygodnia.

Muzyka radiowa. Kiedy mnie zamknęli, wielkie orkiestry po prostu dawały czadu. Teraz każdy utwór brzmi tak, jakby był o pieprzeniu. I tyle samochodów. Z początku za każdym razem, gdy przechodziłem przez jezdnię, miałem wrażenie, że ryzykuję życie.

Były też inne sprawy - wszystko było dziwne i przerażające - ale może łapiecie

* Gra słów. Słowo *bars* w języku angielskim oznacza zarówno bary, jak kraty (przyp. tłum.).

już, o co mi chodzi, przynajmniej trochę. Zacząłem zastanawiać się, czy nie zrobić czegoś, za co zamknęliby mnie znowu. Kiedy jesteś na zwolnieniu warunkowym, wystarczy byle co. Wstyd powiedzieć, ale przemyślałem o tym, żeby ukraść pieniądze z kasy albo towar z półek supermarketu - cokolwiek, byleby wrócić tam, gdzie jest spokojnie i człowiek dobrze wie, co czeka go każdego kolejnego dnia.

I pewnie zrobiłbym to, gdybym nie znał Andy'ego. Wciąż rozmyślałem o nim, jak latami cierpliwie odłupywał kawałki betonu, żeby wydostać się na wolność. Myślałem o nim, aż poczułem wstyd i porzuciłem pomysł powrotu. Och, możecie powiedzieć, że miał lepsze powody ode mnie, żeby pragnąć wolności - nową tożsamość i kupę pieniędzy. Jednak to niezupełnie prawda. Ponieważ on nie wiedział na pewno, że ta nowa tożsamość czeka na niego, a bez niej pieniądze na zawsze pozostałyby poza jego zasięgiem. Nie, on po prostu chciał być wolny, więc gdybym odrzucił moją wolność, to jakbym splunął na wszystko to, co on z takim wysiłkiem odzyskał.

Tak więc zacząłem jeździć autostopem do Buxton. Stało się to na początku kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, kiedy śnieg zaczął topnieć na polach, zrobiło się cieplej, a drużyny piłkarskie wracały na północ, żeby otworzyć nowy sezon rozgrywek tej jedynej z gier, jaką moim zdaniem aprobeje Pan Bóg. Jeżdżąc na te wyprawy, zawsze miałem w kieszeni kompas.

„W miasteczku Buxton jest wielka łąka - powiedział Andy - a na północnym końcu tej łąki biegnie kamienny mur, jak wyjęty z poematu Roberta Frosta. Gdzieś u podnóża tego muru jest głaz, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine”.

Robota głupiego, powiecie. Ile łąk może rozciągać się wokół takiego niewielkiego miasteczka jak Buxton? Pięćdziesiąt? Sto? Mówiąc z własnego doświadczenia, powiedziałbym, że nawet więcej, jeśli dodać zrekultywowane pola, które za czasów Andy'ego mogły być łąkami. Gdybym ominął właściwą, nawet bym tego nie zauważył. Ponieważ mogłem przegapić ten kawałek czarnego, wulkanicznego szkliwa albo - co bardziej prawdopodobne - Andy mógł je schować do kieszeni i zabrać ze sobą.

Tak więc przyznaję wam rację. Głupiego robota, niewątpliwie. Gorzej, bo niebezpieczna dla człowieka na zwolnieniu warunkowym, ponieważ na niektórych polach ustawiono tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY. A jak już mówiłem, kiedy jesteś na zwolnieniu warunkowym, za byle co z przyjemnością posadzą cię z powrotem. Robota głupiego... tak samo jak rozbijanie betonowej ściany przez

dwadzieścia siedem lat. A kiedy już nie jesteś człowiekiem, który wszystko może załatwić, a tylko starym chłopcem na posyłki, dobrze mieć jakieś hobby, które oderwie myśli od takiego życia. Moim hobby stało się szukanie kamienia Andy'ego.

Jeździłem więc autostopem do Buxton i chodziłem po drogach. Słuchałem ptaków, plusku strumyków w przepustach, oglądałem butelki odsłonięte przez topniejący śnieg - przykro powiedzieć, ale same bezużyteczne, bezzwrotne; gdy siedziałem w mamrze, na świecie zapanowało okropne marnotrawstwo i szukałem łąk.

Większość mogłem wyeliminować od razu. Brak kamiennego muru. Inne miały takie murki, lecz kompas pokazywał mi, że biegną w złym kierunku. Na wszelki wypadek sprawdzałem i te. To było przyjemne zajęcie i podczas tych wypraw czułem się wolny, pogodzony ze światem. W którąś niedzielę towarzyszył mi stary pies. Innym razem widziałem wychudłego po zimie jelenia.

Potem nadszedł dwudziesty trzeci kwietnia, dzień, którego nigdy nie zapomnę, choćbym żył następne pięćdziesiąt osiem lat. Było ciepłe sobotnie popołudnie i szedłem drogą, którą chłopczyk łowiący z mostu ryby nazwał „Drogą Starego Kowala”. W brązowej reklamówce FoodWay miałem drugie śniadanie i zjadłem je, siedząc na przydrożnym kamieniu. Potem starannie zakopałem śmieci, jak nauczył mnie tato, zanim umarł, gdy byłem malcem nie większym od tego wędkarza, który podał mi nazwę drogi.

Około drugiej doszedłem do wielkiego pola po lewej stronie drogi. Na jego drugim końcu wznosił się murek, biegnący mniej więcej na północ. Podeszedłem tam, grzęznąc w mokrej ziemi i zacząłem iść wzdłuż muru. Siedząca na dębie wiewiórka obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

Przebywszy trzy czwarte drogi, zobaczyłem ten kamień. Nie było mowy o pomyłce. Czarne szkliwo, gładkie jak jedwab. Kamień, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine. Przez dłuższą chwilę spoglądałem nań, czując, że zaraz się rozplącę - nie wiem dlaczego. Wiewiórka przyszła za mną i hałasowała w gałęziach. Serce waliło mi jak szalone.

Kiedy wziąłem się w garść, podeszedłem do kamienia, kucnąłem obok niego - w stawach kolanowych trzasnęło mi jak z dubeltówki - i położyłem na nim dłoń. Był prawdziwy. Nie podniosłem go, gdyż myślałem, że niczego pod nim nie ma; mogłem równie dobrze odejść i nie dowiedzieć się, co znajdowało się pod spodem. Na pewno nie zamierzałem zabrać go ze sobą, ponieważ uważałem, że nie należy do mnie -

miałem wrażenie, że zabranie tego kamienia z tego pola byłoby najnikczemniejszą kradzieżą. Nie, podniosłem go tylko dlatego, żeby go poczuć w dłoni, zważyć ciężar i dowieść jego realności, dotykając jedwabistej powierzchni.

Musiałem długo wpatrywać się w to, co było pod nim. Widziałem, ale umysł potrzebował czasu, żeby to pojąć. Koperta, starannie owinięta w foliowy woreczek, chroniący ją przed wilgocią. Widniało na niej moje nazwisko skreślone starannym pismem Andy'ego.

Wziąłem kopertę i położyłem kamień tam, gdzie zostawił go Andy, a wcześniej jego przyjaciel.

Drogi Rudy!

Jeżeli czytasz te słowa, to jesteś na wolności. Tak czy inaczej, jesteś na wolności. A jeśli dotarłeś aż tutaj, to może zechcesz pojechać jeszcze dalej. Myślę, że pamiętasz nazwę miasta, no nie? Przydałby mi się dobry człowiek, który pomógłby mi wszystko rozruszać.

Tymczasem wypij moje zdrowie - i przemyśl to. Będę na Ciebie czekał. Pamiętaj, Rudy, że nadzieja to dobra rzecz, może najlepsza ze wszystkich, a to, co dobre, nigdy nie umiera.

Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

Twój przyjaciel,

Peter Stevens

Nie czytałem tego listu na łące. Ogarnął mnie strach, chęć ucieczki stamtąd, zanim ktoś mnie zauważy. Kwitując moje zachowanie żartem słownym, powiem, że nie chciałem tego pojąć ani zostać pojmany.

Wróciłem do hotelu i przeczytałem list w moim pokoju, a z dołu nadlatywał zapach obiadowych dań dla staruszków peperoni, ryżoroni, kluchoroni. Można się założyć, że cokolwiek jadają teraz amerykańscy staruszkowie, ci ze stałymi przychodami, niemal na pewno kończy się na „roni”.

Otworzyłem kopertę, przeczytałem list, a potem ukryłem twarz w dłoniach i zapłakałem. W kopercie było dwadzieścia nowych banknotów pięćdziesięciodolarowych.

I oto jestem tu, w hotelu Brewster, teoretycznie znów jako przestępca poszukiwany przez organa sprawiedliwości tym razem za pogwałcenie warunków

zwolnienia. Sądzę, że nikt nie zarządzi blokady dróg, aby schwytać kryminalistę ściganego za coś takiego - i zastanawiam się, co robić dalej.

Mam ten rękopis. Mam małą walizeczkę, podobną do lekarskiej torby, w której mieści się wszystko, co posiadam. Mam dziewiętnaście pięćdziesiątek, cztery dziesiątki, piątkę, trzy jednodolarówki i trochę drobnych. Rozmieniłem jeden banknot, żeby kupić ten papier i paczkę fajek.

Zastanawiam się, co powinienem zrobić.

Chociaż to niezbyt skomplikowane. Rzecz zawsze sprowadza się do dwóch możliwości. Zacząć żyć lub zacząć umierać.

Najpierw schowam ten rękopis z powrotem do walizeczki. Potem zamknę ją, wezmę płaszcz, zejść na dół i wymelduję się z tej zapchlonej nory. Później wejdę do baru, położę przed barmanem pięciodolarówkę i powiem, żeby nalał mi dwie szklaneczki Jacka Danielsa - jedną za mnie, a drugą za Andy'ego Dufresnego. Poza jednym czy dwoma piwkami, będą to pierwsze od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku drinki, jakie wypiję jako wolny człowiek. Potem dam dolara napiwku barmanowi i uprzejmie mu podziękuję. Opuszczę bar i pójdę Spring Street na dworzec linii Greyhound, gdzie kupię bilet na autobus do El Paso przez Nowy Jork. Kiedy dojadę do El Paso, kupię bilet do McNary. A kiedy dotrę do McNary, przekonamy się, czy taki stary cwaniak jak ja zdoła przepłynąć rzekę i dostać się do Meksyku.

Pewnie, że pamiętam nazwę tego miasta. Zihuatanejo. Taka nazwa jest zbyt piękna, żeby ją zapomnieć.

Widzę, że jestem podniecony tak bardzo, że ledwie mogę utrzymać ołówek w drżącej dłoni. Sądzę, że takie podniecenie może odczuwać tylko wolny człowiek, wolny człowiek rozpoczynający podróż ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Mam nadzieję, że Andy tam jest.

Mam nadzieję, że uda mi się przekroczyć granicę.

Mam nadzieję, że spotkam tam przyjaciela i uścisknę mu rękę.

Mam nadzieję, że Pacyfik jest tak błękitny, jak w moich snach.

Mam nadzieję.

LATO
ZEPSUCIA

Elaine Koster i Herbertowi Schnallowi

ZDOLNY UCZEŃ

1

Kiedy tak pedałowal po willowej podmiejskiej ulicy na swoim rowerze marki Schwinn, z dwudziestosześciocalowymi kołami oraz wyścigową kierownicą, wyglądał jak typowy amerykański nastolatek: Todd Bowden, lat trzynaście, pięć i pół stopy wzrostu i sto czterdzieści funtów żywej wagi, o włosach barwy dojrzałej pszenicy, białych zębach i skórze pokrytej świeżą opalenizną, nie poznaczoną jeszcze pierwszymi śladami trądziku.

Uśmiechał się beztrąsko, pedałowując w smugach słońca i cienia niedaleko swojego domu. Wyglądał jak chłopiec, który rozwozi gazety, i prawdę mówiąc, robił to - kolportował w Santo Donato „Clarion”. Ponadto zajmował się sprzedażą kartek z życzeniami - takich, na których umieszczono wasze nazwisko, na przykład JACK i MARY BURKE, DON i SALLY albo MURCHISONOWIE. Wyglądał na chłopca, który gwizdże przy pracy, i często to robił, a gwizdał bardzo ładnie. Jego ojciec był inżynierem architektem i zarabiał czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Matka ukończyła z wyróżnieniem romanistykę i poznała ojca Todda, kiedy rozpaczliwie potrzebował korepetytorki. W wolnych chwilach zajmowała się maszynopisaniem. Przechowywała w teczce wszystkie świadectwa szkolne Todda. Jej ulubionym było świadectwo z czwartej klasy, na którym pani Upshaw dopisała: „Todd jest niezwykle zdolnym uczniem”. I był nim. Same szóstki i piątki od góry do dołu. Gdyby miał lepsze wyniki - na przykład same szóstki - jego przyjaciele mogliby go uznać za dziwaka.

Teraz zatrzymał się przed numerem 963 przy Claremont Street i zsiadł z

roweru. Był to niewielki, biało otynkowany bungalow z zielonymi okiennicami i belkowaniem, ukryty wśród zieleni. Od frontu otaczał go starannie utrzymany żywopłot.

Todd odgarnął opadające na oczy jasne włosy i poprowadził schwinna wybetonowanym podjazdem do schodów. Wciąż uśmiechał się beztrudnie, jak przystało na wakacje. Oparł rower, a potem podniósł złożoną gazetę z ostatniego schodka. Nie był to „Clarion”, lecz „Times”, wydanie z Los Angeles. Wsunął go pod pachę i wszedł na schody. Wejścia do bungalowu broniły solidne drewniane drzwi bez okienka, za siatką przeciw owadom. Na futrynie z prawej strony znajdował się przycisk dzwonka, a pod nim dwie tabliczki, obie starannie przykręcone do drewna i pokryte plastykiem chroniącym je przed pożółknięciem i zamoczeniem. Niemiecka dokładność, pomyślał Todd i uśmiechnął się jeszcze szerzej. To była dorosła myśl, a zawsze gratulował sobie w duchu, kiedy przyszło mu do głowy coś takiego.

Górna tabliczka głosiła: ARTHUR DENKER.

Dolna informowała: ŻADNYCH KWESTORÓW, AJENTÓW I DOMOKRĄŻCÓW.

Wciąż uśmiechając się, Todd nacisnął przycisk dzwonka.

Ledwie usłyszał jego stłumiony brzęk gdzieś w głębi domu, zdjął palec i lekko przechylił głowę, nasłuchując odgłosu kroków. Nie usłyszał. Spojrzał na swojego timexa, którego otrzymał w nagrodę za sprzedaż kartek z życzeniami, i stwierdził, że jest dwanaście po dziesiątej. Facet powinien już być na nogach. Todd wstawał najpóźniej o siódmej trzydzięci, nawet podczas wakacji. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Nasłuchiwał jeszcze pół minuty, a ponieważ w domu nadal było cicho, nacisnął dzwonek, patrząc, jak przesuwa się sekundnik timexa. Dzwonił dokładnie siedemdziesiąt jeden sekund, zanim usłyszał szuranie nóg. Kapcie, domyślił się. Todd lubił dedukować. Ostatnio zdecydował, że zostanie detektywem, gdy dorośnie.

- Dobrze, już! Dobrze! - wołał ktoś, kto prawdopodobnie był Arthurem Denkerem. - Idę! Przestań dzwonić! Idę!

Todd zwolnił przycisk.

Po drugiej stronie rozległ się brzęk łańcucha i rygla. Potem drzwi się otworzyły.

Stary człowiek, otulony szczelnie szlafrokiem, spoglądał przez siatkę. W palcach trzymał dymiącego papierosa. Todd pomyślał, że mężczyzna wygląda jak skrzyżowanie Alberta Einsteina z Borysem Karloffem. Włosy miał długie i siwe,

miejscami poźółkłe w sposób kojarzący się raczej z nikotyną niż kością słoniową. Pomarszczona twarz była napuchnięta od snu. Todd z niesmakiem dostrzegł, że mężczyzna nie golił się przez kilka ostatnich dni. Ojciec Todda zwykł mówić: „Golenie poprawia człowiekowi samopoczucie”. Golił się codziennie, czy szedł do pracy, czy nie.

Zapadnięte, usiane czerwonymi żyłkami oczy patrzyły badawczo. Todd poczuł ukłucie rozczarowania. Ten facet naprawdę był trochę podobny do Alberta Einsteina, a trochę do Borysa Karloffa, ale najbardziej przypominał starego pijaczynę, pętającego się w okolicach dworca.

Oczywiście, przypomniał sobie Todd, przecież dopiero wstał. Chłopiec już wiele razy widział Denkera (choć starał się, żeby ten go nie zauważył, nie ma mowy, stary). Pokazując się publicznie, Denker zawsze wyglądał bardzo schludnie, można by rzec jak emerytowany oficer w każdym calu, chociaż miał siedemdziesiąt sześć lat, o ile artykuły, jakie Todd przeczytał w bibliotece, dokładnie podawały datę jego urodzin. Śledząc go podczas wypraw do Shoprite, gdzie Denker robił zakupy lub odwiedzał jedno z trzech kin leżących na tej linii autobusowej - bo Denker nie miał samochodu - widywał go w jednym z trzech dobrze utrzymanych garniturów, obojętnie jak ciepły był dzień. Jeżeli zanosilo się na deszcz, Denker niósł pod pachą parasol niczym oficerską trzcinkę. Czasami zakładał kapelusik. Wychodząc z domu, był dokładnie ogolony, a siwe wąsy (zapuszczone, żeby zasłonić bliznę po operacji zajęczej wargi) miał starannie przystrzyżone.

- Chłopcze - powiedział teraz. Głos miał ochryply i senny.

Todd znów poczuł rozczarowanie, widząc, że szlafrok jest wyblakły i lichey. Jeden róg kołnierzyka sterczał, wbijając się w chudą szyję. Na lewej klapie widniała plama, jaką mógł pozostawić sos chili lub przyprawa do steków, ponadto śmierdział papierosami i nie przetrawionym alkoholem.

- Chłopcze - powtórzył starzec. - Niczego nie potrzebuję. Czytałeś tabliczkę? Umiesz czytać, prawda? Na pewno umiesz. Wszyscy amerykańscy chłopcy potrafią czytać. Bądź grzecznym chłopcem. Do widzenia.

Drzwi zaczęły się zamykać.

Mogłem to tak zostawić, pomyślał Todd o wiele później, podczas jednej z takich nocy, kiedy nie chce przyjść sen. Zdegustowany tym, co zobaczył, stając twarzą w twarz z Denkerem, mógł to zrobić - zamknąć go w szafie pamięci, razem z jego parasolem i kapelusikiem. Całą sprawę zakończyłby w tym momencie cichy, niepozorny trzask zamykanych drzwi, ucinając wszystko, co zdarzyło się potem.

Jednak, jak powiedział ten człowiek, Todd był amerykańskim chłopcem i nauczono go, że wytrwałość jest cnotą.

- Niech pan nie zapomni o gazecie, panie Dussander rzekł Todd, uprzejmie podając „Timesa”.

Drzwi znieruchomiały, kilka cali od framugi. Twarz Kurta Dussandera ściągnęła się i przybrała czujny wyraz, który natychmiast zniknął. To było dobre, ten sposób, w jaki stary mężczyzna zdołał ukryć lęk, ale Todd rozczarował się po raz trzeci. Nie spodziewał się, że Dussander będzie dobry; spodziewał się, że będzie wspaniały.

O rany, pomyślał ze szczerym obrzydzeniem. O rany.

Stary znów szerzej otworzył drzwi. Jedną ręką, powykręcaną przez artretyzm, odemknął pierwsze. Ręka uchyliła siatkę na tyle, żeby przecisnąć się przez szparę i zacisnąć na trzymanej przez Todda gazecie. Chłopiec z odrazą zauważył, że paznokcie starego są długie, żółte i zrogowaciałe. Należały do ręki, która przez cały dzień trzymała jednego papierosa za drugim. Todd uważał, że palenie to paskudny i niebezpieczny nałóg, któremu sam nigdy nie ulegnie. To doprawdy cud, że Dussander dożył tak podeszłego wieku.

Stary pociągnął.

- Daj mi moją gazetę.

- Jasne, panie Dussander.

Todd puścił gazetę. Ręka starego wciągnęła ją do środka.

Siatkowe drzwi się zatrzasnęły.

- Nazywam się Denker - rzekł starzec. - Nie jakiś Doo-Zander. Widocznie nie umiesz czytać. Jaka szkoda. Do widzenia.

Drewniane drzwi znowu zaczęły się zamykać. Todd rzucił w zmniejszającą się szparę:

- Bergen-Belsen od stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego do czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, Auschwitz od czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego do czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, *Unterkommandant*. Patin...

Drzwi znieruchomiały. Opuchnięta i blada twarz zawisła w szparze jak pomarszczony, przekłuty balon. Todd uśmiechnął się pod nosem.

- Opuścił pan Patin tuż przed wkroczeniem Rosjan. Pojechał do Buenos Aires. Niektórzy mówią, że wzbogacił się pan tam, inwestując przywiezione z Niemiec złoto

w handel narkotykami. Jakkolwiek było, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego do pięćdziesiątego drugiego przebywał pan w Mexico City. Potem...

- Chłopcze, jesteś zupełnie stuknięty.

Jeden z artretycznych palców zakreślił kółko nad zdeformowanym uchem. Jednak bezzębne wargi drżały lekko, panicznie.

- Nie wiem, co robił pan pomiędzy tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim a pięćdziesiątym ósmym - ciągnął Todd, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Chyba nikt nie wie, a przynajmniej nic o tym nie mówi. Jednak izraelski agent zauważył pana na Kubie, pracował pan jako recepcjonista dużego hotelu tuż przed przejściem władzy przez Castro. Zgubili pana, kiedy rewolucjoniści zajęli Hawanę. Wypłynął pan w Berlinie Wschodnim, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Prawie pana dopadli.

Zacisnął palce w jedną wielką, drgającą pięść. Dussander spojrzał na te kształtne i zadbane amerykańskie ręce, dłonie stworzone do budowania gokartów ze skrzynek po mydle i modeli „Aurory”. Todd zrobił i jeden, i drugi. Zaledwie rok wcześniej razem z ojcem złożyli model „Titanica”. Zajęło im to cztery miesiące i ojciec Todda trzymał statek w biurze.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Dussander. Bez sztucznej szczęki z jego ust wydobywał się szeleszczący dźwięk, który nie spodobał się Toddowi. Nie brzmiał... autentycznie.

Pułkownik Klink z „Bohaterów Hogana” mówił w sposób bardziej przypominający nazistę niż Dussander. Jednak i ten w swoim czasie musiał być niezły. W zamieszczonym na łamach „Men's Action” artykule o obozach śmierci autor nazwał go „krwiożerczą bestią z Patin”. - Wynoś się stąd, chłopcze, zanim wezwę policję.

- Ojej, chyba lepiej niech ich pan wezwie, panie Dussander. Albo Herr Dussander, jeśli pan woli.

Nadal uśmiechał się, pokazując idealnie równe zęby, od niemowlęcia profilaktycznie traktowane fluorem i niemal od tego czasu trzy razy dziennie szorowane pastą Crest.

- Po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym nikt już pana nie widział... dopiero ja, dwa miesiące temu, w miejskim autobusie.

- Oszalałeś.

- Zatem jeśli chce pan zadzwonić na policję - naciskał z uśmiechem Todd -

proszę bardzo. Zaczekam tutaj. Jeśli jednak nie chce ich pan wezwać od razu, może mógłbym wejść? Porozmawiamy.

Przez dłuższą chwilę stary spoglądał na uśmiechniętego chłopca. Ptaki ćwierkały w koronach drzew. W pobliżu pracowała kosiarka do trawników, a w oddali, na bardziej ruchliwych ulicach, klaksony grały swój własny koncert życia i komercji.

Mimo wszystko Todd miał pewne wątpliwości. Przecież nie mógł się mylić, prawda? Czyżby popełnił jakiś błąd? Nie sądził, lecz to nie było zadanie klasowe, ale prawdziwe życie. Tak więc poczuł głęboką ulgę (lekką ulgę, zapewniał sam sobie później), kiedy Dussander odparł:

- Możesz wejść, jeśli chcesz. Tylko dlatego, że nie chcę, abyś narobił sobie kłopotów, rozumiesz?

- Jasne, panie Dussander - rzekł Todd. Otworzył pierwsze drzwi i wszedł do holu. Gospodarz zamknął za nim drzwi, odcinając poranne słońce.

W domu unosił się lekko słodkawy zapach starzyzny. Pachniało tak, jak czasem w domu Todda rankiem, kiedy rodzice poprzedniego wieczora wydawali przyjęcie i matka rano nie zdążyła wywietrzyć. Jednak ten zapach był gorszy. Był zastyła i duszący. Tworzyła go woń trunków, smażonej żywności, potu, starych łachów i jakiegoś cuchnącego lekarstwa, jak Vick's czy migrenol. W przedpokoju było ciemno, a Dussander stał zbyt blisko, z głową wtuloną w kołnierz szlafroka, jak łeb sępa czekającego, aż ranione zwierzę wreszcie wyzionie ducha. W tym momencie, mimo zarostu i obwisłych policzków, Todd - wyraźniej niż kiedykolwiek na ulicy - ujrzał w nim człowieka noszącego czarny mundur SS. Poczuł, jak ogarnia go strach. Lekki przestrasz, przyznał później.

- Powinien pan wiedzieć, że jeśli coś mi się stanie... zaczął, ale wtedy Dussander przeczłapał obok niego do salonu, szurając kaptami po podłodze. Wzgardliwie machnął ręką na Todda, który poczuł, że czerwienieje mu szyja i policzki.

Poszedł za starym, dopiero teraz gubiąc swój uśmiech. Nie tak to sobie wyobrażał. Jednak uda się. Wszystko się ułoży. Na pewno. Zawsze tak było. Wchodząc do saloniku, znów się uśmiechał.

Kolejne rozczarowanie - i to jakie! - jednak na to chyba powinien być przygotowany. Oczywiście, nie było tu olejnego portretu Hitlera ze zwisającym loczkiem i oczami, które cię śledzą. Żadnych medali w gablotkach, paradnej szabli na ścianie, lugera czy walthera PPK na półce nad kominkiem (prawdę mówiąc, nie było nawet półki). Jasne, powiedział sobie Todd, facet musiałby oszaleć, żeby umieszczać

te rzeczy tutaj, gdzie ludzie mogliby je zobaczyć. Mimo wszystko trudno było wybić sobie z głowy to, co widziało się w kinie czy telewizji. Pokój wyglądał jak salonik przeciętnego, mieszkającego samotnie emeryta, żyjącego ze skromnej emeryturki. Atrapa kominka z fałszywych cegieł. Czarno-biały telewizor marki Motorola na podstawie; królicze uszy anteny pokojowej owinięto w folię aluminiową, żeby poprawić odbiór. Na podłodze leżał szary chodnik z wytartym włosiem. Na stojącym obok sofy stoliku do gazet poniewierały się egzemplarze „National Geographic”, „Reader's Digest” oraz „Timesa” z Los Angeles. Zamiast Hitlera albo paradnej szabli, na ścianie wisiało postrzępione zaświadczenie o naturalizacji oraz zdjęcie kobiety w śmiesznym kapeluszu. Później Dussander powiedział mu, że takie kapelusze nazywano kloszowymi i były one popularne w latach dwudziestych i trzydziestych.

- Moja żona - rzekł sentymentalnie Dussander. - Umarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym na chorobę płuc. Pracowałem wtedy w Menschler Motor Works w Essen. Byłem załamany.

Todd nadal się uśmiechał. Przeszedł przez pokój, jakby chciał lepiej przyjrzeć się kobiecie z portretu. Zamiast jednak popatrzeć na zdjęcie, dotknął abazuru małej lampki nocnej.

- Przestań! - warknął ochryple Dussander. Todd lekko podskoczył.

- To było dobre - wyznał szczerze. - Naprawdę rozkazująco. To Ilse Koch kazała robić abazury z ludzkiej skóry, prawda? I to ona wymyśliła tę sztuczkę z małymi szklanymi rurkami.

- Nie wiem, o czym mówisz - rzekł Dussander. Na telewizorze leżała paczka koolów, tych bez filtra. Podsunął je Toddowi. - Papierosa? - zapytał i wyszczerzył zęby. Uśmiech miał odrażający.

- Nie. Powodują raka płuc. Mój ojciec palił, ale rzucił. Wstąpił do Ligi Przeciwnikotynowej.

- Naprawdę? - Dussander wyjął z kieszeni szlafroka paczkę zapalek i obojętnie potarł jedną o plastikowe pudło telewizora. Zaciągnął się i powiedział: - Możesz podać mi jakiś powód, dlaczego nie miałbym zadzwonić na policję i powiedzieć im o potwornych oskarżeniach, jakie rzuciłeś mi w twarz? Chociaż jeden powód? Mów szybko, chłopcze. Telefon jest tuż obok, w przedpokoju. Myślę, że ojciec spuści ci lanie. Przez tydzień będziesz siadał do obiadu na poduszce.

- Moi rodzice nie wierzą w bicie. Kary cielesne nie rozwiązują problemów, a je wywołują. - Nagle rozblęśły mu oczy. - A pan je bił? Kobiety? Zdejmował pan z nich

ubranie i...

Ze zduszonym okrzykiem Dussander ruszył do telefonu.

- Lepiej niech pan tego nie robi - poradził zimno Todd.

Dussander odwrócił się. Spokojnym głosem, tylko trochę zdławionym przez brak sztucznej szczęki, rzekł:

- Powiem to tylko raz i nie będę powtarzał. Moje nazwisko brzmi Arthur Denker. Nigdy nie brzmiało inaczej; nawet nie zostało zamerykanizowane. Imię Arthur wybrał dla mnie ojciec, który bardzo lubił opowiadania Arthura Conan Doyle'a. Nigdy nie byłem Doo-Zanderem, Himmlerem czy Świętym Mikołajem. Podczas wojny byłem porucznikiem rezerwy. Nigdy nie wstąpiłem do partii nazistowskiej. Przez trzy tygodnie brałem udział w walkach o Berlin. Przyznaję, że pod koniec lat trzydziestych, kiedy ożeniłem się, poparłem Hitlera. Położył kres recesji, i przywrócił nam dumę utraconą w wyniku obrzydliwego, niesprawiedliwego traktatu wersalskiego. Chyba popierałem go głównie dlatego, że miałem pracę, znów mogłem kupować papierosy i nie musiałem szukać niedopałków w rynsztokach, gdy chciało mi się palić. Pod koniec lat trzydziestych uważałem go za wielkiego człowieka. Na swój sposób, może nim był. Jednak potem zupełnie oszalał, dowodził urojonymi armiami według przepowiedni astrologa. Podał kapsułkę z trucizną nawet swojemu psu, Blondi. Czyn szaleńca; pod koniec wszyscy byliśmy szaleńcami śpiewającymi „Horst Wessel Lied”, gdy naszym dzieciom podawano truciznę. Drugiego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku mój regiment poddał się Amerykanom. Pamiętam, że jeden z szeregowców, nazywał się Hackermeyer, dał mi czekoladowy batonik. Płakałem. Dalsza walka nie miała sensu; wojna skończyła się, właściwie już od lutego. Zostałem internowany w Essen i bardzo dobrze mnie tam traktowano. Słuchaliśmy nadawanej przez radio transmisji z procesu norymberskiego i kiedy Göring popełnił samobójstwo, wymieniłem czternaście amerykańskich papierosów na pół butelki schnapsa i się upiłem. Po zwolnieniu z obozu do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego montowałem koła w zakładach samochodowych w Essen, a potem poszedłem na emeryturę. Później wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych. Przyjazd tutaj był moją życiową ambicją. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym dostałem obywatelstwo. Jestem Amerykaninem. Głosuję. Żadnego Buenos Aires. Żadnych narkotyków. Ani Berlina. Czy Kuby.

Wymawiał tę nazwę jak Kuu-ba.

- A teraz, jeśli sobie nie pójdziesz, zadzwonię na policję.

Zobaczył, że Todd się nie rusza. Poszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę. Todd nadal stał w saloniku, obok stoliczka z lampką.

Dussander zaczął wykręcać numer. Todd obserwował go z coraz szybciej bijącym w piersi sercem. Po czwartej cyfrze Dussander odwrócił się i spojrzał na niego. Zgarbił się: Odłożył słuchawkę.

- Chłopcze - westchnął - chłopcze.

Todd uśmiechnął się szeroko, ale skromnie.

- Jak się dowiedziałeś?

- Odrobina szczęścia i wiele ciężkiej pracy - odparł Todd. - Mam przyjaciela, nazywa się Harold Pegler, ale wszyscy wołają na niego Foxy. Gra na drugiej bazie w naszej drużynie. Jego ojciec trzyma w garażu mnóstwo gazet. Całe stopy. O wojnie. Są bardzo stare. Szukałem nowych, ale facet prowadzący kiosk z gazetami naprzeciw szkoły mówi, że praktycznie już przestały wychodzić. W większości z nich są zdjęcia szkopów - to znaczy niemieckich żołnierzy - i Japońców torturujących kobiety. I artykuły o obozach koncentracyjnych. Naprawdę fajowe są te kawałki o obozach koncentracyjnych.

- Fa... fajowe. - Dussander wytrzeszczył oczy, jedną ręką trąc szczeciniasty policzek, czemu towarzyszył odgłos przypominający szmer papieru ściernego.

- Fajowe. No, wie pan. Lubię je czytać. Interesują mnie.

Zapamiętał ten dzień w garażu Foxy'ego tak dobrze jak wszystko w swoim życiu - podejrzewał, że nawet lepiej. Nie zapomniał, jak w piątej klasie, przed prelekcją o zawodach, pani Anderson (wszyscy nazywali ją Bugs, ponieważ miała wystające przednie zęby) mówiła im o czymś, co nazywała ZAINTERESOWANIAMI.

- To przychodzi nagle - tokowała Bugs Anderson. Widzisz coś po raz pierwszy i od razu wiesz, że znalazłeś swoje ZAINTERESOWANIE. Jakby ktoś przekreślił klucz w zamku. Albo po raz pierwszy zakochał się. Dlatego ta prelekcja jest taka ważna, dzieci - może dzięki niej odkryjecie swoje ZAINTERESOWANIA. - I zaczęła długo rozwodzić się o swoich ZAINTERESOWANIACH, do których wcale nie należało nauczanie w piątej klasie, lecz kolekcjonowanie dziewiętnastowiecznych pocztówek.

Wtedy Todd uznał, że pani Anderson pieprzy głupoty, ale w garażu Foxy'ego przypomniał sobie jej słowa i zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko nie miała racji.

Tego dnia wiał silny wiatr i na wschodzie szalały pożary lasów. Pamiętał zapach spalenizny, gorący i duszny. Pamiętał ostrzyżonego na rekruta Foxy'ego i płatki

łupieżu w jego włosach. Pamiętał wszystko.

- Wiem, że są tu gdzieś komiksy - rzekł Foxy. Jego matka miała kaca i wygoniła ich z domu, bo za bardzo hałasowali. Cała fura. Przeważnie westerny, ale jest kilka z Turokiem, Synem Kamienia i...

- A to co? - zapytał Todd, wskazując na kartony pod schodami.

- Ach, te są do niczego - powiedział Foxy. - Głównie prawdziwe historie wojenne. Nudne.

- Mogę kilka przejrzeć?

- Jasne. Ja poszukam komiksów.

Jednak zanim Foxy Pegler je znalazł, Todd nie miał już ochoty na komiksy. Pograżył się w lekturze. Całkiem się pograżył. Jakby ktoś przekreślił klucz w zamku. Albo po raz pierwszy się zakochał.

Oczywiście wiedział, że była wojna - nie ta obecna, głupia, na której Amerykanie dostawali łomot od bandy żółtków w czarnych piżamach - ale druga wojna światowa. Amerykanie nosili okrągłe hełmy z siatką maskującą, a Niemcy mieli nieco kanciaste. Wiedział, że Amerykanie wygrali większość bitew, a Niemcy pod koniec wojny wynaleźli rakiety i wystrzelili je z Niemiec na Londyn. Nawet wiedział coś o obozach koncentracyjnych.

Między tym wszystkim a tym, co znalazł w gazetach pod schodami garażu Foxy'ego, była taka sama różnica jak między słuchaniem o bakteriach a zobaczeniem ich pod szkiełkiem mikroskopu, wijących się i żywych.

Była tam Ilse Koch. Były krematoria z szeroko otwartymi drzwiami o zakopconych zawiasach. Oficerowie w mundurach SS i więźniowie w pasiakach. Zapach starych gazet był jak woń pożarów lasów szalejących na wschód od Santo Donato. Czuł, jak stary papier rozsypuje się pod dotknięciem jego palców, gdy odwracał strony, nie siedząc już w garażu Foxy'ego, lecz tkwiąc w jakimś innym czasie, usiłując oswoić się z myślą, że oni naprawdę robili takie rzeczy, ktoś naprawdę robił takie rzeczy, a ktoś inny pozwolił im je robić. Głowa rozbolała go z odrazy i wzburzenia, a oczy wyszły na wierzch, ale czytał dalej, aż w wierszu umieszczonym pod zdjęciem sterty ciał w miejscu zwanym Dachau rzuciła mu się w oczy liczba:

6 000 000

Pomyślał: Ktoś dał plamę, ktoś dodał zero lub dwa, przecież to dwukrotnie więcej ludzi niż w całym Los Angeles! Jednak potem, w innej gazecie (której okładka

ukazywała przykutą do ściany kobietę, do której podchodził facet w nazistowskim mundurze, z pogrzebaczem w ręku i uśmiechem na ustach), znów to zobaczył:

6 000 000

Ból głowy się nasilił. Zaszło mu w ustach. Niewyraźnie, w oddali, usłyszał, jak Foxy mówi, że musi iść na obiad. Todd zapytał Foxy'ego, czy może przez ten czas zostać w garażu i poczytać sobie. Foxy rzucił mu lekko zdumione spojrzenie, wzruszył ramionami i powiedział „pewnie”. I Todd czytał, skulony nad kartonami starych gazet, aż matka zadzwoniła i zapytała, czy zamierza kiedyś przyjść do domu.

Jakby ktoś przekręcił klucz w zamku.

Wszystkie gazety twierdziły, że to co się stało, było bardzo złe. Jednak na końcu każdego magazynu zapowiadano dalszy ciąg opowieści, a kiedy przewracałeś kartki, słowa mówiące, że to było złe, otaczały ogłoszenia reklamujące niemieckie bagnety, pasy i hełmy, jak również „magiczne gorsety” i „gwarantowane środki na porost włosów”. Reklamowano hitlerowskie flagi ze swastyką, niemieckie lugery i grę pod nazwą Panzer Attack, a także kursy korespondencyjne i proponowano ci zabicie majątku, jeśli zechcesz sprzedawać niskim buty na podwyższonym obcasie. Twierdzili, że to było złe, ale wyglądało na to, iż wielu ludziom to wcale nie przeszkadza.

Jakbyś się zakochał.

Och tak, bardzo dobrze pamiętał ten dzień. Pamiętał wszystko - poźółkły nieaktualny kalendarz z porozbieranymi dziewczynami, płamę oleju na cementowej posadzce, sposób, w jaki gazety były związane pomarańczowym sznurkiem. Pamiętał, jak ból głowy nasilał się za każdym razem, kiedy pomyślał o tej niewiarygodnej liczbie:

6 000 000

Pamiętał myśl: chcę wiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się w tych miejscach. O wszystkim. I chcę wiedzieć, gdzie jest prawda - w słowach czy w ogłoszeniach umieszczanych obok nich.

Przypomniał sobie Bugs Anderson, kiedy w końcu wepchnął pudła z powrotem pod schody i pomyślał: Ona miała rację. Odkryłem, czym jestem ZAINTERESOWANY.

Dussander przez dłuższą chwilę patrzył na Todda. Potem przeszedł przez salonik i osunął się na bujany fotel. Znów spojrział na Todda, nie potrafiąc zgłębić lekko rozmarzonego, trochę nostalgicznego wyrazu twarzy chłopca.

- Taak. Zainteresowałem się tym przez te gazety, ale przekonałem się, że wiele z tego, co w nich pisano, to kupa bzdur. Tak więc poszedłem do biblioteki i znalazłem masę innych rzeczy. Niektóre jeszcze ciekawsze. Ta chuda bibliotekarka z początku nie chciała, żebym je oglądał, ponieważ są umieszczone w dziale dla dorosłych, ale powiedziałem jej, że potrzebuję je do szkoły. „Jeżeli do szkoły, to muszą ci wypożyczyć”. Zadzwoiła jednak do ojca.

Todd zrobił pogardliwą minę.

- Pewnie myślała, że ojciec nie wiedział, co robię.

- A wiedział?

- Jasne. Ojciec uważa, że dzieci powinny jak najszybciej poznać życie - zarówno jego złe, jak i dobre strony. Mówi, że życie to tygrys, którego trzeba chwycić za ogon, a jeśli nie wiesz, czego oczekiwać, pożre cię.

- Hm.

- Mama jest tego samego zdania.

- Hm.

Dussander był oszołomiony, chociaż nie miał pojęcia dlaczego.

- W każdym razie - ciągnął Todd - te książki z biblioteki były naprawdę dobre. W naszej bibliotece, w Santo Donato, mają ze sto książek o hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Chyba wielu ludzi lubi o nich czytać. Nie było w nich tyle zdjęć co w gazetach ojca Foxy'ego, ale niektóre rzeczy były naprawdę niesamowite. Krzesła z gwoździemi sterczącymi z siedzeń; wrywanie złotych zębów obcęgami; trujący gaz ulatujący z pryszniców. - Todd potrząsnął głową. - Po prostu wam odbiło, wie pan? Zupełnie.

- Niesamowite - powiedział tępo Dussander.

- Ja naprawdę napisałem o tym referat i wie pan, co dostałem? Celujący. Oczywiście trzeba pisać takie rzeczy w pewien sposób. Trzeba zachować ostrożność.

- Ach tak? - zapytał Dussander. Drżącą dłonią wyjął następnego papierosa.

- O tak. Wszystkie te książki w bibliotece podają fakty w specyficzny sposób; jakby piszący je faceci chorowali na myśl o tym, o czym piszą.

Todd zmarszczył brwi, usiłując schwytać myśl, oblec ją w słowa. Fakt, że w swoim słowniku nie miał jeszcze określenia „ton” w znaczeniu używanym wobec

słowa pisanego, dodatkowo utrudniał mu sprawę.

- Wszyscy piszą, jakby to nie pozwalało im spać. Przypominają, że musimy być czujni, żeby coś podobnego już nigdy nie mogło się powtórzyć. Napisałem referat w tym stylu i podejrzewam, iż nauczyciel dał mi celujący za to, że zdołałem przeczytać materiał źródłowy, nie zwracając śniadania.

Todd jeszcze raz uśmiechnął się triumfalnie.

Dussander mocno zaciągnął się koolem bez filtra. Papieros lekko drżał. Wydmuchując dym przez nos, zakaszłał głucho, głęboko.

- Nie mogę uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę ma miejsce - rzekł. Pochylił się do przodu i spojrzał z bliska na Todda. - Chłopcze, czy znasz słowo egzystencjalizm?

Todd zignorował pytanie.

- Czy spotkał pan Ilse Koch?

- Ilse Koch? - zapytał Dussander i niemal bezgłośnie odparł: - Tak, spotkałem ją.

- Czy była piękna? - zapytał niecierpliwie Todd. - No, wie pan... Rękami zakreślił w powietrzu klepsydrę.

- Przecież na pewno widziałeś jej fotografię? - zapytał Dussander. - Taki entuzjasta jak ty...

- Jaki en... en...

- Entuzjasta to ten, który uważa, że coś jest niesamowite. Fajowe - wyjaśnił Dussander.

- Ach tak? Nieźle.

Na twarzy Todda znów wykwitł triumfalny uśmiech, na moment wyparty przez zdziwienie.

- Jasne, widziałem jej zdjęcie. Jednak wie pan, jak to jest w tych książkach.

Mówił tak, jakby Dussander znał je wszystkie.

- Czarno-białe, zamazane... jak to zdjęcia. Żaden z tych facetów nie wiedział, że robi zdjęcia dla... no rozumie pan, dla historii. Naprawdę była wystrzałowa?

- Była gruba, krótkonoga i miała kiepską cerę - odparł zwięźle Dussander. Zgniół do połowy wypalonego papierosa w pełnej niedopałków foremce po pasztecie.

- O rany! - Toddowi wydłużyła się mina.

- Zwykły przypadek - rozmyślał głośno Dussander, spoglądając na niego. - Zobaczyłeś moje zdjęcie w gazecie i przypadkiem stałeś koło mnie w autobusie. Ach! - Z trzaskiem uderzył pięścią w oparcie fotela, nie wkładając w to wiele siły.

- Nie, proszpana, panie Dussander. Było w tym znacznie więcej. Znacznie - dodał Todd, pochylając się naprzód.

- Och, tak? - Krzaczaste brwi uniosły się, sygnalizując uprzejme niedowierzanie.

- Pewnie. Chcę powiedzieć, że pańskie zdjęcia w moim albumie z wycinkami pochodziły co najmniej sprzed trzydziestu lat. A teraz jest tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty.

- Masz... album z wycinkami?

- Och tak, proszę pana! Bardzo ładny. Setki zdjęć. Pokażę go panu kiedyś. Zrobi pan oczy.

Dussander skrzywił się z niechęcią, ale nic nie powiedział.

- Z początku gdy na pana patrzyłem, wcale nie miałem pewności. A potem, pewnego dnia padało, a pan wsiadł do autobusu w tej czarnej błyszczącej pelerynie...

- Ach tak - westchnął Dussander.

- Jasne. W jednej z gazet, którą znalazłem w garażu Foxy'ego, był pan na zdjęciu w takim płaszczu. Ponadto, w książce, którą wypożyczyłem z biblioteki, widziałem pańskie zdjęcie w czarnym mundurze SS. Kiedy więc zobaczyłem pana tego dnia, powiedziałem sobie: „Nie ma wątpliwości. To Kurt Dussander”. Zacząłem za panem chodzić...

- Co robiłeś?

- Chodziłem za panem. Śledziłem pana. Mam zamiar zostać prywatnym detektywem jak Sam Spade albo Mannix. W każdym razie byłem bardzo ostrożny, żeby pan niczego nie zauważył. Chce pan zobaczyć kilka zdjęć?

Todd wyjął z tylnej kieszeni spodni grubą kopertę. Skleiła się od potu. Ostrożnie ją otworzył. Oczy mu błyszczały z podniecenia, zupełnie jak na myśl o urodzinach, gwiazdce albo ogniach sztucznych, jakie wystrzeli podczas Święta Niepodległości.

- Robiłeś mi zdjęcia?

- Och, pewnie. Mam mały aparat, jest płaski i mieści się w dłoni. Przy pewnej wprawie można robić zdjęcia, trzymając go w ręku i rozchylając palce na tyle, żeby odsłonić obiektyw. Spust naciska się kciukiem. - Todd zaśmiał się skromnie. Nauczyłem się tego, ale najpierw zrobiłem sporo zdjęć moich palców. Jednak się nie poddawałem. Myślę, że można zrobić wszystko, jeżeli tylko człowiek się postara, wie pan? To banalne, ale prawdziwe.

Kurt Dussander pobladł i zapadł się w fotel.

- Wywołałeś te zdjęcia u fotografa, chłopcze?

- Co? - Todd spojrział na niego ze zdziwieniem, które przeszło w pogardę. - Nie! Myśli pan, że jestem głupi? Ojciec ma ciemnię. Sam wywołuję zdjęcia, od kiedy skończyłem dziewięć lat.

Dussander nic nie powiedział, ale rozluźnił się, a jego twarz odzyskała poprzedni kolor.

Todd wręczył mu kilka wykonanych na błyszczącym papierze odbitek, których nierówne brzegi świadczyły, że zostały wywołane w domu. Dussander przejrzał je w ponurym milczeniu. Na jednym siedział sztywno wyprostowany za szybą podmiejskiego autobusu, trzymając w rękach najnowszą powieść Jamesa Michenera, „Stulecie”. Na innym stał na przystanku przy Devon Avenue, z parasolem pod pachą i głową przechyloną w sposób przypominający de Gaulle'a w jego najbardziej władczej pozie. Czekał w kolejce pod markizą kina Majestic, wyprostowany i milczący, wyróżniający się wzrostem i postawą od niedbale opartych o mur nastolatków i apatycznych gospodyń w papilotach. Na ostatnim zaglądał do swojej skrzynki pocztowej.

- Bałem się, że pan mnie zauważy - rzekł Todd. - Podjąłem skalkulowane ryzyko. Byłem po drugiej stronie ulicy. O rany, chciałbym mieć minoltę z teleobiektywem. Kiedyś... Todd zamilkł z żalem.

- Nie wątpię, że przygotowałeś jakąś bajeczkę na wszelki wypadek.

- Zapytałbym, czy widział pan mojego psa. Gdy już wywołałem zdjęcia, porównałem je z tymi.

Podał Dussanderowi trzy kserokopie fotografii. Widział je już wiele razy, wszystkie trzy. Pierwsza ukazywała go w biurze w obozie przesiedleńczym w Patin; została wykadrowana tak, że widać było tylko jego i hitlerowską flagę stojącą obok biurka. Drugą wykonano w dniu, w którym zaciągnął się do wojska. Na ostatnim ścisnął dłoń Heinricha Gluecksa, który podlegał bezpośrednio samemu Himmlerowi.

- Wtedy byłem już całkiem pewny, ale przez te przeklęte wąsy nie widziałem, czy miał pan zajęczą wargę, czy nie. Jednak musiałem mieć pewność, więc zdobyłem to.

Wyciągnął z koperty ostatnią fotografię. Była wielokrotnie składana. Brud wżarł się w zagięcia. Rogi były wygięte i załamane - tak wyglądają papiery, które przez dłuższy czas spoczywają w kieszeniach chłopców mających mnóstwo rzeczy do

zrobienia i miejsc do odwiedzenia. Była to kopia izraelskiego listu gończego za Kurtem Dussanderem. Trzymając go w ręce, Dussander pomyślał o zabitych, którzy nie chcą pozostać martwymi.

- Zdjąłem pańskie odciski palców - rzekł z uśmiechem Todd. - A potem porównałem je z tymi na plakacie.

Dussander rozdziawił usta, po czym wulgarnie zaklął po niemiecku.

- Nie zrobiłeś tego!

- Jasne, że zrobiłem. Mama i tato dali mi na gwiazdkę zestaw do zdejmowania odcisków palców. Prawdziwy, nie jakąś zabawkę. W środku był proszek, trzy szczotki do trzech rodzajów powierzchni i specjalny papier do nanoszenia. Rodzice wiedzą, że chcę być prywatnym detektywem, kiedy dorosnę. Oczywiście myślą, że jeszcze zmienię plany. - Skwitował to obojętnym machnięciem ręki i wzruszeniem ramion. - Książka wyjaśniała wszystko o spiralach, konfiguracjach i punktach podobieństwa. Nazywają się parami zbieżnymi. Potrzeba ośmiu par zbieżnych, aby odcisk palca został zaakceptowany przez sąd. Tak więc pewnego dnia, kiedy był pan w kinie, przyszedłem tu, obsypałem proszkiem pańską skrzynkę pocztową i klamkę drzwi, po czym zdjąłem wszystkie odciski, jakie znalazłem. Bardzo sprytne, no nie?

Dussander nic nie powiedział. Ścisnął poręczę fotela, a jego bezzębne, zapadnięte usta drżały. Toddowi nie spodobało się to. Stary wyglądał, jakby miał zaraz zalać się łzami. To, oczywiście, śmieszne. Krwawa Bestia z Patin miałyby płakać? Równie dobrze można by oczekiwać bankructwa Chevroleta, albo że McDonald zacznie sprzedawać kawior i trufle zamiast hamburgerów.

- Zdobyłem dwa zestawy śladów - ciągnął Todd. - Jedne wcale nie przypominały tych z plakatu. Domyśliłem się, że należą do listonosza. Pozostałe były pańskie. Znalazłem więcej niż osiem zbieżnych par, a mianowicie czternaście. - Uśmiechnął się. - W ten sposób do tego doszedłem.

- Jesteś małym draniem - odezwał się Dussander i na moment w jego oczach zapalił się groźny błysk. Todd poczuł mrowiący dreszcz, tak jak wcześniej w przedpokoju. Potem Dussander znów oklapł. - Komu powiedziałeś?

- Nikomu.

- Nawet temu przyjacielowi? Temu Cony'emu Peglerowi?

- Foxy'emu. Foxy'emu Peglerowi. Nie, to papla. Nie mówiłem nikomu. Nikomu nie ufam aż tak.

- Czego chcesz? Pieniądzy? Obawiam się, że nie ma żadnych. Były - w Ameryce

Południowej, chociaż nie tak romantycznego czy niebezpiecznego jak handel narkotykami. W Brazylii, Paragwaju i Santo Domingo istnieje - a raczej istniał - rodzaj „siatki starych kumpli”. Byłych żołnierzy. Wszedłem w te kręgi i szło mi dość dobrze w handlu surowcami mineralnymi - cyną, miedzią, boksytami. Potem przyszły zmiany. Nacjonalizm, antyamerykanizm. Może poradziłbym sobie z tym, ale ludzie Wiesenthala wpadli na mój ślad. Nieszczęścia chodzą stadami, chłopcze, jak psy za suką w rui. Dwukrotnie prawie mnie dopadli; raz słyszałem tych żydowskich drani w sąsiednim pokoju. Powiesili Eichmanna - szepnął. Jedną ręką dotknął szyi, a jego oczy zrobiły się okrągłe jak u dziecka w najgorszym momencie strasznej bajki - na przykład o Jasiu i Małgosi czy o Sinobrodym. - Był stary, nikomu nie zagrażał. Był apolityczny. A jednak go powiesili.

Todd skinął głową.

- W końcu poszedłem do jedynych ludzi, którzy mogli mi pomóc. Pomogli innym, a ja nie mogłem już uciekać.

- Zwrócił się pan do Odessy?

- Do Sycylijczyków - odparł sucho Dussander i Toddowi znów wydłużyła się mina. - Wszystko zostało zaaranżowane. Fałszywe papiery, fałszywa przeszłość. Napijesz się czegoś, chłopcze?

- Pewnie. Ma pan colę?

- Nie mam coli.

- Mleko?

- Mleko. - Dussander przeszedł do przyległej kuchni.

Neonówka ożyła z cichym brzękiem. - Teraz żyję z dywidend od akcji - mówił. - Zakupiłem je po wojnie, na inne nazwisko. Za pośrednictwem banku w stanie Maine, jeśli chcesz wiedzieć. Bankier, który kupił je dla mnie, rok później poszedł do więzienia za zamordowanie żony... życie jest czasem dziwne, chłopcze, *hein?*

Drzwi lodówki otworzyły się i zamknęły.

- Te sycylijskie szakale nie wiedziały o akcjach - rzekł. Dzisiaj Sycylijczycy są wszędzie, ale w tamtych czasach nie dotarli dalej na północ jak do Bostonu. Gdyby wiedzieli, zabraliby mi je także. Oskubaliby mnie do czysta i wysłali do Ameryki, żebym głodował na zasiłku i kartkach żywnościowych.

Todd usłyszał odgłos otwieranych drzwiczek kredensu i nalewanego płynu.

- Trochę General Motors, trochę American Telephone and Telegraph, sto pięćdziesiąt akcji Revlonu. Wszystkie wybrał mi bankier. Nazywał się Dufresne -

pamiętam, ponieważ to nazwisko trochę podobne do mojego. Wygląda na to, że zabijając żonę, nie był taki sprytny jak przy wyborze akcji. Zbrodnia z namiętności, chłopcze. To dowodzi tylko, że wszyscy mężczyźni to osły umiejące czytać.

Wrócił do pokoju, szurając kapciami. Niósł dwie zielone plastikowe szklanki podobne do tych, jakie czasem rozdają przy otwarciu stacji benzynowych. Dostajesz taką, jeśli zatankujesz. Dussander podał jedną Toddowi.

- Dzięki pakietowi akcji, które kupił dla mnie ten Dufresne, przez pierwsze pięć lat mojego pobytu tutaj żyłem na należytej stopie. Jednak potem sprzedałem część akcji, żeby kupić ten dom i małą daczę niedaleko Big Sur. Później przysła inflacja. Potem recesja. Sprzedałem daczę i jedną po drugiej sprzedałem akcje, wiele z nich z fantastycznym zyskiem. Żałowałem, że nie kupiłem ich więcej. Jednak sądziłem, że jestem dobrze zabezpieczony w inny sposób; te akcje były, jak powiadacie wy, Amerykanie, dodatkową inwestycją...

Wydał bezzębny syk i pstryknął palcami.

Todd był znudzony. Nie przyszedł tu słuchać, jak Dussander biadoli o pieniądzach i mamrocze o akcjach. Myśl, żeby go szantażować, nigdy nie powstała w głowie Todda. Pieniądze? A po co mu one? Dostawał tygodniówkę; miał swój rejon roznoszenia gazet. Gdyby w tygodniu potrzebował więcej pieniędzy, zawsze znajdzie się ktoś, komu trzeba przystrzyć trawnik.

Todd podniósł mleko do ust i zawahał się. Znów uśmiechnął się... z podziwem. Podał Dussanderowi gratisową szklankę ze stacji benzynowej.

- Może upije pan trochę - rzekł chytrze.

Dussander przez moment patrzył na niego, nie rozumiejąc, a potem zrobił zbolaną minę.

- *Grüss Gott!*

Wziął szklankę, upił łyk i oddał ją Toddowi.

- Nie duszę się. Nie łapię za gardło. Nie ma zapachu gorzkich migdałów. To mleko, chłopcze. Mleko. Z Dairylea Farms. Na kartoniku jest obrazek uśmiechniętej krowy.

Todd przez chwilę czujnie obserwował go, a potem upił łyżeczek. Tak, smakowało jak mleko, ale jakoś odechciało mu się pić. Odstawił szklankę. Dussander wzruszył ramionami, uniósł swoją i pociągnął łyk. Obliznął wargi.

- *Schnaps?* - zapytał Todd.

- Bourbon. Ancient Age. Bardzo dobry. I tani.

Todd przesunął palcami po szwach dżinsów.

- A więc - rzekł Dussander - jeśli postanowiłeś dokonać takiej ryzykownej inwestycji, to powinieneś wiedzieć, że wybrałeś bezwartościowe akcje.

- Hm?

- Szantaż - wyjaśnił Dussander. - Czy nie tak nazywają to w filmach o Manniksie, Kojaku czy Barnabie Jonesie? Wymuszenie. Czy o to...

Todd roześmiał się - szczerze, serdecznie. Potrząsnął głową, próbował coś powiedzieć i nie zdołał, ponieważ nie mógł przestać się śmiać.

- Nie - rzekł Dussander i nagle zrobił się bladejszy i bardziej przestraszony niż na początku rozmowy z Toddem. Pociągnął kolejny łyk, skrzywił się i otrząsnął. - Widzę, że nie o to ci chodzi... przynajmniej nie o wymuszenie pieniędzy. Jednak, chociaż się śmiejesz, czuję, że chodzi o wymuszenie czegoś. Czego? Po co przychodzisz tu i niepokoisz starego człowieka? Może, jak twierdzisz, byłem kiedyś nazistą, a nawet należałem do SS. Teraz jestem tylko stary i muszę brać czopki, żeby pobudzić wewnętrzną do pracy. Czego więc chcesz?

Todd uspokoił się. Otwarcie spojrzał na Dussandera.

- No... Chcę o tym usłyszeć. To wszystko. Naprawdę.

- Usłyszeć o tym? - powtórzył Dussander. Wydawał się kompletnie zbity z tropu.

Todd pochylił się, opierając opalone łokcie o okryte niebieskim dżinsem kolana.

- Jasne. O plutonach egzekucyjnych. O komorach gazowych. O piecach. O facetach, którzy musieli wykopać sobie groby i stanąć nad nimi, żeby wpaść do środka. O... - wysunął język i oblizwał suche wargi - o selekcjach. O eksperymentach. O wszystkim. Ze szczegółami.

Dussander spojrzał na niego z obojętnym zainteresowaniem, jak mógłby patrzeć weterynarz na kotkę rodzącą dwugłowe kociaki.

- Jesteś potworem - powiedział cicho.

Todd prychnął.

- Według książek, które przeczytałem, przygotowując referat, to pan jest potworem, panie Dussander. Nie ja. To pan posyłał ich do pieców, nie ja. Dwa tysiące dziennie w Patin przed pańskim przyjściem, trzy tysiące po, trzy i pół tysiąca, zanim weszli Rosjanie i położyli temu kres. Himmler nazwał pana ekspertem i wręczył panu medal. I pan mnie nazywa potworem. O rany.

- Wszystko to nędzne amerykańskie kłamstwa - rzekł urażony Dussander. Z trzaskiem odstawił szklanę, ochlapując burbonem stolik i dłoń. - Nie ja to wymyśliłem. Otrzymałem rozkazy i instrukcje, które wykonałem.

Uśmiech Todda poszerzył się; przypominał szyderczy grymas.

- Och, wiem, jak Amerykanie wszystko przekręcili - mruknął Dussander. - Przy waszych politykach nasz doktor Goebbels był jak dziecko bawiące się w przedszkolu książeczką z obrazkami. Mówią o moralności, opryskując wrzeszczące dzieci i kobiety płonącym napalmem. Chłopcy uchylający się od służby wojskowej są nazywani tchórzami. Za odmowę wykonania rozkazów są oddawani pod sąd albo wypędzani z kraju. Ci, którzy demonstrują przeciwko niefortunnej azjatyckiej przygodzie, są pałowani na ulicach. Żołnierze zabijający niewinnych otrzymują odznaczenia od prezydentów, urząda się parady i fety, witając jak bohaterów tych, którzy zakluwali bagnetami dzieci i palili szpitale. Otrzymują ordery, klucze do miast, darmowe bilety na mecze piłkarskie. Uniósł szklanę w toaście. - Tylko przegrani są sądzeni jako przestępcy wojenni za wykonywanie rozkazów i instrukcji.

Wypił i dostał ataku kaszlu, który przywrócił rumieńce jego policzkom.

W trakcie jego przemowy Todd wiercił się tak samo jak wtedy, kiedy jego rodzice dyskutowali o ostatnich wiadomościach - stary Walter Klondike, tak nazywał go wtedy ojciec. Nie interesowały go poglądy Dussandera, tak samo jak jego akcje. Miał wrażenie, że ludzie wymyślili politykę, żeby robić różne rzeczy. Tak jak zeszłego roku, gdy chciał włożyć rękę pod sukienkę Sharon Ackerman. Sharon powiedziała, że nie powinien tego chcieć, chociaż po tonie jej głosu poznał, że ten pomysł ją podniecał. Tak więc powiedział jej, że chce być lekarzem, kiedy dorośnie, a ona pozwoliła mu. To była polityka. Chciał usłyszeć o niemieckich lekarzach obserwujących kopulację psów z kobietami, wkładających bliźnięta do zamrażarek, żeby sprawdzić, czy umrą jednocześnie, czy też jedno pożyje dłużej, o elektrowstrząsach, operacjach bez znieczulenia i niemieckich żołnierzach gwałcących wszystkie kobiety, jakie chcieli. Reszta była po prostu mnóstwem bzdur, mających uzasadnić te rzeczy po tym, jak ktoś przyszedł i położył im kres.

- Gdybym nie wykonywał rozkazów, byłbym martwy.

Dussander oddychał ciężko, górna część jego ciała miarowo kołysała się w fotelu, który lekko trzeszczał. Wokół niego unosił się opar alkoholu. - Zawsze był wschodni front, *nicht wahr?* Nasi przywódcy byli szaleńcami, przyznaję, a z szaleńcami nie można dyskutować... szczególnie jeśli najbardziej szalony z nich ma

diabelne szczęście. O włos wyszedł z doskonale przygotowanej próby zamachu. Spiskowców duszono strunami fortepianowymi, duszono powoli. Ich agonię sfilmowano na użytek elity...

- Tak! Świetnie! - zawołał impulsywnie Todd. - Widział pan ten film?

- Tak, widziałem. Wszyscy widzieliśmy, co stało się z opornymi lub nie umiejącymi żeglować z wiatrem w oczekiwaniu, aż minie sztorm. Wtedy to, co robiliśmy, było słuszne. W tamtym miejscu i czasie, było słuszne. Zrobiłbym to ponownie. Tylko... - Spojrzał na szklanę. Była pusta. - Tylko nie chcę o tym mówić, a nawet myśleć. Jedynym uzasadnieniem naszego postępowania była chęć przetrwania, a nic, co wiąże się z przetrwaniem, nie jest przyjemne. Miałem koszmary... - Powoli wyjął papierosa z pudełka leżącego na telewizorze. - Tak. Nachodziły mnie latami. Ciemność i głosy w ciemności. Silniki traktorów. Silniki buldożerów. Kolby karabinów tłukące w coś, co mogło być zamrożoną ziemią lub ludzkimi czaszkami. Gwizdy, syreny, strzały z pistoletu, wrzaski. Drzwi bydlęcych wagonów otwierające się z łoskotem w zimowe popołudnia. Potem, w moich snach, wszystkie dźwięki cichły - i w mroku otwierały się oczy, lśniące jak ślepie leśnych zwierząt. Przez wiele lat żyłem na skraju dżungli i chyba dlatego zawsze widziałem ją i czułem w tych snach. Budziłem się z nich zlany potem, z sercem walącym w piersi, z dłonią przyciśniętą do ust, żeby stłumić krzyk. I myślałem: Ten sen jest prawdą. Brazylia, Paragwaj, Kuba... te miejsca są snem. W rzeczywistości nadal jestem w Patin. Rosjanie są dziś bliżej niż wczoraj. Niektórzy z nich pamiętają, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim musieli jeść zamrożone trupy Niemców, żeby przeżyć. Teraz pragną napić się ciepłej niemieckiej krwi. Krążyły plotki, chłopcze, że niektórzy tak właśnie robili po wkroczeniu do Niemiec; podrzynali jeńcom gardła, żeby napić się ich krwi. Budziłem się i myślałem: Trzeba robić swoje, choćby po to, żeby nie zostawić żadnych dowodów na to, co tu się działo, albo tak niewiele, aby świat, który nie chce w to wierzyć, nie musiał. I myślałem: Trzeba robić swoje, żeby przeżyć.

Todd słuchał uważnie i z zaciekawieniem. To było bardzo dobre, ale był pewien, że z czasem usłyszy jeszcze lepsze rzeczy. Dussander potrzebował tylko łagodnej zachęty. Do licha, miał fart. Mnóstwo ludzi w jego wieku to zdiecinniali starcy.

Dussander głęboko zaciągnął się dymem.

- Później koszmary odeszły, natomiast zdarzało się, że wydawało mi się, iż spotykam kogoś z Patin. Nigdy strażników czy innych oficerów, zawsze więźniów. Pamiętam takie popołudnie w Niemczech Zachodnich, przed dziesięciu laty. Był

wypadek na *Autobahn*. Samochody stały na wszystkich pasach. Siedziałem w moim morrisie, słuchając radia, czekając na wznowienie ruchu. Na sąsiednim pasie stała bardzo stara simca, a kierujący nią mężczyzna patrzył na mnie. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i mizernie wyglądał. Policzek przecinała blizna. Włosy siwe, krótkie, źle ostrzyżone. Odwróciłem wzrok. Minęło dziesięć minut, samochody stały nadal. Zacząłem zerkać na mężczyznę w simce. Za każdym razem widziałem, że patrzy na mnie, z twarzą nieruchomą jak śmierć i oczami głęboko ukrytymi w oczodołach. Nabrałem przekonania, że on był w Patin. Był tam i rozpoznał mnie. - Dussander otarł dłonią czoło. - Ten człowiek miał na sobie płaszcz. Byłem jednak przekonany, że gdybym wysiadł z samochodu, kazał mu zdjąć płaszcz i podwinąć rękaw koszuli, ujrzałbym wytatuowany na jego ramieniu numer. W końcu samochody ruszyły. Zostawiłem simcę w tyle. Gdyby korek potrwał jeszcze dziesięć minut, chyba wysiadłbym z wozu i wywłócił tego starego zza kierownicy. Pobiłbym go, czy miał numer, czy nie. Pobiłbym go za to, że tak na mnie patrzył. Wkrótce po tym incydencie na zawsze opuściłem Niemcy.

- Miał pan szczęście - rzekł Todd.

Dussander wzruszył ramionami.

- Tak było wszędzie. W Hawanie, Meksyku, Rzymie. Mieszkałem w Rzymie przez trzy lata. Mężczyzna w kawiarni, przyglądający mi się z nad cappuccino; kobieta w holu hotelowym, która wyglądała na bardziej zainteresowaną mną niż gazetą; kelner w restauracji, który wciąż zerkał na mnie, obsługując innych gości. Nabierałem przekonania, że ci ludzie obserwowali mnie i w nocy znów przychodziły złe sny - drzwi, dżungla, oczy. Jednak po przybyciu do Ameryki wyrzuciłem je z pamięci. Chodzę do kina. Raz w tygodniu jadam na mieście, w jednym z tych barów szybkiej obsługi, które są tak czyste i oświetlone jarzeniówkami. W domu układam puzzle, czytam powieści - przeważnie kiepskie - i oglądam telewizję. Wiezorami popijam, aż zachce mi się spać. Nie dręczą mnie już koszmary. Kiedy spostrzegam, że ktoś przygląda mi się w supermarkecie, bibliotece czy sklepie tytoniowym, dochodzę do wniosku, że przypominam mu dziadka... starego nauczyciela... albo sąsiada z miasteczka, które opuścił przed laty. - Potrząsnął głową. - Cokolwiek stało się w Patin, przydarzyło się innemu człowiekowi. Nie mnie.

- Wspaniale! - zawołał Todd. - Chcę o tym usłyszeć.

Dussander zamknął oczy, a potem powoli je otworzył.

- Nie rozumiesz. Nie chcę o tym mówić.

- Zrobi pan to. Jeśli nie, rozpowiem, kim pan jest.

Dussander poszarżał na twarzy.

- Wiedziałem - mruknął - że wcześniej czy później dojdziemy do wymuszenia.

- Dzisiaj chcę usłyszeć o piecach krematoryjnych - powiedział Todd. - Jak paliliście ich, kiedy byli martwi. Uśmiechnął się promiennie. - Najpierw niech pan włoży sztuczną szczękę. Wygląda pan z nią znacznie lepiej.

Dussander usłuchał go. Opowiadał Toddowi o piecach, aż chłopiec musiał iść do domu na lunch. Za każdym razem gdy próbował mówić ogólnikowo, Todd marszczył brwi i zadawał wnikliwe pytanie, sprowadzające go na właściwy temat. Mówiąc, Dussander dużo pił. Nie uśmiechał się. Todd - tak. Todd uśmiechał się za nich obu.

2

Sierpień 1974

Siedzieli na tylnym ganku domu Dussandera, pod bezchmurnym niebem. Todd miał na sobie dzinsy, sportowe buty i koszulkę Little League. Dussander nosił workowatą szarą koszulę i wymięte spodnie khaki na szelkach - spodnie pijaczyny, pomyślał pogardliwie Todd; wyglądały jak wyjęte z pudła stojącego w miejscowym magazynie Armii Zbawienia. Powinien zrobić coś z tym, co Dussander nosi w domu podczas jego wizyt. Taki strój wszystko psuł.

Obaj jedli hamburgery, które Todd przywiózł w koszyku roweru, szybko pedałując, żeby nie wystygły. Chłopiec sączył colę przez słomkę. Dussander burbon ze szklaneczki.

Głos starego wznosił się i opadał, suchy, niepewny, czasem ledwie słyszalny. Wyblakłe niebieskie oczy, przetykane jak zwykle siatką czerwonych żyłek, ani na moment nie pozostawały w bezruchu. Postronny obserwator mógłby uznać ich za dziadka i wnuka słuchającego pouczeń, wtajemniczanego w coś.

- To wszystko, co pamiętam - zakończył wreszcie Dussander i ugryzł spory kęs hamburgera. Sos pociekł mu po brodzie.

- Na pewno przypomni sobie pan więcej - rzekł łagodnie Todd.

Dussander pociągnął duży łyk burbona.

- Ubrania były zrobione z papieru - warknął wreszcie. Kiedy więzień umierał, jego ubranie przekazywano innemu, jeśli nadawało się jeszcze do noszenia. Czasem w

jednym chodziło ponad czterdziestu więźniów. Otrzymywałem pochwały za oszczędność.

- Od Gluecksa?

- Od Himmlera.

- Przecież w Patin była fabryka odzieży. Mówił mi pan o tym w zeszłym tygodniu. Dlaczego nie kazał pan tam szyć ubrań? Mogli to robić sami więźniowie.

- Fabryka w Patin szyla mundury dla niemieckich żołnierzy. I dla nas... - Dussander zamilkł na moment, a potem niechętnie podjął: - Nie zajmowaliśmy się rehabilitacją więźniów - dokończył.

Todd uśmiechnął się szeroko.

- Może dość na dzisiaj? Proszę. Boli mnie gardło.

- Nie powinien pan tyle palić - odparł Todd, nie przestając się uśmiechać. - Niech mi pan powie więcej o uniformach.

- Czyich? Więźniów czy SS? - W głosie Dussandera była rezygnacja.

- O obu - - odparł z uśmiechem Todd.

3

Wrzesień 1974

Todd był w kuchni w swoim domu, robiąc sobie kanapkę z masłem orzechowym i galaretką. Do kuchni przechodziło się po sześciu schodkach z sekwojowego drewna, wiodących na antresolę lśniąca od chromu i nierdzewnej stali. Od kiedy Todd wrócił ze szkoły do domu, słyszał monotony stukot matczynej maszyny do pisania. Przepisywała pracę magisterską dla jakiegoś studenta. Absolwent miał krótko ostrzyżone włosy, grube okulary i zdaniem Todda wyglądał jak istota z innej planety. Praca dotyczyła muszek owocowych w Salinas Valley po drugiej wojnie światowej albo tym podobnego gówna. W pewnym momencie stukanie ucichło i matka wyszła z gabinetu.

- Todd-dziecino - przywitała go.

- Monica-dziecino - odpowiedział, dość przyjaźnie.

Matka to całkiem niezła laska jak na swoje trzydzieści sześć lat, pomyślał Todd; blond włosy przetykane w paru miejscach pasemkami siwizny, wysoka, zgrabna, ubrana teraz w ciemnoczerwone szorty i bluzkę w ciepłym kolorze whisky - bluzka była niedbale związana pod biustem i odsłaniała płaski, gładki brzuch. W spiętych

turkusową klamrą włosach miała wetknięty korektor.

- Jak w szkole? - zapytała, wchodząc po schodkach do kuchni. Musnęła wargami jego usta, a potem przysiadła na jednym z taboretów stojących przed stolikiem.

- Spokojnie.

- Znow będzie wyróżnienie?

- Jasne.

Prawdę mówiąc, sądził, że na pierwszy okres będzie miał trochę gorsze stopnie. Mnóstwo czasu spędzał z Dussanderem, a kiedy nie siedział u tego starego szkopa, rozmyślał o tym, co od niego usłyszał. Raz czy dwa śniły mu się rzeczy, o jakich opowiadał stary. Jednak nic takiego, z czym Todd nie mógłby sobie poradzić.

- Zdolny uczeń - powiedziała, wicherząc mu niesforną czuprynę. - Jak kanapka?

- Dobra.

- Może zrobiłbyś jeszcze jedną i przyniósł mi do gabinetu?

- Nie mogę - odparł, wstając. - Obiecałem panu Denkerowi, że przyjdę i poczytam mu przez godzinę.

- Wciąż czytacie „Robinsona Crusoe”?

- Nie. - Pokazał jej grzbiet grubej książki, którą kupił za dwadzieścia centów w antykwariacie. - „Toma Jonesa”.

- Przeczytanie jej zajmie wam cały rok szkolny, Todd-dziecino. Nie mogłeś przynajmniej postarać się o skróconą wersję, tak jak „Robinsona”?

- Pewnie, ale chciał usłyszeć wszystko. Tak powiedział.

- Ach tak.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem przytuliła go. Rzadko była tak wylewna, więc Todd poczuł się trochę dziwnie.

- Jesteś miły, że poświęcasz mu tyle czasu. Ojciec i ja uważamy, że to jest... po prostu wyjątkowe.

Todd skromnie spuścił oczy.

- I nikomu nie chcesz o tym mówić - ciągnęła. - Skrywasz swoje dobre uczynki.

- Och, dzieciaki, z którymi się zadaję, pewnie uznałyby mnie za jakiegoś dziwaka - rzekł Todd ze skromnym uśmiechem. - Za jakiegoś gównianego dobroczyńcę.

- Nie mów tak - przestrzegła z roztargnieniem. A potem dodała: - Myślisz, że pan Denker mógłby któregoś wieczoru przyjść do nas na kolację?

- Może - odparł enigmatycznie Todd. - Słuchaj, muszę zabierać manatki i lecieć.
- Dobrze. Kolacja o szóstej trzydzieści. Nie zapomnij.
- Dobrze.
- Ojciec musi pracować do późna, więc znów będziemy tylko ty i ja, dobrze?
- Wspaniale, dziecino.

Z czułym uśmiechem patrzyła, jak odchodzi, zastanawiając się, czy „Tom Jones” nie zawiera czegoś, o czym nie powinien czytać; w końcu miał dopiero trzynaście lat. Raczej nie. Dorastał w społeczeństwie, w którym takie tygodniki jak „Penthouse” były dostępne dla każdego, kto zapłaci półtora dolara, lub dla każdego dzieciaka, który potrafi sięgnąć na górną półkę i zerknąć na rozkładówkę, zanim ekspedient krzyknie, żeby odłożył to i spadał. Nie podejrzewała, aby w książce sprzed dwustu lat znalazło się coś, co namieszałoby Toddowi w głowie - chociaż przypuszczała, że staruszek może trochę podniecić się lekturą. Richard często powtarzał, że dla dzieci cały świat jest laboratorium. Trzeba pozwalać im na eksperymenty. A jeśli dany dzieciak ma normalny dom i kochających rodziców, stanie się tylko silniejszy, jeśli zajrzy w kilka ciemnych kątów.

Oto odjeżdżał najnormalniejszy dzieciak, jakiego znała, pedałując po ulicy na swoim schwinnie. Udał nam się ten chłopak, pomyślała, zabierając się do robienia kanapki. Niech mnie licho, jeśli nam się nie udał.

4

Październik 1974

Dussander chudł. Siedzieli w kuchni, a przed nimi, na pokrytym ceratą stole leżał zaczytany egzemplarz „Toma Jonesa” (Todd, który nigdy o niczym nie zapominał, za część swojej tygodniówki kupił bryk ze streszczeniem tej książki na wypadek, gdyby matka lub ojciec zapytali go o jej treść). Todd jadł bułkę, którą kupił na targu. Kupił też drugą dla Dussandera, ale ten nawet jej nie tknął. Tylko raz po raz spoglądał smętnie znad szklaneczki z burbonem. Todd nienawidził patrzeć, jak marnuje się coś tak smacznego jak ta bułka. Jeżeli Dussander zaraz jej nie zje, Todd zapyta go, czy może ją wziąć.

- A w jaki sposób przychodziło to do Patin? - zapytał Dussandera.

- Koleją - rzekł stary. - W wagonach oznaczonych ŚRODKI MEDYCZNE. W długich skrzyniach, które wyglądały jak trumny. Chyba słusznie. Więźniowie

wyładowywali te skrzynie i przenosili je do szpitala. Później nasi ludzie umieszczali je w magazynach. Robili to nocą. Magazyny znajdowały się za prysznicami.

- Czy to zawsze był Cyklon B?

- Nie, od czasu do czasu przysyłano nam coś innego. Eksperymentalne gazy bojowe. Najwyższe dowództwo wciąż usiłowało zwiększyć skuteczność. Kiedyś przysłali nam gaz o kryptonimie PEGAZ. Działał paraliżująco na układ nerwowy. Dzięki Bogu nigdy więcej go nie dostaliśmy. On... - Dussander spostrzegł, że Todd nachyla się, zobaczył błysk w jego oczach. Urwał i niedbale machnął ręką, w której trzymał szklaneczkę ze stacji benzynowej. - Nie działał zbyt dobrze - rzekł. To nudne szczegóły.

Jednak Todd nie dał się oszukać.

- Jak działał?

- Zabijał, a co myślisz, że chodzili po nim po wodzie? Zabijał ich, to wszystko.

- Niech pan o tym opowie.

- Nie - rzekł Dussander, nie mogąc ukryć przerażenia. Nie myślał o PEGAZIE od... jak dawna? Od dziesięciu lat? Dwudziestu? - Nie powiem! Odmawiam!

- Niech pan opowie - powtórzył Todd, zlizując czekoladę z palców. - Albo wie pan, co się stanie.

Tak, pomyślał Dussander. Wiem. Dobrze wiem, ty paskudny mały potworze.

- Sprawiał, że tańczyli - rzekł niechętnie.

- Tańczyli?

- Tak jak Cyklon B, wpuszczano go przez prysznice.

A oni... oni zaczęli podskakiwać. Jedni wrzeszczeli. Większość śmiała się. Wymiotowali i... wypróżniali się.

- Ooo - powiedział Todd. - Posrali się, tak?

Wskazał na bułkę na talerzyku Dussandera. Swoją już skończył.

- Zje pan to?

Dussander nie odpowiedział. Oczy zasnuła mu mgła wspomnień. Jego twarz była obojętna i zimna jak ciemna strona planety, która się nie obraca. Czuł odrazę w przedziwny sposób zmieszaną z... czym? Czyżby z nostalgią?

- Wili się i wydawali dziwne, przenikliwe dźwięki. Moi ludzie... nazwali PEGAZA „jodłującym gazem”. W końcu wszyscy upadli i leżeli na podłodze we własnych nieczystościach, leżeli tam, tak, leżeli na betonie, wrzeszcząc i jodłując, brocząc krwią z nosów. Jednak okłamałem cię, chłopcze. Gaz ich nie zabił albo był za

słaby, albo nie czekaliśmy dostatecznie długo. Pewnie o to chodziło. W takim stanie nie mogli długo żyć. W końcu posłałem tam pięciu moich ludzi z karabinami, żeby skrócili ich męki. Jestem pewien, że miałbym kłopoty, gdyby to wyszło na jaw, takie marnotrawstwo nabojów w czasie, gdy Führer ogłosił, że każdy pocisk jest majątkiem narodowym. Jednak ufałem tym pięciu ludziom. Był czas, chłopcze, kiedy myślałem, że nigdy nie zapomnę tych odgłosów. Ich jodłowania. Śmiechu.

- Tak, na pewno - mruknął Todd. Dwoma kęsami dokończył bułeczkę Dussandera. Marnotrawstwo to grzech, mawiała jego matka w tych rzadkich chwilach, gdy Todd skarżył się, że musi zjadać resztki. - To była niezła historia, panie Dussander. Zawsze dobrze pan je opowiada. Kiedy już pana namówić.

Todd uśmiechnął się do starego. I niewiarygodne, ale Dussander stwierdził, że mimowolnie odpowiedział mu uśmiechem.

5

Listopad 1974

Dick Bowden, ojciec Todda, był bardzo podobny do Lloyda Bochnera, aktora filmowego i telewizyjnego. Miał - Bowden, nie Bochner - trzydzieści osiem lat. Był chudym, wysokim mężczyzną lubiącym koszule w stylu Ivy League i garnitury w stonowanych kolorach, zwykle ciemne. Na placu budowy nosił uniform khaki oraz ochronny kask, który był pamiątką z czasów pracy w Korpusie Pokoju, kiedy pomagał projektować i budować dwie zapory w Afryce. Podczas pracy w domu zakładał połówkowe okulary, które opadały mu na czubek nosa i upodabniały go do dziekana uczelni. Siedział właśnie za biurkiem w gabinecie i nałożywszy je, postukiwał kartką ze stopniami o szklany blat biurka.

- Jedna piątka. Cztery czwórki. Jedna dwójka. Dwójka, do licha! Todd, twoja matka tego nie okazuje, ale jest naprawdę zła!

Chłopiec spuścił oczy. Nie uśmiechał się. Kiedy ojciec kłął, sytuacja nie była wesoła.

- Mój Boże, nigdy nie miałeś takich stopni. Dwójka z podstaw algebry? Dlaczego?

- Nie wiem, tato.

Spojrzał pokornie na swoje kolana.

- Matka i ja uważamy, że chyba spędzasz za dużo czasu z panem Denkerem, a

za mało nad książkami. Sądzymy, że powinieneś ograniczyć wizyty do weekendów. Przynajmniej dopóki nie wykażesz postępów...

Todd spojrział na niego i przez ułamek sekundy Bowdenowi wydało się, że w oczach syna widzi dziki, niepohamowany gniew. Wytrzeszczył oczy i zacisnął palce na kartce ze stopniami, ale przecież to był zwykły Todd, patrzący na niego spokojnie i z przygnębieniem. Czy naprawdę dostrzegł ten błysk złości? Na pewno nie. Jednak ten moment zbił go z tropu, tak że nie wiedział, co teraz zrobić. Todd był porządnym chłopcem i Dick Bowden nie chciał go rozzłościć. On i syn byli przyjaciółmi, zawsze nimi byli, i Dick chciał, aby tak pozostało. Nie mieli przed sobą tajemnic, jakichkolwiek (oprócz tego, że Dick Bowden czasem cudzołożył ze swoją sekretarką, ale to nie było coś, o czym chciałbyś powiedzieć trzynastoletniemu synowi, prawda? Ponadto nie miało to absolutnie żadnego wpływu na jego życie rodzinne). Tak miało być, tak musiało być w tym poronionym świecie, gdzie mordercy chodzili bezkarnie, dzieciaki z uniwersytetów ćpały heroinę, a uczniowie średnich szkół tacy jak Todd - łapali choroby weneryczne.

- Nie, tato, proszę, nie rób tego. Chcę powiedzieć, żebyś nie karał pana Denkera za coś, co jest wyłącznie moją winą. To znaczy... on nie poradzi sobie beze mnie. Postaram się bardziej. Naprawdę. Ta algebra... z początku wcale mi nie szła. Jednak poszedłem do Bena Tremaine'a i kiedy posiedzieliśmy nad nią przez kilka dni, zacząłem chwytać. Po prostu... nie wiem, chyba źle wystartowałem.

- Myślę, że spędzasz z nim za dużo czasu - rzekł Bowden, ale już z mniejszym przekonaniem. Trudno było odmówić Toddowi, rozczarować go, a to co powiedział o karaniu staruszka za niepowodzenia Todda... do licha, to miało sens. Stary tak czekał na jego wizyty.

- Ten pan Storrmann, nauczyciel algebry, jest naprawdę surowy - powiedział Todd. - Sporo uczniów ma dwóje. Troje czy czworo ma nawet jedynki.

Bowden w zamyśleniu pokiwał głową.

- Nie będę wychodził w środy. Dopóki nie poprawię stopni.

Todd czytał w jego myślach.

- I zamiast zajmować się głupstwami, solidnie wezmę się do pracy, obiecuję.

- Tak lubisz tego starego?

- Jest fajny - odparł szczerze Todd.

- No... dobrze. Spróbujemy zrobić to po twojemu, leniuchu.

Jednak w styczniu chcę zobaczyć znacznie lepsze stopnie, rozumiesz? Myślę o

twojej przyszłości. Może uważasz, że jeszcze za wcześnie, żeby przejmować się tym, ale nie masz racji. Za grosz.

Tak jak jego matka lubiła powtarzać „Marnotrawstwo to grzech”, ojciec Todda lubił mówić „za grosz”.

- Rozumiem, tato - powiedział poważnie Todd. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- No to zjeżdżaj stąd i bierz się do roboty.

Poprawił okulary i klepnął chłopca w ramię. Na twarzy Todda wykwitł szeroki, promienny uśmiech.

- Już idę, tato!

Bowden z dumnym uśmiechem patrzył w ślad za odchodzącym synem. Jeden na milion. To nie złość malowała się na jego twarzy. Może uraza... ale na pewno nie taki niepohamowany gniew, o jaki przez chwilę go podejrzewał. Gdyby Todd był zły, wiedziałby o tym; przecież czytał w swoim synu jak w otwartej księdze. Zawsze tak było.

Pogwizdując, zadowolony z dobrze spełnionego ojcowskiego obowiązku, Dick Bowden rozwinął plan budynku i pochylił się nad nim.

6

Grudzień 1974

Twarz, która ukazała się w odpowiedzi na długie naciskanie guzika dzwonka, była wynędzniała i pożółkła. Włosy, jeszcze gęste w lipcu, zaczęły odsłaniać wysokie czoło; były matowe i łamliwe. Dussander, zawsze szczupły, był teraz po prostu chudy... chociaż nie aż tak, pomyślał Todd, jak więźniowie, których kiedyś miał pod swoją pieczę.

Kiedy Dussander podchodził do drzwi, Todd schował lewą rękę za plecami. Po chwili wyjął ją i podał gospodarzowi owiniętą w papier sporą paczkę.

- Wesołych Świąt! - zawołał.

Dussander cofnął się; wziął paczkę, nie okazując zadowolenia czy zdziwienia. Ostrożnie zważył ją w ręce, jakby mogła zawierać materiał wybuchowy.

- Co to jest? - zapytał bez entuzjazmu Dussander, gdy weszli do kuchni.

- Niech pan otworzy i sam zobaczy.

Todd wyjął z kieszeni kurtki puszkę coli i postawił ją na czerwono-białej ceracie pokrywającej kuchenny stół.

- Lepiej niech pan opuści żaluzje - poradził konfidencjonalnie.

Na twarzy starego natychmiast pojawiła się nieufność.

- Ach tak? Dlaczego?

- No... nigdy nie wiadomo, kto może patrzeć - odparł z uśmiechem Todd. - Czy nie w ten sposób przetrwał pan przez te wszystkie lata? Dostrzegając ludzi, zanim oni zdążyli pana zauważyć?

Dussander opuścił kuchenne rolety. Potem nalał sobie szklaneczkę burbona. Później zdjął wstążkę z paczki. Todd zapakował ją tak, jak chłopcy często pakują gwiazdkowe prezenty chłopcy, którzy myślą o ważniejszych sprawach, takich jak gra w piłkę, hokej na trawie czy piątkowy horror oglądany z przyjacielem, z którym siedzą na kanapie owinięci kocem i chichoczą. Mnóstwo poszarpanych rogów, nierównych załamań i klejącej taśmy. Wszystko świadczyło o braku cierpliwości do takich kobiecych zajęć.

Dussander z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia. Po chwili, gdy już opanował strach, pomyślał: Powinienem był wiedzieć.

W środku był mundur SS. I oficerki.

Powiódł tępyim spojrzeniem od zawartości pudła do kartonowej przykrywki: PRACOWNIA KOSTIUMÓW PETERA - W TYM SAMYM MIEJSCU OD 1951!

- Nie - powiedział cicho. - Nie włożę go. Tego za wiele, chłopcze. Prędzej umrę, niż go włożę.

- Niech pan nie zapomina, co zrobili z Eichmannem rzekł poważnie Todd. - Był stary i apolityczny. Czy nie tak pan powiedział? Ponadto, oszczędzałem na to przez całą jesień. Kosztował przeszło osiemdziesiąt dolarów, razem z butami. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym nie przeszkadzał panu. Wcale.

- Ty mały draniu! - Dussander podniósł zaciśniętą pięść.

Todd nawet nie mrugnął. Stał nieruchomo, z roziskrzonymi oczami.

- Taak - rzekł cicho. - No już, uderz mnie. Tylko spróbuj mnie uderzyć.

Dussander opuścił rękę. Wargi mu się trzęsły.

- Jesteś bestią z piekła rodem - wymamrotał.

- Włóż go - zachęcał Todd.

Dłonie Dussandera dotknęły paska szlafroka i znieruchomiały. Patrzył na Todda wystraszonym i błagalnym wzrokiem.

- Proszę - powiedział. - Jestem starym człowiekiem. Już dość.

Todd powoli, lecz stanowczo potrząsnął głową. Oczy wciąż mu błyszczały. Lubił,

gdy Dussander prosił. Tak jak kiedyś tamci prosili jego. Więźniowie z Patin.

Dussander pozwolił szlafrokowi opaść na podłogę i stał w samych kapciach i spodenkach. Piers miał zapadniętą, brzuch lekko wydęty. Jego ramiona były chudymi ramionami starca.

Mundur, pomyślał Todd. Mundur wszystko zmieni.

Dussander powoli wyjął mundur z pudełka i zaczął się ubierać.

Dziesięć minut później stał w pełni ubrany w mundur esesmana. Czapkę miał lekko przekrzywioną, ramiona zgarbione, lecz mimo to wyraźnie było widać trupa czaszkę. Teraz przynajmniej w oczach Todda - Dussander miał w sobie jakąś godność, której brakowało mu wcześniej. Mimo jego przygarbionej postawy i niedbale ustawionych stóp, Todd był zadowolony. Po raz pierwszy Dussander wyglądał tak, jak powinien. Starszy, owszem. Pokonany, oczywiście. Jednak znowu w mundurze. Nie starzec, który dożywa swoich dni, oglądając Lawrence'a Welka w tandetnym telewizorze z anteną owiniętą folią, ale Kurt Dussander, Krwawa Bestia z Patin.

Natomiast Dussander czuł obrzydzenie, niepokój... a także jakby pewną ulgę. Częściowo gardził tym ostatnim uczuciem, widząc w nim najlepszy dowód na to, jak bardzo zdominował go psychicznie ten chłopak. Był jego więźniem i za każdym razem gdy stwierdzał, że może znieść kolejne poniżenie, za każdym razem gdy czuł taką ulgę, władza chłopca rosła. A jednak czuł ulgę. To tylko materiał, guziki i zatrzaski... w dodatku rozmieszczone bez pojęcia. Rozporek na zamek błyskawiczny; powinien być na guziki. Insignia błędnie dobrane, krój kiepski, a buty z taniej imitacji skóry. W końcu to tylko teatralny kostium, więc nie padnie trupem, kiedy go włoży, no nie? Pewnie. To...

- Popraw czapkę! - zażądał Todd.

Dussander zamrugał, przestraszony.

- Popraw czapkę, żołnierzu!

Dussander usłuchał, odruchowo zawadiacko przekrzywiając ją na głowie w sposób typowy dla Oberleutnantów - bo chociaż fatalnie uszyty, był to mundur Oberleutnanta.

- Stopy razem!

Zrobił to, z trzaskiem zwierając pięty, bez zastanowienia wykonując rozkaz, jakby minione lata opadły z niego razem ze szlafrokiem.

- *Achtung!*

Staął na baczność i przez moment Todd przestraszył się - naprawdę się

przestraszył. Jak uczeń czarnoksiężnika, który tchnął życie w miotły, lecz nie potrafił nad nimi zapanować. Stary człowiek żyjący w ubóstwie zniknął. Przed Toddem stał Dussander.

Potem strach ustąpił mrowiącemu poczuciu władzy.

- W tył zwrot!

Dussander zwinnie obrócił się na pięcie, zapominając o burbonie, zapominając o udreće ostatnich czterech miesięcy. Stając twarzą do zachlapanego tłuszczem pieca, usłyszał trzask obcasów swoich butów. W oddali ujrzał zakurzony plac akademii wojskowej, na której wyuczył się żołnierskiego rzemiosła.

- W tył zwrot!

Znów obrócił się, tym razem już nie tak sprawnie, trochę tracąc równowagę. Niegdyś usłyszałby potok wyzwisk i wydał przeciągły, bolesny jęk, gdy koniec podoficerskiej laski wbiłby mu się w brzuch. Uśmiechnął się w duchu. Chłopak nie znał wszystkich sztuczek. Nie.

- Marsz! - zawołał Todd. Oczy miał roziskrzone, płonące.

Ramiona Dussandera opadły; znów się zgarbił.

- Nie - jęknął. - Proszę...

- Marsz! Marsz! Marsz, powiedziałem!

Ze zduszonym jękiem Dussander rozpoczął marsz po wyblakłym linoleum pokrywającym podłogę kuchni. Wykonał w prawo zwrot, omijając stół i ponownie dochodząc do ściany. Jego lekko uniesiona twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Wyrzucał nogi przed siebie, a potem opuszczał je z trzaskiem, aż podskakiwały fajansowe naczynia w szafce nad zlewem. Jego ramiona poruszały się miarowo.

Todd ponownie oczami wyobraźni ujrzał obraz tańczących mioteł i poczuł strach. Nagle zrozumiał, że wcale nie chce, aby Dussander czerpał z tego jakąkolwiek przyjemność i może tylko może - bardziej zależało mu na tym, żeby stary wyglądał śmiesznie niż autentycznie. Jednak, nie wiedzieć dlaczego, mimo swego wieku i tandetnego wyposażenia kuchni, Dussander wcale nie był śmieszny. Był przerażający. Po raz pierwszy trupy w rowach i krematoria nabrały dla Todda realnego wymiaru. Fotografie splełanych ramion, nóg i torsów, białych jak rybie brzuchy w zimnym wiosennym deszczu, przestały być dekoracją z horroru - stertą ciał ułożoną ze sklepowych manekinów, rozbieraną przez pomocników i scenografów po nakręceniu sceny - stały się po prostu faktem; potwornym, niewytłumaczalnym i strasznym. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje słaby i lekko gryzący odór rozkładu.

Wzbierało w nim przerażenie.

- Przestań! - krzyknął.

Dussander nadal maszerował, tępo wpatrując się w dal. Głowę podniósł jeszcze wyżej, mocno napinając ścięgna chudej szyi, arogancko wystawiając podbródek.

Todd poczuł, że poci się pod pachami.

- *Halt!* - krzyknął.

Dussander stanął, opuszczając prawą nogę i szybkim, precyzyjnym ruchem dostawiając do niej lewą. Jeszcze przez moment jego twarz pozostała zimna, bez wyrazu - jak twarz bezmyślnego robota - a potem pojawiło się na niej zmieszanie, które przerodziło się w przygnębienie. Zgarbił się.

Todd wydał ciche westchnienie ulgi i przez chwilę był wściekły na siebie. Kto tu właściwie rządzi? Ja, a któż by. I niech lepiej o tym nie zapomina.

Znów zaczął się uśmiechać.

- Bardzo dobrze. Jednak myślę, że przy odrobinie praktyki spisałby się pan znacznie lepiej.

Dussander stał w milczeniu, zasapany, ze spuszczoną głową.

- Może pan to już zdjąć - dodał wielkodusznie Todd... i mimo woli zastanowił się, czy naprawdę chce, żeby Dussander kiedyś znów włożył ten mundur. Przez kilka sekund...

7

Styczeń 1975

Todd wyszedł ze szkoły sam po ostatnim dzwonku, wsiadł na rower i pojechał do parku. Znalazł wolną ławkę, postawił schwinna na podpórce i wyjął z kieszeni kartkę ze stopniami na drugi okres. Rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma kogoś znajomego, lecz dostrzegł tylko parę nastolatków spacerujących wokół stawu i dwóch zadowolonych z siebie pijaków, podających sobie butelkę w papierowej torbie. Parszywi, pierdoleni pijacy, pomyślał, ale to nie oni go rozzłościłi. Rozłożył kartkę.

Angielski: trójka. Historia Ameryki: trójka. Nauka o Ziemi: dwójka. Nauka o społeczeństwie: czwórka. Język francuski: jedynka. Podstawy algebry: jedynka.

Z niedowierzaniem spojrzął na stopnie. Wiedział, że będzie źle, ale to była katastrofa.

Może tak jest lepiej, odezwał się nagle wewnętrzny głos. Może nawet zrobiłeś to

celowo, ponieważ w głębi duszy chciałeś z tym skończyć. Musiałeś z tym skończyć. Zanim stanie się coś złego.

Gwałtownie odepchnął tę myśl od siebie. Nic złego się nie zdarzy. Dussandera trzyma w garści. Całkowicie. Stary myśli, że list ma jeden z kolegów Todda, ale nie wie który. Gdyby Toddowi coś się stało - cokolwiek - list znajdzie się na policji. Kiedyś podejrzewał, że Dussander mimo to może spróbować to zrobić. Teraz był za stary, żeby uciec, nawet mając kilka godzin przewagi.

- Mam go w ręku, cholera - szepnął Todd, a potem mocno rąbnął pięścią w udo, aż zabolalo. Mówienie do siebie to gówniany nawyk - tak robią wariaci. Nabrał tego zwyczaju przez ostatnie sześć tygodni i jakoś nie mógł się go pozbyć. Kilkakrotnie zauważył, że ludzie dziwnie na niego wtedy patrzą. Parę z tych osób było nauczycielami. A ten dupek Bernie Everson podszedł do niego i zapytał, czy dostaje świra. Todd miał bardzo, bardzo wielką ochotę walnąć tego maminsynka w dziób, ale takie rzeczy - bójkki, szamotaniny, awantury to nic dobrego. Przez takie rzeczy można nabawić się kłopotów. Gadanie do siebie to zły nawyk, zgoda, ale...

- Sny też są złe - szepnął. Tym razem nie powstrzymał się w porę.

Ostatnio sny były bardzo złe. W tych snach był w uniformie, chociaż nie zawsze w takim samym. Czasem był to papierowy uniform, a on stał w szeregu z setkami wychudłych ludzi; w powietrzu unosiła się woń spalenizny, a w oddali słychać było terkoczący dźwięk silników spychaczy. Wzdłuż szeregu szedł Dussander, wskazując palcem tego czy owego. Wskazani zostali. Innym kazano maszerować w kierunku krematorium. Niektórzy szarpali się i szamotali, ale większość była zbyt niedożywiona i wyczerpana. Potem Dussander stanął przed Toddem. Ich spojrzenia spotkały się na długą, paraliżującą chwilę, a potem Dussander wskazał Todda wyblakłym parasolem.

- Tego zabierzcie do laboratorium - rzekł Dussander w tym śnie. Ściągnięte wargi odsłoniły sztuczną szczękę. Zabierzcie tego amerykańskiego chłopca.

W innym śnie nosił mundur SS. Miał oficerki, które lśniły jak lustro. Trupia czaszka i błyskawice na czapce błyszcząły. Stał na środku bulwaru Santo Donato i wszyscy na niego patrzyli, pokazywali go palcami, niektórzy się śmiali. Inni byli zaszokowani, wściekli lub zniesmaczeni. W tym śnie opodał z piskiem i zgrzytem zahamował stary samochód, z którego wyjrzał Dussander, wyglądający jak dwustuletni, prawie zmumifikowany starzec o skórze żółtej niczym pergamin.

- Znam cię! - oznajmił piskliwie Dussander ze snu. Popatrzył na widzów, a potem znów na Todda. - Byłeś komendantem w Patin! Spójrzcie wszyscy! To Krwawa

Bestia z Patin! Ekspert Himmlera! Oskarżam cię, morderco! Oskarżam cię, oprawco! Oskarżam cię, zabójco dzieci! Oskarżam!

W jeszcze innym śnie Todd miał na sobie pasiasty uniform więźnia i szedł długim korytarzem, prowadzony przez dwoje strażników podobnych do jego rodziców. Oboje nosili szerokie opaski z gwiazdą Dawida. Za nimi szedł pastor, czytając Deuteronomium. Todd obejrzał się przez ramię i zobaczył, że tym księdzem jest Dussander i ma na sobie czarny mundur oficera SS.

Na końcu korytarza otworzyły się dwuskrzydłe drzwi, ukazując ośmiokątny pokój o szklanych ścianach. Na środku ustawiono szafot. Za szklanymi ścianami stały szeregi wycieńczonych mężczyzn i kobiet, nagich, patrzących ponuro, obojętnie. Wszyscy mieli wytatuowane na rękach numery.

- W porządku - szepnął do siebie Todd. - W porządku, panuję nad sytuacją.

Wychodząca para zerknęła na niego. Todd zmierzył ich gniewnym spojrzeniem, prowokując, by coś powiedzieli. W końcu odwrócili wzrok. Czyżby chłopiec uśmiechał się szyderczo?

Todd wstał, wepchnął kartkę do kieszeni spodni i wsiadł na rower. Pojechał do sklepiku dwie przecznice dalej. Tam kupił buteleczkę korektora i niebiesko piszący cienkopis. Wrócił do parku (para nastolatków zniknęła, ale pijacy wciąż tam byli, zasmradzając powietrze), po czym przerobił stopień z angielskiego na czwórkę, z historii Ameryki na piątkę, z nauki o Ziemi na czwórkę, z francuskiego na trójkę, a z podstaw algebry na czwórkę. Wiedzę o społeczeństwie wymazał i napisał od nowa, żeby całość wyglądała jednakowo.

Jednakowo jak ludzie w uniformach.

- Nie szkodzi - szepnął do siebie. - To ich powstrzyma. To ich powstrzyma jak nic.

Pewnej nocy pod koniec miesiąca, mniej więcej po drugiej, Kurt Dussander zbudził się szamocząc w pościeli, jęcząc i krzycząc w ciemności, która była ciasna i przerażająca. Był na wpół żywy, zdrętwiały ze strachu. Miał wrażenie, że ciężki głaz przygniata mu pierś, i zastanawiał się, czy nie dostał ataku serca. Wymacał w mroku lampkę nocną i omal nie stracił jej ze stolika.

Jestem w moim pokoju, pomyślał, w mojej sypialni w Santo Donato, w Kalifornii, w Ameryce. Widzisz te same brązowe zasłony na oknie, te same półki wypełnione tanimi książkami z księgarni na Soren Street, ten sam dywan i niebieską

tapetę. To nie atak serca. Nie ma dżungli. Nie ma oczu.

Jednak przerażenie przywarło doń niczym cuchnąca skóra, a serce galopowało jak spłoszony koń. Sen wrócił. Wiedział, że tak będzie, wcześniej czy później, jeżeli chłopak nie przestanie. Ten przeklęty chłopak. Pomyślał, że ten list z informacją to tylko blef, w dodatku niezbyt zręczny; coś żywcem wzięte z detektywistycznych programów telewizyjnych. Któremu koledze mógł zaufać, że ten nie otworzy takiego ważnego listu? Żadnemu, ot co. A przynajmniej tak uważał Dussander. Gdyby tylko miał pewność...

Z bolesnym, artretycznym trzaskiem zacisnął dłonie, a potem powoli je otworzył.

Wziął ze stolika paczkę papierosów i zapalił jednego, potarłszy zapałkę o poręcz łóżka. Wskazówki zegara pokazywały 2:41. Tej nocy już nie zaśnie. Wciągnął dym i wypuścił go gwałtowną serią kaszlnięć. Nie zaśnie, chyba że zejdzie na dół i wypije szklaneczkę czy dwie. Albo trzy. Przez sześć ostatnich tygodni pił o wiele za dużo. Nie był już młodzieniaszkiem, który mógł wychylać kolejkę za kolejką, jak wtedy, gdy w 1939 jako oficer spędzał urlop w Berlinie, gdy w powietrzu unosił się zapach zwycięstwa i wszędzie słyszało się głos Führera, widziało jego pałacy, rozkazujący wzrok...

Chłopak... ten przeklęty chłopak!

- Sam przyznaj - powiedział i drgnął na dźwięk własnego głosu w cichym pomieszczeniu. Nie miał zwyczaju mówić sam do siebie, ale też nie robił tego pierwszy raz. Pamiętał, że wciąż mamrotał do siebie przez te kilka ostatnich tygodni w Patin, kiedy wszystko runęło im na głowy, a od wschodu słychać było pomruk nadciągających rosyjskich wojsk, potężniejący z każdym dniem i godziną. To zupełnie naturalne, że wtedy mówił sam do siebie. Żył w stresie, a ludzie w takiej sytuacji często robią dziwne rzeczy - ściskają genitalia przez kieszeń spodni, zaciskają zęby... Wolff zawsze zaciskał zęby. Uśmiechał się, kiedy to robił. Huffmann strzelał palcami i klepał się po udzie w szybkim, skomplikowanym rytmie, z czego nie zdawał sobie sprawy. On, Kurt Dussander, czasem gadał do siebie. Jednak teraz...

- Znów żyjesz w stresie - rzekł. Uświadomił sobie, że powiedział to po niemiecku. Nie mówił po niemiecku już od wielu lat, ale teraz ten język wydał mu się ciepły i miły. Usypiał go, uspokajał. Był słodki i mroczny. - Tak. Żyjesz w stresie. Przez chłopca. Jednak bądź szczerzy wobec siebie. To zbyt późna pora, aby kłamać. Właściwie nie masz nic przeciwko tym rozmowom. Z początku byłeś przerażony, że

chłopak nie zechce lub nie potrafi dochować tajemnicy. Mógł zwierzyć się jakiemuś koledze, który powiedziałby innemu, a ten jeszcze innym. Jednak jeśli milczał tak długo, będzie milczał nadal. Gdyby mnie zabrali, straciłby swoją... swoją mówiącą książkę. Czy tym właśnie dla niego jestem? Chyba tak.

Zamilkł, ale nie przestawał rozmyślać. Był samotny - nikt nigdy nie pojmie, jak bardzo samotny. Były chwile, kiedy zupełnie poważnie myślał o samobójstwie. Źle znosił samotność. Słyszał tylko głosy ludzi z radia. Widywał jedynie ludzi z drugiej strony brudnej szyby. Był stary i chociaż obawiał się śmierci, bardziej bał się zostać starym, samotnym człowiekiem.

Czasem zawodził go pęcherz. W połowie drogi do łazienki na spodniach pojawiała się ciemna plama. Łamało go w stawach na niepogodę, z początku lekko, a potem okropnie, tak że bywały dni, kiedy między wschodem a zachodem słońca połykał całą zawartość opakowania środka przeciwbólowego... ale aspiryna tylko przytępiała ból. Nawet takie czynności jak wzięcie książki z półki czy włączenie telewizora przychodziły mu z trudem. Miał słaby wzrok; czasem wywracał sprzęty, obijał sobie łydki, nabijał guzy na głowie. Żył w obawie, że złamie sobie coś i nie będzie w stanie dotrzeć do telefonu, a ponadto bał się, że jeśli wezmą go do szpitala, jakiś lekarz nabierze podejrzeń, nie znajdując żadnej dokumentacji medycznej pana Denkera i odkryje jego prawdziwą tożsamość.

Chłopak rozproszył niektóre z tych obaw. Kiedy tu był, Dussander mógł przywołać wspomnienia minionych dni. Z perwersyjną dokładnością pamiętał tamte czasy; recytował nie kończącą się listę nazwisk i wydarzeń, potrafił nawet podać, jaka pogoda była w danym dniu. Pamiętał szeregowego Henreida, który obsługiwał karabin maszynowy na północnej wieży i miał brodawkę między oczami. Niektórzy nazywali go Trzyokim albo Starym Cyklopem. Pamiętał Kessla, który miał zdjęcie swojej dziewczyny, leżącej nago na sofie z rękami pod głową. Kessel wszystkim kazał je oglądać. Pamiętał lekarzy i ich eksperymenty - z progami bólu, falami mózgowymi umierających mężczyzn i kobiet, niedorozwojem fizjologicznym, działaniem różnych rodzajów promieniowania, tuzinami innych. Setkami innych.

Pewnie mówił do chłopca tak, jak wszyscy starzy ludzie, ale podejrzewał, że miał więcej szczęścia niż większość starców, którzy spotykali się ze zniecierpliwieniem, brakiem zainteresowania lub nieuprzejmością słuchaczy. Jego słuchacz był zawsze zafascynowany.

Czy kilka złych snów to zbyt wysoka cena?

Zdusił papierosa, przez moment leżał patrząc w sufit, a potem opuścił stopy na podłogę. Pewnie obaj z chłopcem byli godni pogardy, karmiąc się... pozerając się nawzajem. Jeśli nawet jego żołądek wywracał się od paskudnej, lecz obfitej strawy, jaką dzielili się popołudniami w kuchni, to jak znosił to chłopak? Czy dobrze spał? Pewnie nie. Ostatnio był trochę blady i szczuplejszy, niż kiedy po raz pierwszy pojawił się w życiu Dussandera.

Przeszedł przez sypialnię i otworzył drzwi szafy. Przesunął wieszaki na prawo, sięgnął w mrok i wyjął tandetny mundur. Kurtka wisiała w jego dłoni jak skóra jakiegoś zwierzęcia. Dotknął jej drugą ręką. Dotknął... a potem pogłaskał.

Po bardzo długiej chwili włożył go, ubierając się powoli, nie patrząc w lustro, dopóki nie zapiął wszystkich guzików i pasa (oraz idiotycznego rozporoka na zamek błyskawiczny).

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i kiwnął głową.

Wrócił do łóżka, położył się i zapalił następnego papierosa. Kiedy go skończył, znów poczuł senność. Zgasił lampkę, nie wierząc, że to takie łatwe. Jednak pięć minut później zasnął i tym razem nie miał żadnych snów.

8

Luty 1975

Po kolacji Dick Bowden wyjął koniak, który Dussander w duchu uznał za obrzydliwy. Jednak, oczywiście, uśmiechał się szeroko i chwalił trunek. Żona Bowdena podała chłopcu gorącą czekoladę. W ciągu całego posiłku chłopak był niezwykle cichy. Nieswój? Tak. Z jakiegoś powodu wydawał się bardzo nieswój.

Dussander od pierwszej chwili oczarował Dicka i Monicę Bowdenów. Chłopiec powiedział rodzicom, że pan Denker widzi znacznie gorzej niż w rzeczywistości (tak więc biedny pan Denker potrzebuje psa-przewodnika, pomyślał zgryźliwie Dussander), ponieważ to wyjaśniało długie godziny, jakie ponoć spędzał, czytając staruszkowi książki. Dussander bardzo uważał i chyba udało mu się podtrzymać tę wersję.

Włożył swój najlepszy garnitur i chociaż wieczór był dość wilgotny, artretyzm nie męczył go zbyt - tylko sporadyczne ukłucia bólu. Z jakiegoś absurdalnego powodu chłopak kazał mu zostawić parasol w domu, ale Dussander się uparł. Zważywszy na wszystko, spędził miły i interesujący wieczór. Kiepski koniak czy nie,

od dziewięciu lat nie był u nikogo na kolacji.

Przy posiłku rozmawiali o zakładach samochodowych w Essen, odbudowie powojennych Niemiec - Bowden zadał kilka inteligentnych pytań i odpowiedzi Dussandera najwidoczniej wywarły na nim wrażenie - oraz o niemieckich pisarzach. Monica Bowden zapytała, jak to się stało, że w tak podeszłym wieku przyjechał do Ameryki, a Dussander - z odpowiednio smutną miną krótkowidza - opowiedział o śmierci swej fikcyjnej małżonki. Monica Bowden wyraziła współczucie.

A teraz, przy tym paskudnym koniaku, Dick Bowden powiedział:

- Jeśli to zbyt osobiste pytanie, panie Denker, proszę nie odpowiadać... ale nie przestaję zastanawiać się, co robił pan podczas wojny.

Chłopiec lekko zeszywniał.

Dussander uśmiechnął się i zaczął macać ręką, szukając papierosów. Doskonale widział, gdzie leżą, ale nie mógł się zdradzić. Monica włożyła mu paczkę do ręki.

- Dziękuję, droga pani. Posiłek był wspaniały. Jest pani świetną kucharką. Moja żona nigdy nie ugotowała niczego lepszego.

Monica podziękowała mu i zaczerwieniła się. Todd obrzucił ją zirytowanym spojrzeniem.

- Wcale nie nazbyt osobiste - rzekł Dussander, zapalając papierosa i zwracając się do Bowdena. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku byłem żołnierzem rezerwy, jak wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni za starzy do czynnej służby. Do tej pory przesądzony był już los Trzeciej Rzeszy i szaleńców, którzy ją stworzyli. Szczególnie jednego szaleńca, oczywiście. - Wydmuchnął dym i zrobił poważną minę. Wszystkim ulżyło, gdy fortuna przestała sprzyjać Hitlerowi. Wszystkim. Oczywiście - dodał, rozbijając spojrzeniem na Bowdena, jak mężczyzna na mężczyznę - nie należało wyrażać takich poglądów. Nie głośno.

- Pewnie - przytaknął z szacunkiem Bowden.

- Właśnie - ciągnął z namaszczaniem Dussander. - Nie na głos. Pamiętam, jak pewnego wieczoru, we czwórkę lub piątkę wpadliśmy po pracy na drinka do miejscowej *Ratskeller* - wtedy nie zawsze można było kupić *schnapsa*, a nawet piwo, ale tej nocy mieli je. Wszyscy znaleźliśmy się co najmniej dwadzieścia lat. Jeden z nas, Hans Hassler, wspomniał mimochodem, że może Führer popełnił błąd, rozpoczynając wojnę na dwóch frontach. Powiedziałem: „Hans, na Boga, uważaj, co mówisz!”. Biedny Hans zbladł i natychmiast zmienił temat. Jednak trzy dni później zniknął. Już nigdy nie widziałem go ani ja, ani nikt z tych, którzy tamtej nocy siedzieli przy naszym

stole.

- To straszne! - powiedziała przejęta Monica. - Jeszcze koniaku, panie Denker?

- Nie, dziękuję - uśmiechnął się do niej. - Moja żona miała takie powiedzenie, którego nauczyła się od matki: „Nie należy przeciągać struny”.

Zmarszczka na czole Todda pogłębiła się.

- Sądzi pan, że zesłano go do obozu? - spytał Dick. Pańskiego przyjaciela Hesslera?

- Hasslera - poprawił łagodnie Dussander. Spoważniał. - Wielu spotkał taki los. Obozy... Niemcy będą się ich wstydzić jeszcze przez tysiąc lat. To prawdziwe dziedzictwo Hitlera.

- Och, myślę, że jest pan zbyt surowy - stwierdził Bowden, zapalając fajkę i wydmuchując duszącą chmurę Cherry Blend. - Według tego, co czytałem, większość Niemców nie miała pojęcia o tym, co się dzieje. Ludzie mieszkający wokół Auschwitz sądzili, że to wytwórnia kielbas.

- Och, to okropne - powiedziała Monica i zrobiła do męża minę oznaczającą „dość tego”. Potem spojrzała na Dussandera i uśmiechnęła się. - Uwielbiam zapach fajki, panie Denker, a pan?

- Ja również, proszę pani - odparł Dussander. Z najwyższym trudem powstrzymał się od kichania.

Nagle Bowden sięgnął przez stół i położył dłoń na ramieniu syna. Todd podskoczył.

- Jesteś dziś taki cichy, synu. Dobrze się czujesz?

Todd odpowiedział szczególnym uśmiechem, który zdawał się dzielić między ojca a gościa.

- Dobrze. Pamiętaj, że ja już słyszałem większość tych historii.

- Todd! - skarciła go Monica. - To nie...

- Chłopiec jest po prostu szczery - rzekł Dussander. To przywilej chłopców, z którego mężczyźni często muszą zrezygnować. Prawda, panie Bowden?

Dick roześmiał się i skinął głową.

- Może Todd mógłby teraz odprowadzić mnie do domu - powiedział Dussander.
- Jestem pewien, że ma dużo nauki.

- Todd jest bardzo zdolnym uczniem - powiedziała Monica, ale mówiła to odruchowo, z lekkim zdziwieniem patrząc na syna. - Prawie same piątki i czwórki. W tym semestrze miał jedną trójkę, ale obiecał, że w następnym podciągnie się z

francuskiego. Prawda, Todd-dziecino?

Chłopiec znów obdarzył ich tym szczególnym uśmiechem i kiwnął głową.

- Nie musi pan iść pieszo - rzekł Dick. - Chętnie odwiozę pana do domu.

- Spaceruję dla świeżego powietrza i zdrowia - rzekł Dussander. - Naprawdę, muszę nalegać... chyba że Todd nie chce.

- Och nie, chętnie się przejdę - powiedział Todd, a rodzice obdarzyli go promiennymi uśmiechami.

Dochodzili już do domu Dussandera, kiedy stary przerwał milczenie. Padało, więc trzymał parasol, którym osłaniał ich obu. Mimo to artretyzm nie odzywał się. Zdumiewające.

- Jesteś jak mój artretyzm - rzekł.

Todd podniósł głowę.

- Hm?

- Obaj nie macie mi dziś wiele do powiedzenia. Co zjadło ci język, chłopcze? Kot czy kormoran?

- Nic - mruknął Todd. Skręcili w uliczkę, przy której mieszkał Dussander.

- Niechaj zgadnę - powiedział Dussander, nie bez cienia złośliwości. - Kiedy przyszedłeś po mnie, obawiałeś się, że popełnię błąd... „sypnę się”, jak powiadacie. A jednak byłeś zdecydowany przyprowadzić mnie na tę kolację, ponieważ nie mogłeś dłużej zwodzić rodziców. Teraz jesteś niezadowolony, że wszystko poszło jak z płatka. Czy nie tak?

- A kogo to obchodzi? - odparł Todd i z uporem wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie miałoby pójść? - zapytał Dussander. Ukrywałem się, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Przyznaję, że potrafisz dochować tajemnicy. Przyznaję to z przyjemnością. Obserwowałeś mnie dzisiaj? Oczarowałem ich. Oczarowałem!

Todd nagle wybuchnął:

- Nie musiał pan tego robić!

Dussander przystanął i wytrzeszczył oczy.

- Nie musiałem? Nie? Myślałem, że właśnie tego chcesz, chłopcze! Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu, żeby nadal do mnie przychodzić, żeby mi „czytać”.

- Za dużo pan zakłada! - rzucił gniewnie Todd. - Może dostałem już od pana wszystko, co chciałem. Myśli pan, że ktoś mnie zmusza, żebym przychodził do pańskiego nędznego domu i patrzył, jak chla pan gorzałę, podobnie jak ci starzy opoje

włóczący się po parku? Tak pan myśli? - Podniósł głos, w którym pojawiły się piskliwe, histeryczne nutki. - Nikt mnie nie zmusza. Jeśli chcę, to przyjdę, a jeśli nie - to nie.

- Mów ciszej. Ktoś usłyszy.

- A kogo to obchodzi? - rzekł Todd i znów zaczął iść.

Celowo szedł poza osłonę parasola.

- Nie, nikt cię nie zmusza - powiedział Dussander. A potem oddał starannie wycelowany strzał na oślep: - Prawdę mówiąc, nawet lepiej, jeśli będziesz trzymał się z daleka. Wierz mi, chłopcze, nie mam nic przeciwko picciu w samotności. Zupełnie nic.

Todd spojrział na niego pogardliwie.

- Chciałby pan tego, prawda?

Dussander tylko uśmiechnął się niezobowiązująco.

- No, niech pan na to nie liczy.

Dotarli do betonowego chodnika prowadzącego do domu Dussandera. Stary gmerał w kieszeni, szukając klucza. Artretyzm zapalił się żywym ogniem w stawach jego palców i przygasł, czekając. Teraz Dussander pomyślał, że wie, na co czekał ten ból: aż znów zostanie sam. Wtedy przyjdzie.

- Powiem panu coś - zaczął Todd. Głos miał dziwnie zdławiony. - Gdyby wiedzieli, kim pan był, gdybym im powiedział, opluliby pana i skopali pańską kośćistą, starą dupę.

W ociekającym deszczem mroku Dussander popatrzył z bliska w twarz Todda. Ten spoglądał wyzywająco, ale pobladł, a oczy miał lekko wpadnięte i podkrążone - jak ktoś, kto rozmyśla długo w noc, kiedy inni śpią.

- Jestem pewien, że nie mieliby dla mnie nic prócz odrazy rzekł Dussander, chociaż w duchu uważał, że Bowden-ojciec opanowałby obrzydzenie na tyle, żeby zadać wiele z tych pytań, jakie zadał już jego syn. - Nic prócz odrazy. Tylko jak poczuliby się, chłopcze, gdybym im wyznał, że wiedziałeś o wszystkim już od ośmiu miesięcy... i nic nie powiedziałaś?

Todd bez słowa spoglądał na niego w mroku.

- Przychodź do mnie, jeśli chcesz - rzucił obojętnie Dussander - albo zostań w domu. Dobranoc, chłopcze.

Poszedł chodnikiem do frontowych drzwi, zostawiając Todda stojącego z lekko rozdziawionymi ustami.

Następnego ranka przy śniadaniu Monica oznajmiła:

- Twojemu ojcu bardzo spodobał się pan Denker. Powiedział, że przypomina mu twojego dziadka.

Todd wymruczał coś, żując kanapkę. Monica patrzyła na syna i zastanawiała się, czy dobrze spał. Był blady. Ponadto przynosił gorsze stopnie. Todd nigdy nie dostawał trójek.

- Dobrze się czujesz?

Przez chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem, a potem na jego twarzy wykwił ten promienny uśmiech, oczarowując ją... uspokajając. Na brodzie miał odrobinę truskawkowego dżemu.

- Jasne - odparł. - Wspaniale.

- Todd-dziecino - powiedziała.

- Monica-dziecino - odparł i oboje zaczęli się śmiać.

9

Marzec 1975

- Kici-kici - wabił Dussander. - Tutaj, kici-kici. Kotku? Koteczku?

Siedział na tyłach domu, a przy jego prawej nodze stała różowa plastikowa miska. Była pełna mleka. Dochodziło wpół do drugiej; było mgliście i duszno. Pożary szalejące na zachodzie nasyciły powietrze jesiennym zapachem, nie pasującym do pory roku. Jeśli chłopiec go odwiedzi, to za godzinę. Nie zawsze przychodził. Zamiast codziennie, zjawiał się cztery, czasem pięć razy w tygodniu. Dussander intuicyjnie wyczuwał, że chłopiec ma własne kłopoty.

- Kici-kici - zawołał Dussander.

Bezpański kot siedział na końcu podwórka, w kępie chwastów przy ogrodzeniu. Za każdym razem, gdy stary go wołał, kot nadstawiał uszu. Nie odrywał oczu od miski pełnej mleka.

Może, pomyślał Dussander, chłopak ma kłopoty z nauką. Albo złe sny. A może i jedno, i drugie.

Uśmiechnął się na samą myśl.

- Kici-kici - zawołał ponownie.

Kot znów postawił uszy. Nie ruszył się, jeszcze nie, lecz wciąż patrzył na miskę.

Dussander z pewnością miał swoje problemy. Mniej więcej od trzech tygodni

spał w mundurze SS jak w groteskowej piżamie; uniform odpędzał bezsenność i złe sny. Spał - z początku - jak kamień. Potem sny wróciły, nie powoli, ale nagle, jeszcze gorsze niż przedtem. Sny o uciekaniu i sny o oczach. Uciekał przez wilgotną, niewidzialną dżunglę; grube liście i mokre paprocie uderzały go w twarz, pozostawiając strużki soku... albo krwi. Biegł i biegł, a świecące oczy wciąż mu towarzyszyły, patrząc na niego beznamiętnie, aż wypadł na polankę. W ciemności raczej wyczuł, niż zobaczył strome wzniesienie rozpoczynające się na jej drugim końcu. Na szczycie tego wzniesienia było Patin, z niskimi cementowymi budynkami i dziedzińcami otoczonymi drutami kolczastymi i przewodami wysokiego napięcia, z wieżyczkami strażniczymi stojącymi jak marsjańskie okręty wojenne z „Wojny światów”. Na środku, z wielkich kominów unosiły się w niebo kłęby dymu, a pod tymi ceglany kolumnami były piece, rozpalone i czekające, płonące w mroku jak ślepie demonów. Powiedzieli okolicznym mieszkańcom, że więźniowie w Patin szyją ubrania i robią świece, a miejscowi nie uwierzyli w to tak samo, jak ci wokół Auschwitz nie wierzyli, że obóz to wytwórnia kielbas. To nie miało żadnego znaczenia.

W tym śnie, oglądając się przez ramię, widział, jak oni wychodzą z ukrycia, *Juden*, podchodzą do niego z niebieskimi numerami jarzącymi się na żywym ciele wyciągniętych ramion, z palcami zagiętymi w szpony, twarzami już nie obojętnymi, lecz ożywionymi nienawiścią, wykrzywionymi żądzą zemsty, tchnącymi chęcią mordu. Małe dzieci dreptały obok matek, a starsze niosły dziadków.

Wiedział (i oni też), że jeśli zdoła wdrapać się na wzgórze, będzie bezpieczny. Na wilgotnej i bagnistej równinie, w dżungli, gdzie kwitnące nocą kwiaty wydzielają krew zamiast soku, był tropionym zwierzęciem... ofiarą. Jednak tam, na górze, stawał się panem sytuacji. Jeśli to była dżungla, to obóz na wzgórzu był ogrodem zoologicznym, gdzie wszystkie dzikie zwierzęta siedziały dobrze zamknięte w klatkach, a on był głównym dozorcą mającym decydować, które zostanie nakarmione, które przeżyje, które zostanie przekazane do wiwisekcji, a które odwiezione furgonetką do ubojni.

Zaczął piąć się w górę, biegnąc powoli jak zawsze w takich koszmarach. Czuł, jak pierwsze wychudłe ręce zaciskają się na jego szyi, czuł zimne i cuchnące oddechy, smród rozkładu, słyszał piskliwe okrzyki triumfu, gdy dopadli go tuż-tuż przed zbawczym...

- Kici-kici - zawołał Dussander. - Mleczko. Smaczne mleczko.

Kot w końcu się poruszył. Doszedł do połowy podwórka, a potem znowu usiadł,

niespokojnie kręcąc głową. Nie ufał mu; nie. Jednak Dussander wiedział, że kot czuje zapach mleka, więc był dobrej myśli. Wcześniej czy później podejdzie.

W Patin nigdy nie było problemów z przemytem. Niektórzy więźniowie przemycali najróżniejsze rzeczy w irchowych woreczkach schowanych w odbycie (przy czym jakże często okazywało się, że nie było to nic cennego - fotografie, kosmyki włosów, sztuczna biżuteria), często wpychanych patykiem tak głęboko, że nie mogły ich wymacać nawet długie paluchy kapo zwanego Śmierdzirączką. Dussander pamiętał, że pewna kobieta miała mały diament - ze skazą, jak się okazało, nie mający żadnej wartości - który był w posiadaniu jej rodziny od sześciu pokoleń, przekazywany przez matkę najstarszej córce (przynajmniej tak mówiła, ale była Żydówką, a one wszystkie kłamią). Połknęła go przed przyjazdem do Patin. Kiedy go wydalila, połknęła go znowu. Robiła tak wielokrotnie, jednak w końcu diament poranił jej wnętrzności i zaczęła krwawić.

Były też i inne wybiegi, chociaż przeważnie chodziło o takie drobiazgi, jak paczka tytoniu czy wstążka do włosów. To bez znaczenia. W pokoju, w którym Dussander przesłuchiwał więźniów, stał stół nakryty kraciastym obrusem, bardzo podobnym do tego, jaki teraz miał w swojej kuchni. Na podgrzewaczu cichutko bulgotał jagnięcy gulasz. Kiedy podejrzewano kogoś o posiadanie zakazanych przedmiotów (a kogo nie podejrzewano?), przyprowadzano go. Dussander stawiał go koło podgrzewacza, z którego unosiły się aromatyczne opary. Łagodnie pytał: Kto ukrywa złoto? Kto ukrywa biżuterię? Kto ma tytoń? Kto dał tej Givenet tabletkę dla dziecka? Kto? Nigdy nie obiecywał gulaszu, ale zapach w końcu zawsze rozwiązywał im języki. Oczywiście, pałką osiągnąłby to samo albo lufą pistoletu wepchniętą w ich brudne krocza, ale gulasz był... był eleganckim sposobem. Tak.

- Kici-kici - zawołał Dussander.

Kot nadstawił uszu. Prawie wstał, ale zaraz przypomniał sobie jakiś otrzymany dawno kopniak albo zapalkę przypalającą wąsy i znów przysiadł. Jednak wkrótce podejdzie.

Znalazł sposób złagodzenia tego koszmaru. W pewnym sensie równie prosty jak wkładanie munduru SS... ale znacznie lepszy. Dussander był zadowolony z siebie, żałował tylko, że nie pomyślał o tym wcześniej. Przypuszczał, że powinien dziękować chłopcu za tę nową metodę uspokajania się, za to, że pokazał mu, iż z upiorami przeszłości nie poradzi sobie, zaprzeczając ich istnieniu, lecz kontemplując je, a nawet przyjmując z otwartymi ramionami. To prawda, że zanim chłopiec niespodziewanie

pojawił się zeszłego lata, Dussander od dawna już nie miał złych snów, ale teraz doszedł do wniosku, że tchórzliwie umknął przed przeszłością. Zrezygnował z części swojej osobowości. Teraz ją odzyskał.

- Kici-kici - wabił Dussander i na jego ustach pojawił się uśmiech, miły uśmiech, krzepiący, typowy dla wszystkich starych ludzi, którzy jakoś przebrnęli przez okrutne wiry życia do bezpiecznej przystani, wciąż stosunkowo nietknięci, a znacznie mądrzejsi.

Kocur wstał, wahał się jeszcze przez chwilę, a potem zwinnie przebiegł przez dziedziniec. Wbiegł po schodach, rzucił Dussanderowi ostatnie nieufne spojrzenie, kładąc po sobie poszarpane i sparszywiałe uszy; potem zaczął chleptać mleko.

- Dobre mleczko - rzekł Dussander, wkładając grube gumowe rękawice, które przez cały czas leżały na jego podolku. - Dobre mleczko dla dobrego koteczka.

Kupił te rękawice w supermarkecie. Stał w kolejce dla uprzywilejowanych i starsze panie spoglądały na niego z aprobatą, a nawet z rozmysłem. Te rękawice reklamowano w telewizji. Miały mankiety. Były tak elastyczne, że można było przez nie podnieść dziesięciocentówkę.

Jednym zielonym palcem pogłaskał grzbiet zwierzęcia, mówiąc do niego uspokajająco. Zaczęło wyginać grzbiet w rytmie jego dotknięć.

Kiedy miseczka była już prawie pusta, złapał kota.

Kocur miotał się w jego zaciśniętych rękach, wijąc się i szamocząc, szarpiąc pazurami gumę. Szarpał się na wszystkie strony i Dussander nie miał wątpliwości, że to kot wyszedłby zwycięsko z tego starcia, gdyby zdołał wbić w niego kły lub pazury. Był doświadczonym wojownikiem. Trafił swój na swego, pomyślał Dussander, uśmiechając się.

Trzymając kota z daleka od siebie, z wrytym na twarzy grymasem uśmiechu, Dussander pchnął nogą tylne drzwi i wszedł do kuchni. Kot miauczał, wił się i szarpał gumowe rękawice. Podrzucił trójkątnym łbem i ugryzł zielony kciuk.

- Niegrzeczny kociak - skarcił go Dussander.

Drzwiczki piekarnika były otwarte. Dussander wrzucił kota do środka. Ostro trzasnęły wyrywane z gumy pazury. Dussander zatrzasnął drzwiczki kolanem, powodując bolesny artretyczny skurcz. Jednak uśmiechał się nadal. Głośno oddychając, prawie dysząc, przez moment stał ze zwieszoną głową, opierając się o kuchenkę. To była gazowa kuchenka. Rzadko używał ją do czegokolwiek innego niż podgrzewania gotowych dań i zabijania bezpiecznych kotów.

Przez syk palników słyszał drapanie i miauczenie kota, usiłującego wydostać się z pułapki.

Dussander ustawił pokrętko na najwyższą temperaturę. Z wyraźnie słyszalnym „Bach” w piekarniku zapaliły się dwa podwójne rzędy palników. Kot przestał miauczeć i zaczął wrzeszczeć. To brzmiało... tak... prawie jak krzyk chłopca. Młodego chłopca, który strasznie cierpi. Pod wpływem tej myśli uśmiech na twarzy Dussandera jeszcze się poszerzył. Serce waliło mu w piersi. Kot drapał i miotał się w piekarniku, wrzeszcząc przeraźliwie. Wkrótce gorący smród palonej sierści zaczął sączyć się z piekarnika do pokoju.

Pół godziny później zdrapał resztki kota widelcem do barbecue, który nabył za dwa dolary dziewięćdziesiąt osiem centów w odległym o milę centrum handlowym.

Ścierwo upieczonego kota włożył do pustej torby po mące i zniósł do piwnicy. Podłoga piwnicy nigdy nie została zalana cementem. Po pewnym czasie Dussander wrócił. Obficie rozpylił w kuchni dezodorant Glade, aż wszystko zaczęło cuchnąć sztucznym, sosnowym zapachem. Otworzył szeroko okna. Umył widelec do barbecue i powiesił go na wieszaku. Potem usiadł i czekał na chłopca. Przez cały czas się uśmiechał.

Todd przyszedł pięć minut po tym, jak Dussander uznał, że tego popołudnia już się nie pojawi. Miał na sobie ciepłą kurtkę w barwach szkoły, a także czapkę baseballową San Diego Padres. Pod pachą niósł książki.

- O zesz ty - powiedział, wchodząc do kuchni i kręcąc nosem. - Co to za zapach? Okropnie śmierdzi.

- Wypróbowałem piekarnik - odparł Dussander, zapalając papierosa. - Obawiam się, że spaliłem sobie kolację. Musiałem ją wyrzucić.

Pewnego dnia w tym samym miesiącu chłopak przyszedł znacznie wcześniej niż zwykle, na długo przed zakończeniem zajęć. Dussander siedział w kuchni, popijając burbon z poobijanego i odbarwionego kubka z bieżącym wokół brzegu napisem OTO KAWKĘ BĘDZIESZ MIAŁ, HAU, HAU, HAU! Przeniósł już bujany fotel do kuchni i teraz tylko pił i kołysał się, kołysał się i popijał, stukając kapciami o wyblakłe linoleum. Czuł miłe podniecenie. Aż do minionej nocy nie miał żadnych złych snów. Żadnych, od czasu kocura z poszarpanymi uszami. Jednak zeszła noc była szczególnie okropna. Temu nie można zaprzeczyć. „Oni” dopadli go w połowie stoku i zaczęli

robić mu straszne rzeczy, zanim zdołał się obudzić. A jednak, gwałtownie powróciwszy do rzeczywistego świata, nabrał pewności siebie. Mógł pozbyć się koszmarów w każdej chwili. Może tym razem kot nie wystarczy. Pozostawało schronisko dla psów. Tak. Schronisko dla psów.

Todd wpadł do kuchni z twarzą bladą, błyszczącą od potu i ściągniętą. Porządnie schudł, zauważył Dussander. Miał w oczach dziwny błysk, który wcale nie spodobał się staremu.

- Pomożesz mi - rzekł Todd, nagle i wyzywająco.

- Tak? - Dussander zachował stoicki wyraz twarzy. Nie zmienił go, gdy chłopak gwałtownym, gniewnym ruchem z trzaskiem rzucił książki na stół. Jedna prześlizgnęła się po stole i upadła grzbietem do góry tuż obok nogi Dussandera.

- Tak, masz kurewską rację! - wrzasnął piskliwie Todd. Lepiej w to uwierz! Ponieważ to twoja wina! Wszystko to twoja wina! - Na policzkach wykwitły mu czerwone plamy. - Jednak pomożesz mi wykręcić się z tego, bo mam na ciebie haka! Mam cię w garści!

- Pomogę ci, jeśli tylko będę mógł - odparł spokojnie Dussander. Zobaczył, że zupełnie nieświadomie splótł dłonie przed sobą - tak samo jak kiedyś. Pochylił się w fotelu i oparł brodę na splecionych palcach - tak jak niegdyś. Miał opanowaną, przyjazną i badawczą minę; nie okazywał rosnącego zadowolenia. Siedząc tak, mógł niemal wyobrazić sobie garnek z gulaszem gotującym się na kuchence za jego plecami. - Powiedz mi, w czym kłopot.

- To ten pierdolony kłopot - odparł gniewnie Todd i rzucił w Dussandera teczką.

Odbiła się od piersi starego i upadła mu na kolana; przez moment zadziwił go ogrom gniewu, jaki poczuł, gwałtowna chęć, by wstać i wytrzaskać chłopaka po twarzy. Zamiast tego, spoglądał na niego ze spokojem. Zobaczył, że to cenzurka, chociaż szkoła zadała sobie wiele trudu, żeby to ukryć. Zamiast „cenzurka” albo „świadectwo”, nazwano ją „okresową oceną postępów ucznia”. Chrząknęła i otworzyła teczkę.

Wypadła z niej kartka papieru, z tekstem napisanym na maszynie. Dussander odłożył ją do sprawdzenia w dalszej kolejności i najpierw zajął się stopniami.

- Widzę, że strasznie się opuściłeś, mój chłopcze - rzekł, nie bez pewnej przyjemności. Chłopiec zdał tylko z angielskiego i historii Ameryki. Ze wszystkich pozostałych przedmiotów miał jedyneki.

- To nie moja wina - syknął zjadliwie Todd. - To twoja wina. Te wszystkie twoje opowieści. Mam po nich złe sny. Siadam, otwieram książki i zaczynam myśleć o tym, co opowiadałeś mi tego dnia; zanim się zorientuję, przychodzi mama i mówi, że czas do łóżka. To nie moja wina! Słyszysz mnie? Nie moja!

- Słyszę cię bardzo dobrze - rzekł Dussander i przeczytał list dołączony do ocen Todda.

Szanowni Państwo Bowden!

Proponuję, abyśmy spotkali się w związku z ocenami Todda na drugi i trzeci okres. W świetle jego dotychczasowych dobrych wyników w nauce, obecne oceny świadczą o istnieniu jakiegoś problemu, który może ujemnie wpływać na postępy. Taki problem często można rozwiązać w drodze szczerzej i otwartej dyskusji.

Powinienem przypomnieć, że chociaż Todd zaliczył pierwsze półrocze, jego oceny końcowe mogą okazać się niezadowolające, o ile w czwartym okresie nie ulegną radykalnej poprawie. Niezadowolające oceny pociągną za sobą konieczność uczęszczania na zajęcia w lecie, aby nadrobić zaległości w nauce i zapobiec jeszcze poważniejszym problemom.

Muszę także zauważyć, że Todd jest uczniem klasy przygotowującej kandydatów do szkół średnich, a jego dotychczasowe wyniki w tym roku plasują go znacznie poniżej wymaganego przez nie poziomu. Ten poziom nie odpowiada również wymogom stawianym przez test kwalifikacyjny SAT.

Chętnie spotkam się z Państwem w dogodnym dla nas wszystkich czasie. W przypadkach takich jak ten, im wcześniej, tym lepiej.

*Z poważaniem,
Edward French*

- Kim jest Edward French? - spytał Dussander, wsuwając list z powrotem do teczki (w duchu zastanawiając się nad tym amerykańskim zamięrowaniem do żargonu; tyle gadania, żeby poinformować rodziców, że ich syn się obija!) i splatając ręce. Miał silniejsze niż zwykle przeczucie nadciągającej katastrofy, ale nie chciał mu się poddać. Przed rokiem zrobiłby to; rok temu był gotowy na katastrofę. Teraz nie był, ale zdaje się, że ten przeklęty chłopak i tak ją ściągnął. - Czy to twój wychowawca?

- Gumowy Ed? Do diabła, nie. To szkolny pedagog.

- Szkolny pedagog? A cóż to takiego?

- Domyśl się! - warknął Todd. Był bliski hysterii. - Czytałeś ten przeklęty list!

Miotał się po pokoju, rzucając Dussanderowi szybkie, gniewne spojrzenia.

- Nie mam zamiaru do tego dopuścić. Na pewno nie. Nie będę chodził do żadnej letniej szkoły. Tato i mama jadą w tym roku na Hawaje, a ja z nimi.

Wskazał leżącą na stole cenzurkę.

- Wiesz, co zrobi mój ojciec, kiedy to zobaczy?

Dussander potrząsnął głową.

- Wyciągnie ze mnie wszystko. Wszystko. Domyśli się, że to przez ciebie. Nie z żadnego innego powodu, ponieważ nic się nie zmieniło. Będzie wiercił mi dziurę w brzuchu tak długo, aż wyśpiewam mu całą historię. A wtedy... wtedy ja... będę załatwiony. - Z niechęcią spojrział na Dussandera. - Będą mnie pilnować, może nawet pošlą mnie do lekarza, nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Jednak nie dam się załatwić. I nie pójdę do żadnej pierdolonej letniej szkoły.

- Ani do poprawczaka - dodał Dussander. Powiedział to bardzo spokojnie.

Todd przestał krążyć po pokoju. Zastygł. Jego czoło i policzki, już wcześniej blade, teraz pobrały jeszcze bardziej. Wytrzeszczył oczy na Dussandera i dopiero za drugim razem zdołał wykrztusić:

- Co? Co powiedziałeś?

- Mój drogi chłopcze - odparł z udawaną cierpliwością Dussander - od pięciu minut słucham, jak jęczysz i skamlesz, a wszystkie te jęki i skamlenia sprowadzają się do jednego: znalazłeś się w opałach, mogą cię przyłapać.

Widząc, że zdołał - wreszcie - zwrócić uwagę chłopca, Dussander w zadumie pociągnął łyk burbona.

- Chłopcze - ciągnął - masz bardzo niebezpieczne nastawienie. Groźne również dla mnie. Ta sytuacja stanowi większe zagrożenie dla mnie niż dla ciebie. Ty martwisz się o swoje świadectwo. Phi! Tyle co do twego świadectwa. Pstryknięciem poślódkiego palca strącił je ze stołu na podłogę. Ja martwię się o moje życie!

Todd nie odpowiedział; mierzył Dussandera nieruchomym, ciężkim spojrzeniem.

- Izraelczycy nie przejmą się tym, że mam siedemdziesiąt sześć lat. U nich nadal wykonuje się wyroki śmierci, szczególnie jeśli skazany jest hitlerowskim przestępcą wojennym związanym z obozami.

- Jesteś obywatelem Stanów - rzekł Todd. - Ameryka nie wyda im nikogo. Czytałem o tym. Ja...

- Czytasz, ale nie słuchasz! Nie jestem amerykańskim obywatelem! Moje papiery wystawiła Cosa Nostra. Zostanę deportowany, a agenci Mossadu będą czekać na mnie, dokądkolwiek polecę.

- Chciałbym, żeby cię powiesili - mruknął Todd, zaciskając dłonie w pięści i spoglądając na nie. - Zupełnie zwariowałem, zadając się z tobą.

- Niewątpliwie - uśmiechnął się nieznacznie Dussander. - Jednak się zadałeś. Należy żyć teraźniejszością, chłopcze, a nie przeszłością i jakimiś „nie powinienem być”. Musisz zrozumieć, że twój los i mój są teraz nierozdzielnie ze sobą związane. Gdybyś mnie „zakapował”, jak powiadacie, myślisz, że wahałbym się zakapować ciebie? W Patin zginęło siedemset tysięcy ludzi. Dla świata jestem przestępcą, potworem, nawet rzeźnikiem, jak nazywają mnie wasze uwielbiające skandale brukowce. A ty jesteś moim współnikiem, drogi chłopcze. Wiedziałeś o obecności nielegalnego emigranta i nie zgłosiłeś tego. Jeśli zostanę schwytany, opowiem o tym światu. Kiedy reporterzy podetkną mi mikrofony pod nos, to twoje imię będę powtarzał bez końca. Todd Bowden, tak, tak się nazywał... Jak długo? Prawie rok. Chciał wiedzieć wszystko... wszystkie fajne szczegóły. „Wszystkie soczyste szczegóły” - tak mówił. Tak właśnie to ujął: „Wszystkie soczyste szczegóły”.

Todd wstrzymał oddech. Jego skóra wydawała się przezroczysta. Dussander uśmiechnął się i upił łyk burbona.

- Myślę, że wpakują cię do więzienia. Może nazwą je zakładem poprawczym lub wychowawczym - nadadzą mu jakąś fajną nazwę, taką jak „okresowy raport o postępach ucznia” (tu uśmiechnął się) - ale obojętnie jak je nazwą, w oknach będą kraty.

Todd obliznął wargi.

- Nazwałbym cię kłamcą. Powiedziałbym, że dopiero co się dowiedziałem. Uwierzyliby mnie, a nie tobie. Lepiej o tym pamiętaj.

Dussander nie przestawał się uśmiechać.

- Zdaje się, że mówiłeś, iż ojciec wszystko z ciebie wydusi.

Todd odparł na to powoli, jak mówi ktoś, wypowiadając myśli, które właśnie przyszły mu do głowy.

- Może nie. Może nie tym razem. Tym razem nie chodzi o wybitą kamieniem szybę.

Dussander podejrzewał, że chłopiec dobrze oceniał sytuację - grając o taką stawkę, może zdołałby przekonać ojca. W końcu, w obliczu tak nieprzyjemnej prawdy,

który rodzic nie chciałby zostać przekonany?

- Może tak. Może nie. Jak zamierzasz wytłumaczyć wszystkie te książki, które musiałeś czytać biednemu, na wpół ślepemu panu Denkerowi? Moje oczy nie są już takie jak kiedyś, ale w okularach nadal czytam nawet drobny druk, co mogę udowodnić.

- Powiedziałbym, że mnie oszukałeś!

- Tak? A jaki podałbyś powód takiego oszustwa?

- Przy... przyjaźń. Byłeś samotny.

To, pomyślał Dussander, było dostatecznie zbliżone do prawdy, żeby okazać się wiarygodne. Na początku, chłopiec rzeczywiście mógłby wykręcić się w ten sposób. Jednak teraz był wściekły, rozłaził się w szwach jak płaszcz, który osiągnął kres swojej użyteczności. Gdyby jakiś dzieciak strzelił na ulicy z pistoletu na kapiszony, chłopak pewnie podskoczyłby i zaczął piszczeć jak dziewczyna.

- Twoje oceny również potwierdzą moją wersję - rzekł Dussander. - To nie „Robinson Crusoe” spowodował takie pogorszenie stopni, prawda?

- Zamknij się, dobrze? Po prostu się zamknij.

- Nie - powiedział Dussander. - Nie zamknę się.

Zapalił papierosa, potarłszy zapałkę o drzwiczki kuchenki.

- Dopóki nie sprawię, że zrozumiesz pewną prostą prawdę. Jedziemy na tym samym wózku, na dobre i złe.

Spojrzał na Todda przez pasma dymu, bez uśmiechu na pobrużdżonej, gadziej twarzy.

- Pociągnę cię za sobą, chłopcze. Obiecuję ci to. Jeżeli coś wyjdzie na jaw, to wyda się wszystko. To ci przyrzekam.

Todd spojrzał na niego ponuro i nic nie powiedział.

- A teraz - rzekł raźnie Dussander, jak człowiek mający już za sobą przykry obowiązek - zachodzi pytanie, co zrobimy w tej sytuacji? Masz jakiś pomysł?

- To załatwi sprawę cenzurki - odparł Todd i wyjął z kieszeni kurtki pełną buteleczkę wywabiacza. - Nie wiem tylko, co z tym pierdolonym listem.

Dussander popatrzył z aprobatą na korektor. W swoim czasie i on sfalszował kilka sprawozdań. Kiedy normy śrubowano do niemożliwości... i znacznie, znacznie bardziej. Ponadto - co bardziej przypominało sytuację, z jaką teraz mieli do czynienia - w raportach... wyliczających łupy wojenne. Co tydzień sprawdzał skrzynie z cennymi przedmiotami, wysyłanymi do Berlina w specjalnych wagonach przypominających

wielkie sejfy na kołach. Z boku każdej skrzynki była gruba koperta, a w niej potwierdzony wykaz zawartości. Tyle a tyle pierścionków, naszyjników, bransolet, tyle gramów złota. Dussander miał jednak własną skrzynkę z precjozami - niezbyt cennymi, ale też niezupełnie bezwartościowymi. Nefryty. Turmaliny. Opale. Kilka pereł ze skazą. Przemysłowe diamenty. Kiedy w transporcie przeznaczonym do Berlina dostrzegł coś, co wpadło mu w oko lub wyglądało na dobrą inwestycję, zamieniał ten przedmiot na podobny ze swojej skrzynki, po czym przy użyciu wywabiacza przerabiał wykaz. Stał się dość zręcznym fałszerzem... umiejętność, która przydała mu się ponownie po zakończeniu wojny.

- Dobrze - powiedział do Todda. - A co do tej drugiej sprawy...

Dussander znowu zaczął bujać się na fotelu, popijając burbona. Todd przystawił krzesło do stołu i zajął się cenzurką, którą bez słowa podniósł z podłogi. Pozorny chłód Dussandera wywarł zamierzony skutek i chłopiec teraz pracował w milczeniu, z głową pochyloną nad kartką, jak każdy amerykański chłopak usiłujący jak najlepiej wykonać swoje zadanie, czy chodzi o sadzenie kukurydzy, zdobycie punktów w rozgrywkach Pucharu Juniorów czy sfalszowanie stopni na świadectwie.

Dussander spojrzał na jego kark, lekko opalony i wyraźnie widoczny między linią włosów a owalnym brzegiem podkoszulka. Powiódł wzrokiem od szyi do górnej szuflady kredensu, gdzie trzymał rzeźnicze noże. Jedno szybkie pchnięcie a wiedział, gdzie je zadać - przecięłoby rdzeń kręgowy chłopaka. Na zawsze zamknęłoby mu usta. Dussander uśmiechnął się z żalem. Zniknięcie Todda wywołałoby zbyt wiele pytań. Zbyt wiele. Niektóre pod jego adresem. Nawet jeśli chłopak nie zostawił żadnego listu u przyjaciela, Dussander nie mógł pozwolić, żeby wszczęto śledztwo. Szkoda.

- Ten French - powiedział, stukając palcem w list. Czy on zna twoich rodziców?

- On? - W głosie Todda było słycać pogardę. - Tam, gdzie chodzą moi rodzice, jego nawet by nie wpuścili.

- Czy kiedyś spotkał się z nimi służbowo? Czy rozmawiał już z nimi?

- Nie. Zawsze należałem do najlepszych w klasie. Aż do teraz.

- A więc co o nich wie? - rzekł Dussander, sennie spoglądając na swój kubek, który był prawie pusty. - Och, on wie wszystko o tobie. Na pewno ma wszelkie możliwe dane, jakie mogą mu się przydać. Włącznie z bójkami, jakie stoczyłeś na podwórku przedszkola. Jednak co wie o nich?

Todd odsunął pióro i buteleczkę korektora.

- No, zna ich imiona. Oczywiście. Wie, ile mają lat. Wie, że wszyscy jesteśmy

metodystami. Tę rubrykę wypełnia się nieobowiązkowo, ale moi rodzice zawsze to robią. Nie prowadzą ożywionego życia towarzyskiego, ale na pewno o nich słyszał. Musi wiedzieć, jak mój ojciec zarabia na życie; to także jest w formularzach. Wypełniają je co roku. Jestem pewny, że to wszystko.

- Czy on mógłby wiedzieć, gdyby twoi rodzice mieli jakieś domowe problemy?

- O co ci chodzi?

Dussander wypił resztkę burbona.

- Kłótnie. Awantury. Ojciec śpiący na kanapie. Matka pijąca za dużo. - Rozbłysły mu oczy. - Szykujący się rozwód.

Todd zawołał z urazą:

- Nie ma niczego takiego! Nie ma!

- Wcale nie powiedziałem, że jest. Jednak pomyśl, chłopcze. Załóżmy, że w twoim domu jest istne „piekło na ziemi”, jak powiadają.

Todd spoglądał w milczeniu, marszcząc brwi.

- Martwiłbyś się o nich - ciągnął Dussander. - Bardzo. Straciłbyś apetyt. Źle byś spał. A co najgorsze, wpłynęłoby to na twoje wyniki w nauce. Domowe awantury bardzo źle oddziałują na dzieci.

W oczach chłopca pojawił się błysk zrozumienia - i nikły ślad wdzięczności. Dussander był zadowolony.

- Tak, to paskudna sytuacja, gdy małżeństwo staje na krawędzi przepaści - oznajmił z namaszczeniem, dolewając sobie burbona. Był już nieźle wstawiony. - W serialach telewizyjnych pokazują to bez osłonek. Awantury. Docinki i kłamstwa. A przede wszystkim ból. Cierpienie, mój chłopcze. Nie masz pojęcia, jakie piekielne katusze przechodzą twoi rodzice. Są tak zajęci swoimi problemami, że nie mają czasu zająć się synem. Jego problemy wydają się błahy w porównaniu z ich dramatem, *hein?* Pewnego dnia, kiedy rany się zagoją, niewątpliwie znów bardziej zainteresują się nim. Jednak teraz nie mają do tego głowy, więc wyślą do pana Frencha dziadka chłopca.

W oczach Todda stopniowo zapalał się błysk, który zmienił się w gorączkowy blask.

- Może się udać - mamrotał. - Może, tak, to może, może... - Urwał. Znów spochmurniał. - Nie, nie uda się. Wcale nie jesteś podobny do mnie, ani trochę. Gumowy Ed nigdy w to nie uwierzy.

- *Himmel! Gott im Himmel!* - zawołał Dussander, wstając na nogi. Przeszedł przez kuchnię (odrobinę chwiejnie), otworzył drzwi do piwnicy i wyjął nową butelkę

Ancient Age. Odkręcił zakrętkę i nalał sobie szczerą porcję. - Jak na sprytnego chłopca taki z ciebie *Dummkopf*. Od kiedy to dziadkowie są podobni do wnuków? Co? Mam siwe włosy. Czy ty masz siwe włosy? - Podchodząc do stołu, z zaskakującą szybkością chwycił Todda za włosy i lekko pociągnął.

- Przestań! - warknął Todd, ale się uśmiechnął.

- Ponadto - rzekł Dussander, siadając z powrotem na bujanym fotelu - masz jasne włosy i niebieskie oczy. Moje oczy są niebieskie, a zanim posiwiąłem, miałem blond włosy. Możesz opowiedzieć mi o całej twojej rodzinie. O ciotkach i wujkach. O współpracownikach ojca. O zamięowaniach matki. Zapamiętam wszystko. Pomyślę o tym i zapamiętam. Dwa dni później wszystko zapomnę - moja pamięć jest teraz dziurawa jak sito - ale będę pamiętał wystarczająco długo.

Uśmiechnął się ponuro.

- W swoim czasie wymykałem się Wiesenthalowi i oszukiwałem samego Himmlera. Jeżeli nie zdołam wyprowadzić w pole jakiegoś amerykańskiego nauczyciela, to owinę się w całun i sam wejdę do grobu.

- Może... - powiedział powoli Todd i Dussander widział, że już zaakceptował propozycję. W oczach chłopca widział ulgę.

- Na pewno! - zawołał Dussander.

Zaniósł się śmiechem, aż zapiszczał bujany fotel. Todd spojrzał na niego, zdumiony i lekko przestraszony, ale po chwili i on zaczął się śmiać. Siedząc w kuchni Dussandera, śmiali się bez końca - Dussander przy otwartym oknie, przez które napływało ciepłe kalifornijskie powietrze, a Todd na odchyłonym do tyłu krześle. Oparcie krzesła dotykało drzwiczek kuchenki, których białą emalię znaczyły czarne, zwęglone smugi po zapalanych o nie zapalkach.

Gumowy Ed (to przezwisko, wyjaśnił Todd, odnosiło się do kaloszy, które zawsze wkładał w niepogodę) był niepozornym mężczyzną, który przychodził do szkoły w sportowych butach. Uważał, że taki nieformalny element stroju ułatwi mu kontakt ze stu sześcioma dziećmi w wieku od dwunastu do czternastu lat, którymi miał się opiekować. Nosił na zmianę cztery pary takich butów różniących się kolorem; od metalicznego błękitu do jaskrawej żółci i nie zdawał sobie sprawy z tego, że za jego plecami nazywano go nie tylko Gumowym Edem, ale również Pete Adidasem, Cichobieźnym i Cichobieźną Kometą. W college'u był znany jako Dęciak i byłby głęboko upokorzony, wiedząc, że nawet i ten wstydlivy fakt jakimś sposobem stał się

powszechnie znany.

Rzadko nosił krawaty, woląc swetry z golfem. Nosił je od lat sześćdziesiątych, od czasu gdy spopularyzował je David McCallum w filmie „Człowiek z UNCLE”. Kiedy chodził do college'u, koledzy na jego widok powiadali: „Oto nadchodzi Dęciak w swoim golfie z UNCLE”. Specjalizował się z psychologii kształcenia i w duchu uważał się za jedyne go dobrego specjalistę w tej dziedzinie - miał kontakt z dziećmi, docierał do sedna sprawy; umiał nawijać z nimi i zachować współczujące milczenie, kiedy musiały wyrzeszczyć się i robić numery. Czuł bluesa, ponieważ rozumiał, jak jest kijowo, kiedy masz trzynaście lat i ktoś nawija ci makaron na uszy, a ty nie możesz znieść tego trucia.

Chodziło o to, że z najwyższym trudem przypominał sobie czasy, kiedy sam miał trzynaście lat. Podejrzewał, że taką cenę płaci się za dorastanie w latach pięćdziesiątych. Za to i za podróż do dzielnego nowego świata lat sześćdziesiątych jako osobnik zwany Dęciakiem.

Teraz, gdy dziadek Todda Bowdena wszedł do jego gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi z szybą z matowego szkła, Gumowy Ed wstał z szacunkiem, ale nie wyszedł zza biurka na powitanie gościa. Pamiętał o swoich sportowych butach. Czasem ludzie starej daty nie rozumieli, że noszenie takiego obuwia może być pomocne - co oznaczało, że niektórzy starsi ludzie nie trawili szkolnego pedagoga w adidasach.

Nieźle wyglądający facet, pomyślał Gumowy Ed. Siwe włosy starannie zaczesane do tyłu. Trzyzęściowy garnitur idealnie odprasowany. Niebieskoszary krawat nienagannie zawiązany. W lewej ręce złożony czarny parasol (siąpiło od weekendu) w sposób kojarzący się z wojskowym drylem. Kilka lat wcześniej Gumowy Ed i jego żona przeszli przez okres fascynacji Dorothy Sayers, czytając wszystkie książki tej szacownej damy, które wpadły im w ręce. Ed pomyślał, że oto ożył wytwór jej wyobraźni, lord Peter Wimsey. To on, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, po tym jak zarówno Bunter, jak i Harriet Vane przenieśli się na tamten świat. Zanotował w myślach, żeby opowiedzieć o tym Sondrze po powrocie do domu.

- Panie Bowden - rzekł z szacunkiem i wyciągnął rękę.

- Miło mi - rzekł starszy pan i uściskał ją.

Gumowy Ed przezornie nie odpowiedział stanowczym i bezkompromisowym uściskiem, jakim witał przychodzących ojców; ostrożny sposób, w jaki stary podał mu rękę, wyraźnie świadczył, że ma artretyzm.

- Miło mi, panie French - odparł Bowden i usiadł, starannie podciągając spodnie na kolanach. Umieścił parasol między stopami i oparł się na nim, wyglądając jak podstarzały, niezwykle wytworny lowelas, który wpadł na pogawędkę.

Gumowy Ed uznał, że w głosie przybyłego słyszy nieznacznym ślad akcentu, ale nie brytyjskich wyższych sfer, jaki miałyby Wimsey, lecz wyraźniejszy, bardziej europejski. W każdym razie był uderzająco podobny do Todda. Szczególnie jego nos i oczy.

- Cieszę się, że pan przyszedł - zagaił Gumowy Ed, siadając na fotelu - chociaż w takich przypadkach matka lub ojciec ucznia...

Oczywiście, powiedział tak tylko, aby nawiązać rozmowę. Blisko dziesięcioletnie doświadczenie pedagogiczne nauczyło go, że kiedy na rozmowę przychodzi ciotka, wujek lub któreś z dziadków, zawsze oznacza to kłopoty rodzinne - takie, które niezmiennie okazywały się źródłem problemów ucznia. Gumowy Ed stwierdził to z ulgą. Domowe kłopoty to przykra sprawa, lecz u chłopca o inteligencji Todda odloty narkotykowe byłyby znacznie, znacznie gorsze.

- Tak, oczywiście - rzekł Bowden, który zdołał zrobić jednocześnie zasmuconą i gniewną minę. - Mój syn i jego żona poprosili, żebym przyszedł i omówił z panem tę sprawę, panie French. Todd jest dobrym chłopcem, proszę mi wierzyć. Szkolne kłopoty są tylko przejściowe.

- Cóż, wszyscy mamy taką nadzieję, prawda, panie Bowden? Proszę zapalić, jeśli pan chce. Na terenie szkoły nie wolno tego robić, ale nikomu nie powiem.

- Dziękuję.

Starszy pan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pogniecioną paczkę cameli, włożył do ust jeden z dwóch ostatnich, zagiętych papierosów, znalazł zapalki i zapalił jedną, pocierając nią o podeszwę czarnego buta. Przy pierwszym pociągnięciu kaszlnął wilgotnym kaszlnięciem starego człowieka, zgasił zapalkę i włożył poczerniały niedopałek do popielniczki, którą podsunął mu Gumowy Ed. Pedagog z wyraźną fascynacją obserwował ten rytuał, który wydawał się równie sformalizowany jak strój gościa.

- Od czego zaczniemy? - spytał gość, z niepokojem spoglądając na Gumowego Eda zza wijącej się smugi papierosowego dymu.

- No cóż - rzekł uprzejmie Gumowy Ed - już sam fakt, że widzę tutaj pana, a nie rodziców Todda, jest dla mnie wiele mówiący.

- Tak. Pewnie tak.

Stary mężczyzna splótł ręce na piersi. Camel tkwił między drugim a trzecim palcem jego prawej dłoni. Wyprostował się i uniósł podbródek. Gumowy Ed pomyślał, że wygląda jak stający na baczność Prusak, co przypominało mu wojenne filmy, jakie oglądał będąc dzieckiem.

- Mój syn i synowa mają domowe problemy - rzekł Bowden, starannie wymawiając każde słowo. - Sądzę, że dość poważne.

Starymi, lecz zdumiewająco bystrymi oczami obserwował Gumowego Eda, gdy ten otworzył teczkę leżącą na środku pokrywającego blat biurka bibularza. Były w niej jakieś papiery, ale niewiele.

- A pan uważa, że te kłopoty wpływają na postępy w nauce Todda?

Gość lekko się pochylił. Baczne spojrzenie niebieskich oczu nie uciekło w bok przed wzrokiem szkolnego pedagoga. Po krótkiej, pełnej napięcia pauzie, dziadek Todda rzekł:

- Jego matka pije.

Znów przybrał poprzednią pozycję, siadając prosto jak struna.

- Och.

- Tak, niestety. Chłopiec mówił mi, że dwukrotnie po powrocie do domu zastał ją śpiącą przy kuchennym stole. Ona wie, co mój syn sądzi o nałogu, tak więc chłopiec sam zrobił sobie wtedy obiad i wlał w nią tyle kawy, że przynajmniej ocknęła się, zanim wrócił Richard.

- To niedobrze - powiedział Gumowy Ed, chociaż słyszał gorsze rzeczy: o matkach zażywających heroinę, o ojcach, którym nagle przyszło do głowy dobierać się do córek... lub synów. - Czy pani Bowden myślała o tym, by zasięgnąć fachowej porady?

- Chłopiec usiłował przekonać ją, że tak byłoby najlepiej. Myślę, że ona się wstydzi. Jeśli damy jej trochę czasu... Zrobił nieznaczny gest ręką, zostawiając w powietrzu rozplywający się krąg dymu. - Rozumie pan?

- Tak, oczywiście - kiwnął głową Gumowy Ed, podziwiając w duchu ten gest. - Pański syn... Ojciec Todda...

- On nie jest bez winy - rzucił chrapliwie starszy pan. Za dużo pracuje, zbyt często nie wraca na kolację, zostaje po godzinach... Powiem panu, panie French, on się ożenił ze swoją pracą, a nie z Monicą. Mnie wychowano w przekonaniu, że rodzina jest najważniejsza. A pana nie?

- Na pewno tak - odparł szczerze Gumowy Ed. Jego ojciec był strażnikiem w

dużym domu towarowym w Los Angeles, więc Ed widywał starego tylko podczas weekendów i wakacji.

- To jedna strona problemu - rzekł gość.

Gumowy Ed kiwnął głową i zastanawiał się przez chwilę.

- A co z pańskim drugim synem, panie Bowden? Z... zerknął na zawartość teczki - z Haroldem, wujkiem Todda.

- Harry i Deborah są teraz w Minnesocie - odparł Bowden, zresztą zgodnie z prawdą. - On pracuje w Akademii Medycznej. Trudno byłoby mu wyjechać i żądalibyśmy zbyt wiele, prosząc go o to. - Zrobił należyście zadowoloną minę. Harry i jego żona to szczęśliwe małżeństwo.

- Rozumiem. - Gumowy Ed przez chwilę spoglądał w akta, a potem zamknął je.

- Panie Bowden, doceniam pańską szczerłość. Będę z panem równie szczerzy.

- Dziękuję - powiedział sztywno starszy pan.

- Nie możemy zapewnić naszym uczniom takiej opieki pedagogicznej, jak powinniśmy. Jest nas tu sześciu szkolnych pedagogów i każdy zajmuje się ponad setką uczniów. Mój najmłodszy kolega, Hepburn, ma stu piętnastu podopiecznych. A w naszych czasach, w tym społeczeństwie, wszystkie dzieci potrzebują pomocy.

- Oczywiście.

Dziadek Todda zdusił niedopalek w popielniczce i ponownie splótł dłonie.

- Czasem napotykaemy naprawdę poważne problemy. Najczęściej związane z warunkami rodzinnymi oraz narkotykami. Przynajmniej Todd nie ma nic wspólnego z herą, meskaliną czy PCP.

- Boże broń.

- Czasem - ciągnął Gumowy Ed - nic nie możemy zrobić. To przygnębiające, ale takie jest życie. Zazwyczaj tryby maszynierii, jaką jest system kształcenia, omijają przede wszystkim klasowych rozrabiaków, ponurych, niekomunikatywnych osobników, którzy nawet nie chcą próbować. Oni po prostu spokojnie czekają, aż system przeprowadzi ich przez kolejne klasy albo aż zestarzeją się na tyle, aby móc rzucić szkołę bez zgody rodziców, żeby wstąpić do wojska, zacząć pracę w myjni samochodowej albo wziąć ślub. Rozumie pan? Mówię bez ogródek. Nasz system nie jest, jak powiadają, tak dobry jak powinien być.

- Doceniam pańską szczerłość.

- Jednak to boli, kiedy widzi się, jak tryby maszyny miażdżą kogoś takiego jak Todd. Przez ostatni rok osiągał średnią cztery i siedem, co stawia go wśród

piątkowych uczniów. Jego oceny z angielskiego są jeszcze lepsze. Ma talent literacki, a to niezwykle wśród pokolenia dzieciaków uważających, że kultura zaczyna się przed telewizorem, a kończy w najbliższym kinie. Rozmawiałem z nauczycielką, która w zeszłym roku uczyła Todda angielskiego. Powiedziała, że Todd napisał najlepszy referat, jaki czytała w czasie dwudziestu lat nauczania. Tematem były niemieckie obozy śmierci podczas drugiej wojny światowej. Dała mu jedyną ocenę celującą, jaką kiedykolwiek postawiła uczniowi.

- Czytałem go - rzekł Bowden. - Jest bardzo dobry.

- Ponadto wykazał nieprzeciętne umiejętności z zakresu nauki o życiu i wiedzy o społeczeństwie, a chociaż nie będzie wybitnym matematykiem, wszystkie oceny wskazywały na to, że powinien zdawać do college'u... do tego roku. Do tego roku. Oto cała historia, krótko mówiąc.

- Tak.

- Nie chciałbym, żeby Todd tak zmarnował swoje szanse, panie Bowden. A letnia szkoła... cóż, obiecałem, że będę szczery. Letnia szkoła często przynosi takiemu chłopcu jak Todd więcej szkody niż pożytku. Zazwyczaj taka szkoła to istne zoo. Mnóstwo tam małych, chichoczących hien i innych okazów. Kiepskie towarzystwo dla takiego chłopca jak Todd.

- Oczywiście.

- A zatem przejdźmy do rzeczy, dobrze? Proponuję szereg spotkań, jakie pan i pani Bowden odbyliby w poradni rodzinnej w mieście. Zupełnie poufnie, rzecz jasna. Człowiek kierujący tą placówką, Harry Ackerman, jest moim dobrym znajomym. I nie sądzę, żeby Todd miał podsunąć im ten pomysł; pan powinien to zrobić. - Gumowy Ed uśmiechnął się. - Może do czerwca wszystko uda się naprawić. To nie jest niemożliwe.

Jednak Bowden był wyraźnie zaniepokojony tym pomysłem.

- Sądzę, że mogliby mieć za złe chłopcu, gdybym teraz zaproponował im coś takiego - rzekł. - To bardzo delikatna sytuacja. Może rozwinąć się rozmaicie. Chłopiec obiecał mi, że solidnie weźmie się do nauki. Jest bardzo przygnębiony swoimi ocenami. - Uśmiechnął się nieznacznie, w sposób, którego Gumowy Ed nie potrafił zinterpretować. - Bardziej przygnębiony, niż pan sądzi.

- Jednak...

- I mieliby za złe mnie - dorzucił szybko Bowden. - Bóg wie, że tak. Monica już uważa, że się wtrącam. Staram się tego nie robić, ale rozumie pan sytuację. Sądzę, że

lepiej zostawić ich w spokoju... na razie.

- Mam spore doświadczenie z tego rodzaju sytuacjami powiedział Gumowy Ed. Położył dłonie na aktach Todda i spojrzał w oczy starca. - Naprawdę sędzę, że powinni zasięgnąć porady. Rozumie pan, iż moje zainteresowanie małżeńskimi problemami pańskiego syna i synowej zaczyna się i kończy jedynie na ich oddziaływaniu na Todda... a obecnie to oddziaływanie jest wysoce niekorzystne.

- Pozwoli pan, że wysunę inną propozycję - rzekł dziadek Todda. - Sędzę, że opracowaliście system ostrzegania rodziców o kiepskich stopniach?

- Tak - przyznał ostrożnie Gumowy Ed. - Karty postępów ucznia - KPU. Dzieciaki, oczywiście, nazywają je czerwonymi kartkami. Otrzymują je, jeśli średnia ich wyników w danym okresie spada poniżej trzech. Innymi słowami, wręczamy je dzieciom, które dostają dwóje i jedynki.

- Bardzo dobrze - rzekł Bowden. - Tak więc proponuję co następuje: jeżeli chłopiec otrzyma jedną z takich kartek... chociaż jedną - rzekł, podnosząc wykrzywiony palec - powiem synowi i jego żonie o tej poradni. Posunę się jeszcze dalej. - Wymawiał to jak „dahley”. - Jeżeli chłopiec dostanie taką czerwoną kartkę w kwietniu...

- Dajemy je w maju.

- Tak? A więc jeśli wtedy ją dostanie, gwarantuję, że przyjmą pańską propozycję. Martwią się o syna, panie French. Jednak teraz są tak zajęci własnymi problemami, że... - Wzruszył ramionami.

- Rozumiem.

- A zatem dajmy im tyle czasu na ich rozwiązanie. Radzić sobie samemu w każdej sytuacji... to amerykańska zasada, prawda?

- Tak, chyba tak - odparł Gumowy Ed po krótkim wahaniu. Zerknął na zegarek i zorientował się, że za pięć minut ma następne spotkanie. - Przyjmuję pańską propozycję.

Wstał, gość także się podniósł. Znowu podali sobie ręce i Gumowy Ed w porę przypomniał sobie o artretyzmie gościa.

- Jednak muszę pana ostrzec, że bardzo niewielu uczniów potrafi nadgonić osiemnastotygodniowe zaległości w cztery tygodnie. To ogromna ilość materiału - ogromna. Podejrzewam, że będzie musiał pan dotrzymać pańskiej obietnicy, panie Bowden.

Starszy pan znów uśmiechnął się tajemniczo.

- Naprawdę?

W ciągu całej tej rozmowy coś niepokoiło Gumowego Eda, ale uświadomił to sobie dopiero w kawiarni, godzinę po tym jak lord Peter wyszedł, wetknąwszy pod ramię starannie zwinięty parasol.

Gumowy Ed rozmawiał z dziadkiem Todda co najmniej przez piętnaście minut, chyba nawet dwadzieścia, tymczasem Ed nie przypominał sobie, aby stary choć raz wymówił imię wnuka.

Zdyszany Todd podjechał pod ganek Dussandera i oparł rower na podnóżku. Zaledwie piętnaście minut temu skończył zajęcia. Jednym susem wskoczył na schody, użył klucza i pospiesznie przeszedł przez przedpokój do nasłonecznionej kuchni. Na jego twarzy promyk nadziei mieszał się z chmurą oburzenia. Zatrzymał się w progu, czując ściskanie w gardle i żołądku, patrząc na Dussandera, siedzącego ze szklaneczką w ręku na bujanym fotelu. Stary nadal miał na sobie najlepszy garnitur, jednak rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli pod szyją. Beznamiętnie spojrzął na Todda, spod jaszczurczo opuszczonych powiek.

- No i? - zdołał w końcu wykrztusić Todd.

Dussander odczekał jeszcze moment, który chłopcu wydał się długi jak wieczność. Potem powoli postawił szklaneczkę na stole, obok butelki Ancient Age i odparł:

- Ten głupiec uwierzył we wszystko.

Todd wypuścił powietrze z płuc w donośnym westchnieniu ulgi.

Zanim zdążył zrobić wdech, Dussander dodał:

- Chciał, żeby twoi biedni, sterani życiem rodzice skorzystali z poradni rodzinnej, którą prowadzi w mieście jego przyjaciel. Bardzo na to nalegał.

- Jezu! Czy... co ty... jak sobie z tym poradziłeś?

- Musiałem szybko myśleć - odparł Dussander. - Jak u tej małej dziewczynki z opowiadania Saki - inwencja to jeden z moich silnych punktów. Obiecałem mu, że twoi rodzice pójdą do tej poradni, jeśli w maju dostaniesz choć jedną czerwoną kartkę.

Krew odpłynęła Toddowi z twarzy.

- Co zrobiłeś?! - prawie wrzasnął. - Od początku tego okresu już zawałem dwa sprawdziany z algebry i jeden z historii! - Wszedł do kuchni, a jego blada twarz zaczęła błyszczeć od potu. - Dziś po południu był test z francuskiego, który też

oblałem... wiem, że tak. Nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o tym przeklętym Gumowym Edzie i tym, czy sobie z nim poradzisz, czy nie. Poradziłeś sobie, owszem - dokończył kwaśno. - Ani jednej czerwonej kartki? Pewnie dostanę pięć lub sześć.

- To najlepsze, co mogłem zrobić, nie budząc podejrzeń rzekł Dussander. - Ten French, głupiec czy nie, wykonuje swoją pracę. Teraz ty zabierzesz się do swojej.

- Co to ma znaczyć? - Twarz Todda była zachmurzona i groźna, głos zduszony.

- Weźmiesz się do roboty. Przez następne cztery tygodnie będziesz pracował jak jeszcze nigdy w życiu. Co więcej, w poniedziałek pójdziesz do każdego ze swoich nauczycieli i przeprosisz za swoje dotychczasowe, kiepskie postępy. Powiesz...

- To niemożliwe - powiedział Todd. - Nie rozumiesz, człowieku. To niemożliwe. Jestem co najmniej pięć tygodni do tyłu w ścisłych i historii. W algebrze co najmniej dziesięć.

- Mimo to - rzekł Dussander. Znów nalał sobie burbona.

- Myślisz, że jesteś taki sprytny, co?! - krzyknął Todd. - No, nie będziesz mi rozkazywał. Dni, kiedy wydawałeś rozkazy, dawno minęły. Rozumiesz?! - Nagle ściszył głos. - Najbardziej zabójcza rzecz, jaką teraz masz w domu to preparat owadobójczy Shella. Jesteś tylko zdziadziałym starcem, który psuje powietrze, kiedy naje się chili. Założę się, że już sikasz do łóżka.

- Słuchaj, cwaniaku - powiedział spokojnie Dussander.

Słyszając to, Todd gwałtownie potrząsnął głową.

- Do dziś - rzekł powoli Dussander - było możliwe, choć mało prawdopodobne, że mógłbyś zadenuncjować mnie i wyjść z tego bez szwanku. Nie wierzę, abyś zdołał tego dokonać w obecnym stanie nerwów, ale to nieważne. Teoretycznie było to możliwe. Jednak teraz sytuacja uległa zmianie. Dziś udawałem twojego dziadka, niejakiego Victora Bowdena. Nikt nie może mieć najmniejszych wątpliwości, że zrobiłem to... jak to się mówi? Przy twoim współudziale. Jeśli to wyjdzie na jaw, wpadniesz po uszy. Nie zdołasz się wykręcić. Zadbalem o to.

- Chcę...

- Chcesz! Ty chcesz! - ryknął Dussander. - Nieważne, co chcesz, to czego chcesz, doprowadza mnie do mdłości, to czego chcesz, liczy się tyle, co psie bobki w rynsztoku! Ja chcę, żebyś zrozumiał, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji!

- Rozumiem - wymamrotał Todd. Zacisnął pięści, kiedy Dussander ryknął na niego - nie był przyzwyczajony, żeby na niego krzyczano. Teraz otworzył dłonie i zobaczył na nich krwawiące, półksiężycowate ślady. Podejrzewał, że skaleczenia

byłyby głębsze, gdyby nie to, że w ciągu ostatnich czterech miesięcy zaczął obgryzać paznokcie.

- To dobrze. Tak więc grzecznie przeprosisz i weźmiesz się do nauki. Będziesz się uczył w czasie przerw. Będziesz się uczył podczas lunchu. Po szkole będziesz przychodził uczyć się tutaj, tak samo jak w weekendy.

- Nie tutaj - wtrącił szybko Todd. - W domu.

- Nie. W domu będziesz marnował czas i śnił na jawie, tak jak dotychczas. Jeśli będziesz tutaj, będę mógł stać nad tobą i pilnować cię. W ten sposób będę pilnował własnych interesów. Mogę cię przepytawać. Mogę słuchać, jak się uczysz.

- Jeśli nie zechcę tu przychodzić, nie zmusisz mnie.

Dussander pociągnął łyk.

- To prawda. Wtedy wszystko pozostanie tak jak było. Oblejesz. Ten pedagog, French, będzie oczekiwał, że dotrzymam słowa. Kiedy nie doczeka się, zadzwoni do twoich rodziców. Domyślą się, że miły pan Denker udał twojego dziadka na twoją prośbę. Dowiedzą się o podrobionych cenzurkach. Wtedy...

- Och, zamknij się. Przyjdę.

- Już tu jesteś. Zacznijmy od algebry.

- Nie dziś! Jest piątek po południu!

- Od dziś uczysz się we wszystkie popołudnia - rzekł łagodnie Dussander. - Zacznij od algebry.

Todd mierzył go gniewnym spojrzeniem - tylko przez chwilę - zanim spuścił oczy i wyjął z teczki podręcznik algebry.

Dussander dostrzegł w jego oczach żądzę mordy. Bynajmniej nie w przenośni; dosłownie. Minęły lata, od kiedy widział takie ponure, mroczne, palące spojrzenie, ale czegoś takiego nie można zapomnieć. Podejrzewał, że dostrzegłby je we własnych oczach, gdyby spojrzął w lustro wtedy, gdy spoglądał na biały i bezbronny kark chłopca.

Muszę uważać, pomyślał z lekkim zdumieniem. Nie wolno nie doceniać przeciwnika.

Pociągnął łyk burbona, rozkołysał fotel i patrzył na uczącego się chłopca.

Dochodziła piąta, gdy Todd pojechał do domu. Był wykończony, bezsilny i zły. Ilekroć oderwał wzrok od zadrukowanej kartki - od rozwścieczającego, niezrozumiałego, pieprzonego, głupiego świata zbiorów, podzbiorów, par

uporządkowanych i współrzędnych kartezjańskich - słyszał ostry głos starego. Poza tym zachowywał całkowite milczenie - tylko ten rozwścieczający szelest kapci po linoleum i pisk bujanego fotela. Siedział tam jak sęp czekający na zgon ofiary. Dlaczego dopuściłem do tego? Jak wpakowałem się w takie szambo? Co za bagno, okropne bagno. Tego popołudnia przerobił sporo materiału - fragmenty teorii mnogości, której nie był w stanie pojąć od Bożego Narodzenia, nagle wpadły na swoje miejsce z niemal słyszalnym szczękiem - jednak nie sposób pomyśleć, że to wystarczy, by w przyszłym tygodniu zaliczyć sprawdzian z algebry choćby na trójkę.

Pozostały cztery tygodnie do końca świata.

Na rogu zobaczył leżącą na chodniku sójkę, powoli otwierającą i zamykającą dziób. Daremnie próbowała podnieść się na nogi i uciec. Jedno skrzydło miała złamane; Todd podejrzewał, że jakiś przejeżdżający samochód potrącił ją i odrzucił jak słomkę na chodnik. Spojrzała na niego paciorkowatym oczkiem.

Todd spoglądał na nią przez dłuższy czas, lekko trzymając wygiętą kierownicę roweru. Skwarny dzień dobiegał końca i powietrze zrobiło się niemal chłodne. Todd podejrzewał, że jego koledzy spędzili to popołudnie na boisku przy Walnut Street, może grając w niepełnym składzie albo ćwicząc uderzenia i rzuty. O tej porze roku zaczynało się szlifować formę. Powiadano nawet, że może w tym sezonie uda się wystawić podmiejską drużynę do nieoficjalnych rozgrywek o najlepszą drużynę baseballową w mieście; było dość tatusiów, którzy popierali ten pomysł. Todd, oczywiście, rzucałby. Dopóki w zeszłym roku nie zrobił się za stary do młodzików, był gwiazdą ligi juniorów. Rzucałby.

I co z tego? Musiałby im odmówić. Musiałby powiedzieć im: Chłopcy, zadałem się z takim jednym zbrodniarzem wojennym. Trzymałem go za jaja, a potem - cha, cha, to was ubawi, chłopaki - nagle przekonałem się, że on trzyma mnie równie mocno jak ja jego. Zacząłem miewać dziwne sny i zimne poty. Moje stopnie poleciały na łeb, więc sfalszowałem cenzurkę, żeby starzy nie dowiedzieli się, a teraz po raz pierwszy w życiu muszę naprawdę przysiąc nad książkami. Jednak wcale nie boję się repetować. Boję się poprawczaka. I właśnie dlatego nie mogę w tym roku z wami grać. Wiecie, jak to jest, chłopaki.

Na jego wargach pojawił się słaby uśmiezek, podobny do dussanderowego, a zupełnie nie przypominający jego dawnego, szerokiego uśmiechu. Nie było w nim słońca; tylko cień. Nie było w nim radości ani pewności siebie. Tylko: Wiecie, jak to jest, chłopaki.

Niezmiernie powoli przetoczył kołem po sójce, słuchając gazetowego szelestu jej piór i chrzęstu pustych kosteczek, pękających w ciele ptaka. Cofnął rower, przejeżdżając po niej jeszcze raz. Ptak wciąż podrygiwał. Przejechał go znowu, przy czym jedno zakrwawione pióro przywarło do przedniego koła, obracając się w górę i w dół, w górę i w dół. Ptak w końcu przestał się ruszać, ptak kopnął w kalendarz, ptak wykorkował, ptak poszedł do swego ptasiego nieba, ale Todd nadal przetaczał rower tam i z powrotem po jego zmiażdżonym ciele. Robił to prawie przez pięć minut i ten nikły uśmiech ani na chwilę nie zszedł mu z warg. Wiecie, jak to jest, chłopaki.

10

Kwiecień 1975

Stary człowiek stał w połowie przejścia, uśmiechając się szeroko do nadchodzącego Dave'a Klingermana. Zapamiętałe szczekanie zdawało się wcale mu nie przeszkadzać, tak samo jak woń sierści i moczu czy setka bezpańskich kundli warczących i wyjących w klatkach, biegających tam i z powrotem, skaczących na siatkę. Klingerman od razu uznał starego za miłośnika psów. Gość uśmiechał się miło i uprzejmie. Ostrożnie podał Dave'owi wykrzywioną artretyzmem rękę i Klingerman również ostrożnie ją uściśnął.

- Dzień dobry panu - powiedział, przekrzykując harmider. - Piekielnie głośno, no nie?

- To mi nie przeszkadza - rzekł stary. - Wcale. Nazywam się Arthur Denker.

- Klingerman. Dave Klingerman.

- Miło mi pana poznać. Czytałem w gazecie - nie mogłem w to uwierzyć - że oddajecie psy. Zapewne źle zrozumiałem. Prawdę mówiąc, myślę, że źle zrozumiałem.

- Nie, rzeczywiście je oddajemy - odparł Dave. - Jeśli tego nie zrobimy, będziemy musieli je uśpić. Sześćdziesiąt dni tyle dają nam władze. Wstyd. Proszę do biura. Tam jest ciszej i ładniej pachnie.

W biurze Dave usłyszał dobrze mu znaną (ale niemniej ujmującą) historię: Arthur Denker był po siedemdziesiątce. Przyjechał do Kalifornii po śmierci żony. Nie był bogaty, ale dobrze troszczył się o to, co miał. Był samotny. Jego jedynym przyjacielem był chłopiec, który czasem przychodził mu poczytać. W Niemczech miał pięknego bernardyna. Teraz, w Santo Donato, mieszka w domku ze sporym podwórzem na tyłach. Podwórze jest ogrodzone. I przeczytał w gazecie... czy to

możliwe, że mógłby...

- Hmm, nie mamy żadnego bernardyna - powiedział Dave. - Szybko schodzą, ponieważ tak lubią dzieci...

- Och, rozumiem. Nie chciałem...

- ...ale mam podrośniętego szczeniaka owczarka. Co pan o tym myśli?

Oczy pana Denkera rozbłysły, jakby był bliski łez.

- Doskonały - rzekł. - Byłby doskonały.

- Sam pies jest za darmo, ale są inne opłaty. Szczepienie przeciw nosówce i wściekliznie. Opłata miejska. Dla większości ludzi kosztuje to prawie dwadzieścia pięć dolarów, ale stan pokrywa połowę, jeśli ktoś skończył sześćdziesiąt pięć lat - to część kalifornijskiego programu „Złota Jesień”.

- „Złota Jesień”... to o mnie? - powiedział pan Denker i roześmiał się. Przez moment - nie wiadomo dlaczego Dave poczuł się nieswojo.

- Hmm... tak sądzę, proszę pana.

- To bardzo rozsądne.

- Pewnie, też tak uważamy. W sklepie zoologicznym ten sam pies kosztowałby pana sto dwadzieścia pięć dolarów. Tymczasem ludzie idą tam, a nie do nas. Płacą za papiery, a nie za psa. - Dave potrząsnął głową. - Gdyby tylko wiedzieli, ile ładnych psów ludzie porzucają każdego roku.

- A jeśli w ciągu sześćdziesięciu dni nie zdołacie znaleźć dla nich domu?

- Usypiamy je.

- Usypiacie? Przepraszam, moja angielszczyzna...

- To zarządzenie władz miasta - wyjaśnił Dave. - Bezpańskie psy nie mogą biegać po ulicach.

- Zastrzelicie je.

- Nie, usypiamy gazem. To bardzo humanitarne. Nic nie czują.

- Jasne - rzekł pan Denker. - Jestem pewien, że nie.

Na zajęciach z podstaw algebry Todd zajmował czwartą ławkę w drugim rzędzie. Siedział w niej, usiłując zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, gdy pan Storrmann oddawał prace. Wbijał w dłonie poobgryzane paznokcie i zimny pot powoli oblewał mu całe ciało.

Nie łudź się. Nie bądź takim przeklętym idiotą. W żaden sposób nie mogłeś zdać. Wiesz, że nie mogłeś.

Mimo to nie potrafił wyzbyć się odrobiny nadziei. To był pierwszy od kilku tygodni sprawdzian z algebry, który nie wydał mu się zupełną chińszczyzną. Był pewny, że w zdenerwowaniu (zdenerwowaniu? - nazwijmy to po imieniu: krańcowym przerażeniu) nie napisał go najlepiej, ale może... no, gdyby to był ktoś inny, a nie Storrmann, który miał zamek Yale zamiast serca...

Przestań! - nakazał sobie w duchu i przez chwilę, przez jedną straszną chwilę był przekonany, że krzyknął to głośno. Oblałeś, przecież wiesz, nic na świecie tego nie zmieni.

Storrmann obojętnie podał mu pracę i poszedł dalej. Todd położył ją spodem do góry na porytej inicjałami ławce. Przez moment wydawało mu się, że nie znajdzie dość siły woli, żeby odwrócić kartkę i spojrzeć. W końcu odwrócił ją takim konwulsyjnie gwałtownym ruchem, że rozdarł papier. Język przysechł mu do podniebienia, gdy zobaczył ocenę. Przez chwilę serce jakby przestało mu bić.

Na samej górze widniała liczba 83 w kółeczku. Poniżej stopień: 3+. Pod oceną widniała krótka uwaga: „Robisz postępy! Chyba ulżyło mi jeszcze bardziej niż tobie. Dokładnie popraw błędy. Przynajmniej trzy z nich są arytmetyczne, a nie koncepcyjne”.

Serce znów zaczęło mu bić, teraz trzykrotnie szybciej. Poczul wzbierającą falę ulgi, ale nie było to kojące uczucie - raczej niepokojące, skomplikowane i dziwne. Zamknął oczy, nie słuchając innych uczniów, którzy komentowali wyniki i rozpoczęli nieuchronną batalię o nie zaliczone punkty. Toddowi zrobiło się czerwono przed oczami. Ten kolor pulsował jak krew płynąca w rytm bicia serca. W tym momencie nienawidził Dussandera bardziej niż kiedykolwiek. Zacisnął dłonie w pięści i pragnął, pragnął, pragnął, żeby chwycić w nie chudy kark Dussandera.

Dick i Monica spali w osobnych łóżkach oddzielonych stojącą między nimi ładną imitacją lampy od Tiffany'ego. Ściany pokoju były z prawdziwego sekwojowego drewna, z półkami pełnymi książek. Po drugiej stronie pokoju, między dwoma podpórkami z kości słoniowej (słonie na tylnych nogach) stał owalny telewizor Sony. Dick ze słuchawkami na uszach oglądał Johnny'ego Carsona, podczas gdy Monica czytała nową powieść Michaela Crichtona, którą właśnie tego dnia nadesłał Klub Dobrej Książki.

- Dick? - Włożyła zakładkę (z napisem „W tym miejscu zasnęłam”) do książki i zamknęła ją.

Na ekranie Buddy Hackett właśnie wszystko porozbijał.

Dick uśmiechnął się.

- Dick? - powtórzyła głośniej.

Wyjął z ucha słuchawkę.

- Co?

- Myślisz, że z Toddem wszystko w porządku?

Patrzył na nią przez chwilę, marszcząc brwi, a potem lekko potrząsnął głową.

- *Je ne comprends pas, chérie.*

Ta kulejąca francuszczyzna to był ich prywatny żart. Kiedy oblał francuski, ojciec przysłał mu dwieście dolarów, żeby wynajął sobie korepetytora. Zwrócił się do Moniki Darrow, wybierając ją przypadkowo z ogłoszeń umieszczonych na tablicy. Do Bożego Narodzenia już nosiła jego studencką odznakę na znak zaręczyn... a on zdołał dostać trójcę z francuskiego.

- No... schudł trochę.

- Wygląda mizernie, to prawda - rzekł Dick. Położył słuchawki na kołdrze. - Dorasta, Monico.

- Tak szybko? - zapytała z niepokojem.

Roześmiał się.

- Tak szybko. Jako nastolatek urosłem dwadzieścia centymetrów - z kurdupła wzrostu pięć i pół stopy, jakim byłem mając dwanaście lat, do mężczyzny ponad sześć stóp, jakiego masz przed sobą. Kiedy miałem czternaście lat, matka mówiła, że w nocy słyhać, jak rosę.

- To dobrze, że nie wszystko urosło ci tak bardzo.

- To zależy, jak czego używać.

- Chcesz użyć tego dziś w nocy?

- Rozpasana dziewczka - powiedział Dick Bowden i odrzucił słuchawki.

Później, kiedy zapadał w sen, usłyszał:

- Dick, on ma złe sny.

- Koszmary? - wymamrotał.

- Koszmary. Dwa lub trzy razy, kiedy w nocy schodziłam do łazienki, słyszałam, jak jęczy. Nie chciałam go budzić. To głupie, ale moja babcia mówiła, że można doprowadzić kogoś do szaleństwa, jeżeli obudzi się go ze złego snu.

- Była Polką, tak?

- Polką, owszem, Polką. Miły jesteś!
- Wiesz, co mam na myśli. Dlaczego nie korzystasz z ubikacji na górze?
- Przecież zawsze budzi cię odgłos spuszczonej wody.
- To nie spuszcza jej.
- Dick, jesteś paskudny.

Westchnął.

- Czasem, gdy podeszłam do łóżka, widziałam, że się poci. I pościel jest wilgotna.

Uśmiechnął się w ciemności.

- Pewnie.
- Co chcesz... och.

Dała mu lekkiego klapsa.

- Naprawdę jesteś paskudny. Ponadto, on ma dopiero trzynaście lat.
- Za miesiąc kończy czternaście. Nie jest za młody. To może trochę wcześniej, ale nie zanadto.

- A ile lat ty miałeś?

- Czternaście lub piętnaście. Nie pamiętam dokładnie. Jednak pamiętam, jak obudziłem się i pomyślałem, że umarłem i poszedłem do nieba.

- Jednak byłeś starszy od Todda.

- Teraz dzieci szybciej dojrzewają. Pewnie przez mleko... albo fluorowanie. Czy wiesz, że we wszystkich toaletach dla dziewcząt w tej szkole, którą w ubiegłym roku wybudowaliśmy w Jackson Park, są pojemniki na zużyte podpaski? A to szkoła podstawowa. Przeciętna szóstoklasistka ma jedenaście lat. Ile lat ty miałaś?

- Nie pamiętam - odparła. - Wiem tylko, że nie wydaje mi się, żeby Todd w tych snach... umierał i szedł do nieba.

- Pytałaś go o nie?

- Raz. Jakies sześć tygodni temu. Kiedy grałeś w golfa z tym okropnym Erniem Jacobsem.

- Ten okropny Ernie Jacobs w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym zostanie pełnoprawnym współnikiem, o ile wcześniej nie zapieprzy się na śmierć ze swoją jasnowłosą sekretarką. Ponadto, on zawsze płaci za pole. Co ci powiedział Todd?

- Powiedział, że nie pamięta. Jednak... jakby spochmurniał. Myślę, że pamiętał.
- Monica, ja nie pamiętam dokładnie wszystkiego z minionych lat mojej

młodości, ale przypominam sobie, że mokre sny nie zawsze są przyjemne. Prawdę mówiąc, mogą być bardzo niemiłe.

- Dlaczego?

- Poczucie winy. Z rozmaitych względów. Częściowo wywodzące się jeszcze z dzieciństwa, kiedy nauczono go, że nie wolno moczyć łóżka. Ponadto sprawa seksu. Kto wie, co powoduje taki mokry sen? Przelotne dotknięcie w autobusie? Zajrzenie dziewczynie pod spódniczkę na schodach? Nie wiem. Jedyne sen, jaki pamiętam, to ten, że skoczyłem z trampoliny na żeńskim basenie YMCA i wpadając do wody, zgubiłem kąpielówkę.

- I miałeś polucję? - zapytała, chichocząc.

- Tak. Jeśli chłopiec nie chce rozmawiać z tobą o swoich kłopotach z Długim Johnem, nie zmuszaj go.

- Robiliśmy co w naszej mocy, żeby wyrósł bez niepotrzebnego poczucia winy.

- Tego nie można uniknąć. Przynosi je ze szkoły do domu jak grypę, którą złapał w pierwszej klasie. Od swoich kolegów lub nauczycieli, którzy omijają niektóre tematy. Pewnie także od mojego ojca. „Nie dotykaj go w nocy, Todd, inaczej oślepniesz albo będziesz miał owłosione ręce i stracisz pamięć, a po pewnym czasie poczernieje ci i odpadnie. Zatem uważaj, Todd”.

- Dicku Bowden! Twój ojciec nigdy...

- Nie? Do diabła, właśnie że tak. Tak samo jak twoja babcia Polka mówiąca, że budząc kogoś z koszmarne snu, możesz doprowadzić go do szaleństwa. On mówił mi też, że bym zawsze wycierał sedes, zanim usiądę w publicznej toalecie, że bym nie złapał „cudzych zarazków”. Pewnie chodziło mu o syfilis. Założę się, że twoja babcia też ci to mówiła.

- Nie, moja matka - odparła z roztargnieniem. - I mówiła mi, żeby zawsze spuszczać wodę. Dlatego schodzę na dół.

- I tak się budzę - wymamrotał Dick.

- Co?

- Nic.

Tym razem już prawie zasnął, gdy znów wymówiła jego imię.

- Co? - spytał trochę niecierpliwie.

- Chyba nie myślisz... och, nieważne. Śpij dalej.

- Nie, dokończ. Już się zbudziłem. Nie myślę czego?

- Ten staruszek, pan Denker. Nie sądzisz, że Todd za często się z nim widuje?

Może on... och, nie wiem... opowiada Toddowi jakieś historie.

- Naprawdę straszliwe historie - rzekł Dick. - O tym jak pewnego razu zakłady samochodowe w Essen nie wyrobiły dziennej normy.

- Tak tylko myślałam - powiedziała z lekką urazą. Prześcieradła zaszeleściły, gdy odwróciła się na drugi bok. Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

Położył dłoń na jej nagim ramieniu.

- Powiem ci coś, mała - rzekł i urwał na moment, zastanawiając się i dobierając słowa. - Ja też czasem martwiłem się o Todda. Nie o to samo, co ty, ale fakt pozostaje faktem, prawda?

Odwróciła się z powrotem do niego.

- O co?

- No cóż, ja dorastałem w zupełnie innych warunkach niż on. Mój ojciec miał sklep. Vic Sklepikarz, tak wszyscy na niego wołali. Prowadził księgę, w której zapisywał nazwiska wszystkich dłużników i ile mu byli winni. Wiesz, jak ją nazywał?

- Nie.

Dick rzadko wspominał swoje dzieciństwo; sądziła, że nie robił tego, ponieważ nie było radosne. Teraz słuchała go uważnie.

- Nazywał ją Księgą Lewicy. Powiedział, że prawą ręką jest interes, ale prawica nigdy nie powinna wiedzieć, co robi lewica. Mówił, że gdyby wiedziała, prawdopodobnie chwyciłaby tasak i odrąbała lewą rękę.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- No cóż, nie przepadałem za starym, kiedy braliśmy ślub, a prawdę mówiąc, nadal go nie lubię. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego muszę nosić spodnie z darów, podczas gdy pani Mazursky dostaje na kredyt szynkę, kiedy znów opowie tę samą bajeczkę, jak to jej mąż w przyszłym tygodniu wraca do pracy. Jedyne prace, jaką kiedykolwiek wykonywał ten stary pijaczyna Bill Mazursky, polegała na przytrzymywaniu flaszki sikacza za dwanaście centów, żeby mu nie wypadła. Jedyne o czym marzyłem w tamtych czasach, to uciec jak najdalej od sąsiadów i mojego ojca. Tak więc zdobywałem świadectwa i uprawiałem sporty, których nie lubiłem, aż dostałem się do UCLA. I starałem się jak diabli być w pierwszej dziesiątce, ponieważ do Ksiąg Lewicy prowadzonych w tym czasie przez uczelnie trafiali jedynie żołnierze, którzy walczyli na wojnie. Ojciec przysyłał mi pieniądze na podręczniki, ale na nic innego, nie licząc tego razu, kiedy w panice napisałem do domu, że oblałem francuski. I poznałem ciebie. Później dowiedziałem się od pani Halleck z naszego bloku, że

ojciec zaciągnął pożyczkę pod zastaw samochodu, żeby zebrać te dwieście dolców. A teraz mam ciebie i mamy Todda. Zawsze uważałem, że to diabelnie dobry chłopak, i starałem się, żeby miał wszystko... wszystko, co pomoże mu zostać dobrym człowiekiem. Śmiałem się z tego starego kawału, że każdy chce mieć syna lepszego od siebie, ale w miarę jak robiłem się starszy, wydawało mi się to coraz mniej śmieszne, a bardziej prawdziwe. Nigdy nie chciałem, żeby Todd nosił spodnie z darów, ponieważ żona jakiegoś pijaka dostała szynkę na kredyt. Rozumiesz?

- Tak, oczywiście - powiedziała cicho.

- Potem, jakieś dziesięć lat temu, tuż przedtem zanim mój stary w końcu zmęczył się walką o odnowienie dzierżawy i przeszedł na emeryturę, miał lekki zawał. Przez dziesięć dni leżał w szpitalu. A ludzie z sąsiedztwa, makaroniarze i szkopy, a nawet niektórzy Irlandczycy, którzy zaczęli ściągać tam mniej więcej od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku... popłacili rachunki. Co do pieprzonego centa. Nie mogłem w to uwierzyć. I zajęli się sklepem. Fiona Castellano zgadła cztery czy pięć koleżanek, które były bez pracy, i przychodziły na zmiany. Kiedy stary wyszedł ze szpitala, księgi zgadzały się co do centa.

- Oo!

- Wiesz, co mi powiedział? Że zawsze bał się starości - że może być niedołężny, chory i samotny. Albo że będzie musiał pójść do szpitala i nie zdoła związać końca z końcem. Bał się śmierci. Powiedział, że po tym zawale już się nie boi. Mówił, że teraz myśli, że może umrzeć dobrze. „Chcesz powiedzieć, że umrzesz szczęśliwy, tato?” - zapytałem go. „Nie - odparł. Nie sądzę, żeby ktokolwiek umierał szczęśliwy, Dickie”. Zawsze nazywał mnie Dickie, nadal tak mówi, a to jeszcze jedna rzecz, jakiej chyba nigdy nie polubię. Powiedział, że nie sądzi, aby ktokolwiek umierał szczęśliwy, ale można umrzeć dobrze. To zrobiło na mnie wrażenie.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Przez ostatnie pięć czy sześć lat zdołałem spojrzeć na mojego starego z pewnego dystansu. Może dlatego, że on mieszka w San Remo i nie mam go na głowie. Zacząłem myśleć, że ta jego Księga Lewicy to nie był taki zły pomysł. To było wtedy, gdy zacząłem martwić się o Todda. Wciąż chciałem mu powiedzieć, że może w życiu liczy się coś więcej niż tylko to, czy jestem w stanie zabrać was na miesiąc na Hawaje albo kupić Toddowi spodnie, które nie śmierdzą naftaliną wsypywaną do kartonów z darami. Nigdy nie wiedziałem, jak mu o tym powiedzieć. Jednak myślę, że może on wie. I dlatego jest mi znacznie lżej.

- Masz na myśli to, że czyta panu Denkerowi?

- Tak. Nic z tego nie ma. Denker mu nie płaci. Stary człowiek, tysiące mil od jakichkolwiek przyjaciół czy krewnych, którzy mogą jeszcze żyć, facet będący dokładnie tym, kim mój ojciec bał się stać. I Todd.

- Nigdy tak o tym nie myślałam.

- Czy zauważyłaś, jak zachowuje się Todd, kiedy mówisz coś o tym staruszkę?

- Staje się bardzo milczący.

- Właśnie. Milczący i zmieszany, jakby robił coś złego.

Tak jak mój ojciec, kiedy ktoś dziękował mu za udzielenie kredytu. My jesteśmy prawicą Todda, to wszystko. Ty, ja i wszystko inne - ten dom, wyjazdy na narty do Tahoe, thunderbird w garażu, jego kolorowy telewizor. Wszystko to prawica. A on nie chce, żebyśmy wiedzieli, co robi jego lewica.

- A więc nie uważasz, że zbyt często widuje się z Denkerem?

- Kochanie, spójrz na jego stopnie! Gdyby miał gorsze, pierwszy powiedziałbym „stop, już dosyć, nie przesadzaj”. Jakiegokolwiek kłopoty ujawniłyby się przede wszystkim w stopniach. A jakie one są?

- Dobre jak zawsze, nie licząc potknięcia na początku roku.

- A więc o czym mówimy? Słuchaj, dziecino, o dziewiątej mam naradę. Jeśli nie prześpię się trochę, będę nieprzytomny.

- Jasne, śpij - powiedziała zgodliwie, a kiedy się odwrócił, lekko pocałowała go w łopatkę. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparł uspokajająco i zamknął oczy. - Wszystko jest w porządku, Monico. Za bardzo się przejmujesz.

- Wiem. Dobranoc.

Zasnęli.

- Przestań gapić się w okno - rzekł Dussander. - Nie ma tam nic ciekawego.

Todd spojrział na niego ponuro. Na stole leżał otwarty podręcznik do historii, ukazujący kolorowy wizerunek Teddy'ego Roosevelta wjeżdżającego na San Juan Hill. Bezsilni Kubańczycy umykali spod kopyt konia Teddy'ego. Jeździec uśmiechał się szeroko, po amerykańsku, uśmiechem człowieka wiedzącego, że Bóg jest w niebiesiech, a życie jest piękne. Todd Bowden się nie uśmiechał.

- Lubisz być poganiaczem niewolników, prawda? - zapytał.

- Lubię być wolny - odparł Dussander. - Czytaj.

- Mam cię w dupie.

- Gdy byłem chłopcem, za takie słowa wyszorowaliby mi język szarym mydłem.

- Czasy się zmieniły.

- Naprawdę? - Dussander pociągnął łyk burbona. Czytaj.

Todd spojrział na starego.

- Jesteś tylko nędznym pijaczną, wiesz?

- Czytaj.

- Zamknij się! - Todd zatrzaskał książkę. Odgłos rozszedł się jak huk wystrzału w ciasnej kuchni. - I tak nie nadrobię zaległości. Nie zdążę do sprawdzianu. Zostało mi jeszcze pięćdziesiąt stron tego gówna, aż do pierwszej wojny światowej. Przygotuję sobie ściągę na jutro.

- Nie zrobisz niczego takiego! - rzucił ostro Dussander.

- Dlaczego? Kto mi zabroni? Ty?

- Chłopcze, ty chyba wciąż nie rozumiesz, o jaką gramy stawkę. Myślisz, że sprawia mi przyjemność trzymanie twojego zasmarkanego nosa w książkach? - Podniósł głos; ostry, rozkazujący, nie znoszący sprzeciwu. - Myślisz, że bawi mnie słuchanie twoich narzekań, twoich przedszkolnych przekleństw? Mam cię w dupie - przedrzeźniał Dussander wysokim falsetem, a Todd poczerwieniał jak burak. - Mam cię w dupie, co z tego, kogo to obchodzi, zrobię to jutro, mam cię w dupie!

- Przecież lubisz to! - wrzasnął Todd. - Tak, lubisz! Tylko wtedy nie czujesz się jak zombie, kiedy mi rozkazujesz! Odpierdol się ode mnie!

- Jak myślisz, co będzie, jeśli przyłapią cię ze ściągą? Kto dowie się o tym pierwszy?

Todd spojrział na swoje ręce z nierównymi, ogryzionymi paznokciami i nie odpowiedział.

- Kto?

- Jezu, przecież wiesz. Gumowy Ed. A potem pewnie moi rodzice.

Dussander pokiwał głową.

- Ja też tak myślę. Czytaj. Miej tę ściągę w głowie, tam gdzie powinna być.

- Nienawidzę cię - rzekł ponuro Todd. - Naprawdę.

Otworzył jednak książkę. Uśmiechnął się do niego Teddy Roosevelt, Teddy galopujący z szablą w dłoni w dwudziesty wiek oraz umykający przed nim w popłochu Kubańczycy zapewne przed jego amerykańskim uśmiechem.

Dussander znów zaczął kołysać się na fotelu. W rękach trzymał szklaneczkę z

burbonem.

- Grzeczny chłopiec - rzekł niemal czule.

Todd miał pierwszą polucję w ostatnią noc kwietnia i zbudził się, by usłyszeć szum deszczu szepczącego coś w liściach i gałęziach drzewa pod jego oknem.

W tym śnie był w jednym z laboratoriów Patin. Stał na końcu długiego, niskiego stołu. Do stołu przywiązano rzemieniami młodą, niezwykle piękną dziewczynę. Obok stał Dussander. Miał na sobie biały rzeźnicki fartuch i nic więcej. Kiedy obrócił się, żeby włączyć aparaturę monitorującą, Todd dostrzegł jego chude pośladki, ocierające się o siebie jak dwa białe kamienie.

Podał Toddowi coś, co chłopiec natychmiast rozpoznał, chociaż nigdy przedtem tego nie widział. Sztuczny członek. Jego koniec był z polerowanego metalu, lśniącego w blasku jarzeniówek jak matowy chrom. Członek był wydrążony. Biegł od niego czarny przewód zakończony czerwoną, gumową gruszką.

- Zaczynaj - rzekł Dussander. - Führer mówi, że możesz. Mówi, że to twoja nagroda za pilność.

Todd spojrzał w dół i zobaczył, że jest nagi. Jego mały penis był w pełnym wzwodzie, stercząc z jasnej kępki włosów łonowych. Nałożył na niego atrapę. Była ciasna, ale zwilżona czymś w środku. Wrażenie było dość przyjemne. Nie, więcej niż przyjemne. Wspaniałe.

Spojrzał na dziewczynę i nagle coś się zmieniło... jakby jego myśli popłynęły nowym torem. Nagle wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Otworzyły się przed nim drzwi. Wejdzie w nie. Wziął w lewą rękę czerwoną gumową gruszkę, klęknął na stole i znieruchomiał na moment, oceniając kąt, podczas gdy jego ogromny penis sam ustawiał się pod odpowiednim kątem do chłopięcego ciała.

Niewyraźnie, w oddali słyszał Dussandera, który mamrotał:

- Próba osiemdziesiąt cztery. Bodźce elektryczne, stymulacja seksualna, metabolizm. Oparta na teorii negatywnego wzmocnienia Thyssena. Obiektem jest młoda Żydówka, lat około szesnastu, bez blizn, bez znaków szczególnych, bez rozpoznanych chorób...

Krzyknęła, kiedy dotknął ją koniec sztucznego członka. Ten krzyk sprawił Toddowi przyjemność, tak samo jak jej daremne próby zerwania więzów czy choćby zaciśnięcia ud.

Właśnie tego nie pokazują w tych magazynach wojennych, pomyślał, ale to i tak

jest.

Pchnął gwałtownie, wbijając się w nią bezlitośnie. Wrzeszczała jak opętana.

Po chwili przestała się szarpać i zaciskać mięśnie; leżała zupełnie nieruchomo, cierpiąc. Nawilżone wnętrze sztucznego penisa uciskało i ocierało nabrzmiąły członek Todda. Cudownie. Niebiańsko. Palcami bawił się gumową gruszką w lewej dłoni.

W oddali Dussander podawał częstotliwość tętna, oddechu, ciśnienie krwi, fal alfa i beta, liczbę pchnięć.

Czując nadchodzący orgazm, Todd znieruchomiał i nacisnął gruszkę. Oczy dziewczyny, dotychczas zamknięte, otworzyły się, wychodząc z orbit. Język zatrzepotał w różowym otworze ust. Wyprężyła ramiona i nogi. Jednak rzeczywista reakcja zaszła w tułowiu, wznoszącym się i opadającym, wibrującym każdym mięśniem.

(och każdy mięsień każdy mięsień zaciska się zamyka każdy)

każdy mięsień i to było

(ekstaza)

och, to było, było

(koniec świata w huku pioruna na zewnątrz)

Obudził się, słysząc ten dźwięk i szum deszczu. Leżał na boku, zwinięty w kłębek, z sercem bijącym jak po szybkim biegu. Podbrzusze miał pokryte ciepłym, lepkim płynem. Przez moment poczuł paniczny lęk, że wykrwawi się na śmierć... a potem pojął, co to naprawdę jest, i poczuł lekką, mdlącą odrazę. Nasienie. Sperma. Sok. Spuścizna. Słowa z płotów, szatni i ścian toalet na stacjach benzynowych. Nie chciał tego.

Bezsilnie zacisnął pięści. Sen wrócił do niego, teraz bezbarwny, wyprany z uczuć, przerażający. Jednak nadal czuł mrowienie zakończeń nerwowych, powoli wracających do zwykłego stanu. Ta ostatnia scena, teraz mniej wyrazista, była obrzydliwa, a jednocześnie pociągająca - jakby ugryzłszy jakiś tropikalny owoc, ponieważ zorientował się, że ten smakuje tak słodko, ponieważ jest zepsuty.

W tym momencie zrozumiał. Wiedział, co musi zrobić.

Tylko w jeden sposób mógł znowu być sobą. Będzie musiał zabić Dussandera. To jedyne wyjście. Zabawa skończona; dość bajek. Chodziło o przeżycie.

- Zabij go, a będzie po wszystkim - szepnął w ciemności. Szept sprawiał, iż wydawało się to realne.

Dussander zawsze trzymał opróżnioną w jednej lub dwóch piątych butelkę Ancient Age na półce nad schodami do piwnicy. Często podchodził do tych drzwi, otwierał je (zazwyczaj były już uchylone) i schodził dwa stopnie. Potem pochylał się, opierał jedną ręką o półkę, a drugą chwycił szyjkę butelki. Piwnica nie miała cementowej podłogi, ale była mocno ubita, a Dussander - z mechaniczną dokładnością, którą Todd teraz uważał raczej za pruską niż niemiecką - co dwa miesiące polewał ją naftą, żeby zapobiec lęgnięciu się robactwa. Cement czy nie cement, stare kości łatwo się łamią. A starym ludziom przytrafiają się wypadki. Oględziny pośmiertne wykazały, że „pan Denker” wypił sporo wody, zanim „spadł”.

Co się stało, Todd?

Nie otworzył drzwi, więc użyłem klucza, który mi dał. Czasem mocno śpi. Wszedłem do kuchni i zobaczyłem otwarte drzwi do piwnicy. Zszedłem po schodach, a on... on...

Potem, oczywiście, łąy.

Udałoby się.

Znów byłby sobą.

Przez długi czas Todd leżał w ciemnościach, słuchając, jak burza oddala się na zachód, nad Pacyfik, nasłuchując tajemniczej szeptaniny deszczu. Myślał, że przez całą noc nie zmruży oka, jednak już po chwili zapadł w sen i spał bez snów, z pięścią podłożoną pod brodę. Obudził się pierwszego maja, wypoczęty po raz pierwszy od wielu miesięcy.

11

Maj 1975

Dla Todda ten piątek był najdłuższym dniem w życiu. Siedział na kolejnych lekcjach, nie słuchając, czekając tylko na ostatnie pięć minut, kiedy nauczyciel wyjmie plik czerwonych kartek i rozda je. Za każdym razem gdy podchodził bliżej z tymi kartkami, Todd zamierał. Za każdym razem gdy on lub ona mijali go, nie przystając, czuł mdlącą ulgę i był bliski hysterii.

Najgorsza była algebra. Storrmann podszedł... zawahał się... i kiedy Todd był już przekonany, że zdał, nauczyciel położył przed nim odwróconą kartkę. Todd spojrział na nią spokojnie, nie czując nic. Teraz, gdy do tego doszło, czuł jedynie zimny spokój. A więc to tak, pomyślał. Punkt, gem, set i koniec meczu. Chyba że Dussander coś

wymyśli. W co wątpię.

Bez większego zainteresowania odwrócił kartkę, żeby sprawdzić, ile punktów zabrakło mu do trójki. Pewnie niewiele, ale stary Kamienne Serce Storrmann nikomu nie popuści. Zobaczył, że miejsce na stopnie jest całkiem puste - zarówno w miejscu na punkty, jak i na ocenę. W rubryce UWAGI wpisano notatkę: „Jestem bardzo rad, że nie muszę ci takiej wręczać. Zaliczyłeś. Storrmann”.

Znów zakręciło mu się w głowie, tym razem jeszcze silniej, zaszumiało mu w uszach, tak że miał wrażenie, że jego czaszka zmienia się w balon z helem. Z całej siły ścisnął boki ławki, obsesyjnie trzymając się jednej jedynej myśli: Nie zemdlejesz, nie zemdlejesz, nie zemdlejesz. Powoli zawrót głowy ustąpił, a potem Todd z trudem opanował chęć, by pobiec między ławkami za Storrmannem, odwrócić go szarpnięciem i wykluć oczy świeżo zatemperowanym ołówkiem. Jednak zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. Tylko nieznaczny tik jednej powieki świadczył o burzy miotających nim uczuć.

Kwadrans później skończyły się zajęcia. Todd powoli przeszedł za budynek do stojaków na rowery, ze spuszczoną głową, rękami w kieszeniach, książkami wetkniętymi w zgięcie prawej ręki, nie zważając na biegających i wrzeszczących uczniów. Wrzucił książki do koszyka na bagażniku, odemknął schowka i pojechał. W kierunku domu Dussandera.

Dzisiaj, pomyślał. Dziś nadszedł twój dzień, stary.

- A więc - rzekł Dussander, nalewając sobie szklaneczkę burbona, gdy Todd wszedł do kuchni - skazaniec wywinął się katu. Jak poszło?

Miał na sobie szlafrok i parę grubych wełnianych skarpet sięgających do połowy łydek. W takich skarpetach, pomyślał Todd, łatwo się poślizgnąć. Zerknął na butelkę Ancient Age, nad którą pracował Dussander. Zostało w niej płynu zaledwie na trzy palce.

- Bez dwój, bez jedynek, bez czerwonych kartek - rzekł Todd. - W czerwcu muszę poprawić niektóre stopnie, ale tylko te średnie. Jeżeli nic się nie zmieni, powinienem mieć same czwórki i piątki.

- Och, nic się nie zmieni - rzekł Dussander. - Zadbamy o to. - Napił się i dołał sobie. - Trzeba uczcić taką okazję.

Lekko rozciągał słowa - ledwo zauważalnie, ale Todd wiedział, że stary pierdoła jest zupełnie zalany. Tak, dzisiaj. Trzeba to zrobić dzisiaj.

Był zupełnie spokojny.

- Zastraną okazję.

- Obawiam się, że posłaniec z kawiozem i truflami jeszcze nie przybył - rzekł Dussander, ignorując go. - W dzisiejszych czasach nie można polegać na służbie. Może kilka krakersów od Ritza i trochę sera?

- Dobra - odparł Todd. - Co tam.

Dussander wstał (uderzając kolanem o stół i krzywiąc się), po czym podszedł do lodówki. Wyjął ser, z szuflady wziął nóż, z kredensu talerz, a z puszek na chleb paczkę krakersów.

- Wszystko starannie nasączone kwasem pruskim - powiedział Toddowi, stawiając ser i krakersy na stole. Uśmiechnął się i chłopiec zobaczył, że stary nie założył sztucznej szczęki.

Mimo to Todd odpowiedział uśmiechem.

- Jesteś dziś taki cichy! - wykrzyknął Dussander. - Myślałem, że wbiegniesz tu, skacząc z radości.

Wlał resztę burbona do szklanki, popił, oblizał wargi.

- Chyba jeszcze do mnie nie dotarło - zauważył Todd.

Ugryzł krakersa. Od dawna przestał obawiać się jeść u Dussandera. Stary myślał, że Todd zostawił list u jednego z kolegów oczywiście nie zrobił tego; wprawdzie miał kolegów, ale żadnemu nie ufał aż tak. Podejrzewał, że Dussander domyślił się tego już dawno, ale wiedział, iż stary nie ośmieli się poddać swych domysłów tak ciężkiej próbie, jaką byłoby morderstwo.

- O czym porozmawiamy dzisiaj? - spytał Dussander, opróżniając szklaneczkę. - Dam ci wolny dzień od nauki, dobrze? Co?

Kiedy sobie popił, mówił z wyraźnym akcentem. Todd znienawidził ten akcent. Teraz nie przeszkadzał mu; nie mu nie przeszkadzało. Był zupełnie spokojny. Spojrzał na swoje ręce, ręce, które miały wykonać pchnięcie; wyglądały tak samo jak zawsze. Nie drżały; też były spokojne.

- Nieważne - odparł. - Jak chcesz.

- Mam ci opowiedzieć o tym specjalnym mydle, jakie robiliśmy? O naszych eksperymentach z wymuszonym homoseksualizmem? A może chciałbyś posłuchać, jak uciekłem z Berlina, jak popełniłem głupstwo i wróciłem tam? Niewiele wtedy brakowało, mówię ci.

Przeciagnał dłonią po nie ogolonym podbródku i zaśmiał się.

- Jak chcesz - powtórzył Todd. - Naprawdę.

Patrzył, jak Dussander ogląda pustą butelkę, potem wstaje, trzymając ją w ręce, a następnie podchodzi do kosza i wrzuca do niego pustą flaszkę.

- Nie, raczej nie o tym - rzekł. - Chyba nie jesteś w nastroju.

Przez chwilę stał nad koszem, a potem przeszedł przez kuchnię do drzwi piwnicy. Wełniane skarpety zaszeleściły po wybrzuszonym linoleum.

- Myślę, że dziś opowiem ci o starym człowieku, który się bał.

Dussander otworzył drzwi piwnicy. Był odwrócony plecami do stołu. Todd cicho wstał.

- Bał się - ciągnął Dussander - młodego chłopca, który - w pewien dziwny sposób - był jego przyjacielem. Sprytnego chłopca. Matka nazywała go „zdolnym uczniem” i starzec odkrył, iż naprawdę jest „zdolnym uczniem”... chociaż zapewne nie tak, jak myślała.

Dussander gmerał przy staromodnym włączniku elektrycznym na ścianie, usiłując wcisnąć go wykręconymi i niezgrabnymi palcami. Todd podszedł - prawie prześlizgnął się - po linoleum, unikając miejsc, gdzie podłoga piszcziała lub skrzypiała. Znał już tę kuchnię równie dobrze jak własną. Może lepiej.

- Z początku chłopiec nie był przyjacielem starca - rzekł Dussander. W końcu zdołał włączyć światło. Z ostrożnością wytrawnego pijaka zszedł stopień niżej. - Z początku starzec bardzo nienawidził chłopca. Potem zaczął... cieszyć się jego towarzystwem, chociaż wciąż niezbyt się lubili.

Patrzył już na półkę, ale nadal trzymał się poręcz. Todd spokojnie - nie, teraz po prostu na zimno - stanął za nim i kalkulował szanse rozerwania tego chwytu jednym silnym pchnięciem. Postanowił zaczekać, aż Dussander puści poręcz.

- Zadowolenie starca płynęło częściowo z poczucia równości - mówił w zadumie Dussander. - Widzisz, chłopiec i stary człowiek trzymali się nawzajem w szachu. Każdy wiedział o czymś, co drugi pragnął zachować w sekrecie. A potem... ach, starzec zrozumiał, że wszystko się zmieniło. Tak. Przystawał panować nad sytuacją - częściowo lub całkowicie, zależnie od tego jak zdesperowany lub sprytny okazałby się chłopiec. Pewnej długiej i bezsennej nocy starzec zrozumiał, że lepiej będzie dla niego, jeśli się zabezpieczy. Dla własnego dobra.

Teraz Dussander puścił poręcz i pochylił się nad stromymi schodami, ale Todd nawet nie drgnął. Przenikający do szpiku kości chłód zniknął, zastąpiony gorącą falą złości i zmieszania. Gdy Dussander chwycił butelkę, Todd pomyślał jadowniczo, że stary

ma najbardziej cuchnącą piwnicę w mieście, mimo zapachu nafty. Śmierdziało z niej tak, jakby coś tam zdechło.

- Tak więc starzec zaraz wstał z łóżka. Ile taki stary człowiek musi spać? Bardzo mało. Usiadł przy swoim biurczku, myśląc, jak sprytnie uwikłał chłopca w te same zbrodnie, jakimi ten go szantażował. Siedział myśląc, jak ciężko chłopak pracował, jak bardzo ciężko, żeby poprawić stopnie. I jak, kiedy już je poprawi, nie będzie potrzebował starca żywego. A gdyby stary umarł, chłopiec byłby wolny. - Odwrócił się, trzymając za szyjkę nową butelkę Ancient Age. Słyszałem cię, wiesz - rzekł prawie czule. - Od chwili gdy odsunąłeś krzesło i wstałeś. Nie ruszasz się tak cicho, jak sobie wyobrażasz, chłopcze. Przynajmniej jeszcze nie.

Todd nic nie powiedział.

- A więc tak! - wykrzyknął Dussander, wracając do kuchni i starannie zamykając za sobą drzwi piwnicy. - Starzec wszystko opisał, *nicht wahr?* Od pierwszego do ostatniego dnia. Kiedy wreszcie skończył, był już prawie świt i ręka bolała go od artretyzmu - *verdammt* artretyzm - lecz po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł się lepiej. Czuł się bezpieczny. Wrócił do łóżka i spał do popołudnia. Prawdę mówiąc, gdyby spał chwilę dłużej, przespałby swój ulubiony serial - „Szpital miejski”.

Dussander wrócił na bujany fotel. Usiadł, wyjął scyzoryk z żółtą rękojeścią i zaczął mozolnie przecinać folię zamykającą butelkę.

- Następnego dnia starzec włożył najlepszy garnitur i poszedł do banku, w którym trzymał niewielkie oszczędności. Porozmawiał z urzędnikiem, który zdołał udzielić mu zadowalających odpowiedzi na wszystkie pytania. Wynajął małą skrytkę depozytową. Urzędnik wyjaśnił staremu, że klucze do niej będzie miał właściciel i bank. Aby ją otworzyć, potrzebne są oba. Nikt oprócz starca nie może użyć jego klucza bez notarialnie poświadczonej zgody. Z jednym wyjątkiem. - Dussander uśmiechnął się bezzębnym uśmiechem do pobladłego, spiętego Todda Bowdena. - Ten wyjątek dotyczy śmierci właściciela depozytu - rzekł. Wciąż patrząc na Todda, wciąż śmiejąc się, Dussander włożył scyzoryk do kieszeni szlafroka, odkręcił zakrętkę i nalał sobie świeżą porcję burbona.

- I co wtedy? - zapytał ochryłym głosem Todd.

- Wtedy skrytka zostaje otwarta w obecności pracownika banku i przedstawiciela urzędu skarbowego. Zawartość skrytki zostaje zinwentaryzowana. W tym przypadku znajdą tylko dwunastostronicowy dokument. Bezwartościowy... ale bardzo interesujący.

Palce Todda podpełzły do siebie i się zacisnęły.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział ochryple i z niedowierzaniem. - Nie możesz... nie możesz tego zrobić.

- Mój drogi - powiedział uprzejmie Dussander. - Już to zrobiłem.

- Przecież... ja... ty... - Nagle zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. - Jesteś stary! Nie wiesz, że jesteś stary? Możesz umrzeć! Możesz umrzeć w każdej chwili!

Dussander wstał. Podszedł do jednej z szafek kuchennych i wyjął mały słoik. Kiedyś w tym słoiku była galaretka. Wokół brzegu widniały tańczące postacie z kreskówek. Todd rozpoznał wszystkie: Fred i Wilma Flintstone, Barney i Betty Rubble, Pebbles i Bamm-Bamm. Wychował się na nich. Patrzył, jak Dussander niemal uroczyście wyciera słoik ścierką do naczyń, po czym siada przed nim i nalewa mu odrobinę burbona.

- A to po co? - wymamrotał. - Ja nie piję. Picie jest dla takich starych pierników jak ty.

- Podnieś szkło, chłopcze. To szczególna okazja. Dzisiaj się napijesz.

Todd spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, a potem wziął słoik. Dussander trącił go swoją szklanką.

- Wznoszę toast, chłopcze - sto lat! Sto lat życia - nam obu! *Prosit!*

Jednym haustem połknął płyn, a potem zaczął się śmiać. Kołysał się tam i z powrotem, odpychając się od linoleum stopami w wełnianych skarpetach, śmiejąc się - i Todd pomyślał, że stary jeszcze nigdy nie był tak podobny do sępa, sępa w szlafroku, paskudnego ścierwojada.

- Nienawidzę cię - szepnął, a wtedy Dussander zaczął krztusić się ze śmiechu. Jego twarz poczerwieniała jak burak; wydawało się, że kaszle, śmieje się i dusi jednocześnie. Todd wstał, wystraszony, i zaczął klepać go po plecach, aż napad kaszlu minął.

- *Danke schön* - powiedział stary. - Napij się. Dobrze ci to robi.

Todd wypił. Smakowało jak bardzo niesmaczne lekarstwo i paliło w brzuchu.

- Nie wierzę, że po całych dniach pijesz takie gówno rzekł, odstawiając słoiczek na stół i otrząsając się. - Powinieneś przestać. Rzucić picie i palenie.

- Twoja troska o moje zdrowie jest rozbrajająca - powiedział Dussander. Z tej samej kieszeni szlafroka, w której zniknął scyzoryk, wyjął pomietą paczkę papierosów.

- Ja jestem równie zainteresowany twoim dobrym zdrowiem, chłopcze. Prawie codziennie czytam w gazecie, że jakiś rowerzysta zginął na ruchliwym skrzyżowaniu.

Powinieneś z tym skończyć. Powinieneś chodzić piechotą. Albo jeździć autobusem, jak ja.

- Czemu nie pójdziesz się wypieprzyć? - wybuchnął Todd.

- Mój chłopcze - odparł ze śmiechem Dussander, znów nalewając sobie burbona - przecież pieprzymy się nawzajem - nie wiedziałeś?

Pewnego dnia, chyba tydzień później, Todd siedział na nieczynnej rampie starego dworca kolejowego. Rzucił kamieniami w zardzewiałe, zarośnięte chwastami tory.

Dlaczego nie miałbym go zabić?

Ponieważ był logicznie myślącym chłopcem, najpierw udzielił sobie logicznej odpowiedzi. Nie było żadnego powodu. Prędzej czy później Dussander umrze, a zważywszy na jego nałogi, raczej prędzej. Czy zabije go, czy też Dussander umrze na atak serca w wannie, wszystko wyjdzie na jaw. Tak przynajmniej miałby przyjemność, ukręcając staremu łeb.

Prędzej czy później - to stwierdzenie opierało się wszelkiej logice.

Może później, pomyślał Todd. Mimo papierosów, mimo wody, to twardy stary drań. Przeżył tak długo, więc... może raczej później.

Gdzieś z dołu usłyszał chrapliwe prychnięcie.

Zerwał się na równe nogi, upuszczając garść kamieni. Znów ten chrapliwy dźwięk.

Zastygł, szykując się do ucieczki, ale odgłos się nie powtórzył. Dziewięćset jardów dalej ośmiopasmowa autostrada ciągnęła się aż po horyzont nad tym pokrytym chwastami i żelastwem zakamarkiem pełnym opuszczonych budynków, płotów z zardzewiałej siatki i zaśmieconych, zrujnowanych peronów. Samochody na autostradzie błyszczały jak egzotyczne, twardołuskie chrząszcze. Tam osiem pasów ruchu, a tutaj nic prócz Todda, kilku ptaków... i czegoś, co chrapało.

Ostrożnie pochylił się, opierając dłonie na kolanach i zajrzał pod rampę. Wśród pożółkłych chwastów, pustych puszek i zakurzonych butelek leżał jakiś pijak. Nie sposób było określić jego wieku; Todd ocenił, że menel może mieć równie dobrze trzydzieści jak czterysta lat. Miał na sobie podarty podkoszulek poplamiony zaschmętymi wymiocinami, o wiele za duże spodnie i szare robocze buty z popękanej w stu miejscach skóry. Pęknięcia ziały czernią jak rozdziawione usta. Todd pomyślał, że facet cuchnie jak piwnica Dussandera.

Pijak otworzył przekrwione oczy i z tępyim zdziwieniem spojrział na chłopca. W tym momencie Todd przypomniał sobie o szwajcarskim wojskowym nożu, który miał w kieszeni. Kupił go w sklepie z artykułami sportowymi w Redondo Beach rok temu. Dobrze pamiętał słowa sprzedawcy: Nie mógłbyś wybrać lepszego noża niż ten, synu - taki nóż może ci kiedyś uratować życie. Każdego cholernego roku sprzedajemy tysiąc pięćset sztuk.

Tysiąc pięćset sztuk rocznie.

Włożył rękę do kieszeni i wymacał nóż. Oczami duszy ujrzał scyzoryk Dussandera powoli okrążający szyjkę butelki z burbonem, przecinający plastikowe zamknięcie. W chwilę później uświadomił sobie, że ma erekcję.

Poczuł przerażenie.

Pijak przesunął dłonią po spękanych wargach, a potem oblizał je językiem, który nabrał niezdrowej, żółtej barwy od nikotyny.

- Masz dziesiątaka, mały?

Todd patrzył na niego bez wyrazu.

- Muszę dojechać do Los Angeles. Potrzebuję jeszcze dziesiątaka na autobus. Mam spotkanie, tak. Propozycję pracy. Taki fajny dzieciak jak ty na pewno ma dziesiątaka. Może nawet ćwiartkę.

Tak, proszpana, takim nożem można wypatroszyć dorsza... do licha, można nim nawet oprawić cholernego marlina, jeśli się go złapie. Każdego cholernego roku sprzedajemy tysiąc pięćset sztuk. Sprzedają je w każdym sklepie sportowym i wojskowym w Ameryce, a gdybyś zechciał nim załatwić jakiegoś brudnego, zasranego starego pijaka, nikt nie dowie się, że to twój nóż, nikt.

Pijak przyciszył głos; mówił konfidencyjnym, ponurym szeptem.

- Za dolca mogę ci obciągnąć jak nikt. Będzie jak w niebie, mały...

Todd wyjął rękę z kieszeni. Nie wiedział, co w niej trzyma, dopóki jej nie otworzył. Dwie ćwiartki. Dwa miedziaki. Dziesiątka. Kilka centów. Rzucił nimi w pijaka i uciekł.

Czerwiec 1975

Todd Bowden, już czternastoletni, podjechał pod ganek domu Dussandera i postawił rower na podpórcie. Na ostatnim stopniu leżał „L.A. Times”; podniósł go.

Spojrzał na dzwonek, pod którym starannie wypisane tabliczki nadal głośiły: ARTHUR DENKER oraz ŻADNYCH KWESTORÓW, AJENTÓW I DOMOKRAŹCÓW. Oczywiście, teraz nie musiał już dzwonić; miał klucz.

Gdzieś w pobliżu słycać było terkoczący, monotony warkot kosiarki do trawników. Popatrzył na trawnik Dussandera i doszedł do wniosku, że warto by go przystrzyc; będzie musiał powiedzieć staremu, żeby znalazł sobie chłopca z kosiarką. Dussander coraz częściej zapominał o takich drobiazgach. Może to uwiad starczy, a może Ancient Age zaczynał padać mu na mózg. To była dorosła myśl jak na czternastoletniego chłopca, lecz Todd nie widział już w takich myślach nic szczególnego. Ostatnio miewał wiele takich dorosłych myśli. Większość z nich wcale nie była przyjemna.

Wszedł.

Jak zwykle poczuł przesywający lęk, kiedy w kuchni zobaczył Dussandera lekko przechylonego w fotelu, szklanke na stole, a obok na wpół opróżnioną butelkę burbona. Papieros zmienił się w szary popiół, dopaliwszy się do końca w przykrywce od majonezu, w której leżało już kilka zgniecionych niedopałków. Dussander miał szeroko otwarte usta i żółtawą cerę. Wielkie dłonie bezwładnie zwisały z poręczy fotela. Wydawał się nie oddychać.

- Dussanderze - powiedział, trochę za głośno. - Wzejdz i świeć, Dussanderze.

Poczuł głęboką ulgę, gdy stary poruszył się, zamrugał oczami i w końcu wstał.

- To ty? Tak wcześnie?

- W ostatni dzień wypuścili nas wcześniej - powiedział Todd. Wskazał na resztki papierosa w pokrywce od majonezu. - Któregoś dnia spalisz w ten sposób dom.

- Może - powiedział obojętnie Dussander. Wygrzebał z kieszeni papierosy, pstryknięciem wypchnął jednego z paczki (papieros niemal spadł ze stołu, nim Dussander go złapał) i w końcu zdołał go zapalić. Zaniósł się kaszlem, a Todd skrzywił się z obrzydzeniem. Zanim stary doszedł do siebie, Todd niemal spodziewał się, że zaraz zacznie wypluwać na stół szarawoczarne kawałki płuc... i pewnie jeszcze by się przy tym uśmiechał.

Wreszcie przestał kasłać na tyle, żeby zapytać:

- Co tam masz?

- Świadectwo.

Dussander wziął je, otworzył i przeczytał, trzymając w wyciągniętej ręce.

- Angielski - pięć. Historia Ameryki - pięć. Nauka o Ziemi - cztery plus. Nauka o

społeczeństwie - pięć. Język francuski - cztery minus. Podstawy algebry - cztery.

Odłożył kartkę.

- Bardzo dobrze. Jak to się mówi w slangu? Uratowaliśmy twój tyłek, chłopcze. Będziesz musiał zmienić punktację w tej ostatniej rubryce.

- Z francuskiego i algebry, ale nie więcej niż o osiem czy dziewięć punktów. Nie sądzę, żeby to kiedyś wyszło na jaw. I myślę, że tobie to zawdzięczam. Nie jestem z tego dumny, ale taka jest prawda. Zatem dzięki.

- Cóż za natchniona przemowa - rzekł Dussander i znów zaczął kaszleć.

- Pewnie teraz nie będę już tak często tu przychodził powiedział Todd i Dussander nagle przestał kaszleć.

- Nie? - spytał uprzejmie.

- Nie - powiedział Todd. - Dwudziestego piątego czerwca wyjeżdżamy na miesiąc na Hawaje. W sierpniu pójdę do nowej szkoły na drugim końcu miasta. Będę zajęty.

- Ach tak, to przez *Schwarzen* - powiedział Dussander, obojętnie obserwując muchę spacerującą po czerwono-białej ceracie. - Ten kraj przez dwadzieścia lat martwił się i niepokoił *Schwarzen*. Jednak my znamy rozwiązanie... prawda, chłopcze?

Obdarzył Todda bezzębnym uśmiechem, a chłopiec spuścił oczy, czując znajome ściskanie w żołądku. Przerazenie, nienawiść i chęć zrobienia czegoś tak strasznego, że mógł o tym rozmyślać jedynie we snach.

- Słuchaj, gdybyś nie wiedział, to zamierzam iść do college'u - powiedział Todd.

- Wiem, że jeszcze mam czas, ale już o tym myślę. Nawet wiem, co chcę studiować. Historię.

- Godne podziwu. Ten, kto nie wyciąga wniosków z przeszłości, jest...

- Och, zamknij się.

Dussander zgodliwie usłuchał. Wiedział, że chłopak nie skończył... jeszcze nie. Siedział z założonymi rękami, obserwując go.

- Mógłbym zabrać ten list od przyjaciela - wypalił nagle Todd. - Wiesz? Mógłbym dać ci go do przeczytania, a potem spalić go na twoich...

- Gdybym ja usunął pewien dokument ze skrytki depozytowej.

- No... tak.

Dussander wydał głośne, przeciągłe westchnienie.

- Mój chłopcze - powiedział. - Ty wciąż nie rozumiesz sytuacji. Nigdy nie

rozumiałeś, od samego początku. Częściowo dlatego, że jesteś tylko chłopcem, ale nie tylko... od początku byłeś bardzo starym chłopcem. Nie, główną przyczyną była i jest twoja absurdalna amerykańska pewność siebie, która nie pozwoliła ci pojąć ewentualnych konsekwencji... i nie pozwala ci nadal.

Todd zaczął coś mówić, ale Dussander stanowczo podniósł rękę - jak najstarszy gliniarz z drogówki na świecie.

- Nie, nie zaprzeczaj. To prawda. Idź, jeśli chcesz. Opuść ten dom, wyjdź stąd, nigdy nie wracaj. Czy mogę cię zatrzymać? Nie. Oczywiście, że nie. Baw się na Hawajach, kiedy ja będę gnił w tej rozgrzanej, śmierdzącej tłuszczem kuchni i czekał, czy *Schwarzen* z Watts w tym roku także postanowią zacząć zabijać policjantów i palić ich gówniane domostwa. Nie mogę cię powstrzymać, tak jak nie mogę nie starzeć się z każdym dniem. - Uważnie spojrzał na Todda, tak uważnie, że chłopiec odwrócił wzrok. - W głębi duszy nie lubię cię. Nic tego nie zmieni. Wdarłeś się w moje życie. Jesteś nieproszonym gościem w moim domu. Kazałeś mi otwierać krypty, które lepiej było zostawić w spokoju, ponieważ odkryłem, że niektóre z ciał pochowano żywcem, a w kilku innych wciąż tli się isierka życia. Sam też się w to wplątałeś, ale czy mam ci z tego powodu współczuć? *Gott im Himmel!* Mam cię żałować, że źle ci się śpi? Nie... nie żałuję cię i nie lubię, ale nabrałem do ciebie trochę szacunku. Tak więc nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, każąc mi wyjaśniać to dwukrotnie. Moglibyśmy przynieść te dokumenty i spalić je w mojej kuchni. To i tak niczego by nie zmieniło. Prawdę mówiąc, znaleźlibyśmy się dokładnie w takiej samej sytuacji, w jakiej jesteście teraz.

- Nie rozumiem.

- Nie, ponieważ nigdy poważnie nie rozważałeś konsekwencji wydarzeń, jakie wprawileś w ruch. Jednak posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. Gdybyśmy spalili te listy tutaj, w pokrywce od słoika, skąd miałbym wiedzieć, że nie zrobiłeś kserokopii? Albo dwóch? Lub trzech? W bibliotece mają kserokopiarkę, na której za dziesiątaka każdy może zrobić odbitkę. Za dolara mógłbyś rozwiesić list gończy za mną na każdym rogu w promieniu dwudziestu kwartałów. Dwie mile listów gończych, chłopcze! Pomyśl tylko! Skąd miałbym wiedzieć, że nie zrobiłeś czegoś takiego?

- No cóż, ja... ja... - Todd zorientował się, że bełkocze i zdołał zamilknąć. Nagle zrobiło mu się za gorąco i bez powodu przypomniał sobie o czymś, co wydarzyło się, kiedy miał siedem czy osiem lat. Razem z kolegą przeczołgiwali się przez przepust pod starą Freight Bypass Road, tuż za miastem. Kolega, szczuplejszy od Todda, nie miał

żadnych problemów... ale on utknął. Nagle uświadomił sobie, że nad głową ma kilka stóp skały i gleby, cały ten czarny ciężar, a gdy drogą przejechała ciężarówka zmierzająca do Los Angeles, wstrząsając ziemią, aż pofalowana rura zadrżała wydając niski, niemelodyjny i dziwnie groźny ton, zaczął płakać i miotać się jak szalony, pchając się naprzód, kopiąc nogami i wrzeszcząc o pomoc. W końcu zdołał się jakoś precyzyjnie, a kiedy wreszcie wydostał się z rury, zemdlął.

Dussander właśnie mówił o zdradzie tak potwornej, że Toddowi nigdy nie przyszlaby do głowy. Czuł, że jest mu coraz bardziej gorąco i pomyślał: Nie będę płakał.

- I skąd wiedziałbyś, że ja nie zostawiłem dwóch kopii w skrytce depozytowej... że nie spaliłem jednej, pozostawiając tam drugą?

W potrzasku. W potrzasku, tak jak w tej rurze, i kogo mam wołać na pomoc?

Serce biło mu coraz mocniej. Czuł, jak pot występuje mu na grzbietach dłoni i na nasadzie karku. Teraz przypomniał sobie, jak było w tej rurze: zapach stęchłej wody, zimny dotyk falistego metalu i te drgania, gdy górą przejeżdżała ciężarówka. Pamiętał, jak gorące i rozpaczliwe były tamte lzy.

- Nawet gdybyśmy mogli udać się z tym do kogoś postronnego, zawsze pozostałyby wątpliwości. Ten problem jest nierozwiązywalny, chłopcze. Uwierz mi.

Uwięziony. Uwięziony w rurze. Tym razem bez wyjścia.

Świat poszarzał. Nie będę płakał. Nie zemdleję. Z trudem opanował się.

Dussander pociągnął spory łyk i spojrzał na Todda znad brzegu szklanki.

- Teraz powiem ci jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, gdyby twój udział w tej sprawie wyszedł na jaw, poniósłbyś stosunkowo niewielką karę. Jest nawet możliwe - nie, więcej, prawdopodobne - że twoje nazwisko wcale nie pojawiłoby się w gazetach. Straszylem cię poprawczakiem, kiedy bardzo się bałem, że załamiesz się i wszystko wyśpiewasz. A czy wierzyłem w to? Nie - posłużyłem się tym jak ojciec straszący wilkiem dziecko, które za późno wraca do domu. Nie wierzę, żeby wysłali cię tam, nie w tym kraju, gdzie zabójcom daje się po łapie i po dwóch latach oglądania kolorowej telewizji w więzieniu znów wypuszcza na ulicę, żeby mogli zabijać. Jednak to mogło zrujnować ci życie. Są akta... a ludzie gadają. Zawsze gadają. Nie pozwolą, aby taki soczysty skandal przycichł; butelkują go jak wino. A ponadto, w miarę upływu lat, twoja wina rosłaby wraz z tobą. Twoje milczenie byłoby bardziej obciążające. Gdyby prawda wyszła na jaw dzisiaj, ludzie powiedzieliby „Przecież to jeszcze dziecko!”... nie wiedząc tego co ja - jakim starym jesteś dzieckiem. Jednak co powiedzieliby, chłopcze,

gdyby prawda o mnie - połączona z faktem, że wiedziałeś o mnie od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, ale milczałeś - wyszła na jaw, gdy byłbyś w szkole średniej? Gdyby dowiedzieli się o tym, kiedy studiowałeś, to byłaby katastrofa. A dla młodego człowieka u progu kariery... Armagedon. Rozumiesz ten pierwszy fakt?

Todd milczał, lecz Dussander wyglądał na zadowolonego. Skinął głową. Nadal nią kiwając, powiedział:

- Po drugie nie wierzę, że masz jakiś list.

Todd usiłował zachować pokerową twarz, lecz obawiał się, że szeroko otworzył oczy z przerażenia. Dussander przyglądał mu się bacznie i Todd nagle zdał sobie sprawę, że ten stary przesłuchiwał setki, może tysiące ludzi. Był ekspertem. Todd miał wrażenie, że jego czaszka stała się przezroczysta jak szkło i wszystkie myśli migoczą w niej dużymi literami.

- Zadawałem sobie pytanie, komu ufałeś tak bardzo. Kim są twoi koledzy... z kim się zadajesz? Kto jest tak lojalny wobec tego chłopca, tego samowystarczalnego, chłodnego, opanowanego chłopca? Odpowiedź brzmi: nikt. - Oczy Dussandera lśniły żółtawo. - Wiele razy patrzyłem na ciebie i kalkulowałem szanse. Znam cię i w znacznym stopniu znam twój charakter - nie, nie cały, ponieważ człowiek nigdy do końca nie wie, co dzieje się w sercu drugiego człowieka niewiele wiem o tym, co robisz i z kim się widzisz poza tym domem. Tak więc myślę: Dussanderze, możesz się mylić. Po tych wszystkich latach, czy chcesz być schwytany i może zabity przez to, że źle oceniłeś jakiegoś chłopca? Może gdybym był młodszy, zaryzykowałbym - szanse są duże, a jedyne opłacalne ryzyko to niewielkie ryzyko. Wiesz, to dla mnie bardzo dziwna sytuacja - im człowiek starszy, tym mniej ma do stracenia w sprawach życia i śmierci... a jednak staje się coraz bardziej konserwatywny. - Spojrzał Toddowi w oczy. - Chcę ci powiedzieć jeszcze coś, a potem możesz iść, kiedy chcesz. Powiem ci, że chociaż ja wątpię w istnienie twojego listu, nie powinieneś wątpić w istnienie mojego. Ten dokument, o którym ci mówiłem, istnieje. Gdybym umarł dzisiaj... jutro... wszystko się wyda. Wszystko.

- A więc nie mam nic do stracenia - powiedział Todd. Zaśmiał się cicho. - Nie rozumiesz?

- Ależ nie. Mijają lata. W miarę ich upływu twoja władza nade mną będzie coraz słabsza, ponieważ niezależnie od tego, jak ważne jest dla mnie moje życie i wolność, Amerykanie i... tak, nawet Izraelczycy, będą coraz mniej zainteresowani odebraniem mi ich.

- Tak? To dlaczego nie puścili tego Hessa?

- Gdyby pilnowali go tylko Amerykanie - ci Amerykanie, którzy wypuszczają morderców, dawszy im po łapie - puściliby go - rzekł Dussander. - Czy Amerykanie zezwolą na ekstradycję osiemdziesięcioletniego człowieka, żeby Izraelczycy mogli powiesić go tak jak Eichmanna? Nie sądzę. Nie w kraju, w którym na pierwszych stronach gazet zamieszcza się zdjęcia strażaków ściągających kocięta z drzew. Nie, twoja władza nade mną będzie słabła, a moja nad tobą - rosła. Nie ma statycznych sytuacji. I przyjdzie czas - jeśli pożyję dostatecznie długo - aż zdecyduję, że to, co wiesz, nie ma już żadnego znaczenia. Wtedy zniszczę ten dokument.

- Jednak do tego czasu tyle może się zdarzyć! Wypadek, choroba...

Dussander wzruszył ramionami.

- Jeśli Bóg zechce, będzie woda, i znajdziemy ją, i napijemy się - jeśli taka będzie Jego wola. To co będzie, nie zależy od nas.

Todd długo spoglądał na starca - bardzo długo. W argumentacji Dussandera były luki - musiały być. Jakieś rozwiązanie, wyjście awaryjne dla nich obu albo dla samego Todda. Jakiś okrzyk kończący grę: czas minął, chłopcy, skręciłem nogę, zamawiam. Gdzieś w tych oczach majaczyło mroczne przeczucie nadchodzących lat; czuł je tam, czekające, by się zrodzić jako świadoma myśl. Dokądkolwiek by poszedł, cokolwiek by zrobił...

Pomyślał o postaci z kreskówki z wiszącym nad jej głową kowadłem. Zanim on skończy szkołę średnią, Dussanderowi stuknie osiemdziesiąt jeden lat i to jeszcze nie wszystko; zanim on ukończy studia, stary będzie osiemdziesięciopięcioletkiem, nadal przekonany, że nie jest dostatecznie stary; obroni pracę magisterską i uzyska dyplom, gdy Dussander będzie osiemdziesięciosiedmioletnim starcem... wciąż nie czującym się bezpiecznie.

- Nie - powiedział zdławionym głosem Todd. - To co mówisz... nie mogę się z tym pogodzić.

- Mój chłopcze - powiedział łagodnie Dussander i Todd po raz pierwszy z przerażeniem usłyszał lekki nacisk, jaki stary położył na pierwsze słowo. - Mój chłopcze... musisz.

Todd wytrzeszczył oczy, a język puchł mu i kołowaciał w ustach, aż zdawał się zatykać mu gardło i dusić. Potem chłopiec odwrócił się na pięcie i wybiegł z domu.

Dussander patrzył na to z beznamiętnym wyrazem twarzy, a kiedy trzasnęły drzwi i tupot stóp ucichł, co świadczyło o tym, że chłopak wsiadł na rower, stary

zapalił papierosa. Oczywiście, nie było żadnej skrytki depozytowej, żadnego dokumentu. Jednak chłopiec wierzył, że te rzeczy istniały wierzył głęboko. Dussander był bezpieczny. Koniec.

Jednak to nie był koniec.

Tej nocy obaj śnili o morderstwie i obaj obudzili się ze strachem pomieszanym z radością.

Todd otworzył oczy, czując znaną mu już lekkość podbrzusza. Dussander, za stary na takie rzeczy, włożył mundur esesmana i położył się z powrotem, czekając, aż uspokoi mu się walące jak młotem serce. Mundur był tandetny i już zaczynał się strzępić.

We śnie Dussander w końcu dotarł do obozu na szczycie wzgórza. Szeroka brama rozsunała się przed nim, a kiedy znalazł się w środku, z łoskotem zamknęła się znowu. Zarówno ona, jak i płot otaczający obóz były pod napięciem. Fala za falą chudych, nagich prześladowców rzucała się na ogrodzenie; Dussander śmiał się z nich, maszerując tam i z powrotem, z wypiętą piersią i czapką przekrzywioną pod właściwym kątem. Ostry, winny zapach palonego ciała wypełnił powietrze i nagle Dussander zbudził się w południowej Kalifornii, myśląc o maskach wyciętych z dyni i nocy, podczas której wampiry szukają niebieskiego płomienia.

Dwa dni przed zaplanowanym odlotem Bowdenów na Hawaje Todd wrócił na opuszczoną stację, na której niegdyś ludzie wsiadali do pociągów do San Francisco, Seattle i Las Vegas, podczas gdy inni, jeszcze dawniej, jechali ciuchcią do Los Angeles.

Zmierzchało już, gdy tam dotarł. Na zakręcie odległej o dziewięćset jardów autostrady większość samochodów przejeżdżała już z włączonymi światłami. Chociaż było ciepło, Todd miał na sobie lekką kurtkę. Za pasek spodni wepchnął rzeźnicki nóż owinięty w stary ręcznik. Kupił ten nóż w sklepie z przecenionymi artykułami przemysłowymi, jednym z tych wielkich, otoczonych wieloakrowymi parkingami.

Zajrzał pod rampę, gdzie miesiąc wcześniej leżał pijak. Todd bez końca rozważał w myślach tę kwestię, lecz daremnie; w tym momencie wszystko wydawało się składać wyłącznie z szarych i czarnych barw.

Znalazł pod nią tego samego, a może innego pijaka; wszyscy byli podobni do siebie.

- Hej! - powiedział Todd. - Hej! Chcesz trochę pieniędzy?

Pijak odwrócił się, mrugając. Zobaczył szeroki, promienny uśmiech Todda i uśmiechnął się w odpowiedzi. W chwilę później nóż opadł, świszcząco ostry i chromowo jasny, gładko przecinając zarośnięty policzek. Trysnęła krew. Todd dostrzegł ostrze w otwartych ustach pijaka... i koniec uwiązał na moment w lewym kąciku ust, rozciągając je w upiornie krzywym uśmiechu. A potem nóż poszerzył uśmiech; kroił pijaka jak dynię na Halloween.

Dźgnął pijaka trzydzieści siedem razy. Liczył. Trzydzieści siedem, wliczając pierwsze chlaśnięcie, które rozcięło policzek i zmieniło przypochebny uśmiech w potworny grymas. Po trzecim uderzeniu pijak już nie próbował krzyczeć. Po szóstym już nie usiłował uciec. Wtedy Todd wpełznął pod rampę i dokończył dzieła.

W drodze do domu wrzucił nóż do rzeki. Miał zakrwawione spodnie. Włożył je do pralki i nastawił ją na pranie na zimno. Na spodniach pozostały słabe plamy, ale Todd nie przejmował się tym. Z czasem znikną. Następnego dnia stwierdził, że ledwie może podnieść prawą rękę na wysokość barku. Powiedział ojcu, że pewnie nadwerżył ją sobie, grając w piłkę z chłopakami w parku.

- Na Hawajach ci przejdzie - powiedział Dick Bowden, wicherząc Toddowi czuprynę, i tak się stało; kiedy wrócili do domu, był jak nowy.

13

Znów nadszedł lipiec.

Dussander, elegancki w jednym ze swoich trzech garniturów (choć nie najlepszym), stał na przystanku autobusowym i czekał, aż ostatni autobus zabierze go do domu. Dochodziła jedenasta wieczorem. Był w kinie, na lekkiej i zabawnej komedii, która bardzo mu się spodobała. Od chwili gdy otrzymał poranną pocztę, nie opuszczał go dobry humor. Dostał pocztówkę od chłopca, błyszczące kolorowe zdjęcie plaży Waikiki z widocznymi w tle, białymi jak kość budynkami hoteli. Na odwrocie była krótka wiadomość.

Szanowny Panie Denker!

To naprawdę niesamowite miejsce. Kąpię się codziennie. Tata złapał wielką rybę, a mama lekki katar (żart). Jutro jedziemy zobaczyć wulkan. Spróbuję do niego nie wpaść! Mam nadzieję, że u Pana wszystko w porządku.

Życzę zdrowia.

Wciąż uśmiechał się pod nosem z tych ostatnich słów, gdy ktoś trącił go w łokieć.

- Mister?

- Tak?

Odwrócił się, ostrożnie - nawet w Santo Donato zdarzali się rabusie - i zaraz skrzywił się, czując zapach. Mieszanina piwa, nieświeżego oddechu, zastarzałego potu i wody brzozonej. Włóczęga w szerokich spodniach. Ten... to - miało flanelową koszulę i bardzo stare trampki, poklejone kawałkami brudnego plastra. Twarz widoczna nad tym przedziwnym strojem była maską śmierci.

- Ma pan na zbyciu dziesiątka, mister? Muszę dojechać do Los Angeles. Dostałem propozycję pracy. Potrzebna mi jeszcze dziesiątka na autobus. Nie prosiłbym, gdyby to nie była szansa dla mnie.

Dussander zaczął marszczyć brwi, ale znów się uśmiechnął.

- Naprawdę potrzebuje pan pieniędzy na autobus?

Pijak uśmiechnął się, nie rozumiejąc.

- Może pojedzie pan do mnie do domu - zaproponował Dussander. - Mogę zapewnić drinka, posiłek, kąpiel i wygodne łóżko. W zamian proszę tylko o chwilę rozmowy. Jestem starym człowiekiem. Mieszkam sam. Czasami brakuje mi towarzystwa.

Pijak uśmiechnął się szerzej, gdyż sytuacja zdawała się klarować. Oto zamożny pedał lubiący włóczęgów.

- Będziemy sami? Szybki numerek?

Dussander odpowiedział uprzejmym uśmiechem na szeroki, znaczący uśmiech tamtego.

- Proszę tylko, żebyś w autobusie usiadł daleko ode mnie.

Dość mocno śmierdzisz.

- To może nie chcesz, żebym ci zasmradzał mieszkanie powiedział pijak z urażoną godnością.

- Daj spokój, zaraz będzie autobus. Przejedź przystanek dalej niż ja, a potem wróć dwie przecznice. Będę czekał na rogu. Rano zobaczymy, ile mogę ci dać. Może dwa dolary.

- Może nawet pięć - powiedział trzeźwo pijak. Zapomniał o swej godności,

urazonej czy nie.

- Może, może - rzekł niecierpliwie Dussander. Słyszał już niski pomruk diesla nadjeżdżającego autobusu. Wcisnął ćwiartkę - opłatę za przejazd - w brudną dłoń włóczęgi i nie oglądając się, odszedł kilka kroków.

Włóczęga stał, niezdecydowany, gdy reflektory nadjeżdżającego autobusu omiotły wzniesienie. Nadal stał i gapił się na ćwiartkę, gdy stary pedał wsiadał do autobusu. Włóczęga zaczął odchodzić, a potem - w ostatniej sekundzie - zmienił kierunek marszu i wskoczył do wozu na moment przed tym, zanim zamknęły się harmonijkowe drzwi. Z miną człowieka stawiającego sto dolarów na wątpliwego konia włożył ćwiartkę do automatu biletowego. Minął Dussandera, zaszczycając go zaledwie przelotnym spojrzeniem i siadł na końcu autobusu. Zdrzemnął się trochę, a kiedy się obudził, bogatego starego pedała już nie było. Włóczęga wysiadł na następnym przystanku, nie wiedząc, czy to właściwy, i wcale się tym nie przejmując.

Minął dwie przecznice i w świetle latarni ujrzał na rogu jakąś niewyraźną postać. To był ten stary pedał. Czekał na niego, i to stojąc jak na baczność.

Przez moment włóczęga poczuł lekki niepokój, ochotę, by odwrócić się i odejść, zapominając o całej sprawie.

Nagle stary ujął go pod ramię... a miał zadziwiająco silny chwyt.

- Dobrze - powiedział. - Cieszę się, że przyszedłeś. Mój dom jest tam. To niedaleko.

- Może nawet dziesięć - powiedział włóczęga, pozwalając się prowadzić.

- Może nawet dziesięć - przytaknął stary pedał, a potem zaśmiał się. - Kto wie?

14

Nadeszło dwustulecie.

Todd pół tuzina razy odwiedził Dussandera między powrotem z Hawajów a wycieczką z rodzicami do Rzymu, w okresie gdy walenie w bębny, machanie chorągiewkami i obnoszenie makiet statku „Mayflower” osiągnęło apogeum.

Te wizyty u Dussandera minęły spokojnie i dość przyjemnie; obaj stwierdzili, że potrafią w cywilizowany sposób spędzać czas. Milcząc, mówili więcej niż słowami, a ich rozmowy uśpiłyby najczujniejszego agenta FBI. Todd powiedział staremu, że spotyka się z dziewczyną, niejaką Angelą Farrow. Nie szalał na jej punkcie, ale to córka jednej z przyjaciółek matki. Stary powiedział mu, że zaczął wyszywać, ponieważ

przeczytał, że ta czynność dobrze robi na artretyzm. Pokazał Toddowi kilka próbek swojej pracy i chłopiec posłusznie wyraził swój podziw.

Chłopiec bardzo urósł, czyż nie? (No, dwa cale.) Czy Dussander rzucił palenie? (Nie, ale musiał je ograniczyć; za bardzo kaszlał.) Jak idzie mu w szkole? (Ciężko, ale ciekawie; ma same czwórki i piątki, ze swoim referatem o energii słonecznej doszedł do finałów stanowych i teraz zamierza wybrać w college'u antropologię, a nie historię.) Kto w tym roku strzyże trawnik Dussandera? (Randy Chambers z sąsiedztwa - dobry chłopak, tylko trochę gruby i powolny.)

Przez ten rok Dussander wykończył w swojej kuchni trzech włóczęgów. Co najmniej dwadzieścia razy zaczepiono go na przystanku i siedmiokrotnie złożył propozycję drinka-kolacji-kąpieli-łóżka. Dwukrotnie spotkał się z odmową, a dwa razy pijacy po prostu odeszli z ćwiartkami, jakie dał im na bilet. Po namyśle znalazł sposób, żeby tego uniknąć: po prostu kupił bloczek z biletami. Kosztowały dwa dolary i pięćdziesiąt centów, wystarczały na piętnaście przejazdów i nie dało się ich spieniężyć w miejscowych sklepach monopolowych.

Ostatnio, w ciepłe dni, Dussander wyczuwał nieprzyjemną woń dobywającą się z piwnicy. W takie dni dokładnie zamykał okna i drzwi.

Todd Bowden znalazł pijaka odsypiającego kaca w nieużywanym przepuście melioracyjnym za opuszczonymi budynkami przy Cienaga Way - to było w grudniu, podczas ferii zimowych. Stał tam przez jakiś czas, z rękami wepchniętymi w kieszenie, patrząc na pijaka i trzęsąc się. W ciągu pięciu tygodni odwiedził to miejsce sześć razy, zawsze ubrany w lekką kurtkę, zapiętą do połowy, aby ukryć wepchnięty za pas młotek.

W końcu znów trafił na tego pijaka - tego lub innego, kogo to, kurwa, obchodzi - pierwszego marca. Zaczął tępy końcem młotka, lecz w pewnym momencie (naprawdę nie pamiętał, w którym; wszystko spowijała czerwona mgła) obrócił go ostrym końcem i zmasakrował twarz ofiary.

Dla Kurta Dussandera pijacy byli cyniczną ofiarą dla bogów, których w końcu uznał... lub uznawał kiedyś. Ponadto dostarczali mu rozrywki. Sprawiali, że czuł się żywy. Nabierał przekonania, iż lata, jakie spędził w Santo Donato - zanim na jego progu stanął chłopiec z wielkimi niebieskimi oczami i szerokim amerykańskim uśmiechem - były latami spędzonymi na przedwczesnym starzeniu się. Kiedy tu przybył, miał dopiero sześćdziesiąt pięć lat. A teraz czuł się znacznie młodziej niż wtedy.

Idea ofiary dla bogów z początku przerażałaby Todda - lecz w końcu mógłby ją zaakceptować. Zakłuwszy pijaka pod rampą kolejową, spodziewał się, że koszmarne sny nasilą się - i może nawet doprowadzą go do obłądu. Oczekiwał przyływów obezwładniającego poczucia winy, które mogłoby zmusić go, by się przyznał lub popełnił samobójstwo...

Zamiast tego pojechał z rodzicami na Hawaje i cieszył się najlepszymi wakacjami w swoim życiu.

W końcu września rozpoczął naukę w szkole średniej, czując się rześko i swobodnie, jakby w skórze Todda Bowdena znalazła się zupełnie nowa osoba. Rzeczy, które od wczesnego dzieciństwa nie robiły na nim żadnego wrażenia - słońce o świcie, widok oceanu z Fish Pier, ludzie spieszący do domów na moment przed zapadnięciem zmroku i zapaleniem lamp - te rzeczy teraz utrwały się w jego umyśle serią jasnych wizji, tak wyraźnych, że zdawały się wytrawione galwanicznie. Smakował życie jak łyk wina pociągnięty prosto z butelki.

Kiedy zobaczył tego menela w przepuście, ale zanim go zabił, znów zaczął miewać koszmary.

Najczęściej śnił mu się pijak, którego zadźgał na nieczynnej stacji. Wracał ze szkoły i wpadał do domu z wesołym „Cześć, Monica-dziecino!” na ustach. Uśmiech zastygał mu na wargach na widok siedzącego przy stole, martwego włóczęgi. Pijak siedział przy ich kuchennym stole w swych śmierdzących wymiocinami spodniach i podkoszulku. Krew płynęła strugami po jasnych kafelkach podłogi; zasychała na blatach z nierdzewnej stali. Szafki z sosnowego drewna były pokryte krwawymi śladami rąk.

Do tablicy obok lodówki była przypięta kartka od matki: Todd - wyszłam do sklepu. Wracam o 3:30. Stylizowane na ogniwa słoneczne wskazówki zegara nad klimatyzatorem wskazywały 3:20, a martwy pijak leżał za stołem jak jakiś okropny, ociekający relikw z lochów i wszędzie była krew, a Todd próbował ją zetrzeć, wycierając wszystkie odsłonięte powierzchnie, przez cały czas wrzeszcząc na pijaka, żeby sobie poszedł i zostawił go w spokoju, tymczasem tamten tylko leżał, szczyrzył zęby, patrząc w sufit i broczył krwią z kłutych ran znaczących jego brudną skórę. Todd wyjął ze schowka szmatę na kiju i jak oszalały zaczął przesuwać nią po podłodze, świadomy tego, że wcale nie ściera krwi, a tylko ją rozcieńcza i rozmazuje, ale nie mogąc przestać. W chwili gdy usłyszał, jak samochód matki skręca na podjazd, zdał sobie sprawę z tego, że tym pijakiem jest Dussander.

Budził się z tych snów spocony i zdyszany, ściskając w garściach pomiętą pościel.

Jednak gdy w końcu znalazł pijaka w przepuście - tego czy innego - i załatwił go młotkiem, te sny ustały. Podejrzewał, że znów będzie musiał zabić, i to może nieraz. To niedobrze, oczywiście, ale ich użyteczność jako ludzkich istot minęła. Oprócz tego, że mogli być użyteczni dla Todda. A on, jak każda ze znanych mu osób, starzejąc się, przykrawał swój styl życia do swoich szczególnych potrzeb. Naprawdę, niczym nie różnił się od innych. Na tym świecie trzeba sobie radzić; jeśli chcesz przetrwać, musisz liczyć tylko na siebie.

15

Jesienią pierwszego roku Todd zagrał w reprezentacji szkoły - w drużynie Santo Donato Cougars - i nazwano go „wszechstronnym”. W drugim semestrze tego roku, w semestrze kończącym się w styczniu 1977, zwyciężył w organizowanym przez Legion Amerykański konkursie na najlepszy esej patriotyczny. W tym konkursie mogli wziąć udział wszyscy uczniowie szkół średnich, którzy wybrali jako przedmiot kierunkowy historię Ameryki. Praca Todda nosiła tytuł „Amerykańska odpowiedzialność”. W tym sezonie Todd był gwiazdą szkolnej tabeli strzelców, zdobywszy cztery punkty i nie tracąc żadnego. Podczas uroczystego rozdania nagród w czerwcu został wybrany sportowcem roku i otrzymał pamiątkową plakietkę z rąk trenera Hainesa (trenera Hainesa, który kiedyś wziął go na bok i kazał mu ćwiczyć te kręcone piłki, „ponieważ żaden z tych czarnuchów nie umie odbić podkręconej piłki, Bowden, żaden z nich”). Monica Bowden zalała się łzami, kiedy Todd zadzwonił do niej ze szkoły i powiedział, że dostanie nagrodę. Dick Bowden przez dwa tygodnie chodził dumny jak paw, starając się nie przechwalać. Tego lata wynajęli domek w Big Sur i siedzieli tam dwa tygodnie, a przez ten czas Todd nieustannie nurkował. W tym roku zabił czterech włośczęgów. Dwóch zadźgał i dwóch zatłukł. Zaczął zakładać dwie pary spodni na okazje, które uznał za rodzaj ekspedycji myśliwskich. Czasem jeździł miejskimi autobusami, szukając odpowiednich miejsc. Stwierdził, że najlepsze to Misja dla Ubogich przy Douglas Street oraz okolice siedziby Armii Zbawienia na Euclid. Przechadzał się tam, czekając, aż go zaczepią. Kiedy podchodził do niego jakiś pijak, Todd mówił mu, że chce napić się whisky i jeśli pijak kupi butelkę, będą mogli napić się razem. Mówił, że zna miejsce, dokąd mogą pójść. Oczywiście, za każdym razem

było to inne miejsce. Oparł się chęci powrotu na stację kolejową lub do przepustu za opuszczonymi budynkami przy Cienaga Way. Postąpiłby wysoce nierozważnie, wracając na miejsce zbrodni.

Przez ten rok Dussander niewiele palił, pił burbon Ancient Age i oglądał telewizję. Todd odwiedzał go od czasu do czasu, lecz ich rozmowy stawały się coraz bardziej jałowe. Ich drogi rozchodziły się. W tym roku Dussander kończył siedemdziesiąt dziewięć lat, a Todd szesnaście. Dussander napomknął, że szesnaście lat to najlepszy okres w życiu młodzińca, czterdzieści jeden dla mężczyzny w średnim wieku, a siedemdziesiąt dziewięć dla starca. Todd uprzejmie kiwnął głową. Dussander spił się i chichotał tak, że Todd poczuł się nieswojo.

W roku akademickim 1976 - 1977 Dussander załatwił dwóch włóczęgów. Drugi był żywotniejszy, niż na to wyglądał; nawet pijany jak bela zataczał się po kuchni ze sterczącą z podstawy karku rękojeścią noża, brocząc krwią, która spływała mu po koszuli na podłogę. Po dwóch chwiejnych okrążeniach odkrył drogę do holu i niemal zdołał wydostać się z domu.

Dussander stał w kuchni, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem, i patrzył, jak pijak sapiąc i pomrukując zmierza do drzwi, objijając się o ściany holu i strącając tanie reprodukcje Curriera i Ivesa. Chwilowy paraliż ustąpił mu dopiero wtedy, gdy zobaczył, że ofiara usiłuje wymacać klamkę. Wtedy Dussander przebiegł przez kuchnię, szarpnięciem otworzył szufladę i wyjął rożen do mięsa. Pobiegnął korytarzem, trzymając przed sobą rożen i wbił go w plecy pijaka.

Potem stał nad nim, dysząc, czując, jak serce galopuje mu w piersi... jak u zawałowca w tym telewizyjnym nocnym programie, który tak mu się podobał w sobotę - „Pogotowie!”. Jednak w końcu tętno zwolniło i zrozumiał, że nic mu nie będzie.

Musiał tylko usunąć mnóstwo śladów krwi.

To było przed czterema miesiącami i od tego czasu nie ponawiał swej propozycji na przystanku autobusowym. Przestraszył się, kiedy o mało nie spał sprawą tym ostatnim razem... lecz gdy przypominał sobie, jak w ostatniej chwili opanował sytuację, rozpierała go duma, W końcu pijak nie zdołał dotrzeć do drzwi, a tylko to się liczyło.

Jesienią 1977 roku, w pierwszym semestrze, Todd zapisał się do Klubu Strzeleckiego. W czerwcu 1978 był już strzelcem wyborowym. Znow grał w reprezentacji szkoły, zdobywając w sezonie pięć punktów i tracąc jeden (ten ostatni w wyniku dwóch błędów i szczęścia sprzyjającego przeciwnikom), i w ten sposób został trzecim z najlepszych graczy w historii szkoły. Złożył podanie do Berkeley i został natychmiast przyjęty. W kwietniu wiedział już, że podczas rozdania dyplomów będzie wygłaszał mowę pożegnalną do grona nauczycielskiego lub do absolwentów. Bardzo chciał wygłosić tę pierwszą.

Podczas ostatniego półroczia Todd zaczął odczuwać dziwny impuls - zarówno przerażający, jak i irracjonalny. Todd zdawał się całkowicie panować nad nim, co go trochę uspokajało, jednak już sam fakt, że taka myśl może przyjść mu do głowy, budził niepokój. Unormował swoje życie. Ustawił je. Teraz było jak jasna i słoneczna kuchnia jego matki, gdzie wszystkie powierzchnie były chromowane, politurowane lub z nierdzewnej stali - miejsce, gdzie wszystko działało za naciśnięciem guzika. Oczywiście, w tej kuchni były głębokie i ciemne szafki, ale mieściło się w nich wiele rzeczy, a ich drzwi nadal się zamykały.

Ten nowy impuls przypominał mu o śnie, w którym po powrocie do domu znajdował martwego i krwawiącego pijaka w czystej i jasnej, matczynej kuchni. Tak jakby w jego unormowanym życiu, w tej kuchni jego umysłu gdzie-wszystko-miało-swoje-miejsce, krył się jakiś brudny i krwawy intruz, szukający okazji, żeby się ukazać...

Ćwierć mili od domu Bowdenów przebiegała ośmiopasmowa autostrada. Opadało do niej strome i porośnięte krzakami pobocze. Znalazłby tam wiele dogodnych stanowisk. Ojciec dał mu na gwiazdkę winchestera .30-.30 ze składanym celownikiem teleskopowym. W godzinie szczytu, kiedy wszystkie osiem pasów było zatłoczone, mógłby schować się na tej skarpie i... no, mógłby bez trudu...

Zrobić co?

Popełnić samobójstwo?

Zniszczyć wszystko, na co pracował przez ostatnie cztery lata?

I co powiesz?

Nie, proszę pana, nie proszę pani, nie ma mowy.

To tylko tak, jak mówią, dla zabawy.

No pewnie... jednak ten impuls pozostał.

Pewnej soboty, na kilka tygodni przed maturą, Todd schował karabin do futerału, uprzednio ostrożnie opróżniwszy magazynek. Położył broń na tylnym siedzeniu nowej zabawki ojca używanego porsche. Pojechał do miejsca, gdzie zarośnięta skarpa opadała stromo ku autostradzie. Ojciec i matka wzięli drugi samochód i wyjechali na weekend do Los Angeles. Dick, teraz będący już pełnoprawnym partnerem, miał rozmawiać z ludźmi z Hyatta o budowie nowego hotelu w Reno.

Serce łomotało Toddowi w piersi, a usta miał pełne kwaśnej, żrącej śliny, gdy z karabinem w ramionach powoli schodził po stoku. Napotkał zwalone drzewo i usiadł za nim, podwijając nogi. Wyjął broń z futerału i położył ją na gładkim pniu martwego drzewa. Stercząca pod ostrym kątem gałąź dawała doskonałe oparcie dla lufy. Wcisnął kolbę we wgłębienie prawego ramienia i zerknął w celownik.

Głupiec! - wrzeszczał na siebie w myślach. Chłopie, jesteś naprawdę głupi! Jeśli ktoś cię zobaczy, nie będzie miało znaczenia, czy broń jest naładowana, czy nie! Napytasz sobie poważnych kłopotów, a może nawet zaczną do ciebie strzelać!

Był późny ranek i sobotni ruch jeszcze się nie zaczął. Todd wziął na cel głowę kobiety prowadzącej niebieską toyotę. Szyba od jej strony była do połowy opuszczona i podmuch trzepotał okrągłym kołnierzykiem jej bluzki bez rękawów. Todd ustawił nitki celownika na jej skroń i nacisnął spust. Suchy trzask, fatalny dla iglicy, ale co tam, kurwa.

- Bach! - szepnął, gdy toyota zniknęła pod wiaduktem, pół mili od miejsca, gdzie siedział Todd. Przełknął grudę flegmy, mając wrażenie, że połyka kupkę sklejoną ze sobą drobniaków.

Nadjechał facet siedzący za kierownicą furgonetki subaru. Miał zmierzwioną, siwą brodę i baseballową czapkę drużyny San Diego Padres.

- Jesteś... jesteś nędznym szczurem... szczurem, który zastrzelił mi brata - szepnął Todd, zachichotał i znów pociągnął za spust winchestera.

Strzelił tak jeszcze pięć razy, ale suchy trzask iglicy niszczył złudzenie każdego „trafienia”. Potem schował karabin do futerału. Wszedł na górę, nisko pochylony, żeby go nie zauważyli. Położył futerał na tylnym siedzeniu porsche. Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Pojechał do domu. Poszedł do swojego pokoju. Onanizował się.

Włóczęga nosił podarty, wystrzępiony sweter z wielbłądziej wełny, który w południowej Kalifornii wyglądał tak dziwacznie, że prawie surrealistycznie. Ponadto miał na sobie niebieskie dżinsy podarte na kolanach, ukazujące białe, owłosione ciało i liczne strupy. Podniósł słoik po galaretkę - Fred, Wilma, Barney i Betty płasali wokół brzegu w jakimś groteskowym tańcu płodności - i jednym haustem przełknął porcję burbona. Po raz ostatni na tym świecie oblizał wargi.

- Mister, to dobrze wchodzi. Nie ma co mówić.

- Zawsze wypijam drinka wieczorem - przytaknął Dussander za jego plecami, a potem wbił rzeźnicki nóż w kark włóczęgi. Rozległ się dźwięk rozcinanej chrząstki, odgłos przypominający energiczne usuwanie kości ze świeżo upieczonego kurczaka. Słoik wypadł z dłoni pijaka na stół. Potoczył się po blacie, a ten ruch pogłębił złudzenie, że namalowane na nim postacie z kreskówek tańczą.

Włóczęga odchylił głowę w tył i usiłował krzyknąć, jednak z gardła wydobył się tylko odrażający świst. Jego oczy rozszerzyły się, rozszerzyły... a potem głowa opadła bezwładnie na czerwono-białą ceratę okrywającą kuchenny stół Dussandera. Górna część sztucznej szczęki wysunęła się z ust zabitego w upiornym uśmiechu.

Dussander wyrwał nóż z rany - musiał zrobić to oburącz i podszedł do kuchennego zlewu. W gorącej wodzie z detergentem o zapachu świeżej cytryny moczyły się brudne naczynia. Nóż zniknął w kłębach pachnących cytryną banieczek, jak maleńki myśliwiec wpadający w chmurę.

Dussander wrócił do stołu i przystanął, opierając rękę na ramieniu zabitego włóczęgi, zanosząc się kaszlem. Z tylnej kieszeni spodni wyjął chusteczkę i wypluł w nią żółtawobrazową flegmę. Ostatnio za dużo palił. Zawsze tak było, kiedy postanawiał załatwić następnego. Tym razem poszło gładko; naprawdę bardzo gładko. Po bałaganie, jakiego narobił ostatnio, obawiał się, że kusi los, próbując ponownie.

Teraz, jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze obejrzeć drugą połowę Lawrence'a Welka.

Poczłapał przez kuchnię, otworzył drzwi piwnicy i włączył światło. Wrócił do zlewu i z szafki pod nim wyjął paczkę zielonych plastikowych worków na śmieci. Otworzył jeden, podchodząc do zabitego pijaka. Krew rozlewała się na wszystkie strony po ceracie. Spływała na podolek trupa i na pofałdowane, wyblakłe linoleum. Zaleje również krzesło, ale to wszystko da się wyczyścić.

Dussander złapał pijaka za włosy i pociągnął. Bezwładne ciało poddało się bez oporu i po chwili pijak leżał z głową odchyloną w tył, jak człowiek czekający na mycie

głowy przed stryżeniem. Dussander naciągnął worek na głowę i ramiona ofiary, ściągając go aż do łokci. Rozpiął pasek gościa i wyciągnął go z postrzępionych szlufek spodni. Owinął pasek wokół worka na śmieci, pięć lub sześć centymetrów nad łokciami i zacisnął. Plastik zaszeleścił. Dussander zaczął nucić pod nosem.

Włóczęga miał na nogach dziurawe i brudne tenisówki. Jego stopy ułożyły się w bezwładne „V”, gdy Dussander złapał za pasek i pociągnął zwłoki w kierunku drzwi piwnicy. Coś białego wypadło z worka i ze szczękiem uderzyło o podłogę. Dussander zobaczył, że to górna szczeka włóczęgi. Podniósł ją i wepchnął pijakowi do kieszeni.

Położył włóczęgę w drzwiach piwnicy, tak żeby odchylona głowa spoczywała na drugim stopniu schodów. Potem stanął nad trupem i wymierzył mu trzy silne kopniaki. Pierwsze dwa przesunęły ciało dalej, a trzeci sprawił, że bezwładnie stoczyło się po schodach. W połowie drogi nakryło się nogami, po czym wykonało akrobatyczne salto. Z głuchym łomotem runęło twarzą w dół na ubitą ziemię piwnicznej podłogi. Jedna tenisówka spadła i Dussander zanotował w myślach, że musi ją podnieść.

Zszedł na dół, ominął ciało i podszedł do stołu z narzędziami. Po jego lewej stronie, równo ustawione, opierały się o ścianę grabie, łopata i kilof. Dussander wziął szpadel. Trochę wysiłku dobrze zrobi staremu człowiekowi. Odrobina wysiłku i człowiek znów czuje się młody.

Zapach nie był najprzyjemniejszy, ale to mu nie przeszkadzało. Raz na miesiąc białiał wapnem to pomieszczenie (i zawsze trzy dni po załatwieniu kolejnego pijaka), a ponadto na górze zainstalował wentylator, który nie dopuszczał, by zapach rozchodził się po domu w ciepłe dni. Pamiętał, jak Josef Kramer powtarzał, że martwi mówią, ale słuchamy ich nosem.

Dussander wybrał miejsce w północnym kącie piwnicy i zaczął kopać. Grób miał dwie i pół stopy szerokości i sześć stóp długości. Dussander wkopał się na dwie stopy - zaledwie połowę głębokości - gdy nagły ból, jak strzał z dubeltówki, przeszył mu klatkę piersiową. Wyprostował się, szeroko otwierając oczy. Potem poczuł ból w ramieniu... niewiarygodny ból, jakby niewidzialna ręka zacisnęła wszystkie naczynia krwionośne i wrywała je z ciała. Zobaczył, że łopata wypada mu z ręki i uginają się pod nim kolana. Przez jedną okropną chwilę był przekonany, że zaraz sam wpadnie do grobu.

Jakoś udało mu się zrobić trzy chwiejne kroki w tył i bezsilnie opaść na stół. Na twarzy miał głupawy wyraz zdziwienia czuł to - i pomyślał, że zapewne wygląda jak

jeden z tych komików z niemych filmów w chwilę po uderzeniu o wahadłowe drzwi lub wdepnięciu w krowi placek. Opuścił głowę między kolana i łapał oddech.

Minął kwadrans. Ból powoli ustępował, jednak Dussander nie wierzył, że zdoła ustać na nogach. Po raz pierwszy zrozumiał wszystkie udręki starości, jakich dotychczas uniknął. Był tak przerażony, że miał ochotę wyć. W tej wilgotnej, śmierdzącej piwnicy dotknęła go śmierć; musnęła Dussandera krajem swej szaty. Jeszcze mogła po niego wrócić. Jednak nie umrze tutaj; na pewno nie, dopóki może jeszcze się ruszać.

Wstał, ściskając rękami pierś, jakby usiłował utrzymać w całości rozsypującą się maszynę. Chwiejnie przeszedł między trupem a stołem warsztatowym. Lewą stopą potknął się o wyciągnięte nogi pijaka i z cichym jękiem upadł na kolana. W piersi poczuł tępy ból. Popatrzył na schody - strome, wysokie schody. Dwanaście stopni. Prostokąt światła był drwiąco odległy.

- *Ein* - powiedział Dussander i zaciskając zęby, wszedł na pierwszy stopień. - *Zwei, drei, vier.*

Dotarcie do wyłożonej linoleum kuchennej podłogi zajęło mu dwadzieścia minut. Dwukrotnie ból próbował wrócić i za każdym razem Dussander z zamkniętymi oczami czekał, co się stanie, doskonale świadomy tego, że jeśli atak będzie równie silny jak za pierwszym razem, prawdopodobnie go zabije. Jednak za każdym razem ból powoli mijał.

Poczołgał się po podłodze do stołu, omijając kałuże i strumyki krwi, która już zaczynała krzepnąć. Chwyił butelkę Ancient Age, pociągnął łyk i zamknął oczy. Mocny ucisk w piersi jakby trochę ustąpił. Ból osłabł. Po kolejnych pięciu minutach Dussander powoli ruszył korytarzem. Telefon stał na stolyczku w połowie przedpokoju.

Był kwadrans po dziewiątej, gdy zadzwonił telefon w domu Bowdenów. Todd siedział ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, przeglądając notatki przed końcowym egzaminem z trygonometrii. Z trygonometrii, tak jak z każdej innej dziedziny matematyki, był i pewnie zawsze będzie kiepski. Jego ojciec siedział w drugim końcu pokoju, sprawdzając kopie czeków, z kieszonkowym kalkulatorem na kolanach i lekko niedowierzającym wyrazem twarzy. Monica, siedząca najbliżej telefonu, oglądała film z Jamesem Bondem, który Todd nagrał dwa dni wcześniej.

- Halo? - Słuchała chwilę. Lekko zmarszczyła brwi i podała słuchawkę Toddowi.

- To pan Denker. Jest dziwnie wzburzony albo zdenerwowany.

Toddowi serce podeszło do gardła, ale zdołał zachować obojętną minę - Naprawdę? - Podeszedł do telefonu i wziął od niej słuchawkę. - Cześć, panie Denker.

Dussander mówił ochryplym i urywanym głosem.

- Przyjeżdżaj tu zaraz, chłopcze. Miałem atak serca. Zdaje się, że poważny.

- O rany - rzekł Todd, usiłując zebrać rozbiegane myśli, opanować strach, który odbierał mu rozum. - To bardzo ciekawe, naprawdę, ale jest dość późno i uczę się do...

- Rozumiem, że nie możesz swobodnie mówić - rzekł Dussander ochryplym, prawie szczekliwym głosem - ale słuchaj. Nie mogę wezwać ambulansu ani zadzwonić na dwa-dwa-dwa, chłopcze... przynajmniej nie teraz. Mam tu bałagan. Potrzebuję pomocy... a to oznacza, że ty potrzebujesz pomocy.

- No cóż... jeśli tak... - Serce Todda przyspieszyło do stu dwudziestu uderzeń na minutę, ale jego twarz pozostała nieruchoma, niemal uduchowiona. Czyż nie wiedział, że kiedyś nadejdzie taka noc? Tak, pewnie, że wiedział.

- Powiedz rodzicom, że dostałem list - rzekł Dussander. - Ważny list. Rozumiesz?

- Tak, dobrze - odparł Todd.

- Zobaczymy, chłopcze. Zobaczymy, z czego jesteś stworzony.

- Jasne - rzekł Todd. Nagle zauważył, że matka patrzy na niego, zamiast oglądać film, więc przywołał na usta wymuszony uśmiech. - Na razie.

Dussander chciał powiedzieć jeszcze coś, ale Todd odłożył słuchawkę.

- Wpadnę na chwilę do pana Denkera - powiedział, mówiąc do nich obojga, ale patrząc tylko na matkę - wciąż miała lekko zatroskany wyraz twarzy. - Mam wam coś kupić po drodze?

- Dla mnie wyciorki do fajki, a dla twojej matki trochę odpowiedzialności finansowej - odparł Dick.

- Bardzo zabawne - powiedziała Monica. - Todd, czy pan Denker...

- Co, u Boga ojca, kupiłeś u Fieldinga? - przerwał jej Dick.

- Tę półkę na fatalaszki w garderobie. Mówiłam ci. Czy u pana Denkera wszystko w porządku, Todd? Miał dziwny głos.

- To naprawdę istnieje coś takiego jak półka na fatalaszki? Zawsze myślałem, że wymyślają to te stuknięte kobiety, które piszą angielskie kryminały, żeby morderca miał gdzie znaleźć jakieś tępe narzędzie.

- Dick, czy ja mogę powiedzieć słowo?

- Jasne. Proszę bardzo. Ale w garderobie?

- Chyba nic mu nie jest - rzekł Todd. Włożył wiatrówkę i zasunął zamek. - Jednak naprawdę był wzburzony. Dostał list od siostrzeńca z Hamburga, Dusseldorfu, czy skądś. Od lat nie miał żadnych wiadomości od swoich krewnych, a teraz nadszedł ten list i nawet nie może go przeczytać.

- No, czy to nie dopust boży - mruknął Dick. - Idź, Todd. Skocz tam i uspokój staruszką.

- Myślałam, że ma kogoś, kto mu czyta - powiedziała Monica. - Jakiegoś nowego chłopca.

- Ma - rzekł Todd, nagle nienawidząc matki, nienawidząc tego intuicyjnego niedowierzania, jakie dostrzegł w jej oczach. - Może nie ma go w domu, a może nie mógł przyjść tak późno.

- Och. No cóż... jedź. Tylko uważaj.

- Będę. Nie potrzebujecie niczego ze sklepu?

- Nie. Jak ci idą przygotowania do ostatniego egzaminu z arytmetyki?

- Z trygonometrii - poprawił Todd. - Chyba dobrze. Miałem zamiar przesiedzieć dziś cały wieczór.

To było bezczelnym kłamstwem.

- Chcesz wziąć mojego porsche? - spytał Dick.

- Nie, pojedę na rowerze.

Potrzebował jeszcze pięciu minut, żeby zebrać myśli i opanować emocje - a przynajmniej spróbować. A w swoim obecnym stanie zapewne wjechałby w pierwszy słup telefoniczny.

- Przyczep sobie do kolana opaskę odblaskową - powiedziała Monica - i pozdrów od nas pana Denkera.

- Dobrze.

Powątpiewanie wciąż pozostało w jej oczach, jednak teraz mniej widoczne. Posłał jej pocałunek, a potem poszedł do garażu, gdzie stał jego rower - włoska wyścigówka, a nie stary schwinn. Serce nadal waliło mu w piersi; miał szaloną ochotę wrócić z winchesterem do domu, zastrzelić oboje rodziców, a potem pojechać na skarpę nad autostradą. Koniec z martwieniem się o Dussandera. Koniec z koszmarami, koniec z pijakami. Strzelałby i strzelał, a ostatnią kulę zostawiłby dla siebie.

Potem odzyskał zdrowy rozsądek i pojechał do Dussandera; migocząc opaską

odblaskową poruszającą się w górę i w dół, powiewając długimi jasnymi włosami.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Todd.

Przystanął w drzwiach kuchni. Dussander ciężko opierał się na łokciach, między którymi stała szklaneczka burbona. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu. Jednak Todd nie patrzył na Dussandera. Patrzył na krew. Wydawało się, że krew jest wszędzie - na stole, na pustym kuchennym krześle, na podłodze.

- Skąd krwawisz?! - krzyknął Todd, w końcu zmuszając zdrętwiałe nogi do ruchu; wydawało mu się, że stał w tym progu przynajmniej tysiąc lat. To koniec, myślał, to naprawdę koniec wszystkiego. Wyszło szydło z worka, mały, wyszło i już, mały, i koniec z tobą. Mimo to przezornie omijał kałuże krwi. - Myślałem, że masz atak serca, kurwa!

- To nie moja krew - wymamrotał Dussander.

- Co? - Todd znieruchomiał. - Co powiedziałeś?

- Zejdź na dół. Zobaczysz, co trzeba zrobić.

- A cóż to takiego, do diabła? - zapytał Todd. Nagle przysłała mu do głowy straszliwa myśl.

- Nie trać czasu, chłopcze. Myślę, że nie zdziwi cię zbyt to, co znajdziesz na dole. Myślę, że masz doświadczenie w takich sprawach jak ta. Doświadczenie z pierwszej ręki.

Todd spoglądał na niego z niedowierzaniem jeszcze przez chwilę, a potem rzucił się do piwnicy, przeskakując po dwa stopnie naraz. W słabym, żółtawym świetle jedynej żarówki na pierwszy rzut oka uznał, że Dussander ściągnął tam worek śmieci. Potem zobaczył wystające nogi i brudne ręce przyciśnięte do boków skórzanym paskiem.

- Jezu Chryste - powtórzył, lecz tym razem te słowa nie miały już takiej siły; wyszły jako cichy, zduszony szept.

Przycisnął grzbiet dłoni do ust suchych jak papier ścierny. Na moment zamknął oczy... a kiedy znowu je otworzył, przynajmniej panował nad sobą.

Wziął się do pracy.

Dostrzegł rączkę szpadla wystającą z płytkiego grobu w odległym kącie piwnicy i natychmiast zrozumiał, co robił Dussander, kiedy wysiadła mu pikawa. W chwilę później w pełni zdał sobie sprawę z tego, że w piwnicy unosi się nieprzyjemny zapach przypominający smród gnijących pomidorów. Oczywiście, czuł go już nieraz, ale na

górze ten zapach był znacznie słabszy a ponadto przez kilka ostatnich lat Todd nie zachodził tu już tak często. Teraz zrozumiał, co to za zapach, i przez chwilę walczył z mdłościami. Wydał szereg urywanych dźwięków, stłumionych przez dłoń, którą zacisnął sobie usta i nos.

Powoli opanował rozdygotane nerwy.

Złapał pijaka za nogi i zawłókł na skraj dziury. Puścił ciało, nasadą lewej dłoni otarł pot z czoła i przez moment stał w kompletnym bezruchu, myśląc intensywniej niż kiedykolwiek w życiu.

Potem chwycił szpadel i zaczął pogłębiać otwór. Kiedy grób miał pięć stóp głębokości, Todd wyszedł z niego i nogą strącił zwłoki. Potem stanął na krawędzi otworu, spoglądając na nie. Podarte dżinsy. Brudne, pokryte strupami dłonie. Włóczęga, a jakże. To było niemal zabawne. Tak zabawne, że można było ryczeć ze śmiechu.

Wbiegł na górę.

- Jak się czujesz? - zapytał Dussandera.

- Nic mi nie będzie. Zająłeś się tym?

- Robię to, no nie?

- Pospiesz się. Jeszcze jest góra.

- Chciałbym znaleźć kilka świń i rzucić im cię na pożarcie - rzekł Todd i zszedł do piwnicy, zanim Dussander zdążył odpowiedzieć.

Niemal całkiem zasypał pijaka, kiedy zaczęło mu się wydawać, że coś jest nie tak. Zajrzał do grobu, trzymając w jednej ręce łopatę. Nogi menela częściowo wystawały ze wzgórką ziemi, tak samo jak końce jego stóp - jedna w starej tenisówce, a druga w brudnej skarpetce, która mogła być biała za prezydentury Tafta.

Jedna tenisówka... Jedna?

Todd obiegł piec i stanął u podnóża schodów. Szybko rozejrzał się wokół. W skroniach narastał ból, tępe uderzenia rozwalające czaszkę. Pięć stóp dalej dostrzegł but, leżący do góry podeszwą w cieniu pustego regału. Todd złapał go, biegiem wrócił go grobu i wrzucił do niego tenisówkę. Potem znów chwycił za łopatę. Zakopał but, nogi, wszystko.

Kiedy całkiem zasypał otwór, ubił luźną ziemię łopatą. Później złapał grabie i zaczął grabić, usiłując ukryć fakt, że podłoga w tym miejscu była przekopywana. Daremnie; bez dobrego maskowania świeżo wykopana i zasypana dziura zawsze wygląda na świeżo wykopaną i zasypaną dziurę. Jednak nikt tutaj nie będzie zaglądał,

no nie? A przynajmniej taką cholerną nadzieję muszą mieć obaj - on i Dussander.

Todd wbiegł na górę. Zaczął dyszeć.

Dussander szerzej rozstawił łokcie, a głowa opadła mu prawie na stół. Oczy miał zamknięte, powieki lśniące i purpurowe barwy astrów.

- Dussanderze! - wrzasnął Todd. W ustach czuł mocny, kwaśny smak - smak strachu zmieszanego z adrenaliną i gorącym pulsowaniem krwi. - Nie waż mi się umierać, stary pierdoło!

- Nie drzyj się tak - powiedział Dussander, nie otwierając oczu. - Usłyszysz cię cała dzielnica.

- Gdzie masz jakiś płyn do zmywania? Lestoil, Top Job... coś takiego. I szmaty. Potrzebne mi szmaty.

- Wszystko jest pod zlewem.

Sporo krwi zdążyło już zaschnąć. Dussander uniósł głowę i patrzył, jak Todd klęczy na podłodze, najpierw szorując kałużę na linoleum, a potem strużki oplatające nogi krzesła, na którym siedział pijak. Chłopak z obrzydzeniem przygryzał wargi, ścierając plamy jak placki końskiego łajna. Wreszcie skończył. Ostry zapach detergentu wypełnił pomieszczenie.

- Pod schodami jest pudło ze starymi szmatami - rzekł Dussander. - Włóż te zakrwawione na samo dno. Nie zapomnij umyć rąk.

- Nie potrzebuję twoich cholernych rad. To ty mnie w to wpakowałeś.

- Naprawdę? Muszę powiedzieć, że dobrze to znosisz.

Przez moment w głosie Dussandera pojawił się dawny drwiący ton, ale zaraz jego twarz wykrzywił grymas bólu.

- Pospiesz się.

Todd schował szmaty, a potem jeszcze raz podbiegł do piwnicznych schodów. Przez chwilę nerwowo spoglądał w dół, po czym zgasił światło i zamknął drzwi. Podszedł do zlewu, zakasał rękawy i puścił najgorętszą wodę, jaką mógł znieść. Zanurzył dłonie w pianę... i wyjął kuchenny nóż, którym wcześniej posłużył się Dussander.

- Chciałbym poderżnąć ci nim gardło - powiedział ponuro Todd.

- Tak, a potem rzucić mnie świniom na pożarcie. Nie mam co do tego wątpliwości.

Todd umył nóż, wytarł go i odłożył. Szybko zmył resztę naczyń, wypuścił wodę i umył zlew. Wycierając ręce, spojrział na zegarek i stwierdził, że jest dwadzieścia po

dziesiątej.

Podszedł do telefonu w holu, podniósł słuchawkę i spojrzał na nią w zadumie. Miał nieprzyjemne wrażenie, że zapomniał o czymś - o czymś równie niebezpiecznym jak tenisówka pijaka. O czym? Nie wiedział. Gdyby nie ból głowy, może zdołałby sobie przypomnieć. Po trzykroć przeklęty ból głowy. Takie zapominanie o czymś było niepodobne do niego i groźne.

Wykręcił 222 i po pierwszym dzwonku odpowiedział mu głos:

- Pogotowie Santo Donato. Czy ktoś potrzebuje pomocy?

- Nazywam się Todd Bowden. Jestem przy Claremont Street dziewięćset sześćdziesiąt trzy. Potrzebna jest karetka.

- W czym problem, synu?

- To mój znajomy, pan D... - Przygryzł wargę tak mocno, że pocięła z niej krew, i na moment zamilkł, zatonął w falach bólu pulsującego w głowie. Dussander. O mało co, a podałby anonimowemu rozmówcy prawdziwe nazwisko starego.

- Uspokój się, synu - powiedział głos. - Mów powoli, a wszystko będzie dobrze.

- Mój znajomy, pan Denker - rzekł Todd. - Myślę, że ma atak serca.

- Objawy?

Todd zaczął je opisywać, lecz tamtemu wystarczyło, gdy usłyszał o bólu w piersi, promieniującym do ramienia. Obiecał Toddowi, że ambulans przyjedzie za dziesięć do dwudziestu minut, zależnie od ruchu na ulicach. Todd rozłączył się i przycisnął dłonie do oczu.

- Wezwalesz? - zawołał słabo Dussander.

- Tak! - wrzasnął Todd. - Tak, wezwałem go! Tak, cholera, tak! Tak, tak, tak!

Zamknij się!

Jeszcze mocniej przycisnął dłonie do oczu, tworząc pierwsze gwiazdki, a potem kurtynę jaskrawej czerwieni. Weź się w garść, Todd-dziecino. Opanuj się, uspokój, działaj. No, już.

Otworzył oczy i znów chwycił słuchawkę. Teraz trudniejsza część. Czas zadzwonić do domu.

- Halo? - Usłyszał tuż przy uchu łagodny, kulturalny głos Moniki. Przez moment - tylko przez moment - wyobraził sobie, jak wbija jej lufę winchestera w nos i pociąga za spust.

- Tu Todd, mamusiu. Daj mi tatę, szybko.

Już od dawna nie nazywał jej mamusią. Wiedział, że w ten sposób najlepiej

zasygnalizuje jej powagę sytuacji.

- Co się stało, Todd? Coś nie w porządku?

- Daj mi go do telefonu!

- Ale co...

W słuchawce zatrzeszczało i zadudniło. Usłyszał, jak matka mówi coś do ojca. Todd przygotował się.

- To pan Denker, tato. On... to chyba atak serca. Jestem pewny, że tak.

- Jezu! - Głos ojca ucichł na chwilę i Todd usłyszał, jak powtarza tę wiadomość żonie. Potem znów zwrócił się do niego: - Jeszcze żyje? Możesz to stwierdzić?

- Żyje. Jest przytomny.

- W porządku, Bogu dzięki. Wezwij karetkę.

- Już to zrobiłem.

- Dwa-dwa-dwa?

- Tak.

- Dobry chłopiec. Jak myślisz, źle z nim?

- Nie wiem, tato. Powiedzieli, że ambulans zaraz tu będzie, ale... trochę się boję. Możesz tu przyjechać i poczekać ze mną?

- Jasne. Daj mi cztery minuty.

Todd słyszał, jak matka jeszcze coś mówi, ale ojciec rzucił słuchawkę, przerywając połączenie. Todd też odłożył swoją.

Cztery minuty.

Cztery minuty na zrobienie wszystkiego, czego nie zrobił. Cztery minuty, żeby przypomnieć sobie to coś, o czym zapomniał. Czy rzeczywiście zapomniał o czymś? Może to tylko nerwy. Boże, gdyby nie musiał dzwonić do ojca. Jednak to było zupełnie oczywiste w takiej sytuacji, no nie? Pewnie. A czego oczywistego nie zrobił? Coś...

- Och, ty kurzy mózdzku! - wykrzyknął nagle i pomknął z powrotem do kuchni. Dussander oparł głowę o stół, oczy miał na wpół przymknięte, mętne.

- Dussanderze! - krzyknął Todd. Mocno potrząsnął starcem, a ten jęknął. - Obudź się! Obudź się, śmierdzący stary draniu!

- Co? Jest już karetka?

- List! Mój ojciec przyjedzie, będzie tu zaraz. Gdzie jest ten pierdolony list?

- Jaki... jaki list?

- Powiedziałeś mi, że dostałeś ważny list. Mówiłem im... zamarł ze strachu. - Mówiłem im, że dostałeś list zza oceanu. Z Niemiec. Chryste!

Todd wbił palce we włosy.

- List. - Dussander z trudem, powoli podniósł głowę.

Jego pobrużdzone policzki miały niezdrowy, żółtawobiały kolor, wargi miał sine. - Chyba od Williego. Willi Frankel. Drogi... drogi Willi.

Todd spojrział na zegarek i zobaczył, że minęły już dwie minuty od chwili, gdy odłożył słuchawkę. Ojciec nie przyjedzie, nie może dojechać do Dussandera w cztery minuty, ale porsche będzie tu bardzo szybko. Szybko, o to chodzi. Wszystko działo się zbyt szybko. I jeszcze coś było nie tak; czuł to. Jednak nie miał czasu, aby przystanąć i poszukać tej luki.

- Dobra, w porządku, czytałem ci go, a ty z wrażenia dostałeś ataku serca. Dobrze. Gdzie on jest?

Dussander spojrział na niego pustym wzrokiem.

- List! Gdzie on jest?

- Jaki list? - wybełkotał Dussander i Todda zaswędziały ręce, żeby zadusić tego starego, zapijaczonego potwora.

- Ten, który ci czytałem! Ten od Williego! Gdzie on jest?

Obaj spojrzeli na stół, jakby myśleli, że list zmaterializuje się na nim.

- Na górze - powiedział w końcu Dussander. - Zajrzyj do komody. Trzecia szuflada. Na dnie znajdziesz drewniane pudełko. Będziesz musiał je rozbić. Zgubiłem klucz dawno temu. Jest tam kilka bardzo starych listów od mojego dobrego przyjaciela. Nie podpisane. Bez dat. Wszystkie po niemiecku.

Strona czy dwie wystarczą za atrapę, jak tu powiadacie. Jeśli się pospieszysz...

- Zwariowałeś? - wściekł się Todd. - Nie znam niemieckiego! Jak mogłem ci czytać list napisany po niemiecku, ty tępy pierdoło?

- A dlaczego Willi miałby pisać do mnie po angielsku? - odparł ze znużeniem Dussander. - Gdybyś czytał mi list napisany po niemiecku, ja zrozumiałbym go. Oczywiście, twoja wymowa byłaby okropna, ale mimo to...

Dussander miał rację - znowu - a Todd nie czekał, aż skończy mówić. Nawet mając atak serca, stary wyprzedzał go o krok. Todd przebiegł przez hol ku schodom, przystając po drodze przy frontowych drzwiach, żeby sprawdzić, czy samochód ojca nie podjeżdża już pod drzwi. Nie było go, lecz zegarek wskazywał, że nie zostało mu wiele czasu: upłynęło już pięć minut.

Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę i wpadł do sypialni Dussandera. Nigdy przedtem tu nie był, nawet nie miał na to ochoty, więc przez moment tylko

rozglądał się po nieznanym terenie. Potem ujrzał komodę, tandetny mebel w stylu, jaki ojciec Todda nazywał „współczesną przeceną”. Opadł przed nią na kolana i pociągnął za trzecią szufladę. Wysunęła się do połowy, a potem przekrzywiła się i utknęła.

- Niech cię szlag - szepnął. Twarz miał trupio bladą, oprócz dwóch ciemnych, krwistych plam na policzkach i niebieskich oczu, które teraz były ciemne jak burzowe chmury nad Atlantykiem. - Niech cię szlag, cholera, wychodź!

Pociągnął tak silnie, że cała komoda zachwiała się i prawie upadła na niego. Szuflada wysunęła się i wylądowała mu na podolku. Wokół rozsypały się skarpetki, bielizna i chusteczki Dussandera. Grzebiąc w tym, co pozostało w szufladzie, znalazł drewnianą kasetkę o rozmiarach dziewięć cali na trzy. Spróbował podnieść wieczko. Nic. Było zamknięte, tak jak zapowiadał Dussander. Tego wieczoru nic nie szło gładko.

Wepchnął rozsypane rzeczy do szuflady i wsunął ją z powrotem. Znowu utknęła. Todd usiłował ją poruszyć, szarpiąc ją tam i z powrotem, aż pot spływał mu po twarzy. Wreszcie zdołał ją zamknąć. Wstał, trzymając kasetkę, ile minęło czasu?

Łóżko Dussandera miało słupki. Todd z całej siły uderzył pudełkiem o jeden z nich, krzywiąc się z bólu, który przeszył mu dłonie, sięgając aż do łokci. Spojrzał na zamek. Był lekko wgięty, ale nietknięty. Znów uderzył nim o słupek, tym razem jeszcze silniej, nie bacząc na ból. Ze słupka odłupała się drzazga, lecz zamek wciąż trzymał. Todd zaśmiał się skrzekliwie i podszedł do drugiego słupka. Podniósł kasetkę nad głowę i szybko opuścił, wkładając w uderzenie wszystkie siły. Tym razem zamek puścił.

Kiedy Todd podniósł wieczko, po oknie przesunęły się smugi reflektorów.

Gorączkowo przerzucał papiery. Pocztaówki. Medalionik. Wyblakłe zdjęcie kobiety mającej na sobie frywolne czarne podwiązki i nic więcej. Stary portfel. Kilka zestawów dokumentów. Pusta skórzana okładka na paszport. Na samym spodzie, listy.

Światła pojaśniały i słyszał już wyraźnie pomruk silnika porsche. Coraz głośniejszy... nagle ucichł.

Todd złapał trzy kartki papieru listowego, gęsto zapisane z obu stron i znów wybiegł z pokoju. Był już prawie na schodach, gdy uświadomił sobie, że zostawił rozbite pudełko na łóżku Dussandera. Pobiegnął z powrotem, złapał je i otworzył trzecią szufladę komody.

Znów zacięła się, tym razem z piskiem drewna trącego o drewno.

Przed domem rozległ się chrzęst ręcznego hamulca, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek.

Todd usłyszał swój własny jęk. Włożył kasetkę do uchylonej szuflady, wstał i kopnął. Szuflada zamknęła się. Przez moment stał, mierząc ją wzrokiem, a potem śmignął w kierunku holu.

Biegł po schodach. Był w połowie drogi na dół, gdy usłyszał odgłos kroków na podjeździe. Todd przeskoczył poręcz, wylądował w przedsionku i wpadł do kuchni, trzymając w dłoni trzepoczące kartki.

Łomotanie do drzwi.

- Todd? Todd, to ja!

W oddali słyszał też wycie syreny. Dussander znów był półprzytomny.

- Już idę, tato! - krzyknął Todd.

Położył kartki na stole, lekko rozsuwając je, jakby zostały upuszczone w pośpiechu, a potem poszedł korytarzem i wpuścił ojca.

- Gdzie on jest? - zapytał Dick Bowden, przeciskając się obok syna.

- W kuchni.

- Zrobiłeś wszystko tak, jak należy, Todd - orzekł ojciec i uściśnął go niezgrabnie, zmieszany.

- Mam nadzieję, że pamiętałem o wszystkim - powiedział skromnie Todd, a potem poszedł za ojcem do kuchni.

W pośpiechu, z jakim wynoszono Dussandera z domu, prawie zapomniano o listach. Ojciec Todda podniósł je, ale zaraz odłożył, bo właśnie weszli sanitariusze z noszami. Todd i jego ojciec pojechali za karetką do szpitala, gdzie lekarz, który zajął się Dussanderem, bez żadnych pytań wysłuchał ich wersji przebiegu zdarzeń. W końcu „pan Denker” ma osiemdziesiąt lat i prowadzi niezbyt zdrowy tryb życia. Lekarz zwięźle pochwalił Todda za szybkie myślenie i działanie. Todd podziękował mu obojętnie i zapytał ojca, czy mogą wracać do domu.

Kiedy jechali z powrotem, Dick ponownie powiedział mu, że jest z niego dumny. Todd ledwie go słyszał. Znów myślał o swoim winchesterze.

Właśnie tego dnia Morris Heisel przetrącił sobie krzyż.

Morris wcale tego nie chciał; przybijał rynnę do zachodniego narożnika domu. Nie miał pojęcia, że uszkodzi sobie kręgosłup; dość miał w życiu zmartwień, dziękuję bardzo. Jego pierwsza żona umarła w wieku dwudziestu pięciu lat, a obie ich córki również nie żyły. Brat zginął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, w tragicznym wypadku samochodowym niedaleko Disneylandu. Morris zbliżał się do sześćdziesiątki i cierpiał na artretyzm, który rozwijał się wcześniej i szybko. Miał także brodawki na obu rękach, brodawki, które zdawały się odrastać równie szybko, jak wypalał je lekarz. Ponadto miał skłonności do migren, a w ciągu ostatnich lat ten *potzer* Rogan z sąsiedztwa zaczął nazywać go Kotem Morrisem. Morris głośno pytał Lydię, swoją drugą żonę, czy Roganowi podobałoby się, gdyby Morris zaczął nazywać go Roganem Hemoroidem.

- Daj spokój, Morris - powiedziała kiedyś Lydia. Nie znasz się na żartach, nigdy nie znalazłeś się na żartach, czasem zastanawiam się, jak mogłam wyjść za człowieka tak całkowicie pozbawionego poczucia humoru. Jedziemy do Las Vegas - ciągnęła Lydia, zwracając się do pustej kuchni, jakby stał tam tłum niewidocznych dla nikogo oprócz niej widzów - oglądamy występ Buddy'ego Hacketta, a Morris nie uśmiecha się ani razu.

Oprócz artretyzmu, brodawek i migren, Morris ma także Lydię, która - Bóg z nią - stała się okropnie dokuczliwa przez ostatnie pięć lat... od czasu usunięcia macicy. Tak więc miał mnóstwo kłopotów i problemów nawet bez przetrąconego krzyża.

- Morris! - zawołała Lydia, podchodząc do tylnych drzwi i ocierając pianę z rąk ścierką do naczyń. - Morris, natychmiast złaź z tej drabiny!

- Co? - Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Wszedł już prawie na sam szczyt aluminiowej drabiny. Na ostatnim szczebelku była jasnożółta naklejka z napisem: UWAGA! POWYŻEJ MOŻNA NAGLE STRACIĆ RÓWNOWAGĘ! Morris miał na sobie stolarski fartuch z szerokimi kieszeniami; w jednej trzymał gwoździe, a w drugiej grube haki. Ziemia pod drabiną była trochę nierówna i drabina kołysała się lekko przy każdym jego ruchu. Bolał go kark, co było niemiłym preludium do kolejnej migreny. Był w kiepskim nastroju. - No co?

- Zejdz tutaj, powiedziałam, zanim przetrącisz sobie krzyż.

- Już prawie skończyłem.

- Kołyszysz się na tej drabinie jak na łodzi, Morris. Zejdz.

- Zejdę, kiedy skończę! - rzekł ze złością. - Zostaw mnie w spokoju!

- Przetrącisz sobie krzyż - powtórzyła posępnie i wróciła do domu.

Dziesięć minut później, gdy wbijał ostatni gwóźdź, odchyłony w tył do granicy utraty równowagi, usłyszał donośne miauknięcie, a po nim przeraźliwe szczekanie.

- Co na Boga... ?

Obejrzał się i drabina zachwiała się niebezpiecznie. W tejże chwili ich kot - wabił się Kochaś, nie Morris - wypadł z za rogu garażu, z sierścią zjeżoną jak szczotka i roziskrzonymi zielonymi ślepiami. Należący do Rogana szczeniak collie ścigał go zawzięcie, z wywieszonym ozorem, wlokąc za sobą smycz.

Kochaś, najwidoczniej nie mający przesądów, przebiegł pod drabiną. Collie pognał za nim.

- Uważaj, uważaj, ty durny kundlu! - wrzasnął Morris.

Drabina zachwiała się. Szczeniak uderzył w nią barkiem. Drabina poleciała, a Morris razem z nią, wydając okrzyk przerażenia. Gwoździe i haki wysypały mu się z kieszeni. Połową ciała wylądował na cementowym podjeździe i potworny ból przeszył mu plecy. Nie tyle usłyszał, ile poczuł, jak pęka mu kręgosłup. Potem na jakiś czas wszystko zgasło.

Kiedy odzyskał przytomność, nadal leżał połową ciała na podjeździe, wśród rozsypanych gwoździ i haków. Lydia klęczała nad nim, szlochając. Rogan z sąsiedztwa również tam był, z twarzą białą jak całun.

- Mówiłam ci! - bełkotała Lydia. - Mówiłam, żebyś zszedł z tej drabiny! I popatrz! Popatrz!

Morris stwierdził, że absolutnie nie ma ochoty patrzeć. Zapierający dech, pulsujący ból ścisnął go w talii jak pas, co było paskudne, ale było coś znacznie gorszego: poniżej nie czuł zupełnie nic.

- Później połamentujesz - rzekł szorstko. - Teraz wezwij lekarza.

- Ja to zrobię - rzekł Rogan i pobiegł do domu.

- Lydia - powiedział Morris. Obliznął wargi.

- Co? Co, Morris?

Pochyliła się nad nim i łza kapnęła mu na policzek. Pewnie to wzruszające, pomyślał, ale pod wpływem niespodziewanego bodźca drgnął i zaboląło go jeszcze bardziej.

- Lydia, w dodatku mam migrenę.

- Och, mój kochany! Biedny Morris! Przecież mówiłam ci...

- Boli mnie głowa, ponieważ pies tego *potzera* Rogana szczekał całą noc i nie

dał mi spać. Dzisiaj pogonił mojego kota, stracił mnie z drabiny i chyba mam złamany krzyż.

Lydia jęknęła. Od jej krzyków pękała mu głowa.

- Lydia - powiedział i znów oblizał wargi.

- Co, kochanie?

- Podejrzywałem to od wielu lat. Teraz jestem pewien.

- Mój biedny Morrisie! Czego?

- Że nie ma Boga - powiedział Morris i zemdłał.

Zabrali go do Santo Donato i lekarz powiedział mu, mniej więcej o tej porze, kiedy zazwyczaj siedział przy jednej z tych okropnych kolacji, jakie szykowała Lydia, że już nigdy nie będzie chodził. Do tego czasu zapakowali go w gips. Pobrali próbki krwi i moczu. Doktor Kemmelman zajrzał mu w oczy i postukał w kolana gumowym młoteczką - jednak nie uzyskał odruchowego skurczu nogi. Lydia towarzyszyła mu cały czas, leżąc łyż i zużywając jedną chusteczkę po drugiej.

Lydia, kobieta, która powinna poślubić Hioba, nigdzie nie ruszała się bez zapasu koronkowych chusteczek, na wypadek gdyby trafiła się okazja do jakiegoś dłuższego płaczu. Zadzwoiła do matki, która wkrótce przyjedzie („To dobrze, Lydio” - zdołał wykrztusić Morris, chociaż jeśli kogokolwiek serdecznie nienawidził, to tylko matki Lydii). Zadzwoiła do rabina, który też niebawem się zjawi („To dobrze, Lydio”. Chociaż od pięciu lat jego noga nie powstała w synagodze i nawet nie wiedział, jak nazywa się rabin). Zadzwoiła do jego szefa i chociaż ten nie zjawi się tu niebawem, przesyła serdeczne wyrazy współczucia („To dobrze, Lydio”. - Chociaż jeśli kogoś nie znosił bardziej od matki Lydii, to tylko tego żującego cygara *putza*, Franka Haskella). W końcu dali Morrisowi valium i zabrali Lydię. Wkrótce potem Morris zapadł w sen bez lęków, migren, bez niczego. Gdyby dzięki temu mieli mu przez cały czas podawać te niebieskie pigułki, zdążył jeszcze pomyśleć, to chętnie wszedłby na drabinę i jeszcze raz złamał sobie krzyż.

Kiedy się zbudził - a raczej odzyskał przytomność - wstawał świt i w szpitalu było tak cicho, że Morrisowi wydawało się, iż nigdy w życiu nie słyszał takiej ciszy. Było spokojnie... niemal jak w niebie. Nie czuł bólu; ciało miał lekkie jak piórko. Łóżko było otoczone dziwną konstrukcją przypominającą wiewiórczą klatkę - płatanina krat z nierdzewnej stali, uchwytów i dźwigni. Połączone z tym urządzeniem przewody biegły do jego nóg. Wydawało mu się, że część tej konstrukcji podtrzymuje

jego plecy, ale nie mógł tego stwierdzić - widział to tylko kątem oka.

Inni mają gorzej, pomyślał. Na całym świecie inni mają gorzej. W Izraelu Palestyńczycy zabijają jadących autobusem farmerów, którzy popełnili przestępstwo polityczne, udając się do miasta na film. Izraelczycy odpowiadają na tę niesprawiedliwość, zrzucając bomby na Palestyńczyków i zabijając dzieci razem z terrorystami. Inni mają gorzej niż ja... wcale nie twierdzę, że jest mi dobrze, nie o to chodzi, ale inni mają gorzej.

Z trudem podniósł jedną rękę - zabolalo go przy tym, ale niezbyt mocno - i zacisnął pięść. No tak. Ręce ma sprawne. Ramiona również. I co z tego, że nie czuje ciała od pasa w dół? Na całym świecie jest pełno ludzi, którzy nic nie czują od karku. Chorych na trąd. Umierających na syfilis. Nawet w tej chwili jacyś ludzie idą po płycie lotniska i wsiadają do samolotu, który się rozbija. Nie, nie jest dobrze, ale inni mają gorzej.

A ponadto kiedyś, bardzo dawno temu, było o wiele gorzej.

Podniósł lewą rękę. Wydawała się unosić jak oderwana od ciała, przed jego oczami - chude ramię starego człowieka, z zanikającymi mięśniami. Miał na sobie szpitalną koszulę z krótkimi rękawami, więc bez trudu przeczytał wytatuowany bladym, niebieskim tuszem numer na przedramieniu. P499965214. Gorsze rzeczy, tak, bywają gorsze rzeczy od upadku z drabiny na przedmieściu, złamania sobie kręgosłupa, leżenia w czystym i sterylnym miejskim szpitalu i połykania tabletek valium, które łagodzą wszelki ból.

Były przysznice, te były znacznie gorsze. Jego pierwsza żona, Ruth, umarła w jednej z tych ich parszywych łaźni. Były rowy, które stały się grobami - kiedy zamknął oczy, wciąż widział ludzi stojących nad ziejącymi czernią rowami, wciąż słyszał salwy, wciąż pamiętał, jak padali niczym kiepskie marionetki. Były krematoria, one też były gorsze, krematoria nieustannie napełniające powietrze słodkim zapachem Żydów płonących jak pochodnie, których nikt nie widzi. Przerażone twarze starych przyjaciół i krewnych... twarze niknące jak kapiące świece, twarze zdające się znikać na twoich oczach - tak, coraz mizerniejsze i bledsze. Potem pewnego dnia zniknęły na dobre. Gdzie? A gdzie podziewa się blask pochodni, którą gasi zimny wiatr? W niebie. W piekle? Światła w mroku, świece na wietrze. Kiedy Hiob w końcu załamał się i zwątpił, Bóg spytał go: A gdzie byłeś, kiedy tworzyłem świat? Gdyby Morris Heisel był na miejscu Hioba, odparłby: A gdzie Ty byłeś, kiedy umierała moja Ruth, Ty *potzer*, Ty?! Oglądałeś mecz Jankesów z Senatorami? Jeżeli nie umiesz lepiej dbać o swój interes,

to zejdź mi z oczu.

Tak, były gorsze rzeczy od złamania kręgosłupa, nie wątpił w to. Tylko jaki Bóg pozwoliłby, żeby złamał go sobie i do końca życia został sparaliżowany człowiek, który widział śmierć swojej żony, córek i przyjaciół?

Żaden, ot co.

Łza spłynęła mu z kącika oka i potoczyła się powoli po skroni, do ucha. Na zewnątrz cicho zadzwonił dzwonek. Jakaś pielęgniarka przemknęła korytarzem, piszcząc gumowymi podeszwami butów. Drzwi na korytarz były otwarte na oścież i na przeciwległej ścianie dostrzegł litery WNEJ OPIE i odgadł, że stanowią fragment napisu ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI.

Opodał rozległ się jakiś szmer - szelest pościeli.

Morris bardzo ostrożnie obrócił głowę w prawo, tyłem do drzwi. Zobaczył nocny stolik przy swoim łóżku, a na nim bidon z wodą. Na stoliku były dwa przyciski, którymi mógł wezwać pielęgniarkę. Dalej stało drugie łóżko, a na nim leżał mężczyzna wyglądający na starszego i bardziej chorego niż Morris. Nie umieszczono go w gigantycznym fotelu inwalidzkim jak Morrisa, ale obok łóżka stała kroplówka, a przy niej jakieś urządzenie monitorujące. Skóra mężczyzny była zwiędła i żółta. Wokół ust i oczu miał głębokie bruzdy. Włosy żółtawosiwe, suche i matowe. Cienkie powieki były sinawe i błyszczące, a na wydatnym nosie Morris dostrzegł popękane naczynka świadczące o przewlekłym nadużywaniu alkoholu.

Morris odwrócił wzrok... a potem spojrział ponownie. Wstawał świt i szpital zaczynał budzić się do życia; odniósł przedziwne wrażenie, że zna swego współlokatora. Czy to możliwe? Mężczyzna wyglądał na jakieś siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu lat, a Morris nie przypominał sobie żadnego znajomego w tym wieku - oprócz matki Lydii, megiery, która czasem wydawała mu się starsza od Sfinksa, do którego była niezwykle podobna.

Może ten facet jest kimś, kogo znał w przeszłości, może nawet zanim on, Morris, przybył do Ameryki. Może. A może nie. I dlaczego mogłoby to mieć jakieś znaczenie? I czemu nagle te wspomnienia o obozie, o Patin, tak gwałtownie powróciły tej nocy, skoro zawsze usiłował - przeważnie skutecznie - trzymać je głęboko schowane w pamięci?

Nagle poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach, jakby wszedł do nawiedzonego domu, w którym roilo się od trupów i duchów. Czy to możliwe, tu i

teraz, w tym czystym szpitalu, trzydzieści lat po tym jak skończyły się te mroczne czasy?

Odwrócił wzrok od starca na sąsiednim łóżku i wkrótce znów zachciało mu się spać.

Umysł płata ci figle i sprawia, że ten człowiek wydaje ci się znajomy. Umysł usiłuje odwrócić twoją uwagę najlepiej jak umie, odwrócić ją tak samo, jak próbował odwrócić w...

Nie będzie o tym myślał. Nie pozwoli sobie na to.

Zapadając w sen, przypomniał sobie, jak przechwalał się przed Ruth (ale nie przed Lydią; nie warto było chwalić się przed Lydią; ona nie była taka jak Ruth, która zawsze uśmiechała się łagodnie, słysząc jego nieszkodliwe przechwałki):

Nigdy nie zapominam twarzy. Oto miał szansę przekonać się, czy nadal tak jest. Jeżeli naprawdę znał kiedyś tego człowieka leżącego w sąsiednim łóżku, może przypomni sobie kiedy... i gdzie.

Na krawędzi snu, przesuając się po niej tam i z powrotem, Morris pomyślał: Może znałem go w obozie.

To dopiero byłaby ironia losu - to, co nazywają „żartem Boga”.

Jakiego Boga? - znów zadał sobie pytanie Heisel i zasnął.

19

Todd ukończył szkołę jako drugi w klasie z powodu kiepskiej oceny, jaką dostał z końcowego sprawdzianu z trygonometrii, do którego przygotowywał się tej nocy, kiedy Dussander dostał ataku serca. W wyniku tego jego średnia spadła do 89 punktów i zabrakło mu jednego punktu, żeby dostać pięć minus.

Tydzień po zakończeniu roku szkolnego Bowdenowie pojechali do szpitala w Santo Donato, żeby odwiedzić pana Denkera. Todd wytrzymał piętnaście minut banałów, podziękowań i zapytań o zdrowie, po czym z ulgą przyjął zaproszenie, gdy pacjent z sąsiedniego łóżka poprosił go o chwilę rozmowy.

- Proszę wybaczyć - rzekł przepraszająco. Był w gipsie i z jakiegoś powodu podłączono go do całego systemu drutów i dźwigni. - Nazywam się Morris Heisel. Mam złamany kręgosłup.

- To niedobrze - rzekł poważnie Todd.

- Oj, niedobrze, powiada! Ten chłopak ma dar niedopowiedzeń!

Todd zaczął przeproszać, ale Heisel powstrzymał go, unosząc dłoń i uśmiechając się. Twarz miał bladą i zmęczoną, twarz każdego starca leżącego w szpitalu i czekającego na nieuniknione zmiany - z pewnością nie na lepsze. Pod tym względem, pomyślał Todd, ten gość jest podobny do Dussandera.

- Nie trzeba - rzekł Morris. - Nie trzeba odpowiadać na niegrzeczne komentarze. Jesteś obcy. Czy ktoś obcy ma się przejmować moimi kłopotami?

- Żaden człowiek nie jest wyspą... - zaczął Todd i Morris roześmiał się.

- On cytuje mi Donne'a! Sprytny dzieciak! Twój przyjaciel, bardzo z nim źle?

- No, lekarze mówią, że całkiem nieźle, zważywszy na jego wiek. Ma osiemdziesiąt lat.

- Taki stary! - wykrzyknął Morris. - Niewiele ze mną rozmawia, wiesz. Jednak z tego co mówi, zrozumiałem, że jest naturalizowanym Amerykaninem. Tak jak ja. Jestem Polakiem, wiesz. A właściwie byłem. Z Radomia.

- Ach tak? - odparł uprzejmie Todd.

- Tak. Wiesz, jak w Radomiu nazywano stary sedes?

- Nie - powiedział z uśmiechem Todd.

- Howard Johnson - rzekł Morris i roześmiał się. Todd również się zaśmiał. Dussander zerknął na nich, marszcząc brwi. Potem Monica powiedziała coś i znów popatrzył na nią. - Twój znajomy jest naturalizowany?

- Och tak - powiedział Todd. - Pochodzi z Niemiec. Z Essen. Zna pan to miasto?

- Nie - rzekł Morris. - Jednak ja tylko raz byłem w Niemczech. Zastanawiam się, czy on brał udział w wojnie.

- Nie mam pojęcia - odparł Todd, spoglądając w dal.

- Nie? No cóż, to nie ma znaczenia. To było dawno temu, tamta wojna. Za trzy lata w tym kraju pojawi się pokolenie ludzi mogących legalnie ubiegać się o prezydenturę! - i urodzonych już po wojnie. Im zapewne wydaje się, że nie ma żadnej różnicy między cudem pod Dunkierką a Hannibalem przepływającym się ze słoniami przez Alpy.

- A pan był na wojnie? - spytał Todd.

- Chyba tak, w pewnym sensie. Jesteś dobrym chłopcem, skoro odwiedzasz takiego starego człowieka... dwóch starych ludzi, licząc i mnie.

Todd uśmiechnął się skromnie.

- Jestem już zmęczony - rzekł Morris. - Chyba zasnę.

- Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej.

Morris kiwnął głową, uśmiechnął się i zamknął oczy. Todd wrócił do łóżka Dussandera, gdzie rodzice już szykowali się do wyjścia - ojciec wciąż zerkał na zegarek i napomykał, że zrobiło się strasznie późno.

Dwa dni później Todd wrócił do szpitala sam. Tym razem Morris Heisel, uwięziony w gipsie, leżał pogrążony w głębokim śnie.

- Dobrze sobie poradziłeś - rzekł cicho Dussander. Wróciłeś później do domu?

- Tak. Spaliłem ten przekłety list. Nie sądzę, żeby ktoś się nim jeszcze zainteresował, a bałem się... sam nie wiem.

Wzruszył ramionami, nie mogąc wyznać Dussanderowi, że ten list budził w nim wprost przesądny lęk - obawę, że do domu wejdzie ktoś, kto zna niemiecki i zauważy w liście wzmianki odnoszące się do wydarzeń sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat.

- Kiedy przyjdiesz znowu, przemyć mi coś do picia - powiedział Dussander. - Przekonałem się, że nie odczuwam braku papierosów, ale...

- Już nie przyjdę - odparł spokojnie Todd. - Nigdy. To koniec. Jesteśmy kwita.

- Kwita.

Dussander założył ręce na piersi i uśmiechnął się. Nie był to miły uśmiech... ale może najmiłszy, na jaki potrafił się zdobyć.

- Chyba tak było nam pisane. W przyszłym tygodniu obiecują mnie wypisać z tej kostnicy... a przynajmniej tak mówią. Lekarz powiedział, że zostało mi jeszcze kilka lat życia. Pytam go, ile, a on tylko się śmieje. Podejrzewam, że to oznacza nie więcej niż trzy, a zapewne nie więcej niż dwa. Mimo wszystko może sprawię mu niespodziankę.

Todd nic nie powiedział.

- Jednak mówiąc między nami, chłopcze, już prawie straciłem nadzieję, że doczekam końca tego wieku.

- Chcę zapytać cię o coś - rzekł Todd, mierząc go badawczym spojrzeniem. - Po to tu dziś przyszedłem. Chcę cię zapytać o coś, co wtedy powiedziałaś.

Todd zerknął przez ramię na mężczyznę w sąsiednim łóżku, a potem przysunął krzesło do łóżka Dussandera. Czuł zapach starego, suchy jak w egipskiej sali muzeum.

- Pytaj więc.

- Przy tym pijaku. Powiedziałaś, że mam doświadczenie. Z pierwszej ręki. Co to miało oznaczać?

Dussander uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czytuję gazety, chłopcze. Starzy ludzie zawsze czytają gazety, ale nie tak, jak robią to młodzi. Wiadomo, że sępy w Ameryce Południowej gromadzą się na końcach niektórych lotnisk, kiedy wieją szczególnie niebezpieczne wiatry. Wiedziałeś o tym? W taki sam sposób stary człowiek czyta gazety. Miesiąc temu w niedzielnej gazecie był artykuł. Nie na pierwszej stronie, nikt nie przejmuje się aż tak włóczęgami i alkoholikami, żeby pisać o nich na pierwszych stronach, lecz i tak był to główny artykuł w tym dziale. CZY KTOŚ ZABIJA WYRZUTKÓW W SANTO DONATO? - taki nosił tytuł. Kiepski. Agresywne dziennikarstwo. Wy, Amerykanie, jesteście z tego znani.

Todd zacisnął dłonie w pięści, kryjąc ogryzione paznokcie. Nigdy nie czytywał niedzielnych gazet, miał ciekawsze rzeczy do roboty. Oczywiście, przez tydzień po każdym z tych wydarzeń codziennie przeglądał gazety i żaden z tych włóczęgów nie pojawił się wcześniej jak na trzeciej stronie. Rozwścieczyła go myśl, że ktoś bez jego wiedzy zaczął łączyć fakty.

- W artykule wspomniano o kilku morderstwach, niezwykle brutalnych morderstwach. Ofiary zadźgane, zatłuczone na śmierć. „Nieludzkie okrucieństwo” - tak nazwał to reporter, ale znasz tych pismaków. Autor tego pożałowania godnego kawałka przyznał, że wśród tych nieszczęśliwców notuje się niezwykle wysoką śmiertelność, a w ostatnich latach w Santo Donato jest więcej ubogich niż kiedyś. Każdego roku nie wszyscy z nich umierają śmiercią naturalną czy na skutek nałogów. Często padają ofiarami morderstw. Jednak przeważnie mordercą jest jeden z towarzyszy zabitego, a motywem spór o groszową wygraną w karty lub butelkę sikacza. Zabójca zazwyczaj natychmiast przyznaje się do winy. Żałuje swego czynu. Jednak kilka ostatnich morderstw nie doczekało się wyjaśnienia. Gorzej, bo w mózgu tego agresywnego reportera - albo w tym, co uchodzi za jego mózg - zrodziły się wątpliwości związane z częstymi przypadkami zniknięć w ostatnich kilku latach. Oczywiście, przyznaje znowu, ci ludzie są zwykłymi włóczęgami. Zjawiają się i odchodzą. Jednak niektórzy z zaginionych zniknęli, nie odebrawszy czeków z opieki społecznej lub należności za prace porządkowe, które wypłacają tylko w piątki. Czy niektórzy z nich mogli paść ofiarą Mordercy Pijaków, zapytuje ten agresywny dziennikarz. Ofiarami, których nie znaleziono? Ba!

Dussander machnął ręką w powietrzu, odrzucając taką mało prawdopodobną ewentualność.

- Oczywiście, to tylko łaskotki. Dostarczyć ludziom przyjemny dreszczyk w

niedzielny poranek. Przywołuje stare strachy, zgrzebne, ale użyteczne - Kadłubowego Mordercę z Cleveland, Zodiaka, tajemniczego pana X, który zabił Czarną Dalię, Jacka Sprężystą Stopę. Takie bzdury. Jednak dało mi to do myślenia. Co ma robić stary człowiek, kiedy przyjaciel przestaje go odwiedzać?

Todd wzruszył ramionami.

- Pomyślałem: gdybym chciał pomóc temu agresywnemu dziennikarzowi, czego na pewno nie zamierzam, mógłbym wyjaśnić niektóre ze zniknięć. Nie przypadki tych zadźganych czy zatłuczonych, nie te, niech Bóg ma w opiece ich nędzne dusze, ale niektóre ze zniknięć. Ponieważ przynajmniej kilku z tych włóczęgów zniknęło w mojej piwnicy.

- Ilu ich tam leży? - zapytał cicho Todd.

- Sześciu - odparł spokojnie Dussander. - Sześciu, wliczając tego jednego, którego pomogłeś mi usunąć.

- Naprawdę jesteś świrem - rzekł Todd. Skóra pod jego oczami była biała i błyszcząca. - W pewnym momencie po prostu odbiła ci szajba.

- Odbiła mi szajba... Co za czarujący idiom! Może masz rację! Jednak potem powiedziałem sobie: „Ten prasowy szakal chciałby przyczepić komuś wszystkie te morderstwa i zaginięcia - temu hipotetycznemu Mordercy Pijaków. Jednak ja sądzę, że może było zupełnie inaczej”. Potem powiedziałem sobie: „Czy ja znam kogoś, kto mógłby robić takie rzeczy? Kogoś, kto przez kilka ostatnich lat żył w takim samym napięciu jak ja? Kogoś, kto też słuchał, jak stare duchy szczękają łańcuchami?”. I odpowiedź brzmi - tak. Znam ciebie, chłopcze.

- Nigdy nikogo nie zabiłem.

W myślach ujrzał obraz, ale wcale nie któregoś z pijaków; ci nie byli ludźmi, wcale nie byli ludźmi. Zobaczył siebie przyczajonego za uschniętym drzewem, spoglądającego przez teleskopowy celownik winchestera, nitki lunety krzyżujące się na skroni siwobrodego mężczyzny prowadzącego furgonetkę.

- Może i nie - przyznał Dussander dość przyjaznym tonem. - A jednak tak dobrze się spisałeś tamtej nocy. Mam wrażenie, iż twoje zdziwienie było wywołane głównie gniewem z powodu tego, że niedomagania starca postawiły cię w tak niebezpiecznej sytuacji. Czyżbym się mylił?

- Nie, nie mylisz się - rzekł Todd. - Byłem na ciebie wkurzony i nadal jestem. Kryłem cię, ponieważ w tej skrytce depozytowej masz coś, co może mnie zniszczyć.

- Nie, nie mam.

- Co? O czym ty mówisz?

- To był taki sam blef jak ten twój „list pozostawiony u kolegi”. Nigdy nie napisałeś takiego listu, nigdy nie miałeś takiego kolegi, a ja nigdy nie napisałem ani słowa o naszym... związku, bo chyba mogę go tak nazwać? Teraz wykładam karty na stół. Uratowałeś mi życie. Nieważne, że zrobiłeś to tylko po to, żeby chronić siebie; to nie zmienia faktu, że działałeś szybko i skutecznie. Nie mógłbym cię skrzywdzić, chłopcze. Mówię ci to dobrowolnie. Zajrzałem śmierci w twarz i przeraziłem się, lecz nie tak bardzo, jak przewidywałem. Nie ma żadnego dokumentu. Jest tak, jak powiedziałaś: jesteśmy kwita.

Todd uśmiechnął się; upiornym kosym uśmiechem wykrzywiającym wargi. W jego oczach pojawił się dziwny, sardoniczny błysk.

- Herr Dussander - powiedział - gdybym tylko mógł w to uwierzyć.

Wieczorem Todd zszedł po skarpie nad autostradą, dotarł do zeschłego drzewa i usiadł na nim. Zapadał zmrok. Wieczór był ciepły. Światła reflektorów przecinały mrok długimi, żółtymi smugami.

Nie ma żadnego dokumentu.

Dopiero w trakcie dyskusji, która nastąpiła potem, zrozumiał nieodwracalność całej tej sytuacji. Dussander zaproponował, żeby Todd przeszukał dom, a kiedy nie znajdzie klucza do skrytki, będzie to dowód, że nie ma takiej skrytki, a więc i dokumentu. Jednak klucz mógł być ukryty wszędzie - na przykład schowany w puszcze po herbatnikach i zakopany w ziemi, mógł być włożony do pudełka po proszkach i wsunięty pod wyjętą, a potem wstawioną na miejsce deskę podłogi; Dussander nawet mógł wsiąść do autobusu do San Diego i schować klucz pod jednym z kamieni tworzących ozdobny mur wokół wybiegu niedźwiedzi. A nawet, ciągnął Todd, Dussander mógł wyrzucić ten klucz. Dlaczego nie? Potrzebował go tylko raz, przy umieszczeniu dokumentu w skrytce. Po jego śmierci ktoś inny wyjmie dokument.

Dussander niechętnie skinął głową, lecz po krótkim zastanowieniu zaproponował inne rozwiązanie. Kiedy poczuje się na tyle dobrze, żeby pójść do domu, niech chłopak zadzwoni do każdego banku w Santo Donato. Powie urzędnikom, że telefonuje w imieniu swojego dziadka. Biedny dziadek, powie, przez ostatnie dwa lata zupełnie zdziecinniał i gdzieś zapodział klucz do swojej skrytki. Gorzej, nawet nie pamięta, w którym banku ją ma. Czy mogliby poszukać w swoim spisie Arthura Denkera, bez środkowego inicjału? A kiedy Todd otrzyma przeczącą

odpowiedź z każdego banku w mieście...

Todd znów potrząsnął głową. Po pierwsze, taka historia niemal na pewno wzbudziłaby wątpliwości. Była zbyt naciągana. Podejrzewaliby próbę oszustwa i skontaktowaliby się z policją. A nawet gdyby wszyscy kupili tę bajeczkę, na nic by się to zdało. Jeśli Dussander w żadnym ze stu banków w Santo Donato nie wynajmuje skrytki na nazwisko Denker, wcale nie oznacza to, iż nie wynajął jej w San Diego, Los Angeles czy jakimkolwiek innym mieście.

W końcu Dussander się poddał.

- Masz odpowiedź na wszystko, chłopcze. A przynajmniej na wszystko, prócz jednego. Co zyskałbym, okłamując cię? Wymyśliłem ten dokument, żeby chronić się przed tobą - oto motyw. Teraz próbuję wycofać się z tego. Jaką miałbym z tego korzyść? - Dussander z wysiłkiem podparł się na łokciu. Jeśli o to chodzi, po co byłby mi teraz potrzebny jakiś dokument? Mógłbym zniszczyć ci życie z tego łóżka, gdybym chciał. Mógłbym zagadać do pierwszego przechodzącego lekarza, a to sami Żydzi, którzy wiedzieliby, kim jestem, a przynajmniej kim byłem. Tylko dlaczego miałbym to robić? Jesteś dobrym uczniem. Czeka cię piękna kariera... chyba że staniesz się nieostrożny z tymi twoimi pijakami.

Todd zastygł.

- Mówiłem ci...

- Wiem. Nigdy o nich nie słyszałeś, nigdy nie tknąłeś nawet włosa na ich strupieszalnych, zawszonych łbach, w porządku, dobrze, świetnie. Nic więcej nie powiem. Tylko odpowiedz mi, chłopcze: dlaczego miałbym kłamać? Jesteśmy kwita, mówisz. Jednak możemy być kwita tylko wtedy, jeśli będziemy sobie ufać.

Teraz, siedząc za uschniętym drzewem na skarpie zbiegającej do autostrady, patrząc na te wszystkie anonimowe światła nieustannie znikające, jak wolno lecące pociski smugowe, dobrze wiedział, czego się obawiał.

Dussander mówił o zaufaniu. To go przestraszyło.

Wystraszyła go także myśl, że w sercu starego może tlić się słaby, lecz żywy płomyk nienawiści.

Nienawiści do Todda Bowdena, który jest młody, przystojny, bez zmarszczek na twarzy; Todda Bowdena, który jest zdolnym uczniem i ma przed sobą długie, wspaniałe życie.

Jednak największy lęk budziło w nim to, że Dussander nigdy nie zwracał się do

niego po imieniu.

Todd. Czy tak trudno wymówić to słowo, nawet staremu szkopowi ze sztuczną szczęką? Todd. Jedna sylaba. Łatwa do wypowiedzenia. Przyciśnij język do podniebienia, lekko rozchyl zęby, cofnij język i to wszystko. Tymczasem Dussander zawsze nazywał go „chłopcem”. Nie inaczej. Pogardliwie. Anonimowo. Właśnie, to było takie anonimowe. Tak anonimowe jak numer w obozie koncentracyjnym.

Może Dussander rzeczywiście mówił prawdę. Nie, nie może; prawdopodobnie. Jednak obawy pozostały... a największą z nich budziła niechęć Dussandera do mówienia mu po imieniu.

A u podłoża tego wszystkiego leżała jego własna niezdolność do podjęcia trudnej i ostatecznej decyzji. Na dzień tego wszystkiego kryła się nieprzyjemna prawda: nawet po czterech latach wizyt u Dussandera nadal nie wiedział, co dzieje się w głowie starego. Może jednak wcale nie był takim zdolnym uczniem.

Samochody, samochody i samochody. Palce świerzbiły go, żeby chwycić karabin. Ilu mógłby dostać? Trzech? Sześciu? Może nawet trzynastu? A ile stąd mil do Babilonu?

Poruszył się nerwowo, niecierpliwie.

Tylko śmierć Dussandera przyniesie ostateczną odpowiedź, pomyślał. W ciągu następnych pięciu lat, może szybciej. Trzy do pięciu... to brzmiało jak wyrok sądu. Toddzie Bowden, ten sąd niniejszym skazuje cię na trzy do pięciu lat za współpracę ze znanym zbrodniarzem wojennym. Trzy do pięciu lat koszmarnych snów i zimnych potów.

Prędzej czy później Dussander po prostu padnie trupem. Wtedy Todd zacznie czekać. Żołądek podchodzący do gardła za każdym razem, gdy zadzwoni telefon lub dzwonek do drzwi.

Nie był pewien, czy zdoła to znieść.

Palce świerzbiły go, żeby chwycić broń, więc zacisnął je w pięści i uderzył się nimi w krocze. Mdlący ból szarpnął go za podbrzusze i Todd przez jakiś czas leżał, wijąc się na ziemi, otwierając usta w cichym krzyku. Ból był okropny, ale przerwał nie kończący się ciąg myśli.

Przynajmniej na chwilę.

Dla Morrisa Heisela ta niedziela była dniem cudów.

Zuchy z Atlanty, jego ulubiona drużyna piłkarska, pokonały silną i zajmującą wysoką pozycję w tabeli drużynę Czerwonych z Cincinnati wynikiem 7:1 i 8:0. Lydia, która zawsze chętnie się, że potrafi zadbać o siebie i której ulubionym powiedzeniem było: „Lepiej zapobiegać niż leczyć”, poślizgnęła się na mokrej podłodze w kuchni jej przyjaciółki Janet i zwichnęła sobie nogę w biodrze. Leżała w domu. Nic poważnego i Bogu dzięki (jakiemu Bogu?), jednak to oznaczało, że nie będzie mogła odwiedzać go przez dwa, może nawet cztery dni.

Cztery dni bez Lydii! Przez cztery dni nie będzie musiał słuchać, jak to ostrzegała go, że drabina się chwieje, a on wszedł zbyt wysoko. Przez cztery dni nie będzie trajkotała, jak to zwracała mu uwagę, że ten szczeniak Rogana narobi im kłopotów, ganiając w ten sposób Kochasia. Przez cztery dni Lydia nie będzie pytała go, czy nie cieszy się, że zmusiła go do wysłania formularza ubezpieczeniowego, bo w przeciwnym razie wyładowałiby teraz w przytułku. Cztery dni nie będzie wysłuchiwał, że wielu sparaliżowanych od pasa ludzi żyje całkiem normalnie - przynajmniej prawie; przecież każde muzeum i galeria w mieście ma specjalne rampy oraz schody, są nawet specjalne autobusy. Po tej uwadze Lydia uśmiechała się dzielnie, a potem nieuchronnie wybuchała płaczem.

Morris zapadł w miłą, popołudniową drzemkę.

Obudził się o wpół do szóstej po południu. Jego współlokator spał. Morris jeszcze nie zidentyfikował Denkera, ale był już pewny, że kiedyś musiał go spotkać. Raz czy drugi miał zamiar zapytać go o to, ale coś powstrzymywało go od wyjścia poza ramy zwyczajnej, banalnej rozmowy - o pogodzie, ostatnim trzęsieniu ziemi, następnym trzęsieniu ziemi i owszem, w „Guide” piszą, że w ten weekend Myron Floren będzie gościem specjalnym programu Welka.

Morris mówił sobie, że robi tak, ponieważ to go bawi, a gdy od ramion po biodra masz założony gips, przydaje się każda rozrywka. Jeśli masz o czym myśleć, nie musisz przez cały czas zastanawiać się, jak to zniesiesz, kiedy do końca życia będziesz sikał przez cewnik.

Gdyby po prostu zapytał o to Denkera, ta zabawa zapewne skończyłaby się szybko i nieciekawie. Zawężiliby swoją przeszłość do jakiegoś wspólnego przeżycia - jazdy pociągiem, rejsu statkiem, może nawet pobytu w obozie. Denker mógł być w Patin; było tam mnóstwo niemieckich Żydów.

Z drugiej strony jedna z siostr powiedziała mu, że Denker prawdopodobnie

wyjdzie do domu za tydzień czy dwa. Jeśli Morris do tej pory sobie nie przypomni, uzna swoją przegraną i prosto z mostu zapyta faceta: Hej, mam wrażenie, że pana znam...

Musiał przyznać, że było w tym coś więcej. Jego uczucia były podszyte jakimś niepokojem, nieprzyjemnym wrażeniem, które kazało mu myśleć o opowiadaniu „Małpia łapka”, w którym każde życzenie spełniało się w wyniku jakiegoś nieszczęścia. Dwoje starych ludzi, którzy weszli w jej posiadanie, zażyczyło sobie stu dolarów i otrzymało je jako odszkodowanie za śmierć jedyne go syna w tragicznym wypadku w fabryce. Matka zapragnęła, żeby syn wrócił do nich. Wkrótce potem usłyszeli chwiejne kroki przed domem i łomotanie do drzwi. Matka, oszalała z radości, zbiegła po schodach, by wpuścić jedyne dziecko. Ojciec, oszalały ze strachu, po omacku szukał wysuszonej łapki, znalazł ją w końcu i wymówił życzenie, żeby syn znów umarł. W chwilę później matka otworzyła drzwi, lecz na ganku powitał ją tylko chłodny podmuch wiatru.

Morris miał wrażenie, że wie, gdzie spotkał się z Denkerem, jednak ten fakt był jak syn tej pary z opowiadania - powrócił zza grobu, lecz nie taki, jakim go pamiętano, tylko okropnie okaleczony i zmiażdżony przez bezlitosne tryby maszyny. Czuł, że ta znajomość z Denkerem może tkwić gdzieś w podświadomości, łomocząc do drzwi racjonalnego rozumowania i percepcji, żądając wpuszczenia... podczas gdy inna część jego umysłu rozpaczliwie szukała małpiej łapki, a raczej jej psychologicznego ekwiwalentu: talizmanu, który na zawsze pozwoliłby o tym zapomnieć.

Spojrzał na Denkera, marszcząc brwi.

Denker, Denker... skąd ja cię znam, Denker? Czy z Patin? Czy dlatego nie mogę sobie przypomnieć? A przecież dwaj ludzie, którzy przeżyli ten koszmar, nie muszą obawiać się siebie. Chyba że...

Zmarszczył brwi. Był bardzo blisko, lecz mrowienie w stopach denerwowało go, nie pozwalało się skupić. Takie mrowienie zwykle czuje się w kończynach, które zdrętwiały w wyniku długotrwałego przygniatańia we śnie, a potem znów zaczyna krążyć w nich krew. Gdyby nie ten cholerny gips, usiadłby i rozmasował sobie stopy, aż przeszłoby mu. Mógłby...

Morris szeroko otworzył oczy.

Przez długą chwilę leżał zupełnie nieruchomo, zapomniawszy o Lydii, zapomniawszy o Denkerze, zapomniawszy o Patin, zapomniawszy o wszystkim prócz tego słabego mrowienia w stopach. Tak, w obu stopach, ale silniejszego w prawej.

Kiedy czujesz takie mrowienie, powiadasz: „Straciłem czucie w nogach”.

Tym razem to oznaczało: „Wraca mi czucie w nogach”.

Morris odszukał przycisk dzwonka. Naciskał go raz po raz, aż przyszła pielęgniarka.

Pielęgniarka próbowała to zbagatelizować - miała już do czynienia z pacjentami, którzy w taki sposób szukali pociechy. Lekarza nie było na oddziale, a nie chciała ściągać go z domu. Doktor Kemmelman słynął z wybuchowego temperamentu... szczególnie gdy niepokojono go w domu. Morris nie dał się zbyć. Był spokojnym człowiekiem, ale teraz był gotów narobić niezłego zamieszania; nawet wrzeszczeć w razie potrzeby. Zuchy wygrały dwoma punktami. Lydia zwichnęła nogę. Szczęście chadza trójkami, każdy o tym wie.

W końcu siostra wróciła ze stażystą, młodym lekarzem nazwiskiem Timpnell, którego czupryna wyglądała jak przystrzyżona kosiarką o tępych ostrzach. Doktor Timpnell wyjął z kieszeni białych spodni szwajcarski scyzoryk, otworzył korkociąg i przeciągnął nim od palców prawej stopy Morrisa do pięty. Stopa nie wygięła się, ale palce drgnęły - ruch był widoczny, zbyt wyraźny, by go przeoczyć. Morris zalał się łzami.

Timpnell, oszołomiony, usiadł obok niego na łóżku i poklepał go po dłoni.

- Od czasu do czasu mamy do czynienia z podobnymi przypadkami - powiedział (pewnie ze swego bogatego, sześciomiesięcznego doświadczenia). - Żaden lekarz nie może tego przewidzieć, ale to się zdarza. I najwyraźniej zdarzyło się panu.

Morris uśmiechnął się przez łzy.

- Widocznie nie jest pan całkowicie sparaliżowany. Timpnell nadal klepał go po ręce. - Jednak nie mogę panu powiedzieć, czy wyzdrowienie będzie niewielkie, częściowe czy całkowite. Wątpię, czy doktor Kemmelman zdoła to wydedukować. Sądzę, że będzie pan musiał poddać się licznym zabiegom fizjoterapeutycznym i nie wszystkie z nich będą przyjemne. Jednak i tak znacznie przyjemniejsze od... no, wie pan.

- Tak - odparł Morris przez łzy. - Wiem. Dzięki Bogu!

Przypomniał sobie, jak powiedział Lydii, że Boga nie ma, i poczuł, że się czerwieni.

- Dopilnuję, żeby zawiadomiono doktora Kemmelmana rzekł Timpnell, ostatni raz klepiąc go po dłoni i wstając.

- Mógłby pan zadzwonić do mojej żony? - poprosił Morris. Pomimo jej biadolenia i załamywania rąk, coś do niej czuł. Może nawet była to miłość, uczucie wydające się mieć niewiele wspólnego z ogarniającą go często chęcią skręcenia karku tej babie.

- Tak, dopilnuję i tego. Siostró, czy zechciałyby pani...?

- Oczywiście, doktorze - powiedziała pielęgniarka i Timpnell ledwie powstrzymał uśmiech.

- Dziękuję - rzekł Morris, ocierając oczy chusteczką higieniczną z paczki na nocnym stoliku. - Bardzo dziękuję.

Timpnell wyszedł. W trakcie tej rozmowy Denker się obudził.

Morris zastanowił się, czy przeprosić go za zamieszanie, a może za swoje łzy, ale potem uznał, że to niepotrzebne.

- Widzę, że należą się panu gratulacje - rzekł Denker.

- Zobaczymy - odparł Morris, lecz tak samo jak Timpnell, ledwie powstrzymywał uśmiech. - Zobaczymy.

- Wszystko się jakoś układa - odparł enigmatycznie Denker, a potem włączył pilotem telewizor. Była już za kwadrans szósta i nadawali „Hee Haw”. Potem wieczorne wiadomości. Bezrobocie rosło. Inflacja została opanowana. Billy Carter zamierzał zająć się browarnictwem. Badania Instytutu Gallupa wykazywały, że gdyby wybory przeprowadzono właśnie teraz, co najmniej czterech kandydatów republikanów pobiłoby jego brata, Jimmy'ego. W Miami wybuchły zamieszki na tle rasowym, wywołane zamordowaniem czarnoskórego dziecka. Komentator nazwał je „nocą przemocy”. Nieco bliżej, w ogrodzie koło autostrady 46 został znaleziony nie zidentyfikowany mężczyzna, pobity i zadźgany.

Lydia zadzwoniła około szóstej trzydzieści. Doktor Kimmelman telefonował do niej i opierając się na diagnozie młodego lekarza, wyraził ostrożny optymizm. Lydia była umiarkowanie uradowana. Przysięgła, że przyjdzie nazajutrz, nawet gdyby miało ją to zabić. Morris powiedział, że ją kocha. Dziś wieczór kochał wszystkich: Lydię, doktora Timpnella z jego fryzurą spod kosiarki, Denkera, nawet dziewczynę, która wniosła tace z kolacją, kiedy Morris odłożył słuchawkę.

Na kolację były hamburgery, tłuczone ziemniaki, marchewka z groszkiem oraz mały spodek lodów na deser. Podawała ją Felice, nieśmiała dwudziestokilkuletnia blondynka. Ona też miała dobre wieści - jej chłopak dostał pracę jako programista dla IBM i w końcu oficjalnie poprosił ją, żeby za niego wyszła.

Denker, odznaczający się pewnym światowym wdziękiem, na jaki reagują wszystkie młode damy, wyraził swoje zadowolenie.

- To cudownie, naprawdę. Musisz usiąść i opowiedzieć nam o tym. Wszystko. Niczego nie pomijaj.

Felice zaczerwieniła się, uśmiechnęła i powiedziała, że nie może.

- Musimy obsłużyć jeszcze resztę skrzydła B, a potem całe skrzydło A. Popatrzcie, już jest szósta trzydzieści!

- Zatem jutro wieczorem. Nalegamy... prawda, panie Heisel?

- Tak, oczywiście - wymamrotał Morris, ale myślami był tysiące mil dalej.

(musisz usiąść i opowiedzieć nam wszystko)

Słowa wypowiedziane tym samym żartobliwym tonem. Słyszał je już kiedyś; nie miał co do tego wątpliwości. Czy wymówił je Denker? On?

(powiedz nam wszystko)

Głos dobrze wychowanego człowieka. Kulturalnego. Jednak kryła się w nim groźba. Stalowa dłoń w aksamitnej rękawiczce.

Tak.

Gdzie?

(powiedz nam wszystko, niczego nie pomijaj)

(PATIN?)

Morris Heisel spojrział na kolację. Denker z apetytem zajął się swoją. Spotkanie z Felice wprawiło go w doskonały humor - taki sam jak po wizytach tego jasnowłosego chłopca.

- Miła dziewczyna - powiedział Denker, z ustami pełnymi marchewki i groszku.

- Och tak...

(musisz usiąść)

- Mówi pan o Felice. Ona...

(i opowiedzieć nam wszystko)

- ...jest bardzo miła.

(powiedz nam wszystko, niczego nie pomijaj)

Popatrzył na tacę, nagle przypominając sobie, jak było w obozie. Z początku zabiłbyś za kawałek mięsa, obojętnie jak zarobzonego czy zielonego od pleśni. Jednak po jakimś czasie ten potworny głód przechodził i żołądek ciążył ci w brzuchu jak mały, szary kamień. Czuleś, że już nigdy nie będziesz głodny.

Dopóki ktoś nie pokazał ci jedzenia.

(powiedz nam wszystko, przyjacielu, niczego nie pomijaj, musisz usiąść i powiedzieć na wszystko)

Głównym daniem na plastikowej szpitalnej tacy Morrisa był hamburger. Dlaczego nagle pomyślał o jagnięciu? Nie o zrazach, nie kotlecikach - baranina często bywa żylasta i twarda, a człowieka, któremu zęby wypadają z gnijących dziąseł, mogłyby nie skusić zrazy czy kotlety. Nie, myślał teraz o smakowitym gulaszu jagnięcym, w gęstym sosie z warzywami. Miękkie, smaczne warzywa. Dlaczego o gulaszu jagnięcym? No, przecież...

Drzwi znów otworzyły się z trzaskiem. To Lydia, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Pod pachą miała aluminiowe szczudło i kroczyła jak Chester, przyjaciel szeryfa Dillona. „Morris!” zaświergotała. Za nią podążała, wyglądająca na równie uszczęśliwioną, Emma Rogan z sąsiedztwa.

Denker drgnął i wypuścił widelec. Zaklął cicho pod nosem i krzywiąc się, podniósł go z podłogi.

- To cudowne! - Lydia szalała z radości. - Zadzwoiłam do Emmy i zapytałam, czy mogłybyśmy pojechać do ciebie dzisiaj, a nie jutro, bo już miałam tę kulę, i spytałam: „Em, jeśli nie mogę znieść niepokoju o Morrisa, to co ze mnie za żona?”. Tak powiedziałam, prawda, Emmo?

Emma Rogan, zapewne pamiętając, że to jej collie przynajmniej częściowo ponosił winę za wypadek, ochoczo pokiwała głową.

- Dlatego zadzwoniłam do szpitala - ciągnęła Lydia, strząsając płaszcz z ramion i szykując się na długą wizytę a oni powiedzieli mi, że nie zezwalają na wizyty po godzinach odwiedzin, ale w moim przypadku zrobią wyjątek, tylko nie możemy zostać zbyt długo, żeby nie przeszkadzać panu Denkerowi. Nie przeszkadzamy panu, prawda, panie Denker?

- Nie, szanowna pani - odparł z rezygnacją Denker.

- Siadaj, Emmo, weź krzesło pana Denkera, on go nie używa. Hej, Morris, zostaw te lody, cały się ubrudzisz, zupełnie jak dziecko. Nie szkodzi, szybko doprowadzimy cię do porządku. Nakarmię cię. Gu-gu, ga-ga. Otwórz buzię... przez ząbki i dziąsełka... uwaga, żołądku, nadchodzi! Nie, nic nie mów, mamusia wie najlepiej. Spójrz na niego, Emmo, mało zostało mu włosów i nic dziwnego, skoro myślał, że już nigdy nie będzie chodzić. To łaska boska. Mówiłam mu, że ta drabina się chwieje. Powiedziałam: „Morrisie, zejdź z niej, zanim...”.

Karmiła go lodami i trajkotała przez prawie godzinę, a zanim odeszła,

ostentacyjnie kuśtykając na szczudle, a drugą ręką obejmując Emmę, wszystkie myśli o jagnięcym gulaszu i echach głosów sprzed lat wyparowały z głowy Morrisa Heisela. Był wykończony. Powiedzieć, że miał dzień pełen wrażeń, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Zapadł w głęboki sen.

Obudził się między trzecią a czwartą rano, z krzykiem cisnącym się na usta.

Wiedział już. Teraz wiedział dokładnie, kiedy i gdzie spotkał tego człowieka z sąsiedniego łóżka. Tyle że wtedy tamten nie nazywał się Denker. O nie, wcale nie.

Obudził się z najgorszego koszmaru w swoim życiu. Ktoś dał jemu i Lydii małą łąpkę, a oni zapragnęli pieniędzy. Nagle w pokoju znalazł się listonosz w mundurze Hitlerjugend. Wręczył Morrisowi telegram następującej treści: Z ŻALEM INFORMUJĘ OBIE WASZE CÓRKI NIE ŻYJĄ STOP OBÓZ KONCENTRACYJNY W PATIN STOP WYRAZY WSPÓŁCZUCIA Z POWODU OSTATECZNEGO ROZWIĄZANIA STOP LIST KOMENDANTA W DRODZE STOP OPOWIE WSZYSTKO I NICZEGO NIE POMINIE STOP PROSZĘ PRZYJAĆ CZEK NA 100 REICHSMAREK DO ZREALIZOWANIA W WASZYM BANKU JUTRO STOP PODPISANO ADOLF HITLER KANCLERZ.

Krzyk rozpaczy Lydii, która - chociaż nigdy nawet nie widziała córek Morrisa - wysoko podniosła małą łąpkę i wypowiedziała życzenie, aby ożyły. W pokoju zrobiło się ciemno. I nagle, za drzwiami rozległo się szuranie stóp.

Morris klęczał na czworakach w mroku, który nagle cuchnął dymem, gazem i śmiercią. Szukał łąпки. Zostało im jeszcze jedno życzenie. Jeśli znajdzie małą łąpkę, ten straszny sen minie. Oszczędzi sobie widoku córek, wychudłych jak strachy na wróble, z głęboko wpadniętymi oczami, z numerami płonącymi na chudych ramionach.

Łomotanie do drzwi.

W tym koszmarnym śnie zaczął jeszcze rozpaczliwiej szukać łąпки, ale bezskutecznie. Wydawało mu się, że minęły lata. A potem, za plecami, z trzaskiem otworzyły się drzwi. Nie, pomyślał, nie będę patrzył. Zamknę oczy. Wyrwijcie mi je z czaszki, jeśli trzeba, ale nie popatrzę.

Jednak popatrzył. Musiał spojrzeć. W tym śnie jakby ogromne ręce ścisnęły jego głowę i obróciły ją.

W drzwiach nie stały jego córki, lecz Denker. O wiele młodszy Denker, Denker w mundurze esesmana, w łobuzersko przekrzywionej czapce z trupa czaszką. Guziki

munduru błyszczały matowo, buty były wyglansowane jak lustro.

W rękach ścisnął ogromny garnek z powoli bulgoczącym jagnięcym gulaszem.

I ten Denker ze snu, uśmiechając się swym mrocznym, łagodnym uśmiechem, powiedział: „Musisz usiąść i wszystko nam powiedzieć - jak przyjaciel przyjacielowi, *hein?* Słyszeliśmy, że ukrywają tu złoto. Przemycili tytoń. Schneibel podczas kolacji dwa dni temu nie zatrzał się jedzeniem, ale tłuczonym szkłem. Nie możesz obrażać naszej inteligencji, udając, że nic nie wiesz. Wiesz WSZYSTKO. Więc powiedz nam wszystko. Niczego nie pomijaj”.

I w tej ciemności, pachnącej doprowadzającym do szału aromatem gulaszu, powiedział im wszystko. Żołądek z małego szarego kamienia zmienił się we wściekłego tygrysa. Słowa niepohamowanym strumieniem wylewały się z jego ust. Wyrzucał je z siebie jak szalenię, mieszając prawdę ze zmyśleniem.

Brodin ma obrączkę matki przyklejoną w pachwinie!

(musisz usiąść)

Laszlo i Herman Dorksy mówili o tym, żeby zaatakować wieżę strażniczą numer trzy!

(i powiedzieć nam wszystko)

Mąż Rachel Tannenbaum ma tytoń, dał go strażnikowi, który przychodzi po Zeickercie, temu nazywanemu Smarkojadem, ponieważ wciąż dłubie w nosie, a potem wkłada palce w zęby, Tannenbaum dał mu tytoń, żeby strażnicy nie zabierali jego żonie kolczyków z perłami!

(och, to bez sensu, bez sensu, chyba pomieszałeś dwie różne historie, ale to w porządku, wolimy, żebyś pomieszał dwie historie, niż pominął którąś, nie wolno ci niczego POMIJAĆ!)

Jeden człowiek bierze racje żywnościowe na swojego nieżyjącego syna!

(podaj nam jego nazwisko)

Nie znam, ale mogę go pokazać, proszę, mogę go pokazać, tak, tak, tak.

(powiedz nam wszystko, co wiesz)

tak tak tak tak tak tak tak

Aż ocknął się z niemym krzykiem, który palił w gardle jak ogień.

Trzęsąc się jak w gorączce, spojrzął na śpiącego na sąsiednim łóżku mężczyznę. Stwierdził, że przypatruje się pomarszczonym, zapadniętym ustom. Stary, bezzębny tygrys. Wiekowy i groźny słoń-samotnik z jednym kłębem złamanym, a drugim gnijącym w szczęce. Zdziecinniały potwór.

- O mój Boże - szepnął Morris. Jego szepł był piskliwy i słaby, niesłyszalny dla nikogo prócz niego samego. Łzy spłynęły mu po policzkach. - Och, dobry Boże, człowiek, który zamordował moją żonę i córki, śpi ze mną w tym samym pokoju, mój Boże, dobry Boże, jest tu ze mną, w tym pokoju.

Łzy popłynęły jeszcze obficie - łzy gniewu i przerażenia, gorące, piekące.

Trząsł się i czekał ranka, a ranek długo nie przychodził.

21

Następnego dnia, w poniedziałek, Todd wstał o szóstej rano. Usmażył sobie jajecnicę i bezmyślnie dłubał w niej widelcem, gdy zobaczył wchodzącego do kuchni ojca w kapciach i szlafroku z monogramem.

- Mmm - powiedział ojciec do Todda, podchodząc do lodówki po sok pomarańczowy.

Todd opowiedział podobnym mruknięciem, nie odrywając oczu od książki, kryminału z serii opisującej tajemnice 87 komisariatu. Miał szczęście i znalazł wakacyjną pracę w firmie z Pasadeny, zajmującej się architekturą krajobrazu. W innych okolicznościach byłoby to za daleko, nawet gdyby któreś z rodziców zechciało pożyczyć mu na lato samochód (a żadne nie chciało), ale ojciec właśnie pracował na pobliskiej budowie, więc mógł wysadzać Todda na przystanku autobusowym i zabierać go z tego samego miejsca, kiedy wracał. Todd nie był specjalnie zachwycony tą pracą; nie lubił wracać do domu z ojcem, a wprost nienawidził jeździć z nim do pracy. Najbardziej obnażony czuł się rano, kiedy zacierała się różnica pomiędzy tym, kim był, a kim wydawał się być. Jeszcze gorzej było po nocy pełnej koszmarów, ale nawet bez nich było dostatecznie źle. Pewnego ranka z przestrawieniem tak nagłym, że graniczącym z przerażeniem, uświadomił sobie, iż poważnie zastanawia się nad wyciągnięciem ręki, chwyceniem kierownicy porsche i skierowaniem samochodu na sąsiedni pas, sięjąc śmierć i zniszczenie wśród współużytkowników drogi.

- Chcesz jeszcze jedno jajko, Todd-O?

- Nie, dzięki, tato.

Dick Bowden jadał je sadzone. Jak można jeść sadzone jajka? Wrzucał je na dwie minuty do kuchenki mikrofalowej Jenn-Air, po czym wyjmował. Na talerzu wyglądało jak wielkie nieruchome oko z kataraktą, oko, które krwawiło na pomarańczowo, kiedy dziabnąłeś je widelcem.

Todd odsunął jajecznice. Ledwie ją tknął.

Na zewnątrz poranna gazeta upadła na schody.

Ojciec skończył gotować, wyłączył kuchenkę i podszedł do stołu.

- Nie jesteś dziś głodny, Todd-O?

Nazwij mnie tak jeszcze raz, a wepchnę ci ten nóż w twój pierdolony nos... tat-O.

- Chyba nie mam apetytu.

Dick czule uśmiechnął się do syna; ten wciąż miał na końcu ucha resztki kremu do golenia.

- Betty Trask odebrała ci apetyt. Tak podejrzewam.

- Tak, pewnie tak.

Odpowiedział słabym uśmiechem, który zniknął, gdy tylko ojciec zszedł po schodkach po gazetę. Ocknąłbyś się, gdybym ci powiedział, jaka z niej cipa, tato? Gdybym powiedział: „Och, przy okazji, czy wiesz, że córka twojego dobrego znajomego Raya Traska to jedna z największych kurew w Santo Donato? Całowałaaby swoją własną cipkę, gdyby mogła tak się zgiąć, tat-O. Tak bardzo jej dogadza. Zwykła parszywa kurwa. Dwie cole i jest twoja na całą noc. A jeśli nawet nie masz coli, i tak będzie twoja. Pieprzyłaby się z psem, gdyby nie znalazła mężczyzny”. Czy to by cię obudziło, tat-O? Byłby to miły początek dnia?

Gwałtownie odepchnął od siebie te myśli, wiedząc, że wróca.

Ojciec przyniósł gazetę. Todd dostrzegł nagłówek: EKSPERCI TWIERDZĄ, ŻE PROM KOSMICZNY NIE POLECI.

Dick usiadł.

- Betty to ładna dziewczyna - rzekł. - Przypomina mi twoją matkę, kiedy ją poznałem.

- Tak?

- Śliczna... młoda... świeża... - Dick Bowden zapatrzył się w dal. Potem szybko, niemal niespokojnie skupił wzrok na synu. - Nie mówię, że twoja matka źle wygląda. Jednak dziewczyna w tym wieku ma pewien... blask, chyba tak należy to określić. Ma go przez jakiś czas, a potem traci. - Wzruszył ramionami i otworzył gazetę. - *C'est le vie*, tak sędzę.

To suka w rui. Pewnie stąd ten jej blask.

- Dobrze ją traktujesz, prawda, Todd-O?

Ojciec jak zwykle kartkował gazetę, szybko zmierzając do działu sportowego.

- Nie spieszysz się zbytnio?

- Wszystko w porządku, tato.

(jeżeli zaraz nie przestanie, zrobię coś, zacznę krzyczeć, chlusnę mu w twarz kawą, nie wiem)

- Ray uważa, że jesteś dobrym chłopcem - rzekł z roztargnieniem Dick. W końcu dotarł do działu sportowego. Zatonął w lekturze. Przy stole zapadła upragniona cisza.

Betty Trask rzuciła się na niego już na pierwszej randce. Po kinie zaparkował w zaułku, gdzie spotykały się miejscowe parki, ponieważ wiedział, że tego od nich oczekiwano; pół godziny wymieniania oddechów, żeby na drugi dzień oboje mieli o czym opowiadać przyjaciółom. Ona będzie przewracać oczami i mówić, jak odpierała jego zaloty - chłopcy są tacy natarczywi, naprawdę, a ona nigdy nie pieprzy się na pierwszej randce, nie jest taka. Jej przyjaciółki przytakną, a potem wszystkie pomkną do damskiej toalety, żeby robić tam to, co zawsze tam robią nakładać świeży makijaż, palić podpaski, cokolwiek.

A faceci... no, musisz trzymać fason. Musisz dotrzeć co najmniej do drugiej bazy i spróbować zdobyć trzecią. Ponieważ chodzi o reputację. Toddowi nie zależało na reputacji ogiera; chciał tylko być uważany za normalnego. A jeśli przynajmniej nie próbowałeś, zaczynali gadać. Zaczynali zastanawiać się, czy wszystko z tobą w porządku.

Dlatego zabierał je na Jane's Hill, całował, miętosił cycki, a nawet posuwał się trochę dalej, jeśli pozwoliły. I o to chodziło. Dziewczyna powstrzymywała go, on łagodnie nakłaniał ją, a potem rezygnował i odwoził do domu. Żadnych zmartwień na temat tego, co na drugi dzień może powiedzieć w damskiej toalecie. Nie musiał przejmować się, że ktoś zacznie uważać Todda Bowdena za nienormalnego. Tylko...

Tylko że Betty Trask była dziewczyną, która pieprzy się na pierwszej randce. Na każdej randce. I między randkami.

Pierwszy raz wydarzyło się to mniej więcej na miesiąc przed tym, zanim ten przekłety hitlerowiec dostał ataku serca, i Todd uznał, że spisał się doskonale jak na dziewicę... może w ten sam sposób, w jaki spisałby się młody napastnik, gdyby bez ostrzeżenia kazano mu nagle zagrać w najważniejszym meczu roku. Nie było czasu, żeby niepokoić się tym czy denerwować.

Do tej pory Todd zawsze potrafił wyczuć, kiedy dziewczyna decydowała, że na następnej randce pójdzie na całość. Wiedział, że jest interesujący i ma zarówno dobry

wygląd, jak i perspektywy. Był chłopcem z rodzaju tych, jakich matki tych cip uważały za „dobrą partię”. I kiedy wyczuwał nadchodzącą kapitulację, zaczynał umawiać się z inną dziewczyną. I jakkolwiek to świadczy o jego osobowości, Todd potrafił przyznać w duchu, że gdyby natrafił na naprawdę oziębłą dziewczynę, z przyjemnością umawiałby się z nią na randki przez wiele lat. Może nawet ożeniłby się z nią.

Jednak ten pierwszy raz z Betty był całkiem niezły - ona nie była dziewicą, tak jak on. Musiała pomóc mu wejść w siebie, ale potraktowała to jako coś całkiem naturalnego. A w połowie aktu wybelkotała z koca, na którym leżeli: „Uwielbiam się pieprzyć!”. Powiedziała to takim tonem, jakim inna dziewczyna mogłaby oznajmić, że lubi lody truskawkowe.

Późniejsze stosunki - a było ich pięć (pięć i pół, podejrzewał, jeśli liczyć ostatnią noc) - nie były tak udane. Prawdę mówiąc, były coraz bardziej niezadowolające... chociaż nawet teraz nie wierzył, że Betty zdawała sobie z tego sprawę (przynajmniej do minionej nocy). Wprost przeciwnie. Betty najwidoczniej wierzyła, że znalazła swój wymarzony taran.

W takich momentach Todd nie czuł nic z tego, co powinien odczuwać. Całując jej usta, miał wrażenie, że całuje ciepłą, nie gotowaną wątrobę. Kiedy wpychała mu język w usta, zastanawiał się, jakie przenosi zarazki, a czasem wydawało mu się, że czuje zapach plomb - nieprzyjemny metaliczny odór. Jej piersi były dwoma workami mięsa. Niczym więcej.

Todd zrobił to z nią jeszcze dwa razy przed atakiem serca Dussandera. Za każdym razem miał większe problemy z erekcją. Podczas obu stosunków w końcu dopomógł sobie wyobraźnią. Była rozebrana do naga przed wszystkimi jego kolegami. Płakała. Todd zmusił ją, by paradowała przed nimi tam i z powrotem, i krzyczał na nią: Pokaż cycki! Odsłoń cipkę, ty tania kurwo! Rozchyl pośladki! O tak, pochyl się i rozchyl je!

Satysfakcja Betty wcale nie była czymś zdumiewającym. Był dobrym kochankiem, nie pomimo swoich problemów, lecz z powodu nich. Uzyskanie wzrodu stanowiło dopiero pierwszy krok. Kiedy już dostało się erekcji, trzeba było mieć orgazm.

Gdy robili to po raz czwarty - to było trzy dni po tym, jak Dussander dostał ataku serca - łomotał ją przez dziesięć minut. Betty Trask myślała, że umarła i poszła do nieba; miała już trzy orgazmy i zaczynała czwarty, zanim Todd przywołał dawną wizję... która, tak naprawdę, była Pierwszą Wizją. Dziewczyna na stole, przywiązana i

bezradna. Ogromny sztuczny penis. Gumowa gruszka. Tylko teraz, kiedy był zdesperowany, spocony i niemal rozpaczliwie pragnął dojść i skończyć z tym, twarz dziewczyny na stole stała się twarzą Betty. To spowodowało bolesny, drętwy skurcz, który - przynajmniej pod względem technicznym - uznał za orgazm. W chwilę później Betty szeptala mu do ucha, owiewając go ciepłym i pachnącym pastą oddechem:

- Kochasiu, możesz robić mi tak, kiedy tylko zechcesz. Tylko zadzwoń.

Todd z trudem powstrzymał jęk.

Teraz miał następujący dylemat: Czy jego reputacja ucierpi, jeśli zerwie z dziewczyną, która najwidoczniej ma do niego słabość? Czy ludzie nie będą zastanawiać się dlaczego? Właściwie był przekonany, że nie. Pamiętał, jak będąc w pierwszej klasie siedł korytarzem za dwoma starszymi chłopcami i słyszał, jak jeden z nich mówił, że zerwał ze swoją dziewczyną. Drugi chciał wiedzieć dlaczego. „Wypieprzyłem ją”, powiedział pierwszy i obaj ryknęli samczym śmiechem.

Jeśli ktoś spyta, dlaczego z nią zerwałem, po prostu powiem, że wypieprzyłem ją. Tylko co będzie, jeżeli ona powie, że zrobiliśmy to pięć razy? Czy to dość? Co?... A ile razy?... Ilu?... Kto się dowie?... Co powiedzą?

Jego umysł miotał się niespokojnie jak głodny kot w labiryncie. Niejasno zdawał sobie sprawę, że robi poważny problem z głupstwa i sama niemożność rozwiązania tej kwestii najlepiej świadczy o tym, jaki jest roztrzęsiony. Jednak świadomość tego bynajmniej nie dodała mu sił do zmiany zachowania, więc pogрузzył się w czarnej rozpacz.

Szkoła. Odpowiedzią była szkoła. Ona oferowała pretekst do zerwania z Betty, jakiego nikt nie będzie kwestionował. Jednak do września pozostało jeszcze tyle czasu.

Za piątym razem potrzebował prawie dwudziestu minut, zanim mu stanął, ale Betty stwierdziła, że warto było poczekać. A potem, ostatniej nocy, był zupełnie do niczego.

- Co z tobą? - zapytała nadęta Betty. Po dwudziestu minutach manipulowania jego wiotkim penisem była rozczochrana i zniecierpliwiona. - Może jesteś biseksem?

Był bliski tego, by udusić ją na miejscu. A gdyby miał swojego winchestera...

- No, niech mnie licho! Gratulacje, synu!

- He? - Podniósł głowę, przerywając ponure rozmyślenia.

- Wszedłeś do międzyszkolnej reprezentacji południowej Kalifornii!

Ojciec szczyrzył zęby w dumnym i zadowolonym uśmiechu.

- Naprawdę? - Przez chwilę nie wiedział, o czym ojciec mówi; z trudem

pojmował znaczenie jego słów. - Ach tak, trener Haines wspominał mi coś o tym pod koniec roku. Mówił, że zgłosi mnie i Billy'ego DeLyonsa. Nie spodziewałem się, że coś z tego będzie.

- O Jezus, wcale nie wyglądasz na przejętego!

- Wciąż próbuję (a kogo to kurwa obchodzi) oswoić się z tym. - Niezwykłym wysiłkiem woli zdobył się na uśmiech. - Mogę zobaczyć ten artykuł?

Ojciec podał mu nad stołem gazetę i wstał.

- Pójdę obudzić Monicę. Powinna zobaczyć to, zanim pojedziemy do pracy.

Boże, nie - dziś rano nie dam rady im obojgu.

- O, nie rób tego. Wiesz, że już nie zaśnie, jeśli ją obudzisz. Zostawimy jej gazetę na stole.

- Tak, pewnie masz rację. Jesteś bardzo rozsądnym chłopcem.

Poklepał go po plecach, a Todd zacisnął powieki. Jednocześnie zabawnie wzruszył ramionami, rozśmieszając ojca. Todd znów otworzył oczy i spojrzał na gazetę.

CZTEREJ CHŁOPCY WYBRANI DO REPREZENTACJI POŁUDNIOWEJ KALIFORNII, głosił tytuł. Poniżej były ich zdjęcia w strojach sportowych - napastnika i lewoskrzydłowego z Fairview High, pomocnika z Mountford - a po prawej był Todd, uśmiechający się szeroko do całego świata spod daszka baseballowej czapki. Przeczytał artykuł i dowiedział się, że Billy DeLyons dostał się do drugiej reprezentacji. Z tego przynajmniej mógł się cieszyć. DeLyons mógł sobie gadać, aż odpadnie mu język, że jest metodystą, ale nie oszukał Todda. Może powinien przedstawić go Betty Trask - to też gudłajka. Zastanawiał się nad tym przez dłuższy czas, a zeszłej nocy nabral pewności. Ci Traskowie tylko udawali białych. Wystarczy spojrzeć na jej nos i tę oliwkową cerę - u jej starego widać to było jeszcze wyraźniej - i wiedziałeś. Pewnie dlatego nie chciał mu stanąć. To proste: jego ptak zauważył różnicę wcześniej niż jego mózg. Myślą, że oszukają kogoś, nazywając się Trask?

- Jeszcze raz gratuluję, synu.

Spojrzał i najpierw zobaczył wyciągniętą rękę ojca, a potem jego głupkowato uśmiechniętą twarz.

Twój koleś Trask to Żyd! - miał ochotę rzucić mu w twarz. Dlatego zeszłej nocy byłem impotentem z tą jego kurwą-córką! Właśnie dlatego!

Zaraz potem usłyszał chłodny głos, który czasem w takich chwilach jak ta przywoływał go do porządku, powstrzymując wzbierającą falę szaleństwa, jak za

(NATYCHMIAST WEŻ SIĘ W GARŚĆ) stalowymi wrotami.

Ujął dłoń ojca i uściśnął ją. Uśmiechnął się niewinnie i powiedział:

- O Jezu, tato.

Zostawili na stole rozłożoną gazetę i notatkę dla Moniki. Dick nalegał, żeby Todd skreślił ją osobiście i podpisał „Twój syn-reprezentant, Todd”.

22

Ed French, alias Dęciak French, alias Pete Adidas, Cichobieźny i Cichobieźna Kometa, a także alias Gumowy Ed French, przebywał na zjeździe szkolnych pedagogów w małym i uroczym nadmorskim miasteczku San Remo. Ten wyjazd był po prostu stratą czasu - jedyne, co szkolni pedagodzy kiedykolwiek byli w stanie uzgodnić, to że nie są zgodni w żadnej kwestii - bo już po jednym dniu znudził się referatami, seminariami i dyskusjami. W połowie drugiego dnia odkrył, że nudzi go także San Remo, a z przymiotników małe i urocze kluczowym jest przymiotnik małe. Pomijając wspaniałe widoki i sekwoje, w San Remo nie było kina ani kręgielni, a Ed nie zamierzał iść do jedyne go baru, który miał brudny parking zapchany furgonetkami, przeważnie z poprzyklejanymi na zardzewiałych zderzakach i bagażnikach plakietkami wyborczymi Reagana. Nie obawiał się, że będzie widoczny w tłumie, ale nie miał ochoty spędzić całego wieczoru, patrząc na mężczyzn w kowbojskich kapeluszach i słuchając z szafy grającej głosu Loretty Lynn.

Tak więc zaczął się trzeci dzień zjazdu, który miał trwać cztery dni; Ed siedział w pokoju 217 hotelu Holiday Inn, jego żona i córka zostały w domu, telewizor był popsuty, a w łazience unosił się nieprzyjemny zapach. W hotelu był basen, ale tego lata egzema dokuczała mu tak bardzo, że Ed nie zamierzał pokazywać się w spodenkach kąpielowych. Od kolan w dół wyglądał jak trędowaty. Miał godzinę czasu do następnych warsztatów („Pomoc dzieciom z wadami wymowy” - co oznaczało, że trzeba coś zrobić dla dzieciaków, które jękają się lub mają rozszczep podniebienia, tylko nie mówić o tym głośno, nie, Chryste, bo ktoś mógłby obciąć nam pensję), zjadł już lunch w hotelowej restauracji, nie miał ochoty na drzemkę, a na jedynym działającym kanale telewizyjnym nadawali powtórkę „Czarownic”.

Dlatego wziął książkę telefoniczną i machinalnie zaczął ją kartkować, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, zastanawiając się, czy zna kogoś tak szalonego albo lubiącego małe, urocze, nadmorskie miasteczka, żeby mieszkać w San Remo.

Podejrzał, że właśnie to w końcu robili wszyscy znudzeni ludzie w każdym Holiday Inn na całym świecie - szukali jakiegoś starego znajomego lub krewnego, do którego mogliby zadzwonić. Mogli wybierać między tym, „Czarownicami” albo Biblią Gideona. A jeśli rzeczywiście uda ci się do kogoś dodzwonić, co, do diabła, powiesz? „Frank! Jak się masz, do cholery? Nawiasem mówiąc, co to za miejscina - mała, urocza czy nadmorska?”. Jasne. Racja. Poczęstuj gościa cygarem i podaj mu ogień.

A jednak, gdy tak leżał na łóżku, kartkując ciekawą książkę telefoniczną San Remo i niedbale przesuwał wzrokiem po kolumnach nazwisk, wydało mu się, że chyba zna kogoś w San Remo. Jakiegoś księgarza? Siostrzenicę lub siostrzeńca Sondry, których miała całe bataliony? Kumpla, z którym grał w pokera w college'u? Krewnego jakiegoś ucznia? Wydawało mu się, że chyba to ostatnie, ale nie przypominał sobie żadnych bliższych danych.

Przewracał kartki i stwierdził, że jednak jest senny. Już prawie zasypiał, gdy nagle przypomniał sobie i usiadł na łóżku, gwałtownie trzeźwiejąc.

Lord Peter!

Ostatnio powtarzali w telewizji te filmy o Wimseyu „Chmary świadków”, „Ogłoszenie na morderstwo”, „Dziwięciu krawców”. Oglądał je razem z Sondrą. Wimseya grał Ian Carmichael, a Sondra szalała na jego punkcie. Prawdę mówiąc, szalała tak bardzo, że Ed, którego zdaniem Ian Carmichael wcale nie nadawał się na Wimseya, zaczynał się irytować.

- Sandy, on ma nie taki kształt twarzy! A ponadto nosi sztuczną szczękę!

- Phi - odpowiadała niedbale Sondra ze swego miejsca na kanapie. - Jesteś zazdrosny. On jest taki przystojny.

- Tatuś zazdrosny, tatuś zazdrosny - nuciła mała Norma, biegając w piżamce w kaczuszki po saloniku.

- Już od godziny powinnaś być w łóżku - powiedział Ed, mierząc córeczkę niechętnym spojrzeniem. - Jeśli będę cię słyszał tutaj, to pewnie przypomnę sobie, że nie ma cię tam.

Mała Norma stropiła się na chwilę. Ed znów obrócił się do Sondry.

- Pamiętam, że trzy czy cztery lata temu miałem dzieciaka, który nazywał się Todd Bowden i kiedyś przyszedł do mnie na rozmowę jego dziadek. Wyglądał jak Wimsey. Bardzo stary Wimsey, ale miał odpowiedni kształt twarzy i...

- Wim-zee, Wim-zee, Dim-zee, Jim-zee - zaśpiewała mała Norma. - Wim-zee, Bim-zee, dudle-dudle-du...

- Cicho, oboje - powiedziała Sondra. - Ja uważam, że to niezwykle piękny mężczyzna.

Irytująca kobieta!

Czy dziadek Todda Bowdena nie przeniósł się do San Remo po przejściu na emeryturę? Jasne. To było w aktach. Todd był jednym z najzdolniejszych uczniów w swojej klasie. Potem, nagle, zaczął dostawać fatalne stopnie. Stary przyszedł, opowiedział typową historię o kłopotach małżeńskich i namówił Eda, żeby na jakiś czas pozwolił sprawom biec własnym torem i zobaczył, czy wszystko nie wróci do normy. Ed uważał, że ten *laissez-faire* sposób nie działa - jeżeli kazało się nastolatkowi brać do roboty lub paść, zazwyczaj padał. Jednak stary był niemal upiornie przekonujący (może przez swoje podobieństwo do Wimseya), więc Ed zgodził się dać Toddowi czas do końca semestru. I niech go diabli, jeśli Todd nie wybrnął z tarapatów. Stary musiał pogadać z rodziną i skopać komuś tyłek, pomyślał Ed. Wyglądał na faceta, który nie tylko mógłby to zrobić, ale w dodatku czerpać z tego pewną ponurą satysfakcję. Aż tu dwa dni temu Ed zobaczył zdjęcie Todda w gazecie - chłopak dostał się do reprezentacji południowej Kalifornii w baseballu. Nie lada osiągnięcie zważywszy na to, że każdej wiosny kandydowało do drużyny około pięciuset chłopców. Podejrzał, że nigdy nie przypominałby sobie nazwiska dziadka, gdyby nie to zdjęcie w gazecie.

Teraz już z rozmysłem przekartkował książkę telefoniczną, przesunął palcem po kolumnie drobnego druku i znalazł:

BOWDEN, VICTOR S. 403 Ridge Lane. Ed wykręcił numer i odczekał chwilę. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy stary odebrał telefon.

- Halo?

- Halo, panie Bowden. Tu Ed French. Ze szkoły w Santo Donato.

- Tak?

Uprzejmie, ale nic poza tym. Cienia rozpoznania. No cóż, gość postarzał się o trzy lata (jak wszyscy!), więc na pewno od czasu do czasu o czymś zapominał.

- Pamięta mnie pan?

- A powinienem? - odparł ostrożnie Bowden i Ed uśmiechnął się. Stary zapominał o różnych rzeczach, ale nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział. Ojciec Eda postępował tak samo, kiedy zaczął tracić słuch.

- Byłem szkolnym pedagogiem pańskiego wnuka Todda w szkole w Santo Donato. Dzwonię, żeby panu pogratulować. Naprawdę dobrze sobie radzi w college'u,

prawda? A teraz powołano go do reprezentacji. Ha!

- Todd! - natychmiast odparł stary ożywionym głosem. - Tak, rzeczywiście dobrze się spisał, prawda? Drugi w klasie! A dziewczyna, która go wyprzedziła, poszła do szkoły biznesu.

W głosie starego słychać było lekki niesmak.

- Mój syn dzwonił i zapraszał mnie na rozdanie świadectw, ale jestem przykuty do fotela. W styczniu złamałem nogę w biodrze. Nie chciałem tam jechać w wózku inwalidzkim. Jednak zdjęcie z rozdania świadectw powiesiłem w przedpokoju, może pan być pewien! Rodzice są bardzo dumni z Todda. Ja, oczywiście, też.

- Tak, chyba wyciągnęliśmy go z tarapatów - powiedział Ed. Uśmiechał się, ale był trochę zaskoczony - głos dziadka Todda brzmiał trochę inaczej. Oczywiście, słyszał go dawno temu.

- Tarapatów? Jakich tarapatów?

- Mówię o naszej rozmowie. Todd miał kłopoty z nauką. W dziewiątej klasie.

- Nie nadażam - powiedział powoli tamten. - Nigdy nie podjąłbym się wyręczać Richarda w opiece nad synem. To wywołałoby kłopoty... ho-ho, nie ma pan pojęcia, jak poważne kłopoty. Pomylił się pan, młody człowieku.

- Ale...

- To jakaś pomyłka. Podejrzewam, że na pewno chodzi o innego ucznia i innego dziadka.

Ed był wstrząśnięty. Była to jedna z niewielu chwil w jego życiu, kiedy nie wiedział, co powiedzieć. Jeżeli ktoś coś pomieszał, to na pewno nie on.

- No cóż - rzekł z wahaniem Bowden - miło, że pan zadzwonił, panie...

Ed odzyskał mowę.

- Jestem w San Remo, panie Bowden. Na zjeździe szkolnych pedagogów. Kończy się jutro o dziesiątej rano. Może mógłbym wpaść na... - ponownie sprawdził w książce telefonicznej - ... na Ridge Lane i zobaczyć się z panem?

- Po cóż, na Boga?

- Chyba z ciekawości. Teraz to już minione dzieje. Jednak trzy lata temu Todd miał poważne kłopoty z nauką. Tak poważne, że przekazałem notatkę do jego rodziców, prosząc o spotkanie z którymś z nich, a najlepiej z obojgiem. Przyszedł na nie jego dziadek, bardzo miły człowiek, niejaki Victor Bowden.

- Przecież już panu mówiłem...

- Tak. Wiem. Mimo to rozmawiałem z kimś podającym się za dziadka Todda.

Pewnie nie ma to teraz większego znaczenia, ale chcę się przekonać na własne oczy. Zajmę panu kilka minut. Tylko tyle mogę, ponieważ na kolację muszę być w domu.

- Czasu mam dość - odparł Bowden trochę szorstko. Będę tu cały dzień. Proszę wpaść.

Ed podziękował mu, powiedział do widzenia i się rozłączył. Usiadł na brzegu łóżka, patrząc w zadumie na telefon. Po chwili wstał i wyjął paczkę cygaretek z kieszeni sportowej marynarki wiszącej na oparciu krzesła. Powinien już iść; zaraz zaczną się warsztaty, na których jego nieobecność zostanie zauważona. Zapalił cygaro zapalką z Holiday Inn i wrzucił ją do popielniczki z nadrukiem Holiday Inn. Podszedł do okna Holiday Inn i obrzucił nie widzącym spojrzeniem hotelowy dziedziniec.

Nie ma to teraz większego znaczenia, powiedział Bowdenowi, ale miało. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby któryś z jego dzieciaków sprzedawał mu taki kit, więc to niespodziewane odkrycie zdenerwowało go. Nadal istniała możliwość, że to przypadek zaawansowanej sklerozy, ale - sądząc po głosie Victor Bowden jeszcze nie był zdzieciniałym staruszkiem.

Czyżby Todd Bowden nabrał Eda?

Uznał, że to całkiem możliwe. Przynajmniej teoretycznie. Szczególnie w przypadku takiego bystrego chłopca jak Todd. Mógł nabrać każdego, nie tylko Eda Frencha. Mógł podrobić podpis matki lub ojca na „czerwonej kartce”, jaką dostał za złe wyniki w nauce. Mógł posłużyć się korektorem, zręcznie zmieniając stopnie na cenzurkach z drugiego i trzeciego semestru, najpierw przed pokazaniem ich rodzicom, a potem ponownie, tak by wychowawca lub wychowawczyni niczego nie zauważyli. Ktoś, kto sprawdziłby to dokładnie, wykryłby dwukrotne użycie korektora, ale wychowawcy mieli pod opieką kilkudziesięciu uczniów. Mogli mówić o szczęściu, jeśli do końca lekcji udało im się odczytać listę, nie mówiąc o dokładnym sprawdzaniu cenzurek pod kątem fałszerstwa.

A co do ostatecznych wyników Todda, to w średniej punktacji spadł nie więcej niż trzy punkty - dwa słabsze semestry na dwanaście. Inne oceny miał na tyle dobre, że wyrównały różnicę. A ilu rodziców wpada do szkoły, żeby przejrzeć akta ucznia przechowywane dla kalifornijskiego Departamentu Edukacji? Szczególnie w przypadku tak zdolnego ucznia jak Todd Bowden?

Na zazwyczaj gładkim czole Eda Frencha pojawiły się głębokie zmarszczki.

Nie ma to teraz większego znaczenia. To szczerą prawdą. Todd wzorowo uczył się w college'u; w żaden sposób nie mógłby osiągnąć 94 punktów oszustwem.

Wybierał się do Berkeley, tak Ed przeczytał w gazecie i podejrzewał, że rodzice chłopca są z niego bardzo dumni - i mają do tego prawo. Coraz częściej dochodził do wniosku, że amerykański styl życia w znacznym stopniu opiera się na oportunistycznym, szukaniu skrótów, narkotykach, seksie i z roku na rok bardziej wątpliwej moralności. Kiedy dzieciak radzi sobie z tym, rodzice mają prawo być z niego dumni.

Nie ma to teraz większego znaczenia - tylko kim był ten kłamliwy dziadek?

Wciąż go to dręczyło. Właśnie - kim? Czy Todd Bowden poszedł do miejscowego Stowarzyszenia Aktorów i zostawił wiadomość na tablicy ogłoszeń? MŁODY CZŁOWIEK Z KŁOPOTAMI W SZKOLE SZUKA STARUSZKA 70 - 80 LAT, KTÓRY WYSTĄPI W SPEKTAKLU BUFFO JAKO DZIADEK, PO STAWKACH ZWIĄZKOWYCH? Aha. Nie ma mowy, Jose. Który dorosły człowiek wziąłby udział w takim spisku i dlaczego?

Ed French, alias Dęciak, alias Gumowy Ed, po prostu nie wiedział. A ponieważ nie miało to żadnego znaczenia, zgasił cygaretkę i poszedł na zajęcia. Jednak nie mógł się skupić.

Następnego dnia pojechał na Ridge Lane i odbył długie spotkanie z Victorem Bowdenem. Rozmawiali o winorośli; rozmawiali o prowadzeniu małego sklepu spożywczego i o tym, jak sieci supermarketów wypierają drobnych właścicieli z interesu; rozmawiali o klimacie politycznym w południowej Kalifornii. Pan Bowden zaproponował Edowi szklaneczkę wina. Ed przyjął ją z przyjemnością. Czuł, że musi się napić, chociaż była dopiero za dwadzieścia jedenasta. Victor Bowden był równie podobny do Petera Wimseya jak karabin maszynowy do pałki. Victor Bowden nie miał śladu europejskiego akcentu i był dość gruby. Mężczyzna, który udawał dziadka Todda, był chudy jak szczapa.

Przed wyjściem Ed zaproponował gospodarzowi:

- Byłbym wdzięczny, gdyby nie wspominał pan o tym panu ani pani Bowden. Wszystko to może mieć jakieś zupełnie rozsądne wyjaśnienie... a nawet jeśli nie, to już przeszłość.

- Czasami - rzekł Bowden, podnosząc szklanekę do słońca i podziwiając ciemnoczerwoną barwę wina - przeszłość nie umiera tak łatwo. Inaczej po co ludzie studiowaliby historię?

Ed uśmiechnął się i nic nie powiedział.

- Jednak niech pan się nie martwi. Nigdy nie wtrącam się w sprawy Richarda. A

Todd to dobry dzieciak. Drugi w klasie... musi być dobrym chłopcem. Mam rację?

- Jasne - odparł serdecznie Ed French, a potem poprosił o jeszcze jedną szklankę wina.

23

Dussander źle spał; znów miał koszmarne sny.

Przerwali ogrodzenie. Były ich tysiące, może miliony. Wybiegali z dżungli i rzucali się na druty elektryczne, które zaczęły złowieszczo się uginać. Niektóre już pękły i leżały bezsilnie na udeptanej ziemi placu apelowego, sypiąc niebieskimi iskrami. A oni nadciągali i nadciągali. Führer był tak szalony, jak twierdził Rommel, jeśli sądził teraz - jeśli sądził kiedykolwiek - że ten problem można ostatecznie rozwiązać. Były ich miliardy; wypełniali wszechświat - i wszyscy chcieli dopaść jego.

- Starcze. Obudź się, starcze. Dussanderze. Obudź się, starcze, obudź.

Z początku myślał, że to głos ze snu.

Głos mówił po niemiecku; musiał być częścią snu. Oczywiście; dlatego był tak przerażający. Jeśli się obudzi, ucieknie przed nim, więc spróbował...

Mężczyzna siedział przy jego łóżku na odwróconym oparciem naprzód krześle - i był rzeczywisty.

- Obudź się, starcze - mówił. Był młody - nie miał więcej jak trzydzieści lat. Jego oczy były ciemne i zamyślane za szklami okularów w zwykłych metalowych oprawkach. Przydługie brązowe włosy sięgały kołnierzyka i przez chwilę Dussanderowi wydało się, że to chłopak w przebraniu. Jednak to nie był chłopak, w tym dość staromodnym granatowym garniturze, zbyt grubym na kalifornijski klimat. W lewej klapie marynarki miał wpięty mały, srebrny znaczek. Srebro, metal zbijający wampiry i wilkołaki. Znaczek miał kształt sześcioramiennej, żydowskiej gwiazdy.

- Mówi pan do mnie? - zapytał po niemiecku Dussander.

- A do kogo? Pański współlokator wyszedł.

- Heisel? Tak. Wczoraj wyszedł do domu.

- Już się pan obudził?

- Oczywiście. Jednak najwyraźniej bierze mnie pan za kogoś innego. Nazywam się Arthur Denker. Może pomylił pan pokój.

- Ja nazywam się Weiskopf. A pan jest Kurt Dussander.

Dussander miał ochotę oblizać wargi, ale nie zrobił tego. Może to tylko sen -

nowa faza, nic więcej. Daj mi pijaka i nóż rzeźnicki, panie Żydowska Gwiazda, a zaraz rozwiejesz się jak dym.

- Nie znam żadnego Dussandera - powiedział młodemu człowiekowi. - Nie rozumiem pana. Czy mam zadzwonić po pielęgniarkę?

- Rozumie pan - rzekł Weiskopf. Nieznacznie zmienił pozycję i odgarnął włosy z czoła. Ten prozaiczny gest rozwiął resztki nadziei Dussandera.

- Heisel - rzekł Weiskopf i wskazał na puste łóżko.

- Heisel, Dussander, Weiskopf - żadne z tych nazwisk nic dla mnie nie znaczy.

- Heisel spadł z drabiny, przybijając nową rynnę - wyjaśnił Weiskopf. - Złamał sobie kręgosłup. Może nigdy nie będzie chodził. Niestety. Jednak to nie jedyna tragedia w jego życiu. Był więźniem Patin, gdzie stracił żonę i dwie córki. W Patin, gdzie pan był komendantem.

- Pan chyba zwariował - powiedział Dussander. - Nazywam się Arthur Denker. Przybyłem do tego kraju po śmierci żony. Przedtem byłem...

- Niech mi pan tego oszczędzi - przerwał mu Weiskopf. - On nie zapomniał pańskiej twarzy. Tej twarzy.

Jak magik wykonujący pokazowy trik, Weiskopf podsunął mu pod nos fotografię. Jedną z tych, które przed laty pokazał mu chłopiec. Młody Dussander w zawiadaczko przekrzywionej czapce, siedzący za biurkiem.

Dussander powiedział po angielsku, powoli, starannie wymawiając słowa:

- Podczas wojny pracowałem jako mechanik w fabryce.

Nadzorowałem produkcję kolumn sterowniczych i gaśnic do wozów pancernych i ciężarówek. Później pomagałem budować Tygrysy. Mój oddział rezerwy został zmobilizowany podczas bitwy o Berlin i walczyłem dzielnie, choć krótko. Po wojnie pracowałem w Essen, w zakładach samochodowych Menschlera, aż...

- ...aż musiał pan uciekać do Ameryki Południowej. Ze złotem wytopionym z żydowskich zębów, srebrem z przetopionej żydowskiej biżuterii oraz numerowym kontem w szwajcarskim banku. Wie pan co, pan Heisel wyszedł ze szpitala szczęśliwy. Och, przeżył kiepskie chwile, kiedy zbudził się w ciemności i zrozumiał, z kim dzieli pokój. Jednak teraz czuje się lepiej. Uważa, że Bóg w swej łasce pozwolił, by złamał sobie kręgosłup po to, żeby mógł przyczynić się do schwytania najgorszego mordercy, jaki chodzi po tej ziemi.

Dussander znów zaczął spokojnie, starannie wymawiając słowa:

- Moim zadaniem było nadzorowanie produkcji...

- Trupów! Tak czy inaczej, przed Nowym Rokiem będzie pan w Tel-Awiiwie. Tym razem władze będą z nami współpracować, panie Dussander. Amerykanie chcą nas uszczęśliwić, a jedną z tych rzeczy, które nas uszczęśliwią, jest pan.

- ...kolumn sterowniczych i gąsienic do wozów pancernych i ciężarówek. Później pomagałem budować Tygrysy.

- Po co się upierać? Po co ciągnąć tę farsę?

- Mój oddział rezerwy został zmobilizowany...

- A więc dobrze. Zobaczmy się jeszcze. Wkrótce.

Weiskopf wstał. Przez moment jego cień tańczył na ścianie, a potem i on zniknął. Dussander zamknął oczy. Zastanawiał się, czy Weiskopf mówił prawdę o współpracy z Amerykanami. Trzy lata temu, kiedy w Ameryce było krucho z ropą, nie uwierzyliby w to. Jednak ostatni przewrót w Iranie mógł spowodować energiczniejsze poparcie dla Izraela. To możliwe. Tylko czy to ma jakieś znaczenie? Tak czy inaczej, legalnie czy nie, Weiskopf i jego koledzy dopadną go. W kwestii nazistów byli nieprzejednani, a kiedy chodziło o obozy, stawali się bandą szaleńców.

Cały się trząsał. Jednak wiedział, co musi teraz zrobić.

24

Akta uczniów, którzy ukończyli szkołę w Santo Donato, przechowywano w starym, landarowatym magazynie na północnym krańcu miasteczka. Znajdował się opodal opuszczonej stacji kolejowej. Było w nim ciemno, głucho i pachniało pastą oraz płynem do czyszczenia 999 - ponieważ służył również jako skład środków czyszczących dla sprzątarek.

Ed French dotarł tam razem z Normą około czwartej po południu. Dozorca wpuścił ich, powiedział Edowi, że poszukiwane akta znajdzie na trzecim piętrze, i wsadził ich do trzeszczącej, zgrzytającej windy, w której Norma z przestrachu pogrążyła się w nietypowym dla niej milczeniu.

Doszła do siebie na trzecim piętrze, kręcąc się i myszkując wśród rzędów regałów z książkami i aktami, podczas gdy Ed szukał sprawozdań za rok 1975. W końcu znalazł je, wyjął drugi skoroszyt i zaczął szukać pod „B”. Bork. Bostwick. Boswell. Bowden, Todd. Wyjął kartę, potrząsnął głową zniecierpliwiony słabym światłem, po czym podszedł do jednego z wysokich, brudnych okien.

- Nie biegaj tutaj, kochanie - rzucił przez ramię.

- Dlaczego, tatusiu?

- Bo złapią cię trolle - odparł i podsunął kartę Todda do światła.

Zobaczył to od razu. Sprawozdanie, sporządzone trzy lata temu, zostało zręcznie, niemal profesjonalnie, sfalszowane.

- Jezu Chryste - mruknął Ed French.

- Trolle, trolle, trolle! - nuciła z uciechą Norma, biegnąc między regałami.

25

Dussander ostrożnie szedł szpitalnym korytarzem. Wciąż ugiwały się pod nim nogi. Na białą szpitalną koszulę narzucił niebieski szlafrok. Był wieczór, tuż po ósmej, i pielęgniarki miały zmianę dyżuru. Przez następne pół godziny będzie trochę zamieszania - zaobserwował, że każdej zmianie dyżuru towarzyszy chwilowy bałagan. W tym czasie w znajdującej się obok dystrybutora wody pitnej dyżurce pielęgniarek wymieniano notatki, plotkowano i pito kawę.

To, czego potrzebował, znajdowało się po drugiej stronie dystrybutora.

Nie rzucał się w oczy w szerokim korytarzu, który o tej porze przypominał mu długi i pełen ech dworzec kolejowy na kilka minut przed odjazdem pociągu. Chorzy wolno paradowali tam i z powrotem, jedni w takich samych szlafrokach jak on, inni przytrzymując poły koszul. Z kilku odbiorników tranzystorowych w salach płynęła hałaśliwa muzyka. Odwiedzający przychodzili i wychodzili. W którymś pokoju rozległ się męski śmiech, a na drugim końcu korytarza jakiś mężczyzna cicho płakał. Obok przeszedł lekarz z nosem wbitym w książkę.

Dussander dotarł do dystrybutora, napił się, otarł usta wierzchem ręki i spojrzał na zamknięte drzwi po drugiej stronie. Zawsze były zamknięte - przynajmniej w teorii. W praktyce zauważył, że czasami były zarówno otwarte, jak i nie pilnowane. Najczęściej zdarzało się to podczas zmiany dyżurów, kiedy pielęgniarki gromadziły się za rogiem. Dussander zarejestrował to czujnym i wprawnym okiem człowieka, który ucieka od bardzo, bardzo dawna. Żałował tylko, że nie może obserwować tych drzwi co najmniej jeszcze przez tydzień, szukając niebezpiecznych odstępstw od normy - bo miał tylko jedną szansę. Jednak nie mógł czekać. Jego status Miejscowego Wilkołaka może pozostanie nieznaną jeszcze przez dwa lub trzy dni, ale równie dobrze może zostać ujawniony jutro. Nie śmiał czekać. Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, będzie nieustannie pilnowany.

Wypił kolejny łyk, znów otarł wargi i rozejrzył się na boki. Potem, niedbale, nie próbując się kryć, przeszedł przez korytarz, nacisnął klamkę i wszedł do magazynka z lekami. Gdyby dyżurna pielęgniarka siedziała już za biurkiem, to udałby krótkowzrocznego pana Denkera. Och przepraszam, siostró, myślałem, że to WC. Ależ ze mnie głupiec.

Jednak w magazynku nie było nikogo.

Rzucił okiem na górną półkę po lewej. Same krople do oczu i uszu. Druga półka: środki przeczyszczające, czopki. Na trzeciej zobaczył seconal i veronal. Włożył słoiczek seconalu do kieszeni szlafroka. Potem wrócił do drzwi i wyszedł nie rozglądając się, z głupim uśmieszkiem na twarzy - to przecież nie WC, no nie? O, tam jest, kawałek dalej! Ależ ze mnie głupiec!

Podszedł do drzwi z napisem DLA MEŹCZYŹN, wszedł do środka i umył ręce. Potem wrócił korytarzem do dwuosobowej sali, którą miał wyłącznie dla siebie, od kiedy wypisano szacownego pana Heisela. Na stoliku między łózkami stała szklanka i plastikowy bidon z wodą. Szkoda, że nie ma burbona; naprawdę, co za wstyd. Jednak tabletki pozwolą mu odpłynąć, obojętnie czym je popije.

- *Salud*, Morrisie Heisel - powiedział z nikłym uśmiechem i nalał sobie szklankę wody. Po tych wszystkich latach strachu przed własnym cieniem, przed znajomo wyglądającymi twarzami ludzi na parkowych ławkach, w restauracjach lub na dworcach, w końcu został rozpoznany i zdemaskowany przez człowieka, którego wcale nie poznawał. To było niemal zabawne.

Ledwie zerknął na tego Heisela, z jego złamanym kręgosłupem i boską łaską. Po namyśle stwierdził, że to nie jest niemal zabawne, lecz bardzo zabawne.

Włożył trzy tabletki do ust, przełknął je z wodą, wziął jeszcze trzy i jeszcze. W sali po drugiej stronie korytarza widział dwóch starców pochylonych nad nocnym stolikiem, rozgrywających partyjkę makao. Dussander wiedział, że jeden z nich ma przepuklinę. A na co cierpi drugi? Kamienie żółciowe? Nerkowe? Nowotwór? Przerost prostaty? Okropności podeszłego wieku. Ich imię legion.

Ponownie napełnił szklankę wodą, ale na razie nie połknął kolejnych tabletek. Zbyt wiele mogłoby udaremnić jego plan. Mógłby je zwrócić, a wtedy zrobiliby mu płukanie żołądka, ratując go i skazując na upokorzenia, jakie wymyślą Amerykanie z Izraelczykami. Nie zamierzał odbierać sobie życia bezmyślnie, jak jakaś rozhisteryzowana *Hausfrau*. Kiedy poczuje senność, połknie kilka następnych. Tak będzie dobrze.

Doleciał go drżący głos jednego z graczy, cienki i triumfujący:

- Dwa razy trójka za osiem... piętnaście... dwanaście... i jeszcze dzoker. I jak ci się to podoba?

- Nie bój się - powiedział z przekonaniem starszy z przepukliną. - To dopiero początek. Jeszcze wygrzebie się z bagna.

Wygrzebie się z bagna, pomyślał Dussander, czując już senność. Celne określenie - ci Amerykanie mają dar do takich powiedzonek. Gównu mnie to obchodzi, wszedł i wyszedł, wepchnąć gdzie słońce nie dochodzi, kto smaruje ten jedzie. Cudowny idiom.

Myśleli, że go dopadli, ale on jeszcze wygrzebie się z bagna i to na ich oczach.

To czysty absurd, ale pożałował, że nie może zostawić listu do chłopca. Chciałby mu powiedzieć, żeby był bardzo ostrożny. Żeby posłuchał starego człowieka, który wreszcie się przeliczył. Chciałby powiedzieć chłopcu, że w końcu on, Dussander, zaczął go szanować, nawet jeśli nie zdołał go polubić, a rozmowy z nim były lepsze niż wsłuchiwanie się we własne myśli. Jednak każda notatka, choćby nie wiem jak niewinna, ściągnęłaby podejrzania na chłopaka, a tego Dussander nie chciał. Och, chłopiec przeżyje paskudny miesiąc czy dwa, czekając, aż pokaże się ktoś z FBI i zapyta go o pewien dokument, który znaleziono w skrytce bankowej niejakiego Kurta Dussandera, alias Arthura Denkera... ale po pewnym czasie zrozumie, że powiedział mu prawdę. Wcale nie musi przez to ucierpieć, o ile zachowa zimną krew.

Dussander sięgnął ręką, która wydawała się wyciągać całe mile, chwycił szklanekę z wodą i zażył jeszcze trzy tabletki. Odstawił szklanekę, zamknął oczy i opadł głębiej w miękką poduszkę. Nigdy tak bardzo nie chciało mu się spać i będzie spał długo. Odpocznie. O ile nie będzie miał snów.

Ta myśl wstrząsnęła nim. Sny? Boże, proszę, nie. Tylko nie te sny. Nie przez wieczność, nie teraz, kiedy nie będzie mógł się obudzić. Nie...

Zdjęty nagłym przerażeniem, usiłował się zbudzić. Miał wrażenie, że z łóżka wyciągają się niezliczone ręce, usiłując złapać go w szponiaste palce.

(!NIE!)

Myśli zmieniły się w opadającą spiralę ciemności, po której zaczął spadać błyskawicznym ślizgiem, coraz niżej i niżej, ku czekającym nań snom.

O pierwszej trzydziści pięć odkryto, że przedawkował i piętnaście minut później uznano go za zmarłego. Dyżurna pielęgniarka była młoda i wrażliwa na lekko

ironiczny, światowy wdzięk starego pana Denkera. Wybuchnęła płaczem. Była katoliczką i nie mogła zrozumieć, dlaczego taki miły starszy pan, który czuł się coraz lepiej, mógł zrobić coś takiego i skazać swoją nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie.

26

W sobotnie ranki w domu Bowdenów nikt nie wstawał przed dziewiątą. Tego rana o dziewiątej trzydzieści Todd i ojciec czytali przy stole, a Monica, która wolno się budziła, bez słowa, wciąż na wpół śpiąca, podała im jajecznicę, sok i kawę.

Todd czytał powieść science fiction w miękkiej okładce, a Dick „Architectural Digest”, kiedy usłyszeli dźwięk padającej na schody gazety.

- Mam ją przynieść, tato?

- Sam pójdę.

Dick przyniósł ją, zaczął pić kawę i zakrztusił się, gdy spojrzał na pierwszą stronę.

- Co się stało? - zapytała Monica, podbiegając do męża.

Bowden krztusił się kawą, która wpadła mu nie w tę dziurkę. Todd z lekkim zdziwieniem popatrzył na niego znad książki, a Monica zaczęła walić go po plecach. Przy trzecim uderzeniu jej wzrok padł na nagłówek pierwszej strony i natychmiast znieruchomiała jak posąg. Otworzyła oczy tak szeroko, że wydawało się, iż zaraz wypadną jej na stół.

- Dobry Boże w niebiesiech! - zdołał wykrztusić Dick Bowden.

- Czy to nie... Nie mogę uwierzyć... - zaczęła Monica i urwała. Spojrzała na Todda. - Och, kochanie...

Ojciec też na niego popatrzył.

Zaalarmowany, Todd obszedł stół.

- O co chodzi?

- Pan Denker... - tylko tyle zdołał wykrztusić Dick.

Todd przeczytał nagłówek i wszystko zrozumiał. Czarne litery głosiły: SAMOBÓJSTWO BYŁEGO HITLEROWCA W SZPITALU W SANTO DONATO. Poniżej były dwie fotografie, jedna obok drugiej. Jedna ukazywała Arthura Denkera, sześć lat młodszego i żywszego. Todd wiedział, że została zrobiona przez ulicznego fotografa hipisa, od którego stary odkupił ją, żeby mieć pewność, iż nie wpadnie w

niepowołane ręce. Na drugim zdjęciu był oficer SS, Kurt Dussander za swoim biurkiem w Patin, w zawadiacko przekrzywionej czapce.

Jeżeli mieli fotografię zrobioną przez hipisa, to znaczy, że byli w domu starego.

Todd przesunął wzrokiem po artykule, gorączkowo rozważając sytuację. Żadnej wzmianki o pijakach. Jednak znajdują ciała i dopiero wtedy ta historia nabierze rozgłosu. KOMENDANT PATIN NIGDY NIE PRZESTAŁ MORDOWAĆ. HORROR W PIWNICY HITLEROWCA. NIGDY NIE PRZESTAŁ ZABIJAĆ.

Todd Bowden zachwiał się.

W oddali usłyszał przeraźliwy krzyk matki:

- Łap go, Dick! On mdleje!

To słowo

(mdlejemdlejemdleje)

powtarzało się bez końca. Ledwie poczuł, jak ojciec złapał go, a potem przez jakiś czas niczego już nie czuł i nie słyszał.

27

Ed French jadł twarożek, kiedy rozłożył gazetę. Kaszlnął, wydał dziwny zduszony dźwięk i opluł stół serkiem.

- Eddie! - krzyknęła z lekkim przestraczeniem Sondra French. - Nic ci nie jest?

- Tatuś dławi, tatuś dławi - oznajmiła mała Norma z nerwowym chichotem, a potem przyłączyła się do mamy, tłukącej ojca po plecach. Ed ledwie czuł te uderzenia. Wciąż gapił się na gazetę.

- Co się stało, Eddie? - zapytała Sondra.

- To on! On! - wrzasnął Ed, tak silnie dźgając palcem w gazetę, że przebił paznokciem całą część A. - To ten człowiek! Lord Peter!

- Co, na Boga, chcesz...

- To jest dziadek Todda Bowdena!

- Co? Ten zbrodniarz wojenny? Eddie, to szaleństwo!

- Ale to on - prawie jęknął Eddie. - Jezu Chryste Wszechmocny, to on!

Sondra French długo i uważnie przyglądała się zdjęciu.

- Wcale nie wygląda jak Peter Wimsey - stwierdziła w końcu.

28

Todd, blady jak mleczna szyba, tkwił na ławce między ojcem i matką.

Naprzeciw nich siedział siwawy, uprzejmy oficer policji nazwiskiem Richler. Ojciec Todda chciał zadzwonić na policję, ale Todd zrobił to sam, załamującym się głosem, jakim mówił, mając czternaście lat.

Zakończył swój recital. Nie trwało to długo. Mówił z mechaniczną obojętnością, która piekielnie przeraziła Monicę. Miał siedemnaście lat, to prawda, ale pod wieloma względami był jeszcze chłopcem. Takie przeżycie mogło pozostawić głęboki uraz.

- Czytałem mu... och, nie pamiętam. „Toma Jonesa”. „Młyn nad Flossą”. To było nudne. Chyba nie doczytaliśmy tego do końca. Kilka opowiadań Hawthorne'a - pamiętam, że szczególnie podobało mu się „Wielka kamienna twarz” oraz „Młody Goodman Brown”. Zaczęliśmy czytać „Klub Pickwicka”, ale nie podobał mu się. Powiedział, że Dickens jest śmieszny tylko wtedy, kiedy jest poważny, a Pickwick jest ugłaskany jak kociak. Tak to określił, jak kociak. Najlepiej czytało nam się „Toma Jonesa”. Obu nam się podobał.

- I to było trzy lata temu - rzekł Richler.

- Tak. Nadal przychodziłem do niego, kiedy mogłem, ale byłem zajęty w college'u na drugim końcu miasta... skrzyknęliśmy z chłopakami drużynę podwórkową... miałem więcej lekcji... no wie pan... tak się porobiło.

- Miałeś mniej czasu.

- No właśnie, mniej czasu. W nowej szkole musiałem się więcej uczyć... żeby dostawać dobre stopnie i pójść do college'u.

- Todd jest bardzo zdolnym uczniem - powiedziała niemal odruchowo Monica.

- Ukończył szkołę jako drugi. Jesteśmy tacy dumni.

- Założę się, że tak - rzekł Richler z ciepłym uśmiechem. - Ja mam dwóch chłopców w Faindeu, ale jedyne w czym są dobrzy, to sport. - Znów zwrócił się do Todda. Kiedy zacząłeś chodzić do liceum, przestałeś czytać mu książki?

- Tak. Od czasu do czasu czytałem mu gazetę. Przychodziłem, a on pytał mnie o nagłówki. Interesował się aferą Watergate. Zawsze pytał o kursy akcji, bo druk na tej stronie jest gównianie mały... przepraszam, mam.

Poklepała go po ręce.

- Nie wiem, dlaczego interesowały go kursy akcji, ale pytał o nie.

- Miał trochę akcji - powiedział Richler. - Z tego żył. Ponadto trzymał w domu cztery różne zestawy dokumentów. Był sprytnym ptaszkiem.

- Pewnie przechowywał te akcje w jakiejś skrytce bankowej - napomknął Todd.

- Słucham? - zdziwił się Richler.

- Te akcje - wyjaśnił Todd. Ojciec, który również wyglądał na zdziwionego, teraz kiwnął głową.

- Jego akcje, niewielka ilość jaka mu została, były w szafce na buty w jego sypialni - powiedział Richler - razem z jego fotografią jako Arthur Denker. Czy on miał jakąś skrytkę depozytową, synu? Mówił ci kiedyś o tym?

Todd zastanowił się, a potem potrząsnął głową.

- Pomyślałem, że zwykle tam przechowuje się akcje. Sam nie wiem. Ta... ta cała historia po prostu... no, wie pan... po prostu mnie rozstroiła.

Potrząsnął głową w oszołomieniu, które wcale nie było udane.

Naprawdę był oszołomiony. A jednak czuł, jak instynkt samozachowawczy powoli dochodzi do głosu; jak zaczyna trzeźwiej myśleć, odzyskiwać pewność siebie. Gdyby Dussander rzeczywiście wynajął skrytkę bankową, żeby schować w niej swoje ubezpieczenie na życie, czy nie przechowywałby tam również resztek swoich akcji? I tej fotografii?

- Pracujemy nad tym razem z Izraelczykami - rzekł Richler. - Dość nieoficjalnie. Będę wdzięczny, jeśli nie będziecie o tym wspominać w rozmowach z prasą. To prawdziwi profesjonaliści. Jeden z nich, nazywa się Weiskopf, chciałby porozmawiać z tobą jutro, Todd. Jeżeli ani ty, ani twoi rodzice nie macie nic przeciwko temu.

- Raczej nie - odparł Todd, ale poczuł ukłucie atawistycznego lęku na myśl o tym, że będą go obwąchiwać te same ogary, które ścigały Dussandera przez połowę jego życia.

Dussander czuł przed nimi respekt i Todd wiedział, że powinien o tym pamiętać.

- A państwo? Czy macie jakieś zastrzeżenia do ewentualnego spotkania Todda z Weiskopferem?

- Nie, jeśli Todd ich nie zgłasza - powiedział Dick Bowden. - Jednak chciałbym być przy tym. Czytałem o tych facetach z Mossadu...

- Weiskopf nie jest z Mossadu. Izraelczycy nazywają go specjalnym wysłannikiem. Uczy hebrajskiej literatury i gramatyki angielskiej. Ponadto napisał dwie powieści - uśmiechnął się Richler.

Dick zbył to machnięciem ręki.

- Kimkolwiek jest, nie pozwolę, żeby męczył Todda. Z tego, co czytałem, ci faceci mogą być odrobinę zbyt profesjonalni. Może on jest w porządku. Jednak

chciałbym, żebyście obaj pamiętali, że Todd próbował pomóc staremu człowiekowi. Tamten nie był tym, za kogo się podawał, ale Todd nie miał o tym pojęcia.

- W porządku, tato - rzekł Todd z nikłym uśmiechem.

- Chcę tylko, żebyś pomógł nam, o ile możesz - powiedział Richler. - Doceniam pańską troskę, panie Bowden. Sądzę, że uznacie Weiskopfa za miłego, nie natarczywego człowieka. Ja nie mam już więcej pytań, ale uproszczę sprawę, mówiąc, co najbardziej interesuje Izraelczyków. Todd był z Dussanderem, kiedy ten dostał ataku serca, w wyniku czego wyładował w szpitalu...

- Prosił, żebym przyjechał do niego i przeczytał mu list powiedział Todd.

- Wiemy. - Richler pochylił się, opierając łokcie na kolanach, a jego zwisający krawat kołysał się lekko, jak kawałek rury. - Izraelczycy chcą dowiedzieć się czegoś o tym liście.

Dussander był grubą rybą, ale nie ostatnią w stawie - a przynajmniej tak twierdzi Sam Weiskopf, a ja mu wierzę. Myślą, że Dussander mógł coś wiedzieć o wielu innych rybach. Większość z tych, którzy przeżyli, mieszka w Ameryce Południowej, ale mogą być i inni, w innych krajach... włącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Czy wiecie, że *Unterkommandant* Buchenwaldu został schwytyany w recepcji hotelu w Tel-Awiiwie?

- Naprawdę? - powiedziała Monica, szeroko otwierając oczy.

- Naprawdę - przytaknął Richler. - Dwa lata temu. Chodzi o to, że Izraelczycy sądzą, iż ten list, który Todd miał przeczytać Dussanderowi, mógł być od jednej z tych grubych ryb. Może mają rację, może nie. W każdym razie chcą to wiedzieć.

Todd, który wrócił do domu Dussandera i spalił list, powiedział:

- Pomógłbym panu - albo temu Weiskopfowi - gdybym mógł, poruczniku Richler, ale tamten list był po niemiecku. Naprawdę trudno było mi go czytać. Czuję się jak głupek. Pan Denker... Dussander... był coraz bardziej podekscytowany i kazał mi literować słowa, których nie mógł zrozumieć przez moją, no wie pan, wymowę. Jednak myślę, że rozumiał sens. Pamiętam, że w pewnej chwili roześmiał się i powiedział: „Tak, tak, tak byś zrobił, prawda?”. A potem dodał coś po niemiecku. To było chyba dwie albo trzy minuty przed tym, zanim dostał zawału. Coś o jakimś *Dummkopf*. To chyba „głupi” po niemiecku.

Niepewnie spojrział na Richlera, w głębi duszy zadowolony ze zręcznego kłamstwa.

Porucznik skinął głową.

- Tak, wiemy, że list był po niemiecku. Lekarz słyszał twoje słowa i potwierdził je. Jednak ten list... czy pamiętasz, co się z nim stało?

I masz, pomyślał Todd. Haczyk.

- Chyba leżał na stole, gdy przyjechała karetka. I kiedy wszyscy wyszliśmy. Nie mógłbym przysiąc w sądzie, ale...

- Zdaje się, że na stole leżał jakiś list - powiedział Dick. - Podniosłem go i rzuciłem na niego okiem. Lotnicza papeteria, ale nie zauważyłem, że był po niemiecku.

- A więc nadal powinien tam być - rzekł Richler. Właśnie tego nie możemy zrozumieć.

- A nie jest? - spytał Dick. - Chcę powiedzieć, nie leży tam?

- Ani tam, ani nigdzie indziej.

- Może ktoś się włamał - podsunęła Monica.

- Wcale nie musiały się włamywać - powiedział Richler. - W ogólnym zamieszaniu przy wynoszeniu starego domu został otwarty. Najwidoczniej Dussander nikogo nie poprosił o zamknięcie drzwi. Kiedy umarł, w kieszeni spodni nadal miał klucz od zamka. Drzwi były otwarte od czasu, gdy zabrali go sanitariusze pogotowia, aż do drugiej trzydziści dziś rano, kiedy zamknęliśmy je i opieczętowali.

- A więc wszystko w porządku - stwierdził Dick.

- Nie - powiedział Todd. - Rozumiem, co gryzie porucznika Richlera.

Och, tak, widział to bardzo wyraźnie. Musiały być ślepy, żeby tego nie dostrzec.

- Dlaczego włamywacz miałby kraść tylko list? Szczególnie pisany po niemiecku? To bez sensu. Pan Denker nie miał wielu rzeczy, które można by ukraść, ale włamywacz na pewno znalazłby tam coś cenniejszego.

- Trafiłeś w sedno - przyznał Richler. - Całkiem nieźle.

- Todd chciał kiedyś być detektywem - powiedziała Monica i zmierzwiła włosy syna. Od kiedy stał się duży, nie lubił tego, ale w tym momencie najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Boże, nie podobało jej się to, że jest taki blady. - Zdaje się, że ostatnio przerzucił się na historię.

- Historia to niezła dziedzina - rzekł Richler. - Można być historykiem-detektywem. Czytałeś coś Josephine Tey?

- Nie, proszę pana.

- Nieważne. Chciałbym, żeby moi chłopcy mieli ambicje wykraczające poza chęć

ujrzenia, jak Anioły zdobywają w tym roku puchar.

Todd uśmiechnął się niewyraźnie i nic nie powiedział.

Richler znów spowaźniał.

- W każdym razie powiem państwu, jaką mamy teorię. Zakładamy, że ktoś, pewnie w samym Santo Donato, wiedział, kim był Dussander.

- Naprawdę? - zdziwił się Dick.

- Och tak. Ktoś, kto znał prawdę. Może inny zbiegły hitlerowiec. Wiem, że to brzmi jak kawałek z Roberta Ludluma, ale któż by przypuszczał, że w takim spokojnym miejscu jak nasze przedmieście może ukrywać się choć jeden zbiegły nazista? Sądzymy, że kiedy Dussandera zabrano do szpitala, ten pan X zakradł się do domu i wziął obciążający list. Do tej pory te kartki zmieniły się już w popiół pływający w rurach kanalizacyjnych.

- To też nie ma większego sensu - powiedział Todd.

- Dlaczego?

- No cóż, jeśli pan Denk... gdyby Dussander miał jakiegoś starego kumpla z obozu, po co miałby mnie wzywać, żebym przeczytał mu ten list? Chcę powiedzieć, że gdybyście słyszeli, jak mnie poprawiał i w ogóle... ten stary kolega, o którym mówicie, na pewno znałby niemiecki.

- Słusznie. Tyle że ten drugi może być inwalidą na wózku albo ślepcem. Z tego, co wiemy, może to być sam Bormann, który woli nie pokazywać swojej twarzy.

- Faceci na wózkach inwalidzkich i ślepcy nie potrafią włamywać się, żeby zabrać listy - poprawił Todd.

Richler znów był pełen podziwu.

- To prawda. Jednak ślepiec skradłby list, nawet gdyby nie umiał go przeczytać. Wynająłby kogoś, kto by to zrobił.

Todd zastanowił się nad tym i kiwnął głową - a jednocześnie wzruszył ramionami, okazując, że uważa tę teorię za naciąganą.

Richler prześcignął Roberta Ludluma i dotarł do krainy Saxa Rohmera. Jednak to, czy ta teoria jest naciąganą, czy nie, nie miało, kurwa, żadnego znaczenia, prawda? Racja. Liczyło się tylko to, że Richler wciąż węszył... tak samo jak ten gudłaj, Weiskopf. List, ten przeklęty list! Idiotyczny pomysł Dussandera! Nagle zaczął myśleć o swoim winchesterze, leżącym w futerale na półce zimnego, ciemnego garażu. Szybko odepchnął od siebie tę myśl. Zwilgotniały mu dłonie.

- Czy Dussander miał jakichś znajomych, o których wiedziałeś? - pytał Richler.

- Znajomych? Nie. Kiedyś sprzątała u niego jakaś kobieta, ale wyprowadziła się i nie zatrudnił nowej. W lecie wynajmował jakiegoś chłopaka, który strzygł mu trawnik, ale w tym roku chyba nikomu nie zapłacił. Trawa jest bardzo wysoka, prawda?

- Tak. Pukaliśmy do wielu drzwi i nie wydaje się, żeby wynajmował kogoś. Czy ktoś do niego dzwonił?

- Pewnie - odparł obojętnie Todd... oto światelko w tunelu, stosunkowo bezpieczne wyjście z sytuacji. Telefon Dussandera rzeczywiście dzwonił jakieś pół tuzina razy przez cały czas ich znajomości - sprzedawcy, organizacje badające rynek z pytaniami, co jada na śniadanie, pomyłki. Założył sobie telefon, tylko na wypadek gdyby zachorował... co też w końcu się stało, niech jego dusza zgnije w piekle. - Odbierał jeden czy dwa telefony na tydzień.

- Czy rozmawiał po niemiecku? - zapytał szybko Richler.

Wyglądał na zainteresowanego.

- Nie - odparł Todd z nagle obudzoną ostrożnością. Nie podobało mu się zainteresowanie Richlera - było w tym coś złego, coś niebezpiecznego. Był tego pewny i nagle musiał ze wszystkich sił powstrzymać oblewający go zimny pot. Niewiele mówił. Pamiętam, że parę razy powiedział coś takiego jak: „Jest u mnie teraz chłopak, który mi czyta. Oddzwonię później”.

- Założę się, że to on! - wykrzyknął Richler, klepiąc się dłonią w udo. - Założę się o moją dwutygodniówkę, że to był ten facet! - Z trzaskiem zamknął notes (o ile Todd dobrze widział, nie skreślił w nim nic prócz esów-floresów) i wstał. - Dziękuję państwu za poświęcony mi czas. Szczególnie tobie, Todd. Wiem, że przeżyłeś ogromny szok, ale to szybko minie. Dziś po południu przetrząśniemy cały dom - od piwnicy po strych, a potem od nowa. Ściągnęliśmy specjalną grupę poszukiwawczą. Może jeszcze uda nam się znaleźć jakiś ślad rozmówcy Dussandera.

- Mam nadzieję - rzekł Todd.

Richler uściśnął im ręce i wyszedł. Dick zapytał Todda, czy nie ma ochoty pograć do lunchu w badmintona. Todd odparł, że nie ma ochoty na badmintona ani na lunch, po czym ze spuszczoną głową, zgarbiony, poszedł do siebie na górę. Rodzice wymienili współczujące, zatroskane spojrzenia. Todd leżał na łóżku, patrzył w sufit i myślał o winchesterze. Oczami duszy widział go bardzo wyraźnie. Pomyślał, że mógłby wepchnąć lśniącą lufę w tę śliską, żydowską dziurkę Betty Trask właśnie tego potrzebowała, nigdy nie miękącego kutasa. I jak ci się to podoba, Betty? - usłyszał

swój głos. Powiedz mi, kiedy będziesz miała dość, dobrze? Wyobraził sobie jej krzyki. I w końcu na jego twarzy pojawił się okropny, zimny uśmiech. Pewnie, powiedz mi, ty suko... dobrze? Dobrze? Dobrze?

- I co o tym sądzisz? - zapytał Weiskopf Richlera, kiedy ten zabrał go spod barku trzy przecznice od domu Bowdenów.

- Och, myślę, że mały był w to wplątany - odparł Richter. - Jakoś, w jakiś sposób, w jakimś stopniu. Jednak jest zimny jak ryba. Gdybyś mu nalał wrzątku do ust, pewnie wypłułby lód w kostkach. Podchodziłem go kilkakrotnie, ale nie zyskałem nic, co mógłbym wykorzystać w sądzie. A gdybym posunął się dalej, to dzięki jakiemuś cwanemu adwokatowi zarzucającemu nam podstępne nakłonienie do zeznań mógłby wyjść po roku czy dwóch, nawet gdybyśmy zdobyli jakieś dowody. Chcę powiedzieć, że sąd potraktowałby go jako młodocianego - chłopak ma dopiero siedemnaście lat. Osobiście podejrzewam, że pod pewnymi względami przestał być młodocianym już w wieku ośmiu lat. On jest stuknięty, człowieku. - Richter włożył papierosa do ust i zaśmiał się lekko drżącym śmiechem. - Chcę powiedzieć, że to naprawdę pieprzony czubek.

- Jakie popełnił błędy?

- Rozmowy telefoniczne. To jego największy błąd. Kiedy podsunąłem mu ten pomysł, zobaczyłem, że oczy rozblęły mu jak elektryczny bilard.

Richter skręcił w lewo i skierował nie oznaczonego chevroleta na zjazd na autostradę. Dwieście jardów na prawo była skarpa i uschnięte drzewo, zza którego Todd niedawno, pewnego sobotniego ranka, pozorował strzelanie z karabinu do przejeżdżających samochodów.

- Powiedział sobie: „Ten gliniarz goni w piętę, jeśli myśli, że Dussander miał w tym mieście kolegę-hitlerowca, ale skoro tak myśli, to mi to pasuje”. Tak więc mówi, że owszem, Dussander raz czy dwa razy w tygodniu odbierał telefon. Bardzo tajemniczy. „Nie mogę teraz mówić, Z-5, zadzwoń później” takie rzeczy. Jednak Dussander przez ostatnie siedem lat miał specjalną zniżkę za „cichy telefon”. Prawie żadnych rozmów, ani jednej zamiejscowej. Nikt nie dzwonił do niego raz czy dwa razy na tydzień.

- Co jeszcze?

- Chłopak natychmiast doszedł do wniosku, że zginął tylko list i nic więcej. Wiedział, że to jedyna rzecz, jakiej brakuje, ponieważ to on wrócił i zniszczył go. -

Richler zdusił niedopałek w popielniczce. - Uważamy, że list był tylko pretekstem. Uważamy, że Dussander dostał ataku serca, kiedy zakopywał ciało... ostatnie ciało. Miał ziemię na butach i mankietach. To oznacza, że zadzwonił do dzieciaka po tym, jak dostał ataku serca, nie przedtem. Wczołguje się na górę i dzwoni do chłopaka. Ten traci głowę - o tyle, o ile kiedykolwiek ją traci i na oczekaniu wymyśla bajeczkę z listem. Niezbyt błyskotliwą, ale całkiem niezłą... zważywszy na okoliczności. Jedzie tam i sprząta bałagan za Dussandera. Musi działać w cholernym pośpiechu. Nadjeżdża karetka, nadjeżdża ojciec, a on potrzebuje tego listu jako rekwizytu. Idzie na górę i rozbija pudełko...

- Masz na to jakiś dowód? - zapytał Weiskopf, zapalając papierosa, playersa bez filtra.

Richler uznał, że śmierdzi jak końskie gówno. Nic dziwnego, że Imperium Brytyjskie padło, pomyślał, jeśli zaczęli palić takie papierosy.

- Tak, mamy to potwierdzone na tip-top - odparł Richler. - Na pudełku są odciski palców pasujące do tych, jakie zdjęliśmy ze szkolnej szafki chłopaka. Jednak jego odciski są prawie na wszystkim w tym przeklętym domu!

- Gdybyś wytoczył to wszystko naraz, może zdołałbyś nim wstrząsnąć - rzekł Weiskopf.

- Och, słuchaj, ty nie znasz tego dzieciaka. Kiedy powiedziałem, że jest opanowany, naprawdę tak myślałem. Oświadczyłby, że Dussander raz czy dwa kazał mu przynieść to pudełko, żeby coś schować lub wyjąć.

- Jego odciski są na szpadlu.

- Powiedziałby, że posłużył się nim przy sadzeniu krzaków róż za domkiem.

Richler sięgnął po papierosy, ale opakowanie było puste. Weiskopf poczęstował go playersem. Richler zaciągnął się i zakaszłał.

- Smakują równie paskudnie, jak pachną - wykrztusił.

- Tak samo jak te hamburgery, które jedliśmy wczoraj na lunch - rzekł z uśmiechem Weiskopf. - Te Macburgery.

- Big Maki - powiedział Richler i roześmiał się. - W porządku. Widocznie wymiana kulturalna ma też swoje ujemne strony. - Jego uśmiech przygasł. - On wygląda tak schludnie, wiesz?

- Tak.

- To nie jakiś chuligan z Vasco, z włosami do tyłka i łańcuchami na motocyklowych buciorach.

- Nie. - Weiskopf patrzył na rzekę samochodów i cieszył się, że to nie on prowadzi. - To tylko chłopiec. Biały chłopak z dobrego domu. I trudno mi uwierzyć, że...

- Myślałem, że u was, w Izraelu, osiemnastolatki umieją posługiwać się karabinem i granatami.

- Owszem. Jednak on był czternastolatkiem, kiedy to się zaczęło. Dlaczego czternastoletni chłopiec zadaje się z kimś takim jak Dussander? Wciąż próbuję to zrozumieć i nie mogę.

- Ja chcę tylko wiedzieć jak - rzekł Richler i pstryknął papierosa za okno. Rozbolała go od niego głowa.

- Może to był po prostu przypadek. Zbieg okoliczności. Niespodziewane objawienie. Wierzę, że są zarówno szczęśliwe, jak i fatalne objawienia.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - stwierdził ponuro Richler. - Wiem tylko, że chłopak jest bardziej trzepnięty niż mucha pod packą.

- To proste. Każdy inny chłopiec z radością pobiegłby z tym do rodziców lub na policję. Powiedziałby: „Rozpoznałem poszukiwanego człowieka. Mieszka pod tym adresem. Tak, jestem pewny”. I pozwoliliby, żeby tą sprawą zajęły się władze. A może uważasz, że się mylę?

- Nie, wcale tak nie twierdzę. Chłopak przez kilka dni byłby bohaterem. Większość dzieciaków uwielbiałaby to. Zdjęcie w gazecie, wywiad dla wiadomości wieczornych, pewnie nagroda od Rady Szkoły za obywatelską postawę. - Richler roześmiał się. - Do diabła, pewnie pokazaliby go w programie „Prawdziwi ludzie”.

- A co to takiego?

- Nieważne - odparł Richler. Musiał lekko podnieść głos, ponieważ chewroleta z obu stron mijaly dziesięciokółowe ciężarówki. Weiskopf nerwowo rozglądał się na boki. - Lepiej, że nie wiesz. Jednak masz rację co do większości dzieciaków. Większości.

- Jednak nie tego chłopaka - powiedział Weiskopf. Ten, prawdopodobnie przez głupi przypadek, rozszyfrował Dussandera. Lecz zamiast pójść do rodziców lub władz... poszedł do Dussandera. Dlaczego? Mówisz, że to cię nie obchodzi, ale myślę, że tak nie jest. Sądzę, że gnębi cię to tak samo jak mnie.

- To nie był szantaż - powiedział Richler. - To pewne. Chłopak ma wszystko, czego tylko mógłby sobie zamarzyć. Ładny wózek w garażu, nie wspominając o sztucerze na ścianie. A nawet gdyby chciał przycisnąć Dussandera dla samej

przyjemności, stary był praktycznie niewypłacalny. Oprócz tych kilku akcji nie miał nawet nocnika, do którego mógłby się wysikać.

- Jesteś pewien, że chłopak nie wie, że znaleźliście ciała?

- Jestem. Może wrócę dziś po południu i rzucę mu to w twarz. W tym momencie to wygląda na nasz najlepszy strzał. - Richler lekko klepnął w kierownicę. - Gdyby to wszystko wyszło na jaw chociaż dzień wcześniej, chyba spróbowałbym uzyskać nakaz rewizji.

- Ubranie, które chłopiec miał na sobie tamtej nocy?

- Tak. Gdybyśmy znaleźli na nim ślady ziemi o tym samym składzie co w piwnicy Dussandera, chyba zdołalibyśmy go złamać. Jednak ubranie, które tamtej nocy miał na sobie, do tej pory pewnie zostało już z sześć razy wyprane.

- A co z innymi martwymi pijakami? Tymi, których policja znajdowała w mieście?

- Zajmuje się nimi Dan Bozeman. Nie sądzę, żeby istniało jakieś powiązanie. Dussander nie był taki silny... a poza tym, swoje interesy załatwiał w domu. Obiecywał im jedzenie i picie, zabierał do domu z miejskiego autobusu - pieprzonego miejskiego autobusu! - i wykańczał ich w kuchni.

Weiskopf powiedział cicho:

- Nie myślałem o Dussanderze.

- Co chcesz przez to pow... - zaczął Richler, a potem gwałtownie zamknął usta. Zapadła długa, pełna niedowierzania cisza, przerywana tylko odgłosami przejeżdżających obok pojazdów. Potem Richler powiedział cicho: - Hej, dajże spokój. Daj mi choć...

- Jako wysłannik mojego rządu interesuję się Bowdenem tylko ze względu na to, co ewentualnie może wiedzieć o kontaktach Dussandera z ukrywającymi się hitlerowcami. Jednak jako człowieka, coraz bardziej interesuje mnie ten chłopiec. Chciałbym wiedzieć, czym on się kieruje. Chcę wiedzieć dlaczego. I kiedy próbuję znaleźć zadowalającą odpowiedź, coraz częściej zadaję sobie pytanie „I co jeszcze?”.

- Ale...

- Czy sądzisz, pytam sam siebie, że właśnie te zbrodnie, w których uczestniczył Dussander, stały się podstawą łączącej ich więzi? To okropny pomysł, mówię sobie. Na myśl o rzeczach, jakie działy się w obozach, jeszcze dziś człowiekowi przewraca się w żołądku. Mnie również, chociaż jedynym moim krewnym, który siedział w obozie, był mój dziadek, a on umarł, gdy miałem trzy latka. Jednak może w tym, co wyczyniali

Niemcy, jest coś, co wywołuje ponurą fascynację - otwiera katakumby wyobraźni. Może część naszych lęków i obaw jest spowodowana skrywanym przeświadczeniem, że w sprzyjających - a raczej nie sprzyjających - okolicznościach, sami moglibyśmy wybudować takie obozy i obsadzić je. Fatalne objawienie. Może wiemy, iż w pewnych okolicznościach mieszkańcy tych katakumb ochoczo z nich wypełzną. I jak sądzisz, jakby wyglądali? Jak szalone führerki z kosmykami, uczernionymi wąsikami, hajlujące na okrągło? Jak czerwone diabły, demony albo smoki unoszące się na cuchnących, nietoperzych skrzydłach?

- Nie wiem - odparł Richler.

- Myślę, że większość z nich wyglądałaby jak księgowi rzekł Weiskopf. - Mali okularnicy z wykresami, grafikami i elektronicznymi kalkulatorami, gotowi optymalizować liczbę ofiar, tak by następnym razem zabić nie sześć, a dwadzieścia lub trzydzieści milionów. A niektórzy byłiby podobni do Todda Bowdena.

- Jesteś prawie tak trzepnięty jak on - powiedział Richler.

Weiskopf skinął głową.

- Bo to trzepnięty temat. Odkrycie zwłok ludzi i zwierząt w piwnicy Dussandera... to było trzepnięte, *nu?* Czy przyszło ci do głowy, że może wszystko zaczęło się od zainteresowania chłopca obozami? Zainteresowania nie różniącego się od tego, jakie każe chłopcom zbierać monety, znaczki albo czytać o rewolwerowcach z Dzikiego Zachodu? I poszedł do Dussandera, żeby uzyskać informacje prosto ze stawu?

- Ze źródła - poprawił odruchowo Richler. - Człowieku, teraz jestem gotów uwierzyć we wszystko.

- Może - mruknął Weiskopf. Słowo niemal utonęło w ryku kolejnej mijającej ich ciężarówki. Na jej burcie ogromnymi literami napisano: BUDWEISER. Cóż za zdumiewający kraj, pomyślał Weiskopf i zapalił kolejnego papierosa. Oni nie mogą zrozumieć, jak my możemy żyć otoczeni przez na wpół oszalałych Arabów, ale gdybym ja pomieszkał tutaj dwa lata, załamałbym się nerwowo. - Może. A może nie sposób otrzeć się o masowe mordy i wyjść z tego bez szwanku.

Niski facet, który wszedł do komisariatu, ciągnął za sobą smugę smrodu. Śmierdział jak zgniłe banany, zjełczały tłuszcz, rozgnieciony karaluch i wnętrze

śmieciarki w upalny dzień. Miał na sobie parę starych spodni w jodełkę, porwaną szarą więzienną koszulę i wyblakłą, niebieską kurtkę od ocieplacza, z której naderwany zamek błyskawiczny wisiał jak naszyjnik zębów Pigmeja. Wierzchy butów miał połączone z podszewkami taśmą klejącą. Na jego głowie tkwił kapelusz w stanie zaawansowanego rozkładu.

- O Chryste, wynoś się stąd! - krzyknął dyżurny sierżant. - Nie jesteś aresztowany, Hap! Przysięgam Bogu! Przysięgam na pamięć mojej matki! Wynoś się stąd! Nie mogę oddychać.

- Chcę mówić z porucznikiem Bozemanem.

- On umarł, Hap. To stało się wczoraj. Wszyscy jesteśmy tym wkurwieni. Tak więc wynoś się stąd i pozwól nam spokojnie go opłakiwać.

- Chcę mówić z porucznikiem Bozemanem! - powtórzył nieco głośniejszym głosem Hap. Z jego ust dobywał się wonny oddech: zawieszona, fermentująca mieszanka pizzy, pastylek eukaliptusowych Hallsa i słodkiego czerwonego wina.

- Wyjechał do Syjamu prowadzić śledztwo, Hap. Czemu nie wyniesiesz się stąd? Idź sobie i zafunduj sobie jednego.

- Chcę mówić z porucznikiem Bozemanem i nie odejdę, dopóki go nie zobaczę!

Dyżurny sierżant pognął do drzwi i wrócił po pięciu minutach z Bozemanem, chudym, lekko zgarbionym mężczyzną po pięćdziesiątce.

- Zabierz go do siebie, dobrze, Dan? - poprosił dyżurny sierżant. - Możesz to zrobić?

- Chodź, Hap - rzekł Bozeman i minutę później znaleźli się w odgrodzonym trzema ścianami boksie, który pełnił rolę gabinetu Bozemana. Porucznik pospiesznie otworzył jedyne okno i włączył wentylator. - Co mogę dla ciebie zrobić, Hap?

- Nadal szuka pan mordercy bezdomnych, poruczniku Bozeman?

- Bezdomnych? Tak, zdaje się, że nadal prowadzę tę sprawę.

- Wiem, kto ich załatwia.

- Naprawdę, Hap? - zapytał Bozeman. Zapalił fajkę. Rzadko ją palił, ale ani wentylator, ani otwarte okno nie zdołały rozwiać intensywnego smrodu. Wkrótce, pomyślał Bozeman, farba zacznie obłazić i odpadać ze ścian. Westchnął.

- Pamięta pan, jak mówiłem, że Poley rozmawiał z jakimś facetem dzień przedtem, zanim znaleźli go pociętego w tej rurze? Pamięta pan, że mówiłem panu o tym, poruczniku Bozeman?

- Pamiętam.

Kilku pijaków, którzy kręcili się wokół Armii Zbawienia i darmowej jadłodajni parę przecznic dalej, opowiadało podobną historię o dwóch zamordowanych bezdomnych - Charlesie, „Sonnym” Bracketcie i Peterze „Poley”, Smicie. Widzieli jakiegoś faceta, młodego faceta, który kręcił się tam i rozmawiał z Sonnym i Poleyem. Nikt nie wiedział, czy Poley poszedł z tym gościem, ale Hap i dwaj inni twierdzili, że zauważyli, jak Poley Smith odchodził z nieznanym. Mieli wrażenie, że ten facet był młodociany i chętny postawić flaszkę za drobną przysługę. Kilku innych meneli zeznało, że również widzieli w pobliżu takiego faceta. Podawany rysopis po prostu idealnie nadawał się do przedstawienia sądowi, zważywszy na to, że pochodził z tak wiarygodnych źródeł. Młody, biały, blondyn. Czego jeszcze potrzeba, żeby aresztować drania?

- Zeszłej nocy byłem w parku - rzekł Hap - i przypadkiem miałem trochę starych gazet...

- Hap, w tym mieście prawo nie zezwala na włóczęgostwo.

- Po prostu pozbierałem je - odparł urażony Hap. - To okropne, jak ci ludzie śmieją. Oddawałem miastu przysługę, poruczniku. Cholerną przysługę. Niektóre z tych gazet były sprzed tygodnia.

- Tak, Hap - powiedział Bozeman. Niejasno przypominał sobie, że był przedtem głodny i tęsknie spoglądał na swoje śniadanie. Teraz całkiem stracił apetyt.

- No cóż, kiedy się obudziłem, wiatr zwiął mi na twarz jedną z tych gazet i nagle patrzyłem prosto na tego gościa. Zerwałem się na równe nogi, mówię panu. Niech pan patrzy. To on. Ten facet tutaj.

Hap wyjął z kieszeni ocieplacza pomięty, pożółkły, zalany wodą kawałek papieru i rozwinął go. Bozeman pochylił się, umiarkowanie zainteresowany. Hap położył papier na biurku, tak że porucznik mógł przeczytać nagłówek: CZTEREJ CHŁOPCY WYBRANI DO REPREZENTACJI POŁUDNIOWEJ KALIFORNII. Poniżej znajdowały się cztery fotografie.

- Który to, Hap?

Hap wskazał brudnym paluchem skrajne zdjęcie z prawej.

- To on. Tu piszą, że nazywa się Todd Bowden.

Bozeman oderwał wzrok od gazety i spojrzał na Hapa, zastanawiając się, ile szarych komórek w jego mózgu nie obumarło i zachowało choć częściową sprawność po dwudziestu latach nasączania oparami taniego wina, ewentualnie borygo.

- Skąd ta pewność, Hap? Na zdjęciu ma czapkę baseballową. Nie mogę

stwierdzić, czy ma blond włosy, czy nie.

- Ten uśmiech - odparł Hap. - Sposób, w jaki się uśmiecha. Miał na twarzy taki sam uśmiech typu „czyż życie nie jest piękne”, kiedy odchodził z Poleyem. Rozpoznałbym ten uśmiech wśród milionów. To on, to ten facet.

Bozeman ledwie go słyszał; rozmyślał, i to intensywnie. Todd Bowden. To nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. Coś niepokoilo go bardziej niż myśl, że prymus miejscowego liceum może biegać po świecie i kasować pijaków. Miał wrażenie, że to nazwisko padło już rano w jakiejś rozmowie. Zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie gdzie.

Hap poszedł i Dan Bozeman nadal usiłował to sobie przypomnieć, kiedy na posterunek weszli Richler z Weiskopfm... a słysząc ich głosy, kiedy nalewali sobie kawę w dyżurce, w końcu skojarzył fakty.

- Jezu Chryste - powiedział porucznik Bozeman i zerwał się z krzesła.

Rodzice proponowali, że zrezygnują z planów na popołudnie - Monica z zakupów, a Dick z partii golfa z jakimiś ważnymi figurami - i zostaną z nim w domu, ale Todd powiedział im, że woli być sam. Pomyślał, że wyczyści karabin i zastanowi się nad tym wszystkim. Poukłada sobie w głowie.

- Todd - zaczął Dick i nagle stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia. Podejrzał, że gdyby był swoim ojcem, doradziłby żarliwą modlitwę. Jednak czasy się zmieniły i Bowdenowie nie byli już tak głęboko wierzący. - Czasem tak bywa dokończył kulawo, ponieważ Todd wciąż na niego patrzył. - Staraj się z tym pogodzić.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł Todd.

Kiedy pojechali, wziął kilka szmat oraz butelkę oliwy do smarowania broni i położył je na ławce koło krzaków róż. Potem wrócił do garażu i wyjął winchestera. Zaniósł go na ławkę i rozłożył, czując w nozdrzach miły, słodkavo-oleisty zapach róż. Starannie wyczyścił broń, podśpiewując pod nosem, a chwilami poświstując przez zęby. Potem złożył sztucer z powrotem. Równie zręcznie potrafił to zrobić po ciemku. Jego myśli pobiegły gdzieś w dal. Kiedy wróciły, jakieś pięć minut później, zauważył, że już załadował broń. Nie miał szczególnej ochoty na strzelanie do celu, nie dzisiaj, a jednak załadował ją. Wmawiał sobie, że nie wie dlaczego.

Przecież wiesz, Todd-dziecino. Czas, jak powiadają, nadszedł.

I właśnie wtedy na podjazd skręcił błyszczący żółty saab. Mężczyzna, który z niego wysiadł, wydał mu się znajomy, ale dopiero kiedy zatrzasnął drzwiczki i ruszył w

jego kierunku, Todd zobaczył sportowe buty - jasnoniebieskie, sięgające do kostki. Mówią o upiorach przeszłości; oto, krocząc po podjeździe Bowdenów, nadchodził Gumowy Ed French, Pete Adidas.

- Cześć, Todd. Kopę lat.

Todd oparł karabin o bok ławki i odpowiedział szerokim, zaraźliwym uśmiechem.

- Cześć, panie French. Co pan tu robi w tej zakazanej dzielnicy?

- Czy twoi rodzice są w domu?

- Eee, nie. Chce się pan z nimi widzieć?

- Nie - odparł Ed French po dłuższym namyśle. - Nie, chyba nie. Może lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w cztery oczy. Przynajmniej na początek. Może uda ci się jakoś wyjaśnić to wszystko. Chociaż Bóg mi świadkiem, że wątpię w to.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął wycinek. Todd wiedział, co zobaczy, zanim jeszcze Gumowy Ed podał mu go. Po raz drugi w tym dniu spojrzął na zdjęcia Dussandera. To, które zrobił uliczny fotograf, zostało zakreślone czarnym atramentem. Znaczenie tego faktu było dla Todda oczywiste; French rozpoznał „dziadka”. A teraz chciał opowiedzieć o tym wszystkim. Chciał rozgłosić dobrą nowinę. Poczciwy stary Gumowy Ed ze swoją dętą gadaniną i pierdolonymi adidasami.

Policja bardzo się tym zainteresuje - chociaż, prawdę mówiąc, już o tym wie. Teraz był już tego pewny. Pojął to pół godziny po wyjściu Richlera. Tak jakby leciał balonem napelnionym gazem rozweselającym. Nagle stalowa strzała przekłuła powłokę balonu, który zaczął spadać.

Te rozmowy telefoniczne, tu się podłożył. Richler podsunął mu to tak zręcznie jak śliskie sowie gównu. Pewnie, powiedział, dosłownie rzucając się na łeb, na szyję w pułapkę. Odbierał jeden czy dwa telefony na tydzień. Niech biegają po całej południowej Kalifornii, szukając dziecienniałych eksnazistów. Świetnie. Tyle że może usłyszeli coś innego od Dobrej Mamy Bella. Todd nie wiedział, czy firma telefoniczna jest w stanie powiedzieć im, jak często korzystano z telefonu... jednak coś w oczach Richlera...

No i ten list. Mimowolnie powiedział Richlerowi, że dom nie został splądrowany, a Richler niewątpliwie wywnioskował, że Todd mógł wiedzieć o tym tylko wtedy, gdyby tam wrócił... co też zrobił, nie tylko raz, ale trzy razy, najpierw po list, a potem jeszcze dwukrotnie, szukając jakichś obciążających go dowodów. Nie

znalazł niczego; nawet mundur esesmana zniknął, zapewne wyrzucony przez Dussandera.

A ponadto zwłoki. Richler nawet nie wspomniał o zwłokach.

W pierwszej chwili Todd uznał to za dobry znak. Niech dadzą mu trochę czasu, a pozbiera myśli - nie mówiąc już o swojej historyjce - do kupy. Nie ma obawy, że przy zakopywaniu trupa ubrudził się ziemią; jeszcze tej samej nocy wyprał swoje ubranie. Osobiście wrzucił je do pralki, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Dussander może umrzeć, i wszystko się wyda. Ostrożności nigdy za wiele, jak by rzekł sam Dussander.

Potem, powoli, zrozumiał, że to wcale nie jest dobry znak. Było ciepło, a podczas upałów z piwnicy zawsze śmierdziało jak cholera; podczas jego ostatniej wizyty w domu Dussandera smród był wprost namacalny. Policja na pewno zainteresowała się tym zapachem i sprawdziła, skąd dolatuje. Dlaczego więc Richler nie wyjawiał tej informacji? Zachował ją na później? Zamierzał sprawić mu małą, nieprzyjemną niespodziankę? A jeśli Richler planował jakieś niespodzianki, to oznaczało, że podejrzewał Todda.

Podniósł wzrok znad wycinka i zobaczył, że Gumowy Ed stoi obrócony bokiem do niego. Patrzył na ulicę, chociaż nie działo się tam nic ciekawego. Richler może sobie podejrzewać, ale niczego nie zdoła mu udowodnić. Chyba że ma jakiś niezbity dowód łączący Todda ze starym.

Właśnie taki dowód mógłby mu dostarczyć Ed French.

Zabawny człowieczek w zabawnych butach. Taki śmieszny człowieczek nie zasługuje na to, aby żyć. Todd chwycił lufę winchestera.

Tak, Gumowy Ed to brakujące ogniwo. Nigdy nie zdołaliby dowieść, że Todd współdziałał w jednym z morderstw popełnionych przez Dussandera. Jednak mając zeznanie Gumowego Eda, mogli dowieść zmyśli. I czy na tym sprawa zakończyłaby się? O nie. Potem wzięliby jego zdjęcie i zaczęli pokazywać je wszystkim włóczęgom wokół misji. Daleki strzał, ale niepodobna, by Richler nie spróbował i tego. Jeżeli nie możemy mu przyczepić tego pijaka, to może dostaniemy go za innych.

I co dalej? Sąd.

Oczywiście, ojciec zapewniłby mu wspaniałych prawników. A ci, oczywiście, wybroniliby go. Zbyt wiele dowodów poszlakowych. Wywarłby aż nazbyt pozytywne wrażenie na sędziach. Jednak jego życie i tak byłoby zmarnowane, dokładnie tak jak przewidział Dussander. Wszystko pojawiłoby się w gazetach, wywleczone i rzucone na

światło dzienne jak na pół rozłożone ciała w piwnicy Dussandera.

- Człowiek na tym zdjęciu to ten sam, który przyszedł do mojego gabinetu, kiedy byłeś w dziewiątej klasie - powiedział nagle Ed, odwracając się do Todda. - Podał się za twojego dziadka. Teraz okazuje się, że był poszukiwanym zbrodniarzem wojennym.

- Tak - powiedział Todd. Jego twarz była dziwnie bez wyrazu. Jak twarz manekina z wystawy. Pozbawiona kolorów, życia i energii. To, co w niej pozostało, przerażało swą bezbrzeżną pustką.

- Jak to się stało? - zapytał Ed i może chciał, by to pytanie brzmiało groźnie i oskarżycielsko, ale zabrzmiało zupełnie zwyczajnie i bezbarwnie. - Jak to się stało, Todd?

- Och, jedno pociągało za sobą drugie - odparł Todd i podniósł winchestera. - Właśnie tak to się stało. Jedno... pociągało drugie.

Kciukiem przestawił bezpiecznik i wycelował karabin w Gumowego Eda.

- I chociaż to brzmi głupio, tak właśnie było. To wszystko.

- Todd - powiedział Ed, szeroko otwierając oczy. Zrobił krok w tył. - Todd, chyba nie chcesz... proszę, Todd. Możemy o tym pomówić. Możemy przedys...

- Ty i ten pierdolony szkop możecie przedyskutować to w piekle - powiedział Todd i nacisnął spust.

Huk strzału przetoczył się w gorącej, bezwietrznej ciszy popołudnia. Pocisk rzucił Eda Frencha na saaba. Krew zalała mu niebieski golf. Usiłował chwycić się czegoś i oderwał wycieraczkę. Spojrzał na nią tępo, a potem upuścił i popatrzył na Todda.

- Norma - szepnął.

- Dobra - rzekł Todd. - Jak chcesz, koleś.

Znów strzelił do Gumowego Eda i prawie pół głowy trafionego zniknęło w rozprysku krwi i kości. Ed zachwiał się i sunął do drzwiczek kierowcy, raz po raz powtarzając imię córki zduszonym i słabnącym głosem. Todd strzelił jeszcze raz, celując w podstawę karku, i Ed upadł. Jego nogi wybiły krótki werbel na żwirze i znieruchomiały.

Naprawdę trudno go było zabić jak na szkolnego pedagoga, pomyślał Todd i zaśmiał się. W tej samej chwili poczuł przeszywający ból pod czaszką, jakby ktoś wbił mu kolec do lodu. Zamknął oczy.

Kiedy znów je otworzył, poczuł się tak dobrze, jak nie czuł się od wielu miesięcy

- a może nawet od lat. Wszystko było dobrze. Wszystko było na swoim miejscu. Jego zastygłą twarz ożywił szeroki uśmiech.

Wrócił do garażu i wziął wszystkie naboje, jakie miał, ponad czterysta sztuk. Włożył je do starego plecaka i zarzucił go sobie na plecy. Kiedy znów wyszedł na słońce, uśmiechał się beztrosko, promiennie - tak chłopcy śmieją się w dniu urodzin, w Boże Narodzenie, Święto Niepodległości. Ten uśmiech mówił o sztucznych ogniach, nadrzewnych domkach, tajnych znakach i kryjówkach, o wygranych meczach, po których zwycięzcy zostają wyniesieni ze stadionu do miasta na ramionach rozradowanych kibiców. Ekstatyczny uśmiech płowowłosych chłopców idących na wojnę w hełmach z wiaderkami na węgiel. - Jestem królem świata! - wrzasnął donośnie ku błękitnemu niebu i przez moment potrząsał nad głową trzymanym oburącz karabinem. Potem, niosąc go w prawej dłoni, ruszył w kierunku tego miejsca nad autostradą, gdzie ziemia opadała stromą skarpą i gdzie będzie mógł się schować za uschniętym drzewem.

Minęło pięć godzin i było już prawie ciemno, zanim go zdjęli.

JESIEŃ
NIEWINNOŚCI

George'owi McLeodowi

CIAŁO

1

O najważniejszych sprawach najtrudniej opowiedzieć. Są to sprawy, których się wstydzisz, ponieważ słowa pomniejszają je słowa powodują, iż rzeczy, które wydawały się nieskończenie wielkie, kiedy były w twojej głowie, po wypowiedzeniu kurczą się i stają zupełnie zwyczajne. Jednak nie tylko o to chodzi, prawda? Najważniejsze sprawy leżą zbyt blisko najskrytszego miejsca twojej duszy, jak drogowskazy do skarbu, który wrogowie chcieliby ci skraść. Zdobywasz się na odwagę i wyjawiasz je, a ludzie dziwnie na ciebie patrzą, w ogóle nie rozumiejąc, co powiedziałaś, albo dlaczego uważałaś to za tak ważne, że prawie płakałaś mówiąc. Myślę, że to jest najgorsze. Kiedy tajemnica pozostaje nie wyjawiona nie z braku słuchacza, lecz z braku zrozumienia.

Miałem prawie trzydzieści lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłem nieżywego człowieka. Zdarzyło się to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, dawno temu... chociaż czasem wydaje mi się, że to było wczoraj. Szczególnie w te noce, podczas których budzą mnie sny o gradzie zasypującym jego otwarte oczy.

2

Mieliśmy nadrzewny domek w koronie wielkiego wiązu, który rósł na opuszczonej parceli Castle Rock. Dzisiaj w tym miejscu mieści się firma przewozowa, a wiąz już nie ma. Postęp. Tworzyliśmy swego rodzaju klub, chociaż bez nazwy. Liczył pięciu, może sześciu stałych członków plus kilku takich, którzy pętali się na

przyczepkę. Pozwalaliśmy im przychodzić, kiedy graliśmy w karty i potrzebowaliśmy trochę świeżej krwi. Zazwyczaj graliśmy w blackjacksa o niewielkie, groszowe stawki. Jednak przy pięciokartowym blackjacksu można podwoić stawkę... a przy sześciokartowym potroić, chociaż Teddy był jedynym szaleńcem, który tego próbował.

Boki domku były zrobione z desek ściągniętych ze sterty odpadów za składem drewna i materiałów budowlanych Mackeya przy Carbine Road - były nie heblowane i pełne dziur po sękach, które zatykaliśmy papierem toaletowym albo chusteczkami higienicznymi. Sufit zrobiliśmy z arkusza blachy falistej, który porwaliśmy ze śmietnika, przez cały czas oglądając się przez ramię, ponieważ pies dozorca wysypiska cieszył się ponurą sławą pożeracza dzieci. Tego samego dnia znaleźliśmy tam drzwi z siatki, bardzo zardzewiałe; chcę powiedzieć, że każdy ich cal pokrywała rdza. Obojętnie o jakiej porze dnia spoglądało się przez nie, zawsze był zachód słońca.

Oprócz gry w karty, klub był dobrym miejscem do palenia papierosów i oglądania magazynów z panienkami. Mieliśmy tam pół tuzina pogiętych popielniczek z napisem „Camels” na spodzie, mnóstwo rozkładówek przypinanych do szorstkich ścian, dwadzieścia lub trzydzieści podniszczonych talii kart (Teddy dostał je od wuja, który prowadził sklep papierniczy w Castle Rock - kiedy wujo pewnego dnia spytał Teddy'ego, w co gramy, usłyszał, że w remika, i powiedział, że to dobrze), komplet plastikowych żetonów do pokera oraz stertę starych numerów „Master Detective” do przeglądania, jeżeli nie wydarzyło się nic bardziej wstrząsającego. Ponadto zrobiliśmy pod podłogą skrytkę o wymiarach dwanaście na dziesięć cali, w której chowaliśmy większość tych przedmiotów w rzadkich chwilach, gdy ojciec któregoś chłopaka uznał, że czas na zajęcia typu „jesteśmy dobrymi kumplami”. Podczas deszczu siedzieliśmy w klubie jak w jamajskim stalowym bębnie... ale tego lata nie padało.

Było to najbardziej suche i upalne lato od tysiąc dziewięćset siódmego roku - przynajmniej tak twierdziły gazety, a w ten piątek poprzedzający weekend Święta Pracy i początek nowego roku szkolnego, nawet nawłóć pospolita na polach i poboczach dróg wyglądała na wyschniętą i karłowatą. W tym roku nikt nie zebrał obfitych plonów w ogródku i sterty słoików nadal stały na wystawach supermarketu Red & White, gromadząc kurz; nikt nie robił przetworów, może oprócz wina z mniszka.

Teddy, Chris i ja tego ranka siedzieliśmy w klubie, narzekając na bliskie rozpoczęcie nauki, grając w karty i sypiąc starymi kawałami o komiwojażerach i Francuzach. Skąd wiesz, że Francuz był na twoim podwórku? No, pojemnik na śmieci

jest pusty, a suka szczenna. Teddy usiłował wyglądać na urażonego, ale on pierwszy przynosił każdy świeżo usłyszany dowcip, zmieniając tylko Francuza na Polaka.

Wiąz dawał dużo cienia, ale i tak pościągaliśmy koszule, żeby ich nie przepocić. Graliśmy w trzypensowego skata, najnudniejszą z karcianych gier, jaką kiedykolwiek wymyślono, ale było za gorąco, żeby pomyśleć o czymś bardziej skomplikowanym. Do połowy sierpnia mieliśmy całkiem niezłą podwórkową drużynę baseballową, ale potem sporo chłopaków przestało przychodzić na mecze. Za gorąco. Ja ciągnąłem i zbierałem piki. Zacząłem od trzynastu, dostałem ósemkę, co dawało dwadzieścia jeden, a potem nic. Chris zapukał. Pociągnąłem ostatni raz i nic nie przyszło.

- Dwadzieścia dziewięć - powiedział Chris, wykładając kara.

- Dwadzieścia dwa - rzekł z obrzydzeniem Teddy.

- Odwalcie się - powiedziałem i rzuciłem karty na stół, koszulkami do góry.

- Gordie odpada, stary Gordie dostał w trąbę i padł wykrztusił Teddy, a potem wydał ten patentowany śmiech Teddy'ego Duchampa: - Chiii-chi-chi - przypominający dźwięk zardzewiałego gwoźdźca, powoli wyciąganego ze spróchniałej deski. No cóż, był upiorny - wszyscy o tym wiedzieli. Tak jak my, zbliżał się do trzynastki, ale grube szkła i aparat słuchowy czasem sprawiały, że wyglądał jak stary człowiek. Dzieciaki na ulicy wiecznie próbowały wyłudzać od niego fajki, ale wypukła kieszeń na piersi kryła tylko baterię do aparatu słuchowego.

Mimo okularów i cielistego guzika zawsze tkwiącego w jednym uchu Teddy słabo widział i często nie rozumiał, co się do niego mówi. W baseballu musieliśmy ustawiać go na obronie, daleko za Chrisem na lewym skrzydle i Billym Greerem na prawym. Trzeba było mieć nadzieję, że nikt nie wybije tak daleko, ponieważ Teddy zaciekle rzucał się na piłkę, czy ją widział, czy nie. Od czasu do czasu niezłe się walnął, a pewnego razu stracił przytomność, gdy z całym impetem rąbnął w ogrodzenie obok domku na drzewie. Przez prawie pięć minut leżał na wznak, pokazując białka oczu, aż się przestraszyłem. Potem ocknął się i chodził z zakrwawionym nosem i ogromnym czerwonym guzem na czole, twierdząc, że to był faul.

Miał wrodzoną wadę wzroku, ale w tym, co stało się z jego uszami, nie był nic naturalnego. W tamtych czasach, kiedy chodziło się z włosami obciętymi tak krótko, że uszy sterczały jak uchwyty dzbanka, Teddy nosił pierwszą w Castle Rock fryzurę Beatlesa - cztery lata przed tym, zanim ktokolwiek w Ameryce usłyszał o Beatlesach. Zasłaniał uszy, ponieważ wyglądały jak dwa kawałki stopionego wosku.

Pewnego dnia, a Teddy miał wtedy osiem lat, ojciec wkurzył się na niego za to,

że mały zbił talerz. Kiedy to się stało, matka Teddy'ego była w pracy w fabryce obuwia w South Paris, a gdy wróciła, było już po wszystkim.

Ojciec zaciągnął Teddy'ego do wielkiego pieca na drewno w kącie kuchni i przycisnął bok jego głowy do jednej z żeliwnych fajerek. Przytrzymał go tak z dziesięć sekund. Potem szarpnął Teddy'ego za włosy i to samo zrobił z drugą stroną głowy. Wreszcie zadzwonił na pogotowie i kazał im przyjechać po chłopca. Odłożył słuchawkę, podszedł do szafy, wyjął dubeltówkę i trzymając ją na kolanach, oglądał program telewizyjny. Mieszkająca obok pani Burroughs, przyszła zapytać, czy z Teddym wszystko w porządku, ponieważ słyszała jego wrzaski. W odpowiedzi ojciec Teddy'ego wycelował w nią dubeltówkę. Pani Burroughs wypadła z domu Duchampów z szybkością zbliżoną do świetlnej, zamknęła się we własnym domu i wezwała policję. Po przyjeździe ambulansu pani Burroughs wpuściła sanitariuszy i stanęła na straży z tyłu domu, kiedy przenosili Teddy'ego na noszach.

Ojciec Teddy'ego wyjaśnił sanitariuszom, że chociaż te pieprzone trepy twierdzą, że to bezpieczna okolica, wszędzie roi się od szkopskich snajperów. Jeden z sanitariuszy zapytał go, czy zdoła się utrzymać. Ojciec Teddy'ego uśmiechnął się słabo i powiedział mu, że utrzyma się, aż w piekle zaczną sprzedawać lody, jeśli będzie trzeba. Sanitariusz zasalutował, a ojciec Teddy'ego też oddał mu honory. Kilka minut po odjeździe ambulansu przybyła policja i zluzowała Normana Duchampa na posterunku.

Przez ponad rok robił dziwne rzeczy, takie jak podpalanie skrzynek na listy lub strzelanie do kotów, a po tym co zrobił synowi, szybko zbadali go i wysłali do Togus, do szpitala dla weteranów. Do Togus wysyłają ludzi z ósmą grupą. Ojciec Teddy'ego zdobywał plażę w Normandii, przynajmniej tak mówił nam Teddy. Był dumny ze swojego starego mimo tego, co ten mu zrobił. Teddy co tydzień odwiedzał go razem z mamą.

Był chyba najgłupszym chłopakiem, z jakim się zadawaliśmy, i w dodatku był stuknięty. Odstawiał najbardziej ryzykowne numery, jakie możecie sobie wyobrazić, i wychodził z nich cało. Bardzo lubił coś, co nazywał „unikaniem ciężarówek”. Przebiegał przed nimi po drodze sto dziewięćdziesiąt sześć i czasami omijał je niemal o włos. Bóg wie, ile ataków serca wywołał. Śmiał się, gdy podmuchał powietrzem pędzącej ciężarówki potarł mu ubranie. Przerazał nas, ponieważ źle widział mimo tych swoich okularów jak denka butelek po coli. Wydawało się, iż jest tylko kwestią czasu, w którym momencie źle oceni dystans. Ponadto trzeba było uważać w rozmowie z

nim, ponieważ Teddy zbyt łatwo dawał się podpuszczać.

- Gordie wypada, chiii-chi-chi!

- Pieprzyć to - powiedziałem i wziąłem „Master Detective”, żeby poczytać sobie, kiedy będą grali. Otworzyłem na „Stratował śliczną studentkę na śmierć w stojącej windzie” i pogrążyłem się w lekturze.

Teddy podniósł karty, zerknął na nie i powiedział:

- Pukam.

- Ty czterooka kupo gówna! - krzyknął Chris.

- Kupa gówna ma tysiąc oczu - rzekł ponuro Teddy, a Chris i ja ryknęliśmy śmiechem. Teddy spoglądał na nas, lekko marszcząc brwi, jakby zastanawiał się, co nas tak rozśmieszyło. To jeszcze jedno z jego przyzwyczajzeń - wciąż wygłaszał takie niesamowite teksty, jak „Kupa gówna ma tysiąc oczu” i nigdy nie było się pewnym, czy to miało być śmieszne, czy po prostu tak wyszło przypadkiem. On patrzył na śmiejących się ludzi, lekko marszcząc brwi, jakby chciał powiedzieć:

„O Panie, co znowu?”.

Teddy dostał trzydzieści z ręki - waleta, damę i króla trefl. Chris miał tylko szesnaście i poległ.

Teddy niezręcznie tasował karty, a ja dochodziłem do najokropniejszej części opowiadania, w którym nienormalny marynarz z Nowego Orleanu rozdeptywał studentkę Bryn Mawr, ponieważ nie znosił zamkniętych przestrzeni, gdy usłyszeliśmy, jak ktoś szybko wchodzi po drabinie przybitej do pnia wiązu. Czyjaś pięść załomotała od spodu w klapę drzwi.

- Kto idzie? - wrzasnął Chris.

- Vern! - odparł podekscytowany i zdyszany głos.

Podszedłem do klapy i odsunąłem rygiel. Drzwi otwarły się z trzaskiem i Vern Tessio, jeszcze jeden ze stałych członków klubu, wgramolił się do środka. Był spocony jak ruda mysz, a czupryna, którą zwykle czesał tak jak jego ulubiony piosenkarz rockowy, Bobby Rydell, oblepiła mu jajowatą głowę mokrymi kosmykami.

- Hej, ludzie - wysapał. - Zaraz coś wam powiem.

- Co? - zapytałem.

- Niech złapię oddech. Biegłem całą drogę od domu.

- Biegłem całą drogę od domu - zaśpiewał Teddy okropnym falsetem Little Anthony'ego - by ci rzec, jak mi przykro...

- Pierdol się, człowieku - poradził mu Vern.

- Gadaj albo spadaj - odparował Teddy.

- Biegłeś całą drogę od domu? - spytał z niedowierzaniem Chris. - Człowieku, musisz być stuknięty. Na zewnątrz jest chyba ze czterdzieści stopni.

Dom Verna znajdował się dwie mile dalej, przy Grand Street.

- To jest tego warte - rzekł Vern. - O Dżezu. Nie uwierzycie. Naprawdę.

Klepnął się w spocone czoło na dowód, że mówi serio.

- No dobra, co jest? - zapytał Chris.

- Chłopaki, moglibyście spędzić noc pod namiotem? Vern spojrzał na nas wyczekująco, z podnieceniem. Jego oczy wyglądały jak rodzyнки wepchnięte w ciemne krążki potu. Gdybyście powiedzieli rodzicom, że chcecie rozbić namiot na naszym polu?

- Tak, chyba tak - odparł Chris, podnosząc karty i oglądając je. - Tylko że ojciec ma teraz zły okres. Pije, wiecie.

- Musisz spróbować, chłopie - powiedział Vern. - Naprawdę. Nie uwierzycie. A ty, Gordie?

- Może.

Mogłem robić prawie wszystko, co chciałem - przez całe tamto lato byłem Niewidzialnym Chłopcem. W kwietniu mój starszy brat, Dennis, zginął w rozbitym dżipie. To było w Fort Benning w Georgii, gdzie odbywał służbę wojskową. On oraz jeszcze jeden facet jechali do kantyny i wojskowa ciężarówka wpadła na nich z boku. Dennis zginął na miejscu, a jego pasażer od tego czasu leżał w śpiączce. W tym tygodniu Dennis skończyłby dwadzieścia dwa lata. Już wybrałem dla niego kartkę urodzinową u Dahliego w Castle Green.

Płakałem, gdy o tym usłyszałem, a jeszcze bardziej płakałem na pogrzebie i nie mogłem uwierzyć, że Dennisa nie ma, że ktoś, kto stukał mnie po głowie, doprowadzał do szału, strasząc gumowym pajakiem, a kiedy upadłem i podrapałem sobie do krwi kolana, całował mnie, szepcząc do ucha „Przestań płakać, ty dzieciaku!” - że ktoś, kto mnie dotykał, może nie żyć. Bolało mnie i przerażało, że zginął... a moi rodzice stracili wszelką chęć do życia. Dla mnie Dennis był zaledwie dobrym znajomym. Był o dziesięć lat starszy ode mnie, więc sami rozumiecie, miał swoich przyjaciół i kolegów. Przez kilka lat jadaliśmy przy tym samym stole, czasem bywał moim przyjacielem, a czasem dręczycielem, lecz najczęściej - rozumiecie był tylko facetem. Kiedy zginął, od roku przebywał poza domem, nie licząc kilku przepustek. Nawet nie byliśmy do siebie podobni. Dopiero dużo później zrozumiałem, że większość łez, jakie wtedy wylałem,

ronilem nad mamą i tatą. Dużo dobrego przyszło z tego im czy mnie.

- No to o czym tak stęskasz i jęczysz, Vern-O? - zapytał Teddy.

- Pukam - powiedział Chris.

- Co? - wrzasnął Teddy, natychmiast zapominając o Vernie. - Ty cholerny kłamco! Nie dostałeś nic z ręki. Nie dałem ci wykładanej.

Chris uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ciągnij kartę, kupo gówna.

Teddy wziął pierwszą kartę z leżącej przed nim kupki. Chris sięgnął po leżące na półce za nim winstony. Ja pochyliłem się nad moim magazynem detektywistycznym.

Vern Tessio zapytał:

- Chłopaki, chcecie zobaczyć nieboszczyka?

Wszyscy znieruchomieli.

3

Oczywiście, wszyscy słyszeliśmy o tym w radiu. Odbiornik Philco z popękaną skrzynką, który także znaleźliśmy na śmietniku, grał przez cały czas. Nastawiliśmy go na stację WALM w Lewiston, która nadawała superprzeboje i stare kawałki: „What in the World's Come Over You” Jacka Scotta, „This Time” Troya Shondella, „King Creole” Elvisa oraz „Only the Lonely” Roya Orbisona. Kiedy nadawano wiadomości, zazwyczaj po prostu wyłączaliśmy się. Wciąż gadali pierdoły o Kennedym, Nixonie, Quemoyu, Matsu, wyścigu zbrojeń oraz o tym, jakim skurwielem okazał się Castro. Uważnie jednak wysłuchaliśmy tej historii o Rayu Browerze, ponieważ był mniej więcej w naszym wieku.

Pochodził z Chamberlain, miasta leżącego około czterdziestu mil na wschód od Castle Rock. Trzy dni przed tym, zanim Vem wpadł do klubu po dwumilowym biegu po Grand Street, Ray Brower wziął jeden z garnków mamy i poszedł zbierać jagody. Kiedy zrobiło się ciemno, a on nie wracał, Browerowie zawiadomili szeryfa i rozpoczęły się poszukiwania - najpierw wokół domu, a potem aż do okolicznych miasteczek Motton, Durham i Pownal. Brali w nich udział wszyscy - gliniarze, ludzie szeryfa, strażnicy leśni, ochotnicy. Jednak trzy dni później chłopaka wciąż nie było. Słuchając tego w radiu, można było wyczuć, że nie znajdą tego biednego frajera żywego; powoli zaniechają poszukiwań. Mógł zostać zasypany w jakiejś dziurze przez

lawinę żwiru albo utonąć w strumieniu; może za dziesięć lat jakiś myśliwy znajdzie jego kości. Przeszukano już dna stawów w Chamberlain i zbiornik wodny w Motton.

Dzisiaj nic takiego nie mogłoby się zdarzyć w południowo-zachodnim stanie Maine; większość tych terenów uległa urbanizacji, a podmiejskie dzielnice wokół Portland i Lewiston rozpościerają się jak macki gigantycznej ośmiornicy. Lasy jeszcze tam są i w miarę zbliżania się do White Mountains jest ich coraz więcej, ale dziś, jeśli nie stracisz głowy i zdołasz przejść pięć mil w jednym kierunku, na pewno natrafisz na dwupasmową szosę. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku cały ten obszar między Chamberlain a Castle Rock pozostawał nie zamieszkały i były tam miejsca, w których od wojny nawet nie prowadzono wyrębu drzew. W tamtych czasach można było wejść do lasu, zgubić się w nim i umrzeć.

4

Tego ranka Vern Tessio siedział pod swoim gankiem, kopiąc. My wszyscy zrozumieliśmy to od razu, ale chyba powinienem poświęcić minutkę, żeby wam to wyjaśnić. Teddy Duchamp był przygłupem, ale Vern Tessio też nie należał do tytanów intelektu. Jego brat Billy był jeszcze głupszy, jak wkrótce się przekonacie. Najpierw muszę powiedzieć wam, dlaczego Vern kopał pod gankiem. Cztery lata temu, gdy miał osiem lat, Vern zakopał pod długim gankiem Tessiów kwartowy słoik miedziaków. Nazywał tę ciemną szparę pod gankiem swoją „Jaskinią”. Bawił się w pirata, a miedziaki były jego zakopany skarbem - chociaż bawiąc się z Vernem w piratów, nie wolno było mówić o zakopany skarb, tylko o „łupach”. Tak więc głęboko zakopał ten słoik z miedziakami, zasypał go ziemią i przykrył suchymi liśćmi, które nagromadziły się tam przez lata. Narysował mapę z miejscem ukrycia skarbu, którą umieścił w swoim pokoju wśród innych rupieci. Następnie zapomniał o tym na miesiąc czy dwa. Potem, kiedy zabrakło mu forsy na kino czy na coś, przypomniał sobie o miedziakach i chciał zerknąć na mapę. Do tego czasu jego mama dwa lub trzy razy posprzątała pokój, zbierając wszystkie stare zeszyty, opakowania po słodyczach, komiksy i broszury z dowcipami. Pewnego ranka spaliła je w piecu, przygotowując obiad, i mapa skarbu Verna uleciała z dymem przez kuchenny komin.

A przynajmniej tak sądził.

Usiłował odnaleźć to miejsce i wykopać skarb. Bez skutku. Kopał na prawo i na lewo od tego miejsca. Nadal bez skutku. Zrezygnował, ale od tej pory co jakiś czas

próbował. Cztery lata, człowieku. Cztery lata. Czyż to nie palant? Nie wiadomo, śmiać się czy płakać.

Dostał na tym punkcie lekkiej obsesji. Ganek Tessiów biegł wzdłuż całego frontu domu, miał jakieś czterdzieści stóp długości i siedem stóp szerokości. Vern przekopał dwa albo trzy razy niemal każdy cal ziemi, ale nie znalazł miedziaków. Ich liczba powoli zaczęła rosnąć w jego wspomnieniach. Kiedy pierwszy raz mówił o nich Chrisowi i mnie, twierdził, że było tam około trzech dolarów. Po roku wspominał o pięciu, a ostatnio doszedł do dziesięciu - ponad lub około, zależnie od stanu jego finansów.

Co jakiś czas próbowaliśmy mu wytłumaczyć to, co dla nas było oczywiste - że Billy wiedział o słoiku i sam go wykopał. Vern nie chciał w to uwierzyć, chociaż nienawidził Billy'ego jak Arabowie Żydów i pewnie z przyjemnością skazałby go na śmierć za drobne kradzieże, gdyby miał taką okazję. Nie chciał też zapytać o to Billy'ego. Pewnie obawiał się, że Billy roześmieje się i powie: „Jasne, że je wzięłem, ty głupi dupku, w tym słoiku było dwadzieścia dolców i wydałem je co do pieprzonego centa”. Zamiast tego Vern co jakiś czas usiłował wykopać miedziaki gdy nachodziła go taka ochota i kiedy Billy'ego nie było w pobliżu. Zawsze wypełzał spod ganku z ziemią na dżinsach, liśćmi we włosach i pustymi rękami. Dogryzaliśmy mu z tego powodu i przezwaliliśmy go Penny - Penny Tessio. Sądzę, że tak szybko przybiegł z tą wieścią do klubu, nie tylko chcąc się nią podzielić, ale udowodnić nam, że jego poszukiwania w końcu przyniosły jakiś rezultat.

Tego ranka wstał przed wszystkimi, zjadł płatki i wyszedł na podwórko porzucać do kosza ze starej felgi przybitej do drzwi garażu, ale szybko się znudził, a nie widząc nikogo chętnego do zabawy w ducha czy w coś innego, postanowił znów pokopać za miedziakami. Był pod gankiem, gdy nad nim trzasnęły drzwi. Zamarł, nie wydając najcichszego dźwięku. Jeśli to ojciec - wyjdzie; jeżeli to Billy - zaczeka, aż braciszek i jego zakichany kumpel, Charlie Hogan wyniosą się w diabły.

Po ganku zatupały dwie pary nóg, a potem sam Charlie Hogan powiedział drżącym, płaczącym głosem:

- Jezu Chryste, Billy, co teraz zrobimy?

Vern powiedział, że słysząc Charliego Hogana mówiącego takim głosem - Charliego, który był jednym z najtwardszych chłopaków w mieście - natychmiast nadstawił uszu. W końcu Charlie trzymał się z Ace'em Merrillem i Eyeballem Chambersem, a jeśli zadawałeś się z takimi facetami, musiałeś być twardy.

- Nic - odparł Billy. - To właśnie zrobimy. Nic.

- Musimy coś zrobić - rzekł Charlie i obaj usiedli na ganku opodal miejsca, gdzie kulił się Vern. - Nie widziałeś go?

Vern zaryzykował i podczołgał się trochę bliżej schodów, płonąć z ciekawości. W tym momencie myślał, że może Billy i Charlie upili się i przejechali kogoś. Przysuwając się, Vern uważał, żeby nie nadepnąć na żaden z zeschniętych liści. Gdyby ci dwaj zorientowali się, że siedział pod gankiem i podsłuchiwał ich, jego resztki można by zapakować do puszki po psim żarcie.

- To nie nasza sprawa - powiedział Billy Tessio. - Dzieciak nie żyje, więc jego też nie. Kogo to, kurwa, obchodzi, czy go znajdą? Mnie nie.

- To ten dzieciak, o którym mówili w radiu - powiedział Charlie. - To jasne jak słońce. Brocker, Brower, Flowers, jakoś tak. Na pewno potrafił go pierdolony pociąg.

- Tak - rzekł Billy. Dźwięk zapalanej zapałki. Vern zobaczył, jak upadła na zwirowy podjazd i poczuł dym papierosa. Ja też go trąciłem. A ty rzygnąłeś.

Cisza, lecz Vern wyczuł fale wstydu rozchodzące się od Charliego Hogana.

- No, dziewczyny nie widziały go - powiedział po chwili Billy. - Całe szczęście. - Sądząc po odgłosie, klepnął Charliego w plecy, żeby dodać mu otuchy. - Rozpaplałyby to stąd aż do Portland. Wyrywaliśmy stamtąd szybko. Myślisz, że połapały się, że coś jest nie tak?

- Nie - odparł Charlie. - Marie i tak nie lubi jeździć przez Back Harlow Road koło cmentarza. Boi się duchów. Znów dodał tym wystraszonemu, płaczącemu głosem: - Jezu, żałuję, że zwinęliśmy wczoraj ten samochód! Lepiej było iść do kina, tak jak zamierzaliśmy!

Charlie i Billy chodzili z dwiema maskarami, które nazywały się Marie Dougherty i Beverly Thomas; nigdy nie widzieliście równie paskudnych dup, chyba że na balu przebierańców pryszczę, wąsy, wszystko. Czasem we czwórkę - albo w szóstkę lub ósemkę, jeśli przyłączali się do nich Fuzzy Bracowicz albo Ace Merrill ze swoimi dziewczynami - zwijali samochód z parkingu w Lewiston i ruszali na przejażdżkę po okolicy, z dwiema lub trzema butelkami wina Wild Irish Rose i kartonem ciemnego piwa. Zabierali dziewczyny gdzieś do Castle View, Harlow lub Shiloh, obalali bełty i mieli świetną zabawę. Potem porzucali samochód gdzieś w pobliżu domu. Tanie rozrywki mieszkańców małpiarni, jak czasem mówił Chris. Nigdy nie zostali złapani, ale Vern wciąż miał nadzieję. Naprawdę bardzo podobała mu się idea niedzielnego odwiedzania Billy'ego w poprawczaku.

- Gdybyśmy powiedzieli glinom, chcieliby wiedzieć, jak, do cholery, wydostaliśmy się z Harlow - stwierdził Billy. Nie mamy samochodu, żaden z nas. Lepiej, jeśli będziemy trzymać dzioby na kłódkę. Wtedy nic nam nie zrobią.

- Moglibyśmy wykonać anonimowy telefon - powiedział Charlie.

- Oni wyśledzą taki pierdolony telefon - rzekł złowieszczo Billy. - Widziałem to w „Highway patrol”. I w „Dragnet”.

- Taa, racja - przyznał z przygnębieniem Charlie. - Jezu. Szkoda, że Ace'a nie był z nami. Moglibyśmy powiedzieć glinom, że jechaliśmy jego wozem.

- Ale nie był.

- Taa - przytaknął Charlie. Westchnął. - Pewnie masz rację.

Niedopałek papierosa poleciał na podjazd.

- Musieliśmy tam pójść i wpaść w gówno po uszy, no nie? Nie mogliśmy pojechać gdzie indziej? W dodatku zarzygałem sobie nowe buty. - Trochę przyciszył głos. - Ten pierdolony dzieciak był gotowy, no nie? Widziałeś tego sukinsyna, Billy?

- Widziałem go - odparł Billy i drugi niedopałek poleciał w ślad za pierwszym. - Chodźmy zobaczyć, czy Ace już wstał. Mam ochotę na łyka.

- Powiemy mu?

- Charlie, nie powiemy nikomu. Nikomu i nigdy. Kapujesz?

- Kapuję - odparł Charlie. - Jezu Chryste, szkoda że zwinęliśmy tego dodge'a.

- Zamknij się, kurwa, i chodź.

Dwie pary nóg w obcisłych, spranych dżinsach, dwie pary stóp w czarnych buciorach ze sprzączkami na bokach, zeszyły po schodkach. Vern zastygł na czworakach („Jaja skurczyły mi się tak, że wyglądało, jakby chciały wrócić tam, skąd wyszły” powiedział nam potem), przekonany, że brat zaraz wywlecze go spod ganku i zabije - razem z Charliem Hoganem wytluką mu z głowy resztki rozumu i wdepczą w ziemię masywnymi buciorami. Jednak tamci ruszyli dalej, a kiedy Vern upewnił się, że naprawdę odeszli, wypełznął spod ganku i przybiegł do nas.

5

- Naprawdę miałeś szczęście - orzekłem. - Zabiliby cię.

Teddy powiedział:

- Znam tę Back Harlow Road. Kończy się ślepo nad rzeką. Kiedyś łapaliśmy tam ryby.

Chris kiwnął głową.

- Niegdyś był tam most, ale zabrała go powódź. Dawno temu. Teraz zostały tylko szyny.

- Czy ten chłopak naprawdę mógł przejść taki kawał z Chamberlain do Harlow?

- zapytałem Chrisa. - To dwadzieścia czy trzydzieści mil.

- Tak sędzę. Pewnie natrafił na tory i siedł wzdłuż nich przez cały czas. Może myślał, że gdzieś go doprowadzą albo że w razie potrzeby zatrzyma pociąg. Jednak teraz jeżdżą tamtędy tylko towarowe - GS i WM do Derry i Brownsville - a i to nie często. Musiałby dojść aż do Castle Rock. A po zmroku w końcu nadjechał pociąg... i el placek!

Chris z suchym trzaskiem uderzył prawą pięścią w dłoń. Teddy, weteran wielu niebezpiecznych spotkań z ciężarówkami wiozącymi drewno do tartaku po drodze sto dziewięćdziesiąt sześć, wyglądał na dziwnie zadowolonego. Ja poczułem lekkie mdłości, wyobrażając sobie chłopca tak daleko od domu, śmiertelnie przerażonego, ale maszerującego wzdłuż torów GS & WM, zapewne idącego na palcach wśród nocnych odgłosów dobiegających z gęstwiny drzew i krzaków... może nawet z przepustów pod nasypem kolejowym. A potem nadjechał pociąg i może wielki reflektor na przodzie lokomotywy zahipnotyzował go, aż było za późno. Albo może po prostu leżał na torach, zemdlawszy z głodu, gdy przyjechał pociąg. Tak czy owak, jakkolwiek było, Chris ujął to najlepiej: ostatecznym rezultatem był el placek. Dzieciak nie żył.

- No to co, chcecie go zobaczyć? - zapytał Vern. Był tak podniecony, że kręcił się, jakby musiał do łazienki.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego przeciągle, nic nie mówiąc. Potem Chris rzucił karty i powiedział:

- Jasne! I założę się, że nasze zdjęcia będą w gazecie!

- Hę? - zdziwił się Vern.

- Tak? - powiedział Teddy i uśmiechnął się tym swoim szalonym, przeznaczonym dla ciężarówek uśmiechem.

- Słuchajcie - rzekł Chris, pochylając się nad chwiejnym stolikiem do kart. - Możemy znaleźć ciało i zgłosić to! Będziemy we wiadomościach!

- No, nie wiem - zastanawiał się wyraźnie zaskoczony Vern. - Billy dowie się, że to ja je znalazłem. Stłucze mnie na kwaśne jabłko.

- Nie, nie stłucze - zaoponowałem - ponieważ to my znajdziemy ciało, a nie Billy

czy Charlie Hogan w skradzionym samochodzie. Oni nie będą mieli się czym martwić. Może nawet dadzą ci medal, Penny.

- Tak? - wyszczerzył zęby Vern. Był to trochę oszołomiony uśmiech, jakby myślał o tym, że Billy może być zadowolony z czegośkolwiek, co zrobi Vern, podziałała jak cios w podbródek. - Tak myślisz?

Teddy też się uśmiechał. Potem zmarszczył brwi i rzekł:

- Och-och.

- Co? - zapytał Vern. Znow się wiercił w obawie, że w głowie Teddy'ego zrodziło się jakieś naprawdę poważne zastrzeżenie... a raczej w tym, co uchodziło za jego głowę.

- Nasi starzy - powiedział Teddy. - Jeżeli jutro znajdziemy ciało tego chłopaka w South Harlow, dowiedzą się, że nie spędziliśmy tej nocy, obozując na polu Verna.

- Tak - przytaknął Chris. - Dowiedzą się, że poszliśmy go szukać.

- Nie, nie dowiedzą się - powiedziałem. Czuję się dziwnie - jednocześnie podniecony i przestraszony, ponieważ wiedziałem, że może nam się to udać. Mieszanina emocji sprawiła, że spocilem się i rozboleła mnie głowa. Podniosłem karty, żeby zająć czymś ręce i zacząłem tasować. Tylko tego i jak grać w remika nauczył mnie w ramach braterskiej pomocy Dennis. Inni chłopcy zazdrościli mi umiejętności tasowania i chyba wszyscy, których znałem, prosili, żeby ich nauczyć... wszyscy oprócz Chrisa. Chyba dlatego, że tylko Chris wiedział, że gdybym kogoś nauczył tak tasować, to jakbym oddał kawałek Dennisa, a po prostu nie miałem go tyle, żeby rozdawać go na prawo i lewo. Zacząłem: - Powiemy im, że znudziło nam się biwakować na polu Verna, ponieważ robiliśmy to już tyle razy. Dlatego postanowiliśmy pójść wzdłuż torów i rozbić obóz w lesie. Założę się, że nawet nas nie ochrzanią, bo będą zbyt wzburzeni naszym odkryciem.

- Mój ojciec i tak mnie ochrzani - rzekł Chris. - Tym razem naprawdę ma zły okres. - Z uporem potrząsnął głową. - Do diabła, to warte ochrzanu.

- Dobra - powiedział Teddy, wstając. Wciąż uśmiechał się jak szaleniec, w każdej chwili gotowy wybuchnąć piskliwym, szyderczym chichotem. - Zbierzmy się wszyscy pod domem Verna po lunchu. Co powiemy im o kolacji?

- Ja, ty i Gordie powiemy, że zjemy u Verna - powiedział Chris.

- A ja powiem mojej mamie, że jem u Chrisa - dodał Vern.

To mogło się udać, o ile nie zajdzie nic nieprzewidzianego i jeśli nasi rodzice nie spotkają się. Ani starzy Verna, ani Chrisa nie mieli telefonu. W tym czasie wiele

rodzin uważało telefon za luksus, szczególnie rodzin, w których się nie przelewało. A żaden z nas nie należał do elity finansowej.

Mój ojciec był na emeryturze. Ojciec Verna pracował w fabryce i wciąż jeździł DeSoto, rocznik pięćdziesiąt dwa. Mama Teddy'ego miała dom przy Danberry Street i wynajmowała pokój, jeśli tylko znalazła chętnego. Tego lata nie znalazła ogłoszenie: POKÓJ UMEBLOWANY DO WYNAJĘCIA wisiało w oknie saloniku od czerwca. A ojciec Chrisa prawie zawsze miał „zły okres”; był pijakiem najczęściej żyjącym z zasiłku i większość czasu spędzał w tawernie Sukeya, z Merrillem Juniorem, ojcem Ace'a Merrilla, i kilkoma innymi miejscowymi pijaczkami.

Chris niewiele mówił o swoim ojcu, ale wszyscy wiedzieliśmy, że nienawidził go jak zarazy. Mniej więcej co dwa tygodnie nosił ślady na ciele; siniaki na policzkach i karku, podbite oko mieniające się wszystkimi barwami tęczy, a kiedyś przyszedł do szkoły z niezdarnie obandażowanym tyłem głowy. Czasem w ogóle nie przychodził do szkoły. Matka usprawiedliwiała jego nieobecność, ponieważ był zbyt pobity, żeby przyjść. Chris był zdolny, naprawdę zdolny, ale dużo wagarował i pan Halliburton, miejski cerber, wciąż pojawiał się pod domem Chrisa, zajeżdżając starym czarnym chevroletem z naklejką ŻADNYCH AUTOSTOPOWICZÓW na przedniej szybie. Jeśli Chris wagarował i Bertie (tak go nazywaliśmy - oczywiście za jego plecami) przyłapał go, zawoził go do szkoły i pilnował, żeby Chris dostał tydzień siedzenia w kozie. A jeżeli stwierdzał, że Chris jest w domu ciężko pobity przez ojca, Bertie po prostu odjeżdżał i siedział cicho. Dopiero dwadzieścia lat później zacząłem kwestionować takie postępowanie.

W zeszłym roku Chris został na trzy dni zawieszony w prawach ucznia. Pieniądze na mleko zniknęły wtedy, kiedy on był dyżurnym i miał je pod pieczę, a ponieważ był Chambersem z tych Nic-dobrego Chambersów, wina spadła na niego, choć przysięgał, że nie zwinął tej forsy. Wtedy pan Chambers posłał syna na kilka dni do szpitala; gdy usłyszał, że Chrisa zawiesili, złamał mu nos i prawy nadgarstek. Chris pochodził z nieodobrej rodziny i wszyscy oczekiwali, że stanie się równie zły... włącznie z nim samym. Jego bracia całkowicie spełnili te oczekiwania. Frank, najstarszy, uciekł z domu, mając siedemnaście lat, wstąpił do marynarki i skończył, odsiadując długi wyrok w Portsmouth za gwałt i napad z bronią w rękę. Średni, Richard (prawym okiem zabawnie zezował, dlatego wszyscy nazywali go Eyeball) porzucił szkołę w dziesiątej klasie i kręcił się z Charliem, Billym Tessio oraz ich równie porąbanymi kolesiami.

- Myślę, że to się uda - powiedziałem Chrisowi. - A co z Johnem i Martym?

John i Marty DeSpain byli dwoma pozostałymi członkami naszej bandy.

- Jeszcze nie wrócili - odparł Chris. - Będą dopiero w poniedziałek.

- Och. To niedobrze.

- A więc jesteśmy umówieni? - zapytał Vern, nadal przebierając nogami. Nie chciał, aby rozmowa choć na minutę zboczyła z tematu.

- Chyba tak - odrzekł Chris. - Kto chce jeszcze pograć w skata?

Nikt nie chciał. Byliśmy zbyt podnieceni, żeby grać w karty. Zeszliśmy z drzewa, przeskoczyliśmy przez płot opuszczonej parceli i przez chwilę graliśmy w tata-wariata starą, posklejaną przyklepcem czapką Verna, ale i to nie sprawiało nam przyjemności. Nie mogliśmy myśleć o niczym innym jak o tym Browerze, przejechanym przez pociąg, o tym jak go znajdziemy i co z niego zostało. Około dziesiątej wszyscy rozeszliśmy się, aby załatwić sprawę z rodzicami.

6

Dotarłem do domu za piętnaście jedenasta, zaszedłszy po drodze do trafiki obejrzeć nowe czytadła. Wpadałem tam co parę dni, sprawdzając, czy jest coś nowego Johna MacDonalda. Tym razem były tylko stare, a większość z nich czytałem pół tuzina razy.

Pod domem nie było samochodu i przypomniałem sobie, że mama z psiapsiółkami pojechały do Bostonu na koncert. Moja mama uwielbiała koncerty. A czemu nie? Jej jedyne dziecko nie żyło i musiała coś robić, żeby zająć myśli. Pewnie w moich słowach jest dużo goryczy. Sądzę, że gdybyście tam byli, zrozumielibyście moje uczucia.

Tato był na tyłach, opryskując wodą z węża zaniedbany ogródek. Jeżeli patrząc na jego ponurą minę, nie domyślilibyście się, że to stracona sprawa, to widok ogródka nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Gleba była lekka, szara jak proch. Wszystko uschło, może oprócz kukurydzy, która i tak nie zawiązała ani jednej kolby. Ojciec twierdził, że nie ma pojęcia, jak podlewać ogród; powinna to robić matka natura albo nikt. W jednym miejscu lał za dużo i topił rośliny. W drugim za mało i usychały z pragnienia. Nigdy nie umiał tego wypośredkować. Jednak rzadko o tym mówił. Stracił syna w kwietniu i ogród w sierpniu. Tak więc jeżeli nie chciał mówić o żadnym z nich,

to jego sprawa. Wkurzało mnie tylko, że przestał mówić o czymkolwiek. Trochę nadużywał swych demokratycznych praw.

- Cześć, tato - powiedziałem, stając przy nim. Podsunąłem mu dropsy, które kupiłem w trafice. - Chcesz jednego?

- Cześć, Gordon. Nie, dziękuję.

Wciąż opryskiwał beznadziejnie szarą ziemię.

- Mogę dziś w nocy rozbić z kolegami obóz na polu Verna?

- Jakimi kolegami?

- Z Vernem. Teddym Duchampem. Może z Chrisem.

Spodziewałem się, że zaraz zacznie - że Chris to kiepskie towarzystwo, zgniłe jabłko z dna beczki, złodziej, początkujący młodociany przestępca.

Jednak on tylko westchnął i rzekł:

- Chyba możesz.

- Wspaniale! Dzięki!

Odwróciłem się, żeby wejść do domu i sprawdzić, co leci w telepudle, kiedy powstrzymał mnie słowami:

- Tylko z nimi się zadajesz, Gordonie?

Znów obróciłem się do niego, przygotowany na kłótnię, ale tego ranka nie miał ochoty na spory. Myślę, że lepiej byłoby, gdyby miał. Był zgarbiony. Jego twarz, skierowana ku wyschniętemu ogródkowi, a nie do mnie, wydłużyła się. W oczach lśnił jakiś nienaturalny błysk, może łzy...

- Och, tato, oni są w porządku.

- Oczywiście. Złodziej i dwóch przygłupów. Piękne towarzystwo dla mojego syna.

- Vern Tessio nie jest przygłupem - powiedziałem. Co do Teddy'ego trudniej byłoby się spierać.

- Dwanaście lat i nadal w piątej klasie - powiedział ojciec. - I przespał cały ten czas. Kiedy jutro przyjdzie niedzielna gazeta, będzie potrzebował półtorej godziny, żeby przeczytać historyjki obrazkowe.

Rozzłościł mnie, ponieważ uważałem, że jest niesprawiedliwy. Osądzał Verna tak samo jak wszystkich moich znajomych na podstawie sporadycznych obserwacji, najczęściej, jak wpadali i wypadali z naszego domu. Mylił się co do nich. A kiedy nazywał Chrisa złodziejem, zawsze doprowadzał mnie do szału, ponieważ w ogóle go nie znał. Chciałem mu to powiedzieć, ale gdybym go wkurzył, nie puściłby mnie z

domu. Na razie nie wściekał się, nie tak jak czasem przy kolacji, gdy krzyczał tak głośno, że wszystkim odechciewało się jeść. Teraz był po prostu smutny, znużony i zużyty. Miał sześćdziesiąt trzy lata - był dostatecznie stary, żeby być moim dziadkiem.

Moja mama miała pięćdziesiąt pięć lat - też nie pierwszej młodości. Po ślubie próbowali od razu założyć rodzinę; mama zaszła w ciążę i poroniła. Potem miała jeszcze dwa poronienia i lekarz powiedział jej, że nigdy nie zdoła donosić dziecka. Rozumiecie, wysłuchiwałem tego, z najdrobniejszymi szczegółami, ilekroć jedno z nich prawilo mi kazanie. Chcieli, abym myślał, że byłem darem Boga i docenił szczęście, jakim było to, że matka poczęła mnie, gdy miała czterdzieści dwa lata i zaczynała siwieć. Nie doceniałem mojego wielkiego szczęścia ani jej okropnych cierpień i poświęcenia.

Pięć lat po tym jak lekarz powiedział, że mama nigdy nie urodzi dziecka, zaszła w ciążę. Nosila mojego brata osiem miesięcy, a potem jakby z niej wypadł, całe osiem funtów żywej wagi - ojciec twierdził, że gdyby donosiła Dennisa, niemowlak ważyłby piętnaście funtów. Lekarz orzekł: No cóż, czasami natura płata nam figle, ale to jedyne dziecko, jakie będziecie mieli. Dziękujcie za nie Bogu i cieszcie się. Dziesięć lat później znów zaszła w ciążę. Nie tylko donosiła mnie do końca, ale lekarz musiał użyć kleszczy, żeby mnie z niej wyjąć. Czy słyszeliście kiedyś o równie porabanej rodzinie? Przyszedłem na świat jako dziecko dwojga starszaków, a mój jedyny brat grał w piłkę z dużymi chłopakami, zanim ja wyrosłem z pieluch.

W przypadku moich rodziców jeden dar boży zupełnie wystarczał. Nie mogę powiedzieć, że traktowali mnie źle i mnie bili, ale byłem dla nich piekielną niespodzianką, a chyba ludzie po czterdziestce nie przepadają za niespodziankami tak jak dwudziestolatkowie. Kiedy się urodziłem, mama poddała się operacji, którą jej psiapsiółki nazywały „zabiegiem”. Sądzę, że chciała mieć stuprocentową pewność, że nie będzie więcej darów bożych. Gdy poszedłem do college'u, dowiedziałem się, że dopisało mi szczęście - nie byłem upośledzony... Ojciec pewnie miał co do tego wątpliwości, widząc, jak mój przyjaciel Vern potrzebuje dziesięciu minut na odczytanie dymków historyjki obrazkowej.

Ignorowali mnie, a ja nie mogłem tego zrozumieć, dopóki nie napisałem w szkole średniej referatu na temat powieści „Niewidzialny człowiek”. Kiedy zgłosiłem ten temat pannie Hardy, sądziłem, że to będzie powieść science fiction o facecie w bandażach i Posterze Grancie - w filmie grał go Claude Rains. Przekonałem się, że chodzi o inną książkę i próbowałem się wycofać, ale panna Hardy nie dała mi się

wywinąć. W końcu byłem nawet zadowolony. Ten „Niewidzialny człowiek” to książka o Murzynie. Nikt go nie zauważa, chyba że coś spieprzy. Ludzie traktują go jak powietrze. Kiedy coś mówi, nikt nie odpowiada. Jest jak czarny duch. Przeczytałem tę książkę jak najnowszy kryminał Johna MacDonalda, ponieważ ten spryciarz Ralph Ellison pisał o mnie. Przy kolacji było tylko: Denny, ile zdobyłeś punktów, Denny, z kim idziesz na tańce do Sadie Hopkins, i Denny, chcę porozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną o tym samochodzie, który oglądaliśmy. Mówiłem: „Proszę masło”, a tata: „Denny, jesteś pewien, że wojsko to właśnie to, czego chcesz?”. Mówiłem: „Może ktoś poda mi masło, dobrze?”, a mama pytała Dennisa, czy ma mu kupić koszulę na wyprzedazy u Pendletona, więc w końcu sam brałem sobie masło. Pewnego wieczora, miałem wtedy dziewięć lat, żeby zobaczyć, co się stanie, powiedziałem: „Proszę, podajcie te cholerne pyry”, a mama na to: „Denny, ciocia Grace dzwoniła dzisiaj i pytała o ciebie i Gordona”.

Tego wieczora, kiedy Dennis ukończył z wyróżnieniem średnią szkołą w Castle Rock, udałem chorego i zostałem w domu. Poprosiłem najstarszego brata Stewego Darabonta, Royce'a, żeby kupił mi butelkę Wild Irish Rose, wypilem połowę i w środku nocy zrzygałem się do łóżka.

W takiej sytuacji jak ta albo nienawidzisz starszego brata, albo idealizujesz go - przynajmniej tak uczą cię na zajęciach z psychologii w college'u. Bzdury, no nie? O ile jestem w stanie to ocenić, nigdy nie traktowałem Dennisa w taki sposób. Rzadko kłóciliśmy się czy biliśmy. To byłoby śmieszne. Wydaje się wam, że czternastoletni chłopak mógłby pobić za coś swego czteroletniego brata? A nasi rodzice byli zawsze zbyt nim zachwyceni, żeby obarczać go opieką nad małym braciszkiem, więc nie żywił do mnie niechęci, jaką czasem starsze rodzeństwo darzy młodsze dzieci. Kiedy Denny zabierał mnie gdzieś, robił to z nieprzymuszonej woli i były to najszcześniejsze chwile, jakie pamiętam.

- Hej, Lachance, a kto to, kurwa, jest?

- Mój mały brat i uważaj, co mówisz, Davis. Bo ci dołoży. Gordie to twarde.

Otoczają mnie ogromni, niemożliwie wysocy, interesując się mną przez chwilę jak płamą słońca. Są tacy wielcy, tacy duzi.

- Hej, mały! Ten mizerek to naprawdę twój wielki brat?

Nieśmiało kiwam głową.

- To prawdziwy dupek, no nie, mały?

Znów kiwam głową i wszyscy, łącznie z Dennisem, ryczą ze śmiechu. Potem

Dennis szybko, dwukrotnie klaszcze w dłonie i mówi:

- Chodźcie, będziemy grać czy stać tu jak stado cipek?

Rozbiegają się na pozycje, podając sobie piłkę na przedpolu.

- Idź i usiądź tam na ławce, Gordie. Siedź cicho. Nikomu nie przeszkadzaj.

Idę i siadam na ławce. Jestem grzeczny. Czuję się niemożliwie mały pod słodkimi letnimi chmurami. Patrzę, jak mój brat wybija. Nikomu nie przeszkadzam.

Jednak niewiele było takich chwil.

Czasem czytał mi do poduszki bajki, które były lepsze niż mamine; mama czytała o chatce z piernika i trzech małych świnkach, całkiem niezłe kawałki, ale Dennis lubił historie o Sinobrodym i Kubie Rozpruwaczu. Ponadto w jego wersji bajka o upartym koziołku kończyła się zwycięstwem trolla spod mostu. A ponadto, jak już mówiłem, nauczył mnie grać w remika i tasować karty. Niezbyt wiele, ale co tam! Na tym świecie trzeba zadowalać się tym, co jest, no nie?

W miarę jak rosłem, moją miłość do Dennisa zastąpił niemal bezgraniczny podziw, zapewne przypominający uwielbienie, jakim pierwsi chrześcijanie darzyli Boga. A kiedy zginął, byłem lekko zaszokowany i trochę smutny, zapewne tak samo jak byliby ci tak zwani chrześcijanie, gdyby „Time” ogłosił, że Bóg nie żyje. Ujmijmy to w ten sposób: było mi równie smutno z powodu śmierci Denny'ego, jak wtedy, gdy usłyszałem w radio, że umarł Dan Blocker. Obu widywałem niemal jednakowo często, tyle że Denny'ego nie puszczała w powtórkach.

Pochowano go w zamkniętej trumnie nakrytej amerykańską flagą (zabrali flagę, zanim opuścili trumnę do ziemi i zwinęli ją - flagę, nie trumnę - w trójkąt, po czym wręczyli mamie).

Rodzice po prostu się załamali. Od czterech miesięcy nie mogli się pozbierać; nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zdołają. Pan i Pani Rozpacz. Znajdujący się obok mojego pokój Denny'ego pozostawał w stanie nieważkości albo w zakrzywieniu przestrzeni. Na ścianach wciąż wisiały proporce Ivy League, a zdjęcia dziewczyn, z którymi umawiał się na randki, nadal tkwiły za ramą lustra. Zwykł wystawać przed nim godzinami, zaczesując włosy w plerezę podobną do Elvise. Na biurku pozostał stos „True” i „Sport Illustrated”, z datami coraz starszymi w miarę upływu czasu. Takie rzeczy pokazują w tych cukierkowatych, sentymentalnych filmach. Jednak dla mnie to nie było ckleiwe; było okropne. Nie wchodziłem do pokoju Dennisa, jeśli nie musiałem, ponieważ wciąż zdawało mi się, że zastanę go za drzwiami, pod łóżkiem lub w garderobie. Najczęściej przychodziła mi do głowy garderoba, a kiedy matka posyłała

mnie po album z pocztówkami Denny'ego albo pudełko z jego zdjęciami, wyobrażałem sobie, że te drzwi otwierają się powoli, podczas gdy ja stoję zastygły z przerażenia. Wyobrażałem go sobie bladego i zakrwawionego w ciemności, z wgniecionym bokiem głowy, z szarą skorupą krwi i mózgu krzepnącą na koszuli. Wyobrażałem sobie, jak idzie do mnie z wyciągniętymi rękami, zaciskając okrwawione palce jak szpony i rzeź: To powinienes być ty, Gordon. To powinienes być ty.

7

„Stud City”, Gordon Lachance. Pierwsze wydanie Greenspun Quarterly, zeszyt 45, jesień, 1970. Za zgodą autora.

Marzec

Chico stoi przy oknie, z założonymi ramionami, łokciami opartymi o ramę oddzielającą górną część okna od dolnej, nagi, spoglądając przed siebie, jego oddech osiada mgiełką na szkle. Lekki przeciąg owiewa mu brzuch. Nie ma dolnej szyby. Zastąpiona kawałkiem tektury.

- Chico.

Nie odwraca się. Ona nie odzywa się ponownie. Widzi jej cień na szybie; siedzi w jego łóżku, podciągnięte koce zdają się przeczyć grawitacji. Makijaż rozmazał się, tworząc ciemne smugi pod oczami.

Chico odrywa spojrzenie od jej odbicia i przenosi je dalej, w pustkę. Pada. Łaty śniegu stopniały, odsłaniając łysą ziemię pod spodem. Widzi suchą, zeszłoroczną trawę, plastikową zabawkę - zardzewiałe grabki Billy'ego. Dodge jego brata Johnny'ego stoi na kołkach, flakowate opony sterczą jak kikuty. Wspomina czasy, gdy razem z Johnnym pracowali przy tym wozie, słuchając przebojów i starych kawałków nadawanych przez WLAM w Lewiston, płynących ze starego tranzystora Johnny'ego - i parę razy Johnny poczęstował go piwem. Pomknie jak wicher, Chico, mówił Johnny. Pobije wszystko, co napotka na drodze od Gates Falls do Castle Rock. Zobaczysz, tylko zamontujemy tę nową skrzynię biegów!

Jednak tamto było wtedy, a to jest teraz.

Za dodge'em Johnny'ego biegła autostrada. Droga numer 14, do Portland i New Hampshire na południu, aż do Kanady na północy, jeśli skręciłeś w lewo na US 1 w Thomaston.

- Stud City - mówi Chico do szyby. Zapala papierosa.

- Co?

- Nic, dziecino.

- Chico? - mówi zdziwionym głosem. Będzie musiał zmienić prześcieradła, zanim wróci ojciec. Krwawiła.

- Co?

- Kocham cię, Chico.

- To dobrze.

Bрудna March. Jesteś starą kurwą, myśli Chico. Brudną, zataczającą się, cysatą starą March z twarzą zalaną deszczem.

- Ten pokój kiedyś należał do Johnny'ego - mówi nagle.

- Do kogo?

- Do mojego brata.

- Aha. Gdzie on jest?

- W wojsku - odpowiada Chico, ale Johnny już nie służy w wojsku. Rok wcześniej pracował przy autostradzie Oxford Plains, kiedy jakiś kierowca stracił panowanie nad wozem i poślizgiem wpadł przez podjazd do kanału, w którym Johnny zmieniał tylne opony nowiutkiego chevroleta. Kilku facetów krzychało, żeby uważał, ale Johnny nie zdążył ich usłyszeć. Jednym z krzyżących był brat Johnny'ego, Chico.

- Nie jest ci zimno? - spytała.

- Nie. No, może w stopy. Trochę.

I nagle myśli: Mój Boże. Johnny'emu nie stało się nic, co nie spotka ciebie, wcześniej czy później. Jednak znów to widzi: sunący poślizgiem ford mustang, wypukłości kręgosłupa Johnny'ego widoczne jako szereg cieni na jego białym podkoszulku; nisko pochylony, odkręcał jedno z tylnych kół chevroleta. Chico zdążył jeszcze ujrzeć gumę odrywającą się od opon pędzącego mustanga, zobaczyć, jak tłumik krzesze iskry z betonowego podjazdu. Wóz wpadł na Johnny'ego, zanim ten zdążył zerwać się na nogi. Potem żółty krzak płomienia.

No cóż, myśli Chico, mogło to być powoli - i myśli o swoim dziadku. Szpitalne zapachy. Śliczne młode siostry niosące kaczki. Ostatni drżący oddech. Czy jest jakiś dobry sposób?

Drży i myśli o Bogu. Dotyka srebrnego medalika ze świętym Krzysztofem, wiszącego na łańcuszku na szyi. Nie jest katolikiem i na pewno nie Meksykaninem; naprawdę nazywa się Edward May i wszyscy przyjaciele nazywają go Chico, ponieważ ma czarne włosy, które smaruje brylantyną, oraz buty z ostrymi noskami i kubańskimi obcasami. Nie jest katolikiem, ale nosi ten medalion. Może gdyby Johnny też go nosił, ten mustang nie wpadłby na niego. Nigdy nie wiadomo.

Pali i patrzy przez okno, a za jego plecami dziewczyna wstaje z łóżka i szybko podchodzi do niego, niemal biegiem, może w obawie, że odwróci się i zobaczy ją. Kładzie mu ciepłą dłoń na plecach. Jej piersi napierają na jego bok. Jej brzuch dotyka jego

pośladek.

- Och. Ale zimno.
- To zimny dom.
- Kochasz mnie, Chico?
- Jasne! - odpowiada machinalnie, a potem, bardziej poważnie: - Byłaś zielona.
- Co chcesz...
- Byłaś dziewicą.

Ręka sięga wyżej. Jeden palec przesuwają się po skórze na jego karku.

- Przecież mówiłam, no nie?
- Było źle? Bolało?

Zaśmiała się.

- Nie, ale byłam wystraszona.

Obserwują deszcz. Po szosie numer 14 przejeżdża nowy oldsmobile, rozpryskując wodę.

- Stud City - mówi Chico.
- Co?
- Ten facet. Jechał do Stud City. W swoim nowiułkim samochodzie.

Ona całuje miejsce, które muskała palcem, a on ogania się jak przed natrętną muchą.

- O co chodzi?

Odwraca się do niej. Ona zerka w dół, na jego penis, a potem pospiesznie podnosi wzrok. Ma ochotę zasłonić się rękami, ale zaraz przypomina sobie, że na filmach nigdy tak nie robią, więc znów opuszcza ramiona. Włosy ma czarne, a skórę zimowo białą, barwy śmietany. Piersi twarde, brzuch może odrobinę za miękkki. Jedna drobna wada, myśli Chico, przypominająca, że to nie film.

- Jane?
- Co?

Czuje, że robi się gotowy. Jeszcze nie całkiem, ale prawie.

- Wszystko w porządku - rzekł. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Powoli mierzy ją wzrokiem, pozwalając sobie smakować ją i w ten sposób. Kiedy znów spogląda na jej twarz, dziewczyna jest zaczerwieniona.

- Przeszkadza ci, kiedy tak na ciebie patrzę?
- Ja... nie. Nie, Chico.

Ona cofa się, zamyka oczy, siada na łóżku i powoli kładzie się na plecach, rozkładając nogi. Widzi ją całą. Mięśnie, drobne mięśnie na wewnętrznej stronie ud... drgają spazmatycznie, co nagle podnieca go bardziej niż sterczące konchy jej piersi czy różowawa perłka cipki. Cały drży z podniecenia, jak jakiś głupi kłown na sprężynie. Może miłość jest tak boska, jak mówią poeci, myśli nagle, ale seks to kłown Bozo, podskakujący na sprężynie.

Jak kobieta może patrzeć na wzwidziony członek, nie dostając szaleńczego ataku śmiechu?

Deszcz bębni o dach, o okno, o kawał przemoczonej tektury zasłaniający brakującą szybę w dolnym oknie. Przyciska dłoń do piersi, przez moment wygląda jak aktor grający Rzymianina i szykujący się do przemowy. Ręka jest zimna. Opuszcza ją.

- Otwórz oczy. Powiedziałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Posłusznie otwiera je. Patrzy na niego. Jej oczy wydają się teraz fioletowe. Woda spływająca po szybie tworzy strużkowate wzory na jej twarzy, szyi, piersiach. Gdy dziewczyna leży na łóżku, jej brzuch napina się, twardnieje. W tym momencie jest idealna.

- Och - mówi. - Och, Chico, to takie zabawne uczucie.

Wstrząsa nią dreszcz. Mimowolnie podkurcza palce. On widzi spody jej stóp. Są różowe.

- Chico. Chico.

Podchodzi do niej. Jej ciało drży, a oczy są szeroko otwarte. Mówi coś, jedno słowo, ale on nie rozumie. Nie czas na pytania. Klęka przed nią przez moment, w skupieniu patrząc w podłogę, dotykając jej nóg tuż nad kolanami. Czuje wzbierającą falę. Unosi go nieodparcie, wspaniale. Zwleka jeszcze chwileczkę.

Jedynym dźwiękiem jest tykanie budzika na nocnym stoliku, który przycupnął na mosiężnych nóżkach na stercie komiksów o Człowieku-Pająku. Ona oddycha coraz szybciej. Gładko wślizguje się w nią, napierając w górę i do przodu. Zaczynają. Tym razem jest lepiej. Na zewnątrz deszcz zmywa resztki śniegu.

Pół godziny później Chico budzi ją z lekkiej drzemki.

- Musimy ruszać - mówi. - Tato i Virginia niedługo wrócą do domu.

Ona spogląda na zegarek i siada. Tym razem już nie próbuje się zasłonić. Jej zachowanie - mowa jej ciała - zmieniło się.

Nie dojrzała (choć pewnie uważa, że tak) ani nie nauczyła się niczego bardziej skomplikowanego od wiązania sznurówki, a mimo to jej sposób bycia zmienił się. On kiwa głową, a ona czule uśmiecha się do niego. On bierze z nocnego stolika papierosa. Gdy dziewczyna wciąga majteczki, przypomina mu się urywek stylizowanej na starą piosenki: *Keep playing till I shoot through, Blue... play your digeree, do*. Utwór „Tie Me Kangaroo Down” Rolfy Harrisa. Uśmiecha się. Johnny często śpiewał tę piosenkę. Kończyła się słowami: Więc kiedy umarł, wygarbowaliśmy jego skórę, Clyde, i powiesiliśmy ją na ścianie stodoły.

Ona zapina biustonosz i zabiera się za guziki bluzki.

- Z czego się śmiejesz, Chico?

- Z niczego.

- Pomożesz mi?

Podchodzi do niej, wciąż nagi. Całuje ją w policzek.

- Idź do łazienki i umyj sobie twarz, jeśli chcesz - mówi. Tylko nie siedź za długo, dobrze?

Ona z gracją idzie przez korytarz, a Chico obserwuje ją, paląc papierosa. Jest wysoka - wyższa niż on - więc musi pochylić głowę, wchodząc w drzwi łazienki. Chico znajduje swoje majtki pod łóżkiem. Wrzuca je do kosza na brudną bieliznę przymocowanego od wewnątrz do drzwi garderoby i wyjmuje czystą parę z komody. Wkłada je, a potem, idąc znów w kierunku łóżka, ślizga się i prawie przewraca na mokrej podłodze pod zasłoniętym tekturą oknem.

- Niech to szlag - szepcze ze złością.

Rozgląda się po pokoju, który należał do Johnny'ego, dopóki nie umarł (Chryste, dlaczego powiedziałem jej, że jest w wojsku? - zastanawia się... z lekkim niepokojem). Ścianki z włókna szklanego, tak cienkie, że słyszy, jak tato i Virginia robią to w nocy, nie sięgają aż do sufitu. Podłoga jest lekko krzywa, tak że drzwi pozostaną otwarte, tylko jeśli je podeprzeć - bo jeżeli o tym zapomnisz, to cichutko zamkną się, gdy tylko odwrócisz się do nich plecami. Na przeciwległej ścianie wisi plakat ze „Swobodnego jeźdźca” - dwaj mężczyźni wyruszyli na poszukiwanie Ameryki i nie mogli jej już znaleźć. Pokój miał w sobie więcej życia, gdy mieszkał tu Johnny. Chico nie wie jak ani dlaczego; wie tylko, że to prawda. I wie też coś jeszcze - że czasem ten pokój próbuje go wypłoszyć. Czasem myśli, że drzwi garderoby otworzą się i stanie w nich Johnny, z ciałem zwęglonym, potrzaskanym i poczerniałym, z żółtymi mostkami zębów sterczących z wosku, który częściowo stopniał, by znów stwardnieć. I Johnny szepnie: „Wynoś się z mojego pokoju, Chico. A jeśli choćby dotkniesz mojego dodge'a, zabiję cię. Kapujesz?”.

Kapuję, brachu, myśli Chico.

Przez moment stoi nieruchomo, patrząc na pomięte prześcieradła poplamione krwią dziewczyny, a potem jednym szybkim ruchem rozkłada je. Masz. Widzisz. Jak ci się to podoba, Virginio? Czy czujesz mrowienie w kroku? Wkłada spodnie, masywne buty, znajduje sweter.

Czesze się przed lustrem, kiedy ona wychodzi z kibla. Wygląda świetnie. W spodniom nie widać jej lekko sterczącego brzuszka. Patrzy na łóżko, robi z nim coś i nagle łóżko wygląda na zasłane, a nie niedbale pościelone.

- Dobrze - mówi Chico.

Ona uśmiecha się z lekkim roztargnieniem i odgarnia pukiel włosów za ucho. To prowokujący, drażniący gest.

- Chodźmy - mówi Chico.

Przechodzą przez korytarz i salonik. Jane przystaje przed studyjną fotografią

umieszczoną na telewizorze. Na zdjęciu jest jego ojciec i Virginia, Johnny jako uczeń szkoły średniej, Chico jako uczeń szkoły podstawowej i niemowlę - Billy. Johnny trzyma Billy'ego. Wszyscy mają nieruchome, zastygłe uśmiechy... wszyscy prócz Virginii, która na zdjęciu ma swą zwykłą senną, nieprzeniknioną minę. To zdjęcie, przypomniał sobie Chico, zostało zrobione niecały miesiąc po tym, jak ojciec poślubił tę sukę.

- To twoja mama i tato?

- To mój ojciec - odparł Chico. - Virginia jest moją macochą. Chodź.

- Nadal jest taka ładna? - pyta Jane, biorąc płaszcz i podając Chico ocieplacz.

- Mój ojciec chyba tak sądzi - mówi Chico.

Wychodzą pod wiatę. Jest tu wilgotno i zimno - wiatr świszcząc w szczelinach prowizorycznych ścian. Leży tu sterta starych opon, stary rower Johnny'ego, który Chico odziedziczył, mając dziesięć lat i natychmiast zepsuł, stos magazynów detektywistycznych, zwrotne butelki po pepsi, naoliwiony blok silnika, skrzynka po pomarańczach pełna książek w miękkich okładkach, stara malowanka z koniem pasącym się na trawie.

Chico pomaga jej wyjść na zewnątrz. Deszcz pada nużąco monotennie. Stary wóz Chico stoi w kałuży na podjeździe, wygląda osowiale. Nawet na kołkach i z kawałkiem folii zakrywającej otwór po przedniej szybie, dodge Johnny'ego ma więcej klasy. Samochód Chico to buick. Ma matowy lakier, ozdobiony wypryskami rdzy. Tapicerkę przedniego siedzenia nakryto brązowym wojskowym kocem. Duży znaczek przyczepiony do osłony przeciwsłonecznej po stronie pasażera, głosi: CHCĘ TEGO CODZIENNIE. Na tylnym siedzeniu leży zardzewiały aparat zapłonowy; jeżeli wreszcie przestanie padać, myśli Chico, oczyszczę go i może zamontuję w dodge'u.

Buick pachnie stęchlizną i długo rzezi zapłonem, zanim wreszcie zapala.

- Akumulator? - pyta ona.

- Chyba przez ten przeklęty deszcz.

Wycofuje wóz na drogę, włączając wycieraczki i przystając na moment, żeby zerknąć na dom. Ten wygląda wyjątkowo paskudnie. Brzydko odstająca wiata, dwuspadowy dach, papa i odpadające gonty.

Radio włącza się na cały regulator i Chico natychmiast je wyłącza. Pod czaszką czuje początek niedzielnego bólu głowy. Przejeżdżają koło Grange Hall, ochotniczej straży pożarnej i sklepu Browniego. T-Bird Sally Morrison stoi zaparkowany przy ciśnieniomierzu Browniego i Chico pozdrawia ją podniesioną ręką, skręcając w starą drogę do Lewiston.

- Kto to?

- Sally Morrison.

- Ładna.

Neutralnym tonem. Chico szuka papierosów.

- Dwa razy wyszła za mąż i dwukrotnie się rozwiodła. Teraz jest miejscową zdziurą, jeśli wierzyć w połowę tego, co wygadują w tej zasranej dziurze.

- Wygląda młodo.

- Bo jest młoda.

- Czy ty...

Przesuwa ręką po jej nodze i uśmiecha się.

- Nie - mówi. - Może mój brat, ale nie ja. Jednak lubię Sally. Ma swoje alimenty i biały samochód, nie obchodzi jej, co o niej gadają.

To zaczyna wyglądać na długą jazdę. Leżące na prawo Androscoggin jest pofalowane i posępne. Lód się stopił. Jane stała się milcząca i zamyślona. Jedynym dźwiękiem jest teraz rytmiczny trzask wycieraczek. Samochód przejeżdża przez zagłębienia terenu i napotyka przygruntową mgłę czekającą na wieczór, kiedy wypełźnie z niecek i zasnuje całą River Road.

Wjeżdżają do Auburn i Chico jedzie skrótem, po czym skręca w Minot Avenue. Cztery pasy są prawie puste i wszystkie podmiejskie domki wyglądają jak spakowane. Widzą małego chłopca w żółtej pelerynie, idącego chodnikiem i starannie wchodzącego do każdej kałuży.

- Idź, człowieku - mówi cicho Chico.

- Co? - pyta Jane.

- Nic, dziecino. Śpij dalej.

Dziewczyna śmieje się z lekkim powątpiewaniem.

Chico skręca w Keston Street i na podjazd jednego ze schludnych domków. Nie gasi silnika.

- Wejdz, poczęstuję cię ciasteczkami - zachęca Jane.

On potrząsa głową.

- Muszę wracać.

- Wiem. - Dziewczyna obejmuje go ramionami i całuje. Dziękuję ci za najcudowniejsze chwile w moim życiu.

Chico uśmiecha się nagle. Jego twarz rozpromienia się jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Zobaczymy się w poniedziałek, Janey-Jane. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Wiesz, że tak - odpowiada i znów go całuje.... Ale kiedy dotyka jej piersi przez ubranie, odsuwa się. - Nie. Ojciec może zobaczyć.

Puszcza ją, pozostawiając na twarzy tylko odrobinę uśmiechu. Ona szybko wysiada z samochodu i biegnie do tylnych drzwi. W chwilę później znika w domu. Chico zwleka jeszcze moment, zapalając papierosa, po czym tyłem wyjeżdża z podjazdu. Buick rzezi. Chico czeka długa droga do domu.

Po powrocie zastaje samochód ojca zaparkowany przed domem. Chico podjeżdża obok i pozwala silnikowi zgasnąć. Przez moment siedzi w milczeniu, słuchając deszczu. Jakby był w stalowej beczce.

Wewnątrz Billy ogląda w telewizji Carla Stormera i jego Country Buckaroos. Na widok Chico podskakuje z podniecenia.

- Eddie, hej, Eddie, wiesz, co powiedział wujek Pete? Powiedział, że on i kupa innych facetów zatopili szkopską łódź podwodną podczas wojny! Zabierzesz mnie w następną sobotę do kina?

- Nie wiem - mówi Chico z uśmiechem. - Może, jeśli przez cały tydzień będziesz po kolacji całował moje buty.

Tarmosi Billy'ego za włosy. Billy wrzeszczy, śmieje się i kopie go po łydkach.

- Przestańcie, już - mówi Sam May, wchodząc do pokoju. - Przestańcie, wy dwaj. Wiedziecie, że matka nie lubi takich awantur.

Ma rozpięty guzik koszuli pod szyją i rozluźniony krawat. Niesie talerz z trzema hot dogami. Parówki tkwią w białym pieczywie, a obok Sam May nałożył sobie musztardę.

- Gdzie byłeś, Eddie?

- U Jane.

Słychać odgłos spuszczonej wody w toalecie. Virginia. Chico przelotnie zastanawia się, czy Jane zostawiła włosy w umywalce, czy szminkę albo wsuwkę na półce.

- Powinieneś być pojechać z nami do wuja Pete'a i cici Ann - mówi ojciec. Trzema szybkimi kęsami pochłania parówkę. - Zachowujesz się jak obcy, Eddie. Nie podoba mi się to. W końcu zapewniam ci wyżywienie i dach nad głową.

- Też mi wyżywienie - mówi Chico. - Też mi dach.

Sam szybko podnosi głowę, najpierw urażony, później zły. Kiedy zaczyna mówić, Chico widzi, że jego zęby są żółte od francuskiej musztardy. Czuje lekkie mdłości.

- Pyskujesz. Znowu pyskujesz. Jeszcze nie jesteś dość duży, cwaniaku.

Chico wzrusza ramionami, bierze kromkę chleba z opakowania leżącego na stoliku na kółkach obok krzesła ojca i smaruje ją keczupem.

- Za trzy miesiące będę.

- O czym, do diabła, mówisz?

- Zamierzam naprawić samochód Johnny'ego i pojechać do Kalifornii. Poszukać roboty.

- Ach tak. Świetnie.

Sam jest potężnym mężczyzną, wprost przytłaczającym, ale Chico ma wrażenie, że ojciec zmałał, od kiedy poślubił Virginie, a jeszcze bardziej po śmierci Johnny'ego. I w myślach słyszy samego siebie, jak mówi do Jane: Może mój brat, ale nie ja. A zaraz potem: Play your digeree, Blue.

- Nigdy nie dojedziesz tym wozem nawet do Castle Rock, nie mówiąc już o Kalifornii.
- Tak myślisz? Tylko popatrz, jaka zostanie za mną pierdolona chmura kurzu.

Przez moment ojciec patrzy na niego, a potem rzuca parówką, którą trzymał. Parówka trafia Chico w tors, opryskując musztardą sweter i krzesło.

- Powiedz to słowo jeszcze raz, a złamię ci nos, cwaniaczku.

Chico podnosi parówkę i spogląda na nią. Tania czerwona parówka, posmarowana francuską musztardą. Daj sobie trochę słońca. Odrzuca ją w ojca. Sam wstaje; twarz ma koloru starej cegły, żyłka na jego czole pulsuje. Potrąca udem stół, który przewraca się. Billy stoi w drzwiach kuchni i patrzy na nich. Nałożył sobie na talerz parówki z fasolą; talerz przechylił się i sos ścieka na podłogę. Billy ma szeroko otwarte oczy, drżące usta. W telewizji Carl Stormer i jego Country Buckaroos zawzięcie mordują „Long Black Veil”.

- Wychowujesz ich najlepiej, jak umiesz, a oni plują na ciebie - mówi ochryłym głosem ojciec. - Właśnie. Tak to jest.

Na oślep przesuwając ręką po siedzeniu swojego krzesła i natrafia na nie dojeżdżającą parówkę. Trzyma ją w garści jak odcięty członek. Niewiarygodne, ale zaczyna ją jeść... a jednocześnie Chico widzi, że ojciec zaczyna płakać.

- Właśnie, plują na ciebie, tak to jest.

- Dlaczego, do diabła, musiałeś się z nią ożenić? - wybucha Chico, w ostatniej chwili powstrzymując się przed powiedzeniem reszty: Gdybyś tego nie zrobił, Johnny nadal by żył.

- Nie twój przeklęty interes! - ryczy przez łzy Sam May. To moja sprawa!

- Ach tak?! - odkrzykuje Chico. - Tak uważasz?! Ja tylko muszę z nią mieszkać! Ja i Billy, musimy z nią mieszkać! Patrzeć, jak cię tłamsi! A ty nawet nie wiesz...

- Czego? - pyta ojciec i nagle jego głos brzmi głucho i złowieszczo. Kawalek hot doga w jego zaciśniętej pięści jest jak zakrwawiony kawałek kości. - Czego nie wiem?

- Niczego, kurwa, nie wiesz - mówi, wstrząśnięty tym, co o mało nie padło z jego ust.

- Lepiej natychmiast skończ z tym - mówi ojciec. - Albo wynoś się w cholerę, Chico.

Nazywa go tak tylko wtedy, gdy jest naprawdę wściekły.

Chico odwraca się i widzi, że Virginia stoi na drugim końcu pokoju, poprawiając spódniczkę, patrząc na niego wielkimi, spokojnymi, piwnymi oczami. Jej oczy są piękne; reszta nie jest tak piękna, tak wiecznie młoda, ale te oczy będą takie jeszcze przez lata, myśli Chico i znów czuje przyptyw mdlącej nienawiści - Więc kiedy umarł, wygarbowaliśmy jego skórę, Clyde, i powiesiliśmy ją na ścianie stodoły.

- Owinęła cię wokół palca, a ty nie masz jaj, żeby coś z tym zrobić!

Billy w końcu ma dość tych wrzasków - wybucha przeraźliwym rykiem, upuszcza talerz z parówkami i fasolą, kryje twarz w dłoniach. Sos opryskuje jego niedzielne buty i ochlapuje chodnik.

Sam stawia krok naprzód i zatrzymuje się, gdy Chico robi zachęcający gest, jakby

mówił: No już, załatwmy to, dlaczego czekałeś tak długo? Stoją jak posągi, aż Virginia przerywa ciszę - jej głos jest cichy, spokojny jak jej brązowe oczy.

- Odwiedziła cię dziewczyna, Ed? Wiesz, co twój ojciec i ja o tym myślimy. - I niemal mimochodem: - Zostawiła chusteczkę.

Patrzy na nią, rozwścieczając niezdolny wyrazić to, co myśli, jaka jest podła, jak podstępnie wbija nóż w plecy, jak podkrada się od tyłu, żeby zadać cios.

Mógłbyś mnie skrzywdzić, gdybyś chciał, mówią te piwne oczy. Wiem, że wiesz, co działo się, zanim umarł. Jednak mógłbyś mnie skrzywdzić tylko w jeden sposób, prawda, Chico? I tylko wtedy, gdyby ojciec ci uwierzył. A gdyby ci uwierzył, zabiłoby go to.

Ojciec rzuca się jak tygrys na świeży żer.

- Pieprzyliście się w moim domu, ty mały draniu?

- Proszę, nie wyrażaj się, Sam - mówi spokojnie Virginia.

- To dlatego nie chciałeś z nami jechać? Chciałeś się pie... chciałeś pie...

- No powiedz to! - szlocha Chico. - Nie daj jej się tłamsić!

Powiedz to! Powiedz!

- Wynoś się - mówi ponuro. - I nie wracaj, dopóki nie będziesz gotów przeprosić twojej matki i mnie.

- Nie waż się! - krzyczy Chico. - Nie waż się nazywać tej suki moją matką! Zabiję cię!

- Przestań, Eddie! - wrzeszczy Billy. Słowa są stłumione, zniekształcone przez zaciśnięte dłonie, którymi wciąż zasłania twarz. - Przestań krzyczeć na tatusia! Przestań, proszę!

Virginia nie rusza się od drzwi. Nie odrywa spokojnych oczu od Chico.

Sam cofa się o krok i natrafia na brzeg fotela. Opada nań ciężko i kryje twarz za owłosionym przedramieniem.

- Nie mogę na ciebie patrzeć, kiedy słyszę w twoich ustach takie słowa, Eddie. Czuję się okropnie.

- To przez nią czujesz się okropnie! Dlaczego tego nie przyznasz?

Sam nie odpowiada. Nadal nie patrząc na Chico, bierze ze stolika następną parówkę z chlebem. Sięga po musztardę. Billy wciąż płacze. Carl Stormer i jego Country Buckaroos śpiewają piosenkę kierowców ciężarówek. „Mój wozik jest stary, lecz nie brak mu pary” - oznajmia Carl wszystkim swoim widzom z zachodniego Maine.

- Chłopiec nie wie, co mówi, Sam - powiada łagodnie Virginia. - Jest w trudnym wieku. Niełatwo dorosnąć.

Pokonała go. To już koniec, kropka.

Kieruje się do drzwi, którymi wyjdzie najpierw pod wiatę, a potem na dwór. Otwiera je i odwraca się do Virginii, która spogląda na niego łagodnie, kiedy wymawia jej imię.

- O co chodzi, Ed?

- Pościel jest zakrwawiona. - I zaraz dodaje: - Rozprawczyłem ją.

Wydaje mu się, że w jej oczach dostrzega coś, ale to pewnie tylko pobożne życzenie.

- Proszę, idź już, Ed. Billy się boi.

Wychodzi. Buick nie chce zapalić i Chico już prawie godzi się z perspektywą wędrówki w deszczu, kiedy silnik wreszcie startuje. Zapala papierosa i wyjeżdża tyłem na szosę, gwałtownie wduszając sprzęgło i dodając gazu, gdy gaźnik kicha i charczy. Lampka akumulatora dwukrotnie miga złowrogo, a potem silnik zaczyna nierówno pomrukiwać. W końcu rusza, powoli kierując się ku Gates Falls.

Rzuca ostatnie spojrzenie na dodge'a Johnny'ego.

Johnny mógł mieć stałą pracę w Gates Mills & Weaving, ale tylko na nocnej zmianie. Nie ma nic przeciwko nocnej pracy, powiedział do Chico, a płaciliby lepiej niż w Plains, ale ich ojciec pracował w dzień, więc pracując w nocy w fabryce, Johnny w dzień byłby w domu z nią sam albo z Chico w drugim pokoju... a ściany są cienkie. Nie mogę z tym skończyć, a ona mi nie pozwoli, powiedział Johnny. Tak, wiem, co to by mu zrobiło. Jednak ona... ona po prostu nie przestanie, a ja nie mogę... ona wciąż na mnie patrzy, wiesz, o czym mówię, widziałeś ją, Billy jest za młody, żeby to zrozumieć, ale ty widziałeś ją...

Tak. Widział ją. I Johnny poszedł do pracy w Plains, mówiąc ojcu, że to dlatego, iż może w ten sposób dostać tanio części do swojego dodge'a. I właśnie dlatego zmieniał oponę, kiedy ten mustang przeleciał poślizgiem po betonowym podjeździe, krzesząc iskry tłumikiem; w ten sposób jego macocha zabiła mu brata, więc graj dalej, aż przelecę, Blue, ponieważ jedziemy do Stud City w tym gównianym buicku; i przypomina sobie swąd gumy, i jak wypukłości kręgosłupa Johnny'ego tworzyły małe półksiężycowate cienie na białym podkoszulku; pamięta, jak Johnny zaczął podnosić się znad koła, przy którym pracował, kiedy uderzył go mustang, miażdżąc o burtę chevroleta, a potem głuchy trzask, gdy chevrolet spadł z podnośnika i jasnożółty rozbłysk płomienia, dusząca woń benzyny...

Chico obiema nogami naciska hamulec, z piskiem i zgrzytem gwałtownie zatrzymując wóz na rozmiękłym poboczu. Przechyla się przez siedzenie pasażera, szeroko otwiera drzwi i wymiotuje w błoto i śnieg. Ten widok wywołuje nową falę wymiotów, a myśl o tym powoduje kolejne nudności. Samochód prawie zjeżdża do rowu, ale Chico w porę zatrzymuje go. Światło akumulatora mruga niechętnie, kiedy uruchamia silnik. Chico siedzi, czekając, aż ustąpią skurcze. Obok szybko przejeżdża samochód, nowy ford, biały, rozpryskując brudne wachlarze wody i błota.

- Stud City - mówi Chico. - W swoim nowiutkim wozie.

Na wargach, w gardle i na dziąsłach czuje smak wymiocin. Nie ma ochoty na papierosa. Danny Carter przenocuje go. Jutro będzie czas na dalsze decyzje. Rusza drogą numer 14 i jedzie dalej.

Cholernie melodramatyczne, no nie?

Wiem, świat zna jedno czy dwa lepsze opowiadania a raczej jedno czy dwa tysiące lepszych od tego. Na każdej stronie powinno mieć pieczętkę: TO PRODUKT POCZĄTKUJĄCEGO PISARZA... ponieważ tym właśnie było, przynajmniej do pewnego stopnia. Teraz wydaje mi się zarówno boleśnie wtórne, jak i niedojrzałe; hemingwayowski styl (tyle że z jakiegoś powodu napisany w czasie terażniejszym - co jest tak cholernie modne), a temat wzięty z Faulknera. Czy może być coś poważniejszego? Bardziej literackiego?

Nawet ten pretensjonalny styl nie może ukryć faktu, iż jest to bardzo seksualne opowiadanie napisane przez bardzo niedoświadczonego młodego człowieka (pisząc „Stud City” miałem za sobą doświadczenia z dwiema dziewczynami, przy czym z jedną miałem przedwczesną ejakulację - nie tak jak Chico w moim opowiadaniu). Jego stosunek do kobiet waha się od wrogiego do jeszcze paskudniejszego - dwie z kobiet opisanych w „Stud City” to dziwki, a trzecia jest papierową postacią, wypowiadającą takie kwestie jak „Kocham cię, Chico” albo „Wejdz, poczęstuję cię ciasteczkami”. Z drugiej strony Chico jest męskim, palącym papierosy bohaterem klasy pracującej, który mógłby żywcem zstąpić z rowków płyty Bruce'a Springsteena - chociaż o Springsteenie jeszcze nie slysano, gdy opublikowałem to opowiadanie w studenckim magazynie literackim (gdzie zamieszczono je między wierszem zatytułowanym „Moje wizerunki” a esejem na temat regulaminu studenckiego). To dzieło młodego człowieka, równie niepewnego, co niedoświadczonego.

A jednak było to pierwsze napisane przeze mnie opowiadanie, które uważałem za naprawdę moje - pierwsze, które tworzyło spójną całość, po pięciu latach prób. Pierwsze, które mogłoby się obronić mimo swoich braków. Kiepskie, ale żywe. Nawet teraz, gdy je czytam, tłumiąc rozbawienie jego udawaną szorstkością i pretensjonalizmem, widzę prawdziwą twarz Gordona Lachance'a wyzierającą spod linijek druku, Gordona Lachance'a młodszego od żyjącego i piszącego teraz, na pewno bardziej idealistycznie nastawionego niż autor bestsellerów, który chętnie czyta przede wszystkim umowy wydawnicze, ale nie tak młodego jak ten, który tamtego dnia poszedł ze swoimi kolegami szukać ciała martwego Raya Browera. Gordona Lachance'a tracącego dziecięcą niewinność.

Nie, to nie jest dobre opowiadanie - autor był zbyt zajęty słuchaniem innych

głosów, aby należycie wsłuchać się w ten, który płynął z głębi jego duszy. Jednak wtedy po raz pierwszy wykorzystałem znane mi miejsce oraz rzeczy do stworzenia fikcji literackiej i poczułem prawdziwe uniesienie, widząc, jak sprawy, które niepokoiły mnie przez lata, przybierają nowy kształt, formę, nad którą sprawowałem kontrolę. Minęły lata, od kiedy dręczyła mnie ta dziecinna obawa, że Denny siedzi w garderobie swego dawnego pokoju; byłem szczerze przekonany, że już o tym zapomniałem. A jednak w „Stud City” ten lęk pojawił się, tylko lekko zmieniony... ale kontrolowany.

Oparłem się chęci dokonania znacznych zmian, napisania tego opowiadania od nowa, wzbogacenia go - a presja była dość silna, ponieważ czytając je teraz, odczuwam zakłopotanie. Nadal są w nim rzeczy, które podobają mi się, a które zostałyby zepsute przez tego późniejszego Lachance'a z pierwszymi nitkami siwizny we włosach. Takie rzeczy jak widok cieni na białym podkoszulku Johnny'ego czy strużki deszczu na nagim ciele Jane wydają się lepsze, niż powinny być.

Ponadto było to pierwsze opowiadanie, którego nigdy nie pokazałem matce ani ojcu. Zbyt wiele było w nim Denny'ego. Za dużo Castle Rock. A przede wszystkim, o wiele za dużo tego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Zawsze poznasz prawdę po tym, że kiedy zranisz nią siebie lub kogoś, tak bardzo boli.

9

Mój pokój znajdował się na pierwszym piętrze i musiało w nim być co najmniej trzydzieści stopni. Po południu będzie czterdzieści pomimo otwartych okien. Naprawdę cieszyłem się, że nie będę tu spał tej nocy, a na myśl o tym, dokąd się wybieramy, znów poczułem podniecenie. Zwinąłem dwa koce i związałem je moim starym paskiem. Wziąłem wszystkie pieniądze, jakie miałem, czyli sześćdziesiąt osiem centów. Byłem gotowy.

Zszedłem tylnymi schodami, żeby nie spotkać ojca przed domem, ale mogłem się nie fatygować; nadal był w ogródku, daremnie polewając go sztucznym deszczem i patrząc przezeń w dal.

Przeszedłem po Summer Street i przez pustą parcelę do Carbine - tam gdzie dziś stoją biura filii Call w Castle Rock. Zdażałem w kierunku klubu, kiedy przy krawężniku zatrzymał się samochód i wysiadł z niego Chris. W jednej ręce miał stary harcerski plecak, a w drugiej dwa koce, zrolowane i związane sznurkiem.

- Dziękuję panu - powiedział i przytruchtał do mnie, a samochód odjechał. Chris wziął też harcerską manierkę, której pasek przechodził mu przez szyję i pod jedną pachą, tak że objęła mu się na biodrze. Miał roziskrzony wzrok. - Gordie! Chcesz coś zobaczyć?

- Pewnie, że chcę. Co?

- Najpierw wejdźmy tutaj. - Wskazał na wąski zaułek między restauracją Blue Point a trafiką.

- Co to takiego, Chris?

- Chodź tu, powiedziałem!

Wpadł w alejkę i po krótkiej chwili (tylko tyle potrzebowałem, żeby zapomnieć o zdrowym rozsądku) pobiegłem za nim. Te dwa budynki nie stały idealnie równolegle, więc uliczka stopniowo się zwążyła. Brnęliśmy wśród pomiętych starych gazet i deptaliśmy po ostrych, skrzących się odłamkach potłuczonych butelek po piwie i wodzie sodowej. Chris wpadł za restaurację i położył koce na ziemi. Opopadał stał rząd ośmiu czy dziewięciu śmietników, z których unosił się nieznośny smród.

- Fuj! Chris! Chodźmy stąd!

- Daj mi rękę - powiedział ponagłająco Chris.

- Nie, naprawdę, zaraz rzygnę...

Słowa zamarły mi na wargach i natychmiast zapomniałem o cuchnących śmietnikach. Chris zdjął plecak z ramion, otworzył go i sięgnął do środka. W ręce trzymał wielki pistolet z ciemną, drewnianą rękojeścią.

- Chcesz być Samotnym Jeźdźcem czy Cisco Kidem? zapytał z uśmiechem Chris.

- Dobry Jezu! Skąd to masz?

- Zwędziłem ojcu z biurka. To czterdziestkapiątka.

- Taak, widzę - powiedziałem, chociaż jak dla mnie równie dobrze mogła to być trzydziestkaósemka albo magnum 357 - mimo wszystkich przeczytanych książek Johna MacDonalda i Eda McBaina jedynym pistoletem, jaki widziałem z bliska, był ten, który nosił konstabl Bannerman... a chociaż wszystkie dzieciaki prosiły go, żeby wyjął broń z kabury, nigdy tego nie zrobił. - Człowieku, ojciec obedrze cię ze skóry, kiedy się dowie. Sam mówiłeś, że ma zły okres.

Jego oczy nadal się uśmiechały.

- O to chodzi, człowieku. O niczym się nie dowie. On i inni pijacy rozłożyli się u Harrisona z sześcioma czy ośmioma butelkami wina. Nie wrócą przez tydzień.

Pieprzeni pijacy.

Skrzywił się. On był jedynym członkiem naszej bandy, który nigdy nie pił, nawet po to, żeby pokazać, no wiecie, że ma jaja. Oświadczył, że nie ma zamiaru wyrosnąć na takiego pieprzonego pijaczka jak jego ojciec. A kiedyś zwierzył mi się w cztery oczy - po tym jak bliźniaki DeSpain przyszły z sześcioma piwami podwędzonymi ojcu i wszyscy kpili z Chrisa, który nie chciał przełknąć ani łyka piwa - że boi się pić. Powiedział, że jego ojciec nigdy nie wyciąga nosa z kieliszka, że jego starszy brat był kompletnie zalany, kiedy zgwałcił tę dziewczynę, a Eyeball wiecznie chleje bełty z Ace'em Merrillem, Charhem Hoganem i Billym Tessio. Zapytał mnie, jakie miałby szanse przestać pić, gdyby raz zaczął? Możecie uznać, że to zabawne, dwunastolatek martwiący się, że może zostać nałogowym alkoholikiem, ale dla Chrisa nie było w tym nic śmiesznego. Zupełnie nic. Wiele o tym rozmyślał. Miał okazję.

- Masz do niego naboje?

- Dziewięć. To wszystkie, jakie zostały w pudełku. Pomyśli, że zużył je, strzelając po pijaku do puszek.

- Jest naładowany?

- Nie! Jak rany, za kogo ty mnie masz?

W końcu wzięłem pistolet. Spodobał mi się sposób, w jaki leżał mi w dłoni. Widziałem siebie jako Steve'a Carellę z osiemdziesiątego siódmego komisariatu, ścigającego Hecklera, a może osłaniającego Meyera lub Klinga - wchodzącego do komfortowego apartamentu zdecydowanego na wszystko handlarza narkotyków. Wycelowałem w jeden z cuchnących śmietników i nacisnąłem spust.

BA-BACH!

Pistolet podskoczył mi w rękę. Z lufy trysnął płomień. Miałem wrażenie, że złamałem sobie rękę. Serce podeszło mi do gardła i stanęło tam, drżąc. W falistej blasze pojemnika na śmieci pojawiła się wielka dziura - dzieło złego czarodzieja.

- Jezusie! - wrzasnąłem.

Chris rechotał jak szalony - nie wiedziałem, czy ze śmiechu, czy z przerażenia.

- Zrobiłeś to, zrobiłeś! Gordie zrobił to! - wybełkotał. Hej, Gordon Lachance rozwala Castle Rock!

- Zamknij się! Zjeżdżajmy stąd! - krzyknąłem i złapałem go za koszulę.

Kiedy uciekaliśmy, tylne drzwi Blue Point otwarły się na oścież i wyszła z nich Francine Tupper w białym fartuszkach kelnerki.

- Kto to zrobił? Kto tu rzuca petardy?

Uciekliśmy co sił w nogach, przebiegając obok trafiki, sklepu z narzędziami i Emporium Galorium, w którym sprzedawano antyki, rupiecie i książki po dziesięć centów. Przeskoczyliśmy przez płot, wbijając sobie drzazgi w dłonie, i w końcu znaleźliśmy się na Curran Street. Po drodze rzuciłem Chrisowi czterdziestkępiątkę; pękał ze śmiechu, ale jakoś zdołał ją złapać, wepchnąć z powrotem do plecaka i zapiąć jedną sprzączkę. Minąwszy róg Curran i wróciwszy na Carbine Street zwolniliśmy kroku, żeby nie budzić podejrzeń. Chris wciąż chichotał.

- Człowieku, powinieneś widzieć swoją minę. O rany, to niesamowite. Naprawdę niesamowite. Pieprzona pierwsza klasa.

Potrząsnął głową, klepnął się po udzie i zarechotał.

- Wiedziałeś, że jest załadowany, prawda? Ty zgniłku! Będę miał kłopoty. Ta Tupper widziała mnie.

- Gównu, ona myśli, że to była petarda. Ponadto stara Brzęczykufel Tupper nie widzi dalej końca swego nosa, przecież wiesz. Uważa, że okulary mogłyby popsuć jej „śliczną twarz”.

Jedną rękę kładzie za głowę, drugą klepie się po udzie i znów ryczy ze śmiechu.

- No, nieważne. To był paskudny numer, Chris. Naprawdę.

- Daj spokój, Gordie. - Położył mi dłoń na ramieniu. Nie wiedziałem, że jest nabity, przysięgam na Boga i dobre imię mojej matki, że tylko wyjąłem pistolet z biurka ojca. On zawsze go rozładowuje. Musiał być bardzo pijany, kiedy wkładał go tam ostatni raz.

- Naprawdę go nie ładowałeś?

- Nie, proszę pana.

- Przysięgasz na swoją matkę, nawet gdyby miała pójść do piekła, jeśli kłamiesz?

- Przysięgam.

Przeżegnał się i splunął, z twarzą niewinną jak u chłopca z chóru. Jednak kiedy skręciliśmy na pustą parcelę, gdzie był nasz domek na drzewie, i zobaczyliśmy Verna oraz Teddy'ego siedzących na zrolowanych kocach w oczekiwaniu na nas, znów zaczął się śmiać. Opowiedział im całą historię i gdy wszyscy się nachichotali, Teddy spytał Chrisa, po co nam pistolet.

- Po nic - odparł Chris. - Tyle że możemy spotkać niedźwiedzia. Albo coś innego. Ponadto, nocą w lesie jest strasznie.

Wszyscy pokiwali głowami. Chris był największym, najtwardszym facetem w naszej bandzie, więc mógł sobie gadać takie rzeczy. Za to Teddy'emu dostałoby się po uszach, gdyby kiedyś napomknął, że boi się ciemności.

- Postawiłeś namiot na polu? - zapytał Verna.

- Tak. I włożyłem do środka dwie zapalone latarki, żeby wyglądało, że jesteśmy tam po zmroku.

- Bomba! - powiedziałem i klepnąłem Verna w plecy. Jak na niego, to było bardzo pomysłowe. Uśmiechnął się i poczerwieniał.

- No to chodźmy - rzekł Teddy. - Chodźcie, już prawie dwunasta!

Chris wstał i wszyscy zebraliśmy się wokół niego.

- Pójdziemy przez pole Beemana i za meblowym przy stacji Texaco - rzekł. - Potem dojdziemy do torów obok śmietniska i przejdziemy po moście do Harlow.

- Jak daleko będziemy musieli iść? - zapytał Teddy.

Chris wzruszył ramionami.

- Harlow jest duże. Co najmniej dwadzieścia mil. Jak sądzisz, Gordie?

- Taak. Może nawet trzydzieści.

- Nawet jeśli to trzydzieści, powinniśmy tam dotrzeć jutro po południu, o ile nikt nie stchórzy.

- Nie ma tu tchórzy - odparł natychmiast Teddy.

Wszyscy spojrzeliśmy po sobie.

- Bach! - powiedział Vern i roześmialiśmy się.

- Chodźcie, chłopaki. - Chris zarzucił plecak na ramię.

Razem wyszliśmy z opuszczonej parceli, Chris nieco na przedzie.

10

Zanim przebyliśmy pole Beemana i wdrapaliśmy się na żwirowy nasyp Great Southern & Western Maine, wszyscy zdjęliśmy koszule i owiązaliśmy się nimi w pasie. Pociliśmy się jak rude myszy. Na nasypie spojrzeliśmy na tory, którymi mieliśmy iść.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, do końca życia. Tylko ja miałem zegarek - tani timex otrzymany rok wcześniej w ramach nagrody za sprzedawanie maści Cloverine Brand. Jego wskazówki stały dokładnie na godzinie dwunastej, a słońce bezlitośnie prażyło suchą, pozbawioną skrawka cienia pustynię. Czuło się, jak próbuje wnikać ci pod czaszkę i usmażyć mózg.

Za nami było Castle Rock, przycupnięte na długim wzgórzu znanym jako Castle View, rozpościerające swoje zielone i cieniste grunty. Niżej, nad Castle River widać było budynki przędzalni wełny, wypływające kłęby dymu w niebo koloru stali i wpuszczające ścieki do wody. Po lewej mieliśmy sklep Jolly Furniture Barn. A przed nami ciągnęły się szyny kolejowe, jasne i błyszczące w słońcu. Biegły równoległe do rzeki, którą mieliśmy po lewej. Po prawej rozpościerał się zachwaszczony ugór (dzisiaj jest tam tor motocyklowy - wyścigi zaczynają się o drugiej w każde niedzielne popołudnie). Na horyzoncie wznosiła się stara, opuszczona wieża ciśnień, zardzewiała i dziwnie przerażająca.

Staliśmy tam przez dłuższą chwilę, a potem Chris rzekł niecierpliwie:

- Chodźcie, ruszamy.

Poszliśmy po żuźlu obok torów, przy każdym kroku wzbijając czarne obłoczki kurzu. Wkrótce pokrył nam tłustą warstwą buty i skarpetki. Vern zaczął śpiewać „Roluj mnie, roluj, w zielonym polu”, ale szybko przestał, przynosząc ulgę naszym uszom. Tylko Teddy i Chris wzięli manierki i wkrótce wszyscy zaczęliśmy z nich korzystać.

- Możemy znów je napęlnić z pompy przy wysypisku powiedziałem. - Mój ojciec mówi, że to dobra studnia. Ma sto dziewięćdziesiąt stóp głębokości.

- W porządku - rzekł Chris, przejmując rolę twardego dowódcy plutonu. - To będzie dobre miejsce na podwieczorek.

- A co z jedzeniem? - zapytał nagle Teddy. - Założę się, że nikt nie pomyślał o tym, żeby wziąć coś do jedzenia. Ja przynajmniej nie wziąłem.

Chris stanął jak wryty.

- Szlag! Ja też nie. Gordie?

Potrząsnąłem głową, zastanawiając się, jak mogłem być taki głupi.

- Vern?

- Nic - odparł Vern. - Przykro mi.

- No cóż, zobaczmy, ile mamy forsy - powiedziałem.

Rozwiązałem koszulę, rozpostarłem ją na żuźlu i rzuciłem na nią moje sześćdziesiąt osiem centów. Monety zamigotały w słońcu. Chris miał wytartego dolara i dwa centy. Teddy dwie ćwiartki i dwie pięciocentówki. Vern dokładnie siedem centów.

- Dwa trzydzieści siedem - podliczyłem. - Nieźle. Na końcu tej uliczki biegnącej do śmietniska jest sklep. Ktoś musi tam pójść i kupić hamburgery oraz kilka toników,

a pozostali zaczekają na niego.

- Kto? - zapytał Vern.

- Pociągniemy zapalki, kiedy dojdziemy do śmietniska. Chodźmy.

Wsunąłem pieniądze do kieszeni spodni i owiażywałem koszulę wokół bioder, gdy Chris wrzasnął:

- Pociąg!

Przyłożyłem dłoń do szyny i poczułem to, chociaż jeszcze nie widziałem. Szyna dudniła jak opętana; przez chwilę miałem wrażenie, że trzymam pociąg w dłoni.

- Spadochroniarze do ataku! - ryknął Vern i jednym gwałtownym, błazeńskim susem zeskoczył do połowy nasypu.

Vern uwielbiał wykonywać takie skoki wszędzie, gdzie grunt był dostatecznie miękki - w zwirowni, na stogu siana, na takim nasypie jak ten. Chris skoczył za nim. Pociąg słyhać było bardzo wyraźnie; zapewne jechał już po naszej stronie rzeki w kierunku Lewiston. Zamiast skakać, Teddy odwrócił się w kierunku nadjeżdżającego składu. Grube szkła błyszczały mu w słońcu. Wiatr rozwiewał niesforne kosmyki zlepionych potem włosów.

- Ruszaj, Teddy - powiedziałem.

- Nie, nie, uskoczę przed nim - odparł, rzucając mi podekscytowane spojrzenie.

- Skok przed pociągiem, kapujesz? Czym są ciężarówki wobec pociągu?

- Jesteś stuknięty, człowieku. Chcesz się zabić?

- Jak na plaży w Normandii! - krzyknął Teddy i stanął na środku torów. Ustawił się na jednym z podkładów, lekko balansując ciałem.

Przez moment stałem oniemiały, nie mogąc uwierzyć w tak potworną głupotę. Potem złapałem go, szarpiącego i protestującego zawlokłem na skraj nasypu i popchnąłem. Skoczyłem za nim i byłem już w powietrzu, kiedy Teddy uderzył mnie w brzuch. Ze świstem wypuściłem oddech, ale jeszcze zdążyłem rąbnąć go kolanem w mostek i obalić na plecy, zanim wstał. Runąłem jak długi, łapiąc powietrze, a Teddy chwycił mnie za szyję. Stoczyliśmy się z nasypu na sam dół, tłukąc się i szarpiąc, podczas gdy Chris i Vern gapili się na nas z głupimi minami.

- Ty mały skurwysynu! Nie będziesz mną pomiatał! Zabiję cię, ty gnido!

Zdążyłem już złapać oddech i zerwać się na nogi. Cofałem się przed nacierającym Teddym, osłaniając się rękami przed jego ciosami, na wpół rozbawiony, a na wpół przestraszony. Kiedy Teddy dostawał takiego napadu szału, lepiej było z nim nie zaczynać. W takim stanie był gotów zdrzeć z silniejszym od siebie

przeciwnikiem, a kiedy ten złamałby mu obie ręce, ugryzłby go.

- Teddy, możesz sobie skakać przed czym chcesz, gdy już zobaczymy to, co mamy zobaczyć, ale...

Bach w ramię, gdy nie zdążyłem uchylić się przed zamaszystym ciosem.

- ...ale do tej pory nikt nie może nas zobaczyć, ty...

Bach w bok głowy i wtedy zaczęlibyśmy się bić naprawdę, gdyby Chris i Vern...

- Głupi maminsynku!

...nie złapali nas i nie rozdzielili. Nad nami pociąg przemknął z rykiem dieslowych spalin i łoskotem kół. Kilka kawałków żużla stoczyło się z nasypu i kłótnia skończyła się... przynajmniej do czasu, aż znów zaczęliśmy się słyszeć.

Skład był krótki i kiedy minął nas wagon służbowy, Teddy powiedział:

- Zabiję go. A przynajmniej rozkwaszę mu nos.

Szarpnął się, ale Chris trzymał go mocno.

- Uspokój się, Teddy - powiedział stanowczo i powtarzał to, aż Teddy przestał się wyrywać i po prostu stał tam, w przekrzywionych okularach, z aparatem słuchowym dyndającym na piersi, na przewodzie od baterii, którą wepchnął do kieszeni dzinsów.

Gdy już całkiem się uspokoił, Chris obrócił się do mnie i zapytał:

- Czemu, do cholery, się z nim bijesz, Gordon?

- Chciał uskoczyć przed pociągiem. Pomyślałem, że maszynista zauważy go i zamelduje. Mogliby wysłać za nami gliniarza.

- Eee, byłby zbyt zajęty robieniem w gacie - rzekł Teddy, ale już nie wyglądał na rozeźlonego. Burza minęła.

- Gordie próbował zrobić to, co powinien - powiedział Vern. - Zawrzyjcie pokój.

- Pokój, chłopaki - przytaknął Chris.

- Taak, w porządku - powiedziałem i wyciągnąłem rękę, spodem do góry. - Pokój, Teddy?

- Zdążyłbym uskoczyć - upierał się. - Wiesz, Gordon?

- Taak - przytaknąłem, chociaż na samą myśl robiło mi się zimno w środku. - Wiem.

- Dobra. No to pokój.

- Przybij, człowieku - polecił Chris i puścił Teddy'ego.

Teddy trzasnął dłonią w moją dłoń tak silnie, że zaboląło, a potem nadstawił swoją. Trzasnąłem w nią.

- Pieprzony Lachance - rzekł Teddy.
- Miauu - powiedziałem.
- Chodźcie, chłopcy - powiedział Vern. - Ruszajmy, dobrze?
- Ruszaj co tchu, byle nie tu - odparł poważnie Chris i Vern udał, że chce go uderzyć.

11

Dotarliśmy do wysypiska około pierwszej trzydzięci i Vern ściągnął nas z nasypu komendą - „Spadochroniarze do ataku!”. Wielkimi susami zbiegliśmy na dół i przeskoczyliśmy nikłą strużkę wody bezgłośnie sączącej się z przepustu pod nasypem. Za tą małą błotnistą łączką był skraj piaszczystego śmietniska. Otaczał je wysoki na sześć stóp płot. Co dwadzieścia stóp widniały na nim wyblakłe ze starości tablice ostrzegawcze. Głosiły:

WYSYPISKO CASTLE ROCK
CZYNNE OD 16. 00 DO 20. 00
W PONIEDZIAŁKI NIECZYNNE
OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY

Weszliśmy na płot, przewiesiliśmy się i zeskoczyliśmy po drugiej stronie. Teddy i Vern poprowadzili nas w kierunku studni ze staromodną pompą - taką, która działa dopiero po zalaniu wodą. Obok pompy stała puszka pełna wody i karygodnym grzechem było zapomnieć napęlić ją dla następnego, który przyjdzie się napić. Żelazne ramię sterczało pod ostrym kątem, wyglądając jak jednoskrzydły ptak usiłujący odlecieć. Kiedyś było zielone, lecz tysiące rąk poruszających tą dźwignią od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku starły niemal całą farbę.

Ta pompa jest jednym z moich najżywiej zapamiętanych wspomnień z Castle Rock. Zawsze kiedy o niej pomyślę, przychodzą mi do głowy malarze - surrealiści - ci faceci, którzy malują cyferblaty zegarów leżące w rozwidleniach drzew, wiktoriańskie meble stojące na środku Sahary lub lokomotywy parowe wyjeżdżające z kominków. W moich oczach dziecka nic na śmietniku Castle Rock nie wyglądało tak, jakby znajdowało się na swoim miejscu.

Zaszliśmy tam od tyłu. Wchodzących od frontu szeroka żwirowa droga wiodła przez bramę, wyprowadzała na owalny plac ubity gąsienicami buldożerów jak płyta

lotniska, aby gwałtownie urwać się na skraju śmietnika. Pompa (Teddy i Vern już stali przy niej i spierali się, kto ma ją uruchomić) znajdowała się po drugiej stronie tego ogromnego dołu. Miał chyba z osiemdziesiąt stóp głębokości i był wypełniony różnymi amerykańskimi wyrobami, które zostały opróżnione, zużyte lub po prostu przestały działać. Było tam tyle rzeczy, od widoku których po prostu bolały oczy - a może mózg, ponieważ nie mógł zdecydować, na czym zatrzymać wzrok. Potem wzrok rzeczywiście skupiał się na czymś, co wyglądało tu równie nie na swoim miejscu jak te tarcze zegarów lub meble na pustyni. Mosiężne łóżko pijacko przechylone w słońcu. Dziewczęca lalka spoglądająca ze zdumieniem między swoje uda, rodząca kłaczki materiału, którym ją wypchano. Przewrócony studebaker ze swym obłym chromowanym nosem błyszczącym w słońcu niczym jakaś rakietka Bucka Rogersa. Jedna z tych olbrzymich butli na wodę, jakich używają w biurach, zmieniona przez słoneczne promienie w rozgrzany, roziskrzony szafir.

Kwitło tutaj również życie, aczkolwiek nie takie, jakie widzi się na przyrodniczych filmach Walta Disneya czy w ogrodach zoologicznych, gdzie można głaskać zwierzęta. Tłuste szczury, świstaki upasione i rozleniwione od obfitości takiego pokarmu jak nadpsute hamburgery i robaczywe warzywa, tysiące mew i od czasu do czasu, spacerujące wśród hałd jak pogrążeni w rozmyślaniach duchowni, ogromne wrony. Było to także miejsce, gdzie przychodziły na posiłek wszystkie bezpańskie psy z miasta, kiedy nie zdołały znaleźć żadnego kubła na śmieci ani zagryźć żadnego jelenia. Sfora nędznych, hałaśliwych kundli o zapadniętych bokach i wyszczerzonych pyskach, walcząca o każdy kawałek wyrzuconej kiełbasy czy kurzych flaków fermentujących w słońcu.

Jednak te psy nigdy nie atakowały Mila Pressmana, dozorca wysypiska, ponieważ ten nie pojawiał się bez Choppera u boku. Chopper był - przynajmniej do czasu aż Cujo, pies Joego Cambera, wściekł się dwadzieścia lat później - budzącym największe przerażenie i najrzadziej widywanym psem w Castle Rock. Był najgroźniejszym psem w promieniu czterdziestu mil (tak słyszeliśmy) i tak brzydkim, że na jego widok stawały zegary. Dzieciaki opowiadały legendy o jego wyczynach. Jedni twierdzili, że jest w połowie owczarkiem alzackim, inni, że głównie bokserem, a pewien dzieciak z Castle View niefortunnie nazywający się Harry Horr utrzymywał, iż Chopper to doberman, któremu chirurgicznie usunięto struny głosowe, żeby nie było go słychać, kiedy atakuje. Jeszcze inni mówili, że Chopper to oszalały irlandzki ogar, a Milo Pressman karmi go specjalną mieszanką złożoną z ochłapów i kurzej krwi. Ci

utrzymywali, że Milo nie wypuszcza Choppera z klatki, nie założywszy mu na łeb kaptura, jak sokołowi.

Najczęściej mówiono, że Pressman wytresował Choppera tak, żeby ten łapał ofiary tylko za pewne części ciała. Tak więc nieszczęsny dzieciak, który przeskoczył przez ogrodzenie, żeby zdobyć jakieś zakazane skarby, mógł usłyszeć, jak Milo Pressman woła: „Chopper! Bierz! Ręka!”. I Chopper chwycił tę rękę, rozrywając skórę i ścięgna, miażdżąc kości swymi zaślinionymi szczękami, póki Milo nie kazał mu przestać. Wieść głosiła, że Chopper mógł złapać za ucho, oko, stopę lub nogę... a intruz przyłapany po raz drugi przez Mila słyszy straszliwy okrzyk: „Chopper! Bierz! Jaja!” i do końca życia mówi sopranem. Samego Mila widywano częściej, z tego powodu budził mniejszą zgrozę. Był po prostu niezbyt bystrym gościem, który uzupełniał swoją skromną magistracką pensyjkę, naprawiając wyrzucane przez ludzi przedmioty i sprzedając je w mieście.

Dzisiaj nigdzie nie było widać ani Mila, ani Choppera.

Chris i ja patrzyliśmy, jak Vern zalewa pompę, a Teddy gorączkowo porusza dźwignią. W końcu ich wysiłki zostały nagrodzone potokiem czystej wody. W następnej chwili obaj wsadzili głowy pod kran, przy czym Teddy nadal gwałtownie poruszał dźwignią.

- Teddy to wariat - powiedziałem cicho.

- Och tak - odparł obojętnie Chris. - Założę się, że nie pożyje długo. To przez to, że ojciec przypalił mu uszy. Wszystko dlatego. Jest stuknięty, żeby tak przebiegać przed ciężarówkami. Przecież gównem widzi, w tych okularach czy bez nich.

- Pamiętasz wtedy, na drzewie?

- Taak.

Rok wcześniej Teddy i Chris wspinali się na wielką sosnę za moim domem. Byli już prawie na czubku i Chris powiedział, że nie powinni wchodzić wyżej, ponieważ wszystkie gałęzie są spróchniałe. Twarz Teddy'ego przybrała ten szalony, uparty wyraz i powiedział: „Pieprzyć to, mam całe ręce w żywicy i będę się wspinał, aż zdołam dotknąć wierzchołka”. Chris w żaden sposób nie mógł go od tego odwieść. Tak więc piął się dalej i naprawdę zrobił to - jak pamiętacie, ważył niecałe czterdzieści kilo. Stał tam, trzymając czubek sosny w jednej oblepionej żywicą ręce, krzycząc, że jest królem świata czy coś równie głupiego, a wtedy rozległ się okropny trzask i spróchniała gałąź, na której stał, złamała się i Teddy poleciał. Wtedy zdarzył się jeden z tych przypadków, dzięki którym nabieramy pewności, że Bóg istnieje. Chris

wyciągnął rękę, zupełnie odruchowo, i chwycił garść włosów Teddy'ego Duchampa. I chociaż ręka spuchła mu tak, że przez prawie dwa tygodnie nie mógł się nią posługiwać, utrzymał go do chwili, gdy Teddy, wrzeszcząc i przeklinając, oparł nogę na gałęzi dostatecznie mocnej, żeby utrzymała jego ciężar. Gdyby Chris nie złapał go, Teddy runąłby na ziemię - sto dwadzieścia stóp niżej. Kiedy zesli, Chris był szary na twarzy i mdliło go ze strachu, a Teddy chciał go bić za to, że złapał go za włosy. I doszłoby do bójki, gdybym nie był przy tym i nie rozdzielił ich.

- Co jakiś czas śni mi się to - powiedział Chris i spojrzał na mnie dziwnie bezbronnymi oczami. - Tyle że w tym śnie nigdy nie udaje mi się go złapać. Trzymam w garści kilka włosów, a Teddy wrzeszczy i spada. Upiorne, nie?

- Upiorne - przytaknąłem i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, i widzieliśmy kilka z tych rzeczy, które czyniły nas prawdziwymi przyjaciółmi. Potem znów odwróciliśmy wzrok i obserwowaliśmy, jak Teddy i Vern chlapią się wodą, wrzeszcząc, śmiejąc się i wyzywając od mięczaków.

- Taak, ale złapałeś go - powiedziałem. - Chris Chambers nigdy nie chybia, mam rację?

- Nawet gdy panie opuszczą klapę sedesu - dodał. Mrugnął do mnie, kciukiem i palcem wskazującym zrobił duże „O” i celnie splunął przez nie kulą śliny.

- Pij mnie duszkiem, Chambers - powiedziałem.

- Przez słomkę z uszkiem - rzekł i uśmiechnęliśmy się do siebie.

Vern wrzasnął:

- Chodźcie tu i nabierzcie wody, zanim cała wycieknie!

- Ścigamy się - zaproponował Chris.

- W tym skwarze? Chyba ci odbiło.

- No chodź - namawiał, nadal szczerząc zęby. - Na Już”.

- Dobra.

- Już!

Pobiegliśmy, mocno wbijając trampki w twardą, spieczoną ziemię, wypinając torsy przed opięte dzinsami dolne połowy ciała, machając zaciśniętymi pięściami. Dobiegliśmy jednocześnie; Vern po stronie Chrisa, a Teddy po mojej w tym samym momencie wystawili środkowe palce. Ze śmiechem runęliśmy na ziemię w nieruchomym, śmierdzącym dymem powietrzu i Chris rzucił Vernowi swoją manierkę. Kiedy była pełna, razem z Chrisem podszedłem do pompy i najpierw on pompował dla mnie, a potem ja dla niego; wstrząsająco zimna woda błyskawicznie

zmywała kurz i skwar, posyłając nasze zamrożone czupryny o miesiące naprzód, do styczniowych mrozów. Potem ponownie napełniłem puszkę wodą i wszyscy usiedliśmy w cieniu jedyne drzewa na wysypisku - karłowatego jesionu stojącego pięć stóp od obitego papą baraku Mila Pressmana. Drzewo było lekko pochylone na zachód, jakby jedyne, czego chciało, to podnieść korzenie tak, jak stara dama unosi spódnicę, i wynieść się w cholerę z tego wysypiska.

- W dechę!

- Bombowo! - przytaknąłem, kiwając głową, wciąż uśmiechając się do swoich myśli.

- Jest naprawdę świetnie - powiedział po prostu Vern i nie chodziło mu tylko o to, że byliśmy sami na tym wysypisku, że wymknęliśmy się spod opieki rodziców i mieliśmy pójść po torach kolejowych do Harlow; myślał o tych rzeczach, lecz teraz wydaje mi się, że chodziło o coś więcej i wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Wiedzieliśmy dokładnie, kim jesteśmy i dokąd idziemy. To było wspaniałe.

Przez jakiś czas siedzieliśmy pod drzewem, gadając o różnych pierdołach, jak zawsze - kto ma najlepszą drużynę piłkarską (oczywiście Jankesi, z Mantle'em i Marisem), który samochód jest najlepszy (thunderbird rocznik pięćdziesiąt pięć, chociaż Teddy upierał się, że corvette z pięćdziesiątego ósmego), kto jest najtwardszym facetem w Castle Rock poza naszą paczką (wszyscy zgodziliśmy się, że to Jamie Gallant, który przy pani Ewing zrobił niedwuznaczny gest, po czym z rękami w kieszeniach wyszedł z klasy, nie zważając na jej krzyki), który film telewizyjny jest najlepszy („Nietykalni” albo „Peter Gunn” zarówno Robert Stack jako Eliott Ness, jak Craig Stevens jako Gunn byli dobrzy) i tak dalej.

To Teddy pierwszy zauważył, że cień jesionu zaczyna się wydłużać, i zapytał mnie, która godzina. Zerknąłem na zegarek i ze zdziwieniem zobaczyłem, że jest kwadrans po drugiej.

- Hej, ludzie - rzekł Vern. - Ktoś musi iść po prowiant. Wysypisko otwierają o czwartej. Nie chcę tu siedzieć, kiedy zjawią się Milo i Chopper.

Nawet Teddy zgodził się z nim. Nie obawiał się Mila, który miał wydatny brzuch i co najmniej czterdziestkę, ale każdy chłopak w Castle Rock ścisnął nogami jaja, kiedy padało imię Choppera.

- Dobra - powiedziałem. - Nietypowy idzie?

- To ty, Gordie - rzekł śmiejąc się Chris. - Ty jesteś nietypowy.

- Tak jak twoja matka - powiedziałem i dałem każdemu z nich po monecie. -

Rzucamy.

Cztery monety zamigotały w słońcu. Cztery ręce schwytały je w powietrzu. Cztery głośne klaśnięcia o brudne przeguby. Dwa orły i dwie reszki. Rzuciliśmy ponownie i tym razem wszyscy czterej mieliśmy reszki.

- O Jezu, ale niefart - powiedział Vern, nie mówiąc niczego, czego byśmy nie wiedzieli. Cztery orły, czyli księżyc, zapowiadały niezwykle sukces. Cztery reszki to niefart, czyli po prostu pech.

- Pieprzyć to - rzekł Chris. - To o niczym nie świadczy.

Spróbujmy jeszcze raz.

- Nie, człowieku - powiedział szczerze Vern. - Taki niefart to paskudna rzecz. Pamiętacie, jak Clint Bracken i tamci faceci zginęli na Sirois Hill w Durham? Billy mówił mi, że zanim wsiedli do samochodu, rzucali, kto stawia piwo, i też wypadł im niefart. A potem bach! - i wszyscy poszli wachać kwiatki. Nie podoba mi się to. Szczerze.

- Nikt nie wierzy w te bzdury o farcie i niefarcie - powiedział niecierpliwie Teddy. - To bajki dla dzieci, Vern. Rzucasz czy nie?

Vern rzucił, chociaż z widoczną niechęcią. Tym razem on, Chris i Teddy mieli reszki. Ja na mojej monecie zobaczyłem głowę Thomasa Jeffersona. Nagle poczułem lęk. Jakby cień przesłonił jakieś wewnętrzne słońce. Oni nadal mieli niefart, wszyscy trzej, jakby ślepy los po raz drugi wskazał ich ręką. Nagle przypomniały mi się słowa Chrisa: Trzymam w garści kilka włosów, a Teddy wrzeszczy i spada. Upiorne, nie?

Trzy reszki, jeden orzeł.

Potem Teddy zaniósł się swym szalonym chichotem, wskazując na mnie i to dziwne uczucie minęło.

- Słyszałem, że tylko więdźmy się tak śmieją - powiedziałem i pokazałem mu palec.

- Chiii-chi-chi, Gordie - chichotał Teddy. - Idź po ten prowiant, ty pieprzony odmieńcu.

Z chęcią to zrobiłem. Odpocząłem już i nie miałem nic przeciwko temu, żeby przejść się do Florida Market.

- Nie nazywaj mnie tak, jak mówi na ciebie mamusia powiedziałem Teddy'emu.

- Chii-chi-chi, ale z ciebie pieprzony mięczak, Lachance.

- Idź, Gordie - powiedział Chris. - Zaczekamy na ciebie przy torach.

- Lepiej nie idźcie beze mnie, chłopcy.

Vern roześmiał się.

- Pójść bez ciebie to jak z lemoniadą zamiast budweisera, Gordie.

- Och, zamknij paszczę.

Zaśpiewali razem:

- Zamknij paszczę, bo ci naszczę!

- I przyjdzie moja mama i jeszcze cię wychlaszcze! - dodałem i zabrałem się stamtąd, a odchodząc pokazałem im palec. Jezu, nigdy później nie miałem już takich przyjaciół jak wtedy, kiedy byłem dwunastolatkiem, a wy?

12

Każdy odbiera inaczej, powiada się dzisiaj - i słusznie. Tak więc jeśli mówię lato, widzicie własny ciąg skojarzeń, całkowicie różnych od moich. I dobrze. Jednak dla mnie lato zawsze będzie oznaczało bieg drogą do Florida Market, z drobnymi brzęczącymi w kieszeniach, prawie trzydziestostopniowy upał, trampki na nogach. To słowo przywołuje obraz szyn GS & WM biegnących aż po odległy horyzont, tak rozświetlonych do białości słońcem, że zamknięwszy oczy nadal widziało się je w mroku, tylko nie białe, a niebieskie.

Jednak tamto lato miało w sobie coś więcej niż naszą wycieczkę za rzekę w poszukiwaniu Raya Browera, aczkolwiek to pierwsze, co przychodzi mi na myśl. Dźwięk Fleetwoodsów śpiewających „Come Softly to Me”, Robin Luke śpiewający „Susie Darlin” oraz Little Anthony dający wokal w „I Ran All the Way Home”. Czy wszystkie były przebojami w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku? Tak i nie. Przeważnie tak.

W długie szkarłatne wieczory, kiedy rock and roll nadawany przez WALM mieszał się z transmisją meczu baseballowego, czas przestawał istnieć. Myślę, że wszystkie lata były rokiem sześćdziesiątym, że to lato trwało kilka lat, magicznie nietknięte w pajęczynie dźwięków: słodkiego cykania świerszczy, przypominającego odgłos tasowanych kart, trzasku szprych roweru jakiegoś chłopca jadącego do domu na spóźnioną kolację, złożoną z kanapek i mrożonej herbaty, matowy teksaski głos Buddy'ego Knoxa śpiewającego: „Chodź ze mną na przyjęcie, a będę cię kochał, kochał...” oraz głos komentatora sportowego stapiający się z piosenką i zapachem świeżo skoszonej trawy: „Dwa z trzech. Whitey Ford pochyła się... przymierza... jest gotowy... Ford zwleka... rzuca... i jest! Williams zdobywa punkt! To koniec! Red Sox

prowadzą trzy do jednego!”. Czy Ted Williams jeszcze grał w Red Sox w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym? Możecie założyć się, że tak. Pamiętam to bardzo dobrze.

W ostatnich latach baseball stał się dla mnie bardzo ważny, od kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że baseballiści to tacy sami ludzie z krwi i kości jak ja. Ta świadomość przysłała z chwilą, gdy samochód Roya Campanelli przekoziołkował i nagłówki pierwszych stron gazet wykrzyczały okropną wiadomość: jego kariera skończona, do końca życia będzie przykuty do wózka inwalidzkiego. Wszystko to wróciło do mnie jako wstrząsające przypomnienie kruchości ludzkiego istnienia, kiedy dwa lata temu siedząc przy maszynie do pisania, włączyłem radio i usłyszałem, że Thurman Munson zginął, lądując swoim samolotem.

Były filmy, na które chodziliśmy do Gema, które dawno temu zostało rozebrane; filmy science fiction, takie jak „Gog” z Richardem Eganem, westerny z Audiem Murphym (Teddy widział co najmniej trzy razy wszystkie filmy z Audiem Murphym, uważał go prawie za bóstwo) i filmy wojenne z Johnem Wayne'em. Były zabawy i dłużące się posiłki, trawniki do skoszenia, miejsca do biegania, mury do odbijania o nie monet, ludzie poklepujący cię po ramieniu. A teraz siedzę wpatrując się w klawiaturę peceta i widzę ten czas, usiłuję przywołać najlepsze i najgorsze chwile tego upalnego lata i niemal czuję w sobie tego chudego, przyszczatego chłopca i słyszę te dźwięki. Jednak apoteozą tych wspomnień i tego czasu jest Gordon Lachance biegnący ulicą do Florida Market, z drobniakami w kieszeni i potem spływającym po plecach.

Poprosiłem o trzy funty hamburgerów, pieczywo do nich, cztery butelki coli i otwieracz za dwa centy. Właściciel sklepu, niejaki George Dusset wziął mięso i pochylił się nad kasą, jedną mięsistą ręką opierając na ladzie obok dużego słoika jajek na twardo, z wykałaczką w zębach, z wielkim brzuchem piwosza wydymającym mu białą koszulę jak żagiel na wietrze. Stał tak, kiedy składałem zamówienie, pilnując, żebym nie próbował czegoś zwędzić. Nie odezwał się słowem do chwili, gdy zaczął ważyć parówki.

- Znam cię. Jesteś bratem Denny'ego Lachance'a, prawda?

Wykałaczka przesunęła się z jednego kącika ust do drugiego jak na łożysku kulkowym. Sięgnął za kasę, wziął butelkę wody sodowej i otworzył ją.

- Tak, proszę pana. Ale Denny...

- Tak, wiem. To smutne, chłopcze. W Biblii napisano: „Pośród życia jest śmierć”. Wiedziałaś o tym? Taak. Ja straciłem brata w Korei. Jesteś bardzo podobny

do Denny'ego, mówił ci to już ktoś? Tak. Bliźniaczo podobny.

- Tak, proszę pana, mówiono mi - odparłem ponuro.

- Pamiętam, że właśnie powołano go do reprezentacji. Grał na półboku. Tak. A potrafił biegać! Dobry Boże i kochany Jezus! Jesteś pewnie za młody, żeby to pamiętać.

Patrzył ponad moją głowę, przez siatkowe drzwi na potworny skwar, jakby widział tam piękny obraz mojego brata.

- Pamiętam. Panie Dusset?

- Co, chłopcze?

Oczy nadal miał zamglone od wspomnień; wykałaczka lekko drżała mu między wargami.

- Trzyma pan kciuk na wadze.

- Co? - Ze zdumieniem spojrział w dół, na swój kciuk mocno przyciskający białą emalię. Gdybym nie przesunął się lekko, kiedy zaczął mówić o Dennisie, mielone mięso zasłoniłoby go. - Aaa, tak. Hm. Chyba zamyśliłem się, wspominając o twoim bracie, niech go Bóg ma w opiece.

George Dusset przeżegnał się. Gdy zdjął kciuk z wagi, igła podskoczyła o sześć uncji. Dorzucił na wierzch trochę mięsa, a potem zawinął wszystko w biały papier.

- Dobra - powiedział przez wykałaczkę. - Policzmy. Trzy funty hamburgera to dolar czterdzieści cztery. Pieczywo to dwadzieścia siedem. Cztery napoje, czterdzieści centów. Otwieracz, dwa pensy. Razem...

Podliczył wszystko na torebce, do której miał włożyć zakupy.

- Dwa dwadzieścia dziewięć.

- Trzydzieści.

Powoli podniósł na mnie wzrok, marszcząc brwi.

- He?

- Dwa trzydzieści. Źle pan dodał.

- Chłopcze, czy...

- Źle pan dodał - powiedziałem. - Najpierw trzymał pan palec na wadze, a potem za dużo mi pan policzył, panie Dusset. Chciałem jeszcze kupić kilka batoników, ale teraz chyba zrezygnuję.

Położyłem przed nim dwa dolary i trzydzieści centów.

Spojrzał na pieniądze, a potem na mnie. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, bruzdy na twarzy były jak szpary.

- Co z tobą, chłopcze? - powiedział ściszym głosem, który był złowieszczo

poufały. - Taki z ciebie cwaniak?

- Nie, proszę pana - odparłem. - Jednak nie będzie mnie pan nacinał bezkarnie. Co powiedziała by pańska matka, gdyby wiedziała, że nacina pan małe dzieci?

Gwałtownymi ruchami zapakował wszystko do torby, aż zabrzęczały butelki coli. Pchnął pakunek po ladzie, nie zważając, że mogę go nie złapać i potłuc butelki. Jego śniada twarz była teraz czerwona i odpychająca, brwi groźnie zmarszczone.

- Dobra, mały. Masz. A teraz wynoś się z mojego sklepu. Jeżeli znów cię tu zobaczę, wyrzucę cię na zbity pysk. Tak. Ty cwany mały skurwysynku.

- Już tu nie przyjdę - powiedziałem, podchodząc do drzwi i otwierając je na oścież. Na zewnątrz skwarne popołudnie brzęczało sennie, tocząc się swoim trybem, zielono-brązowe i pełne światła. - Ani żaden z moich przyjaciół. A mam ich z pięćdziesięciu.

- Twój brat nie był takim cwaniakiem! - krzyknął George Dusset.

- Pierdol się! - wrzasnąłem i co sił pobiegłem drogą.

Za plecami usłyszałem głośny trzask otwieranych drzwi i przeraźliwy ryk sklepikarza:

- Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, obiję ci pysk, ty mały śmierdzielu!

Biegłem, aż minąłem pierwszy pagórek; byłem przestraszony i rozbawiony, a serce waliło mi trzykrotnie szybciej niż zwykle. Potem zwolniłem kroku, co jakiś czas oglądając się przez ramię, aby upewnić się, że nie goni mnie samochodem ani nic.

Nie zrobił tego i niebawem dotarłem do bramy wysypiska. Włożyłem torbę za koszulę, wspiąłem się na bramę i zszedłem po drugiej stronie. Byłem w połowie wysypiska, kiedy zauważyłem coś, co mi się nie spodobało - za obitym papą barakiem stał buick rocznik pięćdziesiąt sześć Mila Pressmana. Gdyby Milo zauważył mnie, miałbym poważne kłopoty. Na razie nigdzie nie widziałem ani jego, ani osławionego Choppera, lecz nagle ogrodzenie z siatki na tyłach wysypiska wydało mi się bardzo odległe. Pożałowałem, że nie poszedłem wokół wysypiska, ale teraz znalazłem się za daleko, żeby zawrócić. Gdyby Milo zauważył mnie uciekającego przez płot, zapewne miałbym kłopoty po powrocie do domu, ale nie obawiałem się tego tak bardzo jak ewentualnego poszczucia psem.

W myślach słyszałem przerażające dźwięki skrzypiec. Szedłem krok za krokiem, usiłując nie rzucać się w oczy, sprawiać wrażenie, jakbym znajdował się tu na swoim miejscu, z papierową torbą wystającą zza pazuchy, zmierzając do płotu odgradzającego wysypisko od torów kolejowych.

Pozostało mi jakieś pięćdziesiąt stóp do ogrodzenia i już zacząłem myśleć, że wszystko będzie dobrze, kiedy usłyszałem krzyk Mila:

- Hej! Hej ty! Chłopcze! Odejdź od tego płotu! Chodź tutaj!

Rozsądek nakazywał usłuchać i zawrócić, ale w tym momencie byłem tak wystraszony, że zamiast postąpić racjonalnie, z przeraźliwym krzykiem rzuciłem się do ogrodzenia, gnając ile sił w nogach. Vern, Teddy i Chris wyszli z zarośli po drugiej stronie płotu i z niepokojem patrzyli przez siatkę.

- Wracaj tu! - szalał Milo. - Wracaj albo poszczuję cię psem, cholera!

Bynajmniej nie brzmiało to jak głos rozsądku i miłosierdzia, więc pobiegłem jeszcze szybciej, machając rękami, czując, jak brązowa torba ze spożywczego ociera mi skórę. Teddy zaczął śmiać się tym swoim idiotycznym, zawodzącym „chii-chi-chi”, przypominającym dźwięk jakiegoś instrumentu dętego w rękach wariata.

- Szybciej, Gordie, szybciej! - wrzasnął Vern.

A Milo krzyknął:

- Bierz go, Chopper! Bierz go!

Przerzuciłem torbę przez płot i Vern odepchnął Teddy'ego, żeby ją schwytać. Za plecami słyszałem nadbiegającego Choppera, pod którym drżała ziemia, który tryskał ogniem z jednego, a lodem z drugiego rozdętego nozdrza i rozdziawiał ociekające kwasem siarkowym szczęki. Wrzasnąłem i jednym susem znalazłem się w połowie wysokości płotu. W nie więcej niż trzy sekundy wdrapałem się na szczyt i po prostu skoczyłem - nie myśląc, co robię, i nie patrząc w dół, na czym wyląduję. Niewiele brakowało, a wylądowałbym na Teddym, który - zgięty wpół - śmiał się jak opętany. Okulary spadły mu z nosa, a do oczu nabiegły łzy. Minąłem go o kilka cali i spadłem na gliniasto-żwirowe podłoże po jego lewej ręce. W tej samej chwili Chopper wpadł na siatkę za moimi plecami, wydając skowyt bólu i rozczarowania. Odwróciłem się, ściskając otarte kolano i wreszcie spojrzałem na słynnego Choppera - po czym po raz pierwszy dostrzegłem ogromny rozdźwięk między mitem a rzeczywistością.

Zamiast jakiegoś piekielnego potwora o krwawych, gorejących ślepiach i zębach sterczących z paszczy jak chłodnica chevroleta, zobaczyłem średniej wielkości kundla w czarno-białe łaty. Szczekał i podskakiwał, stając na tylnych łapach przy ogrodzeniu.

Teddy kręcił się przed nim, machając trzymanymi w ręce okularami i pobudzając Choppera do jeszcze większej wściekłości.

- Pocałuj mnie w dupę, Choppie! - zachęcał Teddy, zapluwając się z emocji. - Pocałuj mnie w dupę! Zjedz gównno!

Oparł tyłek o siatkę, a Chopper usiłował skorzystać z zaproszenia. Nie zyskał nic prócz tego, że mocno uderzył się w nos. Zaczął wściekle ujadać, aż piana ściekała mu z pyska. Teddy co chwila przyciskał tyłek do siatki, a Chopper rzucał się na niego, wciąż chybiając i kalecząc sobie nos, który zaczął krwawić. Teddy drażnił go, nazywając pogardliwie „Choppie”, a Chris i Vern leżeli na nasypie, śmiejąc się tak serdecznie, że ledwie mogli oddychać.

Po chwili nadszedł Milo Pressman, ubrany w przepocony kombinezon i czapkę baseballową nowojorskich Gigantów, z gniewnie wysuniętą dolną szczęką.

- Hej, wy! - krzychał. - Przestańcie drażnić psa! Słyszycie? Natychmiast przestańcie drażnić psa!

- Ugryź, Choppie! - krzychał Teddy, chodząc tam i z powrotem wzdłuż płotu jak szalony Prusak dokonujący przeglądu wojsk. - Chodź tu i bierz mnie! Bierz!

Chopper zupełnie oszalał - i to dosłownie. Biegał w kółko, warcząc, szczekając i piniąc się, tylnymi łapami wyrywając pecyny suchej ziemi. Zatoczył trzy takie kręgi, chyba nabierając odwagi, a potem rzucił się na drucianą siatkę. Rąbnął w nią z prędkością bliską trzydziestu mil na godzinę - wcale nie żartuję - przy czym jego rozdziawiony pysk ukazywał ostre kły, a uszy powiewały w pędzie. Ogrodzenie wydało niski, melodyjny dźwięk, gdy rozpięta na słupkach siatka nie tyle wróciła na swoje miejsce, ile elastycznie odbiła cios. Rozległ się przeciągły brzęk, jakby kamertonu - brummmm. Z pyska Choppera wydobył się zduszony skowyt, ślepa mu zmętniały i wykonał zdumiewające salto w tył, z głuchym łoskotem lądując na grzbiecie i wzbijając chmurę kurzu. Poleżał tak przez chwilę, a potem odszedł na chwiejnych łapach, z wywieszonym jęzorem.

Widząc to, Milo wpadł w szal. Jego twarz przybrała sinofioletową barwę - nawet skóra czaszki spurpurowiała mu pod zjeżoną szczecinę krótko obciętych włosów. Siedząc tak na ziemi, w dżinsach rozdartych na obu kolanach, z sercem nadal łomoczącym z emocji wywołanych cudownym ocaleniem, pomyślałem, że Milo wygląda jak ludzka odmiana Choppera.

- Znam cię! - szalał Milo. - Jesteś Teddy Duchamp! Znam was wszystkich! Synu, skopię ci tyłek za to, że drażniłeś mojego psa!

- Tylko spróbuj! - odkrzyknął mu Teddy. - Zobaczymy, jak przechodzisz przez ten płot i łapiesz mnie, grubasie!

- Coo?! Jak mnie nazwałeś?!

- Grubas! - wrzasnął uszczęśliwiony Teddy. - Tłuscioch! Bańdzioch! No chodź!

Chodź! - Podskakiwał z zaciśniętymi pięściami i pot spływał mu z czoła. - Nauczę cię szczuć ludzi psem! Chodź! Tylko spróbuj!

- Ty mały parszywy, zaszran synu czubka! Dopilnuję, żeby twoja matka dostała wezwanie do sądu za to, co zrobiłeś mojemu psu!

- Jak mnie nazwałeś? - zapytał chrapliwie Teddy. Przestał podskakiwać. Jego oczy zrobiły się wielkie i szkliste, a skóra szara jak ołów.

Milo obrzucił Teddy'ego różnymi wyzwiskami, lecz bez trudu wyłowił z nich to, które załazło chłopcu za skórę - od tego czasu raz po raz zauważam tę zdolność u różnych ludzi - znalazł słowo czubek, które nie tyle rzucił mu w twarz, ile walił go nim raz po raz jak młotem.

- Twój stary to czubek - rzekł, szczerząc zęby. - Czubek z Togus, ot co. Bardziej trzepnięty od gwoźdźcia. Bardziej trzepnięty niż szczur w kiblu. Bardziej niż długoogoniasty kot w pokoju pełnym bujanych foteli. Czubek. Nic dziwnego, że tak się zachowujesz, mając czubka za ojca...

- Twoja matka dyma zdechłe szczury! - wrzasnął Teddy. - A jeśli jeszcze raz nazwiesz mojego ojca czubkiem, to cię zabiję, gównojadzie!

- Czubek - powiedział zadowolony Milo. Znalazł sposób. - Syn czubka, syn czubka, twój stary nie ma wszystkich klepek, synu, co za szkoda.

Vern i Chris powstrzymali atak śmiechu, może szykując się, by opanować sytuację i złapać Teddy'ego, ale kiedy Teddy powiedział, że matka Mila dyma zdechłe szczury, znów zaczęli rechotać, tarzając się po nasypie, wierzgając nogami i trzymając za brzuchy.

- Już dość - wykrztusił Chris. - Dość, proszę, bo przysięgam Bogu, że naprawdę pękne!

Za plecami Mila Chopper kręcił wielkie, nierówne ósemki. Wyglądał jak przegrany bokser dziesięć sekund po tym, jak sędzia zakończył mecz i ogłosił zwycięstwo przez nokaut techniczny. Tymczasem Milo i Teddy kontynuowali dyskusję o ojcu Teddy'ego, stojąc nos w nos z dwóch stron płotu, na który Milo nie mógł się wspiąć, będąc za starym i za grubym.

- Nie waż się nic gadać o moim ojcu! Mój ojciec zdobywał plażę w Normandii, ty pierdolony gnoju!

- Tak, pewnie, a gdzie jest dzisiaj, ty parszywy czterooki pętaku? Wylądował w Togus, no nie? Siedzi w Togus, bo jest pieprzonym świrem!

- Dobra, sam chciałeś - powiedział Teddy. - To koniec. Sam chciałeś. Zabiję cię.

Wskoczył na siatkę i zaczął się wspinać.

- Chodź tu i spróbuj, ty śliski mały skurwielu. - Milo cofnął się z uśmiechem i czekał.

- Nie! - krzyknąłem. Podniosłem się z ziemi, złapałem Teddy'ego za luźne siedzenie dzinsów i ściągnąłem go z płotu.

Obaj poleciliśmy do tyłu, on na mnie. Padając, przygniótł mi jaja, aż jęknąłem. Nic tak nie boli jak zgniecione jaja, wiecie? Jednak nadal obejmowałem Teddy'ego w pasie.

- Puszczaj - szlochał Teddy, wijąc się w moich ramionach. - Puszczaj, Gordie! Nikt nie będzie obrażał mojego starego. Puszczaj, cholera! Puszczaj!

- Właśnie tego chce! - krzyknąłem mu do ucha. - Chce, żebyś tam poszedł, żeby cię stłuc na kwaśne jabłko i oddać glinom!

- Co? - Teddy obrócił głowę i spojrzał na mnie, oszołomiony.

- Nie wtrącaj się, mały - powiedział Milo, znów podchodząc do płotu i zaciskając pięści jak bochenki. - Daj mu powalczyć.

- Pewnie. Jest pan od niego tylko pięćset funtów cięższy.

- Ciebie też znam - oznajmił złowieszczo Milo. - Nazywasz się Lachance.

Wskazał palcem na Verna i Chrisa, którzy w końcu podnieśli się, zdyszani od śmiechu.

- A to Chris Chambers i jeden z tych głupich chłopaków Tessio. Wasi ojcowie usłyszą o tym ode mnie, oprócz tego czubka w Togus. Pójdziecie do poprawczaka, wszyscy. Młodociani przestępcy!

Stał na lekko rozstawionych nogach, wielkie piegowate łapska trzymając tak, jakby chciał bawić się w „ene-due”, ciężko sapiąc, mrużąc oczy, czekając, aż zaczniemy płakać, przepraszać, a może wydamy mu Teddy'ego, żeby mógł rzucić go na pożarcie Chopperowi.

Chris kciukiem i palcem wskazującym zrobił „O” i celnie splunął przez nie.

Vern nucił coś pod nosem i gapił się w niebo.

Teddy powiedział:

- Chodź, Gordie. Zabierajmy się stąd, zanim rzygnę.

- Och, zobaczysz, ty paskudny mały sukinsynu. Zaczekaj, aż przyjdę po ciebie z konstablem.

- Słyszeliśmy, co mówił pan o jego ojcu - zauważyłem. Wszyscy byliśmy świadkami. I poszczuł mnie pan psem. To niezgodne z prawem.

Milo zakręcił się niespokojnie.

- Wszedłeś na prywatny teren.

- Akurat. Wysypisko to publiczna własność.

- Przeszedłeś przez płot.

- Pewnie, kiedy poszczuł mnie pan psem - powiedziałem, mając nadzieję, że nie przypomni sobie o tym, że wchodząc na teren, musiałem przeskoczyć przez bramę. - A co miałem zrobić? Stać i czekać, aż rozszarpie mnie na kawałki? Chodźcie, chłopaki. Idziemy. Tu śmierdzi.

- Poprawczak - wycedził Milo drżącym głosem. - Czeka was poprawczak, spryciarze.

- Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć glinom, że nazwał pan bohatera wojennego czubkiem - rzucił mu przez ramię Chris na odchodne. - A co pan robił podczas wojny, panie Pressman?

- Nie wasz cholerny interes! - zawył Milo. - Zraniliście mojego psa!

- Napisz to na kartce i wyślij do kapelana - mruknął Vern, a potem znów wspięliśmy się na nasyp kolejowy.

- Wracajcie tu! - krzyknął Milo, ale już ciszej i wyraźnie tracąc zainteresowanie.

Kiedy odchodziliśmy, Teddy pokazał mu palec. Gdy znaleźliśmy się na nasypie, obejrzałem się przez ramię. Milo stał tam za ogrodzeniem, wielki mężczyzna w czapeczce baseballowej, z siedzącym obok niego psem. Krzyczał na nas, zaciskając palce na drobnej siatce ogrodzenia, i nagle zrobiło mi się go żal - wyglądał jak największy trzecioklasista na świecie, przez pomyłkę zamknięty na placu zabaw, wołający, żeby ktoś przyszedł i wypuścił go. Pokrzykiwał tak jeszcze przez jakiś czas, a potem albo zrezygnował, albo znaleźliśmy się poza zasięgiem jego głosu. Tego dnia już nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy Mila Pressmana ani Choppera.

13

Nastąpiła krótka dyskusja, podczas której - stanowczym tonem kryjącym brak przekonania - upewnialiśmy się, że pokazaliśmy temu stukniętemu Milowi Pressmanowi, że nie jesteśmy bandą mięczaków. Opowiedziałem im, jak próbowałem nas naciąć ten facet we Florida Market, a potem zamilkliśmy, rozważając sytuację.

Ja zastanawiałem się, czy jednak nie ma odrobiny prawdy w tej historii z niefartem. Sprawy nie mogły potoczyć się gorzej - prawdę mówiąc, rozważałem, czy

nie lepiej po prostu pójść przed siebie, oszczędzając rodzicom bólu związanego z odwiedzaniem jednego syna na cmentarzu w Castle Rock, a drugiego w domu poprawczym w South Windham. Nie wątpiłem, że Milo pójdzie na policję, gdy tylko zaświta mu w jego tępym łbie, że w czasie tego incydentu wysypisko było zamknięte. Kiedy to się stanie, zrozumie, że naprawdę naruszyłem zakaz wstępu. Zapewne to dawało mu wszelkie prawo poszczuć mnie tym głupim psem. A chociaż, wbrew pogłoskom, Chopper nie był potworem z piekła rodem, na pewno poszarpałby mi siedzenie džinsów, gdybym nie wygrał wyścigu do płotu. To wszystko rzucało ponury cień na naszą wyprawę. Ponadto w głowie tłukła mi się jeszcze jedna niemiła myśl - że może nie był to przypadek, lecz przestroga. Może Bóg w ten sposób skłaniał nas do powrotu do domu. Co tutaj robiliśmy, szukając jakiegoś chłopaka, który wpadł pod pociąg towarowy?

Jednak robiliśmy to i żaden z nas nie zamierzał wracać.

Prawie dochodziliśmy do mostu, po którym tory bieły na drugą stronę rzeki, kiedy Teddy wybuchnął płaczem. Jakby jakieś wewnętrzne tamy pękły pod naporem wzbierających fal. Nie żartuję - to było równie nagłe i przerażające. Zgiął się wpół jak od ciosu w żołądek i opadł na ziemię, odrywając dłonie od brzucha i przyciskając je do strzępów ciała będących resztkami jego uszu. Wstrząsał nim spazmatyczny, gwałtowny szloch.

Żaden z nas nie wiedział, co robić. To nie był taki płacz jak wtedy, gdy przewrócą cię między drugą a trzecią bazą, kiedy uderzą cię w głowę podczas meczu na podwórku albo kiedy spadniesz z roweru. On nic sobie nie zrobił. Odeszliśmy kawałek i patrzyliśmy na niego, trzymając ręce w kieszeniach.

- Hej, człowieku... - powiedział Vern bardzo cienkim głosem, Chris i ja spojrzeliśmy na niego z nadzieją. „Hej, człowieku” to zawsze dobry początek. Jednak Vern nie wiedział, co mówić dalej.

Teddy pochylił się nad podkładami i zasłonił dłonią oczy. Teraz wyglądał, jakby modlił się do Allaha - „salami, salami z olejkiem”, jak powiada marynarz Popeye. Tyle że to wcale nie było śmieszne.

W końcu, gdy płacz zaczął cichnąć, do Teddy'ego podszedł Chris. Był najtwardszym z naszej paczki (osobiście uważałem, że może nawet twardszym od Jamiego Gallanta), ale mającym uspokajający wpływ na innych. Taki już był. Widziałem, jak siadał na krawężniku obok dzieciaka z rozbitym kolanem, dzieciaka, którego nawet nie znał, i zaczynał z nim rozmawiać o czymś - o przyjeździe cyrku

Shrine do miasta albo psie Huckleberry w telewizji - aż mały zapomniał, że coś go boli. Chris był w tym dobry. Był dostatecznie twardy, żeby sobie na to pozwolić.

- Słuchaj, Teddy, czemu przejmujesz się tym, co taka kupa starego gówna mówi o twoim ojcu? Co? Mówię poważnie! Przecież to niczego nie zmienia, to co mówi taka kupa starego gówna, prawda? No nie? Nie?

Teddy energicznie potrząsnął głową. To niczego nie zmieniało. Jednak ktoś powiedział w biały dzień to, o czym on musiał bez końca rozmyślać, leżąc bezsennie w łóżku i gapiąc się na zaglądaycy w okno księżyc; roztrząsał bez końca w myślach, aż stało się prawie święte, próbując znaleźć w tym jakiś sens. I oto nagle uświadomił sobie, że wszyscy inni po prostu uznali jego ojca za czubka... to nim wstrząsnęło. Jednak niczego nie zmieniało. Niczego.

- On i tak szturmował tę plażę w Normandii, prawda? - powiedział Chris. Ujął spoconą, brudną dłoń Teddy'ego i poklepał ją.

Teddy dziko pokiwał głową, płacząc. Gil wisiał mu z nosa.

- Myślisz, że ta kupa gówna była w Normandii?

Teddy potrząsnął głową.

- N-n-nie!

- Myślisz, że on cię zna?

- N-nie! Nie, a-ale...

- Albo twojego ojca? Jest kumplem twojego starego?

- Nie! - Na samą myśl Teddy zaczął spazmatycznie łapać powietrze i szlochać jeszcze głośniej. Odgarnął włosy za uszy i w prawym dostrzegłem okrągły plastikowy guzik aparatu słuchowego. Ten aparacik wydawał się tam bardziej na miejscu niż same uszy, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

- Może sobie gadać - stwierdził spokojnie Chris.

Teddy kiwnął głową, nadal nie podnosząc oczu.

- Cokolwiek jest między twoim ojcem a tobą, takie gadanie tego nie zmieni.

Teddy znów potrząsnął głową, nie wiedząc, czy to prawda. Ktoś zdefiniował jego ból, określając go szokująco zwyczajnymi słowami. Trzeba to...

(czubek)

...później...

(pieprzony świr)

...przemyśleć. Dokładnie. W długą bezsenną noc.

Chris objął go.

- Podpuszczał cię - rzekł uspokajającym tonem, który był jak kołysanka. - Próbował zwabić cię za płot, wiesz? Nie denerwuj się, człowieku. Nie denerwuj. On nie zna twojego starego. Nie wie nic prócz tego, co usłyszał od innych pijaków pod The Mellow Tiger. To psie łajno, człowieku. Prawda, Teddy? Co? Prawda?

Płacz Teddy'ego przeszedł w ciche pociągnięcie nosem. Otarł oczy, zostawiając pod nimi brudne smugi, po czym wstał.

- Nic mi nie jest - powiedział, a dźwięk własnego głosu zdawał się upewniać go o tym. - Tak, nic mi nie jest. - Wstał i nałożył okulary - wydało mi się, jakby zasłaniał swoją nagą twarz. Zaśmiał się niepewnie i otarł ręką nos. - Pieprzona ze mnie beksa, no nie?

- Nie, człowieku - wykrztusił Vern. - Gdyby ktoś obrażał mojego tatę...

- Wtedy musiałbyś go zabić! - rzekł szybko Teddy, niemal arogancko. - Zatluc drania. Racja, Chris?

- Racja - zgodził się Chris i klepnął Teddy'ego w plecy.

- Racja, Gordie?

- Absolutna - powiedziałem, zastanawiając się, jak Teddy może tak bardzo przejmować się ojcem, który o mało go nie zabił, podczas gdy mnie mój ojciec wcale nie obchodzi, chociaż nigdy nie podniósł na mnie ręki od czasu, jak miałem trzy latka, wziąłem jakiś wybielacz spod zlewu i zacząłem go jeść.

Przeszliśmy dwieście jardów torami i Teddy powiedział znacznie spokojniejszym tonem:

- Hej, przepraszam, jeśli popsulem wam zabawę. Myślę, że głupio zachowałem się przy tym ogrodzeniu.

- Wcale nie jestem pewien, czy to jest zabawa - powiedział nagle Vern.

Chris spojrzał na niego.

- Chcesz wracać, człowieku?

- Nie, nie! - Vern w zadumie zmarszczył brwi. - Oglądanie martwego chłopaka... to może nie być zabawne. No, nie wiem, czy kapujecie. Chcę powiedzieć... - Spojrzał na nas bezradnie. - Chcę powiedzieć, że może będę się trochę bał. Jeżeli mnie rozumiecie.

Nikt się nie odezwał i Vern brnął dalej:

- Chcę powiedzieć, że czasem mam koszmarne sny. Na przykład... no, pamiętacie, chłopcy, jak Danny Naughton zostawił tę stertę komiksów, te z wampirami, pochlastanymi ludźmi i takim gównem? Jezusicku, budziłem się po

nocach, bo śniło mi się, że po domu kręci się jakiś facet z pozieleniałą twarzą albo coś w tym stylu, no wiecie, albo zdawało mi się, że coś siedzi pod moim łóżkiem i jeśli tylko spuszczę rękę, złapie mnie i...

Wszyscy pokiwaliśmy głowami. Miewaliśmy takie koszmary.

Wtedy śmiałbym się, gdyby ktoś powiedział mi, że minie niewiele lat, a zamienię wszystkie te dziecinne lęki i nocne strachy w miliony dolarów.

- Nie mogę nikomu o tym powiedzieć, bo ten mój cholerny brat... no, znacie Billy'ego... rozgadałby... - Bezradnie wzruszył ramionami. - Tak więc będę bał się patrzeć na tego chłopaka, jeżeli, no wiecie, jeżeli on naprawdę paskudnie...

Przełknąłem ślinę i zerknąłem na Chrisa. Nie odrywał oczu od Verna i skinieniem głowy zachęcił go, żeby mówił dalej.

- Jeśli wygląda paskudnie - podjął Vern - będę miał złe sny i budził się myśląc, że to on jest pod moim łóżkiem, cały pokaleczony, w kałuży krwi, jakby przepuścili go przez jedną z tych reklamowanych w telewizji maszynek do mięsa; same oczy i włosy, ale poruszające się, jeżeli kapujecie, ruuszające się, wiecie, gotowe złapać...

- Jezu Chryste - powiedział ochryplym głosem Teddy. Co za popieprzona bajka do poduszki.

- No cóż, nic na to nie poradzę - rzekł Vern obronnym tonem. - Jednak wydaje mi się, że musimy go zobaczyć mimo złych snów. Wiecie? Po prostu musimy. Tylko... tylko to wcale nie musi być dobra zabawa.

- Taak - przytaknął cicho Chris. - Może nie.

Vern rzekł błagalnie:

- Nie powiecie o tym nikomu, prawda? Nie chodzi mi o koszmarny sny, każdy je ma - tylko o tym, jak budzę się i myślę, że coś jest pod moim łóżkiem. Jestem za stary, żeby wierzyć w potwora spod łóżka.

Wszyscy zapewniliśmy go, że nie powiemy, i znów zapadliśmy w ponure milczenie. Była dopiero za piętnaście trzecia, ale wydawało się, że jest znacznie później. Było za gorąco i zbyt wiele się wydarzyło. Jeszcze nawet nie doszliśmy do Harlow. Powinniśmy wziąć tyłki w troki i dobrze wyciągać nogi, jeśli chcemy przejść kilka mil do zmroku.

Minęliśmy rozjazd z semaforem na wysokim, zardzewiałym słupie i wszyscy przystanęliśmy, żeby porzucać weń kamieniami, ale nikt nie trafił. Około trzeciej trzydzięci dotarliśmy do Castle River i biegnącego nad nią wiaduktu GS & WM.

W tym czasie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, rzeka miała ponad sto jardów szerokości; kiedy wróciłem tam po latach, stwierdziłem, iż stała się znacznie węższa. Wciąż coś z nią robią, usiłując zmusić ją do cięższej pracy w fabrykach, i postawili na niej tyle zapór, że praktycznie jest całkiem ujarzmiona. Jednak w tamtych czasach na całej długości rzeki, biegnącej od New Hampshire przez połowę Maine, były tylko trzy tamy. Była jeszcze niemal nie ujarzmiona i co trzecią wiosnę występowała z brzegów, zalewając szosę sto trzydzieści sześć w Harlow lub przy Danvers Junction albo w obu tych miejscach.

Teraz, pod koniec najbardziej suchego lata, jakie zachodnia część Maine widziała od czasów kryzysu, wciąż była szeroka. Z miejsca, gdzie staliśmy po stronie Castle Rock, rosnący na drugim brzegu las wyglądał jak inny świat. Sosny i świerki wydawały się niebieskawe w rozedrganym popołudniowym powietrzu. Szyny biegły pięćdziesiąt stóp nad wodą, podtrzymywane przez pajęczynę podpór i wsporników z nasmołowanego drewna. Woda była tak płytka, że patrząc w dół, można było dostrzec wierzch betonowych fundamentów wpuszczonych dziesięć stóp w głąb rzecznej koryta, na których opierał się wiadukt.

Sam most był bardzo prymitywny - szyny biegły po długiej i wąskiej, drewnianej platformie z bali. Między każdą parą tych podkładów ziała szczelina o szerokości czterech cali, przez którą było widać wodę. Po bokach, między każdą z szyn a skrajem platformy, biegła półka, mająca co najwyżej osiemnaście cali. Gdyby nadjechał pociąg, może wystarczyłaby, żeby zejść mu z drogi i uniknąć rozjechania... ale podmuch przejeżdżającego składu z pewnością strąciłby nieszczęśnika ku pewnej śmierci na głazach sterczących tuż pod powierzchnią płynącej wody.

Patrząc na ten wiadukt, wszyscy poczuliśmy strach ściskający żołądek... i nieprzyjemnie łączący się z podnieceniem wywołanym śmiałym przedsięwzięciem, naprawdę poważnym, którym można chwalić się tygodniami po powrocie do domu... jeśli wróci się do domu. W oczach Teddy'ego znów pojawił się ten dziwny błysk i pomyślałem, że on wcale nie widzi tego wiaduktu GS & WM, tylko długi piaszczysty brzeg, tysiąc barek desantowych w spienionych falach, dziesięć tysięcy żołnierzy atakujących plażę, depczących piach wojskowymi butami. Przeskakują druty kolczaste! Rzucają granatami w bunkry! Likwidują gniazda karabinów maszynowych!

Staliśmy obok torów, w miejscu, gdzie skarpa opadała na brzeg rzeki - gdzie

kończył się nasyp, a zaczynał wiadukt. Patrząc w dół, widziałem punkt, w którym robiło się stromo. Kamienie kończyły się, a zastępowały je rzadkie, splątane krzaki i szare głazy. Jeszcze niżej dostrzegłem kilka karłowatych paproci z obnażonymi korzeniami, wyrastających ze szczelin w skalnych płytach; wydawały się spoglądać na swoje słabe odbicie w rzeczonym nurcie.

W tym miejscu rzeka wydawała się dość czysta; ciąg fabryk włókienniczych zaczynał się dopiero w Castle Rock. Jednak w wodzie nie pluskały ryby, chociaż była tak przejrzysta, że pozwalała dostrzec dno - trzeba było przenieść się jeszcze dziesięć mil w górę rzeki, w kierunku New Hampshire, zanim zobaczyło się pierwszą rybę. Tutaj nie było ich, a wzdłuż brzegów można było dostrzec wianuszki brudnej piany wokół niektórych głazów - piany koloru starej kości słoniowej. Zapach też nie należał do przyjemnych; przypominał woń kosza na bieliznę, pełnego wilgotnych ręczników. Po tafli wody przemykały ważki, bezkarnie składając jajeczka. Nie było tu pstrągów, które mogłyby je pożreć. Do licha, nie było tu nawet kijanek.

- Człowieku - mruknął Chris.

- No już - rzekł Teddy, tym energicznym, aroganckim tonem. - Chodźmy.

Powoli ruszył naprzód, ostrożnie stawiając stopy między lśniącymi szynami.

- Czy - odezwał się Vern - ktoś z was wie, kiedy przejedzie następny pociąg?

Wszyscy wzruszyliśmy ramionami.

- Jest most na drodze sto trzydzieści sześć... - zacząłem.

- Hej, dajcie spokój! - zawołał Teddy. - To oznacza pięć mil drogi tym brzegiem rzeki i pięć mil drugim... zajęłoby nam to resztę dnia! Idąc wiaduktem, znajdziemy się tam w dziesięć minut!

- A jeśli nadjedzie pociąg, nie dojdziemy wcale - powiedział Vern. Nie patrzył na Teddy'ego. Spoglądał na wartki, gładki nurt.

- Pieprzyć to! - rzekł z urazą Teddy. Przechylił się przez krawędź i zawisł na jednym z drewnianych podkładów między szynami. Nie odszedł daleko, więc stopami prawie dotykał ziemi, ale gdy pomyślałem o zrobieniu tego na środku rzeki, mając pod sobą pięćdziesiąt stóp, a nad głową ryczący pociąg, który zapewne sypałby mi gorącymi skrami we włosy i za kołnierz... taka perspektywa bynajmniej nie wydała mi się nęcąca.

- Widzicie, jakie to łatwe? - zapytał Teddy. Zeskoczył na brzeg, otrzepał ręce i wspiął się z powrotem do nas.

- Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz tak wisieć, aż przejedzie

dwustuwagonowy skład? - zapytał Chris. - Wisieć na rękach przez pięć czy dziesięć minut?

- Pękasz?! - krzyknął Teddy.

- Nie, tylko pytam, co byś zrobił - odparł Chris ze śmiechem. - Pokój, człowieku.

- Idźcie naokoło, jeśli chcecie! - pieklił się Teddy. - Kogo to, kurwa, obchodzi? Zaczekam na was! Prześpię się!

- Jeden pociąg już przejechał - zacząłem niechętnie. A przez Harlow chyba nie przejeżdża więcej jak jeden, dwa pociągi dziennie. Spójrzcie na to.

Kopnąłem trampkiem chwasty rosnące między szynami. Na torach między Castle Rock a Lewiston nie było żadnych chwastów.

- Macie. Widzicie? - triumfował Teddy.

- Jednak zawsze jest ryzyko - dodałem.

- Taak - rzekł Chris. Patrzył tylko na mnie roziskrzonym wzrokiem. - Pierwszy na ochotnika?

- Ochotnicy odchodzą pierwsi.

- Dobra - powiedział. Objął spojrzeniem Teddy'ego i Verna. - Ktoś pęka?

- Nie! - krzyknął Teddy.

Vern odchrząknął, zachrypiał, odchrząknął ponownie i bardzo cicho powiedział:

- Nie. - Uśmiechnął się nikłym, krzywym uśmiechem.

- Dobra - powiedział Chris...

Wahaliśmy się jeszcze moment, nawet Teddy, czujnie spoglądając na boki. Klęknąłem i mocno ścisnąłem ręką szynę, nie bacząc, że była rozgrzana dostatecznie mocno, by oparzyć palce. Milczała.

- Dobra - powiedziałem i przy tych słowach jakiś facet wykonał skok o tyczcę w moim żołądku. Miałem wrażenie, że wbił mi tyczkę w jaja i usiadł okrakiem na moim sercu.

Weszliśmy szeregiem na wiadukt: najpierw Chris, potem Teddy, za nim Vern, a na końcu ja jako tylna straż, ponieważ powiedziałem, że ochotnicy odchodzą pierwsi. Szliśmy po podkładach między torami, więc trzeba było patrzeć pod nogi, czy ktoś miał lęk wysokości, czy nie. Nieostrożny krok i wpadłbyś po pachwinę, prawdopodobnie łamiąc sobie przy tym nogę w kostce.

Brzeg szybko opadał pode mną i z każdym kolejnym krokiem nasza decyzja zdawała się coraz bardziej nieodwołalna... a jednocześnie samobójcza i głupia. Kiedy

zobaczyłem, jak głązy pode mną ustępują miejsca wodzie, przystanąłem i podniosłem głowę. Chris i Teddy byli daleko przede mną, prawie na środku mostu, a Vern powoli włókł się za nimi, uważnie patrząc pod nogi. Wyglądał jak starsza pani próbująca chodzić na szpilkach; przygarbiony, z pochyloną głową i rozłożonymi rękami dla utrzymania równowagi. Obejrzałem się przez ramię. Za późno, człowieku. Teraz musiałem iść naprzód i nie tylko dlatego, że mógł nadjechać pociąg. Gdybym wrócił, do końca życia pozostałbym tchórzem.

Tak więc poszedłem dalej. Od patrzenia na ten nie kończący się rząd podkładów i migoczącą między nimi wodę, byłem oszołomiony i zdezorientowany. Za każdym razem gdy stawiałem stopę, mózg sygnalizował mi, że zaraz natrafię nią na pustkę, chociaż wzrok mówił co innego.

Z bolesną wyrazistością rejestrowałem wszystkie dźwięki we mnie i wokół, niczym jakiejś zwariowanej orkiestry strojącej instrumenty. Miarowe łomotanie serca, pulsowanie krwi w skroniach jak uderzenia szczotek w bęben, skrzypienie ścięgien napiętych jak struny skrzypiec, cichy szum rzeki, trzepotanie ptaka dziobiącego korę pnia, monotonne ćwierkanie cykad i gdzieś w oddali szczekanie psa. Może Choppera. Wilgotny zapach Castle River zapierał dech. Mięśnie ud drżały. Wciąż myślałem, o ile bezpieczniej byłoby (i pewnie szybciej), gdybym opadł na czworaki i w ten sposób pokonał resztę drogi. Jednak nie mogłem - żaden z nas nie mógł. Jeżeli sobotnie seanse filmowe w Gemie nauczyły nas czegoś, to że tylko przegrani pełzają. Był to główny motyw Psalmu Hollywood. Porządni faceci chodzą wyprostowani, a jeśli nawet od nadmiaru adrenaliny skrzypią im napięte jak struny skrzypiec ścięgna i z tej samej przyczyny drżą mięśnie ud, to trudno.

Musiałem przystanąć na środku mostu i przez chwilę spoglądać w niebo. Uczucie oszołomienia pogłębiało się. Widziałem widmowe podkłady - zdawały się unosić przed moim nosem. Potem zniknęły i znów poczułem się dobrze. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem Verna, który włókł się jeszcze wolniej niż ja. Chris i Teddy byli już prawie po drugiej stronie.

I chociaż od tamtego czasu napisałem siedem książek o ludziach wykazujących takie nadzwyczajne umiejętności jak czytanie w myślach czy przepowiadanie przyszłości, właśnie wtedy przeżyłem swoje pierwsze i ostatnie objawienie. Jestem przekonany, że to było właśnie to; jakże inaczej to wyjaśnić? Kucnąłem i zacisnąłem dłoń na szynie z lewej strony. Zadudniła mi w dłoni. Dudniła tak silnie, że wydawało mi się, iż trzymam w dłoni wiązkę śmiertelnie niebezpiecznych, metalowych żmij.

Słyszeliście powiedzenie „Poczuł, że nogi ma jak z waty”? Wiem, co oznacza to zdanie - wiem dokładnie. To może być najcelniejsze porównanie, jakie kiedykolwiek wymyślono. Od tego czasu bywałem przestraszony, czasem nawet bardzo, ale nigdy tak, jak w tamtej chwili, gdy trzymałem w ręce nagle ożywioną szynę. W tym momencie miałem wrażenie, że kompletnie straciłem czucie w dolnej połowie ciała. Po jednym udzie spłynęła mi cienka strużka moczu. Miałem otwarte usta. Nie otworzyłem ich, otwały się same, gdy szczęka opadła mi jak kłapa, której nagle odsunięto rygle. Język przysechł mi do podniebienia. Wszystkie mięśnie zdrętwiały. To było najgorsze. Nogi miałem jak z waty, ale wszystkie mięśnie ścisnął mi bolesny kurcz i nie mogłem się ruszyć. Trwało to tylko chwilę, lecz w subiektywnym odczuciu wydawało się wiecznością.

Wszystkie bodźce odbierałem ze zwiększoną siłą, jakby jakieś źródło zasiliło elektryczne obwody mojego mózgu, zwiększając napięcie ze stu dziesięciu do dwustu dwudziestu woltów. Gdzieś opodal słyszałem przelatujący samolot i zdążyłem pomyśleć, że chciałbym w nim być, siedząc w fotelu przy oknie z colą w ręku i leniwie gapiąc się na lśniąca wstęgę rzeki o nie znanej mi nazwie. Widziałem każdą najmniejszą drzazgę i szczelinę w nasmołowanym podkładzie, na którym przykucnąłem. A kątem oka widziałem samą szynę, lśniąca oślepiającym blaskiem i moją zaciśniętą na niej dłoń. Drżenie tej szyny tak silnie przechodziło w moją dłoń, że kiedy ją odjąłem, nadal drżała, poruszana uderzającymi raz po raz impulsami zakończeń nerwowych, mrowiąc tak, jak zdrętwiała ręka czy noga, kiedy wraca jej czucie. Czulem ślinę w ustach, drażniącą, kwaśną i gęstniejącą wokół dziąseł. A najgorsze, nie wiadomo czemu, najokropniejsze z tego wszystkiego było to, że jeszcze nie słyszałem pociągu i nie wiedziałem, czy pędzi na mnie z tyłu, czy z przodu, ani jak jest blisko. Był niewidzialny. Nierealny, nie licząc tej drgającej szyny. Tylko to zapowiadało jego niechybne przybycie. W oczach stanął mi obraz Raya Browera, straszliwie okaleczonego i odrzuconego do rowu jak rozdarty worek. Dołączymy do niego, Vern i ja, a przynajmniej ja. Wprosiliśmy się na własny pogrzeb.

Ta ostatnia myśl wyrwała mnie z odrętwienia i zerwałem się na równe nogi. Dla ewentualnego widza zapewne wyglądałem jak diabeł wyskakujący z pudełka, ale ja miałem wrażenie, że poruszam się wolno jak pod wodą, powoli unosząc się w stawiającej opór głębinie.

Jednak w końcu wynurzyłem się na powierzchnię.

- Pociąg! - wrzasnąłem.

Otrząsnąłem się z resztek odrętwienia i zacząłem biec.

Vern gwałtownie obejrzał się przez ramię. Zdziwienie wykrzywiające mu twarz wydawało się niemal komicznie przesadzone, wypisane wielkimi literami jak w kajecie pierwszoklasisty. Zobaczył, jak zrywam się do niezdarnego, nierytmicznego biegu, i zrozumiał, że nie żartuję. Też zaczął biec.

W oddali widziałem Chrisa schodzącego z torów na bezpieczny brzeg i nagle poczułem nienawiść, gryzącą i gorzką jak sok kwietniowego liścia. On był bezpieczny. Ten pierdoła był bezpieczny. Patrzyłem, jak klęka i chwytą szynę.

Lewa noga o mało nie zsunęła mi się w ziejącą pode mną przepaść. Zamachałem rękami, wodząc oczami jak kulkami jakiegoś wielkiego łożyska, odzyskałem równowagę i pobiegłem. Znalazłem się tuż za Vernem. Minęliśmy połowę mostu i dopiero teraz usłyszałem pociąg. Nadjeżdżał z tyłu, od strony Castle Rock. Niski, stopniowo narastający pomruk przechodzący w wyraźny warkot silnika diesla i wyższy, bardziej złowrogi stuk stalowych kół toczących się po szynach.

- Oooo, kurwa! - wrzasnął Vern.

- Biegnij, cykorze! - zawołałem i walnąłem go w plecy.

- Nie mogę! Spadnę!

- Biegnij szybciej!

- Oooooo, kurwa!

Jednak pobiegł szybciej, zmykający strach na wróble o opalonych plecach, z kołnierzykiem koszuli zwisającym i dyndającym tuż nad pośladkami. Widziałem pot występujący mu między łopatkami, tworzący wielkie krople. Widziałem wgłębienie u podstawy jego czaszki. Mięśnie kurczyły się i rozluźniały, kurczyły się i rozluźniały, kurczyły i rozluźniały. Jego kręgosłup uwidaczniał się szeregiem wypukłości, z których każda rzuciła własny półksiężycowaty cień - widziałem, jak zbliżają się do siebie, im bliżej były karku. Wciąż trzymał swoje koce, a ja też niosłem moje. Stopy Verna dudniły po podkładach. Prawie nie trafił w kolejny, gwałtownie zamachał rękami, a ja znów klepnąłem go w plecy, ponaglając do biegu.

- Gordie, nie mogę, ooooo, kurwa!

- Biegnij szybciej, gównojadzie! - zawyłem i poczułem, że bawi mnie to.

Tak - w jakiś szczególnie, autodestrukcyjny sposób, jakiego doświadczam tylko wtedy, gdy jestem całkowicie i kompletnie pijany - bawiło mnie to. Pędziłem Verna Tessio jak pastuch gnający szczególnie piękną krowę na targ. Być może on w ten sam sposób cieszył się swoim strachem, rycząc jak wół, przeklinając i pocąc się, z kłatką

piersiową unoszącą się i opadającą jak miech kowalski, stawiając chwiejne, niepewne kroki.

Pociąg było już słychać bardzo wyraźnie, dźwięk silnika pogłębił się w miarowy pomruk. Zagwizdał, przejeżdżając przez rozjazd, gdzie przystanęliśmy, żeby rzucać kamieniami w semafor. W końcu miałem mego piekielnego potwora, chciałem tego czy nie. Oczekiwałem, że zaraz wiadukt pod moimi nogami zacznie drżeć. Kiedy to nastąpi, pociąg będzie tuż za nami.

- Szybciej, Vern! Szybciej!

- O Boże, Gordie, o Boże, Gordie, o Wielki, oooooo, kurwa!

Elektryczna syrena lokomotywy nagle rozdarła powietrze na sto kawałków jednym przeciągłym sygnałem, niwecząc wszystko, co kiedykolwiek widziało się w kinie, w komiksach lub snach na jawie, ukazując to, co naprawdę widzą zarówno bohaterowie, jak tchórze, gdy pędzi na nich śmierć.

- Buuuuuuuuu! Buuuuuuuuuuu!

I nagle Chris był pod nami po prawej, a Teddy za nim, migocząc refleksami światła odbitymi od okularów, i obaj układali usta w jedno słowo „skacz!”, ale pociąg wysłał z tego słowa całą krew, pozostawiając tylko układ warg. Most zaczął się trząść, gdy wjechał nań skład. Skoczyliśmy.

Vern rozciągnął się jak długi na piachu i kamieniach, a ja wylądowałem tuż obok niego, prawie go przygniatając. Nigdy nie widziałem tego pociągu i nie wiem, czy maszynista nas widział - kiedy parę lat później napomknąłem Chrisowi, że mógł nas w ogóle nie zauważyć, Chris powiedział: „Oni nie używają tej syreny na darmo, Gordie”. Jednak mogło tak być; maszynista mógł włączyć ją dla zabawy. Tak sędzę. W tamtej chwili takie niuanse nie miały żadnego znaczenia. Zakryłem rękami uszy i wcisnąłem twarz w piach, gdy skład przemknął po torach, szczękając metalem o metal, uderzając nas podmuchem. Nie miałem ochoty nań patrzeć. To był długi skład, ale nawet na niego nie spojrzałem. Zanim przejechał, poczułem na karku ciepłą dłoń i wiedziałem, że to Chris.

Kiedy zniknął - gdy nabrałem pewności, że zniknął - podniosłem głowę jak żołnierz wychodzący z okopu po całodniowym ostrzale artyleryjskim. Vern wciąż leżał na ziemi, dygocząc. Chris siedział w kucki między nami, jedną rękę trzymał na karku Verna, drugą na moim.

Gdy Vern w końcu wstał, dygocząc i nerwowo oblizując wargi, Chris powiedział:

- Jak myślicie, chłopcy, może napijemy się coli? Czy ktoś oprócz mnie ma

ochotę?

Wszyscy uznaliśmy, że powinniśmy się napić.

15

Mniej więcej ćwierć mili od brzegu tory GS & WM wpadały do lasu. Gęsto zadrzewiony teren powoli schodził ku moczarom. Roilo się tam od komarów wielkości helikopterów, ale było chłodno... cudownie chłodno.

Siedliśmy w cieniu, żeby pić colę. Vern i ja narzuciliśmy na siebie koszule, aby powstrzymać owady, ale Chris i Teddy siedzieli nadzy do pasa, spokojni i niewzruszeni jak dwaj Eskimosi w igloo. Nie minęło pięć minut, a Vern musiał pójść w krzaki, na posiedzenie, co wywołało liczne żarty i poszturchiwania łokciami po powrocie.

- Tak przestraszyłeś się pociągu, Vern?

- Nie - odparł. - I tak chciałem skoczyć w krzaki po przejściu mostu. Chciało mi się wcześniej, rozumiecie?

- Veeerrrrn? - zaburczeli chórem Chris i Teddy.

- Dajcie spokój, chłopaki. Naprawdę.

- No to nie masz nic przeciwko temu, że sprawdzę, co masz w spodniach? - spytał Teddy, a Vern roześmiał się, zrozumiawszy w końcu, że z niego kpią.

- Pieprz się.

Chris zwrócił się do mnie.

- A ty, Gordie, przestraszyłeś się pociągu?

- Wcale - odparłem i sączyłem colę.

- Nie gadaj, frajerze - klepnął mnie w ramię.

- Naprawdę! Wcale się nie bałem.

- Tak? Nie bałeś się?

- Nie. Byłem przerażony.

To rozśmieszyło wszystkich, nawet Verna, więc śmialiśmy się długo i serdecznie. Potem leżeliśmy, już nie żartując, tylko popijając colę i rozmyślając. Czulem się spokojny, bezpieczny, pogodzony ze sobą. Nic nie mąciło mi dobrego nastroju. Byłem żywy i zadowolony z tego. Wszystko wydawało się niezwykle istotne i chociaż nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć tego głośno, chyba nie miało to żadnego znaczenia - może chciałem zachować to wrażenie wyłącznie dla siebie.

Chyba tego dnia zacząłem trochę rozumieć, dlaczego niektórzy mężczyźni ryzykują. Parę lat temu zapłaciłem dwadzieścia dolarów, żeby patrzeć, jak Evel Kneivel próbuje przeskoczyć przez Snake River Canyon, a moja żona była wstrząśnięta. Powiedziała mi, że gdybym był Rzymianinem, pewnie wysiadywałbym w Koloseum, pogryzając winogrona i patrząc, jak lwy patroszą chrześcijan. Myliła się, chociaż z trudem zdołałem wyjaśnić jej dlaczego (i chyba uznała, że po prostu nabijam się z niej). Nie wydałem tej dwudziestki, żeby zobaczyć, jak człowiek zabija się, spadając w przepaść, chociaż byłem przekonany, że tak się stanie. Poszedłem tam ze względu na cienie, jakie zawsze kryją się gdzieś w naszych oczach, z powodu tego, co Bruce Springsteen w jednej ze swych piosenek nazywa cieniami na skraju miasta, i od czasu do czasu myślę, że każdy chce rzucić wyzwanie tej ciemności mimo wątłego ciała, jakim jakiś Bóg-żartowniś obdarzył nas, biednych ludzi. Nie... nie mimo naszych wątłych ciał, lecz z powodu nich.

- Hej, opowiedz tę historię - powiedział nagle Chris, siadając.

Zawsze czułem się nieswojo, gdy rozmowa schodziła na moje historyjki, chociaż wszyscy zdawali się je lubić - chcieli, abym je opowiadał, a nawet pisał... to było dostatecznie dziwne, żeby o tym nie mówić, tak samo jak nikt nie chwali się, że chce być inspektorem kanalizacji lub mechanikiem wozów wyścigowych.

Richie Jenner, który kręcił się koło nas do czasu, gdy jego rodzina w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku przeniosła się do Nebraski, jako pierwszy odkrył, że pragnę w przyszłości być pisarzem i żyć z pisania książek. Siedzieliśmy w moim pokoju, zbijając bąki, kiedy w kartonowym pudełku wyjętym z mojej szafy znalazł pod komiksami plik zapisanych kartek. „Co to takiego?” - pyta. „Nic” - mówię i usiłuję odebrać mu je. Richie trzyma je w ręce poza moim zasięgiem... i muszę przyznać, że niebył się starałem, żeby mu je wyrwać. Chciałem, żeby je przeczytał, a jednocześnie nie chciałem tego - niezwykła mieszanina dumy i nieśmiałości, jaką odczuwam do dziś, kiedy ktoś chce rzucić okiem. Sam akt pisania wymaga samotności, jak masturbacja - och, pewnie, jeden z moich znajomych potrafi pisać opowiadania na wystawach sklepowych i w supermarketach, lecz to człowiek o niemal szaleńczej odwadze, z rodzaju tych, których chciałoby się mieć przy sobie, dostając ataku serca w mieście, w którym nikt cię nie zna. Dla mnie to zawsze jest wstydlive jak niedojrzały seks - uprawiany samotnie w łazience, przy zamkniętych drzwiach.

Richie przesiedział na moim łóżku przez prawie całe popołudnie, czytając moje opowiadania, z których większość powstała pod wpływem tych samych komiksów, po

lekturze których Vern miał koszmarne sny. A kiedy skończył, spojrzał na mnie w dziwny, zupełnie inny sposób, jakby musiał na nowo ocenić moją osobowość. Powiedział: „Jesteś w tym całkiem niezły. Dlaczego nie pokażesz tego Chrisowi?”. A ja odpowiedziałem: „Nie, to ma być sekret”, na co Richie zapytał: „Dlaczego? To nie mazgajowatego. Nie jesteś dziwakiem. Chcę powiedzieć, że to przecież nie wiersze”.

Mimo to kazałem mu obiecać, że nikomu nie powie o moich opowiadaniach, ale on oczywiście powiedział i okazało się, że większość z nich lubi czytać to, co pisałem, czyli głównie o spalonych żywcem, łotrze wstającym z grobu i na Dwanaście Interesujących Sposobów mordującym sędziego, który go skazał, lub maniaku przerabiającym rzesze ludzi na siekane kotlety, aż główny bohater, Curt Cannon, „podziurawił jak sito zanoszącego się nieludzkim wyciem szaleńca, pakując w niego pocisk za pociskiem ze swej dymiącej czterdziestkiątki”.

W moich opowiadaniach zawsze były pociski. Nigdy kule.

Dla zmiany nastroju pisałem również opowiadania o Le Dio. Było to miasteczko we Francji i w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku grupka zmęczonych amerykańskich piechociarzy usiłowała odbić je Niemcom (minęły dwa lata, zanim odkryłem, że alianci wylądowali we Francji dopiero w czterdziestym czwartym). Próbowali je odbić, tocząc walki uliczne w blisko czterdziestu opowiadaniach, które napisałem w wieku od dziewięciu do czternastu lat. Teddy wprost uwielbiał opowiadania o Le Dio i zdaje się, że chyba z tuzin ich napisałem specjalnie dla niego - a potem miałem już serdecznie dość Le Dio i wypisywania takich rzeczy jak „Mon Dieu!” czy „Cherchez le Boche!” albo „Feremez le porte!”. W Le Dio francuscy wieśniacy zawsze syczeli do piechociarzy „Feremez le porte!”. Teddy ślęczał nad kartkami, szeroko otwierając oczy, z czołem spływającym potem i grymasem na twarzy. Czasami niemal słyszałem grzechot chłodzonych powietrzem browningów i świst osiemdziesiątekósemek. Sposób, w jaki nagabywał mnie o kolejne opowieści z Le Dio, był zarówno przyjemny, jak i przerażający.

Dzisiaj pisanie jest moją pracą, więc czerpię z niego trochę mniejszą radość i coraz częściej ta onanistyczna, pełna poczucia winy przyjemność łączy się w moich myślach z chłodną, kliniczną wizją sztucznego zapłodnienia: działam zgodnie z regułami sztuki podanymi w umowie o dzieło. I chociaż nikt nie nazwie mnie Thomasem Wolfe'em mojego pokolenia, rzadko czuję się jak oszust; przez cały pieprzony czas robię, co mogę. W pewien dziwny sposób robiąc mniej, stałbym się pedałem - a raczej tym, co wtedy rozumieliśmy pod tym pojęciem. Przeraża mnie

tylko to, jak często teraz pisanie przychodzi mi z trudem. W tamtych czasach brzydziłem się tym, że tak cholernie dobrze czułem się pisząc. Teraz czasami patrzę na maszynę do pisania i zastanawiam się, kiedy skończą się jej dobre słowa. Nie chcę, żeby do tego doszło. Chyba mogę się nie martwić, dopóki nie skończy mi się zapas dobrych słów, prawda?

- Co to za historia? - zapytał z niepokojem Vern. - To chyba nie jest horror, prawda, Gordie? Nie chcę słuchać żadnych horrorów. To nie dla mnie, człowieku.

- Nie, to nie horror - powiedział Chris. - Jest naprawdę zabawna. Rubaszna, ale śmieszna. No już, Gordie. Nawijaj.

- Czy to o Le Dio? - zapytał Teddy.

- Nie, to nie o Le Dio, ty psycholu - powiedział Chris i dał mu kuksańca. - O konkursie jedzenia ciastek.

- Hej, jeszcze nawet jej nie napisałem.

- Taak, ale opowiedz nam ją.

- Chłopaki, naprawdę chcecie ją usłyszeć?

- Jasne - rzekł Teddy. - Gadaj.

- No, rzecz dzieje się w wymyślonym mieście. Nazwałem je Gretna. Miasto Gretna w stanie Maine.

- Gretna? - powtórzył z uśmiechem Vern. - A co to za nazwa? W Maine nie ma żadnego Gretna.

- Zamknij się, głupku - rzekł Chris. - Przecież powiedział, że je wymyślił, no nie?

- Taak, ale czemu Gretna, to głupio brzmi...

- Mnóstwo nazw miast głupio brzmi - powiedział Chris. - Na przykład Alfred w stanie Maine. A co z Saco, Maine? Lub Jerusalem's Lot? Czy Castle-pieprzone-Rock? Nie ma tu żadnego zamku. Większość nazw miast jest głupia. Tylko o tym nie myślisz, bo przywykłeś do nich. Racja, Gordie?

- Jasne - powiedziałem, ale w duchu pomyślałem, że Vern miał rację - Gretna to rzeczywiście głupia nazwa dla miasta. Po prostu nie byłem w stanie wymyślić innej. - W każdym razie obchodzą tam coroczne Dni Pioniera, tak samo jak w Castle Rock...

- Taak, Dni Pioniera, to ci dopiero było - wyrwał się Vern. - Wpakowałem całą rodzinę do tego mamra na kółkach, nawet pieprzonego Billy'ego. Tylko na pół godziny i kosztowało mnie to całe kieszonkowe, ale warto było - choćby po to, żeby wiedzieć, gdzie ten skurwysyn...

- Zamkniesz się i dasz mu opowiedzieć? - zeźlił się Teddy.

Vern zamrugał oczami.

- Jasne. Tak. Dobra.

- To nic nadzwyczajnego...

- No, nie spodziewamy się niczego nadzwyczajnego po takim maminsynku jak ty - rzekł Teddy - ale gadaj.

Odchrząknąłem.

- No tak. Są Dni Pioniera i na ostatni wieczór przygotowano trzy wielkie wydarzenia. Toczenie jajek dla dzieciaków, wyścig w workach dla ośmio- i dziewięciolatek, a potem konkurs jedzenia ciastek. Głównym bohaterem tej historii jest gruby, nie lubiany przez nikogo chłopak, który nazywa się Davie Hogan.

- Jak brat Charliego Hogana, gdyby go miał - powiedział Vern i cofnął się, gdy Chris znowu go szturchnął.

- Ten chłopak jest w naszym wieku, ale strasznie gruby. Wiecznie go biją i wyśmiewają. I wszystkie dzieci, zamiast nazywać go Davie, wołają na niego Tłustodupski Hogan i pomiatają nim, jak mogą.

Z szacunkiem pokiwali głowami, okazując współczucie dla Tłustodupskiego, chociaż gdyby taki chłopak pojawił się kiedyś w Castle Rock, wszyscy na wyścigi kpiliby z niego i pomiatali nim jak psem.

- On postanawia zemścić się, ponieważ - wiecie - ma już tego dość. Zapisał się tylko do konkursu jedzenia ciastek, ale jest to ostatni punkt programu Dni Pioniera i wszyscy biorą w tym udział. Nagroda wynosi pięć dolców...

- On wygrywa i pokazuje wszystkim palec! - zawołał Teddy. - Bomba.

- Nie, lepiej - wyjaśnił Chris. - Zamknij się i nie przeszkadzaj.

- Tłustodupski myśli sobie: pięć dolców i co mi po nich? Za dwa tygodnie jedyne, co będą pamiętali, to że ta pieprzona świnia Hogan zeżarł najwięcej ciastek, więc dobra, chodźmy do niego i dołożmy mu, tylko teraz nie nazywajmy go Tłustodupski, a Ciastodupski.

Znowu pokiwali głowami, przyznając, że ten Davie Hogan ma łeb. Zacząłem nabierać przekonania do tej opowieści.

- Jednak wszyscy oczekują, że weźmie udział w konkursie. Nawet jego mama i tato. No, oni już praktycznie zaczęli wydawać te jego pięć dolców.

- No właśnie - wtrącił Chris.

- Tak więc rozmyśla o tym i coraz bardziej nienawidzi całej imprezy, ponieważ

to nie jego wina, że jest gruby. Widzicie, to te pieprzone gruczoły, czy coś...

- Moja kuzynka to ma! - zawołał podekscytowany Vern. - Naprawdę! Waży prawie trzysta funtów! Podobno to gruczoł podnercza czy coś takiego. Nic nie wiem o tym podnerczu, ale wygląda jak pieprzony balon... nie, jak pieprzony świąteczny indyk i kiedyś...

- Zamkniesz się wreszcie, Vern? - krzyknął wściekle Chris. - Ostatni raz ci mówię! Przysięgam Bogu!

Dopił już colę i teraz chwycił klepsydrowatą butelkę z zielonego szkła za szyjkę i trzymał ją nad głową Verna.

- Dobra, dobra, przepraszam. Mów dalej, Gordie. To fajna historia.

Uśmiechnąłem się. Nie miałem nic przeciwko temu, że mi przerywał, ale oczywiście nie powiedziałem tego Chrisowi; był samozwańczym mecenasem sztuki.

- No i tak obraca to sobie w myślach, no wiecie, przez cały tydzień przed konkursem. Dzieciaki w szkole przychodzą do niego i mówią: „Hej, Tłustodupski, ile zjesz ciastek? Dziesięć? Dwadzieścia? Może osiemdziesiąt?”. A Tłustodupski odpowiada: „A skąd mam wiedzieć. Nawet nie wiem, co to za ciastka”. Wszyscy interesują się tym konkursem, ponieważ faworytem jest dorosły facet, niejaki... hmm, chyba Bill Traynor. Ten cały Traynor nawet nie jest gruby. Prawdę mówiąc, jest chudy jak patyk. Jednak wcina ciastka jak szalony i rok wcześniej zjadł sześć w pięć minut.

- Sześć całych ciastek? - pyta z podziwem Teddy.

- Właśnie. A Tłustodupski jest najmłodszym facetem, jaki kiedykolwiek brał udział w konkursie.

- Dawaj, Tłustodupski! - zawołał Teddy. - Wpychaj te pieprzone ciastka!

- Powiedz im o pozostałych facetach - poprosił Chris.

- Dobra. Oprócz Tłustodupskiego Hogana i Billa Traynora jest Calvin Spier, najgrubszy facet w mieście, który prowadzi sklep jubilerski...

- Skarby Gretna - prychnął Vern, a Chris obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Ponadto disc jockey z radiostacji w Lewiston, niezbyt gruby, ale dość pulchny, wiecie. A ostatnim Hubert Gretna Trzeci, dyrektor szkoły Tłustodupskiego Hogana.

- Wystąpi w konkursie przeciw swojemu dyrektorowi? - zapytał Teddy.

Chris objął rękami kolana i radośnie kołysał się tam i z powrotem.

- Czy to nie świetne? Dalej, Gordie!

Teraz przykułem ich uwagę. Wszyscy pochylili się do przodu. Miałem upajające poczucie władzy. Cisnąłem pustą butelkę po coli w las i poruszyłem się lekko, siadając

wygodniej. Pamiętam, że znów usłyszałem cykadę w głębi lasu, która tym razem nieco dalej rozpoczęła swój monotony zew: cyk-cyk-cyk-cyk...

- Tak więc wpada na pewien pomysł - kontynuowałem. Najwspanialsza zemsta, jaką kiedykolwiek wymyślił chłopak. Nadchodzi wielki dzień - zakończenie obchodów Dnia Pioniera. Zawody w jedzeniu ciastek mają się odbyć tuż przed pokazem sztucznych ogni. Główna ulica Gretna została zamknięta, żeby ludzie mogli po niej spacerować, a na samym jej środku stoi wielkie podium. Nad nim wiszą flagi, a przed nim kłębi się tłum. Jest tam także fotograf z gazety, aby zrobić zdjęcie zwycięzcy o twarzy umazanej jagodami, ponieważ w tym roku mają to być ciastka z jagodami. Ponadto, o mało co, a zapomniałbym wam powiedzieć, będą musieli jeść je z rękami związanymi na plecach. Kapujecie, wchodzi na podium...

16

Fragment „Zemsty Tłustodupskiego Hogana”, napisał Gordon Lachance. Pierwsze wydanie Cavalier, marzec, 1975. Za zgodą autora.

Jeden po drugim weszli na podium i ustawili się za długim stołem na kozłach, nakrytym lnianym obrusem. Na umieszczonym na skraju platformy stole piętrzyły się sterty ciastek. Nad nimi wiły się naszyjniki nagich stuwatowych żarówek, o które miękko uderzały ćmy i inne nocne owady, otaczając je migotliwymi aureolami. Nad podium, skąpany w blasku reflektorów, biegł długi transparent, który głosił: WIELKI KONKURS JEDZENIA CIASTEK GREтна 1960! Po obu stronach transparentu wisiały poobijane głośniki, dostarczone przez Chucka Daya, prowadzącego sklep radiowo-telewizyjny. Bill Travis, aktualny mistrz, był kuzynem Chucka.

Kiedy kolejny kandydat wchodził na podium, ze związanymi rękami i w rozpiętej koszuli, jak Sydney Carton idący na szafot, burmistrz Charbonneau podawał jego nazwisko przez system nagłaśniający i wiązał mu na szyi duży biały śliniaczek. Calvin Spier otrzymał tylko symboliczne oklaski; mimo swego brzucha wielkości dwudziestogalonowej beczki na wodę był uważany za najsłabszego konkurenta po małym Hoganie (większość uważała Tłustodupskiego za obiecującego, ale zbyt młodego i niedoświadczzonego, by zawalczył w tym roku).

Po Spierze nadeszła kolej Boba Cormiera. Ten był disc jockeyem prowadzącym popularny program popołudniowy w rozgłośni w Lewiston. Powitały go żywsze brawa oraz piski obecnych na widowni nastolatek. Dziewczyny uważały, że jest „fantastyczny”. Po nim na podium wszedł John Wiggins, dyrektor szkoły podstawowej w Gretna. Jego pojawienie

przyjęła gorącym aplauzem starsza część widowni, a rozproszeni w tłumie uczniowie ponurymi jękami. Wiggins zdołał jednocześnie uśmiechnąć się promiennie i groźnie zmarszczyć brwi.

Następnie burmistrz Charbonneau przedstawił Tłustodupskiego.

- Nowy uczestnik dorocznego konkursu zjadania ciastek, po którym w przyszłości spodziewamy się wielkich rzeczy... młody David Hogan!

Tłustodupski zebrał gromkie brawa, gdy burmistrz Charbonneau zawiązywał mu śliniaczek, a kiedy zamierały, zgrany grecki chór tuż za kręgiem światła stuwatowych żarówek wzniósł gromki okrzyk: „Dalej, Tłustodupski!”.

Rozległy się stłumione chichoty, tupot nóg, przemknęło kilka cieni, których nikt nie zdołał (lub nie chciał) zidentyfikować, jedni uśmiechnęli się nerwowo, inni zmarszczyli brwi (najmocniej Hizzoner Charbonneau, najbardziej widoczny z notabli). Sam Tłustodupski zdawał się niczego nie słyszeć. Nikły uśmieszek wykrzywający jego grube wargi i marszczący puciołowate policzki pozostał na swoim miejscu, gdy burmistrz, nadal z marszem na czole, zawiązał mu śliniak i kazał nie przejmować się durniami obecnymi na widowni (jakby miał jakiegokolwiek pojęcie, jakich potwornych głupców Tłustodupski Hogan napotykał i miał nadal napotykać, tocząc się przez życie jak ogromny hitlerowski czołg Tygrys). Oddech burmistrza był gorący i przesycony zapachem piwa.

Ostatni zawodnik wspinający się na udekorowane flagami podium zebrał najgłośniejsze i najdłużej trwające oklaski; był to legendarny Bill Travis, ponad sześć stóp wzrostu, chudy i żarłoczny. Travis był mechanikiem miejscowej stacji benzynowej Amoco obok dworca i bardzo sympatycznym facetem.

Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że w Wielkim Konkursie Zjadania Ciastek chodziło o coś więcej niż o kilka nędznych dolarów - a przynajmniej Billowi Travisowi. Były po temu dwa powody. Po pierwsze, ludzie zawsze wpadali na stację pogratulować Billowi zwycięstwa i niemal każdy gratulujący tankował swój samochód. Po konkursie dwa stanowiska naprawcze bywały zazwyczaj zajęte na miesiąc naprzód. Ludzie przyjeżdżali wymienić tłumik albo przesmarować ośki, siadywali w składanych fotelach ustawionych pod ścianą (Jerry Maling, który był właścicielem stacji, kupił je na wyprzedży w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym, kiedy rozbierano stare kino Gem), popijając colę albo soki z automatu, i gwarzyli o konkursie z Billem, gdy wymieniał świece lub wjeżdżał na wózku pod czyjąś furgonetkę, szukając dziur w układzie wydechowym. Bill zawsze był chętny do pogawędki, co było jednym z powodów, że tak lubiano go w Gretna.

W mieście spierano się o to, czy Jerry Maling daje Billowi sowitą premię za dodatkowe obroty, jakie przynosi jego coroczne zwycięstwo (albo mdlące męstwo), czy też procent od utargu. Jakkolwiek było, nie ulegało wątpliwości, że Travisowi powodziło się znacznie lepiej niż większości małomiasteczkowych speców od klucza francuskiego. Miał

ładny piętrowy dom przy Sabbatus Road, o którym złośliwcy powiadali, że „został wybudowany z ciastek”. Zapewne przesadzali, ale Bill czerpał z zawodów także inne korzyści - i tu dochodzimy do drugiego powodu, dla jakiego Travis zyskiwał znacznie więcej niż kilka dolarów.

Konkurs jedzenia ciastek był świętem hazardzistów w Gretna. Zapewne większość ludzi przychodziła tylko pośmiać się, ale znacząca mniejszość stawiała pieniądze na zwycięzcę. Obstawiający obserwowali poszczególnych zawodników i omawiali ich zalety równie gorąco, jak miłośnicy wyścigów obserwują i omawiają cechy koni pełnej krwi. Dyskutowano o przyjaciółach, krewnych, a nawet znajomych poszczególnych zawodników. Roztrząsano wszystkie szczegóły dotyczące ich przyzwyczajzeń żywieniowych. Zawsze przedmiotem długich dyskusji były ciastka wybrane w danym roku - jabłka uważano za „ciężkie”, a morele za „lekkie” nadzienie (choć po zjedzeniu trzech lub czterech ciastek z morelami zawodnik musiał liczyć się z dwudniową biegunką). Tegoroczne ciastka z jagodami uważano za szczęśliwy wybór. Oczywiście, obstawiający byli zainteresowani stosunkiem poszczególnych zawodników do jagód. Czy lubią jagodzianki? Czy wolą dżem z czarnych jagód od przetworów z truskawek? Czy posypują czasem płatki śniadaniowe czarnymi jagodami czy tylko dodają banana ze śmietaną?

Jednocześnie rodziły się inne pytania. Czy zawodnik je szybko i zwalnia, czy powoli i rozgrzewa się z czasem, a może systematycznie pochłania w równym tempie? Ile hot dogów może zjeść, oglądając mecz Babe Ruth League na boisku baseballowym St. Dom? Czy jest piwoszem, a jeśli tak, ile butelek wypija jednego wieczoru? Czy czka? Uważano, że potężnie czkającego osobnika na dłuższą metę trudniej pokonać.

Wymieniano takie i inne informacje, obliczano szanse, robiono zakłady. Nie mam pojęcia, ile pieniędzy przeszło z rąk do rąk w ciągu tygodnia poprzedzającego zawody, ale gdybyście przystawili mi pistolet do głowy i kazali zgadywać, powiedziałbym, że jakieś tysiąc dolarów - suma, która dzisiaj zapewne wyda się śmiesznie niska, ale w takiej małej miejscinie piętnaście lat temu była całkiem spora.

Ponieważ zawody prowadzono uczciwie, ściśle przestrzegając wyznaczonych dziesięciu minut, nikt nie miał nic przeciwko temu, że zawodnik stawiał na siebie, co Bill Travis robił co roku. Powiadano, iż tego letniego wieczoru tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku z uśmiechem oznajmił widzom, że znów postawił na siebie sporą sumkę, chociaż najlepsze szanse, jakie mu dawano, to jeden do pięciu. Jeżeli nie lubicie się zakładać, wyjaśnię to wam następująco: musiał zaryzykować dwieście pięćdziesiąt dolarów, żeby wygrać pięćdziesiąt. Niezbyt korzystna sytuacja, ale taka jest cena sukcesu - a kiedy stał tam, pławiąc się w aplauzie i rozdając uśmiechy, nie wyglądał na Specjalnie zaniepokojonego.

- I obrońca mistrzowskiego tytułu - zagrzmiął burmistrz Charbonneau - mieszkaniec

Gretna, Bill Travis!

- Hej, Bill!
- Ile dziś zjesz, Bill?
- Wtrząchniesz dziesięć, Bill?
- Postawiłem na ciebie, Bill! Nie zawieź mnie, chłopcze!
- Zostaw mi jedno ciastko, Bill!

Kłaniając się i skromnie uśmiechając, Bill Travis pozwolił, aby burmistrz zawiązał mu śliniak pod brodą. Potem usiadł na końcu stołu po prawej, w pobliżu miejsca, gdzie podczas konkursu miał stać burmistrz Charbonneau. Od prawej do lewej siedzieli: Bill Travis, David „Tłustodupski” Hogan, Bob Cormier, dyrektor John Wiggins oraz zasiadający na samym końcu Calvin Spier.

Burmistrz Charbonneau przedstawił Sylwię Dodge, która była jeszcze bardziej nierozłącznie związana z konkursem niż Bill Travis. Od niepamiętnych lat (według niektórych dowcipnisiów, od czasów pierwszych chrześcijan) zajmowała stanowisko prezesa Ligi Kobiet w Gretna i co roku osobiście doglądała wypieku ciastek, poddając każde surowej kontroli jakości, obejmującej uroczyste ważenie na rzeźniczej wadze pana Bancicheka - aby upewnić się, iż każde ciastko waży co do uncji tyle samo.

Sylvia obdarzyła tłum królewskim uśmiechem, jej niebieskosiwe włosy zamigotały w świetle żarówek. Wygłosiła krótką przemowę o tym, jak cieszy ją, że tak wielu mieszkańców miasteczka przybyło, by uczcić swych twardych przodków-pionierów, którym ten kraj zawdzięcza swoją wielkość, ponieważ jest wielki, nie tylko na małomiasteczkowym szczeblu, na którym burmistrz Charbonneau w listopadowych wyborach znów powiedzie miejscowych republikanów na fotele radnych miejskich, ale na szczeblu krajowym, na którym Nixon z Lodge'em przejmą pochodnię wolności z rąk Naszego Wielkiego i Ukochanego Generała, by nieść ją wysoko...

Calwinowi Spierowi głośno zaburczało w żołądku - bruum! Zebrani przyjęli to gromkim aplauzem. Sylvia Dodge, która doskonale wiedziała, że Calvin jest nie tylko demokratą, lecz i katolikiem (co z osobna byłoby jeszcze wybacalne, ale razem - nigdy), zdołała się zaczerwienić, uśmiechnąć, a jednocześnie wyglądać na wściekłą. Odchrząknęła i wygłosiła płomienną przemowę do wszystkich chłopców i dziewcząt obecnych na widowni, każąc im zawsze wysoko nieść czerwono-biało-niebieski, zarówno w dłoniach jak i w sercach, a ponadto pamiętać, że palenie to wstrętny, obrzydliwy nałóg, od którego się kaszle. Obecni na widowni chłopcy i dziewczęta, z których większość za osiem lat miała nosić pacyfy i nie palić cameli, lecz marihuanę, przebierali nogami i czekali, aż coś zacznie się dziać.

- Mniej gadania, więcej jedzenia! - zawołał ktoś w tylnych rzędach i znów rozległy się oklaski - tym razem bardziej rześiste.

Burmistrz Charbonneau wręczył Sylvii stoper i srebrny policyjny gwizdek, w który miała dmuchnąć po upływie wyznaczonych dziesięciu minut konkursu. Wtedy burmistrz miał wystąpić i podnieść rękę zwycięzcy.

- Gotowi??? - Głos Hizzonera przetoczył się dudniącym echem w głośnikach rozmieszczonych na Main Street.

Pięciu zjadaczy ciastek stwierdziło, że są gotowi.

- Możecie zaczynać? - dociekał Hizzoner.

Zjadacze warknęli, że mogą zaczynać. Na ulicy jakiś chłopak rzucił grzechoczącą petardę.

Burmistrz Charbonneau podniósł jedną kluchowatą rękę, a potem opuścił ją.

- Już!

Pięć głów opuściło się na pięć talerzy. Odgłos przypominał dźwięk pięciu stóp mocno tupiących w błotnistą ziemię. W ciepłym wieczornym powietrzu rozeszło się ciamkanie, zaraz zagłuszone przez zwolenników i obstawiających, którzy dopingowali swoich faworytów. Jeszcze nie zniknęło pierwsze ciastko, gdy większość ludzi zrozumiała, że szykuje się coś nieoczekiwanego.

Tłustodupski Hogan, na którego stawiano siedem do jednego ze względu na jego wiek i brak doświadczenia, jadł jak opętany. Błyskawicznie przeżuł górną część ciastka (przepisy konkursu wymagały zjedzenia tylko górnej części, spodnią można było zostawić), a kiedy ją przełknął, z jego ust wydobył się donośny, ssący dźwięk. Ten odgłos przypominał dźwięk przemysłowego odkurzacza. Potem cała jego głowa zniknęła w talerzu z ciastkiem. Podniósł ją piętnaście sekund później, pokazując, że już skończył. Czoło i policzki miał wysmarowane sokiem jagodowym i wyglądał jak cyrkowy kłown. Skończył - i zrobił to, zanim legendarny Bill Travis zjadł połowę swojego pierwszego ciastka.

Podniosły się wściekle oklaski, gdy burmistrz obejrzał talerz Tłustodupskiego i oznajmił, iż jest dostatecznie pusty. Błyskawicznie postawił przed nim drugi talerz. Tłustodupski pochłonął regulaminowej wielkości ciastko w czterdzieści dwie sekundy. To był rekord zawodów.

Do drugiego ciastka zabrał się jeszcze gwałtowniej, podrzucając głową i zanurzając ją w miękkim jagodzianym nadzieniu, a Bill Travis obrzucił go niespokojnym spojrzeniem, wołając o drugą jagodziankę. Jak później powiedział przyjaciółom, poczuł, że bierze udział w prawdziwych zawodach po raz pierwszy od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, kiedy George Gamache pochłonął trzy ciastka w cztery minuty, a potem zemdlął. Zaczął się zastanawiać, powiedział, czy ma przeciw sobie chłopca, czy demona. Przypomnił sobie o pieniądzach, jakie wchodziły w grę, i podwoił wysiłki.

Jednak jeśli Travis podwoił szybkość jedzenia, to Tłustodupski potroił ją. Jagody rozpryskiwały się wokół jego talerza, barwiąc obrus jak obraz Jacksona Pollocka. Miał jagody

we włosach, jagody na śliniaku i jagody przyklepione do czoła, jakby zaczął je wypacać z wysiłku.

- Gotowe! - zawołał, podnosząc głowę znad drugiego talerza, zanim Bill Travis zdążył zjeść górę swojej jagodzianki.

- Lepiej zwolnij, chłopcze - mruknął Hizzoner. Charbonneau postawił dziesięć dolarów na Billa Trávisa. - Musisz oszczędzać siły, jeśli chcesz dotrzeć do końca.

Tymczasem Tłustodupski jakby go nie słyszał. Z szaleńczym pośpiechem wgrzył się w trzecie ciastko, błyskawicznie poruszając szczękami. I nagle...

Jednak muszę na moment przerwać i powiedzieć wam, że w apteczce w domu Tłustodupskiego stała pusta buteleczka. Wcześniej była w trzech czwartych wypełniona perłowożółtym olejem rycynowym, chyba najobrzydliwszym płynem, jakiemu Bóg, w swej niezmiernej mądrości, pozwolił istnieć na powierzchni Ziemi. Tłustodupski osobiście opróżnił tę butelkę, wypijając zawartość co do kropli, a nawet oblizując zakrętkę, z wykrzywionymi ustami, skurczami żołądka i umysłem wypełnionym myślami o słodkiej zemście.

Gwałtownie pochłaniając trzecie ciastko (Calvin Spier, zgodnie z przewidywaniami, jeszcze nie skończył pierwszego), Tłustodupski zaczął celowo dręczyć się ponurymi wizjami. Wcale nie jadł ciastek; jadł krowie placki. Jadł wielkie, ogromne michy żółtego, oślizgłego sadła. Pożerał podśmierdłe szcurze wnętrzości polane jagodowym sosem. Skwaśniałym jagodowym sosem.

Skończył trzecie ciastko i zawołał o czwarte, wyprzedzając o całe jedno legendarnego Billa Trávisa. Płochy tłum, wyczuwając nowego i nieoczekiwanego mistrza, zaczął dopingować go co sił w płucach.

Jednak Tłustodupski nie miał nadziei ani zamiaru wygrać. Nie zdołałby utrzymać obecnego tempa, nawet gdyby nagrodą było życie jego matki. Ponadto, dla niego zwycięstwo oznaczałoby porażkę; zemsta była jedynym trofeum, jakiego pragnął. Z żołądkiem kurczącym się od oleju rycynowego, czując ściskanie w krtani, dokończył czwarte ciastko i zawołał o piątą - ostatnią jagodziankę, istną Jagodziankową Bombę. Opuścił głowę na talerz, przebił skórkę i wciągnął jagody nosem. Sok pociekł mu po koszuli. Treść pokarmowa nagle zaczęła mu ciążyć w żołądku. Przeżuł ciastowate ciasto skórki i połknął ją. Wciągnął jagodowy miąższ.

Nagle nadeszła chwila zemsty. Jego żołądek, nieprawdopodobnie przeładowany, zbuntował się i zacisnął jak silna dłoń w śliskiej gumowej rękawiczce. Gardło rozwarło się.

Tłustodupski podniósł głowę.

Niebieskimi zębami uśmiechnął się do Billa Trávisa.

Wymioty wezbrały mu w gardle jak wielotonowa kolejka metra pędząca tunelem.

Z rykiem trysnęły z jego ust długą, niebiesko-żółtą fontanną, ciepłą i parującą. Strumień sięgnął Billa Trávisa, który zdążył wybulgotać tylko coś, co zabrzmiało jak „Guuu”.

Kobiety na widowni wrzasnęły. Calvin Spier, który z tępyim zdumieniem spoglądał na tę niezapowiedzianą atrakcję, przechylił się zręcznie przez stół, jakby zamierzał wyjaśnić widowni, co się dzieje, i zwymiotował na głowę Marguerite Charbonneau, żony burmistrza. Wrzasnęła i odskoczyła, daremnie osłaniając rękami włosy, które teraz pokrywała warstwa zmiądzonych jagód, smażonej fasolki oraz częściowo strawionych frankfurterów (te ostatnie elementy to obiad Cala Spiera). Odwróciła się do swojej przyjaciółki Marii Lavin i obrzygała jej przód żakietu z cielejącej skóry.

Szereg szybko następujących po sobie zdarzeń, jak rozbłyśki sztucznych ogni:

Bill Travis rzucił wielkiego - i niezwykle dorodnego - pawia na dwa pierwsze rzędy widzów, przy czym oszołomiony wyraz jego twarzy wyraźnie głosił: Ludzie, sam nie mogę uwierzyć, że to robię;

Chuck Day, szczerze uraczony niespodziewanym prezentem przez Billa Trávisa, obrzygał sobie zamszowe buty, a potem zamrugął oczami, patrząc na nie z niedowierzaniem, doskonale wiedząc, że już nigdy z nich tego nie sczyści;

John Wiggins, dyrektor szkoły podstawowej w Gretna, otworzył otoczone niebieską obwódką usta i rzekł karcąco: „Naprawdę, to już.... uuuuuuuuu!”. Jak przystało człowiekowi o jego wychowaniu i pozycji, zwrócił wszystko na swój talerz.

Hizzoner Charbonneau, który nagle zaczął przewodniczyć czemuś, co wyglądało raczej na oddział zatruc pokarmowych niż konkurs jedzenia ciastek, otworzył usta, żeby odwołać imprezę, i zapawiował sobie mikrofon.

- Jezusie, ratuj! - jęknęła Sylvia Dodge, a potem cała jej kolacja - smażone ostrygi, sałatka z surowej kapusty, kukurydza z masłem na słodko (co najmniej dwie kolby) oraz spora ilość czekoladowego ciasta Muriel Harrington - wypadła wyjściem awaryjnym i z donośnym plaśnięciem wylądowała na plecach eleganckiej marynarki burmistrza.

Tłustodupski Hogan, w apogeum swojego młodego życia, promiennie uśmiechał się do widowni. Wszędzie zalegały wymiociny. Ludzie zataczali się jak pijani, przytykając dłonie do ust i wydając ciche, rozpaczliwe jęki. Obok sceny przeleciał czyjś pekińczyk, ujadając jak szalony, a mężczyzna w dżinsach i kowbojskiej jedwabnej koszuli zwymiotował na niego, niemal topiąc biedne zwierzę. Pani Brockway, żona pastora metodystów, czknęła basowo, po czym trysnęła fontanną przetrawionego rostbefu, tłuczonych ziemniaków i musu jabłkowego. Mus wyglądał tak, jakby był dobry, kiedy przebywał drogę w przeciwnym kierunku. Jerry Maling, który przyszedł zobaczyć, jak jego ulubiony mechanik znów odchodzi z wygraną, postanowił spieprzać z tego domu wariatów. Przeszedł może siedem jardów, po czym potknął się o czerwony dziecienny samochodzik i wylądował w kałuży ciepłych wymiotów. W następnej chwili zwrócił kolację na swój podolek i później mówił, że dziękował opatrności, iż miał na sobie kombinezon. A panna Norman, która uczyła łaciny i podstaw języka angielskiego w zbiorczej szkole średniej w Gretna, okazała przesadne poczucie

własności, wymiotując do własnej torebki.

Tłustodupski Hogan patrzył na to wszystko z miną spokojną i promienną, czując ogarniające go, słodkie i wspaniałe uczucie, jakiego mógł już nigdy więcej nie zaznać - uczucie całkowitej i głębokiej satysfakcji. Wstał, wyjął nieco lepki mikrofon z drżącej dłoni burmistrza Charbonneau i powiedział...

17

- Uznaję ten konkurs za nie rozstrzygnięty - mówi. Potem odkłada mikrofon, schodzi z podium i idzie prosto do domu. Zastaje matkę, ponieważ nie mogła znaleźć opiekunki do małej siostrzyczki Tłustodupskiego, która ma dopiero dwa latka. Kiedy on wchodzi, cały ubabrany wymiocinami i jagodzianym nadzieniem, jeszcze z serwetką na szyi, ona pyta: „Davie, wygrałeś?”. On nie odzywa się ani słowem, wiecie. Tylko idzie na górę do swojego pokoju, zamyka drzwi i kładzie się na łóżku.

Dopilem ostatni łyk coli Chrisa i rzuciłem butelkę w las.

- Tak, to fajne, a co potem? - zapytał niecierpliwie Teddy.

- Nie wiem.

- Co to ma znaczyć „nie wiem”?

- To że na tym koniec. Kiedy nie wiesz, co było potem, to jest koniec.

- Cooo? - wrzasnął Vern. Na twarzy miał gniewny, podejrzliwy grymas, jakby podejrzewał, że orznięto go przy groszowej grze w bingo w Topsham Fair. - Co to za zakończenie? Powiedz, co było potem!

- Musicie użyć swojej wyobraźni - powiedział cierpliwie Chris.

- Nie mam zamiaru! - rzucił ze złością Vern. - To on ma użyć wyobraźni! Przecież to on wymyślił tę pieprzoną historię!

- No właśnie, co się stało z tym grubasem? - nalegał Teddy. - No, Gordie, powiedz nam.

- Myślę, że jego ojciec był na konkursie i kiedy wrócił do domu, spuścił Tłustodupskiemu tęgi łomot.

- Racja - przytaknął Chris. - Założę się, że tak właśnie było.

- Dzieciaki nadal nazywały go Tłustodupskim - dodałem. - Tyle że niektóre zaczęły nazywać go Rzygaczem.

- Paskudne zakończenie - rzekł ze smutkiem Teddy.

- Dlatego nie chciałem go wam mówić.

- Mogłeś kazać mu zastrzelić ojca, uciec z domu i wstąpić do Teksaskich Rangersów - rzekł Teddy. - Co o tym myślisz?

Wymieniliśmy z Chrisem spojrzenie. Chris ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Może - powiedziałem.

- Hej, a masz jakąś nową historię z Le Dio, Gordie?

- Nie teraz. Może jakąś wymyślę.

Nie chciałem rozzłościć Teddy'ego, ale wcale nie interesowało mnie to, co działo się w Le Dio.

- Przykro mi, że to wam się nie spodobało.

- Nie, było niezłe - rzekł Teddy. - Dobrze aż do samego końca. I to rzyganie było naprawdę fajne.

- Tak, fajne, naprawdę bomba - przytaknął Vern. - Teddy ma rację co do zakończenia. Jest trochę oszukane.

- Tak - przyznałem i westchnąłem.

Chris wstał.

- Chodźmy - powiedział. Było jeszcze jasno, rozpalone niebo miało stalowoniebieską barwę, ale nasze cienie już zaczynały się wydłużać. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, sierpień wydawał się kończyć za wcześnie, zaskakując mnie jakbym gdzieś w głębi serca oczekiwał, że zawsze będzie czerwiec i na dworze jasno prawie do dwudziestej pierwszej trzydziści. - Która godzina, Gordie?

Spojrzałem na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziłem, że jest już po piątej.

- Taak, chodźmy - przytaknął Teddy. - Rozbijmy obóz przed zmrokiem, żebyśmy mogli nazbierać drewna i coś zjeść. Zaczynam być głodny.

- O szóstej trzydziści - obiecał Chris. - Zgoda, chłopaki?

Zgodziliśmy się. Zaczęliśmy iść, tym razem po kamieniach obok torów. Wkrótce rzeka została tak daleko w tyle, że nawet przestaliśmy ją słyszeć. Brzęczały komary i zatłukłem jednego na szyi. Vern i Teddy szli przodem, uzgadniając warunki jakiejś skomplikowanej wymiany komiksów; Chris obok mnie, z rękami w kieszeniach i koszulą płaczącą mu się jak fartuch wokół kolan i nóg.

- Mam kilka winstonów - powiedział. - Zwędziłem je z szuflady mojego starego. Po jednym dla każdego. Na po kolacji.

- Taak? To świetnie.

- Wtedy papieros najlepiej smakuje - rzekł Chris. - Po kolacji.

- Racja.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- To była naprawdę dobra historia - powiedział nagle Chris. - Oni są po prostu za głupi, żeby ją zrozumieć.

- Wcale nie jest taka dobra. To bełkot.

- Zawsze tak mówisz. Nie wciskaj mi, że w to wierzysz. Zapiszesz ją? Tę historię?

- Zapewne. Jednak nie od razu. Nie mogę ich pisać zaraz po tym, jak je opowiem. Trzymają się mnie.

- A co powiedział Vern? O tym, że koniec to oszustwo?

- Taak?

Chris roześmiał się.

- Życie to oszustwo, wiesz? Chcę powiedzieć, tylko spójrz na nas.

- Nie, mamy świetną zabawę.

- Jasne - rzekł. - Przez cały pieprzony czas, ty maminsynku.

Roześmiałem się. Chris też.

- Wyskakują z ciebie jak bańki z wody sodowej - powiedział po chwili.

- Co? - spytałem, ale wiedziałem, o czym mówi.

- Te historie. To mnie naprawdę buzuje, człowieku. Tak jakbyś mógł opowiedzieć milion historii, a o wiele więcej miał w zapasie. Kiedyś będziesz wielkim pisarzem, Gordie.

- Nie, nie sądzę.

- Tak, będziesz. Może nawet napiszesz o nas, gdy zacznie ci brakować materiału.

- Bardzo musiałoby mi brakować - szturchnąłem go łokciem.

Znowu zapadła cisza, a potem zapytał nagle:

- Jesteś przygotowany na rozpoczęcie szkoły?

Wzruszyłem ramionami. Czy ktoś kiedyś był? Trochę cieszyłeś się na myśl o powrocie i spotkaniu z kolegami; byłeś ciekaw nowych nauczycieli, jakimi się okażą - czy młodymi chłopakami prosto po college'u, z którymi można żartować, czy starymi piernikami, którzy są tu od czasu Alamo. W pewien zabawny sposób cieszyła cię myśl o długich lekcjach, ponieważ pod koniec letnich wakacji czasem byłeś na tyle znudzony, by uwierzyć, że mógłbyś się nawet zacząć czegoś uczyć. Jednak ta letnia nuda była niczym w porównaniu ze szkolną nudą ogarniającą cię pod koniec drugiego

tygodnia, a na początku trzeciego zaczynałeś myśleć o konkretach: Czy zdołałbyś trafić Śmierdziucha Fiske w tył głowy gumką, podczas gdy nauczyciel rysuje na tablicy tabelę produktów eksportowych Ameryki Południowej? Jak głośny pisk wydobędziesz z politurowanego blatu ławki naprawdę spoconymi rękami? Kto najgłośniej pierdnie w szatni, przebierając się na gimnastykę? Z iloma dziewczynami uda ci się zagrać w „uciekaj, myszko, do dziury” na dużej przerwie? Oto co się liczy, synu.

- Ostatnia klasa - powiedział Chris. - I wiesz co, Gordie? Za rok wszyscy się rozejdziemy.

- O czym ty mówisz? Dlaczego?

- Szkoła średnia to nie podstawowa - dlatego. Ty pójdziesz do klasy gimnazjalnej. Ja, Teddy i Vern, my wszyscy będziemy w zawodowej, grając w kieszonkowy bilard z innymi przygłupami, robiąc popielniczki i budki dla ptaków. Vern może nawet będzie musiał pójść do specjalnej. Poznasz mnóstwo nowych facetów. Mądrych facetów. Tak to już jest, Gordie. Tak to wymyślono.

- Chcesz powiedzieć, że spotkam mnóstwo pajaców.

Ścisnął moje ramię.

- Nie, człowieku. Nie mów tak. Nawet tak nie myśl. Oni zrozumieją twoje opowieści. Nie jak Vern i Teddy.

- Pieprzyć opowieści. Nie będę się zadawał z pajacami. Nie, proszę pana.

- Jeśli tak, to okazesz się dupkiem.

- Mam być dupkiem dlatego, że chcę być twoim przyjacielem?

Popatrzył na mnie w zadumie, jakby decydując, czy powiedzieć mi coś, czy nie. Zwolniliśmy; Vern i Teddy oddalili się prawie o pół mili. Słońce, już znacznie niżej, oświetlało nas przez splecione gałęzie drzew nierównymi, pylistymi promieniami, zmieniając wszystko w złoto - liche złoto, tombakowe złoto, jeśli mnie rozumiecie. Szyny biegły przed nami w mrok, który zaczynał gęstnieć - niemal wydawały się mrugać. Tu i tam odbijały się w nich gwiazdne rozbłyski światła, jakby jakiś bogaty świr przebrany za zwykłego robotnika postanowił co dwadzieścia jardów umieścić w stali diament. Nadal było gorąco. Spływaliśmy potem, od którego nasze ciała stały się śliskie i lepkie zarazem.

- Byłbyś dupkiem, gdybyś dał się ściągnąć w bagno przez przyjaciół - powiedział wreszcie Chris. - Wiem o tobie i twoich starych. Gównu ich obchodzisz. Przejmowali się tylko twoim starszym bratem. Tak jak mój stary, kiedy Franka przymknęli w Portsmouth. Wtedy zaczął wiecznie na nas krzyżeć i bić nas. Twój tato nie bije cię,

ale może to jeszcze gorsze. On po prostu cię nie zauważa. Mógłbyś powiedzieć mu, że idziesz do pieprzonej zawodówki, a wiesz, co by zrobił? Przewróciłby kolejną stronę gazety i powiedział: „To dobrze, Gordon, idź i zapytaj mamę, co będzie na obiad”. I nie mów mi, że tak nie jest. Widziałem go.

Nie próbowałem mu mówić, że tak nie jest. To przerażające, gdy dowiadujesz się, że ktoś, nawet przyjaciel, tyle o tobie wie.

- Jesteś tylko dzieciakiem, Gordie...

- O, dzięki, tato.

- Kurwa, szkoda że nie jestem twoim ojcem! - rzucił gniewnie. - Wtedy nie gadałbyś o tej głupiej zawodówce! To tak, jakby Bóg dał ci coś, wszystkie te historie, które umiesz opowiadać, po czym rzekł: „To dla ciebie, synu. Spróbuj tego nie zgubić”. Jednak dzieciaki gubią wszystko, jeśli nikt ich nie pilnuje, a jeśli twoi starzy są zbyt popieprzeni, żeby to zrobić, to może ja powinienem.

Miał taką minę, jakby spodziewał się, że zaraz go rąbnę; ściągniętą i nieszczęśliwą w tym zielonożółtym świetle późnego popołudnia. Złamał kardynalną regułę chłopaków z tamtych dni. Można było mówić wszystko o innym chłopaku, zmieszać go z błotem i nawozem, ale nigdy nie mówiło się złego słowa na jego matkę czy ojca. To było niepisane prawo, takie samo, jak to, które zabraniało zapraszać przyjaciół katolików na piątkowy obiad, nie sprawdzwszy najpierw, czy na stole nie będzie mięsa. Jeśli ktoś nalatywał na twoją mamę czy tatę, musiałeś mu dołożyć.

- Te historie, które opowiadasz... oni ich nie rozumieją, Gordie. Jeżeli będziesz trzymał z nami tylko po to, żeby paczka się nie rozleciała, skończysz jako jeszcze jeden tępak, ledwie zaliczający na trójczyny. Pójdiesz do takiej pieprzonej zawodówki, będziesz rzucał gumką i opierdalał się tak jak inne tępaki. Zbierał nagany. Pieprzone zawieszania. A po jakimś czasie jedyne, na czym będzie ci zależało, to żeby mieć samochód i zabrać jakąś cizję na potańc albo do pieprzonej Twin Bridges Tavern. Potem ochajtniesz się z nią i spędzisz resztę życia w fabryce albo jakimś pieprzonym sklepie z obuwem w Auburn, a może nawet skubiąc kurczaki w Hillcrest. I ta historia o ciastkach nigdy nie zostanie napisana. Nic nie zostanie zapisane, ponieważ będziesz jeszcze jednym cwaniaczkiem z gównem zamiast mózgu.

Chris Chambers miał dwanaście lat, kiedy mi to klarował. Gdy mówił, jego twarz skurczyła się i ściągnęła w jakąś inną, starszą, wiekową. Mówił monotonnym, bezbarwnym głosem, a mimo to od tych słów żołądek skurczył mi się ze strachu. To było tak, jakby przeżył już całe życie, takie życie, kiedy mówią ci, żebyś podszedł i

zakręcił Kołem Fortuny, a ono kręci się tak ładnie, a potem facet naciska nogą pedał i wypada podwójne zero, krupier wygrywa, wszyscy inni są przegrani. Dają ci darmowy bilet, a potem włączają spryskiwacze przeciwpożarowe, bardzo śmieszne, cha, cha, żart, który doceniłby nawet Vern Tessio.

Chris złapał mnie za gołe ramię i mocno zacisnął palce. Zrobiły wgłębienia w moim ciele. Sięgały aż do kości. Oczy miał matowe i martwe - tak martwe, człowieku, że mogły należeć do kogoś, kto właśnie wypadł z trumny.

- Wiem, co ludzie w tym miasteczku myślą o mojej rodzinie. Wiem, co myślą o mnie i czego oczekują. Nikt nawet nie zapytał mnie, czy to ja wziąłem te pieniądze na mleko. Po prostu dostałem trzydniowe zawieszenie.

- A wziąłeś je? - Nigdy przedtem nie pytałem go o to, a gdybyście powiedzieli mi, że kiedyś to zrobię, wyzwiałbym was od wariatów. Te słowa wyszły mi z ust jak mała, twarda kula.

- Taak - odparł. - Taak, wziąłem je. - Milczał przez chwilę, patrząc przed siebie, na Teddy'ego i Verna. - Ty wiedziałeś, że je wziąłem, Teddy wiedział, wszyscy wiedzieli. Chyba nawet Vern o tym wiedział.

Chciałem zaprzeczyć, ale zaraz zamknąłem usta. Miał rację. Obojętnie, co mówiłem matce i ojcu o tym, że człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, wiedziałem.

- A potem może pożałowałem i próbowałem je oddać rzekł Chris.

Spojrzałem na niego, szeroko otwierając oczy.

- Próbowałeś je oddać?

- Może, powiedziałem, może. I może zaniósłem je starej pani Simons i może oddałem wszystkie pieniądze, ale i tak dostałem trzy dni zawieszenia, ponieważ pieniądze nigdy się nie znalazły. A może tydzień później stara pani Simons przyszła do szkoły w zupełnie nowej kiece.

Patrzyłem na Chrisa, oniemiały ze zgrozy. Uśmiechnął się do mnie krzywym, okropnym uśmiechem, który nie sięgnął oczu.

- Tylko może - powiedział, ale ja pamiętałem tę nową spódnicę - jasnobrązową w barwny, drobniutki deseń. Pamiętałem, jak pomyślałem, że stara pani Simons wygląda w niej młodziej, prawie ładnie.

- Chris, ile było tych pieniędzy na mleko?

- Prawie siedem dolców.

- Chryste - szepnąłem.

- Tak więc powiedzmy, że ja ukradłem te pieniądze na mleko, ale potem stara pani Simons ukradła je mnie. Założmy, że opowiedziałbym tę historię. Ja, Chris Chambers. Młodszy brat Franka Chambersa i Eyeballa Chambersa. Myślisz, że ktoś by mi uwierzył?

- Nie ma mowy - wyszeptalem. - Jezu Chryste!

Uśmiechnął się tym zimnym, okropnym uśmiechem.

- I czy myślisz, że ta suka odważyłaby się zrobić coś takiego, gdyby te pieniądze wziął jeden z tych lalusiów z The View?

- Nie - powiedziałem.

- Taak, gdybym był jednym z nich, Simons powiedziałaaby: „Dobra, dobra, tym razem zapomnijmy o tym, ale dostaniesz zdrowo po łapie, jeśli to się powtórzy - po obu łapach”. Jednak ja... no cóż, może od dawna miała oko na tę kieckę. W każdym razie nadarzyła się okazja i wykorzystwała ją. Byłem głupi, że w ogóle próbowałem oddać te pieniądze. Jednak nigdy nie przypuszczałem... nigdy nie myślałem, że nauczyciel... och, kogo to, kurwa, obchodzi? Czemu w ogóle o tym mówię?

Ze złością przesunął ręką po oczach i uświadomiłem sobie, że prawie płakał.

- Chris - powiedziałem - dlaczego nie pójdziesz do klasy gimnazjalnej? Jesteś dostatecznie dobry.

- Zdecydowali o tym w gabinecie. I na swoich naradach. Ci nauczyciele siadają sobie w kółko i jedyne, co mówią, to „tak, tak, racja, racja”. Wszystko co ich obchodzi, to jak zachowywałeś się w szkole podstawowej i co w mieście myślą o twojej rodzinie. I decydują, czy mógłbyś mieć zły wpływ na tych ukochanych lalusiów z klasy gimnazjalnej, czy nie. Jednak może spróbuję się tam wkręcić. Nie wiem, czy zdołam, ale mogę spróbować. Ponieważ chcę wyrwać się z Castle Rock i nigdy więcej nie widzieć mojego starego, matki i braci. Chcę pojechać w jakieś miejsce, gdzie nikt mnie nie zna i gdzie nie będę miał żadnych czarnych kresek przed startem. Jednak nie wiem, czy zdołam.

- Dlaczego nie?

- Przez ludzi. Ludzie ciągną cię w dół.

- Kto? - spytałem, sądząc, że ma na myśli nauczycieli lub takie potwory jak panna Simons, która chciała mieć nową spódnicę, a może jego brata Eyeballa włączającego się z Ace'em, Billym, Charliem i innymi albo własnego ojca i matkę.

Jednak on powiedział:

- Przyjaciele ciągną cię w dół, Gordie. Nie wiedziałeś o tym?

Wskazał na Verna i Teddy'ego, którzy stali i czekali, aż ich dogonimy. Śmiali się z czegoś; prawdę mówiąc, Vern wprost pękał ze śmiechu.

- Twoi przyjaciele. Są jak tonący, którzy łapią cię za nogi. Nie możesz ich ocalić. Możesz tylko utonąć razem z nimi.

- Chodźcie, pieprzone ślamazary! - zawołał ze śmiechem Vern.

- Już idziemy! - odkrzyknął Chris i zanim zdążyłem coś dodać, zaczął biec. Ja też pobiegłem, ale dogonił ich, zanim zdołałem go dopędzić.

18

Przeszliśmy jeszcze milę, a potem postanowiliśmy rozbić obóz na noc. Dzień jeszcze się nie skończył, ale nikt tak naprawdę nie miał ochoty z tego korzystać. Byliśmy zmęczeni wydarzeniami przy wysypisku i na wiadukcie kolejowym, ale nie tylko. Znajdowaliśmy się w Harlow, w lesie. Gdzieś przed nami leżał martwy chłopiec, prawdopodobnie zmasakrowany i pokryty chmarami much. Zapewne również i robactwem. Nikt nie chciał za bardzo zbliżyć się do niego teraz, gdy zapadała noc. Czytałem gdzieś - chyba w opowiadaniu Algernona Blackwooda - że duch człowieka krąży wokół zwłok, dopóki nie wyprawi się porządnego chrześcijańskiego pogrzebu, więc nie miałem najmniejszej ochoty zbudzić się w środku nocy i napotkać widmową, bezcielesną postać Raya Browera, jęczącą, bełkoczącą i unoszącą się wśród ciemnych, szumiących sosen. Obozując tutaj, uznaliśmy, że oddziela nas od niego co najmniej dziesięć mil, i chociaż wszyscy czterej wiedzieliśmy, że duchów nie ma, dziesięć mil wydawało się wystarczającą odległością, na wypadek gdybyśmy się mylili.

Vern, Chris i Teddy nazbierali drewna i rozpalili niewielkie ognisko na podłożu z żuźla. Chris odgarnął ściółkę wokół ognia - lasy były suche jak pieprz i nie chciał ryzykować. Kiedy to robili, ja zaostrzyłem kilka patyków i zrobiłem to, co mój brat Denny nazywał „pałeczkami pioniera” - kawałki hamburgerów nabite na końce gałęzi. Tamci trzej chichotali i drwili ze swoich traperskich umiejętności, które były prawie żadne (w Castle Rock istniała drużyna skautów, ale większość chłopaków przychodzących na naszą opuszczoną parcelę uważała ją za organizację dla lalusiów), spierając się, czy lepiej smażyć w płomieniach, czy nad żarem (jałowy spór; byliśmy zbyt głodni, żeby czekać na węgle); czy suszony mech nada się na rozpalkę; co zrobiliby, gdybyśmy zużyli wszystkie zapalki i nie zdołali rozpałić ognia. Teddy twierdził, że rozpałiłby ogień, pocierając dwoma kawałkami drewna. Chris powiedział

mu, że to gówno prawda. Nie musieli sprawdzać; Vern podpalił małą kupkę chrustu i suchego mchu już drugą zapalką. Powietrze było kompletnie nieruchome i żaden podmuch wiatru nie gasił ognia. Wszyscy po kolei podsycaliśmy wątłe płomyki, aż buchnęły raźniej, pochłaniając suche konary obłamane z powalonego drzewa leżącego jakieś trzydzieści jardów dalej.

Kiedy płomienie zaczęły przygasać, wetknąłem patyki z pałeczkami pionierów w ziemię, ustawiając je pod ostrym kątem nad ogniskiem. Siedliśmy wokół, patrząc, jak skwierczą, ociekają tłuszczem i w końcu zaczynają brązowieć. Nasze brzuchy prowadziły przedobiednią rozmowę.

Nie mogąc się doczekać, aż hamburgery usmażą się do końca, wzięliśmy po jednym, wepchnęliśmy do bułek i wyrwaliśmy gorące patyki z mięsa. Były zwęglone na zewnątrz, surowe w środku i przepyszne. Pochłonęliśmy je i otarliśmy tłuste usta rękami. Chris otworzył plecak i wyjął metalową puszkę po bandażu (pistolet miał schowany głęboko na dnie plecaka, a ponieważ nie powiedział o nim Vernowi ani Teddy'emu, domyśliłem się, że ma to być nasz sekret). Otworzył puszkę i dał każdemu z nas po pogniecionym winstonie. Zapaliliśmy je płonącymi gałązkami wyjętymi z ogniska, a potem wyciągnęliśmy się wygodnie, jak światowcy, patrząc, jak papierosowy dym unosi się smugami w miękkim półmroku. Żaden z nas nie zaciągał się, ponieważ mógłby zacząć kaszleć, co oznaczałoby dzień lub dwa wysłuchiwanie kpin pozostałych kolegów. Wystarczająco przyjemnie było wciągać i wydmuchiwać dym, spluwając w ogień, aby posłuchać skwierczenia (właśnie tego lata dowiedziałem się, po czym poznać kogoś, kto dopiero uczy się palić; początkujący często plują). Czuliśmy się wspaniale. Wypaliliśmy winstony aż do filtrów, a potem rzuciliśmy je w ogień.

- Nie ma to jak dymek po jedzeniu - powiedział Tedd.

- Pieprzona radocha - przytaknął Vern.

Świerszcze zaczęły grać w zielonym mroku. Spojrzałem na pas nieba widoczny nad torami i zobaczyłem, że błękit powoli przechodzi w purpurę. Nadchodzący zmrok sprawił, że poczułem się jednocześnie smutny i spokojny, dzielny, a jednocześnie niezbyt odważny, przyjemnie samotny.

Wydeptaliśmy miejsce w chaszczach obok skarpy i rozłożyliśmy posłania. Potem, przez godzinę czy dwie, podsycaliśmy ogień i gawędziliśmy, prowadząc rozmowy, których tematu nigdy nie możesz sobie przypomnieć, gdy skończysz piętnaście lat i odkryjesz istnienie dziewczyn. Mówiliśmy o tym, kto jest najlepszym

rybakiem w Castle Rock, czy Boston utrzyma się w tym roku w lidze i o minionym lecie. Teddy opowiadał o tym, jak był na White Beach w Brunswick i jakiś chłopak uderzył się w głowę, nurkując z pontonu, i o mało nie utonął. Długo dyskutowaliśmy o względnych zaletach niektórych naszych nauczycieli. Zgodziliśmy się, że pan Brooks jest największym maminsynkiem w szkole podstawowej w Castle Rock rozpląkałby się, gdyby na niego krzyknąć. Natomiast pani Cote (wymawiać jak Cody) była chyba najgorszą suką, jaką Bóg zesłał na Ziemię. Vern powiedział, że słyszał, iż dwa lata temu tak mocno uderzyła jakiegoś chłopaka, że o mało nie oślepl. Spojrzałem na Chrisa, zastanawiając się, czy powie coś o panie Simons, ale on milczał i nawet nie zauważył, że na niego patrzę - spoglądał na Verna i ponuro kiwał głową, słuchając jego opowieści.

Kiedy zapadał zmrok, nie rozmawialiśmy o Rayu Browerze, ale myślałem o nim. Jest coś strasznego i fascynującego w tym, jak ciemność ogarnia las, jej nadejściu nie łagodnym reflektorami aut, latarniami, światłami okien czy neonów. Nadchodzi bez zapowiadających je głosów matek, nawołujących dzieci, by zostawiły wszystko i natychmiast przysły. Jeśli jesteś przyzwyczajony do miasta, mrok zapadający w lesie wydaje się raczej katastrofą niż normalnym zjawiskiem; wzbiera jak Castle River na wiosnę.

I kiedy w tym świetle - albo bez niego - pomyślałem o zwłokach Raya Browera, nie czułem niepokoju czy obawy, że nagle pojawi się przed nami jako zielony i bełkoczący upiór, aby przepędzić nas tam, skąd przyszlismy, zanim zakłócimy mu spokój, lecz nagłą i nieoczekiwaną falę żalu, że jest tak samotny i bezbronny w ciemności spowijającej teraz naszą stronę Ziemi. Jeśli coś chciało go pożreć, mogło to zrobić. Nie było tam jego matki, żeby temu zapobiec, nie było ojca, ani Jezusa Chrystusa w towarzystwie wszystkich świętych. Był martwy i zupełnie sam, zrzucony z nasypu do rowu, i nagle uświadomiłem sobie, że jeśli nie przestanę o nim myśleć, to zacznę płakać.

Tak więc opowiedziałem historię z Le Dio, wymyśloną na poczekaniu i niezbyt dobrą, a kiedy skończyła się tak jak większość moich opowiadań o Le Dio, gdy umierający amerykański piechur pokaszując deklaruje miłość do ojczyzny i pozostawionej w domu dziewczyny mądrymu, staremu sierżantowi, oczami duszy nie ujrzałem białej, wystraszonej twarzy jakiegoś szeregowca z Castle Rock czy White River Junction, ale twarz o wiele młodszego chłopca, już nieżywego, z zamkniętymi oczami, zastygłymi rysami i strużką krwi ściekającą z kącika ust. A za nim, zamiast

porozbijanych sklepów i kościołów Le Dio z mojej wyobraźni, widziałem tylko ciemny las i kamienisty nasyp kolejowy mający na tle rozgwieżdżonego nieba jak jakiś prehistoryczny kurhan.

19

Obudziłem się w środku nocy, zdezorientowany, zastanawiając się, dlaczego w mojej sypialni jest tak zimno i kto zostawił otwarte okno. Może Denny. Śnił mi się Denny, coś o nurkowaniu w rezerwacie stanowym Harrison. A przecież to było cztery lata temu.

To nie był mój pokój; znajdowałem się gdzie indziej. Ktoś trzymał mnie w niedźwiedzim uścisku, ktoś inny przyciskał mnie z tyłu, a trzecia postać kuciała koło mnie, nastawiając ucha.

- Co jest, kurwa? - zapytałem ze szczerym zdziwieniem.

W odpowiedzi usłyszałem przeciągły jęk. Brzmiało to jak głos Verna.

Otrzeźwiałem i ujrzałem wszystko we właściwym wymiarze, przypominając sobie, gdzie jestem... tylko czemu żaden z nich nie spał w środku nocy? A może zdrzemnąłem się tylko na moment? Nie, to niemożliwe, ponieważ cienki sierp księżycy unosił się na samym środku atramentowego nieba.

- Nie pozwólcie, żeby mnie zabrał! - mamrotał Vern. Przysięgam, że będę grzecznym chłopcem, nie zrobię niczego złego, będę podnosił deskę, zanim się odleję i... i...

Z pewnym zdziwieniem zrozumiałem, że słucham modlitwy - a przynajmniej modlitwy w wersji Verna Tessio.

Usiadłem na posłaniu, wystraszony.

- Chris?

- Zamknij się, Vern - powiedział Chris. To on kuczał i nasłuchiwał. - Tu nic nie ma.

- O nie, jest - odparł złowieszczo Teddy. - Jest coś.

- Co takiego? - zapytałem. Wciąż byłem zaspany i zdezorientowany, wyrwany z mojego miejsca w czasie i przestrzeni. Przerazało mnie, że zbudziłem się za późno, aby zobaczyć to, co nastąpiło - może nawet za późno, żeby się obronić.

Nagle, jakby w odpowiedzi na moje pytanie, w lesie rozległ się przeciągły, głuchy krzyk - takiego wrzasku można by oczekiwać z ust kobiety konającej w

potwornej męce i strachu.

- O dobry Jezu! - zaskomlał Vern, wysokim i nabrzmiałym łzami głosem. Jeszcze bardziej wzmocnił niedźwiedzi uścisk, utrudniając mi oddychanie i zwiększając mój własny lęk. Z wysiłkiem odepchnąłem go, ale zaraz znów do mnie przywarł jak szczenię nie mające pojęcia, dokąd iść.

- To ten mały Brower - szepnął ochryple Teddy. - Jego duch krąży po lasach.

- O Boże! - wrzasnął Vern, najwidoczniej niezbyt zachwycony tą ideą. - Obiecuję więcej nie zwijać nieprzyzwoitych książek ze sklepu Dahliego! Obiecuję, że nie będę już oddawał psu mojej marchewki! Ja... ja... ja... - Zacukał się, chcąc przekupić Boga czymkolwiek, ale z przerażenia nie będąc w stanie wymyślić nic naprawdę dobrego. - Nie będę więcej palił papierosów bez filtra! Nie będę przeklinał! Nie będę rzucał guzików na tacę! Nie będę...

- Zamknij się, Vern - powiedział Chris i w jego stanowczym tonie usłyszałem głuchą nutę przestraszenia. Zastanawiałem się, czy na rękach, plecach i brzuchu ma taką gęsią skórę jak ja, a także czy włosy na karku usiłują stanąć mu dęba, tak jak mnie.

Vern ściszył głos do szeptu i nadal roztaczał plany reform, jakie wprowadzi w swoim życiu, jeśli tylko Bóg pozwoli mu przeżyć tę noc.

- To jakiś ptak, prawda? - zapytałem Chrisa.

- Nie. Przynajmniej nie sądzę. Myślę, że to żbik. Ojciec mówi, że cholernie się dra, kiedy mają ruję. Brzmi jak głos kobiety, no nie?

- Taak - przytaknąłem niepewnie.

- Jednak żadna kobieta nie krzyczałaby tak głośno - powiedział Chris... a potem dodał bezradnie: - Nie mogłaby, prawda, Gordie?

- To jego duch - szepnął Teddy. Grube soczewki odbijały blask księżyca słabymi, jakby sennymi smugami. - Pójdę go zobaczyć.

Nie sądzę, żeby mówił serio, ale nie chcieliśmy ryzykować. Kiedy zaczął wstawać, Chris i ja posadziliśmy go z powrotem. Może zrobiliśmy to zbyt brutalnie, ale strach zmienił nasze mięśnie w stalowe liny.

- Puśćcie mnie, pierdolce! - syczał Teddy, szarpiąc się. Jeżeli mówię, że chcę go zobaczyć, to go zobaczę! Chcę go zobaczyć! Chcę zobaczyć ducha! Chcę...

Dziki, płaczliwy krzyk znów podniósł się ku niebu, tnąc powietrze jak nóż o kryształowym ostrzu, sprawiając, że zastygliśmy, trzymając Teddy'ego - gdyby był sztandarem, wyglądalibyśmy jak to zdjęcie marines po zdobyciu Iwo Jimy. Wrzask z szaloną łatwością pokonywał oktawę za oktawą, aż w końcu osiągnął szklisty,

zamrożony skraj. Zawisł na nim przez moment, a potem runął w dół, zamierając w niewiarygodnie basowym pomruku, który brzęczał jak monstrualna mucha. Potem nastąpił jakby wybuch maniackiego śmiechu... i znów zapadła cisza.

- Jezu H Łysy Chryste - szepnął Teddy i przestał mówić o tym, że pójdzie w las sprawdzić, co wydaje te wrzaski. Wszyscy czterej przytuliliśmy się ciasniej, a ja pomyślałem o ucieczce. Wątpię, czy tylko ja. Gdybyśmy siedzieli w namiocie na polu Verna - gdzie teraz przebywaliśmy zdaniem naszych rodziców - zapewne ucieklibyśmy. Jednak Castle Rock było za daleko, a na myśl o próbie przejścia po ciemku przez wiadukt krew zastygła mi w żyłach. Bieg w głąb Harlow, bliżej ciała Raya Browera był również nie do przyjęcia. Utknęliśmy. Jeżeli w lasach kręcił się jakiś potwór - którego mój ojciec nazywał Goosalum - i chciał nas dopaść, to pewnie nic go nie powstrzyma.

Chris zaproponował, że będziemy po kolei pełnić straż, i wszyscy się zgodzili. Rzucaliśmy monetą i Vernowi przypadła pierwsza warta. Ja wylosowałem ostatnią. Vern usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, a my ponownie ułożyliśmy się do snu. Zbiliśmy się ciasno jak stado owiec.

Byłem przekonany, że nie zasnę, tymczasem spałem - lekkim, niespokojnym snem sunącym przez nieświadomość jak łódź podwodna z wysuniętym peryskopem. W moich snach słyszałem wrzaski, które mogły być realne lub istnieć tylko w mojej wyobraźni. Widziałem - lub wydawało mi się, że widzę - jakiś biały i nieforemny kształt, skradający się wśród drzew jak groteskowe szpitalne łóżko.

W końcu ujrzałem coś, co na pewno było snem. Chris i ja pływaliśmy w White Beach, starym wyrobisku w Brunswick, które zmieniono w miniaturowe jezioro, gdy przy wydobywaniu żwiru natrafiono na wodę. To tam Teddy widział, jak jakiś chłopak uderzył się w głowę i prawie utonął.

W moim śnie pływaliśmy po szyje w wodzie, leniwie przecinając fale, w prażącym lipcowym słońcu. Za nami, na pomoście, słychać było krzyki i salwy śmiechu, gdy chłopcy wspinali się i skakali do wody albo wspinali się i zostawali zepchnięci. Słyszałem, jak puste beczki po nafcie utrzymujące pomost na wodzie uderzają o siebie ze szczękiem i dudnieniem - dźwięk podobny do kościelnych dzwonów, poważny i głęboki. Na piaskowo-żwirowej plaży leżały na kocach nasmarowane olejkami ciała, dzieci z wiaderkami kucaly na skraju wody albo radośnie nabierały błoto plastikowymi łopatkami, a nastoletni chłopcy zbijali się w uśmiechnięte grupy, obserwując młode dziewczyny niestrudzenie paradujące tam i z

powrotem parami i trójkami, nigdy same, z sekretnymi miejscami ciała osłoniętymi jednoczęściowymi strojami kąpielowymi od Jantzena. Krzywiąc się, ludzie na palcach wędrowali po gorącym piasku do budki z napojami. Wracali z frytkami, hot dogami, wodą sodową.

Pani Cote przepłynęła koło nas w gumowym pontonie. Leżała na plecach, ubrana w swój typowy strój, jaki nosiła w szkole od września do czerwca: szary dwuczęściowy kostium, gruby sweter zamiast bluzki pod żakietem, kwiat przypięty do jednej z niemal nie istniejących piersi, na nogach grube elastyczne pończochy w kolorze kanadyjskiej mięty. Jej czarne buciki na wysokich obcasach zahaczały o powierzchnię wody, pozostawiając ślady w kształcie litery „V”. Miała niebieskie pasemka we włosach, tak jak moja mama, zakręconych w te ciasne, pachnące chemikaliami loczki wyglądające jak sprężyny zegarów. Jej szkła rzucały ostre błyski w słońcu.

„Uważajcie, chłopcy - powiedziała. - Uważajcie albo uderzę was tak mocno, że prawie oślepniecie. Mogę to zrobić; mam upoważnienie Rady Szkoły. A teraz, panie Chambers, poproszę «Mending Wall». Dokładnie”. „Próbowałem zwrócić pieniądze - rzekł Chris. - Stara pani Simons powiedziała dobrze i zabrała je! Słyszysz pani? Zabrała je! I co zamierza pani teraz z tym zrobić? Dołoży jej pani tak, żeby oślepla?”. „«Mending Wall», panie Chambers, jeśli można. Dokładnie”.

Chris rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem ci, że tak będzie?”, a potem zaczął brnąć przez wodę ze słowami: „Jest tam coś, co nie lubi muru, co każe zmrożonej ziemi... .. A potem jego głowa zapadła w toń, recytujące usta napełniły się wodą. Wyskoczył na powierzchnię, krzycząc: „Pomóż mi, Gordie! Pomóż!”. Potem znów się zanurzył. Patrząc w czystą wodę, widziałem dwa wzdęte, nagie ciała trzymające go za nogi. Jedno należało do Verna, a drugie do Teddy'ego; ich otwarte oczy były puste i pozbawione źrenic jak u greckich posągów. Ich małe członki unosiły się bezwładnie pod wzdętymi brzuchami, jak białe pasma wodorostów. Głowa Chrisa znów ukazała się nad wodą. Wyciągnął do mnie rękę i wydał przeraźliwy, kobiecy krzyk, który trwał bez końca, zawodząc w rozgrzanym letnim powietrzu. Rzuciłem rozpaczliwe spojrzenie w stronę plaży, ale nikt nie usłyszał. Ratownik o brązowym, atletycznym ciele, zajmujący widowiskowe miejsce na szczycie swej wieży z wybielonego słońcem drewna, nadal uśmiechał się do dziewczyny w czerwonym bikini. Krzyk Chrisa przeszedł w bulgoczący charkot, gdy trupy znów wciągnęły go pod wodę. A kiedy opadały z nim w czarną toń, widziałem

jego wielkie, szeroko otwarte oczy patrzące na mnie w milczącej udręce; widziałem białe rozgwieżdżone dłonie bezradnie wyciągniętych ku rozświetlonej słońcem powierzchni. Zamiast skoczyć i próbować go ratować, jak szalony popłynąłem do brzegu, a przynajmniej do miejsca, gdzie woda mnie nie zakryje. Zanim zdołałem tam dotrzeć - zanim zdążyłem podpłynąć bliżej poczułem, jak miękka, gnijąca, obrzydliwa dłoń zaciska się na mojej łydce i zaczyna ciągnąć. Krzyk wzbierał mi w piersi... lecz zanim zdążyłem go wydać, sen rozwiął się w szarawą namiastkę rzeczywistości. To Teddy chwycił mnie za nogę. Budził mnie. Moja kolej pełnić wartę.

Wciąż w półśnie, poruszając się jak lunatyk, zapytałem ochryplym głosem:

- Żyjesz, Teddy?

- Nie. Umarłem, a ty jesteś czarnuchem - odparł ze złością. Resztki snu uleciały. Siadłem przy ognisku, a Teddy się położył.

20

Tamci mocno spali przez resztę nocy. Ja podrzemywałem, budząc się, podsypiając i znowu się budząc. Noc nie należała do cichych; słyszałem triumfalne pohukiwanie polującej sowy, cichy pisk jakiegoś małego zwierzątka, zapewne zjedanego, odgłos większego zwierzęcia przedzierającego się przez zarośla. Tłem tego wszystkiego było cykanie owadów. Nie słyszałem następnych krzyków. Podsypiałem i budziłem się, trzeźwiałem i podsypiałem, a gdybym w ten sposób pełnił wartę w Le Dio, to pewnie zostałbym postawiony przed sąd polowy i rozstrzelany.

Z ostatniej drzemki obudziłem się nieco energiczniej i zdałem sobie sprawę z tego, że coś się zmieniło. Upłynął moment czy dwa, zanim zrozumiałem co: chociaż księżyc już zaszedł, nadal widziałem moje dłonie oparte o uda. Mój zegarek pokazywał za kwadrans piątą. Świtało.

Wstałem, czując, jak trzeszczą mi kręgi, odszedłem kilka kroków od bezwładnie leżących ciał moich przyjaciół i wysikałem się w kępę sumaku. Zacząłem otrząsać się z koszmarów nocy. To było przyjemne uczucie.

Wdrapałem się po kamieniach na tory i siadłem na jednej szynie, niemrawo kopiąc nogą kamyki, nie spiesząc się z budzeniem innych. W tym momencie dzień wydawał się zbyt piękny, żeby się nim dzielić.

Stopniowo nastał ranek. Cykanie świerszczy zaczęło cichnąć, a cienie pod drzewami i krzakami wyparowały jak kałuże po deszczu. Powietrze nie miało smaku,

w ten charakterystyczny sposób zapowiadający ostatni gorący dzień z szeregu upalnych dni. Ptaki, które zapewne przedrzemały całą noc tak samo jak my, teraz zaczęły swoje pełne poczucia własnej ważności trzepoty. Na zwalonym drzewie, z którego braliśmy drewno na ognisko, wylądował strzyżyk, pokręcił się i odleciał.

Straciłem poczucie czasu, patrząc, jak purpura umyka z nieba równie bezgłośnie, jak zakradła się na nie poprzedniego wieczoru. Już miałem wstać, gdy spojrzałem na prawo i ujrzałem stojącą niecałe trzy jardy ode mnie sarnę.

Serce podeszło mi do gardła, żołądek i genitalia ścisnęły się z emocji. Nie poruszyłem się. Nie mogłem, nawet gdybym chciał. Jej oczy nie były brązowe, lecz czarne, matowoczarne jak aksamit, który można zobaczyć na wystawie jubilera. Małe uszka były z wytartego zamszu. Patrzyła na mnie łagodnie, z głową lekko pochyloną, jakby ze zdziwienia na widok chłopaka z czupryną rozczochraną od snu i mnóstwem piegów, w dżinsach z mankietami i pocerowanej na łokciach, brązowej koszuli khaki ze stójkowym kołnierzykiem, jaki był wtedy w modzie. Natomiast ja widziałem pewien dar, coś ofiarowanego mi z ujmującą szczodrością.

Patrzyliśmy na siebie długo... a przynajmniej sędzę, że to trwało długo. Potem odwróciła się i przeszła na drugą stronę torów, beztrosko kręcąc białym kuperkiem. Znalazła trawę i zaczęła się paść. Nie mogłem w to uwierzyć. Zaczęła się paść. Nie patrzyła na mnie i wcale nie musiała; zamarłem z wrażenia.

Potem szyna zaczęła dygotać pod moim tyłkiem i w sekundę później sarna podniosła głowę i nastawiła uszy w kierunku Castle Rock. Stała tak, poruszając w powietrzu czarnym jak węgielek nosem, węsząc. Potem umknęła trzema długimi susami, znikając w lesie cicho jak duch - nie licząc trzasku spróchniałej gałązki, która pękła z hukiem wystrzału pod jej kopytkiem.

Siedziałem jak zauroczony, wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą była, aż w ciszy usłyszałem szum nadjeżdżającego pociągu. Wtedy zbiegłem z nasypu do śpiących przyjaciół.

Łoskot powoli przejeżdżającego towarowego obudził ich. Ziewali i przeciągali się. Zaczęły się krótkie, nerwowe rozmowy o „tajemnicy wrzeszczącego ducha”, jak nazwał to Chris, ale nie trwały tak długo, jak można by sądzić. W dziennym świetle wydawało się to bardziej głupie niż interesujące - prawie krępujące. Lepiej zapomnieć o całej sprawie.

Już chciałem powiedzieć im o sarnie, ale w końcu nie zrobiłem tego. Zachowałem to dla siebie. Nigdy o tym nie mówiłem ani nie pisałem, aż do dziś. I

muszę wam powiedzieć, że zapisane, to wydarzenie wydaje się mniej istotne, niemal błahe. Jednak dla mnie był to najwspanialszy moment wycieczki, najczystszy, i nieraz łapałem się na tym, że prawie mimowolnie wracałem do niego myślami w trudnych chwilach mojego życia - na przykład pierwszego dnia w wietnamskiej dżungli, kiedy na przecinkę wyszedł ten facet trzymając się za nos, a kiedy odjął dłoń, wcale nie miał nosa, ponieważ mu go odstrzelili; gdy lekarz powiedział nam, że nasz najmłodszy syn może mieć wodogłowie (okazało się, dzięki Bogu, że ma tylko nieproporcjonalnie dużą głowę); albo podczas tych długich, okropnych tygodni przed śmiercią mojej matki. Łapałem się na tym, że wracam myślami do tamtego poranka, do wytartego zamszu jej uszu, błysku białego kuperka. Jednak osiemset milionów czerwonych Chińczyków miało to w dupie, prawda? O najważniejszych sprawach najtrudniej opowiedzieć, ponieważ słowa pomniejszają je. Trudno sprawić, aby obcy zaczęli cenić to, co jest dla ciebie najważniejsze.

21

Tory teraz skręcały na południowy zachód, biegnąc przez płataninę paproci i gęstego poszycia. Kilka tych krzaków dostarczyło nam jeżyn na śniadanie, ale jeżynami nikt się nie naje; żołądek uspokaja się na pół godziny, a potem znów zaczyna burczeć. Wróciliśmy na tory - była już prawie ósma - i zjedliśmy śniadanie. Usta mieliśmy ciemnopurpurowe, a nagie torsy podrapane pędami jeżyn. Vern na boku ponuro dopominał się o jajecznicę na boczku.

To był ostatni dzień upałów i chyba najgorszy. Poranne kłaczkę chmur szybko zniknęły i o dziewiątej niebo przybrało bladostalowy kolor, od patrzenia na który człowiekowi robiło się jeszcze goręcej. Pot ściekał nam po piersiach i plecach, pozostawiając czyste smugi w warstwie kurzu i brudu. Nad naszymi głowami unosiły się chmary rozwścieczonych komarów i much. Świadomość tego, że mamy przed sobą wielomilową wędrówkę, nie poprawiała nam nastroju. A jednak coś kazało nam iść dalej i szybciej, niż powinniśmy w tym skwarze. Byliśmy stuknięci, chcąc zobaczyć zwłoki tego chłopca - nie mogę określić tego prościej ani uczciwiej. Czy były zupełnie nieszkodliwe, czy też miały moc zabijania snu setką zmasakrowanych zjaw, chcieliśmy je zobaczyć. Sądzę, że chyba uznaliśmy, iż zasługujemy na to, aby je ujrzeć.

Była mniej więcej dziewiąta trzydzieści, kiedy Teddy z Chrisem dostrzegli wodę i zawołali Verna oraz mnie. Obaj dobiegliśmy do nich. Chris śmiał się radośnie.

- Patrzcie! To robota bobrów! - zawołał, wyciągając rękę.

Rzeczywiście, to było dzieło bobrów. Kawalek przed nami pod nasypem przechodziła ogromna rura przepustu i bobry zatkały jej prawy koniec jedną z tych swoich eleganckich, skrętnie wzniesionych tam - patyki i konary scementowane liśćmi, gałązkami i wyschniętym błotem. Bobry to pracowite małe skurczybyki, tak jest. Za tamą było rozlewisko czystej wody, wspaniale mieniące się w słońcu. W kilku miejscach nad jej taflą wznosiły się bobrowe żeremia - wyglądające jak drewniane igloo. Po drugiej stronie do zalewu wpadał strumyczek, a okalające go drzewa były ogryzione do białości na wysokość prawie trzech stóp.

- Kolej szybko załatwi ten syf - rzekł Chris.

- Dlaczego? - zapytał Vern.

- Nie mogą pozwolić, żeby tu był staw - odparł Chris. Podmyłby im te ich zakichane tory. Dlatego zrobili tu przepust. Zastrzelą kilka bobrów, przepłoszą resztę i zburzą ich tamę. I znów będzie tu bagno, tak jak przedtem.

- Uważam, że to świństwo - powiedział Teddy.

Chris wzruszył ramionami.

- A kto przejmuje się bobrami? Na pewno nie Great Southern i Western Maine.

- Myślisz, że jest tu dość głęboko, żeby popływać? - spytał Vern, tęsknie spoglądając na wodę.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić - rzekł Teddy.

- Kto pierwszy? - zapytałem.

- Ja! - powiedział Chris. Pobiegnął na brzeg, zrzucając z nóg trampki i pospiesznie rozwiązując owiazaną wokół talii koszulę.

Jednym ruchem zdjął spodnie i spodenki. Przez moment balansował najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, ściągając skarpetki. Potem skoczył szczupakiem. Wynurzył się, potrząsając głową, żeby odrzucić mokre włosy z oczu. - Jest wspaniała! - krzyknął.

- Jak głęboka? - odkrzyknął Teddy. Nigdy nie nauczył się pływać.

Chris stanął w wodzie i jego ramiona wynurzyły się na powierzchnię. Zobaczyłem coś na jednym z nich - szarawo-czarne coś. Uznałem, że to błoto, i natychmiast o tym zapomniałem. Gdybym przyjrzał się bliżej, oszczędziłbym sobie koszmarne przeżycie.

- Wchodźcie, tchórze!

Odwrócił się i niezdarną żabką popłynął przez staw; zawrócił i przyplął z

powrotem. Do tej pory wszyscy zdążyliśmy się rozebrać. Vern wskoczył jako drugi, po nim ja.

Woda była fantastyczna - czysta i chłodna. Podpłynąłem do Chrisa, rozkoszując się jej jedwabistym dotykiem na nagim ciele. Wstałem i uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Bomba! - powiedzieliśmy w tym samym momencie.

- Pieprzony koniobójca - powiedział, chlapanął mi wodą w twarz i popłynął w przeciwną stronę.

Taplaliśmy się w stawie prawie pół godziny, zanim stwierdziliśmy, że jest w nim pełno pijawek. Nurkowaliśmy, pływaliśmy pod wodą, wywracali się. Niczego nie zauważyliśmy. Nagle Vern popłynął na płytsze miejsce, wszedł pod wodę i stanął na rękach. Kiedy jego nogi wyłoniły się nad wodą w drżącym, lecz triumfalnym „V”, zobaczyłem, że są pokryte czarnymi kluchami, takimi samymi jak ta, którą wcześniej dostrzegłem na ramieniu Chrisa. To były pijawki - ogromne.

Chris rozdziawił usta, a ja poczułem, że cała krew w moich żyłach zamienia się w lód. Teddy wrzasnął i zbladł. W następnej chwili wszyscy trzej rzuciliśmy się do brzegu, najszybciej jak mogliśmy. Teraz wiem o słodkowodnych pijawkach znacznie więcej niż wtedy, co jednak wcale nie łagodzi potwornego strachu przed nimi, jaki czuję od tamtego dnia. Ich ślina zawiera substancje o działaniu miejscowo znieczulającym i przeciwkrzepliwym, co oznacza, że ofiara nic nie czuje, kiedy się do niej przysysają. Jeśli ich nie zauważysz, będą się posilały, aż ich nadęte, obrzydliwe ciała same odpadną albo pękną.

Wygramoliliśmy się na brzeg i Teddy dostał ataku hysterii, kiedy spojrzał na swoje ciało. Wrzeszcząc, odrywał przyssane pijawki.

Vern wynurzył się z wody i spojrzał na nas ze zdziwieniem.

- Co do diabła...

- Pijawkiiii! - wrzasnął Teddy, odrywając kolejne dwie od swoich drżących nóg i odrzucając je jak najdalej. - Wredne pierdolone pijawki!

Głos załamał mu się na tym ostatnim słowie.

- OchBożeOchBożeOchBoże! - krzyknął Vern. Dopłynął do brzegu i wyszedł z wody.

Wciąż było mi zimno; nie czułem skwaru dnia. Powtarzałem sobie, że muszę się trzymać. Nie krzyczeć. Nie być mazgajem. Zerwałem pół tuzina z ramion i kilka z piersi.

Chris odwrócił się do mnie.

- Gordie? Mam jeszcze jakieś? Zdejm je ze mnie, proszę, Gordie!

Miał jeszcze pięć czy sześć, przyczepione na plecach jak groteskowe, czarne guziki. Zdjąłem z niego te miękkie, bezkostne stwory.

Strąciłem jeszcze kilka z nóg, a potem poprosiłem Chrisa, żeby zajął się moimi plecami.

Zacząłem się uspokajać - i wtedy patrząc w dół, zobaczyłem największą z nich wszystkich przyczepioną do moich jąder, spęczniała do czterokrotnie większych rozmiarów. Jej czarnoszara skóra była czerwona. Wtedy zacząłem tracić panowanie nad sobą. Nie okazywałem tego, przynajmniej niespecjalnie, ale czułem, a tylko to naprawdę ma znaczenie.

Trąciłem kantem dłoni śliskie, gumowate ciało. Trzymało się. Spróbowałem jeszcze raz i nie mogłem się zmusić, żeby chwycić pijawkę w palce. Odwróciłem się do Chrisa, usiłowałem coś powiedzieć i nie zdołałem. Wskazałem palcem. Jego policzki, i tak szare, pobladły jeszcze bardziej.

- Nie mogę jej oderwać - powiedziałem zdrętwiałymi wargami. - Czy... czy możesz...

Jednak on cofnął się, potrząsając głową i krzywiąc się.

- Nie mogę, Gordie - powiedział, nie mogąc oderwać oczu. - Przepraszam, ale nie mogę. Nie. Och, nie.

Odwrócił się, zgiął wpół, przyciskając dłoń do brzucha jak kamerdyner w musicalu i zwymiotował w kępę jałowców.

Musisz wziąć się w garść, pomyślałem, spoglądając na pijawkę wiszącą na mnie jak piłka. Jej ciało nadal wyraźnie pęczniało. Musisz wziąć się w garść i zerwać ją. Bądź twardy. To już ostatnia. To. Już. Ostatnia.

Sięgnąłem ręką, chwyciłem ją i pękła mi w palcach. Moja krew pociekła mi ciepłym strumykiem po dłoni i pachwinie. Rozplakałem się.

Wciąż płacząc, podszedłem do moich rzeczy i zacząłem się ubierać. Chciałem przestać płakać, ale nie mogłem powstrzymać łez. Potem zacząłem dygotać, co jeszcze pogorszyło sprawę.

Vern podbiegł do mnie, nadal nagi.

- Nie mam już, Gordie? Nie mam? Nie mam?

Kręcił się przede mną jak jakiś szalony tancerz podczas karnawału.

- Zeszły wszystkie? Co? Co? Zeszły ze mnie, Gordie?

Jego oczy spoglądały przeze mnie, szeroko otwarte i nie widzące, jak ślepia

gipsowego konia na karuzeli.

Skinąłem głową i płakałem dalej. Wydawało mi się, że nigdy nie przestanę. Wepchnąłem koszulę do spodni, a potem zapiąłem ją aż pod szyję. Włożyłem skarpetki i trampki. Powoli łyzy zaczęły obsychać. W końcu wydawałem tylko ciche pochlipywania, a potem i one ustały.

Chris podszedł do mnie, ocierając usta garścią klonowych liści. Oczy miał szeroko otwarte, nieme i przepraszające.

Kiedy wszyscy byliśmy ubrani, postaliśmy tam jeszcze przez chwilę, patrząc po sobie, a potem zaczęliśmy wspinać się na nasyp. Spojrzałem jeszcze raz na pękniętą pijawkę leżącą na zdeptanej trawie, po której biegaliśmy wrzeszcząc i jęcząc. Wyglądała kiepsko... a mimo to złowrogo.

Czternaście lat później sprzedałem moją pierwszą powieść i po raz pierwszy pojechałem do Nowego Jorku.

- To będzie trzy dni świąt - obiecał mi przez telefon mój nowy wydawca. - Ludzie pieprzący głupoty będą niezwłocznie rozstrzeliwani.

Jednak, oczywiście, były to trzy dni nieustannego pieprzenia.

Będąc w Nowym Jorku, chciałem zaliczyć wszystkie typowe punkty programu - zobaczyć przedstawienie w Radio City Music Hall, wjechać na szczyt Empire State Building (pieprzyć World Trade Center; budynek, na który w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku wspiął się King Kong, zawsze będzie dla mnie najwyższą budowlą na świecie), odwiedzić nocą Times Square. Keith, mój wydawca, był więcej niż rad, mogąc pokazać mi miasto. Ostatnim etapem naszego turystycznego programu był rejs promem na Staten Island, a kiedy przechyliłem się przez reling i przypadkiem spojrzałem w dół, ujrzałem dziesiątki zużytych prezerwatyw kołyszących się na falach. Wtedy doznałem uczucia déjà vu - a może po prostu przeniosłem się w czasie. Tak czy owak, przez moment dosłownie byłem w przeszłości, przystając w połowie nasypu i spoglądając na pękniętą pijawkę: martwą, oklapniętą... ale wciąż złowrogą.

Keith musiał dostrzec coś w mojej twarzy, ponieważ zauważył:

- Niezbyt miły widok, prawda?

Ja tylko potrząsnąłem głową, chcąc powiedzieć mu, żeby nie przepraszał, że nie trzeba przyjeżdżać do NY i płynąć promem, aby zobaczyć zużyte kondomy; mając na myśli: Jedynym powodem pisania jest chęć zrozumienia przeszłości i oswojenia się ze swoją śmiertelnością; dlatego wszystkie czasowniki w tych opowiadaniach są w czasie przeszłym dokonanym, drogi Keith, nawet te, które sprzedają się w milionach

egzemplarzy. Jedyne użyteczne formy sztuki to religia i opowiadania.

Jak pewnie domyśliliście się, tamtej nocy byłem mocno pijany.

Powiedziałem mu:

- Myślałem o czymś innym, to wszystko.

O najważniejszych sprawach najtrudniej opowiedzieć.

22

Przeszliśmy jeszcze kawałek torami - nie wiem jak daleko i zacząłem myśleć: No dobrze, poradzę sobie z tym, i tak już po wszystkim, co jest, kurwa, to tylko kilka pijawek. Wciąż tak rozmyślałem, gdy nagle świat zamigotał mi w oczach i upadłem.

Musiałem runąć jak długi, ale upadek na podkłady odczułem jak skok w ciepłą i miękką puchową pościel. Ktoś mnie przewrócił na plecy. Te dotknięcia były słabe i nic nie znaczące. Ich twarze były jak balony unoszące się w powietrzu, kilka mil nade mną. Wyglądały tak, jak zapewne wygląda twarz sędziego w oczach boksera, który mocno oberwał i korzysta z dziesięciosekundowego odpoczynku na deskach. Ich słowa nadlatywały łagodnymi falami, na przemian słabnąc i rosnąc.

- ...z nim?

- ...chyba...

- ...jeśli to słońce...

- Gordie, czy...

Potem chyba powiedziałem coś bez sensu, bo nagle zaczęli wyglądać na naprawdę zaniepokojonych.

- Lepiej zanieśmy go z powrotem, ludzie - rzekł Teddy i znów wszystko zatopila fala bieli.

Kiedy ustąpiła, doszedłem do siebie. Chris klęczał obok mnie, mówiąc:

- Słyszysz mnie, Gordie? Jesteś tu, człowieku?

- Tak - odparłem i usiadłem. W oczach zatańczył mi rój czarnych punkcików i zniknął. Odczekałem chwilę, czy nie wróci, a stwierdziwszy, że nie, wstałem.

- Cholernie mnie przestraszyłeś, Gordie - powiedział Chris. - Chcesz napić się wody?

- Taak.

Podał mi manierkę, w połowie pełną, z której pociągnąłem trzy łyki ciepłej wody.

- Dlaczego zasłabłeś, Gordie? - spytał niespokojnie Vern.
- Popelnilem błąd i spojrzałem na twoją twarz - odparłem.
- Chii-chi-chi! - zachichotał Teddy. - Pieprzony Gordie! Ty maminsynku!
- Nic ci nie jest? - dociekał Vern.
- Taak. Pewnie. Przez chwilę... źle się poczułem. Od myślenia o tych pijawkach.

Ponuro pokiwali głowami. Chwilę odpoczęliśmy w cieniu, a potem ruszyliśmy dalej, ja i Vern po jednej stronie toru, Chris i Teddy po drugiej. Uznaliśmy, że to już niedaleko.

23

Nie byliśmy tak blisko, jak sądziliśmy, i gdybyśmy mieli tyle rozumu, żeby zerknąć na mapę, przekonalibyśmy się dlaczego. Wiedzieliśmy, że ciało Raya Browera musi leżeć w pobliżu Back Harlow Road, kończącej się ślepo na brzegu Royal River. Tory GS & WM biegną nad Royal River po następnym wiadukcie. Dlatego doszliśmy do wniosku, że kiedy dojdziemy do Royal, zbliżymy się do Back Harlow Road, na której Billy i Charlie parkowali, kiedy znaleźli chłopca. A ponieważ Royal była tylko dziesięć mil od Castle River, wyliczyliśmy sobie, że zaraz powinniśmy być na miejscu.

Było to jednak znacznie więcej niż dziesięć mil, ponieważ na odcinku między Castle a Royal tory nie biegną po linii prostej. Zataczają szeroki łuk, omijając pagórkowaty, nierówny teren zwany The Bluffs. Gdybyśmy spojrzeli na mapę, wyraźnie dostrzeglibyśmy ten łuk i wiedzielibyśmy, że musimy przejść nie dziesięć, lecz szesnaście mil.

Chris zaczął to podejrzewać, gdy południe nadeszło i minęło, a wciąż nie widzieliśmy Royal. Przystanęliśmy, a on wdrapał się na wysoką sosnę i spojrzał wokół. Zszedł i zdał nam krótkie sprawozdanie; dotrzemy do Royal najwcześniej o czwartej po południu, i to tylko wtedy, jeśli zaraz zaczniemy dobrze wyciągać nogi.

- Niech to szlag! - zawołał Teddy. - I co teraz zrobimy?

Popatrzyliśmy po swoich zmęczonych, spoconych twarzach. Byliśmy głodni i zdenerwowani. Wielka przygoda zmieniła się w ciężką harówkę - męczącą i chwilami przerażającą. Do tej pory już pewnie zauważono naszą nieobecność, a jeśli Milo Pressman nie posłał za nami glin, to mógł to zrobić maszynista pociągu przejeżdżającego przez wiadukt. Zamierzaliśmy wrócić do Castle Rock autostopem, ale czwarta po południu to tylko trzy godziny do zmroku, a nikt nie zabierze czterech

chłopaków w nocy, na bocznej drodze.

Próbowałem przywołać spokojny obraz mojej sarny skubiącej zieloną poranną trawę, ale nawet on wydawał się szary i kiepski, nie lepszy od wypchanego trofeum nad kominkiem w którymś domku myśliwskim, z nabłyszczanymi oczami mającymi nadać pozory życia.

W końcu Chris orzekł:

- Idąc naprzód, szybciej dojdziemy do szosy. Chodźmy.

Odwrócił się i zaczął iść wzdłuż torów, w zakurzonych trampkach, ze spuszczoną głową, z małą kałużą cienia wokół swoich stóp. Po minucie czy dwóch wszyscy poszliśmy za nim, szeregiem jak oddziałek Indian.

24

W latach dzielących tamte wydarzenia od chwili, gdy zacząłem spisywać te wspomnienia, stosunkowo rzadko myślałem o tych dwóch dniach września, przynajmniej świadomie. Skojarzenia wywoływane przez te wspomnienia są tak nieprzyjemne jak zwłoki topielców wypływające na powierzchnię rzeki po tygodniu. W rezultacie nigdy tak naprawdę nie kwestionowałem naszej decyzji, by pójść dalej torami. Ujmując to inaczej, czasem zastanawiałem się, co postanowiliśmy zrobić, ale nigdy nad tym, jak to zrobiliśmy.

Teraz przychodzi mi do głowy znacznie prostszy scenariusz. Jestem przekonany, że gdyby ktoś poddał taki pomysł, odrzucilibyśmy go - wędrowka torami wydałaby się łatwiejsza, bombowa, jak mówiliśmy wówczas. Gdyby taka propozycja padła i nie została odrzucona, nie doszłoby do żadnego z tych wydarzeń, jakie miały miejsce później. Może nawet Chris, Teddy i Vern żyliby do dzisiaj. Nie, oni nie zginęli w tych lasach ani na torach; w tej opowieści nikt nie ginie, może oprócz kilku pijawek i Raya Browera, a jeżeli uczciwie rozważycie sprawę, musicie przyznać, że on nie żył, jeszcze zanim się zaczęła. Jednak to prawda, że z czterech rzucających monetą o to, kto pójdzie na zakupy do Florida Market tylko ten, który po nie poszedł, nadal żyje. Stary Marynarz lat trzydzieści cztery, z tobą Miły Czytelniku w roli Gościa Weselnego (w tym momencie chyba powinniście rzucić okiem na moje zdjęcie na obwolucie, żeby sprawdzić, czy hipnotyzuję was wzrokiem). Jeśli wyczuwacie w moich słowach pewne rozgoryczenie, nie mylicie się - jednak chyba mam po temu powód. W wieku, kiedy wszyscy czterej zostalibyśmy uznani za zbyt młodych i niedojrzałych na stanowisko

prezydenta, trzech z nas nie żyją. A jeśli drobne wydarzenia naprawdę z biegiem czasu odbijają się coraz głośniejszym echem, to owszem, może gdybyśmy zeszli na szosę łapać okazję do Harlow, oni dzisiaj byłiby żywi.

Mogliśmy spróbować pojechać drogą numer siedem do Shiloh Church, który stał przy skrzyżowaniu autostrady i Back Harlow Road (przynajmniej do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, kiedy strawił go pożar wywołany przez niedopałek papierosa rzucony przez jakiegoś włóczęgę). Przy odrobinie szczęścia dotarlibyśmy do miejsca, gdzie leżało ciało już przed wieczorem poprzedniego dnia.

Jednak ten pomysł zostałby odrzucony. Nie w oparciu o starannie wyważone argumenty i po spokojnej dyskusji, ale z prychnaniem, marszczeniem brwi, pierdnięciami i pokazywaniem palca. Werbalna część dyskusji składałaby się z takich skrzących się dowcipem perełek retoryki jak: „Nie, kurwa”, „To śmierdzi” czy starego, zawsze skutecznego „Czy któreś z dzieci twojej matki przeżyło?”.

Nikt nie powiedział głośno - być może było to nazbyt oczywiste, żeby o tym mówić - że była to po prostu wielka rzecz. Nie jakieś głupoty z ogniami sztucznymi czy podglądanie dziewczyn przez dziurę po sęku w ubikacji w rezerwacie stanowym w Harrison. Można to było porównać z zaliczeniem pierwszej dziewczyny, zaciągnięciem się do wojska albo legalnym zakupieniem pierwszej butelki alkoholu - po prostu wchodzisz do sklepu, rozumiecie, wybierasz butelkę dobrej szkockiej, pokazujesz ekspedientowi kartę powołania i prawo jazdy, a potem wychodzisz z uśmiechem na twarzy i brązową torbą w ręku, jako członek klubu, którego członkowie mają więcej praw i przywilejów niż w naszym starym nadrzewnym domu z blaszanym dachem.

Wszystkie najważniejsze dla nas wydarzenia mają swój rytuał, stopnie wtajemniczenia, na których zachodzą magiczne przemiany. Kupowanie prezerwatywy. Stawanie przed ołtarzem. Podnoszenie ręki i składanie przysięgi. Albo, jeśli wolicie, wędrówka torami, żeby w połowie drogi natknąć się na chłopaka w moim wieku, tak jakbym w połowie Pine Street spotkał idącego do mnie Chrisa albo jakby Teddy przeszedł połowę Gates Street, aby napotkać mnie. Wydawało się słuszne, żeby zrobić to w ten sposób, ponieważ rytuał jest stopniem wtajemniczenia, więc zawsze otrzymuje należytą oprawę - kiedy idziesz wziąć ślub przed ołtarzem czy gdy wynoszą cię na cmentarz. Naszą kościelną nawą były dwie szyny i szliśmy między nimi, zmierzając ku temu, ku czemu nas wiodły. Może w taką podróż nie wyrusza się autostopem. A może uważaliśmy, że taka wyprawa powinna okazać się trudniejsza, niż oczekiwaliśmy. Wydarzenia towarzyszące naszej wędrówce zmieniły ją w to, co

podejrzewaliśmy od początku: w poważną sprawę.

Czego nie wiedzieliśmy, obchodząc The Bluffs, to że Billy Tessio, Charlie Hogan, Jack Mudgett, Norman „Fuzzy” Bracowicz, Vince Desjardins, starszy brat Chrisa - Eyeball oraz Ace Merrill też wybrali się popatrzeć na ciało - w pewien upiorny sposób Ray Brower stał się sławny i nasza mała tajemnica zmieniła się w masowy spektakl. Kiedy pokonywaliśmy ostatni odcinek trasy, oni właśnie wpychali się do obtłuczonego i pogiętego forda rocznik pięćdziesiąt dwa Ace'a oraz do różowego studebakera rocznik pięćdziesiąt cztery Vince'a.

Billy i Charlie zdołali utrzymać swój okropny sekret przez prawie trzydzieści sześć godzin. Potem Charlie wygadał się przed Ace'em, kiedy grali w bilard, a Billy powiedział Jackowi Mudgettowi, gdy łapali ryby z przęsła mostu na Boom Road. Zarówno Ace, jak i Jack uroczyście obiecali na pamięć swoich matek nie mówić nikomu i w ten sposób do południa wiedzieli o tym wszyscy w ich paczce. Co chyba najlepiej świadczy o tym, co te dupki myślały o swoich matkach.

Wszyscy zebrali się w sali bilardowej i Fuzzy Bracowicz wysunął teorię (którą już słyszałeś, Miły Czytelniku), że wszyscy mogą zostać bohaterami - nie wspominając już o wywiadach w radiu i telewizji - „odkrywając” ciało. Wystarczy, utrzymywał Fuzzy, że pojedą dwoma samochodami ze sprzętem wędkarskim w bagażnikach. Kiedy znajdą ciało, będą mieli doskonale wytłumaczenie. Zamierzaliśmy złapać kilka szczupaczków w Royal River, panie władzo. He-he-he. I niech pan patrzy, co złowiliśmy.

Gdy dochodziliśmy do celu, oni pędzili drogą z Castle Rock do Back Harlow.

25

Okolo drugiej na niebie pojawiły się pierwsze chmury, ale z początku żaden z nas nie potraktował ich poważnie. Deszczu nie było od początku lipca, więc dlaczego miałyby padać teraz? Jednak na południe od nas chmurzyło się coraz bardziej i wielkie słupy burzowych obłoków purpurowych jak sińce zaczęły powoli sunąć w naszą stronę. Spojrzałem na nie uważnie, szukając pod nimi tej powłoki, która świadczy, że dwadzieścia czy pięćdziesiąt mil dalej już leje. Jednak na razie nie padało. Chmury dopiero się zbierały.

Vernowi zrobił się pęcherz na pięcie, więc odpoczywaliśmy chwilę, podczas gdy on wypchał sobie lewy trampek mchem zdartym z pnia starego dębu.

- Będzie padać, Gordie? - zapytał Teddy.

- Tak myślę.

- Gównianie! - rzekł i westchnął. - Gówniany koniec gównianego dnia.

Roześmialiśmy się i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Znów zaczęliśmy iść, teraz trochę wolniej z uwagi na otartą nogę Verna. Przez tę godzinę między drugą a trzecią słoneczny blask lekko przygasł i nabraliśmy pewności, że będzie padać. Było równie gorąco jak do tej pory i jeszcze parniej, ale wiedzieliśmy. Ptaki również. Zdawały się pojawiać znikąd, kołując po niebie, ćwierkając i nawołując się nawzajem. Równomierna, oślepiająca jasność mętniała, stawała się prawie perłowa. Nasze cienie, które znów zaczęły się wydłużać, także były niewyraźne i rozmazane. Słońce raz po raz wyłaniało się zza chmur, a niebo na południu przybrało miedzianą barwę. Patrzyliśmy na nadciągające chmury, zafascynowani ich wielkością i niemą groźbą. Wydawało się, że co chwila w jednej z nich rozbłyska gigantyczny flesz, na moment zmieniając ich purpurowosiną barwę w szarą. Pod brzuchem najbliższej dostrzegłem poszarpany zygzak błyskawicy. Była dostatecznie jasna, żeby zostawić niebieski tatuaż na siatkówce moich oczu. Potem przetoczył się przeciągły, głuchy grom.

Ponarzekaliśmy trochę, że zmoczy nas deszcz, ale tylko z poczucia obowiązku - w rzeczywistości po prostu nie mogliśmy się go doczekać. Będzie chłodny, orzeźwiający... i bez pijawek.

Około trzeciej trzydzieści zobaczyliśmy płynącą między drzewami wodę.

- To tam! - zwołał uradowany Chris. - To Royal!

Przyspieszyliśmy kroku, chwyciwszy drugi oddech. Burza była już blisko. Powietrze ożyło i wydawało się, że w ciągu kilku minut temperatura spadła o dziesięć stopni. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem, że mój cień zupełnie zniknął.

Znów szliśmy dwójkami, obserwując pobocza torów. Wargi miałem wyschnięte, zdrętwiałe z mdlącego napięcia. Słońce skryło się za kolejną chmurę i tym razem nie wyszło. Przez moment jej skraj był przetykany złotem, jak obłok na ilustracji Starego Testamentu, a potem ciemnoczerwony, obwisły brzuch obłoku zasłonił ostatnie ślady słońca. Zmroczniało - chmury szybko pochłaniały resztki błękitu. Czuliśmy zapach rzeki tak wyraźnie, jakbyśmy byli końmi - a może to woń deszczu rozchodziła się w powietrzu. Nad nami był ocean, zamknięty w cienkim worku, który w każdej sekundzie mógł pęknąć i zatopić ziemię.

Wciąż próbowałem obserwować zarośla, ale co chwila spoglądałem na to

niespokojne, zasnućte niebo; w jego ciemniejących barwach można było dostrzec wszystkie żywioły: wodę, ogień, wiatr, grad. Nagle okropnie błysnęło, jakby tuż nad naszymi głowami, sprawiając, że krzyknąłem i zasłoniłem oczy rękami. Bóg zrobił mi zdjęcie, małemu chłopcu z koszulą owiazaną wokół bioder, z bąblami na piersi i brudnymi policzkami. Usłyszałem łoskot jakiegoś ogromnego drzewa padającego najwyżej sześćdziesiąt jardów dalej. Towarzyszący temu huk gromu sprawił, że się skuliłem. Zapragnąłem być w domu, czytać książkę w jakimś bezpiecznym miejscu... na przykład w piwnicy na ziemniaki.

- Jezu! - wrzasnął Vern wysokim, słabym głosem. - O Jezu Chryste, spójrzcie na to!

Popatrzyłem we wskazanym przez Verna kierunku i ujrzałem niebiesko-białą kulę ognia toczącą się po lewej szynie GS & WM, trzeszczącą i syczącą na cały świat jak oparzony kot. Przeleciała obok nas, a my odwróciliśmy się, odprowadzając ją spojrzeniami, oniemiałi, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że coś takiego istnieje. Dwadzieścia stóp za nami zniknęła, wydając nagle „puff!” i pozostawiając za sobą oleisty zapach ozonu.

- O rany, co ja tu robię? - mruknął Teddy.

- Co za gówno! - wykrzyknął uszczęśliwiony Chris, podnosząc twarz ku niebu. - To będzie po prostu niewiarygodne gówno!

Jednak ja podzielałem zdanie Teddy'ego. Patrząc na niebo, czułem nieprzyjemny zawrót głowy. Jakbym spoglądał w jakiś głęboki, tajemniczy, marmurowy wąwóz. Błysnęła kolejna błyskawica i wszyscy się skuliliśmy. Tym razem zapach ozonu był jeszcze silniejszy i wyraźniejszy. Grom huknął niemal jednocześnie z błyskiem.

Jeszcze dzwoniło mi w uszach, gdy Vern wrzasnął triumfalnie:

- Tutaj! Tutaj jest! Tam! Widzę go!

Widzę go w każdej chwili, jeśli tego chcę - wystarczy, abym usiadł na minutę i zamknął oczy. Stoi na szynie po lewej jak odkrywca na dziobie statku, jedną ręką osłaniając oczy przed srebrnym błyskiem błyskawic, drugą wskazując kierunek.

Podbiegliśmy do niego i popatrzyliśmy. Pomyślałem sobie: Vern dał się ponieść wyobraźni, to wszystko. Pijawki, upał, a teraz ta burza... zawodzi go wzrok i tyle. Jednak tak nie było, chociaż przez ułamek sekundy chciałem mieć rację. W tej krótkiej chwili zrozumiałem, że nie chcę oglądać żadnych zwłok, nawet przejechanej wiewiórki.

W miejscu gdzie staliśmy, wiosenne deszcze zmyły fragment nasypu, pozostawiając żwirowy uskok. Ekipy naprawiające torry albo jeszcze tu nie dotarły w swych żółtych, dieslowych pojazdach naprawczych, albo wydarzyło się to tak niedawno, że jeszcze tego nie zauważono. U podnóża osuwiska rosły podmokłe, paskudnie cuchnące chaszczce. I z gęstej kępy jeżyn wystawała biała ręka.

Czy któryś z nas oddychał? Ja nie.

Wietrzyk przeszedł teraz w wiatr - gwałtowny i porywisty, spadający na nas ze wszystkich stron, skaczący i wirujący, uderzający w nasze spocone torsy i otwarte pory skóry. Ledwie zdawałem sobie z tego sprawę. Sądzę, że jakaś część mojego umysłu czekała na okrzyk Teddy'ego: Spadochroniarze do ataku! Gdyby tak zawołał, chybabym oszalał. Byłoby lepiej zobaczyć całe ciało, wszystko naraz, tymczasem widzieliśmy tylko tę bezwładnie wyciągniętą rękę, okropnie białą, z lekko rozstawionymi palcami, jak dłoń topielca. Ten widok powiedział nam wszystko. Wyjaśniał wszystkie groby na świecie. Obraz tej dłoni powraca do mnie zawsze, ilekroć czytam o jakichś okrucieństwach. Gdzieś tam, połączona z tą dłonią, leżała reszta Raya Browera.

Zamigotała błyskawica, przecinając niebo. Każdemu rozbłyskowi towarzyszył łoskot gromów, jakby nad naszymi głowami rozpoczął się wyścig powozów konnych.

- O kurwa - powiedział Chris i to słowo wcale nie zabrzmiało jak przekleństwo, w wiejski sposób rzucone nad wiotkimi łodygami tymotki przez zmęczonego kosiarza - tylko jak przeciągła, bezdźwięczna sylaba pozbawiona znaczenia; westchnienie, które przypadkiem przeszło przez struny głosowe.

Vern nerwowo oblizywał wargi, jakby smakował jakiś nieznany nowy przysmak - dwudziestą dziewiątą przyprawę Howarda Johnsona, tybetańską kielbasę, francuskie ślimaki, coś tak przedziwnego, że jednocześnie ekscytowało i budziło odrzę.

Teddy tylko stał i patrzył. Wiatr odgarniał mu tłuste, zlepione włosy z uszu. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Mógłbym powiedzieć, że coś w niej dostrzegłem, i może tak było, kiedy myślę o tym teraz... ale nie wtedy.

Po dłoni biegały tam i z powrotem czarne mrówki.

Z obu stron torów nadleciał cichy szept, jakby las dostrzegł naszą obecność i komentował ją. Zaczął padać deszcz.

Krople wielkości dziesięciocentówek padały na moją głowę i ramiona. Uderzały na nasyp i ziemia ciemniała na chwilę by zaraz z powrotem zmienić kolor, gdy suchy

grunt chciwie wsysał wilgoć.

Te wielkie krople spadały może przez pięć sekund, a potem przestały. Spojrzałem na Chrisa, który zamrugał oczami.

Potem w jednej chwili rozszalała się burza, jakby ktoś w niebie pociągnął za łańcuszek prysznic. Szept zmienił się w głośny spór. Miałem wrażenie, że las gani nas za nasze odkrycie, i poczułem dreszcz strachu. Dopiero w college'u mówią ci o zawodności zmysłów... i zauważyłem, że nawet wtedy nie wierzy w to do końca nikt oprócz kompletnych palantów.

Chris zeskoczył ze skraju osuwiska, włosy miał już mokre i przyklepione do czaszki. Poszedłem w jego ślady. Vern i Teddy byli tuż za nami, ale Chris i ja pierwsi dotarliśmy do ciała Raya Brokera. Leżał twarzą do ziemi. Chris spojrzał na mnie, twarz miał skupioną i poważną - twarz dorosłego. Skinąłem głową, jakby powiedział to głośno.

Myślę, że był tam na dole, cały, zamiast leżeć zmasakrowany na torach, ponieważ próbował z nich zeskoczyć, kiedy uderzył go pociąg, rzucając w powietrze. Upadł głową w kierunku torów i z wyciągniętymi rękami, jakby chciał skoczyć do wody. Wylądował w tym błotnistym wgłębieniu, zmieniającym się w małe bagno. Włosy miał ciemnorude. Od wilgotnego powietrza lekko poskręcały się na końcach. Była na nich krew, ale niedużo, niewielka plama. Mrówki tworzyły większą. Miał na sobie ciemnozielony podkoszulek i niebieskie džinsy. Stopy były bosc, a trochę dalej, wpłątane w pędy jeżyn, tkwiły brudne tenisówki. Zdziwiłem się lekko - dlaczego on był tu, a jego buty tam? Potem zrozumiałem i było to, jakbym otrzymał cios poniżej pasa. Żona, dzieci, przyjaciele - wszyscy sądzą, że dobrze mieć taką wyobraźnię jak ja; oprócz zarabiania kupy forsy, mogę zabawiać się nią, kiedy robi się nudno. Przeważnie mają rację. Jednak ona od czasu do czasu odwraca się i daje ci popalić tymi swoimi długimi zębami, spiłowanymi w szpic jak kły ludożercy. Widzisz rzeczy, których wolałbyś nie widzieć, które nie dają ci zasnąć aż do świtu. Wtedy właśnie ujrzałem jedną z nich, zobaczyłem jasno i wyraźnie. Buty spadły mu przy uderzeniu. Pociąg pozbawił go tenisówek, tak samo jak życia.

Ten fakt ostatecznie uzmysłowił mi, co się stało. Chłopiec nie żył. Nie był chory, nie spał. Już nigdy nie wstanie rano, nie dostanie biegunki po zjedzeniu zbyt wielu jabłek, nie oparzy się sumakiem ani nie zużyje całej gumki na końcu ołówka numer dwa podczas trudnej klasówki z matematyki. Był martwy; martwy jak glaz. Już nigdy nie wyruszy wiosną zbierać z kolegami butelek, zarzuciwszy na ramię worek na szkło

odsłonięte przez topniejące śniegi. Ten chłopiec nie obudzi się o drugiej nad ranem pierwszego listopada, żeby pobiec do łazienki i zwrócić wielki kawał taniego świątecznego ciasta. Nie będzie trzymał w swoim pokoju kosmyka dziewczęcych włosów. Nikomu nie rozbije nosa i nikt nie rozbije go jemu. Ten chłopiec nie, nigdy, nikomu. Był tym końcem ogniwa, na którym widnieje napis MINUS. Spalonym bezpiecznikiem. Koszem na śmieci obok nauczycielskiego biurka, który zawsze pachnie strużynami z temperówki i suchymi skórkami pomarańczy ze śniadania. Nawiedzonym domem za miastem, z potłuczonymi szybami, powbijanymi wokół tablicami WSTĘP WZBRONIONY, strychem pełnym nietoperzy, piwnicą rojącą się od szczurów. Ten chłopiec był martwy, panowie, panie, młodzieży, dzieci. Mógłbym iść cały dzień i nie przebyłbym odległości dzielącej jego bosa stopy od pary brudnych tenisówek wiszących na krzaku. Ten jard z hakiem był jednocześnie otchłanią lat świetlnych. Chłopak został nieodwracalnie oddzielony od swoich tenisówek. Nie żył.

Odwróciliśmy go twarzą do padającego deszczu, błyskawic, nieustannego łoskotu piorunów.

Mrówki i owady oblażyły mu twarz i szyję. Wybiegały spod okrągłego kołnierzyka podkoszulka i chowały się z powrotem. Oczy miał otwarte, ale okropnie zezujące - jedno wywróciło się tak, że widzieliśmy tylko cienki łuk tęczówki; drugie spoglądało prosto w deszcz. Na ustach i brodzie miał zaschniętą krew - z krwawiącego nosa, pomyślałem - a prawą stronę twarzy pokaleczoną i siną. Mimo to nie wyglądał tak źle. Kiedyś wpadłem na drzwi, które mój brat Dennis pchnął z drugiej strony; wyszedłem z tego z sińcami gorszymi niż ten chłopak, plus rozbity nos, a mimo to na kolację brałem dokładkę każdego dania.

Teddy i Vern stali za nami i gdyby to jedyne patrzące w górę oko mogło jeszcze nas zobaczyć, zapewne wydalibyśmy się Rayowi Browerowi żałobnikami z jakiegoś horroru.

Żuk wyszedł mu z ust, przemaszerował po podrapanym policzku, zszedł na pokrzywę i zniknął.

- Widzieliście? - zapytał Teddy dziwnym, piskliwym, słabym głosem. - Założę się, że jest pełen żuków! Założę się, że wyzarły...

- Zamknij się, Teddy - powiedział Chris i Teddy usłuchał, z wyraźną ulgą.

Jasnoniebieska błyskawica przecięła niebo, rozświetlając oko chłopca. Niemal można by uwierzyć, że był zadowolony z tego, że został znaleziony, w dodatku przez rówieśników. Tors miał lekko wzdęty i roztaczał wokół słaby odór, jakby woń starych

bózdin.

Odwróciłem się, pewny, że zwymiotuję, ale mój żołądek był suchy, twardy, spokojny. Wepchnąłem sobie dwa palce do ust, usiłując sprowokować wymioty, jakbym mógł zwymiotować i pozbyć się tego. Jednak żołądek tylko skurczył się odrobinę i znów uspokoił.

Szum deszczu i towarzyszące mu grzmoty całkowicie zagłuszyły warkot samochodów nadjeżdżających Back Harlow Road, biegnącą kilka jardów za tym grzęzawiskiem. Zamaskowały również trzask i chrzęst zarośli, przez które przedzierał się z miejsca, gdzie zaparkowali.

Zdaliśmy sobie sprawę z ich obecności dopiero wtedy, gdy Ace Merrill przekrzyczał szum deszczu, wołając:

- No i co o tym, kurwa, powiecie?

26

Wszyscy podskoczyliśmy jak oparzeni, a Vern wrzasnął - później przyznał, że przez chwilę myślał, że te słowa padły z ust martwego chłopca.

Na drugim końcu mokradła, gdzie znów wyrastał las zasłaniający ślepo zakończoną drogę, stali Ace Merrill i Eyeball Chambers, na wpół zasłonięci szarą kurtyną deszczu. Obaj mieli na sobie czerwone ortalionowe kurtki, które można kupić w sekretariacie liceum albo otrzymać za darmo, jeśli się gra w reprezentacji szkoły. Mokre włosy oblepiały im czaszki, a mieszanina deszczówki i brylantyny spływała po policzkach jak sztuczne łzy.

- Skórkojad! - rzekł Eyeball. - To mój młodszy brat!

Chris z otwartymi oczami gapił się na Eyeballa. Koszulę, mokrą i czarną, nadal miał owiązaną wokół pasa. Plecak, pociemniały od deszczu na ciemnozielono, wisiał mu na nagich łopatkach.

- Wynoś się, Rich - powiedział drżącym głosem. - My go znaleźliśmy. My zgarniamy szmal.

- Pieprzyć wasz szmal. To my go zabierzemy.

- Na pewno nie - powiedziałem. Nagle byłem na nich wściekły za to, że pojawili się w ostatniej chwili. Gdybyśmy o tym pomyśleli, wiedzielibyśmy, że coś takiego się zdarzy... ale tym razem ci starsi, więksi chłopcy nie odbiorą nam tego - nie wezmą tego, co chcą, jakby im się to należało, jakby tak powinno być i zawsze było.

Przyjechali samochodami - chyba to najbardziej mnie rozzłościło. Przyjechali samochodami. Jest nas czterech, Eyeball. Tylko spróbuj.

- Och, spróbujemy, nie martw się - powiedział Eyeball.

Chaszcze za nim zatrzęsły się i wyszli z nich Ace, Charlie Hogan oraz brat Verna, Billy, klnąc i ocierając wodę z oczu. Miałem wrażenie, że ołowiana piłka wpadła mi do żołądka. Powiększyła się jeszcze, gdy w ślad za Charliem i Billym pojawili się Jack Mudgett, Fuzzy Bracowicz i Vince Desjardins.

- No więc widzicie - odezwał się Ace, szczerząc zęby w uśmiechu. - Po prostu...

- Vern! - wrzasnął Billy Tessio straszonym, oskarżycielskim tonem, zapowiadającym szybkie nadejście dnia sądu. Zacisnął ociekającą wodą pięści. - Ty mały skurwysynu! Siedziałeś pod werandą! Ty koniobójco!

Vern się skrzywił.

Charlie Hogan zaczął lirycznie:

- Ty mały, wścibski, niedorobiony gównojadzie! Powinienem skopać ci dupsko!

- Taak? No to spróbuj! - warknął nagle Teddy. Oczy rozbłysły mu za zalanymi deszczem szklami okularów. - No już, zaczynajcie! Chodźcie! No chodźcie, wielgasy!

Billy i Charlie nie potrzebowali zachęty. Ruszyli naprzód i Vern znów drgnął - niewątpliwie oczami duszy widząc upiory minionych i przyszłych lań. Drgnął... ale dotrzymał pola. Był tu z przyjaciółmi i wiele przeszliśmy razem, i nie przyjechaliliśmy tu samochodami.

Jednak Ace powstrzymał Billy'ego i Charliego, kładąc im dłonie na ramionach.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedział Ace. Mówił spokojnie, jakbyśmy nie stali w ulewnym deszczu. - Jest nas więcej niż was. Jesteśmy silniejsi. Damy wam jeszcze jedną szansę spadać. Gówno mnie obchodzi dokąd. Po prostu spływajcie z falami.

Brat Chrisa zachichotał, a Fuzzy klepnął Ace'a w plecy, doceniając żart. Mały dupoliz.

- To my go weźmiemy - uśmiechnął się łagodnie Ace i z łatwością można było sobie wyobrazić ten sam łagodny uśmiech na moment przed tym, zanim łamie kij bilardowy na głowie jakiegoś głupiego punka, który popełnił błąd potrącając go, kiedy Ace szykował się do uderzenia. - Jeżeli odejdziecie, weźmiemy go. Jeżeli zostanieie, skopiemy wam tyłki i też go weźmiemy. Ponadto - dodał, usiłując nadać rabunkowi pozory praworządności - to Charlie i Billy go znaleźli, więc to i tak ich szmal.

- Oni stchórzyli! - odkrzyknął Teddy. - Vern powiedział nam o tym! Stchórzyli tak cholernie, że mało nie narobili w swoje cholerne gacie! - Wykrzywił się, szyderczo

parodiując przestraszoną minę Charliego Hogana. - Żałuję, że zwinęliśmy ten samochód! Żałuję, że w ogóle pojechaliśmy Back Harlow Road, żeby obalić pół basa! Och, Billee, co my zrobimy? Och, Billee, chyba jaja zmieniły mi się w galaretę! Och, Billee...

- Wystarczy - powiedział Charlie, znów ruszając naprzód.

Na jego twarzy malowały się złość i zmieszanie. - Mały, jak ci tam na imię, zaraz wbiję ci w gardło ten twój wścibski nochal.

Zerknąłem na Raya Browera. Spokojnie patrzył jednym okiem na deszcz, w naszą stronę, ale poprzez nas. Pioruny nadal przetaczały się po niebie, padało trochę słabiej.

- I co powiesz, Gordie? - zapytał Ace. Trzymał Charliego za ramię, jak doświadczony treser przytrzymuje złego psa. Chyba masz choć trochę rozumu twojego brata. Powiedz chłopakom, żeby się wycofali. Ja pozwolę Charliemu dokopać trochę czterookiemu, a potem pójdziemy każdy w swoją stronę. Co powiesz?

Nie powinien wspominać Denny'ego. Chciałem pogadać z nim, przypomnieć mu to, o czym Ace i tak doskonale wiedział, że mamy prawo zgarnąć szmal Billy'ego i Charliego, skoro Vern słyszał, jak zrezygnowali z forsy. Chciałem powiedzieć, że Vern i ja o mało nie zostaliśmy przejechani przez pociąg towarowy na wiadukcie nad Castle River. O Milu Pressmanie i jego nieustraszonym - chociaż głupim - pomocniku, Chopperze Cudownym Psie. I o pijawkach. Chyba wszystko, co chciałem mu powiedzieć, to: „Daj spokój, Ace, grajmy czysto. Przecież wiesz, że mamy rację”. Jednak on musiał wciągnąć w to Denny'ego i usłyszałem, jak zamiast rozsądnych argumentów z moich ust wydobywa się wyrok śmierci na mnie:

- Obciągnij mi grubego druta, nędzny szmaciarzu.

Wargi Ace'a ułożyły się w idealnie równe, zdziwione „O” - grymas tak nieoczekiwanie zabawny, że w innych okolicznościach wywołałby salwę śmiechu. Pozostali - po obu stronach bagienka - spojrzeli na mnie ze zdumieniem.

Potem Teddy wrzasnął radośnie:

- Ale mu powiedziałeś, Gordie! O rany! Ale numer!

Stałem oszołomiony, sam nie mogąc w to uwierzyć. To tak jakby jakiś szalony statysta wypadł na scenę w kulminacyjnym momencie i wypowiedział kwestię, której nawet nie było w sztuce. Powiedzieć komuś, żeby obciągnął ci druta, było zniewagą niemal dorównującą obrażeniu jego matki. Kątem oka widziałem, że Chris zdjął z ramion plecak i gorączkowo szuka w nim czegoś, ale nie zorientowałem się czego -

przynajmniej nie od razu.

- Dobra - powiedział cicho Ace. - Na nich. Nie róbcie nikomu krzywdy oprócz małego Lachance'a. Połamię mu obie ręce.

Zmartwiałem. Nie posikałem się jak na wiadukcie kolejowym, ale chyba tylko dlatego, że miałem pusty pęcherz. Widzicie, on nie żartował; w ciągu lat, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń, zmieniłem zdanie o wielu sprawach, ale nie o tym. Kiedy Ace powiedział, że połamię mi obie ręce, zamierzał to zrobić.

Ruszyli na nas w słabnącym deszczu. Jackie Mudgett wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i zwolnił ostrze. Sześć cali stali błysnęło w powietrzu, sinoniebieskie w półmroku popołudnia. Vern i Teddy zajęli bojowe pozycje z obu moich stron. Teddy ochoczo, Vern z rozpaczliwym, zrezygnowanym grymasem.

Tamci nacierali szeregiem, rozchlapując nogami bagienko, które teraz zmieniło się w wielką mętną kałużę. Ciało Raya Browera leżało u naszych stóp jak beczka z wodą. Przygotowałem się do walki... i właśnie wtedy Chris wystrzelił z pistoletu, który doprowadził ojcu z szuflady biurka.

BA-BACH!

Boże, co za cudowny dźwięk! Charlie Hogan podskoczył. Ace Merrill, który patrzył prosto na mnie, obrócił się i spojrział na Chrisa. Jego wargi znów ułożyły się w wielkie „O”. Eyeball po prostu osłupiał.

- Hej, Chris, to tatki - powiedział. - Obedrze cię ze skóry...

- To nic w porównaniu z tym, co wam się dostanie - odparł Chris. Twarz miał okropnie bladą i jedyną żywą jej częścią były oczy. Rzuciły gniewne błyski.

- Gordie miał rację, jesteście bandą nędznych łobuzów.

Charlie i Billy nie chcieli swojego szmalu i wszyscy o tym wiecie. Nie przeszlibyśmy takiego cholernego kawału drogi, gdyby tak nie mówili. Potem poszli gdzieś, puścili farbę i pozwolili, żeby Ace Merrill myślał za nich. - Podniósł głos do krzyku. - Nie dostaniecie go, słyszycie!

- Posłuchaj - zaczął Ace. - Lepiej odłóż to, zanim odstrzelisz sobie stopę. Nie masz dość ikry, żeby zastrzelić wiewiórkę. - Znów zaczął iść, uśmiechając się od niechcenia. - Jesteś tylko napalonym, kurdupłowatym, zasranym pokurczem i zaraz każę ci zjeść ten pieprzony pistolet.

- Ace, jeżeli się nie zatrzymasz, postrzelę cię, przysięgam Bogu.

- Pójdiesz do puu-dła - zaśmiał się Ace, nawet nie przystając. Wciąż się

uśmiechał. Pozostali patrzyli na niego z przerażeniem... bardzo podobnym do tego, z jakim Teddy, Vern i ja obserwowaliśmy Chrisa. Ace Merrill był najtwardszym facetem w okolicy i nie sądziłem, żeby blef Chrisa powiódł się. I co wtedy? Ace nie wierzył, żeby dwunastoletni łobuziak mógł go zastrzelić. Pomyślałem, że się myli. Byłem przekonany, że Chris prędzej zastrzeli Ace'a, niż pozwoli odebrać sobie pistolet. W ciągu kilku sekund nabrałem pewności, że będą kłopoty, najgorsze, jakie kiedykolwiek miałem. Może zabójstwo. A wszystko to o szmal za znalezienie trupa.

Chris powiedział cicho, z ogromnym żalem:

- Gdzie mam strzelić, Ace? W rękę czy w nogę? Nie mogę wybrać. Wybierz sam. I Ace stanął.

27

Wydłużyła mu się mina i w jego oczach dostrzegłem nagle przerażenie. Myślę, że sprawił to raczej ton głosu Chrisa niż wypowiedziane przez niego słowa; szczerzy żal z powodu tego, że sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Jeżeli był to blef, to najlepszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Pozostali chłopcy byli przekonani, że nie żartuje; twarze mieli ściągnięte, jakby właśnie ktoś przyłożył zapalnik do lontu petardy.

Ace powoli odzyskał panowanie nad sobą. Mięśnie jego twarzy znów napięły się; zacisnął wargi i spojrzał na Chrisa tak, jak patrzymy na kogoś, kto zaproponował nam poważny interes - fuzję firm, otwarcie Unii kredytowej albo urwanie jaj. Wyczekująca, niemal zaciekawiona mina, jaką przybiera się wtedy, kiedy zagrożenie mija albo zostaje opanowane. Ace skalkulował szanse na to, że nie zostanie postrzelony, i okazało się, że nie są tak duże, jak przypuszczał. Jednak nadal był niebezpieczny - może nawet bardziej niż przedtem. Do tej pory uważam, że był to najlepszy pokaz balansowania na krawędzi ryzyka, jaki kiedykolwiek widziałem. Żaden z nich nie blefował, obaj byli zdecydowani.

- Dobra - rzekł cicho Ace, mówiąc do Chrisa. - Jednak wiem, co z tobą zrobię, ty pierdolcu.

- Nie, nie wiesz.

- Ty mały kutasie! - zawołał głośno Eyeball. - Oberwie ci się za to!

- Ugryź mnie w dupę - powiedział mu Chris.

Z nieartykułowanym krzykiem wściekłości Eyeball runął naprzód i Chris wpakował kulę w wodę, jakieś trzy metry przed nim. Pocisk rozpryskał wodę. Eyeball

odskoczył, klnąc.

- Dobra, co teraz? - zapytał Ace.

- Teraz wy, chłopaki, wsiądźcie do wozów i wróćcie do Castle Rock. Nie obchodzi mnie, co będzie potem. Nie dostaniecie go. - Lekko, niemal z nabożnym szacunkiem, dotknął Raya Browera czubkiem mokrego trampka. - Kapujecie?

- Dostaniemy was - powiedział Ace. Znow zaczął się uśmiechać. - Wiesz?

- Może tak. Może nie.

- Dostaniemy was na pewno - rzekł z uśmiechem Ace. Zrobimy wam krzywdę. Nie wierzę, żebyś tego nie wiedział. Poślemy was wszystkich do pieprzonego szpitala z pieprzonymi złamaniami. Poważnie.

- Och, czemu nie wrócisz do domu, żeby wypieprzyć swoją matkę? Słyszałem, że to lubi.

Uśmiech zastygł na ustach Ace'a.

- Zabiję cię za to. Nikt nie będzie wyzywał mojej matki.

- Słyszałem, że twoja matka daje za pieniądze - poinformował go Chris, a kiedy Ace pobladł tak, że jego twarz stała się niemal tak samo trupio blada jak Chrisa, dodał: Prawdę mówiąc, słyszałem, że obciąża facetom za dziesiątaka. Podobno...

Wtedy nagle burza wróciła, gwałtownie i wściekle. Tylko tym razem syknęła gradem, a nie deszczem. Zamiast szeptać lub mówić, las wydawał się teraz dudnić tam-tamami z filmu klasy B - to był dźwięk wielkich kulek gradu uderzających o pnie drzew. Kawalki lodu zaczęły uderzać mnie w ramiona, kłując tak, jakby rzucała je ręka jakiegoś złośliwego olbrzyma. Co gorsze, zaczęły uderzać w twarz Raya Browera z okropnym, mlaszczącym dźwiękiem, który znow przypomniiał nam o nim, o jego straszliwej i wieczystej cierpliwości.

Vern poddał się pierwszy, z przeciągłym krzykiem. Długimi, niezgrabnymi susami umknął po nasypie. Teddy wytrzymał minutę dłużej, a potem pobiegł za Vernem, osłaniając głowę rękami. Po drugiej stronie Vince Desjardins schował się między pobliskimi drzewami, a Fuzzy Bracowicz dołączył do niego. Jednak inni zostali na swoich miejscach i Ace znow zaczął się uśmiechać.

- Zostań ze mną, Gordie - rzekł Chris niskim, drżącym głosem. - Zostań ze mną, człowieku.

- Jestem tu.

- Idźcie już - powiedział Chris do Ace'a i jakimś cudem zdołał powiedzieć to pewnym głosem. Mówił tak, jakby tłumaczył coś tępawemu dziecku.

- Dorwiemy was - rzekł Ace. - Nie zapomnimy wam tego, jeśli tak myślicie. Za bardzo podpadliście, mały.

- No i dobrze. Teraz idźcie i przyjdźcie kiedy indziej.

- Dopadniemy cię, Chambers. Za...

- Wynocha! - wrzasnął Chris i skierował na niego lufę pistoletu.

Ace się cofnął. Jeszcze przez moment patrzył na Chrisa, kiwnął głową i odwrócił się.

- Chodźcie - powiedział do pozostałych. Znów obejrzał się przez ramię na Chrisa i na mnie. - Zobaczymy się wkrótce.

Weszli pod osłonę drzew między bajorem a drogą. Chris i ja staliśmy zupełnie nieruchomo mimo padającego gradu, który siekł nam skórę i zalegał wszędzie wokół jak śnieg w środku lata. Staliśmy, nasłuchiwalismy i przez tę szaloną muzykę gradu bębniącego o pnie drzew usłyszeliśmy odgłos dwóch ruszających samochodów.

- Zostań tu - powiedział mi Chris i ruszył przez bagienko.

- Chris! - zawołałem z paniką w głosie.

- Muszę. Zostań tu.

Wydawało się, że nie było go długi czas. Już nabrałem przekonania, że Ace lub Eyeball schowali się w lesie i dopadli go. Czekałem, mając za towarzysza jedynie Raya Browera, aż ktoś - ktokolwiek - powróci. Po jakimś czasie pojawił się Chris.

- Udało nam się - rzekł. - Odjechali.

- Jesteś pewny?

- Taak. Oba samochody.

Podniósł ręce nad głową i trzymając w złączonych dłoniach pistolet, potrząsnął nimi triumfalnym gestem mistrza. Potem opuścił je i uśmiechnął się do mnie. Myślę, że był to najsmutniejszy i najbardziej wystraszony uśmiech, jaki widziałem w życiu.

- Obciągnij mi grubego druta - kto ci powiedział, że masz grubego, Lachance?

- Największego w czterech okręgach - odparłem. Zacząłem się trząść.

Przez moment ciepło spoglądaliśmy na siebie, a potem, może zmieszani tym, co widzieliśmy, obaj spuściliśmy wzrok. Przeszył mnie paskudny dreszcz strachu i nagle plusk!-plusk! - gdy Chris przestąpił z nogi na nogę, powiedziało mi, że i on to zauważył. Oczy Raya Browera stały się szerokie i białe, wytrzeszczone i pozbawione źrenic, jak oczy greckiego posągu. W następnej sekundzie zrozumieliśmy, co się stało, jednak zrozumienie nie zmniejszyło przerażenia. Jego oczodoły wypełniły się okrągłym, białym gradem. Teraz lód topił się i woda spływała mu po policzkach, jakby

opłakiwał swoją groteskową sytuację - nędznego trofeum, o które walczą dwie bandy głupich chłopaków. Jego ubranie również było białe od gradu. Zdawał się okryty własnym całunem.

- Och, Gordie, o rany - powiedział wstrząśnięty Chris. Powiedz coś, jak rany. Co za wariactwo.

- Nie sądzę, żeby jemu...

- Może wtedy słyszeliśmy jego ducha. Może on wiedział, że do tego dojdzie. Poważnie mówię, to wariactwo.

Za nami zatrzeszczały gałęzie. Błyskawicznie obróciłem się na pięcie, przekonany, że zaszli nas od tyłu, ale Chris nadal przyglądał się ciału, rzuciwszy tylko jedno, obojętne spojrzenie przez ramię. To byli Vern i Teddy, w dżinsach przemoczonych i przyklejonych do nóg, z minami psów, które dobrały się do jajek.

- I co teraz zrobimy, człowieku? - zapytał Chris i poczułem się nieswojo. Może mówił do mnie, może... ale nadal patrzył na ciało.

- Zabierzemy go ze sobą, no nie? - zapytał zdumiony Teddy. - Będziemy bohaterami. Prawda?

Przeniósł spojrzenie z Chrisa na mnie i znów na Chrisa.

Ten podniósł głowę, jakby gwałtownie budząc się ze snu. Wykrzywił usta. Wielkimi krokami podszedł do Teddy'ego, oparł obie ręce na jego piersi i mocno pchnął. Teddy zatoczył się, zamachał rękami łapiąc równowagę i usiadł z głośnym chlupnięciem. Zamrugał oczami jak zaskoczony piźmoszczur. Vern czujnie obserwował Chrisa, jakby miał do czynienia z wariatem. Może w tym momencie nie było to dalekie od prawdy.

- Trzymaj dziób na kłódkę - powiedział Chris do Teddy'ego. - Spadochroniarze do ataku, akurat. Ty nędzny tchórz.

- To przez ten grad! - wrzasnął Teddy, zły i zawstydzony. - To nie przez nich, Chris! Boję się burzy! Nic na to nie poradzę! Rzuciłbym się na nich wszystkich, przysięgam na moją matkę! Jednak boję się burzy! Kurwa! Nic na to nie poradzę!

Znów zaczął płakać, siedząc tam w wodzie.

- A co z tobą? - spytał Chris, zwracając się do Verna. Ty też boisz się burzy?

Vern bezradnie potrząsnął głową, nadal zaskoczony furią Chrisa.

- Hej, człowieku, myślałem, że wszyscy uciekamy.

- To chyba czytałeś w myślach, bo uciekłeś pierwszy.

Vern dwukrotnie przełknął ślinę i nic nie powiedział.

Chris patrzył na niego ponurym i gniewnym wzrokiem. Potem obrócił się do mnie.

- Musimy zrobić nosze, Gordie.

- Skoro tak mówisz, Chris.

- Pewnie! Jak skauci. - Jego głos przybrał dziwny, głuchy ton. - Jak pieprzeni skauci. Nosze z kijów i koszul. Jak w podręczniku. Racja, Gordie?

- Taak. Jeśli chcesz. Jednak jeśli tamci...

- Pieprzyć ich! - wrzasnął. - Jesteście wszyscy bandą tchórzy! Pieprzcie się, świry!

- Chris, oni mogą zadzwonić do konstabla. Zemścić się na nas.

- On jest nasz i zabierzemy go stąd!

- Ci faceci mogą powiedzieć, co zechcą, żeby nas wrobić powiedziałem mu. Moje słowa zabrzmiały słabo, głupio i bezradnie. - Powiedzą cokolwiek, a potem będą kłamać, żeby się osłonić. Człowieku, wiesz, jak ludzie mogą narobić ci kłopotu, opowiadając kłamstwa. Tak jak z pieniądź...

- Nie obchodzi mnie to! - wrzasnął i rzucił się na mnie z pięściami. Jednak zahaczył nogą o klatkę piersiową Raya Browera i ciało zakołysało się z głuchym łoskotem. Chris potknął się i runął jak długi, a ja czekałem, aż wstanie i może da mi w zęby, lecz on tylko leżał tam, gdzie upadł, głową w kierunku nasypu, z ramionami wyciągniętymi nad głową, jakby zamierzał dać nurka, dokładnie w takiej samej pozie, w jakiej leżał Ray Brower, gdy go znaleźliśmy. Spojrzałem na stopy Chrisa, aby upewnić się, że nadal ma na nich trampki. Wtedy zaczął płakać i wrzeszczeć, miotając się w błotnistej wodzie, rozpryskując ją wokół, tłukąc pięściami, rzucając głową z boku na bok. Teddy i Vern gapili się na to z rozdziawionymi ustami, ponieważ nikt nigdy nie widział Chrisa Chambersa płaczącego. Po chwili czy dwóch podszedłem do nasypu, wspiąłem się na górę i siadłem na jednej z szyn. Teddy i Vern poszli za moim przykładem. Siedzieliśmy tak w deszczu, nie rozmawiając, wyglądając jak Trzy Mądre Małpy, jakie sprzedają na straganach i w nędznych sklepikach z pamiątkami, które zawsze wyglądają, jakby stały na krawędzi bankructwa.

Minęło dwadzieścia minut, zanim Chris wspiął się na nasyp i usiadł obok nas. Chmury zaczęły się rozchodzić. Przez szczeliny między nimi wpadły pierwsze smugi

słońca. Chaszcze pociemniały od deszczu. Chłopak był cały ochlapany błotem z jednej i do połowy z drugiej strony. Włosy sterczały mu sztywnymi kosmykami. Jedynymi czystymi miejscami były białe kręgi wokół jego oczu.

- Masz rację, Gordie - powiedział Chris. - Nikt nie dostanie szmalu. Piękny numer, co?

Kiwnąłem głową. Minęło pięć minut. Nikt nie odezwał się słowem. Nagle coś przyszło mi do głowy - na wypadek gdyby rzeczywiście zadzwonili do Bannermana. Zszedłem z nasypu do miejsca, gdzie przedtem stał Chris. Opadłem na kolana i zacząłem uważnie rozgarniać palcami wodę i sitowie.

- Co robisz? - zapytał Teddy, dołączając do mnie.

- Chyba są po lewej - rzekł Chris i wskazał ręką.

Spojrzałem tam i po minucie czy dwóch znalazłem obie łuski. Zabłyśły w słońcu. Oddałem je Chrisowi. Pokiwał głową i wepchnął je do kieszeni spodni.

- Chodźmy już - rzekł.

- Hej, dajcie spokój! - wrzasnął Teddy ze szczerym bólem w głosie. - Chcę go wziąć!

- Słuchaj, ty tępaku - powiedział Chris - gdybyśmy go zabrali, moglibyśmy wszyscy wylądować w domu poprawczym. Tak jak mówi Gordie. Tamci mogliby oskarżyć nas o cokolwiek. A gdyby powiedzieli, że to my go zabiliśmy? Jak ci się to podoba?

- Nie dbam o to - odparł z uporem Teddy. Potem spojrzał na nas z absurdalną nadzieją w oczach. - Ponadto dostalibyśmy tylko kilka miesięcy. Za uczestnictwo. Chcę powiedzieć, że mamy dopiero dwanaście lat, więc nie zamkną nas w Shawshank.

Chris powiedział łagodnie:

- Nie przyjmą cię do wojska, jeśli siedziałeś, Teddy.

Byłem przekonany, że to ewidentne kłamstwo - ale jakoś nie wydawało mi się, żeby to był odpowiedni moment, by to powiedzieć. Teddy tylko patrzył na Chrisa przez dłuższy czas i drżały mu wargi. W końcu zdołał wykrztusić:

- Nie pieprzysz?

- Zapytaj Gordiego.

Spojrzał na mnie z nadzieją w oczach - Ma rację - powiedziałem, czując się jak nędzny oszust. On ma rację, Teddy. Pierwsze co robią, kiedy zgłaszasz się na ochotnika, to sprawdzają, czy nie ma cię w rejestrze skazanych.

- Święty Boże!

- Zabierajmy dupy na wiadukt - rzekł Chris. - Potem zejdziemy z torów i wrócimy do Castle Rock z innej strony. Jeśli ktoś zapyta, gdzie byliśmy, powiemy, że biwakowaliśmy na Brickyard Hill i się zgubiliśmy.

- Milo Pressman będzie wiedział, że to nieprawda - rzekłem. - Ten świr z Florida Market też.

- No to powiemy, że Milo wystraszył nas i dlatego postanowiliśmy rozbić obóz na Brickyard Hill.

Kiwnąłem głową. To mogło przejść. Jeśli Vern i Teddy się nie wysypią.

- A co będzie, jeśli nasi starzy spotkają się gdzieś? - zapytał Vern.

- Martw się o to, jeśli chcesz - rzekł Chris. - Mój stary nadal będzie ugrzany.

- No to chodźmy - powiedział Vern, spoglądając na las między nami a Back Harlow Road. Wydawało się, że w każdej chwili spodziewa się ujrzeć wypadającego stamtąd Bannermana ze stadem psów gończych. - Chodźmy, póki czas.

Wszyscy wstaliśmy już z ziemi, gotowi do drogi. Ptaki śpiewały jak oszalałe, zadowolone z deszczu, słońca, robaków i chyba z całego świata. Zrobiliśmy równocześnie w tył zwrot, jak na musztrze i popatrzyliśmy na Raya Browera.

Leżał tam, znów samotny. Kiedy go obróciliśmy, zmieniliśmy ułożenie jego ramion, które teraz miał rozłożone, jakby witał słońce. Przez moment wyglądał równie naturalnie jak nieboszczyk przygotowany przez przedsiębiorcę pogrzebowego i leżący w kaplicy. Potem dostrzegano się siniec, zaschniętą krew na brodzie i pod nosem oraz lekko wzdęte ciało. Wraz ze słońcem pojawiły się wielkie muchy i krążyły wokół ciała, bzyząc natarczywie. Powracał ten przykry, mdlący odór, jak bździn w zamkniętym pokoju. Był chłopcem w naszym wieku, nie żył i nie przyjmowałem do wiadomości, że może w tym być coś naturalnego; ze zgrozą odpychałem tę myśl.

- W porządku - powiedział Chris i chciał, by zabrzmiało to raźnie, tymczasem głos miał suchy i chrapliwy. - Spieszmy się.

Niemal truchtem ruszyliśmy z powrotem. Nie rozmawialiśmy. Nie wiem jak inni, ale ja byłem zbyt zamyślony, aby rozmawiać. Niepokoili mnie pewne sprawy związane z Rayem Browerem - niepokoili mnie wtedy i niepokoja mnie teraz.

Wielki siniak z boku twarzy, rana na głowie, krew z nosa. Nic więcej - a przynajmniej żadnych innych widocznych obrażeń. Ludzie w gorszym stanie wychodzą z bójek w barach i piją dalej. A jednak pociąg na pewno go potracił; inaczej dlaczego nie miałby na nogach tenisówek? I jak to się stało, że nie zauważył go maszynista? Czy to możliwe, by pociąg uderzył go i odrzucił na bok, ale nie zabił?

Uznałem, że w pewnych okolicznościach mogło się to zdarzyć. Czyżby podmuch powietrza strącił go z torów w chwili, gdy próbował uskoczyć? Odrzucony w bok, przekoziółkował nad tym podmytym nasypem? Może leżał tam przytomny i dygoczący przez kilka godzin, nie tylko zagubiony, ale odcięty od świata? Mógł umrzeć ze strachu. Kiedyś w taki sposób umarł mi na rękach ptaszek bez piór w ogonku. Jego ciało lekko trzęsło się i drżało, dziób otwierał się i zamykał, a ciemne, paciorkowate oczka patrzyły na mnie. Potem drzenie ustało, dziób pozostał nie domknięty, a czarne ślepka zmatowiały i zobojętniały. Tak mogło być i z Rayem Browerem. Mógł umrzeć, ponieważ po prostu zbyt obawiał się żyć.

Jednak było jeszcze coś i to chyba niepokoiło mnie najbardziej. On poszedł na jagody. Wydawało mi się, że gdzieś podawano, iż wziął ze sobą bańkę na jagody. Po powrocie poszedłem do biblioteki i przejrzałem gazety, żeby się upewnić - miałem rację. Zbierał jagody i miał bańkę czy jakiś garnek. Tymczasem niczego takiego nie znaleźliśmy. Był tylko on i jego tenisówki. Zapewne porzucił naczynie gdzieś po drodze między Chamberlain a tym podmokłym miejscem w Harlow, gdzie umarł. Zapewne początkowo trzymał je mocno, jakby łączyło go ono z domem i bezpieczeństwem. W miarę jak narastał w nim strach, a także poczucie zupełnego osamotnienia, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc; gdy poczuł prawdziwe przerażenie, zapewne porzucił naczynie gdzieś w lesie po jednej lub drugiej stronie torów, ledwie zauważając jego brak.

Zastanawiałem się, czy nie wrócić tam i poszukać go - czy uważacie to za poroniony pomysł? Pomyślałem, że w pewien pogodny letni ranek mógłbym pojechać moim prawie nowym fordem do końca Back Harlow Road, zupełnie sam, pozostawiając żonę i dzieci daleko w innym świecie, w którym za naciśnięciem włącznika w mroku zapala się światło. Zastanawiałem się, jak by to było. Wyjąłbym plecak z bagażnika i oparł go o profilowany tylny zderzak wozu, po czym powoli ściągnąłbym koszulę i owiązał ją wokół pasa. Natarłbym sobie ramiona i plecy środkiem odstraszającym owady, a potem przedarł się przez las do tego mokradła, do miejsca, gdzie go znaleźliśmy. Czy rośnie tam żółta trawa, znacząc kształt ciała? Jasne, że nie, nie ma tam żadnego śladu, a mimo to człowiek zastanawia się i pojmuje, jak cienka warstwa dzieli kostium racjonalnego człowieka - pisarza ze skórzanymi łatami na łokciach sztruksowej marynarki - od szalejących, przerażających mitów dzieciństwa. Potem wspiąłbym się na nasyp, teraz porośnięty chwastami, i powoli poszedłbym obok zardzewiałych szyn i przegniłych podkładów ku Chamberlain.

Głupie fantazje. Wyprawa w poszukiwaniu dwudziestoletniej bańki na jagody, która pewnie została porzucona gdzieś głęboko w lesie, wprasowana w ziemię przez spychacz równający półakrowy plac pod przydrożny zajazd lub tak zarosła chwastami i jeżynami, że stała się niewidoczna. Jednak jestem przekonany, że ona wciąż tam jest, gdzieś przy nieczynnej linii GS & WM, i czasem odczuwam niemal niepohamowaną chęć, aby wybrać się tam i poszukać. Zazwyczaj nachodzi mnie ona rano, kiedy żona bierze prysznic, dzieci oglądają Batmana lub Scubiego na bostońskim kanale trzydzieści osiem, a ja czuję się jak tamten niedorosły Gordon Lachance, który niegdyś kroczył po ziemi, chodząc, mówiąc, a czasem czołgając się jak wąż. Tamten chłopiec był mną, tak sędzę. I zaraz przychodzi następna myśl, otrzeźwiająca jak strumień zimnej wody: O którym chłopcu myślisz?

Popijając kawę, spoglądając na słońce wpadające przez kuchenne okna, słysząc szum prysznica na jednym końcu domu, a telewizora na drugim, czując pod czaszką lekkie pulsowanie świadczące o tym, że poprzedniego wieczora wypilem o jedno piwo za dużo, jestem pewny, że znalazłbym ją. Zobaczyłbym czysty metal mrugający wśród rdzy, lśniący w jasnym letnim słońcu. Zszedłbym z nasypu, rozgarnął trawę, która wyrosła tam i mocno oplotła uchwyt, a wtedy... co? No, po prostu przeciągnąłbym ją przez czas. Długo obracałbym ją w rękach, czując jej ciężar, dziwiąc się temu, że osoba, która dotykała jej przede mną, od wielu lat leży w grobie. A gdyby była w niej notatka? Na pomoc, zgubiłem się. Oczywiście, że nie byłoby jej - chłopcy nie chodzą na jagody z papierem i ołówkiem, ale załóżmy. Podejrzewam, iż przeżyłbym wstrząs podobny do wywołanego przez zaćmienie Słońca. Mimo to, chyba chodzi tylko o samą ideę i o to, że mógłbym trzymać to naczynie w rękach - jako symbol mego życia a jego śmierci, dowodzący, że w rzeczywistości wiem, którym był chłopcem - którym z nas pięciu. Trzymać je. Odczytać każdy rok z plam rdzy i zmatowień jasnej emalii. Czuć, próbować zrozumieć świecące na nie słońca, padające na nie deszcze i okrywające je śniegi. I zastanawiać się, gdzie byłem, gdy wszystko to zdarzało się mu w samotności; gdzie byłem, co robiłem, kogo kochałem; jak żyłem, gdzie. Trzymałbym je, czytał, czuł... i spoglądał na moją własną twarz, jaka mogłaby się w nim odbić. Rozumiecie?

Wróciliśmy do Castle Rock trochę po piątej rano w niedzielę, dzień przez Świętem Pracy. Szliśmy całą noc. Nikt nie narzekał, chociaż wszyscy mieliśmy pełne

pęcherze i byliśmy wściekle głodni. Głowa pękała mi z bólu, a nogi piekły i drżały ze zmęczenia. Dwukrotnie musieliśmy zbiegać z nasypu, żeby zejść z torów przez nadjeżdżającymi pociągami. Jeden z nich jechał w kierunku Castle Rock, ale o wiele za szybko, żeby wskoczyć. Świtało już, kiedy znów doszliśmy do wiaduktu kolejowego nad Castle River. Chris spojrział na most, na rzekę, a potem na nas.

- Pieprzyć to. Przechodzę. Jeśli przejedzie mnie pociąg, to nie będę musiał uważać na pieprzonego Ace'a Merrilla.

Wszyscy przeszliśmy po moście - a raczej przecłapaliśmy po nim. Pociąg nie nadjechał. Kiedy dotarliśmy do wysypiska, przeszliśmy przez płot (nie było Mila ani Choppera, nie tak wcześnie, nie w niedzielny rano) i podeszliśmy prosto do pompy. Vern zalał ją i wszyscy po kolei wkładaliśmy głowy w lodowaty strumień, oblewając się wodą, pijąc, aż nie mogliśmy więcej przelknąć. Potem znów musieliśmy włożyć koszule, ponieważ rano było chłodno. Poszliśmy - pakużyliśmy do miasta i przez chwilę staliśmy na chodniku przed opuszczoną parcelą. Patrzyliśmy na nasz nadzwyczajny domek, żeby nie patrzeć na siebie.

- No - powiedział w końcu Teddy - zobaczymy się w środę w szkole. Chyba wcześniej się nie zbudzę.

- Ja też - rzekł Vern. - Jestem zbyt śpiący na gadanie.

Chris gwizdał coś cicho pod nosem i nic nie powiedział.

- Hej, człowieku - odezwał się nieśmiało Teddy. - Bez urazy, dobra?

- Jasne - potwierdził Chris i nagle jego ponurą, zmęczoną twarz przeciął promienny uśmiech. - Przecież zrobiliśmy to, no nie? Pokazaliśmy draniom.

- Jasne - potwierdził Vern. - Jesteś pieprzonym bohaterem. A teraz Billy mi pokaże.

- I co z tego? - powiedział Chris. - Richie pewnie też mi dołoży, Ace Gordiemu, a jeszcze ktoś inny Teddy'emu. Jednak zrobiliśmy to.

- Racja - rzekł Vern. Jednak nadal wyglądał na nieszczęśliwego.

Chris spojrział na mnie.

- Zrobiliśmy to, no nie? - spytał cicho. - Było warto, prawda?

- Jasne - przytaknąłem.

- Pieprzyć to - powiedział Teddy swoim suchym tonem oznaczającym „zaczynam-tracić-zainteresowanie”. - Gadacie jak na jakiejś pieprzonej konferencji prasowej. Dajcie grabę, ludzie. Spadam do domu i zobaczę, czy mama umieściła mnie już na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych ludzi w Ameryce.

Wszyscy roześmialiśmy się, Teddy uraczył nas zdziwioną miną „o-Boże-co-znowu” i daliśmy mu grabę. Potem on i Vern poszli w swoje strony, a ja powinienem pójść w swoją... ale zawałem się chwilę.

- Pójdę z tobą - zaproponował Chris.

- Jasne, dobra.

Przeszliśmy kawałek, nie mówiąc słowa. Castle Rock było zdumiewająco ciche w pierwszym blasku dnia i poczułem, jak opada ze mnie zmęczenie. Nie spaliśmy, gdy cały świat spał, i niemal oczekiwałem, że za najbliższym rogiem zobaczę sarnę stojącą na końcu Carbine Street, gdzie tory GS & WM przechodzą przez rampę fabryki.

W końcu Chris przerwał milczenie.

- Wygadają się.

- Na pewno. Jednak nie dziś i nie jutro, jeśli o to się martwisz. Myślę, że upłynie sporo czasu, zanim o tym powiedzą. Może lata.

Spojrzał na mnie, zdziwiony.

- Boją się, Chris. Szczególnie Teddy, że nie przyjmą go do wojska. Vern też się boi. Czeka ich kilka nie przespanych nocy i wiele razy będą mieli ochotę opowiedzieć o tym komuś, ale nie sądzę, aby to zrobili. A potem... wiesz co? Może pomyślisz, że to pieprzone wariactwo, ale... myślę, że oni prawie zapomną, że to w ogóle się zdarzyło.

Powoli pokiwał głową.

- Nie myślałem o tym w ten sposób. Widzisz ludzi na wskroś, Gordie.

- Człowieku, bardzo chciałbym.

- I udaje ci się.

Znów przeszliśmy kawałek w milczeniu.

- Nigdy nie wydam się z tego miasta. - Chris westchnął. - Kiedy będziesz w college'u i przyjedziesz tu na letnie wakacje, po rannej zmianie znajdziesz mnie, Verna i Teddy'ego u Sukeya. Jeśli będziesz chciał. A pewnie nie zechcesz.

Zaniósł się gorzkim śmiechem.

- Przestań pieprzyć - zaproponowałem, usiłując udawać twardszego, niż byłem; myślałem o tym, jak byliśmy tam, w lesie, i Chris powiedział: I może zaniósłem je starej pani Simons i powiedziałem jej, i może oddałem wszystkie pieniądze, ale i tak dostałem trzy dni zawieszenia, ponieważ pieniądze nigdy się nie znalazły. A może tydzień później stara pani Simons przysłała do szkoły w zupełnie nowej kiece. Ten wyraz jego oczu.

- Żadnego pieprzenia, tatusiu. - Potarłem wskazującym palcem o kciuk. - Oto

najmniejsze skrzypce na świecie grające „Moje serce pompuje czerwone szczyiny dla ciebie”.

- On był nasz - powiedział Chris, z oczami mrocznymi w świetle poranka.

Doszliśmy do rogu mojej ulicy i stanęliśmy. Było piętnaście po szóstej. Widzieliśmy ciężarówkę z niedzielnym wydaniem „Telegramu”, przystającą przed sklepem papierniczym wujka Teddy'ego. Mężczyzna w dżinsach i podkoszulku zrzucił paczkę gazet. Upadła do góry nogami na chodnik, ukazując kolorowe ilustracje magazynu (na pierwszej stronie zawsze Dick Tracy i Blondie). Potem samochód odjechał, prowadzony przez kierowcę chcącego jak najszybciej rozwieźć zewnętrzny świat do pozostałych miejscowości na trasie - Otisfield, Norway-South Paris, Waterford, Stoneham. Chciałem powiedzieć Chrisowi coś jeszcze i nie wiedziałem jak.

- Daj grabę, człowieku - rzekł zmęczonym głosem.

- Chris...

- Graba.

Podąłem mu rękę.

- Zobaczymy się później.

Uśmiechnął się - tym samym promiennym uśmiechem.

- Chyba że ja zobaczę cię pierwszy, pierdolcu.

Odszedł, wciąż śmiejąc się, idąc lekko i zwinnie, jakby nie bolało go tak jak mnie, jakby nie miał takich pęcherzy jak ja, jakby nie był tak pogryziony i pocięty przez komary, gzy i czarne muchy. Jakby nie miał żadnych trosk i zmierzał ku jakiemuś wspaniałemu miejscu, a nie do trzypokojowego domu (bliższym prawdy określeniem byłoby słowo „barak”) bez kanalizacji, z powybijanymi oknami zasłoniętymi plastikowymi workami i bratem czyhającym na niego na podwórku. Nawet gdybym wiedział, co powiedzieć, pewnie nie zdołałbym. Sądzę, że przemowy zabijają miłość - to pewnie okropne stwierdzenie ze strony pisarza, ale prawdziwe. Jeśli powiesz sarnie, że nie chcesz zrobić jej krzywdy, umknie, ledwie machnąwszy ogonkiem. Kluczowym słowem jest „krzywdą”. Miłość nie jest tym, co chcieliby ci wmówić tacy poronieni poeci jak McKuen. Miłość ma zęby, którymi kąsa, a rany nigdy się nie zablizniają. Żadne słowo ani kombinacja słów nie zdoła zasklepić tych miłosnych ugryzień. Jest wprost przeciwnie - w tym sęk. Jeśli te rany zaschną, słowa giną wraz z nimi. Uwierzcie mi. Stworzyłem moje życie ze słów i wiem, że tak jest.

Tylne drzwi były zamknięte, więc wyjąłem zapasowy klucz spod wycieraczki i wszedłem. Kuchnia była pusta, cicha, samobójczo czysta. Gdy włączyłem światło, słyszałem szum jarzeniówek nad zlewem. Minęły dosłownie lata, od kiedy znalazłem się tu wcześniej niż matka; nawet nie pamiętałem ostatniego razu.

Zdjąłem koszulę i włożyłem do plastikowego pojemnika za pralką automatyczną. Spod zlewu wyjąłem czystą ścierkę i obmyłem nią twarz, szyję, pachy, brzuch. Potem rozpiąłem spodnie i przetarłem sobie krocze - szczególnie jądra - aż zaczęła mnie piec skóra. Chociaż czerwony ślad pozostawiony przez pijawkę już przybladł, wydawało się, że nigdy nie zejdzie. Do dziś mam w tym miejscu maleńką, półksiężycowatą szramę. Żona kiedyś zapytała mnie o nią i skłamałem coś, zanim zorientowałem się, że zamierzam to zrobić.

Kiedy skończyłem, wyrzuciłem ścierkę. Była brudna.

Wziąłem z lodówki jajka i wbiłem sześć na patelnię. Gdy się usmażyły, postawiłem obok talerz z plasterkami ananasa i pół litra mleka. Właśnie zasiadłem do posiłku, gdy weszła matka, z siwymi włosami upiętymi w kok. Miała na sobie wyblakłą różową podomkę i paliła camela.

- Gordonie, gdzie byłeś?

- Na biwaku - powiedziałem i zacząłem jeść. - Najpierw na polu Verna, a potem na Brickyard Hill. Mama Verna mówiła, że do ciebie zadzwoni. Nie dzwoniła?

- Pewnie rozmawiała z ojcem - powiedziała i przeszła obok mnie do zlewu. Przypominała różową zjawę. W świetle jarzeniówek wyglądała wyjątkowo niekorzystnie; jej cera wydawała się niemal żółta. Westchnęła... prawie załkała. - Najbardziej brak mi Dennisa rankiem - wyznała. - Zawsze zaglądam do jego pokoju, a on zawsze jest pusty, Gordonie. Zawsze.

- Taak, to dupowato - powiedziałem.

- On spał przy otwartym oknie i z kocami... Gordonie? Mówiłeś coś?

- Nic ważnego, mamó.

- ...i z kocami podciągniętymi pod brodę - dokończyła. Potem tylko patrzyła przez okno, odwrócona do mnie plecami. Zacząłem jeść. Cały się trząsałem.

Ta historia nigdy nie wyszła na jaw.

Och, wcale nie twierdzę, że ciała Raya Browera nigdy nie znaleziono; wręcz

przeciwnie. Jednak zasługa nie przypadła ani nam, ani im. W końcu Ace pewnie uznał, że anonimowy telefon będzie najbezpieczniejszy, ponieważ w ten sposób podano lokalizację ciała. Chcę powiedzieć, że żaden z naszych rodziców nie dowiedział się, co robiliśmy w tamten weekend poprzedzający Święto Pracy.

Ojciec Chrisa nadal pił, tak jak to przewidział Chris. Jego matka wyjechała do siostry do Lewiston, jak robiła zawsze, gdy pan Chambers zaczynał wielodniowe pijaństwo. Wyjechała, zostawiając młodsze dzieci pod opieką Eyeballa. Ten wypełniał swoje obowiązki, włączając się z Ace'em i jego kolegami, zostawiając na pastwę losu dziewięcioletniego Sheldona, pięcioletniego Emery'ego i dwuletnią Deborah.

Matka Teddy'ego zaczęła się niepokoić drugiego wieczoru i zadzwoniła do mamy Verna. Matka Verna, która też nie kwalifikowała się na geniusza intelektu, powiedziała, że wciąż jesteśmy w namiocie Verna. Jest pewna, ponieważ poprzedniej nocy widziała tam światło. Mama Teddy'ego miała nadzieję, że nie palimy tam papierosów, i usłyszała, że to raczej wyglądało na światło latarki, a ponadto jest pewna, że żaden z kolegów Verna ani Billy'ego nie pali.

Ojciec zadał mi kilka dziwnych pytań, lekko zirytował się moimi wymijającymi odpowiedziami, obiecał wybrać się kiedyś ze mną na ryby i na tym się skończyło. Gdyby nasi rodzice spotkali się w ciągu następnego tygodnia czy dwóch, wszystko wydałoby się... ale do tego nie doszło.

Milo Pressman też na nas nie doniósł. Podejrzewam, że rozmyślił się, ponieważ nie miał żadnych świadków, a my wszyscy przysięgliśmy, że poszczuł mnie Chopperem.

Tak więc ta historia nigdy nie wyszła na jaw - ale to nie był jeszcze koniec.

32

Pewnego dnia pod koniec miesiąca, kiedy wracałem po szkole do domu, zahamował przy mnie czarny ford rocznik pięćdziesiąt dwa. Nie mogło być mowy o pomyłce. Gangsterskie opony z białym pasem i aluminiowymi felgami, potężne chromowe zderzaki i przyczepiona do kierownicy trupia czaszka z osadzoną w niej różą. Na tylnych drzwiczkach namalowana dwójka i walet. Poniżej, gotykiem, napisano Dżoker.

Drzwiczki otworzyły się na oścież; wysiedli Ace Merrill i Fuzzy Bracowicz.

- Nędzny łobuz, tak? - powiedział Ace, uśmiechając się łagodnie. - Moja matka

uwielbia to robić, tak?

- Załatwimy cię, mały - powiedział Fuzzy.

Upuściłem książki na chodnik i puściłem się biegiem. Gnałem ile sił w nogach, ale i tak dopadli mnie, zanim dobiegłem do najbliższej przecznicy. Ace rzucił się na mnie, chwytając za nogi, i runąłem jak długi na chodnik. Uderzyłem brodą o beton i nie zobaczyłem kilku gwiazd; ujrzałem całe konstelacje, całe mgławice. Płakałem, kiedy mnie podnieśli - nie z bólu w kolanach i łokciach, które miałem otarte i krwawiące, a nawet nie ze strachu - tylko z ogromnej, bezsilnej wściekłości. Chris miał rację. On był nasz.

Szarpnąłem się, odwróciłem i niemal zdołałem się wyrwać. Wtedy Fuzzy wbił mi kolano w krocze. Ból był przeszywający, niewiarygodny, nie mający porównania; rozszerzył moje zapatrywania na ból z niewielkiej kropki aż po horyzont. Zacząłem wrzeszczeć. Krzyk wydawał się najlepszą obroną.

Ace dwukrotnie uderzył mnie w twarz, zamaszystymi, potężnymi ciosami. Pierwszym podbił mi lewe oko; minęły cztery dni, zanim na nie przejrzałem. Drugim złamał mi nos z chrzęstem przypominającym odgłos gryzionych chrupek. Potem stara pani Chalmers wyszła na ganek z laską w wykręconej artretyzmem dłoni i cygarem sterczącym z kącika ust. Ryknęła na nich:

- Hej! Hej tam, chłopcy! Przestańcie! Policja! Pooolicjaaa!

- Nie wchodź mi w drogę, gówniarzu - powiedział z uśmiechem Ace.

Puścili mnie, a ja zatoczyłem się, usiadłem i skuliłem, ściskając obolałe jaja, czując mdlącą pewność, że zaraz zwymiotuję i umrę. I wciąż płakałem. Jednak kiedy Fuzzy przechodził obok mnie, widok obcisłych nogawek jego dżinsów wypuszczonych na cholewki motocyklowych butów doprowadził mnie do szału. Złapałem go za nogę i przez dżinsy ugryzłem w łydkę. I zrobiłem to najsilniej, jak mogłem. Fuzzy wrzasnął przeraźliwie. Skakał wokoło na jednej nodze, zarzucając mi - niewiarygodne! - nieczyste zagrywki. Patrzyłem, jak skacze, a wtedy Ace nadepnął mi na lewą dłoń, łamiąc dwa palce. Słyszałem, jak trzasnęły. Nie był to dźwięk gryzionych chrupek. Raczej pękających precli. Potem Ace i Fuzzy poszli z powrotem do forda, Ace z rękami w kieszeniach spodni, Fuzzy podskakując na jednej nodze i rzucając mi przez ramię przekleństwa. Zwinąłem się na chodniku, płacząc. Ewie Chalmers wyszła z ogródka, wściekle postukując laską. Zapytała, czy potrzebuję lekarza. Siadłem, zdołałem jakoś opanować płacz i powiedziałem jej, że nie.

- Bzdura! - ryknęła. Cioteczka Ewie była głucha, więc ryczała tak przez cały

czas. - Widziałam, gdzie kopnął cię ten łobuz. Chłopcze, klejnoty rodowe spuchną ci jak banie.

Zaprowadziła mnie do domu, położyła mokrą ścierkę na nos - który zaczął już przypominać dojrzały arbuz - i dała kubek smakującej lekarstwem kawy, która miała dziwnie kojące działanie. Wciąż ryczała na mnie, że powinna sprowadzić lekarza, a ja powtarzałem, żeby tego nie robiła. W końcu dała spokój i poszedłem do domu. Bardzo powoli. Jądra jeszcze nie spuchły mi jak banie, ale sprawa była na dobrej drodze.

Mama i tato tylko na mnie spojrzeli i od razu się zaczęło prawdę mówiąc, byłem trochę zdziwiony, że w ogóle coś zauważyli. Kim byli ci chłopcy? Czy mógłbym ich rozpoznać podczas konfrontacji? To ostatnie od mojego ojca, który nie opuścił ani jednego odcinka „Nagiego miasta” czy „Nietykalnych”. Powiedziałem, że nie sądzę, abym zdołał ich rozpoznać. Powiedziałem, że jestem zmęczony. Chyba byłem w szoku zaszokowany i więcej niż trochę pijany po kawie cioteczki Ewie, która dodała do niej co najmniej sześćdziesiąt procent dobrej brandy. Powiedziałem, że tamci byli nietutejsi, albo „z miasta” - pod tym pojęciem wszyscy rozumieli Lewiston-Auburn.

Zawieźli mnie samochodem do doktora Clarksona, który żyje do dziś, a już wtedy był tak stary, że chyba przyjaźnił się z samym Panem Bogiem. Złożył mi nos oraz palce i dał matce receptę na środek przeciwbólowy. Potem pod jakimś pretekstem wyprosił ich z gabinetu i podszedł do mnie, szurając nogami, z pochyloną głową, jak Borys Karloff do Igora.

- Kto to zrobił, Gordonie?

- Nie wiem, doktorze Cla...

- Kłamiesz.

- Nie, proszę pana. Hmm.

Jego blade policzki poczerwieniały.

- Dlaczego miałbyś osłaniać kretyków, którzy to zrobili? Myślisz, że będą cię szanowali? Będą się śmiać i nazywać cię głupcem! „Och - powiedzą - tam idzie ten głupek, któremu tak dołożyliśmy wtedy! Ha-ha! Ho-ho! Chi-chi-chi!”.

- Nie znam ich. Naprawdę.

Widziałem, że śwędzą go ręce, żeby mną potrząsnąć, ale oczywiście nie mógł tego zrobić. Tak więc odesłał mnie do rodziców, potrząsając głową i mamrocząc o młodocianych przestępcach. Niewątpliwie wieczorem opowie o tym swojemu przyjacielowi - Bogu, przy cygarze i kieliszku sherry.

Nie dbałem o to, czy Ace, Fuzzy i reszta tych dupków będą mnie szanować,

uznają za głupca czy zupełnie o mnie zapomną. Myślałem o Chrisie. Jego brat Eyeball złamał mu rękę w dwóch miejscach i zostawił go z twarzą jak kanadyjski wschód słońca. W złamany łokieć musieli mu wstawić stalową szpilkę. Pani McGinn z sąsiedztwa zobaczyła Chrisa wlokącego się ulicą, krwawiącego z obu uszu i czytającego komiks z Richie Richem. Zawiozła go na pogotowie, gdzie Chris powiedział lekarzowi, że po ciemku spadł ze schodów w piwnicy.

- Pewnie - powiedział lekarz, równie zdegustowany tą odpowiedzią jak doktor Clarkson moją, a potem poszedł zadzwonić do konstabla Bannermana.

Kiedy to robił, Chris powoli poszedł korytarzem - przytrzymując temblak, żeby ręka nie kołysała się i złamane kości nie ocierały o siebie - i za dziesięć centów zadzwonił do pani McGinn. Później powiedział mi, że wtedy po raz pierwszy dzwonił gdzieś na koszt rozmówcy i był śmiertelnie przerażony, że ona nie zechce odebrać - ale zrobiła to.

- Chris, nic ci nie jest? - zapytała.

- Nic, dziękuję.

- Przepraszam, że nie mogłam z tobą zostać, Chris, ale miałam ciasto w...

- W porządku, pani McGinn - rzekł Chris. - Czy widzi pani buicka na naszym podwórku?

Matka Chrisa jeździła buickiem. Miał dziesięć lat i kiedy silnik rozgrzał się, śmierdział jak palone trampki.

- Stoi tam - odparła ostrożnie. Lepiej nie zadawać się z tymi Chambersami. Biedna biała hołota; ubodzy Irlandczycy.

- Mogłaby pani pójść i powiedzieć mamie, żeby zeszła do piwnicy i wykręciła żarówkę?

- Chris, naprawdę, moje ciasto...

- Proszę jej powiedzieć - ciągnął spokojnie Chris - żeby zrobiła to natychmiast. Chyba że chce, żeby mój brat wylądował w więzieniu.

Zapadła długa, długa cisza, a potem pani McGinn się zgodziła. Nie zadawała żadnych pytań i Chris nie opowiadał jej żadnych kłamstw. Konstabl Bannerman rzeczywiście przyszedł do domu Chambersów, ale Richie Chambers poszedł do więzienia.

Vern i Teddy też oberwali, chociaż nie tak mocno jak Chris i ja. Billy czekał na Verna, kiedy ten wrócił do domu. Rzucił się na niego z polanem i przy piątym lub szóstym ciosie uderzył na tyle mocno, że go ogłuszył. Vern był tylko nieprzytomny, ale

Billy przestraszył się, że go zabił, i przestał. We trzech przyłapali Teddy'ego wracającego któregoś popołudnia z opuszczonej parceli. Dali mu kilka kuksańców i zbili okulary. Walczył z nimi, ale zostawili go w spokoju, kiedy zobaczyli, że szuka ich wokół siebie jak ślepiec w mroku.

W szkole wyglądaliśmy jak resztki grupy uderzeniowej po powrocie z Korei. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało, ale wszyscy domyślali się, że mieliśmy bardzo poważne starcie z większymi chłopakami i zachowaliśmy się jak mężczyźni. Opowiadano rozmaite historie. Żadna nie odpowiadała prawdzie.

Kiedy zdjęto nam gips i gdy wygoiły się sińce, Vern i Teddy powoli odsunęli się od nas. Odkryli całą bandę rówieśników, której mogli przewodzić. Większość tych chłopaków była prawdziwymi maminsynkami - mizernymi, małymi dupkami z piątej klasy - ale Vern i Teddy przyprowadzali ich do nadrzewnego domku, rozkazując im i puszac się jak hitlerowscy generałowie.

Chris i ja zaczęliśmy tam wpadać coraz rzadziej, więc po jakimś czasie po prostu odziedziczyli po nas to miejsce. Pamiętam, jak poszedłem tam na wiosnę sześćdziesiątego pierwszego roku i stwierdziłem, że w chatce śmierdzi jak w chlewie. O ile pamiętam, już nigdy tam nie poszedłem. Teddy i Vern powoli stali się po prostu dwiema twarzami na szkolnym korytarzu lub na dużej przerwie. Kiwaliśmy sobie głowami i mówiliśmy „cześć”. To wszystko. Zdarza się. Przyjaciele przychodzą i odchodzą, jak kelnerzy w restauracjach, zauważyliście? Jednak kiedy pomyślę o tym śnie, o zwłokach pod wodą nieustępliwie ciągnących mnie za nogi, wydaje mi się to słuszne. Niektórzy ludzie toną, i tyle. Nie jest to dobre, ale zdarza się. Niektórzy toną.

33

Vern Tessio zginął w pożarze, który w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku strawił dom w Lewiston - o ile wiem, z takich budynków składają się slumsy w Brooklynie i Bronksie. Straż pożarna stwierdziła, iż pożar wybuchł około drugiej w nocy i do świtu z budynku zostały tylko zgłiszcza w piwnicy. Odbywało się tam mocno zakrapiane przyjęcie; Vern brał w nim udział. Ktoś zasnął w jednej z sypialni z papierosem w ręce. Może sam Vern, śniąc o swoich drobniakach. Zidentyfikowali jego i cztery inne ofiary po zębach.

Teddy zginął w paskudnej katastrofie samochodowej. Wydaje mi się, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, a może na początku

siedemdziesiątego drugiego roku. Kiedy dorastałem, mawiano: „Jeśli zabijesz tylko siebie, będziesz bohaterem. Jeśli zabierzesz kogoś ze sobą, będziesz psim gównem”. Teddy, który chciał wstąpić do wojska, od czasu gdy był na tyle duży, żeby czeokolwiek chcieć, został odrzucony przez komisję lekarską i dostał kategorię cztery-F. Każdy, kto widział jego szkła i aparat słuchowy, wiedział, że tak będzie - każdy prócz Teddy'ego. Pod koniec szkoły został na trzy dni zawieszony w prawach ucznia za to, że nazwał szkolnego pedagoga kłamliwym sukinsynem. Facet zauważył, że Teddy często przychodzi - prawie codziennie - i przegląda broszury w poszukiwaniu materiałów dotyczących służby wojskowej. Powiedział Teddy'emu, że może powinien pomyśleć o innej karierze, a wtedy Teddy wyszedł z siebie.

Powtarzał rok na skutek wielokrotnych nieobecności, kiepskich wyników i obłanych egzaminów... ale ukończył szkołę. Miał używanego chevroleta Bel Air i kręcił się tam, gdzie przed nim kręcili się Ace, Fuzzy i reszta: w sali bilardowej, w klubie, w tawernie Sukeya, która została zlikwidowana i pod The Mellow Tiger, który wciąż jest czynny. W końcu dostał pracę w Wydziale Dróg Publicznych Castle Rock i łątał dziury w asfalcie.

Kraksa miała miejsce w Harlow. Teddy wiół swoim chevroletem przyjaciół (dwaj z nich należeli do tej grupki, którą on i Vern rządili w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym), z którymi raczył się marychą i tanim winem. Zawadzili o słup telegraficzny, ścięli go, a chevrolet przeokołkował sześć razy. Jedna dziewczyna wyszła z tego teoretycznie żywa. Przeleżała sześć miesięcy w części szpitala nazywanej przez pielęgniarki i salowe Central Maine General oddziałem W & O - Warzyw i Owoców. Potem jakaś litościwa dusza odłączyła respirator. Teddy Duchamp został pośmiertnie uznany Psim Gównem Roku.

W ostatniej klasie Chris zapisał się na zajęcia przygotowujące do liceum - obaj wiedzieliśmy, że gdyby czekał z tym dłużej, byłoby za późno; nie zdążyłby nadrobić braków. Wszyscy mieli mu to za złe: rodzice zarzucający, że przewróciło mu się w głowie; przyjaciele, którzy zaczęli uważać go za lalusia; szkolny pedagog nie wierzący, że Chris sobie poradzi; większość nauczycieli, którzy nie aprobowali tej postaci z plerezą, w skórzanej kurtce i ciężkich buciorach, która niespodziewanie pojawiła się w ich klasach. Widać było, że widok tych butów i kurtki z wieloma zamkami w połączeniu z takimi wzniosłymi sprawami jak algebra, łacina czy nauka o Ziemi urażał ich poczucie wartości; taki wygląd pasował jedynie do zawodówki. Chris siedział wśród dobrze ubranych błyskotliwych chłopców i dziewcząt z dobrych domów Castle

View i Brickyard Hill niczym jakiś milczący, ponury Grendel, który w każdej chwili może rzucić się na nich i rycząc straszliwie, jak podwójna rura wydechowa motocykla, pożreć wraz z adidasami, kołnierzykami Piotrusia Pana, szykownymi spódnicami na guziczki i wszystkim.

Przez ten rok tuzin razy był bliski rezygnacji. Szczególnie dręczył go ojciec, zarzucając Chrisowi, że uważa się za lepszego niż on, oskarżając, iż „wybiera się do college'u, żeby puścić ojca z torbami”. Kiedyś rozbił mu na głowie butelkę po winie i Chris ponownie wylądował na pogotowiu, gdzie założyli mu cztery szwy. Jego dawni przyjaciele, z których większość przesiadywała teraz w Klubie Ubikacyjnych Palaczy, przezywali go na ulicach. Szkolny pedagog namawiał go do podjęcia przynajmniej niektórych przedmiotów zawodowych, żeby nie stracił całego roku. A najgorsze było to, że obijał się przez całe siedem lat szkoły i teraz płacił za to wygórowany rachunek.

Uczyliśmy się razem prawie co noc, czasem przez sześć godzin bez przerwy. Zawsze byłem potem wyczerpany, a czasem również wystraszony jego gniewem na tak potwornie wygórowany rachunek. Zanim zaczął rozumieć podstawy algebry, musiał nauczyć się materiału, który opuścił w piątej klasie, grając w bilard z Teddym i Vernem. Zanim zaczął rozumieć *Pater noster qui est in caelis*, musiał dowiedzieć się, co to jest rzeczownik, przymimek i dopełnienie. W jego podręczniku gramatyki widniało starannie wypisane hasło: pieprzyć imiesłowy. Jego wypracowania były pomysłowe i nieźle skomponowane, ale gramatyka kiepska, a znaki interpunkcyjne rozrzucone jak śrut z dubeltówki. Doszczętnie zniszczył egzemplarz Warrinera i kupił sobie drugi w księgarni w Portland - to była jego pierwsza książka w twardej okładce i stała się dla niego swego rodzaju Biblią.

Dostał się do pierwszej klasy szkoły średniej. Żaden z nas nie ukończył liceum z honorami, ale ja byłem siedemnasty, a Chris dziewiętnasty. Obaj dostaliśmy się na Uniwersytet w Maine, tylko ja do kampusu Orono, a on do kampusu w Portland. Na prawo, uwierzycie? Jeszcze więcej łaciny.

Obaj chodziliśmy w liceum na randki, ale nie rozdzieliła nas żadna dziewczyna. Czy to brzmi tak, jakbyśmy byli parą pedałów? Dla większości naszych dawnych przyjaciół, z Vernem i Teddym włącznie, zapewne tak. Jednak to była tylko kwestia przetrwania. Podtrzymywaliśmy się wzajemnie w głębokiej wodzie. Chyba już wyjaśniłem sprawę Chrisa; w moim przypadku nie było to takie łatwe do zdefiniowania. Jego chęć wyrwania się z Castle Rock i z cienia fabryki wydawała się najlepszą częścią mojej osobowości i nie mogłem pozostawić go samego, by płynął lub

utonął. Gdyby utonął, ta część mnie zatonąłaby razem z nim.

Pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku Chris wszedł do restauracji w Portland, żeby kupić pieczonego kurczaka na wynos. Tuż przed nim dwaj mężczyźni zaczęli kłócić się, kto był pierwszy w kolejce. Jeden z nich wyciągnął nóż. Chris, który zawsze najlepiej umiał godzić zwaśnionych, usiłował ich rozdzielić i został pchnięty w gardło. Mężczyzna z nożem przesiedział całe życie w różnych więzieniach; zaledwie tydzień wcześniej został zwolniony z więzienia stanowego w Shawshank. Chris umarł prawie natychmiast.

Przeczytałem o tym w gazetach - Chris kończył drugi rok studiów magisterskich. Ja już od półtora roku byłem żonaty i uczyłem angielskiego w szkole średniej. Moja żona była w ciąży, a ja próbowałem napisać książkę. Kiedy przeczytałem nagłówek „W RESTAURACJI W PORTLAND STUDENT ŚMIERTELNIE PCHNIĘTY NOŻEM”, powiedziałem żonie, że wychodzę na koktajl mleczny. Wyjechałem za miasto, zaparkowałem samochód i płakałem przez cholerne pół godziny. Nie mogłem tego robić przy żonie, chociaż tak ją kochałem. Wyszedłbym na mazgaja.

34

A ja?

Jestem teraz pisarzem, jak już wspomniałem. Wielu krytyków uważa, że to co piszę, to gówno. Często myślę, że mają rację... ale wciąż z przyjemnością wpisuję słowo „pisarz” w rubryce „zawód” na formularzach, jakie trzeba wypełniać w bankach i u lekarzy. Moja opowieść wydaje się bajką w takim stopniu, że to po prostu pieprzony absurd.

Sprzedalem książkę, z której zrobiono film, który z kolei otrzymał pozytywne recenzje, a w dodatku zrobił kasę. Wszystko to wydarzyło się, zanim skończyłem dwadzieścia sześć lat. Druga książka również posłużyła jako scenariusz do filmu, tak samo trzecia. Powiedziałem wam - to pieprzony absurd. Tymczasem żona nie ma nic przeciwko temu, że kręcę się jej po domu i mamy już troje dzieci. Wszystkie wydają mi się idealne i przez większość czasu jestem szczęśliwy.

Jak już mówiłem, pisanie nie przychodzi mi już teraz tak łatwo i nie daje tyle radości, co kiedyś. Wciąż dzwoni telefon. Czasami mam bóle głowy, okropne, a wtedy kładę się w ciemnym pokoju i czekam, aż miną. Lekarze twierdzą, że nie są to

prawdziwe migreny; nazywają je „stresowymi” i każą mi zwolnić tempo. Sam sobie to mówię. Co za głupie przyzwyczajenie... a jednak nie jestem w stanie przestać. Zastanawiam się, czy jest jakikolwiek sens w tym, co robię, i co mam robić ze światem, w którym człowiek może stać się bogaty, grając w grę o nazwie „Zalóżmy, że”.

To zabawne, że znów ujrzałem Ace'a Merrilla. Moi przyjaciele są martwi, a Ace żyje. Kiedy ostatnio zawiozłem dzieci do domu, żeby zobaczyły dziadka, widziałem go, jak tuż po trzeciej wyjeżdżał z parkingu przed fabryką.

Forda rocznik pięćdziesiąt dwa zmienił na forda rocznik siedemdziesiąt siedem. Wyblakła naklejka na zderzaku głosiła REAGAN/BUSH 1980. Włosy miał ostrzyżone na jeża i utył. Wyraziste rysy przystojnej twarzy, którą tak dobrze zapamiętałem, utonęły w zwalach tłuszczu. Zostawiłem na chwilę dzieci u dziadka, żeby pojechać do centrum i kupić gazetę. Stałem na rogu Main i Carbine; zerknął na mnie, przejeżdżając obok. W oczach tego trzydziestodwuletniego mężczyzny, który w innym wymiarze czasu złamał mi nos, nie dostrzegłem cienia rozpoznania.

Patrzyłem, jak stawia forda na żwirowym parkingu przed The Mellow Tiger, wysiada, podciąga spodnie i wchodzi do środka. Mogłem sobie wyobrazić przelotny jazgot muzyki country, gdy otworzył drzwi, powiew skwaśniałego piwka, powitalne krzyki innych bywalców, kiedy wszedł i umieścił swój tłusty zad na stołku, na którym prawdopodobnie przesiedział co najmniej trzy godziny każdego dnia - oprócz niedziel - od kiedy skończył dwadzieścia jeden lat.

Pomyślałem: A więc tak wygląda teraz Ace.

Spojrzałem w lewo i za fabryką zobaczyłem Castle River, nie tak już szeroką, lecz trochę czystszej, wciąż płynącą pod mostem między Castle Rock a Harlow. Wiaduktu w górze rzeki już nie ma, ale rzeka wciąż tam jest. Tak jak ja.

ZIMOWA
OPOWIEŚĆ

Peterowi i Susan Straubom

METODA ODDYCHANIA

I Klub

Przyznaję, że tamtej śnieżnej, wietrznej, paskudnej nocy ubrałem się szybciej niż zwykle. Był dwudziesty trzeci grudnia siedemdziesiątego któregoś roku i podejrzewam, że wielu z nas zrobiło wtedy to samo. W taką śnieżycę zawsze trudno w Nowym Jorku o taksówkę, więc zamówiłem taksówkę telefonicznie. Zrobiłem to o piątej trzydzieści, zamawiając ją na ósmą - żona uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Za piętnaście ósma byłem pod markizą budynku przy Wschodniej Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy, w którym mieszkaliśmy z Ellen od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, a kiedy taksówka spóźniała się o pięć minut, zacząłem niecierpliwie przechadzać się tam i z powrotem.

Taksówka przyjechała o ósmej dziesięć i wsiadłem, zbyt zadowolony, że mogłem schronić się przed wiatrem, aby wściekać się na kierowcę, który prawdopodobnie zasługiwał na burę. Ten wiatr, część chłodnego frontu, który dzień wcześniej nadciągnął z Kanady, nie żartował. Świszczał i wył za oknami samochodu, chwilami zagłuszając radio i kołysząc wielkim checkerem. Niektóre sklepy były jeszcze otwarte, ale na chodnikach nie widziało się prawie żadnych spóźnionych klientów. Nieliczni przechodnie wyglądali na nieszczęśliwych lub wręcz chorych.

Śnieg sypał z przerwami przez cały dzień, a teraz znów zaczął, najpierw rzadką

kurtyną, a potem gwałtownymi tumanami unoszącymi się nad ulicą. Wracając w tę noc do domu, ze znacznie większym niepokojem myślałem o takim połączeniu śniegu, taksówki oraz Nowego Jorku... ale wtedy, oczywiście, jeszcze nie przyszło mi to do głowy.

Na rogu Drugiej i Czterdziestej Ulicy niesiony wiatrem duży bożonarodzeniowy dzwonek przeleciał jak duch przez skrzyżowanie.

- Paskudna noc - odezwał się taksówkarz. - Jutro będą mieli w kostnicy dwa tuziny więcej niż zwykle. Paru meneli. I kilka pijaczek.

- Pewnie tak.

Taksówkarz przetrawił tę myśl.

- No i dobrze - rzekł w końcu. - Mniejsze wydatki na opiekę społeczną, nie?

- Głębia pańskiego współczucia i świątecznego humoru jest doprawdy oszałamiająca - powiedziałem.

Taksówkarz zastanowił się przez chwilę, po czym spytał:

- Chyba nie jest pan jednym z tych roniących łzy liberałów?

- Odmawiam odpowiedzi, ponieważ mogłaby zostać wykorzystana przeciwko mnie - odparłem. Taksiarz wydał prychnięcie oznaczające dlaczego-ja-zawsze-trafiam-na-takich-cwaniaków... ale zamknął się.

Podrzucił mnie na róg Drugiej i Trzydziestej Piątej Ulicy, skąd przeszedłem pół kwartału do klubu, pochylony na porywistym wietrze, jedną urękawiczoną dłonią przytrzymując kapelusz. Cała energia życiowa zdawała się błyskawicznie uciekać gdzieś w głąb mojego ciała, jak migoczący niebieski płomyk wielkości lampki kontrolnej gazowego piecyka. W wieku siedemdziesięciu trzech lat człowiek szybciej i bardziej marznie. Taki człowiek powinien siedzieć w domu przed kominkiem... a przynajmniej przy piecyku elektrycznym. W wieku siedemdziesięciu trzech lat gorąca krew nie jest nawet wspomnieniem; raczej kwestią czysto akademicką.

Zamieć ustawała, ale suchy jak piasek śnieg jeszcze siekł mi twarz. Z zadowoleniem zauważyłem, że schody wiodące do drzwi pod numerem dwieście czterdzieści dziewięć B zostały posypane - oczywiście, to robota Stevensa, a ten znał podstawową alchemię podeszłego wieku: nie przemiana ołowiu w złoto, ale kości w szkło. Kiedy myślę o takich sprawach, podejrzewam, iż Bóg chyba myśli w podobny sposób jak Groucho Marx.

Pojawił się Stevens, trzymając otwarte drzwi i w chwilę później byłem w środku. Wykładanym mahoniową boazerią korytarzem, przez podwójne drzwi stojące

w trzech czwartych otworem na harmonijkowych zawiasach, do biblioteki *cum* czytelnią *cum* barem. Mroczne pomieszczenie z rozrzuconymi tu i ówdzie plamami światła lamp do czytania. Na dębowym parkiecie migotał cieplejszy, jaśniejszy blask i słyszałem miarowy trzask brzoźowych bierwion na kominku. Ciepło promieniowało na cały pokój - z pewnością nie można nikogo powitać w miłszy sposób, jak rozpalając dla niego w kominku. Zaszleściła gazeta - suchy, lekko zniecierpliwiony dźwięk. To na pewno Johanssen ze swoim „Wall Street Journal”. Po dziesięciu latach można było zauważyć jego obecność po samym sposobie, w jaki czytał kursy akcji. Zabawne... i zarazem zdumiewające.

Stevens pomógł mi zdjąć płaszcz, mamrocząc, że mamy paskudną noc; meteorologowie zapowiadają spore opady śniegu nad ranem.

Przytaknąłem, że noc jest rzeczywiście paskudna, i znów spojrzałem na to wielkie, wysoko sklepienie pomieszczenie. Zimowa noc, szumiący ogień... opowieść z dreszczykiem. Czy mówiłem już, że w wieku siedemdziesięciu trzech lat gorąca krew to pieśń przeszłości? Pewnie tak. Jednak na myśl o tym czuję, jak robi mi się ciepło na sercu... coś, czego nie spowodował ogień ani spokojny, pełen godności ukłon Stevensa.

Chyba czułem się tak, ponieważ teraz miał opowiadać McCarron.

Przychodziłem do tego szacownego budynku przy Wschodniej Trzydziestej Piątej Ulicy dwieście czterdzieści dziewięć B od dziesięciu lat, w niemal - chociaż niezupełnie - regularnych odstępach. W myślach nazywam go „klubem dżentelmenów”, tym zdumiewającym zabytkiem z czasów przed Glorią Steinem. Jednak nawet teraz nie jestem pewien, czym on naprawdę jest i w jaki sposób powstał.

Tego wieczoru, gdy Emlyn McCarron opowiedział swoją historię o metodzie oddychania, klub liczył około trzynastu członków, chociaż tylko sześciu z nas przyszło w tę paskudną, wietrzną pogodę. Pamiętam czasy, kiedy było nas zaledwie ośmiu pełnoprawnych członków, i takie, gdy było co najmniej dwudziestu lub więcej.

Zapewne Stevens mógł wiedzieć, jak to się zaczęło - jedno, czego jestem pewien, to że Stevens jest tu od początku, obojętnie jak długo miałyby to być... i wierzę, że jest starszy, niż się wydaje. Znacznie, znacznie starszy. Mówi ze słabym brooklyńskim akcentem, lecz mimo to jest nieznośnie poprawny i usztywniony jak angielski lokaj w trzecim pokoleniu. Jego rezerwa jest częścią czasami denerwującego

wdzięku, a uśmiezek zamkniętymi i zaryglowanymi drzwiami. Nigdy nie widziałem żadnej książki finansowej klubu - o ile ją prowadzi. Nigdy nie dostałem żadnego rachunku - nie pobiera się opłat. Nigdy nie dzwonił do mnie sekretarz klubu - nie powołano go, a pod dwieście czterdzieści dziewięć B nie znajdziesz telefonu. Nie ma pudła z białymi i czarnymi kulkami do głosowania. A klubowi - o ile to jest klub - nigdy nie nadano nazwy.

Po raz pierwszy przybyłem do klubu (inaczej nie mogę go nazywać) jako gość George'a Waterhouse'a. On kierował firmą prawniczą, dla której pracowałem od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego. Moja kariera w spółce - jednej z największych w Nowym Jorku - biegła systematycznie, choć wolno; byłem pracowity jak mrówka, uparty jak muł... ktoś w rodzaju środkowego pomocnika, ale bez nadzwyczajnego talentu czy geniuszu. Obserwowałem, jak błyskawicznie awansują ludzie, którzy zaczęli jednocześnie ze mną, podczas gdy ja posuwam się w ślimaczym tempie - i patrzyłem na to bez zdziwienia.

Waterhouse i ja wymienialiśmy ukłony, uczestniczyliśmy w obowiązkowym obiedzie wydawanym przez firmę co roku w październiku, a poza tym niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego aż do jesieni tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś roku, kiedy na początku listopada wpadł do mnie do gabinetu.

Już samo to było dostatecznie niezwykle, więc ogarnęły mnie czarne myśli (zwolnienie) na przemian z optymistycznymi (niespodziewany awans). Wizyta wyglądała dość zagadkowo. Waterhouse stał w progu, lekko błyskając odznaką Phi Beta Kappa w klapie garnituru i rozmawiając na ogólne tematy, które wydawały się zupełnie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Spodziewałem się, że zaraz skończy z uprzejmościami i przejdzie do rzeczy: „A co do raportu Caseya...” lub „Poproszono nas o sprawdzenie umowy między Mayorem a Salkowiczem...”. Jednak najwyraźniej nie miał żadnych spraw. Zerknął na zegarek, powiedział, że miło się rozmawiało, ale musi już iść.

Wciąż mrugałem oczami, zdziwiony, kiedy odwrócił się i rzekł obojętnie:

- Jest takie miejsce, gdzie bywam w czwartki - rodzaj klubu. Większość członków to stare pierniki, ale niektórzy z nich są przemiłymi towarzyszami. Mają tam naprawdę wspaniałe trunki, jeśli jesteś smakoszem. Od czasu do czasu ktoś opowiada ciekawą historię. Może wpadłbyś tam kiedyś, Davidzie? Jako mój gość.

Wyjąkałem jakąś odpowiedź - do tej pory nie mam pojęcia co. Zdumiała mnie

ta propozycja. Brzmiała tak, jakby podjął ją pod wpływem impulsu, ale w jego oczach, lodowato niebieskich anglosaskich oczach pod krzaczastymi siwymi brwiami, nie było niczego spontanicznego. Nie pamiętam, co dokładnie odpowiedziałem, ponieważ nagle zrozumiałem, że ta propozycja - chociaż niejasna i zagadkowa - była właśnie sprawą, z jaką do mnie przyszedł.

Ellen zademonstrowała wieczorem rozbawione zniecierpliwienie. Pracowałem u Waterhouse'a, Cardena, Lawtona, Frasiera i Effinghama przez prawie piętnaście lat i było oczywiste, że nie mogę się spodziewać awansu na wyższe stanowisko od tego, jakie zajmowałem. Uważała, że firma w ten sposób chce wręczyć mi oszczędnościowy substytut złotego zegarka.

- Staruszkowie opowiadający o wojnie i grający w pokera - powiedziała. - Jeden taki wieczór i powinieneś być szczęśliwy w czytelnicy aż do emerytury... och, wstawiłam ci dwa piwa do lodówki.

I pocałowała mnie. Pewnie wyczytała coś w mojej twarzy - Bóg wie, że po tych wszystkich latach spędzonych razem jest w tym bardzo dobra.

Przez parę tygodni nic się nie zdarzyło. Kiedy wracałem myślą do tej dziwnej propozycji Waterhouse'a - naprawdę dziwnej, gdyż padła z ust człowieka, którego spotykałem mniej niż tuzin razy w roku, a na gruncie towarzyskim najwyżej trzykrotnie, włącznie z przyjęciem organizowanym przez firmę w październiku - uznałem, iż pomyliłem się co do wyrazu jego oczu, że zaproponował to zdawkowo i natychmiast o tym zapomniał. Albo pożałował - uff! Aż pewnego późnego popołudnia podszedł do mnie mężczyzna prawie siedemdziesięcioletni, ale wciąż szeroki w ramionach i atletycznie zbudowany. Wkładałem płaszcz, trzymając między nogami neseser. Powiedział:

- Jeśli nadal masz ochotę na drinka w klubie, to może dziś wieczorem?

- Hmm... ja...

- Świetnie. - Wcisnął mi do ręki kawałek papieru. - Oto adres.

Tego wieczora czekał na mnie u stóp schodów, a Stevens otworzył przed nami drzwi. Wino było tak dobre, jak Waterhouse obiecywał. Nie próbował nikomu mnie przedstawiać - co uznałem za snobizm, lecz później zmieniłem zdanie - dwaj czy trzej z gości sami się mi przedstawili. Jednym z nich był Emlyn McCarron, już wtedy dobrze po sześćdziesiątce. Wyciągnął rękę i uściśniłem ją przelotnie. Skórę miał suchą, grubą, twardą; prawie jak żółw. Zapytał, czy gram w brydża. Odparłem, że nie.

- To cholernie dobrze - rzekł. - Ta cholerna gra zabiła inteligentną poobiednią

konwersację skuteczniej niż wszystko, co przychodzi mi na myśl.

Oznajmiwszy to odmaszerował w półmrok biblioteki, gdzie półki z książkami zdawały ciągnąć się w nieskończoność.

Poszukałem wzrokiem Waterhouse'a, ale zniknął. Czując się trochę niezręcznie i nie na swoim miejscu, podszedłem do kominka. Był, o czym już chyba mówiłem, olbrzymi - szczególnie duży wydawał się w Nowym Jorku, gdzie lokatorzy mieszkań takich jak moje z trudem mogą sobie wyobrazić palenisko, na którym można by upiec coś więcej niż kaczan kukurydzy czy kromkę chleba. Kominek klubu przy Wschodniej Trzydziestej Piątej Ulicy dwieście czterdzieści dziewięć B był dostatecznie duży, by upiec na nim wołu. Zamiast półki miał tylko łukowaty gzyms z brązowego kamienia. Na samym środku w łuku tkwił lekko wystający zwornik. Znajdował się na poziomie moich oczu, więc nawet przy tym słabym świetle mogłem bez trudu odczytać napis: WAŻNA JEST OPOWIEŚĆ, NIE OPOWIADAJĄCY.

- Już jestem, Davidzie - odezwał się Waterhouse u mego boku dość niespodziewanie, aż drgnąłem. Wcale mnie nie zostawił; odszedł tylko do jakiegoś nie oznaczonego pomieszczenia po drinki. - Szkocka z wodą sodową, prawda?

- Tak. Dziękuję, panie Waterhouse...

- George - rzekł. - Tutaj po prostu George.

- A więc George - zacząłem, chociaż z trudem przychodziło mi mówić do niego po imieniu - co to wszystko...

- Na zdrowie - powiedział.

Wypiliśmy.

- Stevens zajmuje się barem. Sporządza dobre drinki. Lubi mówić, iż to mała, ale pożyteczna umiejętność.

Szkocka złagodziła uczucie dezorientacji i skrępowania (złagodziła, ale nie usunęła całkowicie - spędziłem prawie pół godziny, gapiąc się na szafę i rozmyślając, w co się ubrać; w końcu włożyłem ciemnobrązowe spodnie i tweedową marynarkę w niemal identycznym kolorze, mając nadzieję, że nie napotkam zgrai facetów we frakach lub w dżinsach i flanelowych koszulach L.L. Beana... jednak najwidoczniej nie pomyliłem się w kwestii ubioru). W nowym miejscu i sytuacji człowiek staje się boleśnie świadomy wszelkich obowiązków towarzyskich, choćby nie wiedzieć jak mało znaczących, tak więc w tym momencie, z drinkiem w jednej a nieodłączną kanapeczką w drugiej ręce, chciałem mieć pewność, że nie zaniedbam żadnego.

- Czy jest tu jakaś książka gości, do której powinienem się wpisać? - zapytałem.

- Albo coś podobnego?

Wyglądał na lekko zdziwionego.

- Nie prowadzimy niczego takiego - rzekł. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

Rozejrzał się po mrocznym, cichym pokoju. Johanssen szeleścił „Wall Street Journal”. W przejściu na drugim końcu pomieszczenia dostrzegłem Stevensa, wyglądającego jak upiór w białej liberii. George postawił drinka na stole i dołożył polano do ognia. Iskry pomknęły korkociągiem w czarną gardziel komina.

- Co to ma oznaczać? - spytałem, wskazując inskrypcje na zworniku. - Masz jakiś pomysł?

Waterhouse uważnie przeczytał napis, jakby po raz pierwszy. **WAŻNA JEST OPOWIEŚĆ, NIE OPOWIADAJĄCY.**

- Chyba mam pewien pomysł - rzekł. - Ty też będziesz miał, jeśli tu wrócisz. Tak, na pewno będziesz miał jeden czy dwa pomysły. W swoim czasie. Baw się dobrze, Davidzie.

Odszedł. I chociaż może to zabrzmie dziwnie, pozostawiony własnemu losowi w takiej niezwyklej sytuacji, naprawdę dobrze się bawiłem. Po pierwsze, zawsze uwielbiałem książki, a tu było sporo interesujących egzemplarzy do obejrzenia. Powoli spacerowałem wzdłuż półek, najdokładniej jak mogłem w słabym świetle oglądając ich grzbiety, od czasu do czasu wyciągając którąś lub przystając, by spojrzeć przez wąskie okno na skrzyżowanie Drugiej Alei. Stałem tam i patrzyłem przez skutą mrozem szybę, jak światła na skrzyżowaniu zmieniają się z czerwonych do zielonych przez pomarańczowe i z powrotem do czerwonych, aż nagle poczułem przedziwny - a jednocześnie bardzo miły - spokój. Nie ogarnął mnie; jakby po prostu wkraść się do mojej duszy. Och tak, już słyszę, jak mówicie, przecież to bez sensu; oglądanie zmieniających się cyklicznie świateł może uspokoić każdego.

No dobrze; to bez sensu. Przyznaję. A mimo to, tak właśnie się czułem. Nagle, po raz pierwszy od wielu lat, pomyślałem o zimowych nocach na farmie w Wisconsin, gdzie dorastałem; o leżeniu w łóżku w zimnym pokoju na poddaszu i kontraście między świstem wiejącego na zewnątrz styczniowego wiatru, sypiącego śniegiem suchym jak piach wzdłuż mil przeciwnieźnych płotów, a ciepłem, jakie moje ciało wytworzyło pod dwiema kołdrami.

Znalazłem kilka książek prawniczych, ale cholernie dziwnie dobranych: jeden z tytułów, jaki zapamiętałem, brzmiał: „Dwadzieścia przypadków rozkawałkowania i ich traktowanie w brytyjskim sądownictwie”. Innym były „Przypadki ulubieńców”.

Otworzyłem ten tom, który - oczywiście - okazał się naukowym dziełem dotyczącym problemów prawnych (tym razem amerykańskiego prawa) ze sprawami związanymi w jakiś sposób z ulubieńcami - od kotów domowych dziedziczących ogromne sumy pieniędzy po ocelota, który zerwał łańcuch i poważnie pokaleczył listonosza.

Był tam zbiór dzieł Dickensa, Defoe, mnóstwo książek Trollope'a; a ponadto szereg powieści - dokładnie jedenaście - napisanych przez niejakiego Edwarda Graya Seville'a. Te były oprawione w elegancką zieloną skórę, z wytłoczoną na grzbiecie złotymi literami nazwą wydawnictwa Stedham & Son. Nigdy nie słyszałem o Seville'u ani o jego wydawcach. Datą wydania pierwszej książki „To byli nasi bracia” był rok tysiąc dziewięćset jedenasty. Ostatnią, „Trenerzy”, wydano w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym.

Dwie półki za zbiorem powieści Seville'a znalazłem gruby tom folio zawierający starannie opisane konstrukcje dla entuzjastów „Małego budowniczego”. Obok stał inny tom folio ze słynnymi scenami ze znanych filmów. Każde ze zdjęć zajmowało całą stronę, a na sąsiednich stronach umieszczono wiersze pasujące do nich treścią lub powstałe w oparciu o nie. Niezbyt błyskotliwy pomysł, ale w wykonaniu naprawdę wspaniałych poetów: Roberta Frosta, Marianne Moore, Williama Carlosa Williama, Wallace'a Stevensa, Louisa Zukofsky'ego czy Eriki Jong - żeby wymienić choć paru. W połowie książki znalazłem wiersz Algernona Williama obok tej słynnej fotografii Marilyn Monroe stojącej na kracie szybu wentylacyjnego i usiłującej obciągnąć sukienkę. Wiersz był zatytułowany „Myto” i zaczynał się następująco:

*Kształt spódnicy tworzy
- jak powiedzielibyśmy -
kształt dzwonu
Którego sercem jest...*

I tak dalej. Wiersz może nie był straszny, ale na pewno nie było to najlepsze ani nawet jedno z najlepszych dzieł Williama. Mogę podtrzymać tę opinię, ponieważ z biegiem lat przeczytałem wiele wierszy Algernona Williama. Jednak nie mogę sobie przypomnieć wiersza o Marilyn Monroe (bo był o niej; poeta zaznaczył to w tekście, więc wiadomo nawet bez zdjęcia - na końcu wiersza Williams pisze: *Moje nogi wybijają moje imię: Marilyn, ma belle*). Od tamtej pory szukałem tego wiersza, ale nigdzie nie znalazłem... co, oczywiście, o niczym nie świadczy. Z wierszami jest inaczej niż z powieściami czy opiniami prawnymi; są raczej jak niesione wiatrem liście i

każdy zbiór zatytułowany „Dzieła wszystkie takiego a takiego” to czyste łgarstwo. Wiersze mają tendencję do wpadania pod kanapy - to jedna z ich zalet i przyczyna ich trwania. Jednak...

W pewnej chwili Stevens przyszedł z drugą szkocką (do tej pory zdążyłem już zapaść w fotel z tomikiem Ezry Pounda). Była równie dobra jak pierwsza. Sącząc ją zobaczyłem, że dwóch spośród obecnych, George Gregson i Harry Stein (tego wieczoru, gdy Emlyn McCarron opowiedział nam historię o metodzie oddychania, Harry nie żył już od sześciu lat) opuszcza pokój przez dziwaczne, niskie drzwi. Przypominały króliczą norę Alicji w Krainie Czarów. Zostawili je uchylone i wkrótce po tym jak chyłkiem opuścili bibliotekę, usłyszałem stłumiony trzask kul bilardowych.

Stevens przeszedł obok i zapytał, czy chciałbym następnego drinka. Ze szczerym żalem odmówiłem. Skinął głową.

- Bardzo dobrze, sir.

Jego twarz nie zmieniła wyrazu, lecz miałem przedziwne wrażenie, że sprawiłem mu przyjemność.

Trochę później wybuch śmiechu spowodował, że podniosłem głowę znad książki. Ktoś rzucił paczuszkę chemikaliów do ognia i płomienie zabarwiły się na wszystkie kolory tęczy. Znów pomyślałem o moim dzieciństwie... jednak nie w tęskny, romantyczno-nostalgiczny sposób. Odczuwam ogromną potrzebę podkreślenia tego, Bóg wie czemu. Pomyślałem o czasach, gdy robiłem coś takiego jako dzieciak, jednak to wspomnienie było wyraziste, przyjemne, nie zabarwione żalem.

Zobaczyłem, że większość obecnych ustawiła półkolem fotele przed kominkiem. Stevens przyniósł kopiastrą tacę parujących, wspaniałych parówek. Harry Stein wrócił przez drzwi króliczej nory i przedstawił mi się, zwięźle, lecz uprzejmie. Gregson pozostał w sali bilardowej - sądząc po odgłosach, ćwiczył uderzenia.

Po chwilowym namyśle dołączyłem do pozostałych. Opowiadano jakąś historię - niezbyt przyjemną. Opowiadał ją Norman Stett i chociaż nie mam zamiaru jej tutaj przytaczać, może zrozumiecie, dlaczego tak ją oceniłem, jeśli powiem, że dotyczyła człowieka, który utonął w budce telefonicznej.

Kiedy Stett - który też już nie żyje - skończył, ktoś powiedział:

- Powinieneś zachować ją na Boże Narodzenie, Norman.

Wszyscy roześmiali się, a ja nie wiedziałem z czego. Przynajmniej wtedy.

Potem zaczął mówić Waterhouse i to taki Waterhouse, jakiego nie śniłoby mi się ujrzyć, nawet gdybym śnił tysiąc lat. Absolwent Yale, z odznaką Phi Beta Kappa,

siwymi włosami, w trzyczęściowym garniturze, szef firmy tak dużej, że bardziej przypominającej konsorcjum - ten Waterhouse opowiedział o nauczycielce, która ugrzęzła w toalecie. Ubikacja znajdowała się za jednoklasową szkołą, w której nauczała, i kiedy utknęła tylną częścią ciała w jednej z dwóch kabin, przypadkiem zabierano toaletę jako wkład okręgu Anniston w zorganizowanie wystawy „Dawne życie w Nowej Anglii”, którą otwierano w bostońskim Prudential Center. Nauczycielka nawet nie pisnęła, gdy ładowano toaletę na pakę ciężarówki i mocowano do burt; oniemiała ze wstydu i przerażenia, powiedział Waterhouse. A kiedy drzwi ubikacji niespodziewanie otworzyły się podczas jazdy drogą numer sto dwadzieścia osiem przez Somerville w godzinie szczytu...

Jednak spuśćmy kurtynę milczenia na tę historię i inne, które po niej nastąpiły; nie o nich chcę dziś opowiedzieć. W pewnej chwili Stevens przyniósł butelkę brandy, która nie była po prostu dobra - była cholernie znakomita. Napelniono kieliszki i Johanssen wznosił toast - można by powiedzieć ten toast: Za opowieść, nie za opowiadającego.

Wypiliśmy za to.

Niedługo potem goście zaczęli się wymykać. Nie było późno; jeszcze nie nadeszła północ, jednak zauważyłem, że kiedy z pięćdziesięciolatka stajesz się sześćdziesięciolatkiem, coraz wcześniej robi się późno. Zobaczyłem, jak Waterhouse wkłada płaszcz podany mu przez Stevensa, i postanowiłem pójść za jego przykładem. Uznałem za dziwne, że Waterhouse wymyka się, nie mówiąc mi ani słowa (bo najwidoczniej właśnie to robił; gdybym wrócił czterdzieści sekund później z biblioteki, gdzie odłożyłem na półkę tomik Pounda, nie zostałyby po nim śladu), jednak nie bardziej dziwne niż większość tego, co wydarzyło się owego wieczoru.

Wyszedłem na ulicę zaraz za nim, a Waterhouse obejrzał się, jakby zaskoczony moim widokiem - jak wyrwany z lekkiej drzemki.

- Weźmiemy taksówkę? - zapytał, jakbyśmy spotkali się przypadkiem na wietrznej ulicy.

- Dziękuję, chętnie - odparłem. Chciałem mu podziękować nie tylko za propozycję podwiezienia i sądzę, że słychać to było w tonie mego głosu, ale on tylko skinął głową. Ulicą powoli nadjeżdżała taksówka z zapalonym światelkiem sygnalizującym brak pasażera - tacy faceci jak George Waterhouse łapią taksówki nawet w okrutnie zimne lub śnieżne nowojorskie noce, kiedy przysięgłbyś, że na całym Manhattanie nie została ani jedna - i zatrzymał ją.

Będąc w środku, w miłym ciepélku, w którym taksometr miarowym klikaniem wytyczał trasę naszej podróży, powiedziałem mu, jak wspaniale się bawiłem. Nie pamiętam, żebym śmiał się tak głośno i serdecznie, od kiedy skończyłem osiemnaście lat, co nie było pochlebstwem, lecz szczerą prawdą.

- Ach tak? Miło z twojej strony, że tak mówisz - odparł z chłodną uprzejmością. Zamilkłem, czując rumieniec oblewający mi policzki. Nie zawsze trzeba usłyszeć trzask, aby wiedzieć, że ktoś zamknął drzwi.

Kiedy taksówka stanęła przed moim domem, podziękowałem mu ponownie i tym razem okazał odrobinę więcej ciepła.

- Ładnie z twojej strony, że przyszedłeś mimo późnego zaproszenia - rzekł. - Przyjdź znowu, jeśli chcesz. Nie czekaj na zaproszenie; w dwa cztery dziewięć be nie przejmujemy się formalnościami. W czwartki są najlepsze opowieści, ale klub jest czynny co wieczór.

A zatem mogę uważać się za członka?

Miałem to pytanie na końcu języka. Chciałem je zadać; wydawało mi się, że muszę zapytać. Powtarzałem je w duchu (moim nużącym, prawniczym zwyczajem), aby sprawdzić, czy dobrze brzmi - kiedy Waterhouse kazał kierowcy ruszać.

Przez moment stałem na krawężniku, z rąbkim płaszczem łopoczącym wokół nóg, myśląc: On wiedział, że zamierzam zadać to pytanie - wiedział i specjalnie kazał taksjarszowi odjechać, zanim je wypowiedziałem. Potem uznałem, że to kompletny absurd - a nawet paranoja. Tak też było. Jednak tak wyglądała prawda. Mogłem karcić się w duchu do woli; wcale nie zmniejszyło to mojego przekonania.

Powoli otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Kiedy siadłem na łóżku, żeby zdjąć buty, Ellen już prawie spała. Odwróciła się na drugi bok i wydała niewyraźny, pytający dźwięk z głębi gardła. Kazałem jej spać dalej.

Znów wydała ten dźwięk. Tym razem przypominał ludzką mowę:

- Jabyo?

Przez moment zastanawiałem się, w rozpiętej do połowy koszuli. I nagle zrozumiałem z przerażającą jasnością: jeśli jej powiem, już nigdy nie znajdę się po drugiej stronie tamtych drzwi.

- W porządku - odparłem. - Staruszkowie snujący wojenne opowieści.

- Mówiłam ci.

- Jednak nie było tak źle. Może jeszcze tam pójde. To może poprawić moją

pozycję w firmie.

- W firmie - przedrzeźniała łagodnie. - Ależ z ciebie stary sęp, kochany.

- Poznał swój swego - powiedziałem, ale ona już znów zasnęła. Rozebrałem się, wzięłem prysznic, włożyłem piżamę... a potem, zamiast pójść do łóżka jak powinienem (zrobiło się już po pierwszej), włożyłem szlafrok i wypilem butelkę piwa. Siedziałem przy kuchennym stole, sącząc je powoli, spoglądając przez okno na zimny kanion Madison Avenue i rozmyślając. W głowie szumiało mi odrobinę po spożytej tego wieczoru dawce alkoholu - dla mnie trochę nadmiernej. Jednak to wrażenie wcale nie było nieprzyjemne i nie łączyło się z przeczuciem nieuniknionego kaca.

Myśl, która przyszła mi do głowy, gdy Ellen zapytała mnie o ten wieczór, była równie śmieszna jak to, co pomyślałem o George'u Waterhouse odjeżdżającym ode mnie taksówką co, na Boga, byłoby w tym złego, gdybym opowiedział żonie o zupełnie niewinnym wieczorze w ekskluzywnym klubie mojego szefa... a nawet gdyby rzeczywiście było w tym coś złego, kto by się o tym dowiedział? Nie, to było równie śmieszne i paranoiczne jak moje poprzednie rozmyślenia... lecz równie prawdziwe.

Spotkałem George'a Waterhouse'a następnego dnia na korytarzu, między księgowością a czytelnią. Spotkałem? Raczej należy powiedzieć „minąłem”. Kiwnął głową i poszedł dalej bez słowa... jak to robił od lat.

Mięśnie brzucha bolały mnie cały dzień. Tylko to przekonało mnie, iż ten wieczór wydarzył się naprawdę.

Minęły trzy tygodnie. Cztery... pięć. Nie otrzymałem ponownego zaproszenia od Waterhouse'a. Widocznie nie nadawałem się; nie pasowałem tam. Przynajmniej tak sobie mówiłem. Była to przygnębiająca, ponura myśl. Sądziłem, że zacznę blednąć i straci swój jad, jak to dzieje się z czasem z każdym rozczarowaniem. Jednak tamten wieczór przypominał mi się w najdziwniejszych momentach - osobne plamy bibliotecznych świateł, tak nieruchome, spokojne i po prostu cywilizowane; absurdalna i śmieszna opowieść Waterhouse'a o nauczycielce uwięzionej w toalecie; silny zapach skóry w wąskich przejściach między półkami. A najczęściej wspominałem, jak stałem przy tym wąskim oknie i patrzyłem na kryształowy mrozu na szybie, zmieniające barwę z zielonej przez bursztynową do czerwonej. Rozmyślałem o spokoju, jaki tam odnalazłem.

W czasie tych pięciu tygodni odwiedziłem bibliotekę i przejrzałem cztery tomiki poezji Algernona Williama (trzy miałem i te już sprawdziłem); jeden z tych tomów

miał być kompletnym zbiorem wierszy poety. Przypomniałem sobie kilka ulubionych wierszy, ale w żadnym zbiorze nie znalazłem utworu zatytułowanego „Myto”.

Podczas tej samej wycieczki do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej szukałem w katalogu jakichkolwiek dzieł Edwarda Graya Seville'a. Najbliższe, co znalazłem, to powieść kryminalna niejakiej Ruth Seville.

Przyjdź znowu, jeśli chcesz. Nie czekaj na zaproszenie...

Oczywiście, i tak czekałem na zaproszenie; matka za młodu nauczyła mnie nie wierzyć ludziom, którzy gładko mówią „wpadaj, kiedy tylko chcesz” albo „moje drzwi zawsze stoją otworem”. Nie czekałem na ozdobną wizytówkę doręczoną mi osobiście na złotej tacy przez posłańca w liberii, na pewno nie, ale potrzebowałem czegoś, choćby lekkiej zachęty: „Wpadniesz, Davidzie? Mam nadzieję, że nie zanudziliśmy cię”. Czegoś takiego.

Gdy jednak nie doczekałem się nawet tego, coraz poważniej zacząłem myśleć o tym, żeby i tak tam wrócić - w końcu ludzie czasem naprawdę chcą, żebyś kiedyś wpadł; zapewne drzwi niektórych rzeczywiście stoją otworem, a matki nie zawsze mają rację.

...Nie czekaj na zaproszenie...

W każdym razie dziesiątego grudnia tego roku włożyłem tweedową marynarkę, ciemnobrązowe spodnie i zacząłem wiązać ciemnoczerwony krawat. Pamiętam, że serce biło mi mocniej niż zwykle.

- George Waterhouse w końcu załamał się i znów cię zaprosił? - spytała Ellen. - Wracasz do chlewa, do innych męskich szowinistycznych warchlaków?

- Zgadza się - odparłem, myśląc o tym, że chyba po raz pierwszy od tuzina lat okłamałem ją... a potem przypomniałem sobie, że po tamtym pierwszym pobycie w klubie odpowiedziałem kłamstwem na jej pytanie, jak było. Staruszkowie opowiadający wojenne opowieści, odparłem.

- No cóż, może rzeczywiście pomoże ci to awansować powiedziała... chociaż bez większej nadziei. Trzeba jej jednak przyznać, że i bez rozgoryczenia.

- Zdarzały się dziwniejsze rzeczy - stwierdziłem i pocałowałem ją na pożegnanie.

- Kwik-kwik - rzuciła, gdy wychodziłem za drzwi.

Jazda taksówką dłużyła mi się okropnie. Noc była zimna, cicha i gwiazdzista. Taksówką był wielki checker, w którym czułem się mały, jak dziecko pierwszy raz oglądające miasto. To wrażenie pogłębiało dziecinne podniecenie, jakie mnie

ogarnęło, gdy samochód zajechał pod klub - uczucie tak nieskomplikowane, a zarazem tak kompletne. Jednak takie podniecenie zdaje się być jedną z tych cech życia, które odchodzą niemal nie zauważone, a ich ponowne odkrycie w podeszłym wieku jest zawsze sporą niespodzianką, jak znalezienie czarnego włosa czy dwóch w grzebieniu, gdy już przestało się je znajdować.

Zapłaciłem kierowcy, wysiadłem i poszedłem ku czterem stopniom prowadzącym do drzwi. Kiedy do nich podchodziłem, podniecenie przeszło w zwyczajną obawę (uczucie znacznie lepiej znane starym ludziom). Co ja tu właściwie robię?

Drzwi były z grubego dębowego drewna i wydały mi się równie solidne jak wrota warownego zamku. Nigdzie nie dostrzegłem dzwonka, kołatki, kamery telewizyjnej zamontowanej dyskretnie w cieniu głębokiego okapu i - oczywiście - Waterhouse'a czekającego, żeby mnie wprowadzić. Przystanąłem u stóp schodów i rozejrzałem się wokół. Wschodnia Trzydziesta Piąta Ulica nagle wydała się ciemniejsza i zimniejsza. Wszystkie budynki wyglądały groźnie, jakby kryły tajemnice, których lepiej nie zgłębiać. Ich okna spoglądały jak oczy.

Gdzieś, za jednym z tych okien, może być kobieta lub mężczyzna planujący morderstwo, pomyślałem. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Planujący... lub dokonujący je.

Potem, nagle, drzwi otworzyły się i stanął w nich Stevens.

Poczułem przyływ głębokiej ulgi. Sądzę, że nie jestem człowiekiem grzeszącym nadmiarem wyobraźni - przynajmniej w zwyczajnych okolicznościach - lecz ta ostatnia myśl miała upiorną jasność prorocstwa. Zabełkotałbym coś bez sensu, gdybym najpierw nie spojrział w oczy Stevensa. Nie dostrzegłem w nich błysku rozpoznania.

W tym momencie miałem następną proroczą wizję; w najdrobniejszych szczegółach ujrzałem resztę tego wieczoru. Trzy godziny w cichym barze. Trzy szkockie (może cztery), by osłabić zmieszanie z powodu tego, że okazałem się głupcem, przychodząc tam, gdzie nie byłem mile widziany. Upokorzenie, jakiego miała mi oszczędzić matczyzna rada - wywołane poczuciem błędnej oceny sytuacji.

Widziałem, jak wracam do domu na rauszu, ale nie w dobrym humorze. Widziałem, jak siedzę w taksówce, wyczekując końca jazdy, a nie spoglądając na nią przez pryzmat dziecinnego podniecenia i oczekiwania. Słyszałem, jak mówię do Ellen, po jakimś czasie staje się to nudne... Waterhouse znów opowiadał tę samą historyjkę

o tym, jak wygrał w pokera partię steków z połędwicy dla trzeciego batalionu... i grają w kierki po dolarze za punkt, możesz w to uwierzyć? Czy pójdę tam znowu?... Może, ale raczej wątpię. I to będzie koniec. Pozostanie tylko upokorzenie.

Ujrzałem to wszystko w obojętnych oczach Stevensa. Potem ożywiły się. Uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Pan Adley! Proszę wejść. Wezmę pański płaszcz.

Wszedłem po schodach, a Stevens starannie zamknął za mną drzwi. Jakże inne mogą wydać się drzwi, kiedy jest się po ich ciepłej stronie! Wziął mój płaszcz i zniknął. Przez chwilę stałem w holu, spoglądając na moje odbicie w lustrach między oknami - twarz sześćdziesięcioletniego mężczyzny, która szybko staje się zbyt wychudła, by należeć do mężczyzny w średnim wieku. A jednak byłem zadowolony ze swego wyglądu.

Wszedłem do biblioteki.

Johanssen czytał „Wall Street Journal”. Na innej wyspie światła Emlyn McCarron siedział nad szachownicą naprzeciw Petera Andrewsa. McCarron był i jest chudzielcem o wąskim, orlim nosie; Andrews był olbrzymem o spadzistych ramionach i cholerykiem. Bujna, rudawa broda opadała mu na pierś. Siedząc twarzą w twarz nad intarsjowaną planszą z rzeźbionymi figurkami z hebanu i kości słoniowej, wyglądali jak dwa indiańskie totemy: orzeł i niedźwiedź.

Waterhouse był tam, pochylony nad świeżym „Timesem”. Zerknął, bez zdziwienia skinął mi głową i znów zatopił się w lekturze.

Stevens nieproszony przyniósł mi szkocką.

Wziąłem ją między półki i odnalazłem ten zagadkowy, kuszący zestaw zielonych tomów. Tamtej nocy zacząłem czytać dzieła Edwarda Graya Seville'a. Zacząłem od pierwszego „To byli nasi bracia”. Od tego czasu przeczytałem wszystkie i uważam je za najlepsze powieści naszego wieku.

Pod koniec wieczoru opowiedziano historię - tylko jedną i Stevens roznosił brandy. Kiedy opowieść się skończyła, słuchacze zaczęli wstawać, szykując się do wyjścia. Stevens przemówił spod podwójnych drzwi, które prowadziły do holu. Jego głos był cichy i miły, ale wyraźny:

- A więc kto przyniesie nam opowieść na Wigilię?

Wszyscy znieruchomieli i zaczęli rozglądać się wokół. Słysząc było ciche, pogodne rozmowy i wybuchy śmiechu.

Stevens, uśmiechnięty, lecz poważny, dwukrotnie klasnął w dłonie, jak

nauczyciel gramatyki przywołujący niesforną klasę do porządku.

- No, panowie - kto przyniesie opowieść?

Peter Andrews, ten o spadzistych ramionach i rudawej brodzie, odchrząknął.

- Mam coś, nad czym myślałem. Nie wiem tylko, czy to się nada, to znaczy...

- Doskonale - przerwał Stevens i znów rozległy się śmiechy. Poklepywano Andrewsa po plecach. Zimny przeciąg przemknął po holu, gdy mężczyźni wychodzili.

Nagle Stevens znalazł się przy mnie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, podając mi płaszcz.

- Dobranoc, panie Adley. Zawsze miło mi pana widzieć.

- Czy naprawdę spotykacie się tu w wigilijny wieczór? - spytałem, zapinając płaszcz. Byłem trochę rozczarowany, że ominie mnie opowieść Andrewsa, ale zaplanowaliśmy już, że pojedziemy do Schenectady i spędzimy święta z siostrą Ellen.

Stevensowi udało się wyglądać jednocześnie na wstrząśniętego i rozbawionego.

- W żadnym razie - odparł. - Wieczór wigilijny człowiek powinien spędzić z rodziną. To szczególna noc. Zgadza się pan ze mną, sir?

- Oczywiście.

- Zawsze spotykamy się w czwartek przed Wigilią. Prawdę mówiąc, w ten wieczór prawie zawsze mamy sporą frekwencję.

Zauważyłem, że nie używał słowa „członkowie” - przypadek czy też celowy unik?

- Panie Adley, w głównej sali opowiedziano wiele rozmaitych historii, od komicznych po tragiczne i od kpiących po sentymentalne. Jednak w czwartek przed Bożym Narodzeniem zawsze jest opowieść z dreszczykiem. Zawsze tak było, przynajmniej od kiedy pamiętam.

To przynajmniej wyjaśniało komentarz, jaki słyszałem podczas pierwszej wizyty w klubie, że Norman Stett powinien zostawić swoją opowieść na święta. Inne pytania cisnęły mi się na usta, ale w oczach Stevensa widziałem wyraźną przestrożę. Nie było to ostrzeżenie, że nie odpowie na moje pytania; raczej przestroga, że nie powinienem ich zadawać.

- Coś jeszcze, panie Adley?

Byliśmy już sami w holu. Wszyscy inni wyszli. I nagle hol wydał się mroczniejszy, końska twarz Stevensa bledsza, a usta czerwiejsze. Na kominku trzasnęły drwa i przez moment czerwona poświata oblała parkiet podłogi. Wydawało mi się, że w jednym z tych nie zbadanych przeze mnie pomieszczeń na tyłach

usłyszałem jakieś ciche, miękkie stuknięcie. Nie spodobał mi się ten dźwięk. Wcale.

- Nie - powiedziałem niezbyt pewnym głosem. - Chyba nie.

- A zatem dobranoc - rzekł Stevens, a ja przeszedłem próg. Usłyszałem, jak ciężkie drzwi zamykają się za mną.

Usłyszałem szcęk zamka. A potem szedłem w kierunku świateł Trzeciej Alei, nie odwracając się, nie wiedząc czemu obawiając się spojrzeć za siebie, jakbym mógł ujrzeć jakąś odrażającą bestię maszerującą tuż za mną albo dostrzec jakąś tajemnicę, której lepiej nie znać. Dotarłem do rogu, zauważyłem wolną taksówkę i zatrzymałem ją.

- Znów wojenne opowieści? - zapytała mnie tej nocy Ellen. Była w łóżku z Philipem Marlowe'em, jedynym kochankiem, jakiego kiedykolwiek doń wzięła.

- Jedna czy dwie - odparłem, wieszając płaszcz. - Głównie siedziałem i czytałem książkę.

- Kiedy nie pokwikiwałeś.

- Tak, oczywiście. Kiedy nie pokwikiwałem.

- Posłuchaj tego: „Gdy po raz pierwszy ujrzałem Terry'ego Lennox, siedział pijany w rolls-roysie Silver Wraith przed tarasem The Dancers - czytała Ellen. - Miał młodą twarz, lecz włosy siwe niczym popiół. Po jego oczach widać było, że jest pijany jak bela, ale poza tym wyglądał jak każdy miły młodzieniec w smokingu, który wydał zbyt wiele pieniędzy w miejscu stworzonym wyłącznie w tym celu”. Niezłe, co? To...

- „Długie pożegnanie” - powiedziałem, zdejmując buty. - Czytasz mi ten sam fragment co trzy lata. To część twojego cyklu życiowego.

Zmarszczyła nos.

- Kwik-kwik.

- Dziękuję.

Wróciła do książki. Poszedłem do kuchni po butelkę piwa. Kiedy wróciłem, Ellen położyła otwartą książkę na kołdrze i spojrzała na mnie uważnie.

- Davidzie, zamierzasz zostać członkiem tego klubu?

- Być może... o ile mnie o to poproszą.

Czułem się nieswojo. Chyba znów ją okłamałem. Jeśli było coś takiego jak członkostwo klubu przy Wschodniej Trzydziestej Piątej Ulicy dwieście czterdzieści dziewięć B, to już byłem członkiem.

- Cieszę się - powiedziała. - Od dawna potrzebowałeś czegoś podobnego. Nie

wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale tak było. Należysz do Komisji do Spraw Zwolnień Warunkowych, Komitetu Obrony Praw Kobiet i Stowarzyszenia Miłośników Teatru. Jednak potrzebowałeś czegoś więcej. Chyba ludzi, z którymi mógłbyś się zestarzeć.

Podszedłem do łóżka, siadłem koło niej i podniosłem „Długie pożegnanie”. Książka była nowa, w krzykliwej, miękkiej okładce. Pamiętałem, że kupiłem Ellen w prezencie urodzinowym pierwsze wydanie w twardej okładce. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku.

- Czy jesteśmy starzy? - zapytałem.

- Podejrzewam, że tak - odparła i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

Odłożyłem książkę i dotknąłem jej piersi.

- Za starzy na to?

Ze skromną minką zasłoniła się kołdrą... a potem, chichocząc, zrzuciła ją na podłogę.

- Pokaż mi, staruszkę - powiedziała - zaczynamy rozprawę.

- Kwik-kwik - odparłem i oboje się roześmialiśmy.

Nadszedł czwartek przed Bożym Narodzeniem. Wieczór przebiegał bardzo podobnie jak poprzednie, z dwoma wyjątkami. Przyszło więcej osób, chyba około osiemnastu. Ponadto wyczuwało się wśród zebranych podniecenie. Johanssen tylko pobieżnie przejrzał swój „Journal”, a potem dołączył do McCarrona, Hugh'a Beaglemana i mnie. Siedzieliśmy przy oknach, rozmawiając o tym i owym, aż w końcu rozpoczęliśmy ożywioną - i często zabawną - dyskusję o przedwojennych samochodach.

Teraz, kiedy o tym myślę, dostrzegam również trzecią różnicę - Stevens przygotował cudowny grog na jajkach. O delikatnym smaku, ale doprawiony rumem i przyprawami. Nalewał go z ogromnej porcelanowej wazy wyglądającej jak rzeźba z lodu i pomruk ożywionych rozmów narastał, w miarę jak opadał poziom płynu w wazie.

Spojrzałem w kąt pokoju obok maleńkich drzwi prowadzących do sali bilardowej i ze zdumieniem zobaczyłem Waterhouse'a i Normana Stetta rzucających karty do czegoś, co wyglądało na prawdziwy cylinder. Śmiali się na całe gardło.

Grupki tworzyły się i rozchodziły. Robiło się późno... a potem, w porze gdy zazwyczaj goście zaczynali wymykać się za drzwi, ujrzałem, jak Peter Andrews zasiada

przed kominkiem, trzymając w dłoni jakiś pakiecik wielkości niewielkiej koperty. Nie otwierając, rzucił torebkę w ogień i w chwilę później płomienie rozbłyły wszystkimi barwami tęczy - a nawet, przysiągłbym, kilkoma zupełnie nowymi - zanim znów stały się żółte. Usłyszałem szuranie przestawianych krzeseł. Za plecami Andrews widziałem zwornik ze znajomym napisem: WAŻNA JEST OPOWIEŚĆ, NIE OPOWIADAJĄCY.

Stevens dyskretnie uwijał się wokół, zbierając szklaneczki po grogu i wymieniając je na kieliszki brandy. Usłyszałem pomruki „Wesołych świąt” i „Wszystkiego najlepszego, Stevens” i po raz pierwszy zobaczyłem, że wręczają mu pieniądze - tutaj dziesięciodolarowy banknot, tam wyglądający na pięćdziesiątkę, jeszcze gdzie indziej wyraźnie dostrzegłem studolarówkę.

- Dziękuję panu, panie McCarron... panie Johanssen... panie Beagleman...

Cichy, uprzejmy pomruk.

Mieszkałem w Nowym Jorku dostatecznie długo, żeby wiedzieć, iż okres świąt Bożego Narodzenia to karnawał napiwków; coś rzeźnikowi, piekarzowi, wytwórcy świec - nie wspominając portiera, dozorca i sprzątaczkę przychodzącą we wtorki i piątki.

Nigdy nie spotkałem nikogo z mojej klasy społecznej, kto nie uważałby tego za kłopotliwą konieczność... lecz tamtej nocy nie wyczuwałem takiej niechęci. Pieniądze dawano wręcz ochoczo... i nagle, bez powodu (co często zdarzało mi się, kiedy przebywałem pod dwieście czterdzieści dziewięć B) pomyślałem o chłopcu wołającym do Scrooge'a w bezwietrzny, zimny, londyński, wigilijny ranek: „Coo? Geś tak duża jak ja?”. I Scrooge, prawie oszalały z radości, chichoczący: „Dobry chłopiec! Wspaniały chłopiec!”.

Znalazłem mój portfel. Za zdjęciami Ellen, które w nim trzymam, zawsze chowam pięćdziesięciodolarowy banknot na wszelki wypadek. Kiedy Stevens podał mi brandy, nie mrugnawszy okiem, wsunąłem mu go w rękę... chociaż nie jestem bogatym człowiekiem.

- Wesołych świąt, Stevens - powiedziałem.

- Dziękuję, sir. I panu również.

Skończył podawać brandy i zbierać honoraria, po czym usunął się na bok. W pewnej chwili, w połowie opowieści Petera Andrews, rozejrzałem się wokół i ujrzałem go stojącego przy podwójnych drzwiach - ledwie widocznego w cieniu, wyprostowanego i milczącego.

- Jak większość z was wie, jestem teraz prawnikiem rzekł Andrews, pociągnąwszy łyceek brandy, odchrząknąwszy i pociągnąwszy znowu. - Od prawie dwudziestu lat mam biuro przy Park Avenue. Jednak wcześniej byłem asystentem w firmie prawniczej prowadzącej interesy w Waszyngtonie. Pewnego lipcowego wieczoru musiałem zostać do późna, aby skończyć indeks cytowań w streszczeniu, które nie ma nic wspólnego z tą opowieścią. A wtedy przyszedł pewien człowiek - mężczyzna będący wówczas jednym z najbardziej znanych senatorów, który później o mało nie został prezydentem. Koszulę miał poplamioną krwią, a oczy wychodziły mu z orbit.

- Muszę porozmawiać z Joem - rzekł. Joe, rozumiecie, to Joseph Woods, szef tamtej firmy, jeden z najbardziej wpływowych adwokatów w Waszyngtonie i bliski przyjaciel tego senatora.

- Poszedł do domu kilka godzin temu - odparłem. Byłem okropnie przestraszony, mówię wam - on wyglądał jak człowiek, który dopiero co miał wypadek samochodowy albo stoczył walkę na noże. A widząc jego twarz - którą tak często oglądałem w gazetach i telewizji - widząc ją zalaną krwią, z nerwowym tikiem ściągającym mięśnie policzka... czułem się jeszcze gorzej. - Mogę go wezwać, jeśli...

Już chwyciłem telefon, chcąc jak najszybciej przerzucić tę niespodziewaną odpowiedzialność na barki kogoś innego. Za jego plecami widziałem krwawe ślady, jakie pozostawił na dywanie.

- Muszę natychmiast porozmawiać z Joem - powtórzył, jakby mnie nie słyszał. - W bagażniku mojego samochodu jest coś... coś, co znalazłem u Wirginii. Strzelałem do tego i kłułem, i nie mogę tego zabić. To nie jest człowiek i nie mogę tego zabić. - Zaczął chichotać... potem śmiać się... a w końcu wrzeszczeć. Wciąż wrzeszczał, kiedy zdołałem połączyć się z panem Woodsem i powiedzieć mu, żeby przyjechał jak najszybciej...

Historii Petera Andrewsa też nie zamierzam tu przytaczać. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy odważyłbym się to zrobić. Wystarczy powiedzieć, iż była tak okropna, że śniła mi się przez kilka tygodni, aż raz Ellen spojrzała na mnie przy stole i spytała, dlaczego w środku nocy krzychałem: „Jego głowa! Jego głowa wciąż przemawia spod ziemi!”.

- Pewnie miałem zły sen - odparłem. - Jeden z tych, których potem się nie pamięta.

Jednak wbiłem przy tym wzrok w filiżankę z kawą i myślę, że tym razem Ellen

wyczuła, że kłamię.

Pewnego dnia w sierpniu następnego roku, kiedy pracowałem w bibliotece firmy, zabrzączał interkom. To był George Waterhouse. Zapytał mnie, czy mógłbym wpaść do jego gabinetu. Kiedy tam przyszedłem, zobaczyłem, że obecny jest również Robert Carden i Henry Effingham. Przez chwilę byłem przekonany, że zaraz oskarżą mnie o jakieś rażące zaniedbanie lub głupotę.

Potem Carden podszedł do mnie i rzekł:

- George uważa, że nadszedł czas, żebyś został młodszym partnerem, Davidzie. Zgadzą się z nim.

- Będziesz chyba najstarszym młodszym partnerem na świecie - powiedział z uśmiechem Effingham - ale to niezbędna formalność, Davidzie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, do świąt staniesz się pełnoprawnym partnerem.

Tej nocy nie miałem koszmarnych snów. Poszliśmy z Ellen na kolację, wypiliśmy za dużo, przeszliśmy do klubu jazzowego, w którym nie byliśmy od prawie sześciu lat, i prawie do drugiej w nocy słuchaliśmy, jak ten cudowny niebieskooki Murzyn, Dexter Gordon, dmucha w trąbkę. Następnego ranka obudziliśmy się z lekką zgagą i bólem głowy, oboje nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Moja pensja właśnie przekroczyła osiem tysięcy dolarów rocznie, na długo po tym jak straciliśmy wszelką nadzieję na taką znaczącą poprawę finansów.

Jesienią firma wysłała mnie na sześć tygodni do Kopenhagi i po powrocie dowiedziałem się, że John Hanrahan, jeden ze stałych bywalców klubu, zmarł na raka. Przeprowadzono zbiórkę na rzecz jego żony, którą zostawił w kiepskiej sytuacji materialnej. Przypadł mi obowiązek podliczenia datków - dokonanych wyłącznie w gotówce - i zamiany pieniędzy na czek. Zebrano ponad dziesięć tysięcy dolarów. Wręczyłem czek Stevensowi, który prawdopodobnie wysłał go pocztą.

Przypadkiem Arlene Hanrahan należała do Stowarzyszenia Miłośników Teatru, tak samo jak Ellen, która jakiś czas potem powiedziała mi, że Arlene otrzymała anonimowy czek na dziesięć tysięcy czterysta dolarów. Na czeku widniała krótka i niewiele mówiąca notatka: „Przyjaciele Pani świętej pamięci męża - Johna”.

- Czy to nie najdziwniejsza rzecz, jaką słyszałeś w życiu? - spytała mnie Ellen.

- Nie - odparłem - ale na pewno jest w pierwszej dziesiątce. Czy są jeszcze truskawki, Ellen?

Mijały lata. Odkryłem szereg pokoi na piętrze domu przy Trzydziestej piątej

Ulicy - gabinet, sypialnię, w której goście czasem zostawali na noc (choć po tamtym cichym stuknięciu, jakie słyszałem - lub wyobraziłem sobie - chyba wolałbym raczej przenocować w dobrym hotelu), małą, lecz dobrze wyposażoną salę gimnastyczną i saunę. Był także długi, wąski pokój biegnący przez całą długość domu i mieszczący dwa tory do kręgli.

Przez te lata ponownie przeczytałem powieści Edwarda Graya Seville'a i odkryłem wprost zdumiewającego poetę - chyba równie dobrego jak Ezra Pound i Wallace Stevens - niejakiego Norberta Rosena. Według danych na tylnej stronie okładki jednego z trzech tomików jego wierszy urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym i zginął pod Anzio. Wszystkie trzy tomiki zostały opublikowane przez wydawnictwo Stedham & Son, z siedzibą w Nowym Jorku i Bostonie.

Pamiętam, jak któregoś pogodnego popołudnia (nie jestem już pewien, w którym to było roku) wróciłem do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, i poprosiłem o egzemplarze „Literary Market Place” z ostatnich dwudziestu lat. To doroczna publikacja grubości książki telefonicznej dużego miasta, więc obawiam się, że dyżurna bibliotekarka była bardzo niezadowolona. Jednak nalegałem i bardzo uważnie przejrzałem wszystkie tomy. I chociaż LMP ma zawierać wykaz wszystkich wydawnictw, dużych i małych, w Stanach Zjednoczonych (a ponadto agentów, redaktorów i personelu klubów książki), nie znalazłem firmy Stedham & Son. Rok później - a może dwa lata podczas rozmowy z pewnym antykwariuszem zapytałem go o takie wydanie. Powiedział, że nigdy o nim nie słyszał.

Zamierzałem zapytać Stevensa - znów zobaczyłem ten ostrzegawczy błysk w jego oczach - i zrezygnowałem z zadawania tego pytania.

I przez te lata słuchałem różnych historii.

Opowieści, jak nazywał je Stevens. Zabawnych, o miłości odnalezionej i straconej, opowieści z dreszczykiem. Tak, nawet kilka wojennych opowieści, chociaż nie takich, jakie miała na myśli Ellen, kiedy o nich mówiła.

Najlepiej pamiętam historię opowiedzianą przez Gerarda Tozemana - o amerykańskim stanowisku dowodzenia, które zostało bezpośrednio trafione przez niemiecki pocisk na cztery miesiące przed końcem pierwszej wojny światowej, przy czym zginęli wszyscy oprócz Tozemana.

Lathrop Carruthers, amerykański generał powszechnie uznany do tego czasu za

kompletnego wariata (ponosił już odpowiedzialność za ponad osiemnaście tysięcy ofiar, których życiem i ciałami szafował równie beztrosko jak wy czy ja dwudziestopięciocentówkami wrzucanymi do szafy grającej), stał przed mapą Unii frontu, kiedy uderzył pocisk. Generał właśnie wyjaśniał szczegóły nowej, zwariowanej operacji oskrzydłającej - operacji, która przyniosłaby sukces na miarę wszystkich dotychczasowych osiągnięć Carruthersa - mierzony ogromną liczbą nowych wdów.

A kiedy opadł kurz, Gerard Tozeman, oszołomiony i ogłuszony, krwawiąc z nosa, uszu i kącików oczu, z jądrami już puchącymi od uderzenia o ziemię, szukając wyjścia z jatki, w jaką zmienił się punkt dowodzenia, natknął się na zwłoki Carruthersa. Spojrzał na ciało generała... a potem zaczął śmiać się i krzyżeć. Ogłuszony wybuchem, sam nie rejestrował tych dźwięków, ale usłyszeli je sanitariusze i zrozumieli, że ktoś jeszcze żyje pod tą stertą potrzaskanego drewna.

Eksplozja nie okaleczyła Carruthersa... a przynajmniej, powiedział Tozeman, nie było to okaleczenie w rozumieniu żołnierzy tamtej minionej wojny - którzy tracili ramiona, stopy czy oczy; ludzi z płucami spalonymi przez gaz. Nie, powiedział, to nie było nic takiego. Matka generała rozpoznałaby go od razu. Jednak mapa...

...mapa, przed którą Carruthers stał ze wskaźnikiem w ręku, gdy uderzył pocisk...

Jakimś cudem wbiła mu się w twarz. Tozeman stwierdził, że spogląda na odrażającą, tatuowaną maskę. Na czole Lathropa Carruthersa rysował się kamienisty brzeg Bretanii. Dalej Ren jak sina blizna przecinająca lewy policzek. Kilka prowincji produkujących najlepsze wina na świecie sterczało i falowało na jego brodzie. Saara oplatała jego szyję jak wisielcza pętla... a na jednym wytrzeszczonym oku widniał napis: Wersal.

Taką opowieść usłyszeliśmy przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego któregoś roku.

Pamiętam wiele innych, ale nie tu jest ich miejsce. Prawdę mówiąc, historii Tozemana również... jednak była to pierwsza „opowieść wigilijna”, jaką usłyszałem w klubie i nie mogłem się oprzeć, żeby jej nie przytoczyć. A potem, w czwartek po tegorocznym Świącie Dziękczynienia, kiedy Stevens klasnął w dłonie, prosząc o uwagę, i zapytał, kto uraczy nas opowiadaniem przed Bożym Narodzeniem, Emlyn McCarron warknął:

- Chyba mam coś, co mógłbym opowiedzieć. Opowiem to teraz lub nigdy, bo Bóg niebawem na zawsze zamknie mi usta.

W czasie tych lat nigdy nie słyszałem, żeby McCarron opowiadał jakąś historię. Może dlatego tak wcześnie zamówiłem taksówkę i gdy Stevens podał grog sześciu gościom, którzy przybyli tego wietrznego, zimnego wieczoru, byłem tak bardzo podniecony. I nie tylko ja jeden; podobne wyczekiwanie widziałem na wielu innych twarzach.

McCarron, chudy, zasuszony i żyłasty, zasiadł w wielkim fotelu przy kominku, trzymając w powykręcanych palcach torebkę z proszkiem. Rzucił ją w ogień i patrzyliśmy, jak płomień gwałtownie zmieniają barwę, zanim znów staną się żółte. Stevens podał nam brandy, a my mu jego świąteczne honorarium. Kiedyś, podczas takiej dorocznej ceremonii, usłyszałem brzęk drobnych przekazywanych z ręki do ręki; innym razem, w blasku kominka, dostrzegłem przez moment tysiąc dolarowy banknot. Za każdym razem cichy głos Stevensa brzmiał dokładnie tak samo; przyciszony, rozważny i bardzo poprawny. Od kiedy po raz pierwszy przyszedłem tutaj z George'em Waterhouse'em, minęło mniej więcej dziesięć lat, lecz chociaż na zewnątrz zaszło wiele zmian, tutaj nic się nie zmieniło, Stevens zaś zdawał się nie starszy o miesiąc, a nawet o jeden dzień.

Znów schował się w cieniu i przez moment panowała cisza tak głęboka, że słyszeliśmy cichy syk żywicy wyciekającej z płonących na kominku polan. Emlyn McCarron patrzył w ogień, a my wszyscy powiedliśmy wzrokiem za jego spojrzeniem. Tego wieczoru płomień wydawały się szczególnie wysokie. Byłem niemal zahipnotyzowany ich widokiem - zapewne tak samo jak będący naszymi przodkami jaskiniowcy, gdy wiatr świszczął i gwarzył przed ich zimnymi siedzibami.

W końcu, wciąż patrząc w ogień, lekko pochylony, tak że jego przedramiona spoczywały na udach, a splecione dłonie wisiały między kolanami, McCarron zaczął mówić.

II

Metoda oddychania

Mam teraz prawie osiemdziesiąt lat, co oznacza, że urodziłem się na początku wieku. Przez całe życie byłem związany z budynkiem stojącym niemal naprzeciw Madison Square Garden; ten budynek wyglądający jak wielkie szare więzienie - wyjęte z „Opowieści o dwóch miastach” - jest w rzeczywistości szpitalem, o czym

większość z was wie. To Harriet White Memorial Hospital. Harriet White, której imieniem go nazwano, była pierwszą żoną mojego ojca i pracowała jako pielęgniarka, kiedy jeszcze na Sheep Meadow w Central Parku pasły się owce. Pomnik tej damy stoi na postumencie znajdującym się na dziedzińcu przed budynkiem, a jeśli ktoś z was go widział, być może zastanawiał się, jak kobieta o tak surowej i bezkompromisowej twarzy mogła wybrać zawód wymagający tyle czułości. Motto wykute na podstawie postumentu, jeśli je przełożyć z łaciny, jest jeszcze mniej pocieszające: „Nie ma przyjemności bez bólu; zatem dostępujemy zbawienia przez cierpienie”. Katon, jeśli chcecie wiedzieć... lub nie chcecie!

Urodziłem się w tym szarym kamiennym gmachu dwudziestego marca tysiąc dziewięćsetnego roku. Wróciłem doń jako stażysta w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. Dwadzieścia sześć lat to trochę późno na rozpoczęcie kariery w świecie medycyny, ale odbyłem praktykę we Francji pod koniec pierwszej wojny światowej, usiłując wpychać poszarpane wnętrzności w porozrywane brzuchy i kupując czarnorynkową morfinę, która często była fałszowana, a czasem śmiertelnie niebezpieczna.

Tak samo jak roczniki lekarzy zaraz po drugiej wojnie światowej, byliśmy bandą doświadczonych konowałów i w latach tysiąc dziewięćset dziewiętnaście - dwadzieścia osiem kroniki najważniejszych szkół medycznych notują niezwykle małą liczbę studentów, którzy nie ukończyli studiów. Byliśmy starsi, bardziej doświadczeni, rozważniejsi. Czy byliśmy również mądrzejsi? Nie wiem... ale na pewno bardziej cyniczni. Nie było takich nonsensów, o jakich czyta się w popularnych powieściach o medycynie, że ktoś mdleje lub wymiotuje podczas pierwszej sekcji zwłok. Nie po Belleau Wood, gdzie mama-szczurzyca czasem wykarmiała cały miot szczurków na wzdętych wnętrznościach żołnierzy pozostawionych na ziemi niczyjej. Rzyganie i omdlewanie mieliśmy już za sobą.

Harriet White Memorial Hospital odegrał też ogromną rolę w czymś, co przydarzyło mi się dziewięć lat po tym, jak skończyłem tam staż - i o tym właśnie chcę dziś panom opowiedzieć. Można by rzec, iż nie jest to odpowiednia historia na święta (choć jej finałowa scena miała miejsce w Wigilię), a jednak, chociaż bezsprzecznie okropna, wydaje się kwintesencją zdumiewającej siły naszego przeklętego, skazanego na zagładę gatunku. Widzę w niej cud naszej woli... a także straszliwą, posępną moc.

Akt narodzin, panowie, jest dla wielu okropny; obecnie moda nakazuje, aby ojcowie byli obecni przy narodzinach dzieci, a chociaż ten zwyczaj wywołuje u wielu

mężczyzn odczucia, które moim zdaniem są absolutnie nieuzasadnione (poczucie winy wykorzystywane świadomie i okrutnie przez niektóre kobiety), ogólnie rzecz biorąc jest to zdrowe i wskazane. A jednak widziałem, jak mężczyźni wychodzili z sali położniczej bladzi i rozdygotani albo mdleli niczym dziewczęta na widok krwi i krzyczących kobiet. Pamiętam jednego ojca, który trzymał się doskonale... a potem zaczął histerycznie wrzeszczeć, gdy jego całkiem zdrowy syn wyszedł na świat. Noworodek miał otwarte oczy, którymi zdawał się rozglądać wokół... a potem spojrzał na ojca.

Akt narodzin jest cudowny, panowie, ale nigdy nie uważałem go za piękny - w żadnym wypadku. Uważam, że jest zbyt brutalny, aby mógł być piękny. Łono kobiety jest jak silnik. W chwili poczęcia ten silnik zostaje uruchomiony. Z początku pracuje wolno... lecz w miarę jak cykl prokreacji zbliża się do apogeum, którym jest akt narodzin, zaczyna coraz bardziej przyspieszać. Cichy szmer przechodzi w miarowy szum, potem w pomruk, a w końcu w przerażający ryk. Kiedy ten silnik zostaje włączony, każda przyszła matka wie, że chodzi o jej życie. Albo wyda dziecko na świat i maszyna zatrzyma się, albo silnik będzie pracował coraz szybciej i szybciej, aż eksploduje, zabijając ją w bólu i krwi.

Oto historia narodzin, panowie, w wigilię tych narodzin, które świętujemy od prawie dwóch tysięcy lat.

Zacząłem praktykować jako lekarz w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku - kiepskim roku na rozpoczęcie czegokolwiek. Dziadek zdołał pożyczyć mi skromną sumkę pieniędzy, więc miałem więcej szczęścia niż moi koledzy, lecz mimo to przez następne cztery lata z trudem wiązałem koniec z końcem.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku moja sytuacja trochę się poprawiła. Zdobyłem krąg stałych pacjentów i podsyłano mi sporo tych, których wypisywano z White Memorial. W kwietniu tego roku przyszła do mnie nowa pacjentka, młoda kobieta, którą nazwę Sandrą Stansfield - to nazwisko dość podobne do tego, jakie nosiła naprawdę. Była młoda, biała i twierdziła, że skończyła dwadzieścia osiem lat. Podczas badania oceniłem, że naprawdę miała od trzech do pięciu lat mniej. Była jasnowłosa, smukła i wysoka jak na tamte czasy - chyba pięć stóp i osiem cali. Była piękna, lecz w jakiś surowy sposób, który był niemal niepokojący. Rysy miała czyste i regularne, spojrzenie inteligentne... a usta równie zdecydowane jak kamienne wargi posągu Harriet White stojącego naprzeciw Madison

Square Garden. Nazwisko, które podała do formularza, nie brzmiało Sandra Stansfield, ale Jane Smith. W trakcie badania stwierdziłem, że jest w drugim miesiącu ciąży. Nie nosiła obrączki.

Po wstępnych badaniach - ale zanim otrzymałem wyniki testu ciążowego - moja pielęgniarka, Ella Davidson, powiedziała: „Ta wczorajsza dziewczyna? Jane Smith? Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest przybrane nazwisko”.

Przyznałem jej rację. Mimo to podziwiałem pacjentkę. Nie widziałem zwykłego w takich wypadkach niezdecydowania, załamywania rąk, rumieńców, łez. Była bezpośrednia i rzeczowa. Nawet jej fikcyjne nazwisko wydawało się raczej kwestią ostentacji niż wstydu. Nie próbowała stwarzać pozorów prawdopodobieństwa, tworząc jakąś „Betty Rucklehouse” czy wymyślając „Terninę DeVille”. Potrzebuje pan nazwiska do formularza, zdawała się mówić, ponieważ takie są przepisy. Zatem ma pan nazwisko; jednak zamiast zaufać zawodowej etyce człowieka, którego nie znam, wolę ufać sobie. Pan wybacz.

Ella prychnęła i rzuciła kilka uwag o „nowoczesnych dziewczynach” i „tupeciarach”, ale była dobrą kobietą i nie sądzę, by mówiła takie rzeczy, gdyby nie chodziło o formularz. Wiedziała równie dobrze jak ja, że kimkolwiek była ta pacjentka, to na pewno nie małą ladacnicą z twardymi oczami i wysokimi obcasami. Nie, „Jane Smith” była tylko niezmiernie poważną, niezwykle zdeterminowaną młodą kobietą - jeśli którąś z tych cech można opatrzyć takim strachliwym przysłówkiem jak „tylko”. Znalazła się w nieprzyjemnej sytuacji (o ile panowie pamiętacie, nazywano to „tarapatami”) i miała zamiar wybrnąć z niej, zachowując maksimum wdzięku i godności.

Tydzień po pierwszej wizycie przyszła ponownie. Dzień był piękny - jeden z pierwszych naprawdę wiosennych dni. Powietrze było rześkie, niebo w łagodnym, mlecznym odcieniu błękitu, a wiatr niósł zapach - ciepły, nieokreślony zapach, którym natura zdaje się sygnalizować początek swojego własnego cyklu narodzin. W taki dzień człowiek chciałby być jak najdalej od jakichkolwiek obowiązków, siedzieć naprzeciw swojej damy - na przykład na Coney Island lub Palisades po drugiej stronie Hudsonu - stawiając piknikowy kosz na krzasiastej serwecie i patrząc na swoją panią w wielkim białym kapeluszu i sukni bez rękawów, ślicznej jak ten dzień. Suknia „Jane Smith” miała rękawy, lecz i tak była prawie tak ładna jak ten dzień: elegancka, z białego lnu, z brązowymi aplikacjami. Do tego brązowe pantofelki, białe rękawiczki i kloszowy kapelusik, który był troszkę niemodny - tylko po tym poznałem, że na

pewno nie jest bogata.

- Jest pani w ciąży - powiedziałem. - Nie sędzę, żeby miała pani co do tego wątpliwości, prawda?

Jeżeli mają być łyzy, pomyślałem, to właśnie teraz.

- Nie - odparła z idealnym spokojem. W jej oczach dostrzegłem tyle samo łyz, co burzowych chmur na niebie w ten pogodny dzionek. - Zwykle miesiączkuję regularnie jak w zegarku.

Zapadła krótka cisza.

- Kiedy mogę oczekiwać rozwiązania? - zapytała potem z niemal bezgłównym westchnieniem. Taki dźwięk mógłby wydać mężczyzna lub kobieta, schylając się, żeby podnieść jakiś ciężar.

- To będzie bożonarodzeniowe dziecko - odparłem. - Podaję datę dziesiątego grudnia, ale poród może nastąpić do dwóch tygodni wcześniej lub później.

- W porządku. - Zawahała się lekko, a potem podjęła decyzję. - Poprowadzi pan mnie? Mimo iż nie jestem mężatką?

- Tak - rzekłem - pod jednym warunkiem.

Zmarszczyła brwi i w tym momencie jej twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała twarz Harriet White. Można by pomyśleć, że taka mina u zapewne dwudziestotrzyletniej kobiety nie będzie szczególnie groźna, ale była. Zamierzała wyjść, nie zważając na to, że będzie musiała ponownie przejść całą tę kłopotliwą procedurę z innym lekarzem.

- Zastanawiam się jakim - powiedziała z chłodną uprzejmością.

Teraz to ja miałem ochotę spuścić wzrok pod przenikliwym spojrzeniem jej orzechowych oczu, ale nie zrobiłem tego.

- Nalegam, żeby podała mi pani prawdziwe nazwisko. Jeżeli pani woli, możemy nadal traktować sprawę wyłącznie jako interes i pani Davidson może wystawiać pani recepty na nazwisko Jane Smith. Jeśli jednak mamy spotykać się przez siedem następnych miesięcy, wolałbym zwracać się do pani po nazwisku, którego używała pani w dotychczasowym życiu.

Skończyłem tę absurdalnie drętwą przemowę i patrzyłem, jak zastanawia się. Nie wiadomo czemu byłem pewien, że zaraz wstanie, podziękuje mi za poświęcony jej czas i wyjdzie. Byłbym rozczarowany, gdyby tak zrobiła. Spodobała mi się. Co więcej, spodobał mi się rzeczowy sposób, w jaki radziła sobie z problemem, w obliczu którego dziewięćdziesiąt na sto kobiet zmieniloby się w nieudolne i niegodne kłamczuchy,

przeżalone żywym zegarem w sobie i tak okropnie zawstydzone swoją sytuacją, że niezdolne radzić sobie z nią w jakikolwiek rozsądny sposób.

Podajrzewam, że dzisiaj wielu młodych ludzi uznałoby taki stan ducha za śmieszny, paskudny, a nawet niewiarygodny. Ludzie tak bardzo chcą zademonstrować swoją tolerancyjność, że ciężarna kobieta nie mająca obrączki bywa traktowana z większym szacunkiem od tej, która ją ma. Wy, panowie, na pewno dobrze pamiętacie czasy, gdy sprawy wyglądały zupełnie inaczej - czasy, gdy purytanizm w połączeniu z hipokryzją stawiała w niezwykle trudnej sytuacji kobietę, która wpadła w „tarapaty”. Wtedy ciężarna mężatka była promienną kobietą, pewną swej pozycji i dumną z dopełnienia tego, co uważała za swój obowiązek nałożony przez Boga. Niezameżna kobieta w ciąży była ladacznicą w oczach świata, a często również w swoich własnych. Była, używając określenia Elli Davidson, „łatwa”, a w tamtym świecie i czasach taką „łatwość” niechętnie wybaczano. Takie kobiety znikwały, żeby urodzić dzieci w innych miasteczkach lub miastach. Niektóre truły się lub skakały z okien. Inne szły do pokątnych aborcjonistów o brudnych rękach lub próbowały same wykonać zabieg; gdy pracowałem jako lekarz, cztery kobiety umarły na moich oczach w wyniku utraty krwi spowodowanej perforacją macicy - w jednym przypadku dokonaną ostrą szyjką butelki po Dr. Pepperze przywiązaną do kija od szczotki. Teraz trudno uwierzyć, że takie rzeczy zdarzały się, ale tak było, panowie. Było. Mówiąc po prostu, było to najgorsze, co mogło się przytrafić zdrowej, młodej kobiecie.

- W porządku - powiedziała w końcu. - To uczciwe postawienie sprawy. Nazywam się Sandra Stansfield.

I wyciągnęła rękę. Lekko osłupiał, ująłem ją i uściśnałem. Cieszę się, że Ella Davidson nie widziała mnie w tym momencie. Nie wygłosiłaby żadnych komentarzy, ale przez tydzień piłbym gorzką kawę.

Uśmiechnęła się - pewnie z mojej zdumionej miny - i spojrzała mi prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, doktorze McCarron. Potrzebuję teraz przyjaciela. Jestem przeżazona.

- Mogę to zrozumieć i spróbuję być pani przyjacielem, panno Stansfield. Czy jest coś, co mogę teraz dla pani zrobić?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej tani notesik oraz pióro. Otworzyła notes, przygotowała pióro i spojrzała na mnie. Przez jedną okropną chwilę sądziłem, że zamierza zapytać mnie o nazwisko i adres aborcjonisty. Potem powiedziała:

- Chciałabym wiedzieć, co powinnam jeść. Co będzie najzdrowsze dla dziecka.

Roześmiałem się w głos. Spojrzała na mnie z lekkim zdumieniem.

- Proszę wybaczyć. Chodzi o to, że jest pani taka rzeczowa.

- Chyba tak - odparła. - Przecież dziecko jest teraz najważniejsze, prawda, doktorze McCarron?

- Tak. Oczywiście, że tak. Mam broszurkę, którą daję wszystkim ciężarnym pacjentkom. Omawia dietę, wagę, picie, palenie i wiele innych spraw. Proszę się nie śmiać, gdy ją pani weźmie do ręki. Zraniłaby pani moje uczucia, ponieważ sam ją napisałem.

Tak też było i chociaż wtedy była to raczej ulotka niż broszurka, z czasem rozrosła się w książkę „Praktyczny przewodnik ciąży i porodu”. W tym okresie bardzo interesowałem się położnictwem i ginekologią - nadal mnie to ciekawi chociaż trudno było się w tym specjalizować, o ile nie miało się nadzwyczaj dobrych powiązań. A nawet wtedy zdobycie mocnej pozycji mogło zająć dziesięć do piętnastu lat. Wywiesiwszy moją tabliczkę w dość późnym wieku, z powodu wojny, uważałem, że nie mam czasu do stracenia. Wystarczała mi świadomość tego, że praktykując jako lekarz internista spotkam wiele szczęśliwych przyszłych matek i odbiorę wiele porodów. Tak też się stało; według moich ostatnich obliczeń odebrałem przeszło dwa tysiące dzieci - wystarczyłoby na wypełnienie pięćdziesięciu klas szkolnych.

Czytałem aktualną literaturę fachową na temat ciąży częściej niż z zakresu jakiegokolwiek innej gałęzi medycyny. A ponieważ byłem ambitnym entuzjastą, napisałem własną ulotkę, zamiast powtarzać bzdury, które tak często wmawiano w tamtych czasach młodym matkom. Nie będę wymieniał wszystkich takich idiotycznych poglądów - siedzielibyśmy tu całą noc, ale wspomnę o kilku.

Przyszłym matkom nakazywano jak najwięcej siedzieć lub leżeć, a już w żadnym wypadku nie odbywać dłuższych spacerów, które jakoby mogły spowodować poronienie lub uszkodzenie płodu. Poród jest procesem wymagającym znacznego wysiłku, więc równie dobrze można radzić piłkarzowi, żeby przygotowywał się do ważnego meczu, jak najwięcej siedząc aby się nie zmęczył! Inną świetłą radą udzielaną przez wielu lekarzy przyszłym matkom z umiarkowaną nadwagą było to, żeby zaczęły palić... palić! Takie rozumowanie najlepiej oddaje slogan reklamowy z tamtych czasów - „Lepszy Lucky niż słodycze”. Ludzie, którzy uważali, że wkraczając w dwudziesty wiek, jednocześnie wkroczyliśmy w wiek medycznego oświecenia i rozsądku, nie mieli pojęcia, jak ogromnie zacofane są niektóre dziedziny medycyny.

Może to i dobrze; inaczej osiwieliby.

Wręczyłem panie Stansfield broszurkę, a ona niezwykle uważnie studiowała ją przez jakieś pięć minut. Poprosiłem ją o pozwolenie zapalenia fajki i dała mi je z roztargnieniem, nie podnosząc głowy. Kiedy w końcu na mnie spojrzała, miała na ustach nikły uśmiech.

- Czy jest pan radykałem, doktorze McCarron? - zapytała.

- Dlaczego pani tak mówi? Ponieważ radzę przyszłym matkom, by raczej chodziły na zakupy niż jeździły zadymionym, trzęsącym metrem?

- „Witaminy prenatalne” cokolwiek to jest... zalecane pływanie... i ćwiczenia oddechowe! Jakie ćwiczenia oddechowe?

- To dopiero później i nie - nie jestem radykałem. Na pewno nie. Natomiast jestem o pięć minut spóźniony z następnym pacjentem.

- Och! Przepraszam.

Szybko podniosła się z krzesła, wpychając broszurkę do torebki.

- Nie ma za co.

Włożyła lekki płaszczyk, spoglądając przy tym na mnie tymi szczerymi, orzechowymi oczami.

- Nie - powiedziała. - Nie jest pan radykałem. Podejrzewam, że właściwie jest pan... spokojny? Czy to odpowiednie słowo?

- Mam nadzieję - odparłem. - To słowo, które lubię. Proszę porozmawiać z panią Davidson, ona poda pani plan wizyt. Chcę zobaczyć panią ponownie na początku przyszłego miesiąca.

- Pani Davidson nie aprobeuje mnie.

- Och, jestem przekonany, że nie ma pani racji.

Nigdy nie byłem dobrym łgarzem i dotychczasowy dobry nastrój nagle zniknął. Nie odprowadziłem jej do drzwi gabinetu.

- Panno Stansfield?

Odwróciła się do mnie i zmierzyła badawczym spojrzeniem.

- Czy zamierza pani zatrzymać dziecko?

Zastanowiła się nad moim pytaniem, a potem uśmiechnęła się - tym tajemniczym uśmiechem, który, moim zdaniem, znają tylko ciężarne kobiety.

- Och tak - powiedziała i wyszła.

Do końca dnia przyjąłem bliźnięta z bliźniaczymi przypadkami oparzenia sumakiem, przebiłem wrzód, usunąłem drobinę metalu z oka spawacza i odesłałem

jednego z moich starych pacjentów do White Memorial z czymś, co prawie na pewno było nowotworem. Zdążyłem zapomnieć o Sandrze Stansfield. Przypomniała mi o niej Ella Davidson, mówiąc:

- Może ona nie jest jednak taka uboga.

Podniosłem głowę znad karty ostatniego pacjenta. Oglądałem ją, czując to bezsensowne obrzydzenie, jakie odczuwa większość lekarzy, uświadamiając sobie, że są zupełnie bezradni i myśląc, że powinienem sprawić sobie pieczętą do takich kart - która zamiast PRZELEW NA KONTO czy ZAPŁACONO GOTÓWKĄ lub PACJENT WYPROWADZIŁ SIĘ głosiłaby po prostu WYROK ŚMIERCI. Może opatrzoną trupią czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, jak na buteleczkach z trucizną.

- Słucham?

- Pańska Jane Smith. Po dzisiejszej wizycie zrobiła coś bardzo dziwnego.

Pochylenie głowy i wygięcie kącików ust pani Davidson świadczyły, że była to jedna z tych dziwnych rzeczy, które aprobowała.

- Cóż takiego?

- Kiedy wręczyłam jej kartę wizyt, poprosiła mnie, żebym podliczyła ich koszt. Całkowity koszt. Włącznie z porodem i pobytem w szpitalu.

To było niezwykle, istotnie. Pamiętajcie, był tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty rok, a panna Stansfield sprawiała wrażenie kobiety zdanej na własne siły. Czyżby była dobrze sytuowana, choćby umiarkowanie dobrze? Nie sądziłem. Jej suknia, buty i rękawiczki były eleganckie, lecz nie nosiła biżuterii - nawet sztucznej. A ponadto ten kapelusik, zdecydowanie niemodny.

- Zrobiła pani to?

Pani Davidson popatrzyła na mnie, jakbym postradał zmysły.

- Czy zrobiłam? Oczywiście! A ona zapłaciła całą sumę. Gotówką.

Ten ostatni fakt, który najwidoczniej najbardziej zaskoczył panią Davidson (w bardzo miły sposób, oczywiście), mnie wcale nie zdziwił. Jedno, czego nie mogą robić Jane Smith tego świata, to wystawiać czeków.

- Wyjęła z torebki książeczkę bankową, otworzyła ją, odliczyła pieniądze i położyła je na biurku - ciągnęła pani Davidson. - Potem włożyła kwit do książeczki, schowała ją do torebki i pożegnała się. Całkiem niezłe, kiedy pomyśleć o tym, jak musimy ścigać niektórych z tych „szacownych” obywateli, żeby zapłacili rachunki!

Z jakiegoś powodu poczułem przygnębienie. Nie byłem zadowolony z tego, że ta Stansfield zrobiła coś takiego i że pani Davidson tak się tym cieszy, a także z siebie - z

jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem określić wtedy i nie potrafię teraz. Nie wiadomo dlaczego czułem się podle.

- Przecież nie mogła już teraz zapłacić za pobyt w szpitalu, prawda? - spytałem, czepiając się takiego śmiesznego drobiazgu, ale w tym momencie tylko w ten sposób mogłem wyrazić lekkie rozbawienie pomieszane z frustracją. - W końcu nie wiadomo jak długo tam zostanie. A może zaczęłaś wróżyć ze szklanej kuli, Ello?

- Mówiłam jej to samo, a ona zapytała, ile czasu trwa przeciętny pobyt po porodzie bez komplikacji. Powiedziałam jej, że sześć dni. Zgadza się, doktorze McCarron?

Musiałem przyznać, że tak.

- Na to ona stwierdziła, że zapłaci za sześć dni i jeśli potrwa to dłużej, to dopłaci różnicę, a jeżeli...

- ...krócej, to zwrócimy jej nadpłatę - dokończyłem ze znużeniem. Pomyślałem: Niech licho weźmie tę kobietę! - i roześmiałem się. Miała kręgosłup. Tego nie można było jej odmówić. Pod każdym względem.

Pani Davidson pozwoliła sobie na uśmiech... i jeśli czasem jestem skłonny, będąc już w tak podeszłym wieku, sądzić, iż wiem wszystko o naturze ludzkiej, próbuję przypomnieć sobie ten uśmiech. Do tamtego dnia dałbym głowę, że nigdy nie zobaczę, jak pani Davidson, jedna z najbardziej „statecznych” kobiet, jakie znałem, uśmiecha się czule na myśl o niezamężnej dziewczynie w ciąży.

- Kręgosłup? Nie wiem, doktorze. Jednak na pewno wie, czego chce. Na pewno.

Minął miesiąc i panna Stansfield przyszła punktualnie na spotkanie, wyłaniając się z tej ogromnej ludzkiej masy, jaką był Nowy Jork wtedy i jest dzisiaj. Nosiła świeżo wyglądającą niebieską suknię, której zdołała nadać jakąś oryginalność, wyjątkowość pomimo tego, że niewątpliwie wzięła ją z wieszaka spośród tuzinów takich samych. Buty nie pasowały kolorem; były to te same brązowe pantofelki, w których widziałem ją ostatnio.

Dokładnie zbadałem ją i nie stwierdziłem jakichkolwiek odchyień od normy. Powiedziałem jej o tym i ucieszyła się.

- Znalazłam te witaminy prenatalne, doktorze McCarron.

- Naprawdę? To dobrze.

W jej oczach pojawił się psotny błysk.

- Aptekarz odradzał mi je.

- Boże, ratuj mnie przed pigularzami - powiedziałem, a ona zachichotała, zasłaniając usta dłonią - dziecinny gest, rozbijający spontanicznością. - Nie spotkałem farmaceuty, który nie byłby niedoszłym lekarzem. I republikaninem. Witaminy prenatalne to nowość, dlatego traktowane są podejrzliwie.

Skorzystała pani z jego rady?

- Nie, z pańskiej. Pan jest moim lekarzem.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Spoważniała i spojrzała mi prosto w oczy. - Doktorze McCarron, kiedy to stanie się widoczne?

- Sądzę, że nie wcześniej jak w sierpniu. We wrześniu, jeśli zacznie pani nosić stroje, hmm... nieco luźniejsze.

- Dziękuję.

Podniosła torebkę, ale nie wstała, żeby od razu wyjść. Pomyślałem, że chce porozmawiać... i nie wiedziałem, od czego ani jak zacząć.

- Rozumiem, że jest pani kobietą pracującą?

Skinęła głową.

- Tak. Pracuję.

- Czy mogę zapytać gdzie? Jeśli pani nie chce...

Roześmiała się - słabym, pozbawionym wesołości śmiechem, tak różnym od poprzedniego chichotu jak noc od dnia.

- W sklepie. Co innego może robić niezamężna kobieta w mieście? Sprzedaję perfumy grubym damom, które farbują sobie włosy, a potem kręcą je w maleńkie loczki.

- Jak długo zostanie pani w pracy?

- Dopóki nie zauważą mojego stanu. Pewnie wtedy mnie zwolnią, żebym nie denerwowała grubych dam. Pod wpływem szoku wywołanego tym, że zostały obsłużone przez ciężarną kobietę bez obrączki, mogłyby rozprostować się im włosy.

Zupełnie nieoczekiwanie w jej oczach rozbłysły łzy. Jej wargi zaczęły drżeć, więc zacząłem szukać w kieszeni chusteczki. Jednak łzy nie popłynęły - ani jedna. Oczy dziewczyny zaszklily się, ale zamrugła i powstrzymała płacz. Zaciśnęła wargi... i znów rozluźniła je. Po prostu zdecydowała, że nie straci panowania nad sobą... i wzięła się w garść. To był fascynujący widok.

- Przepraszam - powiedziała. - Był pan dla mnie bardzo miły. Nie chcę odpłacać panu za pańską uprzejmość zupełnie banalną opowieścią.

Wstała, żeby wyjść, i ja się podniosłem.

- Jestem niezłym słuchaczem - powiedziałem - i mam trochę czasu. Mój następny pacjent odwołał wizytę.

- Nie - odparła. - Dziękuję, ale nie.

- W porządku - rzekłem. - Jednak jest coś jeszcze.

- Tak?

- Nie mam zwyczaju żądać od moich pacjentów - żadnego z moich pacjentów - zapłaty z góry za usługi, które dopiero będę im świadczył. Mam nadzieję, że... po prostu, gdyby pani chciała... albo musiała...

Umilkłem, zmieszany.

- Mieszkam w Nowym Jorku od czterech lat, doktorze McCarron i z natury jestem oszczędna. Od sierpnia - lub września - będę musiała żyć z oszczędności, dopóki znów nie pójde do pracy. Nie mam ich wiele i czasem, głównie nocami, bardzo się boję.

Spojrzała na mnie tymi cudownymi orzechowymi oczami.

- Uznałam, że będzie lepiej - bezpieczniej - jeśli zapłacę za dziecko od razu. Przed wszystkim. Ponieważ ono właśnie takie miejsce zajmuje w moich myślach i dlatego, że później mogłabym mieć znacznie większą pokusę, by wydać pieniądze.

- W porządku - rzekłem. - Jednak proszę pamiętać, że uważam to za zapłatę z góry. Gdyby były pani potrzebne, proszę tylko powiedzieć.

- I obudzić smoka w pani Davidson? - W jej oczach znów zapalił się psotny błysk. - Raczej nie. A teraz, doktorze...

- Zamierza pani pracować jak najdłużej? Tak długo, jak się da?

- Tak. Muszę. Dlaczego pan pyta?

- Zanim pani pójdzie, chyba muszę panią trochę postraszyć.

Szeroko otworzyła oczy.

- Proszę tego nie robić. I tak jestem już dostatecznie wystraszona.

- Właśnie dlatego zamierzam to zrobić. Proszę jeszcze usiąść, panno Stansfield.

A kiedy nadał stała, dodałem:

- Proszę.

Usiadła, niechętnie.

- Znalazła się pani w trudnej i nieprzyjemnej sytuacji powiedziałem, siadając na rogu biurka. - I radzi sobie pani z nią w sposób godny podziwu.

Zaczęła coś mówić, ale powstrzymałem ją, unosząc rękę.

- To dobrze. Szanuję panią za to. Jednak nie chciałbym, żeby troszcząc się o zabezpieczenie finansowe, zrobiła pani jakąś krzywdę dziecku. Miałem pacjentkę, która - mimo moich stanowczych sprzeciwów - miesiąc po miesiącu krępowała się gorsetem, ściskając go coraz mocniej w miarę rozwoju ciąży. Była próżną, głupią, męczącą kobietą i nie sądzę, aby naprawdę chciała tego dziecka. Nie jestem zwolennikiem tych licznych teorii o wpływie podświadomości, o jakich wszyscy zdają się obecnie dyskutować, lecz gdybym był, powiedziałbym, iż ona albo pewna jej część - próbowała zabić to dziecko.

- I zabiła? - spytała z nieprzeniknioną miną.

- Nie, bynajmniej. Jednak dziecko urodziło się niedorozwinięte. Bardzo możliwe, że i tak byłoby upośledzone i wcale nie twierdzę inaczej - prawie nic nie wiemy o przyczynach takich przypadków. Równie dobrze jednak mogła to być jej wina.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Nie chce pan, żebym... żebym krępowała się tak, aby pracować miesiąc czy półtora dłużej. Przyznaję, że taka myśl przyszła mi do głowy. Dlatego... dziękuję, że mnie pan nastraszył.

Tym razem odprowadziłem ją do drzwi. Chciałem zapytać ją, jak dużo - lub jak mało - pozostało jej oszczędności i jak sobie zdoła poradzić. Jednak dobrze wiedziałem, że nie odpowiedziałaby na takie pytanie. Tak więc tylko pożegnałem się z nią, żartując o witaminach. Odeszła. Przez następny miesiąc zdarzało mi się myśleć o niej w różnych dziwnych chwilach i...

W tym momencie Johanssen przerwał McCarronowi. Byli starymi przyjaciółmi, więc chyba to dawało mu prawo zadać pytanie, które na pewno przyszło do głowy nam wszystkim.

- Kochałeś ją, Emlyn? Czy dlatego o tym mówisz, o jej oczach, uśmiechu i o tym, jak „myślałeś o niej w różnych dziwnych chwilach”?

Sądziłem, że McCarron zirytuje się, że mu przerwano, ale wcale nie był zły.

- Masz prawo zadać to pytanie - rzekł i zamilkł, spoglądając w ogień. Wydawało się, że zapadł w drzemkę. Nagle eksplodował suchy sęk, wysyłając do komina snop iskier i McCarron spojrzał wokół, najpierw na Johanssena, a potem na pozostałych.

- Nie. Nie kochałem jej. To co o niej powiedziałem, może brzmieć jak spostrzeżenia człowieka, który jest zakochany o jej oczach, ubiorze, jej śmiechu.

Zapalił fajkę specjalną, podobną do rygła zapalniczką, wciągając dym, aż zajął

się tytoń. Potem zamknął zapalniczkę, schował ją do kieszeni marynarki i wydmuchnął siwy kłęb, który powoli uniośł się nad jego głową aromatyczną kurtyną.

- Podziwiałem ją. Tak trzeba to ująć. A ten podziw rósł z każdą jej wizytą. Pewnie niektórzy z was sądzą, że to opowieść o nie spełnionej miłości. Nic bardziej błędnego. Przez następne pół roku kawałek po kawałku poznałem jej historię i kiedy ją usłyszycie, zapewne zgodzicie się, że była tak banalna, jak twierdziła panna Stansfield. Wielkie miasto zwabiło ją jak tysiące innych dziewcząt; przyjechała z małego miasteczka...

...w Iowa lub Nebrasce. A może z Minnesoty - naprawdę już nie pamiętam. W swoim miasteczku występowała w szkolnych przedstawieniach i w amatorskim teatrze - dostawała dobre recenzje w lokalnej gazecie od krytyków teatralnych z dyplomami anglistyki z Cow lub Sileage Junior College i przyjechała do Nowego Jorku spróbować sił jako aktorka.

Podchodziła do tego dość praktycznie - przynajmniej na tyle, na ile można traktować taką niepraktyczną ambicję. Przybyła do Nowego Jorku, powiedziała mi, nie dlatego, by wierzyła w to, co między wierszami można wyczytać w tygodnikach filmowych: że każda dziewczyna przybywająca do Hollywood może zostać gwiazdą, że jednego dnia może popijać wodę sodową w drugistorze Schwaba, a na drugi grać u boku Clarka Gable'a lub MacMurraya. Przyjechała do Nowego Jorku, powiedziała, ponieważ sądziła, że tu może być łatwiej zrobić krok w górę... i zapewne dlatego, że tradycyjny teatr interesował ją bardziej niż kino.

Dostała pracę w dziale perfumeryjnym dużego domu towarowego i zapisała się na kurs aktorski. Była mądra i zdecydowana, ta dziewczyna - miała silną wolę i ambicję - ale była tylko człowiekiem. A ponadto była samotna. Samotna w taki sposób, jaki odczuwają chyba tylko dziewczyny niedawno przybyłe z małego miasteczka na środkowym zachodzie. Tęsknota za domem nie zawsze jest niejasnym, nostalgicznym, niemal pięknym uczuciem, chociaż nie wiedzieć czemu na ogół tak o niej myślimy. Może być okrutnie tnącym ostrzem, powodującym prawdziwą, nie metaforyczną chorobę. Może zmieniać sposób, w jaki patrzy się na świat; twarze widziane na ulicy stają się nie obojętne, lecz wręcz brzydkie... a nawet groźne. Tęsknota za domem to choroba - ból wyrwanej z korzeniami rośliny.

Panna Stansfield, jakkolwiek godna podziwu i zdecydowania, nie była na nią odporna. Reszta jest tak banalna, że nie trzeba jej opowiadać. W klasie aktorskiej był

pewien młody człowiek. Umówili się kilkakrotnie. Nie kochała go, ale potrzebowała przyjaciela. Zanim odkryła, że on nie jest nim i nigdy nie będzie, doszło do dwóch zbliżeń. Seksualnych zbliżeń. Zaszła w ciążę. Powiedziała o tym temu młodemu człowiekowi, który obiecał, że będzie przy niej i zachowa się „jak należy”. Tydzień później wyprowadził się, nie zostawiając adresu. Wtedy przyszła do mnie.

W czwartym miesiącu ciąży nauczyłem pannę Stansfield metody oddychania - którą dzisiaj nazywamy metodą Lamaze'a. Rozumiecie, że w tamtych czasach nikt jeszcze nie słyszał o monsieur Lamaze.

W tamtych czasach... zauważyłem, że wciąż wtrącam to zdanie. Przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić - tak wiele z tego, o czym wam opowiedziałem i opowiem, wydarzyło się właśnie w ten sposób, ponieważ działo się „w tamtych czasach”.

A zatem... czterdzieści pięć lat temu izba porodowa w każdym dużym amerykańskim szpitalu wyglądała jak istny dom wariatów. Kobiety zanoszące się płaczem; krzyczące, że wołałyby umrzeć; wołające, że nie zniosą takiego bólu; wzywające Chrystusa, by wybaczył im grzechy; bluzgające potokami przekleństw i ryszotkowych słów, o znajomość jakich nigdy nie podejrzewaliby je ich mężowie i ojcowie. Wszystko to było powszechnie akceptowane, chociaż większość kobiet rodziła w niemal kompletnej ciszy, wydając jedynie ciche jęki, jakie zwykle łączą się z wysiłkiem fizycznym.

Przykro mi to mówić, ale częściową odpowiedzialność za takie historyczne reakcje ponosili lekarze. Historie o ciężarnych zasłyszane od przyjaciółek i krewnych również wywierały pewien wpływ. Wiercie mi: jeśli mówią wam, że coś zaboli, to będzie boleć. Większość bólu płynie z umysłu, a kiedy kobieta nabiera przekonania, iż akt narodzin jest potwornie bolesny, gdy informują ją o tym siostry, matka, zameżne przyjaciółki, a także jej lekarz - wtedy kobieta jest nastawiona, że będzie ją bolało.

Już po sześciu latach praktyki przyzwyczailem się do widoku kobiet usiłujących stawić czoło podwójnemu problemowi: nie tylko temu, że są w ciąży i muszą przygotować się na przyjęcie nowego życia, lecz również zaakceptować fakt - a większość z nich uważała to za fakt - że podążają doliną śmierci. Wiele z nich naprawdę usiłowało uporządkować swoje sprawy tak, że w razie gdyby umarły, ich mężowie mogli sobie bez nich poradzić.

Nie czas tutaj i nie miejsce na wykład o położnictwie, ale powinniście wiedzieć,

że na długo przed „tamtymi czasami” w krajach Zachodu poród rzeczywiście był bardzo niebezpieczny. Rewolucja, jaka od roku tysiąc dziewięćsetnego nastąpiła w medycynie, uczyniła akt narodzin znacznie bezpieczniejszym, jednak niewielu lekarzy fatygowało się, by wyjaśniać to przyszłym matkom. Bóg wie dlaczego. W świetle tego, czyż można się dziwić, że większość izb porodowych przypominała szpital polowy w Bellevue? Oto te biedne kobiety, których czas w końcu nadszedł, doświadczające czegoś, co ze względu na niemal wiktoriańskie normy przyzwoitości opisywano im jedynie ogólnikowo; te kobiety, których silnik nowego życia zaczął pracować na najwyższych obrotach. Czują zdumienie i nabożną cześć, którą natychmiast uznają za nieznośny ból, i większość z nich uważa, że znalazła się o włos od śmierci.

W trakcie moich studiów nad zagadnieniami ciąży odkryłem zasadę spokojnego porodu i metodę oddychania. Krzyk marnuje energię, którą lepiej zachować do wydania dziecka na świat, a ponadto powoduje hiperwentylację, która stawia organizm w stan pogotowia - nadmierny poziom adrenaliny, zwiększona potliwość i tętno - zupełnie niepotrzebnie. Metoda oddychania miała pomóc matkom skupić się na czekającym je zadaniu i uporać się z bólem, wykorzystując możliwości własnego ciała.

W tym czasie powszechnie stosowano ją w Indiach i Afryce; w Ameryce znali ją Indianie ze szczepów Szoszonów, Kiowa i Micmac; Eskimosi używali jej od zawsze; tymczasem, jak pewnie zgadliście, większość zachodnich lekarzy nie interesowała się nią. Jeden z moich kolegów - człowiek inteligentny jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku zwrócił mi maszynopis mojej broszury dla ciężarnych z przekreślonym na czerwono rozdziałem omawiającym metodę oddychania. Na marginesie dopisał, że gdyby chciał zaznajomić się z „takimi przesadami”, to przystanąłby przy kiosku i kupił sobie egzemplarz „Weird Tales”!

No cóż, nie usunąłem tego rozdziału z broszury, tak jak sugerował, ale trzeba przyznać, że stosowałem ją z różnymi rezultatami. Niektóre kobiety korzystały z niej z wielkim powodzeniem. Inne doskonale pojmowały zasadę, ale przestawały panować nad swoim ciałem, gdy tylko zaczęły się mocniejsze skurcze. W większości tych przypadków stwierdzałem, że cała idea została przekręcona lub wyśmiana przez życzliwe przyjaciółki i krewnych, którzy nigdy nie słyszeli o czymś takim, więc nie mogli uwierzyć, że to naprawdę działa.

Metoda opierała się na założeniu, że choć nie ma dwóch identycznych porodów, wszystkie są podobne do siebie. Można rozróżnić cztery fazy: kolki, skurcze,

narodziny i wyjście łożyska. Kolki polegają na mocnym naprężeniu mięśni brzucha i części biodrowej, a przyszłe matki czasem zaczynają je odczuwać już w szóstym miesiącu. Wiele pierwiastek spodziewa się czegoś naprawdę przykrego, jak kolka jelitowa, ale mówiono mi, że ból jest znacznie łagodniejszy - czysto mięśniowy, choć może przypominać ból nadwerężonej nogi. Czując takie klucie, kobieta stosująca metodę oddychania, zaczyna serię krótkich, kontrolowanych wdechów i wydechów. Każdy wydech należy wykonywać energicznie, jakby dęło się w trąbkę niczym Dizzy Gillespie.

W drugiej fazie, kiedy boleśniejsze skurcze następują mniej więcej co piętnaście minut, kobieta rozpoczyna długie wdechy poprzedzone długimi wydechami - tak oddycha maratończyk rozpoczynający finisz. Im silniejszy skurcz, tym dłuższy wdech i wydech. W mojej broszurce nazwałem to „pływaniem z falami”.

Ostatnią fazę, która nas interesuje, nazwałem „lokomocyjną”, a dzisiejsi instruktorzy określają ją jako fazę „hu-hu”. Samemu porodowi towarzyszą bóle najczęściej opisywane jako głębokie i gładkie. Towarzyszy im niepoohamowana potrzeba parcia... żeby wypchnąć dziecko. W tym momencie, panowie, ta cudowna, przerażająca maszyna życia wchodzi na najwyższe obroty. Szyjka macicy jest maksymalnie rozszerzona. Dziecko rozpoczyna krótką podróż kanałem rodnym, a gdybyście zajrzeli między nogi rodzącej, zapewne ujrzelibyście ciemniaczko noworodka, pulsujące zaledwie centymetry od ujścia. Matka stosująca metodę oddychania, zaczyna teraz krótkie, szybkie oddechy, nie napełniające płuc, nie powodujące hiperwentylacji, po prostu dysząc w kontrolowany sposób. Takie dźwięki wydają dzieci udające parowóz.

Wszystko to ma uspokajający wpływ na organizm matki utrzymuje się dostateczne natlenienie bez nadmiernego pobudzenia, a rodząca pozostaje przytomna i świadoma, mogąc odpowiadać na pytania i słuchać poleceń. Jednak jeszcze ważniejsze jest działanie metody oddychania na stan umysłu. Matka czuje, że aktywnie uczestniczy w narodzinach swojego dziecka - w pewnym stopniu kierując nim. Czuje, że panuje nad tym procesem... i nad bólem.

Łatwo zrozumieć, że skuteczność tej metody zależy od stanu umysłu pacjentki. Metoda oddychania jest niezwykle wymagająca i delikatna, a jej częstą zawodność mogę wyjaśnić następująco: pacjentka przekonana przez doktora nabiera wątpliwości, słuchając krewnych, którzy załamują ręce ze zgrozy, słuchając o takich pogańskich praktykach.

Pod tym względem panna Stansfield była idealną pacjentką. Nie miała przyjaciółek ani krewnych, którzy zniechęciliby ją do stosowania metody oddychania (choć muszę przyznać, że wątpię, aby ktokolwiek zdołał zniechęcić ją do czegokolwiek, skoro już podjęła decyzję), gdyby przekonała się do niej. A udało mi się ją przekonać.

- To trochę jak autohipnoza, prawda? - zapytała, gdy pierwszy raz dyskutowaliśmy o tym.

Przytaknąłem, zachwycony.

- Właśnie! Jednak nie powinna pani uważać tego za sztuczkę, inaczej zawiedzie panią, gdy sprawy przybiorą poważny obrót.

- Wcale tak nie uważam. Jestem panu bardzo wdzięczna. Będę ćwiczyła regularnie, doktorze McCarron.

Metoda oddychania była jakby specjalnie stworzona dla tej kobiety, więc kiedy panna Stansfield obiecała, że będzie ćwiczyć, mówiła szczerą prawdę. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś zapalał takim entuzjazmem... chociaż, co prawda, metoda oddychania doskonale pasowała do jej temperamentu. Na tym świecie są miliony potulnych mężczyzn i kobiet, a niektórzy z nich są naprawdę dobrymi ludźmi. Są też inni, którzy rwą się, by wziąć swoje życie we własne ręce, i panna Stansfield była jedną z nich.

Kiedy mówię, że całkowicie zaakceptowała metodę oddychania, naprawdę tak myślę... czego chyba dowodzi przebieg jej ostatniego dnia pracy w domu towarowym, gdzie sprzedawała perfumy i kosmetyki.

Była tam zatrudniona do końca sierpnia. Panna Stansfield była szczupłą młodą kobietą w dobrej formie fizycznej i - oczywiście - po raz pierwszy była w ciąży. Każdy lekarz powie wam, że po takiej pacjentce „nic nie widać” przez pięć, czy nawet sześć miesięcy... a potem, pewnego dnia, od razu widać wszystko.

Na początku września przyszła na comiesięczną kontrolę i ze smutnym uśmiechem powiedziała mi, że odkryła jeszcze jedno zastosowanie metody oddychania.

- Jakie? - spytałem.

- Skutkuje lepiej niż liczenie do dziesięciu, kiedy jest się na kogoś piekielnie wściekłym - powiedziała. Te orzechowe oczy rozbłysły nagle. - Chociaż ludzie patrzą na ciebie jak na wariata, gdy zaczynasz sapać i dyszeć.

Dość chętnie opowiedziała mi tę historię. W poprzedni poniedziałek poszła do pracy jak zwykle i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że w ciągu tamtego weekendu

zaszła w niej ta gwałtowna przemiana ze szczupłej młodej kobiety w ewidentnie ciężarną młodą kobietę - równie nagle jak w tropikach przejście dnia w noc. A może po prostu podejrzenia jej zwierchniczki przerodziły się w pewność.

- Podczas przerwy chcę cię zobaczyć w moim biurze - rzuciła zimno ta kobieta, niejaka pani Kelly. Upřednio była bardzo miła dla panny Stansfield. Pokazała jej zdjęcie swoich dwóch synów, którzy uczęszczali do szkoły średniej, a kiedyś nawet wymieniały przepisy kulinarne. Pani Kelly zawsze pytała ją, czy już znalazła sobie „jakiegoś miłego chłopca”. Teraz przestała być sympatyczna i przyjacielska. Panna Stansfield powiedziała mi, że wchodząc na przerwie do gabinetu pani Kelly, wiedziała, czego oczekiwać.

- Masz kłopoty - stwierdziła krótko ta dotychczas miła kobieta.

- Tak - odparła panna Stansfield. - Niektórzy tak to nazywają.

Policzki pani Kelly przybrały barwę starej cegły.

- Nie bądź taka sprytna, młoda damo. Sądząc po twoim wyglądzie, już byłaś za sprytna.

Kiedy opowiadała mi o tym, oczami duszy widziałem je obie: pannę Stansfield mierzącą panią Kelly bacznym spojrzeniem, zupełnie spokojną, nie zamierzającą spuszczać oczu, płakać czy w jakikolwiek sposób okazywać wstyd. Jestem przekonany, że znacznie lepiej zdawała sobie sprawę z kłopotów, jakie ją czekają, niż jej zwierchniczka z dwojgiem prawie dorosłych dzieci i powszechnie szanowanym mężem, który posiadał zakład fryzjerski i głosował na republikanów.

- Muszę powiedzieć, że najwidoczniej nie wstydzisz się tego, że tak mnie oszukałaś! - wypaliła ze złością pani Kelly.

- Nigdy pani nie oszukałam. Aż do dziś nigdy nie było mowy o mojej ciąży. - Ze zdziwieniem spojrziała na panią Kelly. - Jak może pani twierdzić, że ją oszukałam?

- Zaprosiłam cię do domu! - krzyknęła pani Kelly. - Na obiad... z moimi synami. - Z pogardą spojrziała na pannę Stansfield.

Wtedy w pannie Stansfield zaczął wzbierać gniew. Powiedziała mi, że rozgniewała się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Nie była nieświadoma reakcji, jakich może oczekiwać, gdy sekret wyjdzie na jaw, lecz jak wszyscy panowie przyznają, różnica między teorią a praktyką czasem może być szokująco wielka.

Mocno ściskając dłonie na podolku, panna Stansfield wypaliła:

- Jeśli sugeruje pani, że podjęłam lub kiedykolwiek podejmę jakąkolwiek próbę uwiedzenia pani synów, to jest to najnikczemniejsze, najnędniesze kłamstwo, jakie

słyszałam w życiu.

Pani Kelly poderwała głowę, jakby ją spoliczkowano. Ceglaste rumieńce zniknęły jej z policzków, pozostawiając tylko dwie czerwone plamy. Obie kobiety ponuro spoglądały na siebie nad biurkiem zastawionym próbkami perfum, w pokoju słabo pachnącym kwiatami. Ta chwila, powiedziała mi panna Stansfield, wydawała się nieskończenie długa.

Potem pani Kelly gwałtownym ruchem otworzyła szufladę i wyjęła ciemnożółty czek z dołączonym do niego różowym formularzem zwolnienia. Zaciskając zęby, cedząc każde słowo, oznajmiła:

- Skoro setki porządnych dziewcząt szukają pracy w tym mieście, nie sądzę, żebyśmy musieli zatrudniać taką ulicznicę jak ty, moja droga.

Panna Stansfield powiedziała mi, że to końcowe, pogardliwe „moja droga” zdenerwowało ją najbardziej. Chwilę później pani Kelly rozdziawiła usta i szeroko otworzyła oczy, gdy panna Stansfield, zaciskając dłonie tak mocno, jak ogniwa stalowego łańcucha, tak mocno, że zostały na nich sińce (znikające, ale wciąż dobrze widoczne, gdy przyszła do mnie pierwszego września), zaczęła dyszeć jak lokomotywa przez zaciśnięte zęby.

Może nie było to zabawne, ale na myśl o tym wybuchnąłem śmiechem, a panna Stansfield przyłączyła się do mnie. Pani Davidson zajrzała do gabinetu - chyba upewniając się, że nie zaczęliśmy wdychać tlenu azotu - i zaraz wyszła.

- Nic innego nie przyszło mi do głowy - powiedziała panna Stansfield, wciąż śmiejąc się i ocierając oczy chusteczką. - Ponieważ w tym momencie zobaczyłam, jak sięgam i po prostu strącam te buteleczki perfum - co do jednej - z jej biurka na podłogę, która była cementowa i niczym nie nakryta. Nie tylko pomyślałam o tym, lecz widziałam to! Widziałam, jak rozbijają się na podłodze i napęniają ten pokój tak potwornym odorem, że trzeba będzie go okadzać. Zamierzałam to zrobić; nie mogło mnie powstrzymać. A potem zaczęłam udawać lokomotywę i wszystko było dobrze. Zdołałam wziąć czek, zabrać różowy formularz, wstać i wyjść. Oczywiście, nie mogłam jej podziękować - nadal dyszałam jak parowóz!

Znów roześmialiśmy się, lecz zaraz spoważniała.

- Teraz już mi przeszło i nawet trochę mi jej żal - choć może jestem strasznie wyniosła, mówiąc coś takiego?

- Wcale nie. Uważam za godne podziwu, że tak to pani odczuwa.

- Czy mogę pokazać panu coś, co kupiłam za pieniądze z odprawy, doktorze

McCarron?

- Tak, jeśli pani chce.

Otworzyła torebkę i wyjęła małe płaskie pudełeczko.

- Kupiłam to w lombardzie - oznajmiła. - Za dwa dolary. I to jedyna rzecz w całym tym koszmarze, której się wstydzę. Czy to nie dziwne?

Otworzyła pudełko i położyła na moim biurku, tak że mogłem zajrzeć do środka. Nie zdziwiło mnie to, co ujrzałem. To była zwykła złota obrączka.

- Zrobię to, co konieczne - wyjaśniła panna Stansfield. Mieszkam w czymś, co pani Kelly nazwałaby „szacownym pensjonatem”. Moja gospodyni była miła i przyjacielska... ale pani Kelly też była miła i przyjacielska. Myślę, że w każdej chwili może mi wymówić mieszkanie, i podejrzewam, że jeśli powiem coś o zwrocie czynszu albo kaucji, jaką wpłaciłam, wprowadzając się, roześmieje mi się w twarz.

- Szanowna młoda damo, to byłoby nielegalne. Są sądy i adwokaci, którzy pomogą w takich...

- Sądy to męskie kluby - wtrąciła - które nie pokwapią się pomóc kobiecie w mojej sytuacji. Może zdołałabym odzyskać pieniądze, a może nie. W każdym razie koszt, kłopot i... nieprzyjemności... nie wydają się warte tych czterdziestu siedmiu dolarów. W ogóle nie powinnam o tym wspominać. Jeszcze do tego nie doszło i może nie dojdzie. Jednak w obu wypadkach zamierzam podejść do tego rzeczowo. - Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. - Mam na oku mieszkanie w Village - na wszelki wypadek. Znajduje się na trzecim piętrze, ale jest czyste i o pięć dolarów miesięcznie tańsze od tego, w którym mieszkam teraz. - Wyjęła obrączkę z pudełka. - Włożyłam ją, kiedy gospodyni pokazywała mi pokój. - Wsunęła ją na środkowy palec lewej ręki z lekkim grymasem niesmaku, z którego chyba nie zdawała sobie sprawy. - Już. Teraz jestem panią Stansfield. Mój mąż był kierowcą ciężarówki i zginął na trasie Pittsburgh - Nowy Jork. Jednak nie jestem już małą, nic niewartą ulicznicą, a moje dziecko nie będzie już bękartem.

Spojrzała na mnie i znów w jej oczach zabłyśły łzy. Jedna z nich spadła i potoczyła się po policzku.

- Proszę - powiedziałem z przygnębieniem i sięgnąwszy nad biurkiem, ująłem jej dłoń. Była zimna, bardzo zimna. Nie trzeba, moja droga.

Obróciła dłoń - lewą - w moją rękę i spojrzała na obrączkę. Uśmiechnęła się i ten uśmiech był gorzki jak żółć, panowie. Uroniła jeszcze jedną łzę - ostatnią.

- Kiedy usłyszę, jak cynicy mówią, że dni magii i cudów minęły, doktorze

McCarron, będę wiedziała, że się mylą, prawda? Skoro można za dwa dolary kupić w lombardzie obrączkę, która natychmiast zdejmuje piętno nieprawego pochodzenia i rozwiązłości, jakże to nazwać, jeśli nie czarami? Tanią magią.

- Panno Stansfield... Sandro, jeśli mogę... jeżeli potrzebujesz pomocy, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

Zabrała rękę - gdybym ujął ją za prawą, a nie lewą dłoń, może nie zrobiłaby tego. Nie kochałem jej, jak już mówiłem, ale w tym momencie mógłbym ją pokochać; niewiele brakowało, a zakochałbym się w niej. Może gdybym wziął nie tę rękę, na której miała obrączkę, i gdyby pozwoliła mi potrzymać ją chwilę dłużej, aż ogrzałaby się w mojej, zapewne tak by się stało.

- Jest pan dobrym, miłym człowiekiem i wiele zrobił pan dla mnie i mojego dziecka... a pańska metoda oddychania to znacznie lepsza magia niż ta okropna obrączka. W końcu dzięki niej uniknęłam aresztowania pod zarzutem dokonania rozmyślnych zniszczeń, prawda?

Wyszła wkrótce potem, a ja podszedłem do okna, aby patrzeć, jak idzie ulicą w kierunku Piątej Alei. Boże, po prostu ją podziwiałem! Była tak szczupła, tak młoda i tak wyraźnie w ciąży - ale nie miała w sobie cienia niepewności czy bojaźliwości. Nie przemykała się ulicą; szła jak ktoś mający prawo do swego miejsca na chodniku.

Zniknęła mi z oczu, a ja wróciłem za biurko. Wtedy spojrzałem na oprawioną w ramki fotografię wiszącą obok mojego dyplomu i nagle zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Na całym ciele - tak, nawet na czole i na grzbietach rąk - dostałem gęsiej skórki. Dławiący strach, najgorszy, jaki przeżyłem w życiu, opadł na mnie jak ciężki całun i stwierdziłem, że z trudem łapię oddech. Miałem przeczucie, panowie. Nie biorę udziału w sporach o to, czy takie rzeczy zdarzają się, czy nie; ja wiem, że tak, ponieważ sam to przeżyłem. Właśnie wtedy, w tamto upalne popołudnie na początku sierpnia. Modłę się do Boga, żebym nigdy nie poczuł tego ponownie.

Zdjęcie wykonała moja matka w dniu, w którym skończyłem studia. Ukazywało mnie stojącego przed White Memorial, z założonymi do tyłu rękami, uśmiechającego się jak dzieciak, który właśnie dostał całodzienny karnet do Palisades Park. Po mojej lewej ręce stał posąg Harriet White i chociaż na zdjęciu został ucięty na wysokości połowy łydek, piedestał z tą dziwnie bezduszną inskrypcją - „Nie ma przyjemności bez bólu; zatem dostępujemy zbawienia przez cierpienie” - był wyraźnie widoczny. To u stóp posągu pierwszej żony mojego ojca, tuż pod tym napisem, Sandra Stansfield zginęła niecałe cztery miesiące później w bezsensownym wypadku, do którego doszło,

gdy jechała do szpitala urodzić dziecko.

Tamtej jesieni martwiła się, że nie będzie mnie przy niej podczas porodu - że będę na świątecznym urlopie albo nieosiągalny. Trochę niepokoiła się, że trafi na jakiegoś lekarza, który zignoruje jej chęć skorzystania z metody oddychania i zamiast tego zastosuje narkozę lub znieczulenie rdzeniowe.

Pocieszałem ją najlepiej, jak umiałem. Nie miałem powodu, by opuszczać miasto, ani żadnej rodziny, którą odwiedzałbym w czasie świąt. Powiedziałem pannie Stansfield, że moja matka umarła dwa lata temu i pozostała mi tylko stara ciotka w Kalifornii... a ponadto nie lubię podróży pociągami.

- Nie czuje się pan czasami samotny? - zapytała.

- Rzadko. Zazwyczaj jestem zbyt zajęty. O, proszę to wziąć. - Napisałem na wizytówce mój domowy numer telefonu i wręczyłem jej. - Kiedy zacznie pani rodziców, a tutaj odezwie się automatyczna sekretarka, proszę zadzwonić pod ten numer.

- Och nie, nie mogłabym...

- Chce pani skorzystać z metody oddychania, czy też trafić na jakiegoś konowala, który uzna panią za wariatkę i poda eter, gdy tylko zacznie pani udawać lokomotywę?

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. Przekonał mnie pan.

Jednak w miarę jak mijała jesień, a rzeźnicy na Trzeciej Alei zaczęli wywieszać ceny za funt „młodych i soczystych steków”, stało się jasne, że panna Stansfield wciąż była niespokojna. Rzeczywiście, poproszono ją, żeby opuściła dotychczas wynajmowane mieszkanie, więc przeniosła się do Village. Przynajmniej to wyszło jej na dobre. Nawet znalazła pewnego rodzaju pracę. Niewidoma, dość dobrze sytuowana kobieta zatrudniła ją przy lekkich pracach domowych, a także do czytania dzieł Gene'a Strattona Portera oraz Pearl'a Bucka. Mieszkała na pierwszym piętrze budynku, do którego przeprowadziła się panna Stansfield. Moja pacjentka miała teraz ten kwitnący, różany wygląd, jakiego większość zdrowych kobiet nabiera w ostatnim trymestrze ciąży. Na jej twarzy pozostał cień. Gdy mówiłem coś do niej, odpowiadała dopiero po chwili... a kiedyś, gdy nie odpowiedziała w ogóle, podniosłem głowę nad sporządzanych notatek i zobaczyłem, że z dziwnym, zamyślnym wyrazem twarzy spogląda na oprawioną w ramki fotografię obok mojego dyplomu. Znów poczułem zimny dreszcz... a jej odpowiedź, zupełnie bez związku z pytaniem, jakie jej zadałem,

wcale nie poprawiła mi samopoczucia.

- Mam wrażenie, doktorze McCarron, czasem bardzo silne wrażenie, że jestem zgubiona.

Głupie, melodramatyczne słowo! A jednak, panowie, na usta cisnęła mi się odpowiedź: Tak, ja również to czuję. Oczywiście zmilczałem; lekarz mówiący coś takiego pacjentowi powinien niezwłocznie wystawić na sprzedaż swoje podręczniki oraz instrumenty i poszukać innej pracy - jako hydraulik lub stolarz.

Powiedziałem jej, że nie jest ani pierwszą, ani ostatnią kobietą mającą takie odczucia. Wyjaśniłem, że to uczucie występuje tak często, że lekarze nadali mu zwyczajową nazwę syndromu doliny cieni. Wydaje mi się, że już o tym dziś wspominałem.

Panna Stansfield poważnie skinęła głową i pamiętam, jak młodo wtedy wyglądała i jaki duży miała brzuch.

- Wiem - odparła. - Czułam to. Jednak to coś zupełnie innego. Mam wrażenie, że... że coś nade mną wisi. Nie potrafię tego lepiej ująć. To głupie, lecz nie mogę pozbyć się tego wrażenia.

- Musi pani spróbować - rzekłem. - To nie jest dobre dla...

Jednak nie słuchała mnie. Znów patrzyła na zdjęcie.

- Kto to?

- Emlyn McCarron - odpowiedziałem, usiłując obrócić wszystko w żart. Wypadł niezwykle blado. - Przed wojną domową, kiedy był jeszcze młody.

- Nie, oczywiście rozpoznałam pana - powiedziała. - Pytam o kobietę. Można poznać, że to kobieta, po rąbku sukni i butach. Kim ona jest?

- Nazywa się Harriet White - odparłem i pomyślałem: I jej twarz będzie pierwszą, jaką zobaczysz, kiedy przybędziesz tam rodzić. Znowu przeszedł mnie dreszcz - ten okropny, bezzasadny chłód.

- A co głosi napis na podstawie posągu? - spytała, wciąż zamyślona, jakby w transie.

- Nie wiem - skłamałem. - Moja znajomość łaciny nie jest aż tak dobra.

Tamtej nocy miałem najgorszy sen w życiu - przebudziłem się kompletnie przerażony i gdybym był żonaty, zapewne przestraszyłbym moją biedną małżonkę na śmierć.

W tym śnie otworzyłem drzwi gabinetu i zastałem w nim Sandrę Stansfield. Miała na sobie te brązowe pantofelki, elegancką lnianą sukienkę z brązowymi

aplikacjami i trochę niemodny kapelusik. Jednak ten kapelusz spoczywał na jej piersiach, ponieważ trzymała głowę w rękach. Białe płótno było poplamione i zbryzgane posoką. Krew tryskała z jej szyi i opryskiwała sufit.

A potem zamrugała oczami - tymi cudownymi orzechowymi oczami - i spojrzała na mnie.

- Zgubiona - powiedziała do mnie mówiąca głowa. Zgubiona. Jestem zgubiona. Nie ma zbawienia bez cierpienia. To tania magia, lecz tylko na taką nas stać.

Wtedy obudziłem się z krzykiem.

Wyznaczony na dziesiątego grudnia termin porodu nadszedł i minął. Zbadałem ją siedemnastego grudnia i stwierdziłem, że choć dziecko niewątpliwie urodzi się jeszcze w tym roku, nie spodziewam się jego lub jej przyjścia na świat przed Bożym Narodzeniem. Panna Stansfield przyjęła to spokojnie. Wydawało się, że zapomniała o ponurych przeczuciach trapiących ją całą jesień. Niewidoma pani Gibbs, zatrudniająca ją do czytania i lżejszych prac domowych, była pod jej wrażeniem na tyle, by opowiedzieć przyjaciółkom o dzielnej młodej wdowie, która mimo utraty drogiej osoby i odmiennego stanu z taką determinacją i pogodą ducha spogląda w przyszłość. Kilka tych przyjaciółek wyraziło zainteresowanie zatrudnieniem mojej pacjentki, kiedy już urodzi dziecko.

- Skorzystam z tych propozycji - powiedziała mi panna Stansfield. - Ze względu na dziecko. Jednak tylko do czasu aż stanę na nogi i zdołam znaleźć stałą pracę. Czasem myślę, że najgorsze w tym - ze wszystkiego, co się zdarzyło - jest zmiana sposobu, w jaki patrzę na ludzi. Czasem myślę sobie: Jak możesz spać w nocy, wiedząc, że oszukałaś tę miłą starszą panią, a potem myślę: Gdyby wiedziała, pokazałyby ci drzwi, tak samo jak tamte. Mimo wszystko, kłamstwo pozostaje kłamstwem i czasem leży mi kamieniem na sercu.

Zanim wyszła, wyjęła z torebki małą, opakowaną w kolorowy papier paczuszkę i nieśmiało położyła mi ją na biurku.

- Wesółych świąt, doktorze McCarron.

- Nie powinna pani - powiedziałem, otwierając szufladę i wyjmując podobną paczuszkę. - Jednak skoro i ja...

Przez moment spoglądała na mnie ze zdziwieniem... a potem oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Podarowała mi srebrną spinkę do krawata z kaduceuszem. Ja sprezentowałem jej album, w którym będzie mogła przechowywać zdjęcia dziecka.

Wciąż mam tę spinkę; jak widzicie, panowie, przypiąłem ją dzisiaj. Nie mam pojęcia, co stało się z albumem.

Odprowadziłem ją do drzwi, a kiedy do nich doszliśmy, odwróciła się, położyła mi ręce na ramionach, stanęła na palcach i pocałowała mnie w usta. Jej wargi były chłodne i miękkie. Nie był to namiętny pocałunek, panowie, ale też nie taki, jakiego można by oczekiwać od siostry czy ciotki.

- Jeszcze raz dziękuję, doktorze McCarron - powiedziała lekko zdyszana. Na policzkach miała rumieńce, a w orzechowych oczach wesoły błysk. - Bardzo, bardzo dziękuję.

Roześmiałem się - trochę niepewnie.

- Mówisz, jakbyśmy już nigdy nie mieli się zobaczyć, Sandro.

Po raz drugi i chyba ostatni zwróciłem się do niej po imieniu.

- Och, zobaczymy się - odparła. - Ani trochę w to nie wątpię.

I miała rację - chociaż żadne z nas nie mogło przewidzieć, w jak okropnych okolicznościach dojdzie do naszego ostatniego spotkania.

Sandra Stansfield zaczęła rodzić w Wigilię, tuż po szóstej wieczorem. Do tego czasu padający przez cały dzień śnieg zmienił się w błoto. A zanim panna Stansfield weszła w drugą fazę porodu, niecałe dwie godziny później, ulice zmieniły się w niebezpieczne lodowiska.

Niewidoma pani Gibbs zajmowała obszerne i komfortowe mieszkanie na pierwszym piętrze. O szóstej trzydzieści panna Stansfield ostrożnie zeszła po schodach, zapukała do drzwi, została wpuszczona i spytała, czy mogłaby skorzystać z telefonu.

- Dziecko, moja droga? - zapytała pani Gibbs, cała rozdygotana.

- Tak. Skurcze dopiero się zaczęły, ale nie mogę ryzykować przy takiej pogodzie. Trzeba będzie długo czekać na taksówkę.

Wezwała taksówkę, a potem zadzwoniła do mnie. W tym momencie, o szóstej czterdzieści, skurcze powtarzały się co dwadzieścia pięć minut. Powtórzyła mi, że jedzie do szpitala wcześniej ze względu na kiepską pogodę.

- Wolałabym nie urodzić na tylnym siedzeniu taksówki powiedziała. Była bardzo opanowana.

Taksówka przyjechała późno, a poród panny Stansfield przebiegał szybciej, niż mógłbym się spodziewać - jak już mówiłem, nie ma dwóch identycznych przypadków.

Kierowca, widząc, że jego pasażerka będzie rodzić, pomógł jej zejść po śliskich schodach, nieustannie prosząc, żeby była ostrożna.

Panna Stansfield tylko kiwnęła głową, zajęta robieniem głębokich wdechów, gdyż znów chwyciły ją bóle. Śnieg z deszczem oblepiał latarnie i dachy samochodów; topniał wielkimi, powiększającymi kroplami na żółtym „kogucie” taksówki. Pani Gibbs powiedziała mi później, że młody kierowca taksówki był bardziej zdenerwowany niż jej „biedna, droga Sandra”, co zapewne stało się jedną z przyczyn wypadku.

Inną niemal na pewno była sama metoda oddychania.

Kierowca przedzierał się przez śliskie ulice, uważnie manewrując między innymi samochodami i przez zapchane skrzyżowania, powoli zbliżając się do szpitala. Nie został poważnie ranny w wypadku i rozmawiałem z nim później, w szpitalu. Powiedział, że niepokoiły go odgłosy miarowych oddechów, dobiegające z tylnego siedzenia; wciąż spoglądał we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy „nic jej nie jest”. Powiedział, że byłby mniej zdenerwowany, gdyby krzyknęła sobie parę razy, jak powinna to robić rodząca kobieta. Raz czy dwa zapytał, czy dobrze się czuje, a ona tylko skinęła głową, nadal „płynąc z falami”, wykonując głębokie wdechy i wydechy.

Dwie lub trzy przecznice od szpitala musiała poczuć nadejście ostatniej fazy porodu. Minęła godzina, od kiedy wsiadła do taksówki - był tak duży ruch - jednak był to i tak niezwykle szybki poród jak na pierwiastkę. Kierowca zauważył zmianę sposobu, w jaki oddychała.

- Zaczęła dyszeć jak pies w upalny dzień, doktorze - powiedział mi.

Panna Stansfield zaczęła „udawać lokomotywę”.

Niemal w tej samej chwili kierowca dostrzegł lukę w strumieniu pojazdów i wpadł w nią. Miał teraz wolną drogę do White Memorial. Od szpitala dzieliły ich trzy przecznice.

- Widziałem już posąg tej baby - powiedział.

Chcąc jak najszybciej pozbyć się dyszącej, ciężarnej pasażerki, mocno nadepnął na gaz i taksówka skoczyła naprzód, ślizgając się na zapewniającym ledwie odrobinę tarcia lodzie.

Szedłem do szpitala pieszo i moje nadejście zbiegło się z przyjazdem taksówki tylko dlatego, że nie doceniłem wpływu pogody na warunki jazdy. Sądziłem, że zastanę pacjentkę w szpitalu, przyjętą na oddział, przygotowaną do porodu i wchodzącą w ostatnie jego stadium. Szedłem po schodach, gdy na tafli lodu nie

posypanej jeszcze piaskiem przez dozorców ujrzałem gwałtownie zbiegające się światła dwóch par reflektorów. Odwróciłem się w samą porę, żeby to zobaczyć.

Kiedy taksówka panny Stansfield dojeżdżała do szpitala, ze stanowiska przed stacją pogotowia odjeżdżała karetka. Taksówkarz jechał za szybko, żeby zahamować. Wpadł w panikę i zamiast pompować pedałem hamulca, nadepnął nań. Wóz wpadł w poślizg i zaczął sunąć bokiem. Pulsujący migacz ambulansu rzucał na tę scenę smugi oraz plamy krwistoczerwonego światła i - przedziwnym kaprysem losu - jedna z nich oświetliła twarz Sandry Stansfield. Przez moment była to twarz z moich snów, ta sama zakrwawiona twarz z otwartymi oczami tkwiącymi w odciętej głowie.

Krzyknąłem jej imię, zbiegłem dwa stopnie w dół, poślizgnąłem się i upadłem. Mocno uderzyłem się w łokieć, ale jakoś zdołałem utrzymać w ręce torbę lekarską. Resztę zobaczyłem leżąc na ziemi, potrząsając głową i masując zdrętwiały łokieć.

Karetka zahamowała i również wpadła w poślizg. Uderzyła bokiem o postument posągu. Tylne drzwi otworzyły się. Nosze, na szczęście puste, wystrzeliły z nich jak język gada i z łoskotem upadły na ulicę, wirującymi kołami do góry. Jakaś kobieta na chodniku wrzasnęła i próbowała uciekać, gdy dwa pojazdy pędziły ku sobie. Po dwóch krokach poślizgnęła się i runęła jak długa. Torebka wyleciała jej z ręki i sunęła po lodzie jak kula do kręgli.

Taksówka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, tak że jechała tyłem do przodu i wyraźnie zobaczyłem kierowcę. Rozpaczliwie kręcił kierownicą jak chłopczyk w elektrycznym samochodziku wesołego miasteczka. Karetka odbiła się od posągu Harriet White... i uderzyła w taksówkę. Ta obróciła się w miejscu i z potworną siłą trzasnęła o postument. Żółte światło z napisem WEZWANIE RADIOWE eksplodowało jak pocisk. Lewy bok samochodu zgiął się, jakby był z bibułki. W następnej chwili zobaczyłem, że nie był to tylko bok; taksówka uderzyła w róg postumentu z taką siłą, że rozpadła się na dwie części. Szkło rozsypało się po lodzie jak garście diamentów. A moja pacjentka została wyrzucona przez tylną szybę rozbitego samochodu niczym szmaciana lalka.

Zerwałem się z ziemi, nawet o tym nie wiedząc. Zbiegłem po oblodzonych stopniach, znów poślizgnąłem się, chwyciłem za poręcz i biegłem dalej. Widziałem tylko pannę Stansfield leżącą w głębokim cieniu rzucanym przez ten odrażający posąg Harriet White, około dwudziestu stóp od miejsca, gdzie utkwiała przewrócona karetka, przeszywając noc stroboskopowymi błyskami czerwonego migacza. Ta nieruchoma postać wydawała się dziwnie zmieniona, ale nie wiedziałem dlaczego, dopóki nie

potknąłem się o coś tak, że o mało co, a znów straciłbym równowagę. To o co się potknąłem, przesunęło się - tak samo jak torebka tamtej dziewczyny raczej sunąc niż tocząc się. Tylko po chmurze blond włosów - zakrwawionych, lecz nadal jasnych, obsypanych kawałkami szkła - rozpoznałem, co to takiego. Potrąciłem nogą w zamarzniętym rynsztoku odciętą głowę mojej pacjentki!

Otępiały w wyniku szoku, chwyciłem ciało i obróciłem je. Chyba próbowałem wrzasnąć, kiedy to zrobiłem. Jeśli tak, to nie zdołałem; z mojego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Widzicie, panowie, tak kobieta wciąż oddychała. Jej pierś unosiła się i opadała w lekkim, płytkim oddechu. Lód obsypał jej rozchyłony płaszcz i zbroczoną krwią suknię. I słyszałem cichy, wysoki świst. Narastał i cichł jak dźwięk gotującej się w czajniku wody. To był syk powietrza wsysanego i wydychanego przez odciętą krtani; odgłosy towarzyszące przechodzeniu powietrza przez struny głosowe pozbawione ust, które mogłyby ukształtować je w słowa.

Chciałem uciec, ale nie miałem siły; osunąłem się przy niej na kolana, przyciskając pięść do ust. W następnej chwili zauważyłem krew sączącą się przez dolną część jej sukni... i jakiś ruch. Nagle nabrałem przekonania, że jest jeszcze szansa na uratowanie dziecka.

Kiedy podciągnąłem jej sukienkę do pasa, chyba zacząłem się śmiać. Byłem bliski szaleństwa. Jej ciało było jeszcze ciepłe. Pamiętam to. I pamiętam sposób, w jaki jej pierś unosiła się w oddechu. Jeden z sanitariuszy wstał, chwiejnie jak pijany, jedną ręką trzymając się za głowę. Krew przeciekała mu przez palce.

Wciąż śmiałem się i badałem. Stwierdziłem, że jest w pełni rozwarta.

Sanitariusz szeroko otwartymi oczami spojrzął na bezgłowe ciało Sandry Stansfield. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, że ona jeszcze oddycha. Pewnie pomyślał, że to tylko skurcz mięśni - rodzaj odruchu nerwowego. Jeśli rzeczywiście tak pomyślał, to chyba od niedawna jeździł karetką. Bezgłowe kury mogą chodzić przez jakiś czas, ale człowiek najwyżej raz czy dwa poruszy nogą... jeśli w ogóle.

- Przestań się gapić i przynieś mi jakiś koc - warknąłem na niego.

Odszedł, ale nie w kierunku ambulansu. Kierował się mniej więcej w stronę Times Square. Po prostu odszedł w śnieżną noc. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Wróciłem do martwej kobiety, która jakimś cudem nie była całkiem martwa, zawahałem się, a potem zdjąłem płaszcz. Uniosłem jej biodra i podłożyłem go pod nie. Wciąż słyszałem świst oddechu, gdy bezgłowe ciało dyszało jak lokomotywa. Czasem jeszcze je słyszę, panowie. We snach.

Musicie zrozumieć, że wszystko to wydarzyło się w niezwykle krótkim czasie - wydawał mi się dłuższy z powodu szoku i gorączkowego pośpiechu, które wyostrzyły wszystkie moje zmysły. Ze szpitala zaczęli wybiegać ludzie, żeby zobaczyć, co się stało, i jakaś kobieta za moimi plecami wrzasnęła przeraźliwie na widok odciętej głowy leżącej na ulicy.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem torbę, dziękując Bogu, że nie zgubiłem jej w zamieszaniu, i wyjąłem krótki skalpel. Przeciąłem nim bieliznę i ściągnąłem ją. Teraz podszedł kierowca karetki - stanął piętnaście stóp dalej i zmarł. Zerknąłem na niego, nadal potrzebując tego koca. Zobaczyłem, że on mi go nie przyniesie; patrzył na oddychające ciało, wybałuszając oczy tak, jakby zaraz miały wyjść mu z orbit i zawisnąć na nerwach ocznych jak groteskowe jo-jo. Potem opadł na kolana i splótł dłonie. Jestem przekonany, że chciał się modlić. Sanitariusz mógł nie wiedzieć, że widzi coś, co jest niemożliwe, ale ten kierowca wiedział. W następnej chwili zemdłał.

Tego wieczoru zapakowałem do torby kleszcze; nie wiem po co. Nie używałem ich od trzech lat, od kiedy zobaczyłem, jak lekarz wgniótł jednym z tych okropnych narzędzi skroń i mózg noworodka. Dziecko umarło natychmiast. Zwłoki „zniknęły”, a do aktu zgonu wpisano „urodzone martwe”.

Tymczasem, z jakiegoś powodu, tamtej nocy miałem je w torbie.

Zwłoki panny Stansfield zastygały, ze ściśniętymi mięśniami brzucha, zmieniając się z ciała w głaz. Główka dziecka była tuż przy ujściu. Widziałem ją przez moment, zakrwawioną, okrytą błoną i pulsującą. Pulsującą. A więc żyło. Na pewno żyło.

Kamień znów zmienił się w ciało. Główka zniknęła mi z oczu. Głos za moimi plecami zapytał:

- Co mogę zrobić, doktorze?

Pielęgniarka w średnim wieku, jedna z tych kobiet, które często są opoką naszego zawodu. Twarz miała bladą jak ściana, lecz chociaż na jej twarzy malował się przesądny lęk i przerażenie wywołane widokiem oddychających zwłok, w najmniejszym stopniu nie wpływało to na jej zdolność działania.

- Może mi siostra przynieść jakiś koc - rzuciłem. Myślę, że wciąż mamy szansę.

Za nią dostrzegłem chyba dwa tuziny ludzi ze szpitala, stojących na schodach, nie chcących podejść bliżej. Jak dużo lub jak mało widzieli? Trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że na kilka dni (a niektórzy na zawsze) przestali się do mnie odzywać i nikt, włącznie z tą pielęgniarką, nigdy nie wspominał o tym wypadku.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku szpitala.

- Siostro! - zawołałem. - Nie ma na to czasu. Niech pani poszuka w karetce. Dziecko zaraz przyjdzie na świat.

Zmieniła kierunek marszu, człapiąc i ślizgając się na śniegu w swych białych, służbowych butach. Znowu zająłem się panną Stansfield.

Zamiast zwalniać, te gwałtowne oddechy zaczęły przyspieszać... a potem jej ciało znowu wyprężyło się, napięte i prące. Zobaczyłem główkę dziecka. Oczekiwałem, że znowu schowa się, ale nie; wychodziło. Wcale nie musiałem używać kleszczy. Dziecko po prostu wypadło mi na rękę. Ujrzałem śnieg prószący na jego nagie, zakrwawione ciało - ponieważ to był chłopiec, nie było co do tego wątpliwości. Zobaczyłem unoszącą się z niego parę, gdy czarna, lodowata noc porwała resztki matczynego ciepła. Słabo zatrzepotał okrwawionymi piąstkami; wydał cienki, płaczliwy krzyk.

- Siostro! - ryknąłem - Rusz dupę, suko!

To było niewybaczalne, ale przez moment wydało mi się, że znowu jestem we Francji, że za moment pociski zaczną świstać mi nad głową z odgłosem podobnym do sypania tego bezlitośnie padającego śniegu; karabiny maszynowe rozpoczną swój piekielny stukot; Niemcy zaczną wyłaniać się z ciemności, biegnąc, ślizgając się, klnąc i umierając w błocie i dymie. Tania magia, pomyślałem, widząc, jak ciała chwieją się, okręcają i padają. Jednak masz rację, Sandro, to tania magia, lecz tylko na taką nas stać. Nigdy nie byłem tak bliski utraty zmysłów jak wtedy, panowie.

- Siostro, na Boga!

Dziecko znowu zapłakało - taki cichy, rozpaczliwy dźwięk! i ucichło. Para unosząca się z jego ciała zrzędiała do smużek. Przyłożyłem usta do jego twarzy, wdychając zapach krwi i ostry, wilgotny aromat łożyska. Dmuchałem mu w usta i znowu usłyszałem wątły szmer oddechu. W następnej chwili znalazła się przy mnie pielęgniarka z kocem w rękach. Wyciągnąłem po niego rękę.

Zaczęła mi go podawać, lecz nagle cofnęła dłoń.

- Doktorze... a jeśli to potwór? Jeśli to jakiś potwór?

- Podaj mi ten koc - powiedziałem. - Daj mi ten koc, sierzancie, zanim wkopię ci dupę między łopatki.

- Tak, doktorze - odparła zupełnie spokojnie (powinniśmy błogosławić kobiety, panowie, które często rozumieją, po prostu nie próbując niczego zrozumieć) i wręczyła mi koc. Owinąłem dziecko i oddałem jej.

- Jeśli je upuścisz, sierżancie, każę ci zjeść te naszywki.
- Tak, doktorze.
- To tania, pieprzona magia, sierżancie, ale innej nie dał nam Bóg.
- Tak, doktorze.

Patrzyłem, jak wpół idzie, a wpół biegnie z dzieckiem do szpitala, a tłum na schodach rozstępuje się przed nią. Potem wstałem i cofnąłem się od ciała. Jego oddech, tak jak przed chwilą noworodka, ustał i wydobył się znowu... ustał... wydobył się... ustał...

Zacząłem się cofać. Natrafiłem na coś nogą. Odwróciłem się. To była jej głowa. I posłuszny jakiemuś wewnętrznemu nakazowi przyklęknąłem przy niej i obróciłem ją. Oczy miała otwarte - te szczerze orzechowe oczy, zawsze tak pełne życia i zdecydowania. Wciąż była w nich determinacja. Panowie, ona mnie widziała.

Zęby miała zaciśnięte, usta lekko rozchylone. Słyszałem, jak oddech szybko przechodzi tam i z powrotem między tymi wargami i zębami, jakby nadal udawała parowóz. Gałki oczne poruszyły się; lekko obróciły się w lewo, żeby lepiej mnie widzieć. Usta się otworzyły. Wymówiły trzy słowa: „Dziękuję, doktorze McCarron”. A ja usłyszałem je, chociaż nie z jej ust. Rozległy się obok. Z jej strun głosowych. A ponieważ jej język, zęby i wargi, wszystko czego potrzebujemy formułując słowa, były tutaj, wydobyły się jako niewyraźny pomruk. Jednak wymówiła je, tych osiem głośnych dźwięków składających się na ośmiosylabowe zdanie: „Dziękuję, doktorze McCarron”.

- Nie ma za co, panno Stansfield - powiedziałem. - To chłopiec.

Usta poruszyły się znów i zza moich pleców dobiegło słabe, upiorne „chłoopieec”...

Potem z jej oczu zniknął błysk życia i determinacji. Zdawały się teraz spoglądać na coś za moimi plecami, może w tym czarnym, zaśnieżonym niebie. Zamknęły się. Zaczęła znów głęboko oddychać... i nagle przestała. Cokolwiek się stało, było już po wszystkim. Pielęgniarka widziała to, kierowca karetki również mógł coś widzieć, zanim zemdłał, i niektórzy z gapiów pewnie coś podejrzewali. Jednak teraz na pewno było już po wszystkim. Pozostały tylko ofiary okropnego wypadku... i noworodek.

Spojrzałem na posąg Harriet White, a ona stała tam dalej, spoglądając niewzruszonym spojrzeniem na park po drugiej stronie ulicy, jakby nic szczególnego nie zaszło, jakby taka determinacja na tym okrutnym i twardym świecie nie miała żadnego znaczeni a... lub jeszcze gorzej, jakby była jedyną rzeczą mającą jakikolwiek

sens, robiącą jakąkolwiek różnicę.

O ile pamiętam, klęknąłem przed jej odciętą głową i zacząłem płakać. O ile wiem, wciąż płakałem, gdy jakiś stażysta z dwiema pielęgniarkami pomógł mi wstać i zaprowadził do środka.

McCarronowi zgasła fajka.

Ponownie zapalił ją zapalniczką, podczas gdy my siedzieliśmy wstrząśnięci, w głębokim milczeniu. Na zewnątrz wył i jęczał wiatr. McCarron zamknął zapalniczkę i popatrzył na nas. Wyglądał na lekko zdziwionego tym, że jeszcze tu jesteśmy.

- To wszystko - rzekł. - To już koniec! Na co czekacie? Na rydwany ognia? - prychnął i zamyślił się na moment. Opłaciłem jej pogrzeb z własnej kieszeni. Widzicie, nie miała nikogo bliskiego. Uśmiechnął się słabo. - Hmm... I jeszcze Ella Davidson, moja pielęgniarka. Uparła się, że dołoży dwadzieścia pięć dolarów, na co niezbyt mogła sobie pozwolić. Jednak kiedy Davidson uparła się... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się znowu.

- Jest pan pewien, że to nie był odruch? - nagle usłyszałem swój głos. - Jest pan całkowicie pewny...

- Całkowicie - odparł niewzruszony McCarron. - Może pierwsze skurcze. Jednak poród trwał nie kilka sekund, lecz parę minut. I czasem myślę, że wytrzymałaby dłużej, gdyby musiała. Dzięki Bogu nie było takiej potrzeby.

- A co z dzieckiem? - zapytał Johanssen.

McCarron pyknął fajkę.

- Adoptowane - rzekł. - A rozumiecie, że nawet w tamtych czasach procedury adopcyjne okrywano jak najściślej tajemnicą.

- Tak, ale co z dzieckiem? - powołał pytanie Johanssen i McCarron zaśmiał się kwaśno.

- Nigdy nie rezygnujesz, no nie? - zapytał Johanssen.

Ten potrząsnął głową.

- Paru ludzi przekonało się o tym na swoje nieszczęście. I co z tym dzieckiem?

- No cóż, skoro usłyszeliście tyle, to zapewne zrozumiecie, że miałem pewne prawo interesować się jego dalszym losem. A przynajmniej tak uważałem, co wychodzi na to samo. Obserwowałem je i nadal to robię. Była pewna młoda para - nie nazywali się Harrison, ale dość podobnie. Mieszkali w Maine. Nie mogli mieć dzieci. Zaadoptowali chłopczyka i dali mu na imię... no, powiedzmy, że John, dobrze? Może

być John, panowie?

Pyknął fajkę, ale znów mu zgasała. Zdałem sobie sprawę z tego, że Stevens stoi w pobliżu, i wiedziałem, że pewnie przygotował już nasze płaszcze. Wkrótce znowu je włożymy... i wrócimy do naszego świata. Jak powiedział McCarron, w tym roku to już koniec opowieści.

- Dziecko, które odebrałem tamtej nocy, jest teraz dziekanem wydziału anglistyki w jednym z dwóch czy trzech najbardziej renomowanych college'ów w naszym kraju - rzekł McCarron. - Nie ukończył czterdziestu pięciu lat. Młody człowiek. Jeszcze za wcześnie, ale nadejdzie dzień, kiedy zostanie rektorem uczelni. Ani na chwilę w to nie wątpię. Jest przystojny, inteligentny i czarujący. Kiedyś, pod jakimś pretekstem, zjadłem z nim obiad w wydziałowym klubie. Przy stoliku siedzieliśmy w czwórkę. Niewiele mówiłem, więc mogłem go obserwować. Ma determinację matki, panowie... i jej orzechowe oczy.

III

Klub

Stevens wyprowadził nas jak zwykle, podając płaszcze, życząc wesołych świąt Bożego Narodzenia, dziękując wszystkim za hojność. Wychodziłem jako ostatni i spojrzał na mnie bez zdziwienia, gdy powiedziałem:

- Mam pytanie, które chciałbym zadać, jeśli można.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Sądzę, że można - odparł. - Boże Narodzenie to dobry czas na zadawanie pytań.

Gdzieś w korytarzu po lewej - w którym jeszcze nigdy nie byłem - sennie tykał stary zegar, odmierzając mijający wiek. Czuję zapach starej skóry, czyszczonego drewna i znacznie słabszą od tych dwóch woń jego płynu po goleniu.

- Jednak muszę pana ostrzec - dodał Stevens, gdy na zewnątrz zawył tęsknie wiatr - że lepiej za wiele nie pytać. Przynajmniej jeśli nadal chce pan tu przychodzić.

- Czy ludzie zostawali wykluczeni za zadawanie zbyt wielu pytań?

Wykluczeni nie było dokładnie tym określeniem, jakiego chciałem użyć, ale lepszego nie znalazłem.

- Nie - odparł Stevens, gładko i uprzejmie jak zawsze. Po prostu woleli trzymać

się z daleka.

Odwzajemniłem jego spojrzenie, czując zimny dreszcz przebiegający mi po krzyżu - jakby ktoś położył mi na plecach wielką, zimną, niewidzialną dłoń. Nagle przypomniałem sobie tamten dziwny miękki stuk na górze, który słyszałem pewnej nocy, i zacząłem zastanawiać się (dokładnie tak samo jak wtedy), ile naprawdę znajduje się tam pomieszczeń.

- Jeśli wciąż ma pan ochotę, panie Adley, może lepiej niech pan zada to pytanie. Wieczór prawie się skończył i...

- I ma pan przed sobą długą jazdę pociągiem do domu? - dokończyłem, ale Stevens tylko spojrzał na mnie beznamiętnie. - No dobrze - powiedziałem. - W tej bibliotece są książki, których nigdzie indziej nie mogę znaleźć - ani w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej, ani w katalogach żadnego z antykwariuszy, ani w spisie wydrukowanych książek. Stół bilardowy w małej sali wyprodukowała firma Nord. Nigdy nie słyszałem o takiej marce, więc zadzwoniłem do Międzynarodowej Komisji Znaków Towarowych. Mają w swoich wykazach dwie takie firmy - jedna robi narty śladowe, a druga akcesoria kuchenne. W długiej sali jest szafa grająca Seafront. Mają w spisie Seeburg, ale żadnej Seafront.

- O co chciał pan zapytać, panie Adley?

Jego głos był łagodny jak zawsze, lecz nagle w oczach pojawiło się coś przerażającego... nie; jeśli mam być szczery, nie tylko w oczach; strach, jaki odczuwałem, zdawał się unosić wszędzie wokół. Miarowe tykanie dobiegające z korytarza po lewej przestało być odgłosem wahadła starego zegara; było przytupywaniem kata obserwującego skazańca idącego na szafot. Zapach skóry i drewna stał się gryzący i groźny, a kiedy na zewnątrz znowu zawył wiatr, przez moment miałem wrażenie, że frontowe drzwi zaraz otworzą się na oścież, ukazując nie Trzydziestą Piątą Ulicę, lecz jakiś zwariowany krajobraz Clarka Ashtona Smitha z wykrzywionymi sylwetkami drzew na tle pustego horyzontu, oświetlonymi upiornie czerwonym blaskiem dwóch słońc.

Och, on wiedział, o co chciałem zapytać; zobaczyłem to w jego szarych oczach.

Skąd pochodzą te wszystkie rzeczy? - zamierzałem spytać. Och, dobrze wiem, skąd ty się wzięłeś, Stevens. Tego akcentu nie nabyłeś w Londynie, lecz w Brooklynie. Jednak gdzie mieszkasz? Skąd wziął się ten ponadczasowy wyraz twoich oczu i twarzy? A ponadto, Stevens...

...gdzie w tym momencie jesteśmy?

Czekał, aż zadam pytanie.

Otworzyłem usta. I usłyszałem swoje słowa:

- Czy na górze jest wiele pomieszczeń?

- Och tak, proszę pana - rzekł, nie spuszczając ze mnie oka. - Bardzo wiele.

Można się tam zgubić. Chcę powiedzieć, że zdarzało się, iż ludzie gubili się tam. Czasem wydaje mi się, że są tam całe mile pomieszczeń. Komnat i korytarzy.

- A także wejść i wyjść?

Lekko uniósł brwi.

- Och, tak. Wejść i wyjść.

Czekał, ale uznałem, że zadałem już dość pytań - że stanąłem u progu czegoś, co mogłoby doprowadzić mnie do szaleństwa.

- Dziękuję, Stevens.

- Proszę bardzo, sir.

Podał mi płaszcz, który włożyłem.

- Będą nowe opowieści?

- Tutaj, proszę pana, zawsze są nowe opowieści.

Od tego wieczoru minęło trochę czasu i moja pamięć bynajmniej nie poprawiła się (kiedy człowiek ma tyle lat co ja, bardziej prawdopodobne jest coś wręcz przeciwnego), jednak doskonale pamiętam ukłucie strachu, kiedy Stevens otworzył na oścież grube dębowe drzwi - zimną pewnością, że zaraz ujrzę ten obcy krajobraz, spękaną, piekielną ziemię w krwawym blasku podwójnego słońca, które może zająć pogrążając wszystko w niewyobrażalnej ciemności, za godzinę, dziesięć godzin lub dziesięć tysięcy lat. Nie mogę tego wyjaśnić, ale powiem wam, że taki świat istnieje - jestem tego równie pewien jak Emlyn McCarron był pewny, że odrąbana głowa Sandry Stansfield nadal oddychała. Przez jedną nieskończenie długą sekundę myślałem, że gdy otworzą się drzwi, Stevens wepchnie mnie w ten świat i zatrzaśnie je za mną... na zawsze.

Zamiast tego ujrzałem Trzydziestą Piątą Ulicę oraz stojącą przy krawężniku taksówkę wydmuchującą obłoczki spalin. Poczulem bezgraniczną, niemal pozbawiającą zmysłów ulgę.

- Tak, zawsze są nowe opowieści - powtórzył Stevens. Dobranoc panu.

Zawsze nowe opowieści.

I rzeczywiście. Może niebawem opowiem wam następną.

Posłowie

Chociaż najczęściej (można by rzec, iż standardowo) zadawanym mi pytaniem było „Skąd pan bierze pomysły?”, niewątpliwie kluczowym jest następujące: „Czy pan pisze tylko horrory?”. Kiedy odpowiadam, że nie, trudno powiedzieć, czy pytający czuje ulgę, czy rozczarowanie.

Tuż przed opublikowaniem „Carrie”, pierwszej powieści, dostałem od mego wydawcy, Billa Thompsona, list z sugestią, że najwyższy czas, abym zaczął myśleć o tym, co wydamy na bis (może wam wydać się dziwne takie myślenie o następnej książce, zanim ukazała się pierwsza, lecz ponieważ cykl wydawniczy powieści trwa niemal tyle samo co obróbka nakręconego filmu, w tamtym momencie żyliśmy z „Carrie” już dość długo - prawie rok). Natychmiast wysłałem Billowi rękopisy dwóch powieści, zatytułowanych *Blaze* i *Second Coming*. Ta pierwsza została napisana zaraz po „Carrie”, podczas sześciomiesięcznej przerwy, gdy pierwsza wersja „Carrie” spoczywała w szufladzie biurka, dojrzewając; tę drugą napisałem mniej więcej w rok, podczas gdy „Carrie” powoli, w zółwym tempie, przygotowywano do publikacji.

Blaze był melodramatyczną opowieścią o roślum, prawie cofniętym w rozwoju przestępcy, który porywa dziecko, zamierzając wymusić okup od bogatych rodziców... a potem zakochuje się w nim. *Second Coming* był melodramatem o wampirach opanowujących miasteczko w stanie Maine. Oba były literackimi naśladownictwami: wzorem *Second Coming* był „Drakula”, a *Blaze* „Myszy i ludzie” Steinbecka.

Sądzę, że Billowi zaparło dech ze zdumienia, gdy te dwa maszynopisy nadeszły w jednej grubej paczce (niektóre strony *Blaze* zostały napisane na odwrocie rachunków za mleko, a maszynopis *Second Coming* śmierdział piwem, ponieważ trzy miesiące wcześniej, podczas noworocznego przyjęcia, ktoś wylał nań puszkę Black Label) - jak kobieta, która chciała dostać bukiet kwiatów, a tymczasem mąż poszedł i kupił jej oranżerię. Oba maszynopisy łącznie liczyły pięćset pięćdziesiąt stron z pojedynczą interlinią.

Przez dwa tygodnie przeczytał oba - skreślił wydawcę i wpisał świętego - a ja przyjechałem z Maine do Nowego Jorku, żeby uczcić publikację „Carrie” (kwiecień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego, przyjaciele i sąsiedzi - Lennon żył, Nixon wciąż pełnił urząd prezydenta, a niżej podpisany nie miał jeszcze pierwszych siwych włosów w brodzie) oraz ustalić, która z tych dwóch książek powinna być następna... i czy w ogóle któraś powinna.

Byłem w mieście przez kilka dni i omawialiśmy tę kwestię trzy lub cztery razy. Ostateczna decyzja zapadła na rogu Park Avenue i Czterdziestej Szóstej Ulicy, ściśle mówiąc. Bill i ja staliśmy tam, czekając na zmianę świateł, patrząc, jak taksówki znikają w przerażającym tunelu, czy cokolwiek to jest - tym, który zdaje się przechodzić prosto przez Pan Am Building. Bill powiedział:

- Sądzę, że to powinien być *Second Coming*.

No cóż, mnie również on bardziej się podobał - jednak jego głos brzmiał tak dziwnie niechętnie, że spojrzałem na niego ostro i spytałem, o co chodzi.

- Po prostu o to, że jeśli piszesz powieść o wampirach zaraz po książce o dziewczynie, która może przemieszczać przedmioty siłą woli, zostaniesz zaszufładowany - rzekł.

- Zaszufładowany? - spytałem, szczerze zdziwiony. Nie widziałem żadnego podobieństwa między wampirami a telekinezą. - Jako kto?

- Jako autor horrorów - odrzekł z jeszcze większą niechęcią.

- Och. Tylko o to chodzi!

- Zaczekaj kilka lat, a zobaczymy, czy nadal będziesz uważał, że „tylko o to”.

- Bill - powiedziałem z rozbawieniem - w Ameryce nikt nie zdoła wyżyć z pisania horrorów. Lovecraft głodował w Providence. Bloch zrezygnował na rzecz powieści kryminalnych i kawałków w stylu *Unknown*. „Egzorcysta” to jednorazowy przypadek. Zobaczysz.

Światło zmieniło się. Bill klepnął mnie w ramię.

- Sądzę, że odniesiesz ogromny sukces - rzekł - lecz mimo to twierdzę, że nie odróżniasz gówna od śmietanki.

Był bliższy prawdy niż ja. Okazało się, że w Ameryce można wyżyć z pisania horrorów. *Second Coming*, ostatecznie pod tytułem *Salem's Lot* („Miasteczko Salem”), został bardzo dobrze przyjęty. Będąc w Nowym Jorku, przesiedziałem z Billem pół nocy w barze zwanym U Jaspera (gdzie ogromny, szary kocur zawłaszczył sobie szafę grającą; musiałeś podnieść go, żeby sprawdzić, jakie mają płyty) i streściłem mu intrygę. Pod koniec opierał łokcie po obu stronach szklaneczki burbona i obejmował rękami głowę, jak człowiek z potworną migreną.

- Nie podoba ci się - powiedziałem.

- Bardzo mi się podoba - rzekł z przygnębieniem.

- To o co chodzi?

- Najpierw telekineza, potem wampiry, teraz nawiedzony hotel i dzieciak-

telepata. Zostaniesz zaszufłakowany.

Tym razem rozmyślałem o tym trochę poważniej - a potem pomyślałem o tych wszystkich ludziach, którzy zostali zaszufłakowani jako autorzy horrorów i przez tyle lat sprawili mi tyle przyjemności o takich jak Lovecraft, Clark Ashton Smith, Frank Belknap Long, Fritz Leiber, Robert Bloch, Richard Matheson i Shirley Jackson (nawet ją zaszufłakowano jako autorkę opowieści o duchach). I tam, U Jaspera, z kotem śpiącym na szafie grającej i moim wydawcą siedzącym obok mnie z głową w dłoniach, doszedłem do wniosku, że mógłbym znaleźć się w gorszym towarzystwie. Mogłem, na przykład, zostać „poważnym” pisarzem, takim jak Joseph Heller, i publikować powieść mniej więcej co siedem lat, albo „błyskotliwym” pisarzem jak John Gardner, piszącym niezrozumiałe książki dla naukowców jadających makrobiotyczną żywność i jeżdżących starymi saabami z wyblakłymi, lecz nadal czytelnymi plakietkami GENE McCARTHY NA PREZYDENTA na tylnych zderzakach.

- W porządku, Bill - powiedziałem. - Będę autorem horrorów, jeśli tego chcą ludzie. I dobrze.

Nigdy więcej nie dyskutowaliśmy na ten temat. Bill wciąż wydaje, a ja nadal piszę horrory i żaden z nas tego nie analizuje. To dobra umowa.

W ten sposób zostałem zaszufłakowany i nie mam nic przeciwko temu - w końcu piszę w tej konwencji... przynajmniej najczęściej. Czy jednak piszę tylko horrory? Jeśli przeczytaliście zamieszczone tu opowiadania, wiecie, że nie... jednak elementy horroru można znaleźć w każdym z nich, nie tylko w „Metodzie oddychania” - ten moment z pijawkami w „Ciele” jest dość okropny, tak samo jak senne koszmary w „Zdolnym uczniu”. Prędzej czy później, Bóg wie dlaczego, moje myśli zawsze zaczynają błędzić w tym kierunku.

Każde z tych opowiadań zostało napisane wkrótce po tym, jak ukończyłem książkę - tak jakby zawsze po skończeniu długiego tekstu zostawało mi dość pary, żeby stworzyć jeszcze sporą nowelkę. „Ciało”, najstarsze w tym zbiorze, zostało napisane natychmiast po „Miasteczku Salem”; „Zdolny uczeń” powstał w okresie dwóch tygodni po ukończeniu „Lśnienia” (a po „Zdolnym uczniu” nie napisałem niczego przez trzy miesiące - byłem wykończony); „Skazani na Shawshank” po tym, jak skończyłem „Strefę śmierci”, a „Metoda oddychania”, najnowsze z tych opowiadań, zaraz po „Podpalacze”^{*}.

^{*} Jest jeszcze coś, z czego właśnie zdałem sobie sprawę: każde z nich zostało napisane w innym domu - trzy z nich w Maine, a jedno w Boulder w stanie Kolorado.

Żadne z nich nie zostało wcześniej opublikowane; nawet nie było przekazane do redakcji. Dlaczego? Ponieważ każde z nich zawiera od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu tysięcy słów - może w przybliżeniu, ale wystarczająco dokładnie, żeby mieścić się w pewnej kategorii. Muszę coś wam powiedzieć: dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu tysięcy słów to liczba, na dźwięk której najbardziej zahartowany autor zadrży i skuli się w sobie. Nie istnieje jakakolwiek ścisła definicja powieści i opowiadania - przynajmniej nie ze względu na liczbę słów - bo nie może istnieć. Jednak pisarz przekraczający granicę dwudziestu tysięcy słów wie, że opuszcza krainę opowiadań. Podobnie przekraczając granicę czterdziestu tysięcy słów, wkracza w krainę powieści. Granice między tymi dwoma sąsiadującymi obszarami są kiepsko wytyczone, jednak w pewnej chwili pisarz budzi się z krzykiem i stwierdza, że przybył lub przybywa w naprawdę straszne miejsce, do jakiejś anarchicznej bananowej republiki literackiej zwanej nowelą (a raczej, zbyt wyszukanie jak dla mnie, mimpowieścią).

No cóż, pod względem literackim noweli niczego nie można zarzucić. Oczywiście, trudno coś zarzucić także klaunom cyrkowym, tyle że rzadko widuje się ich poza cyrkiem. Chodzi o to, że wprawdzie istnieją znakomite nowele, ale tradycyjnie sprzedają się tylko „wśród miłośników rodzaju” (określenie grzecznościowe; mniej uprzejmym, lecz dokładniejszym jest „w getcie literackim”). Można sprzedać dobrą mikropowieść kryminalną do „Ellery Queen's Mystery Magazine” lub „Mike Shayne's Mystery Magazine”, dobrą nowelę science fiction do „Amazing” lub „Analog”, a może nawet do „Omni” lub „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”. Zabawne, ale istnieją także rynki zbytu na dobre, krótkie horrory: jednym z nich jest wspomniany już „F&SF”; innym „Twilight Zone”, a ponadto przeróżne antologie opowiadań grozy, takie jak seria „Shadows” publikowana przez Doubleday pod redakcją Charlesa L. Granta.

Jednak jeśli chodzi o minipowieści, które w zasadzie można zaliczyć tylko do „głównego nurtu” (określenie niemal równie przygnębiające jak „wśród miłośników rodzaju”)... chłopie, jeśli mowa o sprzedawalności, to masz poważne kłopoty. Spoglądasz z niechęcią na swój liczący dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu tysięcy słów maszynopis, zdejmujesz kapsel z butelki piwa, a w głowie słyszysz głos mówiący z wyraźnym akcentem:

- *Buenos dias, señor!* Jak przebiec lot Revolución Airways? Pewnikiem badzo si panu podobać, *si?* Witamy w Noweli, *señor!* Pewnikiem tu tesz badzo si panu

podobać! Tanie cygara! Sprośne obrazki! *Señor* usiąść wygodnie, pewnikiem pańska książka zostać tu długi, długi czas... *que pasa?* Aha-ha-ha-ha-ha!

Przygnębiające.

Dawno, dawno temu (rozmyślasz żałośnie) naprawdę był rynek zbytu na takie opowieści - w periodykach takich jak „The Saturday Evening Post”, „Collier's” i „The American Mercury”. Literatura zarówno utwory krótkie, jak i długie - była podstawą tych i innych gazet. A jeśli dzieło było za długie na jeden numer, dzielono je na trzy, pięć lub dziewięć części. Okropna idea „skracania” czy „drukowania fragmentów” była jeszcze nieznana (zarówno „Playboy”, jak i „Cosmopolitan” doprowadzili tę potworność do perfekcji; całą powieść można teraz przeczytać w dwadzieścia minut!), opowieści przydzielano tyle miejsca, ile wymagała, i wątpię, abym był jedynym, który pamięta, jak przez cały dzień czekał na listonosza, ponieważ ten miał przynieść nowy numer „Post” z kolejnym opowiadaniem Raya Bradbury'ego lub ostatnim odcinkiem powieści Clarence'a Buddingtona Kellanda.

(Moja niecierpliwość czyniła mnie szczególnie łatwym celem. Kiedy listonosz w końcu przychodził, krocząc rzeško ze skórzaną torbą na ramieniu, ubrany w szorty i przeciwsłoneczny kapelusz, spotykałem go na końcu podjazdu, przebierając nogami, jakbym musiał iść do łazienki, z sercem podchodzącym do gardła. Uśmiechając się okrutnie, wręczał mi rachunek za prąd. Nic więcej. Serce opadało mi do butów. W końcu litował się i jednak dawał mi „Post”; na okładce uśmiechnięty Eisenhower namalowany przez Normana Rockwella; artykuł o Sophii Loren pióra Pete'a Martina; „Mówię wam, to wspaniały facet” napisany przez Pat Nixon i dotyczący - tak, zgadliście! - jej męża Richarda, a ponadto, oczywiście, opowiadania. Drugie, krótkie i ostatni odcinek Kellanda. Bogu dzięki!).

I nie zdarzało się to sporadycznie, lecz co pieprzony tydzień! W dniu, kiedy wychodził „Post”, byłem chyba najszczęśliwszym dzieciakiem na całej zachodniej półkuli.

Są jeszcze periodyki publikujące dłuższe formy literackie - „Atlantic Monthly” i „The New Yorker” to dwa szczególnie wrażliwe na problemy pisarza, który dostarcza minipowieść liczącą trzydzieści tysięcy słów. Jednak żadne z tych wydawnictw nie było zbyt zainteresowane moją twórczością, która jest dość pospolita, niezbyt literacka i czasem (choć przyznanie się do tego boli jak diabli) po prostu kiepska.

Podaję, że w pewnym stopniu właśnie te cechy - jakkolwiek niechlubne - zadecydowały o sukcesie moich minipowieści. Większość z nich to zwyczajna

literatura dla zwyczajnych ludzi, literacki odpowiednik Big Maca i frytek u McDonalda. Potrafię rozpoznać elegancką prozę i reagować na nią, lecz własnoręczne pisanie jej uznałem za trudne lub niemożliwe (gdy byłem dojrzewającym pisarzem, moimi idolami byli surowi powieściopisarze, których styl wahał się od okropnego do żadnego; tacy jak Theodore Dreiser czy Frank Norris). Pozbawmy powieściopisarza eleganckiego stylu, a zostanie mu tylko jedna noga, na której może się oprzeć; jest nią solidność. W rezultacie zawsze starałem się pisać solidnie. Ujmując to inaczej, jeśli stwierdzisz, że nie jesteś urodziwy, zawsze możesz próbować zrobić użytek ze swego rozumu (tu słyszysz głos z balkonu: „Jakiego rozumu, King?”. Ha-ha, bardzo śmieszne, kolego, możesz już wyjść).

W wyniku tego wszystkiego, napisawszy te opowiadania, które właśnie skończyliście czytać, znalazłem się w dziwnej sytuacji. Moje powieści zapewniły mi taką pozycję, że ludzie twierdzili, iż King mógłby opublikować swój rachunek z pralni, gdyby chciał (a niektórzy krytycy utrzymują, iż robię to od mniej więcej ośmiu ostatnich lat), tymczasem tych opowiadań nie mogłem wydać, ponieważ były za długie, żeby być krótkie, i za krótkie, żeby być naprawdę długie. Rozumiecie, o co mi chodzi?

- *Si, señor! Señor* zdjąć buty! Pić tani rum! Zaraz przyjsć Medicore Revolución Steel Band i grać kiepskie calypso! Pewnikiem badzo si panu podobać! Mieć czas, *señor!* Mieć czas, bo pańskie opowieści pewnikiem zostać tu...

- ...bardzo długo, taak, taak, świetnie, dlaczego nie pójdziesz sobie gdzieś, żeby obalić jakąś marionetkową imperialistyczną demokrację?

Tak więc w końcu postanowiłem sprawdzić, czy Viking, mój wydawca w twardych okładkach i New American Library wydająca książki w miękkich okładkach, nie opublikowałby zbioru opowiadań o udanej ucieczce z więzienia, o starcu i chłopcu połączonych ponurą więzią opartą na komensalizmie, czwórce wiejskich chłopaków ruszających na wielką wyprawę i okropnej historii o młodej kobiecie zdecydowanej mimo wszystko urodzić dziecko (a może o pewnym dziwnym klubie, który wcale nie jest klubem). Wydawcy powiedzieli „dobrze”. I w ten sposób zdołałem wyrwać te cztery długie opowiadania z bananowej republiki minipowieści.

Mam nadzieję, że badzo si wam podobać, *muchachos i muchachas*.

Och, jeszcze jedno o szufladkowaniu, zanim skończę na dziś.

Mniej więcej rok temu rozmawiałem z moim wydawcą - nie z Billem Thompsonem, ale z nowym wydawcą, naprawdę miłym gościem nazywającym się

Alan Williams, bystrym, mądrym, zdolnym, ale zazwyczaj zajęтым obowiązками sędziowskimi gdzieś w trzewiach New Jersey.

- Podobała mi się „Cujo” - mówi Alan (właśnie zakończono redagowanie tej powieści, naprawdę krwistej). - Zastanawiałeś się już, co napiszesz teraz?

Uczucie déjà vu. Już kiedyś prowadziłem taką rozmowę.

- Hmm, tak - mówię. - Zastanawiałem się i...

- Strzelaj.

- Co sądzisz o książce złożonej z czterech minipowieści? Większość tego to po prostu zwyczajna proza. Co na to powiesz?

- Opowiadania - mówi Alan. Jest wesołym facetem, ale nagle jego głos brzmi jakby mniej radośnie; jego głos sugeruje, że właśnie wygrał dwa bilety na przelot Revolución Airways do jakiejś podejrzananej bananowej republiki. - Masz na myśli długie opowiadania.

- Tak, właśnie - odpowiadam. - Zatytułujemy ten zbiór na przykład *Different Seasons* (czyli „Cztery pory roku”; polski tytuł tego zbioru brzmi „Skazani na Shawshank”, od tytułu pierwszego opowiadania), aby ludzie wiedzieli, że to nie o wampirach, nawiedzonych hotelach i tym podobnych rzeczach.

- A czy następna będzie o wampirach? - spytał Alan z nadzieją w głosie.

- Nie, chyba nie. Co o tym sądzisz, Alan?

- To może o nawiedzonym hotelu?

- Nie, już o tym pisałem. *Different Seasons*, Alan. Przecież to ładnie brzmi, nie uważasz?

- Brzmi naprawdę świetnie, Steve - mówi Alan i wzdycha. Wygląda jak wesoły facet, który właśnie usiadł w trzeciej klasie najnowszego samolotu Revolución Airways - przedpotopowego Lockheeda Tristara - i dostrzegł już pierwszego karalucha dzielnie maszerującego po oparciu fotela przed nim.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba - mówię.

- Zapewne nie możemy liczyć - zaczyna Alan - że znajdzie się w nim jakieś opowiadanie grozy? Chociaż jedno? Może choć trochę straszne?

Uśmiecham się leciutko - tylko troszeczkę - na myśl o Sandrze Stansfield i metodzie oddychania doktora McCarrona.

- Może coś wymyślę.

- Wspaniale! A co do twojej nowej powieści...

- Może o niesamowitym samochodzie?

- To lubię! - woła Alan. Mam wrażenie, że odchodzi na to kolegium redakcyjne - a może pełnić obowiązki sędziego w East Rahway - jako szczęśliwy człowiek. Ja także jestem szczęśliwy kocham mój niesamowity samochód i mam nadzieję, że wielu ludzi będzie się teraz uważniej rozglądać, przechodząc wieczorem przez ruchliwą ulicę.

Jednak uwielbiałem również każde z tych opowiadań i pewną częścią mojej duszy chyba zawsze będę je kochał. Mam nadzieję, że podobały ci się, Czytelniku; że sprawiły to, czego powinna dokonać każda dobra opowieść - na jakiś czas pozwoliły ci zapomnieć o prawdziwych zmartwieniach i przeniosły w miejsca, w których nigdy nie byłeś. To najlepszy rodzaj magii, jaki znam.

No dobra. Muszę kończyć. Dopóki nie zobaczymy się znów, trzymajcie się, czytajcie dobre książki, bądźcie przydatni i szczęśliwi.

Pozdrowienia i najlepsze życzenia

Stephen King
4 stycznia 1982
Bangor, Maine